

Hans Hellmut Kirst

WILKI

Kto z wilkami wyje,
niech nadal prowadzi psie życie.

Przysłowie mazurskie

Jest to historia niejakiego Alfreda Materny. Zdarzyła się w jednym z owych odległych zakątków ziemi, w których czas wydaje się stać w miejscu. Ten zakątek nazywał się Maulen. Dokładniej: wieś Maulen, położona w południowej części Prus Wschodnich, pomiędzy bagnem, lasem i jeziorem. To, co się stało, miało początek w 1932/1933, a kończyło się przez dwanaście lat, które potem nadeszły. W latach tych świat został zniszczony niczym ogród, do którego wtargnęły dziki.

Zanim jednak nastąpiła ta katastrofa, płodzenie i śmierć były w Maulen tak naturalne jak deszcz i słońce. Ziemia była łóżkiem i całunem, namiętności ludzkie zaś wydawały się niczym innym niż prawem natury. I niejeden uważał Pana Boga za pana brata.

Ten Alfons Materna jednak pragnął żyć, nic poza tym. Cena, jaką musiał za to zapłacić, była wysoka.- Umierali przy tym ludzie. Ale wówczas na Mazurach nawet trupy mogły pobudzać do śmiechu,.

Część pierwsza

GODZINA WILKÓW

1932 — 1933



Zgraja psów to zajęcy śmierć.
Ale siła rozrodcza zajęcy
przewyższa wszelkie starania psów.

— Nic na to nie poradzi — rzekł Alfons Materna, kiedy doniesiono mu o śmierci syna.

Rozpostarł bezradnie ramiona. Pochylił przy tym głowę, jak gdyby nie chciał dopuścić, aby ktoś mógł cokolwiek wyczytać z jego oczu. Twarz miał całkowicie bez wyrazu.

— Śmierć jest częścią naszego życia — powiedział.

Był o tym przekonany. Od chwili narodzin człowieka na każdym kroku czyhał na niego koniec. Dusiły się niemowlęta. Małe dzieci topiły się w jeziorze. Konie tratowały ludzi na śmierć. Padali od udaru słonecznego. Wyniszczał ich alkohol.

— Nie pytam, dlaczego musiał umrzeć, na to pytanie nikt nie może mi dać odpowiedzi. Ale jedno chcę wiedzieć: w jaki sposób zginął?

— Zobaczyłem tylko, jak leżał przede mną — oświadczył Moritz, który przyniósł wiadomość.

Materna podniósł głowę jak zwierzę, które coś węszy. Jego oczy spojrzwały przy tym na ręce posłańca śmierci, które miętosiły niebieską czapkę z daszkiem.

— Znasz mnie, Moritz, nie musisz przede mną przemilczać prawdy. Potrafię ją znieść.

— Zaraz go tu przyniosą — powiedział Moritz wymijająco. — Już są w drodze.

— Czy zdarzyło się jakieś świństwo? — zapytał Materna.

— J a nic takiego nie powiedziałem — odrzekł Moritz pospiesznie; cofnął się przy tym, jakby ujrzał drzewo, które się na niego przewraca.

— Wiem tylko tyle, że on nie żyje.

Wokół nich były czarnoszare ściany, jak skały, na których dym z ognisk pozostawił ślady. Duża izba Materny przypominała jaskinię, w której stały kanciaste krzesła i szafy — wszystko jakby wykute w kamieniu.

— Kto cię tu przysłał?

Alfons Materna nie był zbyt wysoki, sprawiał jednak wrażenie krzepkiego jak konar drzewa; poruszał się zwinnie niczym pies myśliwski i miał spojrzenie lisa. Gęsta sieć zmarszczek pokrywała jego brązowoszarawą twarz, choć ukończył dopiero czterdzieści lat, tak jakby przez całe życie się śmiał. Teraz jednak jego oczy patrzyły posepnie.

— Kto mnie tu przysłał? To Johannes Eichler polecił mi...

— Wobec tego — rzekł Materna ledwie słyszalnie — zdarzyło się świństwo. Spodziewałem się tego, choć może nie w takim stopniu.

Zacisnął dłonie. Jego prawa dolna powieka zaczęła drgać. Oblał go pot, a twarz wyglądała jak oblepiona mokrą bibułą.

Moritz powiedział zmartwiony: — Nie denerwuj się. Takie rzeczy się zdarzają. Któż to może wiedzieć, co się naprawdę stało. To wie tylko Bóg.

— Nikt nie wie wszystkiego — odrzekł Materna. — Ale coś niecoś człowiek wie, o to się Bóg zatroszczył. Wie na przykład, że każdej jesieni opadają liście i że każdy człowiek musi umrzeć. Ale niektórzy umierają z ręki innego człowieka. To jest morderstwo.

Moritzowi wydawało się, że dobrze zna ludzi z Maulen. Był pewien, że na wieść o śmierci syna Materna zdrętwieje i zaniemówi. Był przecież człowiekiem z Mazur, a tylko słabi dają po sobie poznać, co się dzieje w ich wnętrzu; tylko stare baby płaczą.

Materna jednakże był do głębi poruszony. Kiedy zostało wspomniane nazwisko Johanna Eichlera, zdawało się, że płonąca zapalka padła na snop słomy.

Alfons Materna powiedział: — Jeśli to oni zabili mojego syna, to biada im! Będę dochodził sprawiedliwości i nie cofnę się przed niczym!

— Jest tak, jak przypuszczałem. Alfred został zabity. — Materna stwierdził to, stojąc w bramie swego obejścia. Patrzył na wóz wiozący zwłoki, który zbliżał się powoli ku niemu.

Poznał od razu ten wóz — był własnością Johanna Eichlera, oba konie również. Na koźle zaś, obojętnie jakby wioził worki z mąką albo kartofle, siedział Eugen Eis, prawa ręka Eichlera.

Eis podniósł na powitanie dłoń, w której trzymał bat.

— Tu leży — powiedział do Materny i wskazał na postać z tyłu wozu. — Kto by to pomyślał! Dziś żyje, jutro gnije. Tak to bywa

Alfons Materna podszedł do wozu. Widok martwego syna uderzył

w niego z taką siłą, z jaką mazurscy drwale powali drzewa — korony drżą już pod pierwszym ciosem!

Eugen Eis pokiwał głową. — Rzeczywiście, niezbyt tadny widok. Cały wóz jest zapaprany krwią. Ale ja to oczyszczę.

Leżał tam syn Alfonsa Materna — skulony kłębek kości i ciała i szmat. Twarz była bezkształtną masą, krwawą papką. Pierś miał przebitą, jakby ktoś kilkakrotnie uderzył w nią kilofem.

— Jak to się mogło stać? — zapytał Materna.

Eugen Eis poinformował skwapliwie:

— Pech! Znajdował się na linii strzału.

Materna dalej wpatrywał się w poszarpany tułów. Widział podobne trupy pod Verdun, w Maulen jeszcze nigdy. Śmierć na Mazurach sprawowała swój urząd rzetelniej.

— Zarządziliśmy ćwiczenia alarmowe — oznajmił Eugen Eis My, to znaczy ludzie z Heimatschutzu. Terenem ćwiczeń były jak zwykle bagna. Ćwiczone rzucanie granatami ręcznymi — tym razem z ostrym ładunkiem. Mężczyźni wychodzili po kolei do przodu i rzucali. I tak to się stało.

— To było morderstwo — stwierdził Materna głucho.

— Tylko się tak nie rozpędzaj — powiedział Eis ostrzegawczym tonem. — Nie tak pochopnie! Czyżbyś miał coś przeciwko naszemu Heimatschutzowi?

— Tak! Skoro ten związek okazał się zgrają morderców, to mam coś przeciwko niemu!

— Bzdura! — rzekł Eis. Dał do zrozumienia, że jego cierpliwość jest wielka, ale ma swoje granice. — Nasi ludzie rzucali granatami. Nie mieli pojęcia, że po tamtej stronie w wysokiej trawie, dokładnie tam, gdzie rzucali, leżał Alfred. Kto mógł przypuszczać, że normalny człowiek w środku dnia leży sobie ot tak w wysokiej trawie?

Materna cofnął się. Nie mógł dłużej znieść widoku syna. Spojrzał w niebo, jakby szukając pomocy. Niebo nad Mazurami było jak stalowoniebieska rozpostarta chusta. Bolały go oczy. Przysłonił je dłonią.

— Możesz mi wierzyć, to był nieszczęśliwy wypadek — powiedział Eugen Eis. — Uwierz mi we własnym interesie, bo do tej grupy, która ćwiczyła na bagnach, należał także twój najstarszy syn Hermann.

— Hermann był przy tym?

— Oczywiście! Należy przecież do naszych najlepszych ludzi. My nie mamy żadnych uprzedzeń, nie jesteśmy pamiętliwi. Chętnie widzimy każdego, kto chce z nami współpracować.

Udało wam się zrobić z niego mordercę własnego brata!

— Możesz to sobie nazywać, jak chcesz — dopóki nie słyszy nas nikt trzeci. Faktem jest, że trzech ludzi było uzbrojonych w granaty, wśród nich Hermann. Rzucali nimi, Hermann także. Na nieszczęście dokładnie tam, gdzie leżał Alfred. Tak to było!

Alfred Materna odwrócił się i odszedł. Powłókł się w stronę wzgórza, *ga* którym stał buk czerwony, zwany także krwawym. Zasadził go jego ojciec przed czterdziestoma dwoma laty; w dniu, w którym on się urodził.

Stała tam też koślawa łąka. U stóp wzgórza, w płytkiej kotlinie leżała wieś Maulen. Ale Materna jej nie widział. Jego oczy były przesłonięte łzami.

— Ale go wzięło — stwierdził Eugen Eis obojętnie. — Ujawnił swoje uczucia, kto by się spodziewał?

— To wszystko **jest**, bardzo smutne — powiedział Moritz. — Co mam zrobić?

— Pomóż mi to wyładować — rzekł Eugen.

Ale zanim zabrali się do przenoszenia zwłok do domu, zjawiała się Margarete, żona Materny. Z wymuszoną godnością podeszła do wozu. Twarz miała kredowobiałą, oczy patrzyły nieruchomo.

— Ona wie, co wypada — szepnął Moritz z uznaniem. — Zupełnie inaczej niż jej mąż.

— Co ona widziała w tym Maternie — szepnął mu w odpowiedzi Ep — jest dla mnie do dziś zagadką.

Czy bardzo cierpiał? — zapytała Margarete.

- Ani trochę! — zapewnił Eugen Eis. — Śmierć nastąpiła od razu.

— Przynajmniej taka pociecha — powiedziała Margarete.

- Gdzie mamy go zanieść?

- Do izby. — Głos jej nawet nie zadrzał; dźwięczał jasno i mocno. Moritz przypomniał sobie, że zmarły nie był jej synem; spośród trojga dzieci Materny tylko córka była jej. Patrzył jednak z uznaniem, jak odchodziła wyprostowana.

— Coś ci powiem — oznajmił Eugen Eis, kiedy wspólnie z Moritzem ścigali zwłoki z wozu. — Tu się sam diabeł nie rozezna. I właśnie dlatego dla nas już najwyższy czas. Tu chodzi o naszą przyszłość i tak dalej.

Eugen Eis pracował pewnymi ruchami. — Ten syn Materny żył sobie spokojnie i nie wadził nikomu, zupełnie jak jego ojciec, Ale takie coś nie ujdzie na dłuższą metę. W każdym razie nie, u nas.

Moritz chwycił za stopy owinięte w płachtę namiotową zwłoki.

— Diabelnie ciężki! My się tu mordujemy, a Materna siedzi sobie na swojej ławce i gapi się na okolicę. Kto wie, co on tam knuje.

Eugen Eis skoncentrował się na swoim transporcie. Ułożył trupa w izbie na stole; w ten sposób wykonał polecenie. Wylał ręce w płachtę.

Na koniec powiedział: — Nie powinno się tu długo zostawiać tej nędznej świni. Wkrótce zacznie śmierdzieć.

— Nie chcę nikogo widzieć — powiedział Alfons Materna. — I nie chcę, aby mnie ktokolwiek oglądał. — Siedział wciąż jeszcze na ławce pod czerwonym bukiem.

— Powinieneś być teraz w domu, Alfons. Jesteś tam potrzebny.

Po śmierci rodziców tylko jeden człowiek na świecie mówił do niego po imieniu. Był to Jakub Jabłoński, jego jedyny przyjaciel i pierwszy parobek. Dzieci Materny nazywały go ojcem, a było ich troje: Hermann, najstarszy syn, ten który rzucił w brata granatem, młodszy¹ Alfred, który teraz był trupem, i Brigitte, córka. Margarete, którą poślubił po śmierci swojej pierwszej żony, mówiła do niego „Materna” i to nierzadko tonem, jakby się zwracała do służby.

— Nie możesz się tu chować, Alfons.

— A co mam robić, Jakub?

Tylko w obecności tego jedyne go człowieka Materna mówił to, co¹ myślał. I tylko Jakub Jabłoński wiedział, że Alfons Materna potrafi płakać. Widział łzy u tego twardego, mrukliwego człowieka trzykrotnie. Po raz pierwszy, kiedy zmarła mu matka. Potem, kiedy dziewczyna nazywała się Hilda — została wyciągnięta martwa z wody. Po raz trzeci obserwował to Jakub właśnie w tej chwili.

— Nie płacz, człowieku — powiedział Jabłoński ostro. — Masz teraz całkiem co innego do roboty. W końcu śmierć syna to nie wszystko, co się w twoim nędznym życiu może jeszcze przytrafić:

— Idź do diabła — powiedział Materna.

— Bez ciebie? — zapytał Jabłoński. Jego chytre ozy zdawał się przy tym uśmiechać.

Znali się obaj bardzo długo, jak długo sięgała i sk pamięć. Urodzili się w tym samym roku — Alfons jako syn gospodyni, Jakub jako syn służącej. Całkiem możliwe, że odpowiedzialny za ten fakt był ten sam mężczyzna, i czuł się też za nich odpowiedzialny: wzrastali obaj jak bracia, a im byli starsi, tym bardziej zdawali się upodabniać do siebie

i swojego świata. Stali się bardziej nierozłączni niż wielu ludzi z tej samej krwi i kości.

— Czuję się jak porzucone dziecko, słabe i bezbronne — rzekł Materna do Jakuba.

— To minie — zauważył Jakub — zwłaszcza że właśnie Eichler zdaje się spekulować na twojej słabości.

Alfons Materna wyprostował się. — Dlaczego mówisz akurat teraz © tym typie?

— Bo właśnie teraz Johannes Eichler przebywa w twoim domu. — Alfons Materna, jak popchnięty, ruszył w stronę swojej zagrody.

— Jeszcze nigdy go takim nie widziałem — mamrotał Jakub. Mówił sam do siebie. Coś takiego często się zdarzało. Podobno na Mazurach każdy jest dla siebie najlepszym partnerem do rozmowy. — Ale jeśli Alfons nie będzie uważał, Johannes Eichler go okpi. Jest w tym wyćwiczony.

Johannes Eichler zbliżał się do chałupy Alfonsa Materny początkowo ostrożnie. Przed bramą jego masywna postać zdawała się nawet przez chwilę podrygiwać w miejscu. Potem jednak otworzył ją nogą niczym właściciel.

Widział bowiem Maternę w bezpiecznej odległości, na wzgórzu pod czerwonym bukiem.

Na razie nikt się nie pojawił. Eichler wykorzystał okazję, żeby się rozejrzeć. Już wiele lat nie było mu dane oglądać tego gospodarstwa, przynoszącego ponoć największe dochody na całych Mazurach. To, co ujrzał, wydało mu się jednak niezbyt imponujące — prymitywna kłocowata swojskość: wygodne fotele, barwne narzuty jak u Cyganów. A nawet książki.

Dobry nastrój Eichlera narastał. Zawołał donośnym głosem:

— Jest tam ktoś, komu mógłbym złożyć wyrazy współczucia?

Zjawiła się Margarete Materna, lekko pochylając głowę, wyraźnie zasmucona, jednakże wyniosła. Johannes Eichler wyszedł jej z powagą naprzeciw. — Kto mógł przypuszczać, że tak się stanie! — zawołał.

— Dziękuję, że przyszedłeś, aby mi złożyć wyrazy współczucia.

Po czym nastąpiły słowa, których uwieńczeniem było: Trzeba się pogodzić z losem! Popatrzeli sobie w oczy i podali ręce. Jej gęste, uczesane z przedziałkiem, wciąż jeszcze lśniące blond włosy zsunęły się ku niemu.

— Jakże bym chciał powiedzieć C/L teraz, co czuję, Margarete.

Nie było to konieczne. Margarete mogła kiedyś zostać panią Eichler. Obaj wówczas starali się o nią. Jej wybór można było nazwać młodzieńczą lekkomyślnością, niemądrym zauroczeniem, a także bezradną uległością. Obojętne jak było, nie została panią Eichler, tylko panią Materna.

— Jakie to żalodne — powiedziała. A miała na myśli śmierć syna.

Johannes Eichler pomyślał o tak zwanych Psich Łąkach na południowym skraju wsi. Margarete wniosła je w wianie i tylko dzięki nim — o tym Eichler był przekonany — udało się Maternie zostać najlepszym gospodarzem w okolicy.

— Tak, trzeba się z tego otrząsnąć — powiedział.

Na Margarete dobrze podziałała obecność Johanna Eichlera. Nie zawahała się tego powiedzieć: — To ładnie, że o mnie nie zapomniałeś.

— Powinnaś wiedzieć, że zawsze jestem gotów ci służyć — oświadczył Eichler. — Zawsze! — Zdawał się być poruszony i zakłopotany zarazem. — A twój mąż? Dlaczego w tej ciężkiej godzinie nie jest przy tobie?

— Cóż ja teraz dla niego znaczę! — powiedziała cicho Margarete.

Serce jak młotem waliło w jej bujnych piersiach. Eichler obserwował to z zainteresowaniem. Ale ważniejsze dla niego w tej chwili było patrzenie w jej oczy barwy bławatków. Otaczając Margarete ramieniem, poprowadził ją do stołu, na którym leżały zwłoki.

— On ciebie nigdy nie rozumiał — rzekł odważnie.

Margarete przytaknęła, lekko pochylając głowę. Eichler ujrzał przy tym jej kark, i to go niemal uszczęśliwiło. Wspaniały! Niemal jak u krowy dobrej rasy. Takie porównanie oznaczało najwyższe uznanie.

— Margarete — powiedział niepewnie i na pozór szorstko że też musiała przyjść taka ciężka chwila, abyśmy dostrzegli prawdziwe wartości!

— Ty mnie rozumiesz — odrzekła.

— Zawsze cię rozumiałem — stwierdził Johannes Eichler; — Tylko dotychczas miałem niewiele możliwości, aby ci to okazać.

Idyllę przerwały brutalne dźwięki. Pochodziły one od Alfonsa Materny. Stał w drzwiach. Wyciągnął prawą rękę w ich kierunku.

— Mam nadzieję, że nie rozumiesz fałszywie sytuacji, — powiedział Eichler, starając się zachować godną postawę.

— Precz stąd! — krzyknął Alfons Materna.

— Materna — rzekł Eichler ostrzegawczym tonem. Przyszedłem wyrazić ci współczucie.

— Sram na to — oświadczył Materna,-

Margarete patrzyła błagalnie na Eichlera. Ten jednakże wlepił wzrok w Maternę: — Licz się ze słowami! I nie zapominaj, kogo masz przed sobą!

— Jak gdybym mógł to kiedykolwiek zapomnieć! — Alfons Materna Stał, gotów do skoku. — Wiem dobrze, kogo mam przed sobą. Skończoną świnie!

— On całkiem zgłupiał — stwierdził Eichler z wysiłkiem. — Stracił nad sobą kontrolę. Ale potrafię to zrozumieć. Za dużo na niego spadło.

Margarete, oddzielona od walczących kogutów dębowym stołem, na którym leżał zawinięty trup, odważyła się wtrącić:

— Eichler jest moim gościem. Proszę cię, Materna, abyś to respektował. Przynajmniej tym razem.

Wypowiedziała to zdanie z charakterystycznym akcentem. Pochodziła z dobrego domu, było *tam* podobno nawet pianino. Czytała też regularnie gazetę lokalną, a w niej powieść w odcinkach — stąd ta częsta u niej specyficzna mowa.

— Dla mnie jest on mordercą, i to mordercą mojego syna — stwierdził Materna.

— Ty nigdy nie: znasz miary — powiedziała Margarete gorzko. Popatrzyła na Eichlera, jakby prosząc o wybaczenie. Ten pochylił się lekko z wyrozumiałością. Margarete wyszła.

— Nareszcie jesteśmy sami — powiedział Johannes Eichler. Jego głos stracił naoliwioną gładkość. — Porozmawiajmy więc otwarcie.

— Zgoda — rzekł Materna. Podeszedł do stołu, na którym leżały zwłoki jego syna, pochylił się nad nimi i uniośł płachtę. Powiedział przy tym: — Zapłacisz mi za to, Johannes.

— Ty najwidoczniej nie wiesz, co mówisz. A ze mną nie ma żartów, jeśli idzie o pewne sprawy. Czy wciąż jeszcze tego nie pojmujesz? — Jaka kara należy się za śmierć człowieka? Może śmierć drugiego człowieka? Tego, który ponosi za to winę?

— Przestań pleść brednie, Materna. Jeśli jesteś dość mądry, a przecież za takiego się uważasz, przyjmiesz to jako ostatnie ostrzeżenie.

— Ostrzeżenie? — Materna spojrzał na Eichlera. — To wyzwanie! Lja je przyjmuję.

— Materna! Kiedy twój syn umierał, byłem daleko. Ale twój drugi syn, Hermann, był wśród tych, którzy bezpośrednio przyczynili się do jego śmierci. Jeśli będziesz szukał winnego, natkniesz się na Hermanna. J będzie się mówiło: To brat zabił brata. Chyba nie jesteś taki głupi i nie chcesz, żeby się rozeszło? A więc milcz i wyciągnij z tego naukę. Nie masz innego wyboru. Czy tego nie rozumiesz?

^v — Dla mnie ty też już jesteś martwy — powiedział Materna.

W ciągu następnych godzin Margarete zdawała się wypełniać krzątanią cały dom Materny. Kazała pozasłaniać okna i posypać białym piaskiem podłogę w izbie, gdzie leżały zwłoki. Przystroiła pokój kwiatami. Postawiła świece i poleciła przygotować w kuchni napoje i ciasto. Przykryła ciało zmarłego białymi prześcieradłami; nie były one najnowsze, ale świeżo wyprane.

Pomagał jej przy tym Moritz, chłopak na posyłki, wiejski pocieszyciel; z jego inicjatywy przygotowano kanapki z szybką, wątrobianką i kaszanką.

— Myślę, że ludzie mogą już przychodzić z kondolencjami — powiedziała Margarete, popatrzawszy na stojące butelki i wypełnione po brzegi talerze.

I ludzie zaczęli przychodzić.

Jednym z pierwszych był pastor Bachus. Najpierw zacytował Pismo Święte; następnie połączył zebranych we wspólnej modlitwie przy zwłokach drogiego zmarłego.

Bachus zdawał się nie zauważać, że nie było przy tym Materny i Jabłońskiego. Skoncentrował się głównie na Margarete, ją pocieszając. Następnie posilił się chlebem i szynką; nie omieszkał przy tym pochwalić jej jakości. Nie było w tym przesady — szynka Materny, osobiście przez niego wędzona, uchodziła, zawsze za najlepszą na całych Mazurach.

Potem zjawił się żandarm Klinger. On również wypowiedział odpowiednie słowa pociechy i nie pogardził żytniówką Materny. Była ona przejrzysta jak woda źródłana i ostra jak brzytwa. Serce robiło się od niej gorące, a oczy błyszczące — tak mówiono.

Po trzecim kieliszku Klinger poinformował przysłuchujących się uważnie zebranych ó dotychczasowych urzędowych wynikach śledztwa, które prowadził.

Podobno było tak; nieszczęsny Alfred Materna, spacerując na bagnach, nadepnął na minę. Była to przypuszczalnie mina leżąca tam jeszcze od czasów bitwy na Jeziorach Mazurskich, którą Hindenburg tak wspaniale wygrał...

Mówiąc krótko i zwięźle: był to nieszczęśliwy wypadek. Spóźniona ofiara wielkiej wojny. A mina, która przy tym eksplodowała, była przypuszczalnie rosyjskiego pochodzenia.

Do domu żałobnego przybyli: Ignaz Uschkurat, burmistrz i przywódca Związku Chłopów; mistrz murarski Speer, administrator kościelny i przewodniczący wielu stowarzyszeń; poza tym kierownik szkoły Vetter, działacz narodowościowy, organista i kierownik chóru. I tak

Dalej, i tak dalej. Także Naschinski, Porenski, Sombray, Bembenek i Kochanowski. Ktokolwiek liczył się w tej wsi, nie miał zamiaru uchylać się od złożenia wyrazów współczucia, a tym bardziej od wypicia trunków Materny.

Również wdowa Meta Mischgoreit zjawiała się dość wcześnie, zgodnie z oczekiwaniami. Uniosła w górę czarną jak zwykle spódnicę i weszła do domu żałobnego, ciężko dysząc. — Taki dobry chłopiec! - - zawołała, przepychając się do przodu. — Jak to się mogło stać? Ale on zawsze był taki blady, biedaczek!

Wszyscy stąpali po białym piasku, zatrzymywali się w milczeniu przy zwłokach, ściskali serdecznie dłoń Margarete Materny i niezwłocznie udawali się do kuchni. Tu byli hojnie częstowani przez Marię, służącą Maternów.

Na Mazurach również śmierć była świętem. Wolę bożą przyjmowano radośnie: oto jeszcze jeden ma za sobą ziemski padół płaczu. A po pogrzebie zaczynały się wesołe melodie taneczne na zmianę z muzyką marszową i śpiewem chóralnym.

— A gdzie jest Materna? — pytali żałobnicy.

Pytali głośno i bez żenady. W obecności służącej mogli sobie na to pozwolić. Maria nie pochodziła stąd; przybyła z Polski. I była głuchoniema.

— Wiem, gdzie jest Materna — powiedział żandarm. — Siedzi w gospodzie. Właśnie w gospodzie!

— Nie będziesz mi chyba sprawiał kłopotu, Materna? — zapytał oberzysta. — Wiesz, że sam chętnie ci służę, jeśli chodzi o picie. Ale że ty właśnie dziś...

— Właśnie dziś! — powiedział Materna. — Dziś jest tu spokojniej tak u mnie w domu.

— Materna — oświadczył szynkarz ostrzegawczym tonem — ja nie mam nic wspólnego ze śmiercią twojego syna.

..— Oczywiście że nie, ty tylko nalewałaś wódkę. Przypuszczalnie tuż przed tym. Żeby celniej rzucali!

Gospoda stała na wiejskim placu. Naprzeciwko znajdował się kościół. Między nimi pomnik przedstawiający umierającego żołnierza, który choć ciężko ranny, trzyma w górze sztandar. Poświęcony bohaterom gminy Maulen poległym w latach 1870—1871 i 1914 — 1918. Napis głosił: Będziemy zawsze pamiętać . Niżej były nazwiska, nazwiska, nazwiska — i jeszcze dużo miejsca na dalsze nazwiska,

Ta gospoda nazywała się po prostu: Gospoda . Prócz tego nosiła tylko nazwisko właściciela — Scharfke. Obecny Scharfke miał na imię Christian. Do wykonywania swego zawodu nie potrzebował ani spisu towarów, ani cennika.

Scharfke podawał przeważnie wódkę i piwo. Wódkę w trzech gatunkach — czystą dla mężczyzn, słodką dla kobiet i młodzieńców oraz winiak albo gorzałkę na szczególnie uroczyste okazje. Do tego piwo w butelkach w normalnych okolicznościach i z beczki, kiedy zabawa już się rozkręciła. Kieliszek wódki kosztował dziesięć fenigów, kufel piwa — piętnaście, butelka piwa — dwadzieścia. Dla amatorów stał zawsze garnek z kiszonymi ogórkami, a głodni posilali się sardynkami, śledziami w śmietanie, cielęcina na zimno i klopsami. Rzadko kto życzył sobie coś innego.

— Butelkę wina — powiedział Alfons Materna;

- Nawet tym Christian Scharfke mógł służyć. W: najdalszym kącie jego piwnicy leżało ładnych parę tuzinów butelek. Kto zapragnął się napić wina, sam sobie był winien. Na Mazurach bowiem wino uchodziło za lepszy gatunek wody, a woda używana była głównie dla bydła, do mycia, a nierzadko do chrzczenia mleka.

Kiedy Scharfke zszedł do piwnicy, Jakub Jabłoński powiedział do Materny: — Tam siedzi ten, którego szukamy. W najdalszym kącie.

Pomiędzy przepierzeniem z desek, wieszakami i drzwiami do toalety siedział Hermann — starszy syn Materny, teraz jego jedyny syn. Stał przed nim kufel piwa i prawie już pusta butelka wódki, najgorszej jakości, ale najbardziej idąca do głowy — pędzona z kartofli. Wzrok Hermanna był już mętny.

Ale poznał ojca, a także Jabłońskiego, jego stróża i powiernika; Widział obu jak przez mgłę, kiedy się do niego zbliżyli.

Hermann powiedział: — Możesz patrzeć na mnie z pogardą, ojczu, i nie zaszczycić mnie ani słowem. Porzucić mnie jak kawałek drewna.

— To by ci odpowiadało — rzekł Materna szyderczym tonem.

Hermann odpowiedział drżącym głosem, próbując się podnieść i stanąć prosto: — Możesz mi napluć w twarz, ojczu. Nie zasługuję na nic innego. Możesz mnie zbić...

— Czy zrobiłem to kiedykolwiek?

— Nie, ojczu. — Syn spuścił wzrok. Jego postawa wyrażała to, co myślał: Może powinienesz być to zrobić! — Jedno muszę ci powiedzieć, ojczu: nie wiedziałem, naprawdę nie wiedziałem, cośmy tam zrobili. Nie miałem o tym pojęcia. Jestem niewinny. Ale przyznaję lojalnie: wina pozostaje winą, zabiłem własnego brata!

— Siadaj! — rozkazał Alfons Materna. — I nie rycz. Nie przywrócisz mu przez to życia.

Jakub Jabłoński poszedł do Hermanna; położył mu dłoń na ramieniu i łagodnie pchnął na krzesło. Hermann był posłuszny jak dziecko. W gruncie rzeczy był nim jeszcze, pomimo swoich dwudziestu jeden lat, pomimo swojej okazałej budowy.

— Po coś ty w ogóle poszedł do tego Heimatschutzu?

— Nigdy mi tego wyraźnie nie zabroniłeś. A ponieważ tu rzeczywiście chodzi o ojczyznę...

Tak zwane duchowe podstawy Heimatschutzu były Maternie dostatecznie znane. Według nich nigdzie niemiecka ojczyzna nie była tak zagrożona jak w Prusach Wschodnich. Polak — tak tłumaczono — wyciągał uparcie swe brudne łapy po ten kraj. I choć wyniki wielkiego referendum w roku 1920 były olśniewającym i przekonywującym uznaniem niemieckości, wrogowie nie dawali za wygraną. Podejmowano próby podważenia tego wyniku, obcy robotnicy zbijali stawki godzinowe, po domach krążyły obce ulotki, rozpowszechniano ohydne kłamstwa. Tu i owdzie wciąż jeszcze występujący język mazurski nazywano polską gwarą. I nie milkły międzynarodowe krzyki w obronie rzekomo zagrożonych mniejszości...

Dlatego też patriotyczni i świadomi swej przynależności narodowej ludzie utworzyli tak zwany Heimatschutz, który składał się z ochotniczych bojówek, znajdujących zwolenników nawet w najmniejszych wioskach. Byli to wyłącznie cywile, choć kierowani przez doświadczonych dawnych żołnierzy. W Maulen akcję patriotyczną prowadził Eugen Eis, były podoficer, pod przewodnictwem Johanna Eichlera, który miał stopień wicefeldfebla.

I chociaż organizacja ta miała bardziej symboliczny charakter, niż była siłą bojową, członkowie jej posiadali jednak broń. Pochodziła ona z tajnych składów, których nie wytropili aliancy szpiedzy. W samym Maulen — w wieży kościoła i w lesie, tuż przy wędzarni ryb — znajdowały się dwie dobrze zaopatrzone kryjówki. Znalaziono w nich: kilka tuzinów doskonałych karabinów 98 K, kilka skrzyń z granatami ręcznymi, następnie trzy karabiny maszynowe typu 08/15; do tego mnóstwo amunicji.

— A co się dziś stało? — zapytał Materna.

Relacja Hermanna była mętna: niespodziewane ćwiczenie alarmowe — cztery grupy, a więc siła plutonu. Pod kierunkiem Eugena Eisa. Wspólny wymarsz w kierunku bagien. Tam rozdanie granatów;

oczywiście również Hermannowi. Utworzenie łańcuchów. W milczeniu naprzód! Nagle: rozkaz strzelania.

— Kto go wydał?

— Eugen Eis. Był tuż za nami. Szeptem objaśnił sytuację bojową, ponieważ nieprzyjaciół był blisko. Wycelowaliśmy, podeszliśmy jeszcze kilka metrów do przodu. Całkiem bezgłośnie, rzeczywiście wzorowo. Następnie odbezpieczyliśmy granaty, rzuciliśmy. Potem całkowite krycie. Później detonacja, krzyk, krótko i cieniem głosem, jak gdyby...

— W porządku. Wystarczy.

Alfons Materna spuścił głowę. Duchota w gospodzie przyprowadziła go o ból głowy. Podeszedł do drzwi toalety, kopnął je, wszedł chwiejnym krokiem i oparł się ciężko o pobieloną ścianę.

— Czy jest mu niedobrze? zapytał Hermann zatroskany. Kochał swojego ojca — tak przecież przystoi synowi. A on był dobrym synem. W każdym razie starał się być takim. — Ojciec może wychlać; cały kubek!

— Tego, co on, dziś musiał połknąć, nie zniósłby najmocniejszy mężczyzna. — Jakub Jabłoński położył rękę na ramieniu dużego chłopca.

— Czy on jest na mnie zły? — zapytał Hermann.

— Nie zaprzataj sobie tym głowy, chłopcze. Idź teraz do domu i wyśpij się. Wszystko inne jakoś się ułoży, bądź tego pewien.

— Wyjdźcie wszyscy — powiedział Materna przy zwłokach 'syna.

— Wszyscy! Chcę zostać sam ze swoim synem.

— Czy masz na myśli również mnie? — zapytała Margarete.

— Mam na myśli wszystkich, bez wyjątku!

Margarete wyszła, pochyliwszy pokornie głowę. Za nią szedł Hermann, poważnie i ulegle. Z tyłu kroczyła Brigitte, córka Materny; popatrzyła na ojca pytającym wzrokiem, bez wyrzutu, niemal z zaciekawieniem. Materna skinął jej głową

Został sam. Zwłoki syna, owinięte w prześcieradła, oświetlone były świecami. Słodkawy, ciężki zapach zdawał się rozchodzić po pokoju. Materna szeroko otworzył okno.

Jakub Jabłoński zajął do środka. — Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Materna skinął głową, — przynieś dzbanek żytniówki i dwa kieliszki.

Jakub przyniósł dzbanek i kieliszki. Postawił je bez słowa przed Materną na stole, na którym leżały zwłoki. Następnie zaciągnął

zasłony tia otwartych oknach, po czym udał się do kuchni i usiadł w kącie.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Obecni, jedząc i pijąc, nie całkiem cicho, ale bez słowa, patrzyli na częściowo zasłonięte oszklone drzwi, które oddziaływały kuchnię od dużego pokoju. Za nimi rysowała się sylwetka gospodarza.

Materna podniósł kieliszek, najwidoczniej w kierunku zwłok. Słowa, które wykrztusił, były początkowo ledwo zrozumiałe, ale w końcu dało się usłyszeć: — Za śmierć! Oko za oko, ząb za ząb, śmierć za śmierć! Wielu świadków potwierdziło później, że wykrzyczał takie właśnie słowa. A w kuchni, oprócz członków rodziny, znajdowało się wciąż jeszcze sporo żalobników. Nie mogli się rozstać z trunkami, jak również z nadzieją, że nieobliczalny Materna dostarczy im materiału do rozmów.

— On, jeśli zechce, może być jak topór w lesie — zauważył jeden z obecnych, zamyślony.

Ale wdowa Meta Mischgoreit, która już niejednokrotnie pomagała grzebać zmarłych, oświadczyła poruszona, że ona to wszystko przewidywała. Ukazał jej się Topich, duch Jezior Mazurskich. Rozpostarł ręce i zawołał: — Wasze nieszczęście, moje szczęście!

— Co ty pleciesz — zachnął się pastor Bachus. — Ten Topich to pogański wymysł. Legenda.

— Nie tylko ja go widziałam! — rzekła Mischgoreit z przekonaniem.

A kiedy się ukazuje, zawsze ktoś umiera. On żąda ofiary!

Topich — mały, stary człowieczek w czerwonych szatach, zwany również Dobnikiem, żył w ciemnoszklistych głębinach Mazurskich Jezior. Od czasu do czasu zdawał się tak mocno nudzić, że pragnął towarzystwa — ściągał je więc do siebie na dół. Albo chwycił wybrane dusze, a ciało uśmiercał.

— Również w wypadku Alfreda maczał swoje żabie palce — powiedziała Mischgoreit. — On lubi młodą krew.

Bachus starał się zachować spokój. Denerwowało go kiwanie głowami części zebranych, i to nie po raz pierwszy. Wydawało mu się, że powinien energicznie wystąpić przeciw takim zabobonom, ale jednocześnie wiedział, że to ryzykowne. Te Mazury nie były skrawkiem ziemi zamieszkanym przez oświeconych ludzi. Jednakże tu było jego miejsce, tu otrzymywał swoją zapłatę.

Niepokój sumienia, jaki rozbudzili w nim mieszkańcy Maulen, Bachus w samą porę odrzucił — zjawił się oto bowiem człowiek o nazwisku Grienspan. Na imię miał Siegfried.

Ten Grienspan wszedł do kuchni Materny, zdjął uprzejmie kapelusz, skinął głową i powiedział urzędowo-żartobliwym tonem; — Oto jestem, a gdzie jest to bydłę?

— Jakie bydłę?

— No to, które tu podobno zdechło. A do tego szkapa nadająca się na rzeź. Zawiadomiono mnie o tym telefonicznie i wyraźnie, powiedziano, że sprawę trzeba załatwić jeszcze dziś. I oto jestem.

Zebrani patrzyli na Siegfrieda Grienspana jak na słonia w składzie porcelany. Hermann zdawał się być gotów tego dnia do drugiego zabójstwa, Margarete wybuchnęła płaczem, Brigitte odłożyła na bok gazetę, którą czytała.

W tym momencie w pokoju, w którym znajdował się zmarły, Materna zaczął śpiewać.

Śpiewał pieśń o kwiatkach życia: żaden nie kwitnie wiecznie. Nic na tym świecie nie kwitnie wiecznie!

Grienspan nagle pojął, że musiało się tu wydarzyć coś szczególnego; Zdradzały to nie tylko uroczyście ponure twarze obecnych, ale także wielka niechęć, która go uderzyła. — Proszę mi wierzyć, naprawdę, do mnie telefonowano. Podobno pan Jabłoński.

Ja? Jakub potrząsnął głową. - To wykluczone; Jeszcze nigdy w życiu nie telefonowałem.

— Wobec tego...

Siegfried Grienspan zamilkł zakłopotany. Zaczął pojmować że ktoś zrobił mu brzydki kawał. I nie tylko jemu. Patrzył na czyhająco napięte twarze widniały przed nim w zadymionym pomieszczeniu niczym światła ostrzegawcze.

A Alfons Materna śpiewał. Siegfried Grienspan - handlarz bydła — był powszechnie znany w okolicy. Miał sklep w miasteczku i przemierzał na rowerze okoliczne wioski. Pośród germańskich poczciwców uważany był za co najmniej niepewnego. Mimo to stale znajdował klientów i kupców. Mówiono o nim: Ten się zna na interesach! Przecież to Żyd.

Materna zdawał się być zawsze z Grienspanem w bardzo dobrych stosunkach. Wielu mieszkańców Maulen odbierało to jako znamienne.

Jakub Jabłoński wziął Grienspana na bok i wyjaśnił mu, co się stało. Handlarz słuchał uważnie, opuszczał przy tym coraz niżej głowę. Jego wątłe ciało zdawało się kurczyć, ale przejrzysta twarz barwy kości słoniowej nie zmieniała wyrazu. Wyglądał, jakby nie mógł wymówić słowa.

— Powiem Alfonsowi, że pan tu jest - rzekł Jabłoński i wszedł do pokoju zmarłego. Był tam ledwie kilka sekund.

Potem zjawił się Alfons Materna. Machał kieliszkiem. Skinął na Grienspana. Powiedział zapraszająco: — Niebo mi pana zsyła! Niech pan podejdzie bliżej. Przypuszczalnie to jakiś diabeł telefonował do pana z polecenia Boga.

— Jestem do głębi poruszony — zapewnił Siegfried Grienspan cicho. — Ja wiem: każda śmierć nie tylko kończy życie, ona zmienia także życie innych ludzi. Pan bardzo kochał syna, prawda?

— Czego to człowiek nie kocha w swoim życiu! — powiedział Alfons Materna. — Kiedy miałem dwa lata, kochałem ponad wszystko drewnianego konia — ktoś go potem wrzucił do ognia. Kiedy miałem osiem lat, kochałem psa — dostał się pod ostrza kosiarki i trzeba go było zabić. Potem było kilka kobiet; wreszcie ta właściwa — pierwsza, następnie druga. Jedna dała mi dwóch synów, druga córkę — i udało jej się powoli wygasić moje uczucia. Każdego dnia coś umiera wokół nas i w nas. Człowiek powinien się powoli do tego przyzwyczajać.

— Pański syn Alfred był do pana podobny, prawda?

... :— Chyba tak, Grienspan. Możliwe, że był dla mnie jak odbicie mojej własnej młodości. Przypuszczalnie widziałem w nim moje nieposkromione błędy, moje ukryte namiętności, moje najtajniejsze tęsknoty — wszystkie te szaleństwa i rozkosze młodego życia. A potem, kiedy już wydorostałem, miałem jedno pragnienie: żeby Alfred cieszył się tym wszystkim, czym mnie w młodości nie było dane się cieszyć. A teraz on nie żyje.

Alfred Materna przysunął dwa krzesła i poprosił Grienspana, aby usiadł obok niego. Zamknął starannie okna i zaryglował drzwi. Potem wziął dzbanek, napełnił oba kieliszki i jeden z nich wyciągnął w stronę Grienspana. Przepili do siebie.

— Co za nieszczęśliwy wypadek — powiedział Grienspan.

— To nie był wypadek — oświadczył Materna. — Alfred został umyślnie zamordowany! Morderca posłużył się przy tym moim drugim synem, Hermannem. Ale trafiony miałem być ja, bo to ja jestem tu paru ludziom niewygodny. Nienawidzą mnie, nie pasuję do nich.

Grienspan opróżnił kieliszek. Jego poorana zmarszczkami twarz zdawała się być wypełniona drżącym niepokojem. Podniósł rękę i w braterskim geście położył ją na ramieniu Materny.

— Jestem Żydem — powiedział cicho,

;— Niech pan się tym zbytnio nie chwali —' odrzekł Materna z gorzkim uśmiechem.

Kiedy mówię, że jestem Żydem — oznajmił Grienspan nie zbity z tropu — to chcę przez to powiedzieć, że należę do jednego z najstarszych narodów tej ziemi. My doświadczyliśmy przypuszczalnie wszystkich rodzajów cierpień. Cóż może nas jeszcze spotkać? I właśnie dlatego chciałbym panu dać radę, Materna: niech pan znosi to życie cierpliwie, wspaniałomyślnie i ze spokojem. Niech pan omija w przyszłości swoich przeciwników. Niech pan żyje tak jak dotychczas, tak jak panu odpowiada. Tylko panu. Cóż może być piękniejszego?

— Może pan dostać mój zaprzęg, Grienspan. Zawsze miał pan na niego ochotę. Oddam go panu za dwa tysiące marek.

— Nie wezmę go — powiedział Grienspan niechętnie — W każdym razie nie za tę cenę. On jest wart co najmniej dwa i pół tysiąca.

— Wystarczy dwa tysiące. Potrzebuję gotówki, możliwie szybko.

— Dam panu te dwa tysiące jako pożyczkę — bez procentów, bez, zobowiązań z pańskiej strony. Ale po co panu taka suma i dlaczego tak szybko?

— Chcę kupić domniemane przekonania i poglądy

— A nie da się taniej?

— Myśli pan, że nie są one wiele warte? Być może. Ale nawet kilka kropli wody może być czasem na wagę złota, na przykład na pustyni.

Siegfried Grienspan potrząsnął głową. Jego oczy były zmęczone.⁻¹

— Nie rozumiem pana, Materna. Zemsta to złe słowo. Wszystko, co jest z nią związane, nie ma sensu. Człowiek tylko na tym traci. A jak uczy doświadczenie, cierpią potem z tego powodu całkiem niewinni, bo zemsta jest ślepa.

Materna uśmiechnął się, po czym rzekł powoli; Czy zna pan prastarą przypowieść o psie, który został wyrzucony? Nie pozostało mu nic innego, jak wyc razem z wilkami. Musiał wyc skoro chciał przeżyć. Ale wył tak głośno, że wilki zamilkły i pouciekały. Tak więc mógł on nie tylko przeżyć, ale i żyć. Całe swoje życie

— Co się z panem dzieje, Materna?

— Nic takiego. Tyle że również nasze wilki są wystarczająco głośne. Ale dlaczego nie byłoby możliwe ich przekrzyczeć? A może macie inną metodę, żeby je zmusić do milczenia?



O zmroku gromadzą się wilki,
ale kiedy nastaje świt, zaczynają śpiewać ptaki.

Pogrzeb Alfreda Materny wróżył niebywałe wydarzenie. Nawet ludzie z bliższych i dalszych okolic Maulen chcieli w nim wziąć udział. Ale Alfons Materna ogłosił: prosi o nieskładanie wizyt; kondolencyjnych.

Na bramie swego domu przymocował własnoręcznie tabliczkę z napisem: Uwaga, zły pies! Następnie spuścił Tyrasa z łańcucha. Ten

groźny owczarek zniknął wprawdzie zaraz w stodole, aby się tam ułożyć na słomie, jednakże trzeba było uważać. Wystarczyło jedno gwizdnięcie Materny albo Jabłońskiego, aby Tyras zamienił się w krwiożerczą bestię.

Prócz tego niezawodny Jakub Jabłoński uzbroił się w dębowy kij. Nie rozstawał się z nim nawet podczas posiłków. Kładł go wówczas pod ręką na stole, albowiem pełnił tak zwaną wartę. Klucz do łańcucha zagradzającego wejście wieszal na sznurku na szyi. Jeśli ktoś odważył się zadzwonić, Jabłoński kazał mu najpierw czekać, dopiero potem podchodził do bramy z dębowym kijem na ramieniu. I wołał: „Do diabła, mamy żałobę!

Zawołał tak nawet do pastora Bachusa, ale kiedy ten spojrział na niego ostrożnie, z lekka wzburzony, wydobył z siebie coś w rodzaju usprawiedliwienia i słowa do diabła zastąpił formułą na Boga .

Pastor Bachus był pokojowo usposobionym człowiekiem. Dla niego każdy mógł być taki, jakim chciał być, byle tylko trzymał się podstawowych reguł jego Kościoła. A to nie powinno przychodzić z trudem, mawiał, jako że w okolicy był tylko jeden kościół.

— Nikogo nie przyjmujemy — powiedział Jabłoński. — I prosimy zaniechać dalszych wizyt kondolencyjnych.

Bachusa nie wyprowadziło to jednak z równowagi.

— Byłbym panu wdzięczny, gdyby był pan łaskaw przekazać panu Maternie moją prośbę o rozmowę. Proszę wspomnieć przy okazji, że Zamierzam, że chcę z nim omówić szczegóły administracyjne dotyczące pogrzebu.

Jakub Jabłoński skinął głową. Elokwencja Bachusa zawsze mu imponowała. Wycofał się uprzejmie, zapomniał nawet wziąć na ramię swój kij.

Wkrótce potem zjawił się Alfons Materna, przywołał Tyrasa i uwiązał go. Pies ułożył się jak długi i szeroko otworzył pysk. Zdawał się potężnie ziewać.

— Bóg z wami! — zawołał ksiądz.

— Przydałby mi się — odparł Alfons Materna.

Poszedł przodem i zaprosił Bachusa do izby. Leżał tam jeszcze Alfred, osłonięty białym prześcieradłem, i Bachus pomodlił się przy nim krótko i głośno. Zaraz potem oznajmił: — Mógłbym Was/emu Alfredowi dać szczególnie piękne miejsce, jeśli by pan sobie życzył, panie Materna.

— Tak zwane piękne miejsce jest zawsze zarazem drogim miejscem, prawda?

Bachus był lekko zdziwiony. — Czy wasz ukochany syn nie jest tego wart? Ale odnośne koszty nie są zbyt wielkie. Miejsce w pierwszym rzędzie, przy głównym wejściu, szerokie i długie ze względu na marmurowe obramowanie i ewentualny pomnik, kosztowałyby około stu dwudziestu marek.

Materna powstrzymał się od wyrażenia zgody. Na Mazurach był zwyczaj targowania się. Powiedział więc ostrożnie: — Jestem skromnym człowiekiem i nie należę do tak zwanych dobrych dzieci Kościoła.

— Wiem, wiem! — Bachus szeroko machnął ręką. — Nieraz to widziałem podczas nabożeństw. Właściwie prawie zawsze. Ale każdemu wybija kiedyś! jego godzina. A ta, panie Materna, mogłaby być pana.

- I tak jest przytaknął Alfons Materna spokojnie.

Ale zanim jeszcze Bachus - nieco wzruszony - zaczął mówić o powrocie syna marnotrawnego, Materna przystąpił do ustalania warunków pewnego rodzaju umowy, składającej się z następujących punktów:

Po pierwsze, grób przewidziano w centralnym miejscu cmentarza;; za to wymieniona suma plus ofiarą w wysokości trzydziestu marek;

Po drugie, wyprowadzenie zwłok do kościoła na dwadzieścia cztery godziny przed pogrzebem; kościół ma być jednak zamknięty. A zatem: niepożądanym wstęp wzbroniony. Kto zaś jest pożądanym - ustala tylko on, Materna. Za to dodatkowo sto marek.

Wreszcie po trzecie, uroczyste złożenie zwłok do grobu odbędzie się w ściśle wąskim kręgu. Sami zaproszeni goście. I oczywiście Materna

tu też zastrzega sobie prawo decydowania, kto może przyjść, a kto nie. Za to znów sto marek.

Następnie dodatkowo pięćdziesiąt marek, jeśli jego życzenia zostaną dokładnie spełnione, i za ewentualne inne drobne życzenia szczególne. Ogółem zatem czterysta marek. Gotówką na rękę zaraz po pogrzebie. Niewykluczony kolejny banknot stumarkowy na cele dobroczynne.

— Bardzo dobrze — powiedział pastor Bachus nie bez uznania. — Ale nad jednym należałoby się zastanowić. Chodzi o uczestnictwo ludzi. Już teraz są ogromnie poruszeni. Niejeden chciałby oddać, ostatnią posługę biednemu zmarłemu. Czy mam ich wykluczyć?

— Czterysta marek — rzekł Materna nie zbity z tropu — jeśli wszystko będzie tak, jak chcę. Może nawet pięćset. To jest umowa i obstarę przy tym, aby była dotrzymana.

— Jakoś się dogadamy — oświadczył Bachus — i jestem pewien, że będzie to nadzwyczaj podniosła uroczystość.

— W końcu to nasz zmarły — powiedział Johannes Eichler. — Trzeba, aby wszyscy o tym wiedzieli. Przynajmniej tyle jesteśmy winni naszym towarzyszom.

— Mamy sygnały z całej okolicy — informował Eugen Eis. — Ludzie chcą przyjść. Solidaryzują się z nami. Nie możemy ich tak po prostu odtrącić.

Wcale tego nie zrobimy — powiedział Eichler. — Tak robi tylko ten Alfons Materrkr

Z nim zawsze są kłopoty — powiedział Ignaz Uschkurat, burmistrz i przywódca chłopów. — Jak daleko sięgam pamięcią, z nim zawsze były kłopoty.

. — Ale chyba trzeba uszanować jego wolę — oświadczył niespodziewanie Gottlieb Speer, mistrz murarski i administrator kościelny.

- W końcu on płaci za to kościołowi, a kościół może tego potrzebować — konieczny jest nowy dach.

— A ten dach przypuszczalnie ty będziesz kładł — stwierdził Eligen Eis.

— Ktoś to musi zrobić! - Gottlieb Speer wyprostował się i spojrzał ostrzegawczo. — A że przypadkiem jestem murarzem, dekarzem i stolarzem — Można mnie też nazwać przedsiębiorcą, budowlanym. Czy to upoważnia do stawiania mi zarzutów?

— Nie wstydiłbyś się, gdyby Materna ci płacił? — Eugen Eis nie ustępował napastliwie; Johannes Eichler wyraźnie zezwalał mu na

takie zachowanie. — To jest po prostu zdrada słusznej sprawy!
— Wypraszam sobie takie podejrzenia! — wybuchnął Speer
wzburzony.

Zarzut, że bierze, choć nie wprost, pieniądze od Materny, był jeszcze
do zniesienia. Przypuszczenie jednak, że byłby zdolny do zdrady
słusznej sprawy — to już zdecydowanie za wiele. Jeśli pokryje dach,
to dla kościoła. Kościół płaci. A on ceny wyznacza ulgowe.

-- Tylko bez pochopnych podejrzeń! — zawołał Ignaz Uschkurat.

— Nikt tu nie ma zamiaru nikogo podejrzewać — zapewniał
Johannes Eichler uspokajająco. Rozpostarł ręce na zgodę — jedną
położył na ramieniu Uschkurata, drugą na ramieniu Speera. Obaj byli
wyraźnie wzburzeni, a więc Eugen Eis osiągnął zamierzony cel.
Przecież wszyscy wiemy, że można na was polegać, drodzy przyjaciele;

Johannes Eichler siedział wraz z Eugenem Eisem i tymi, których
nazywał drogimi przyjaciółmi, w tak zwanym biurze. Znajdowało
się ono w przybudówce należącej do młyna Eichlera. Przylegały do
niego pomieszczenia prywatne, a więc kuchnia i piwnica, co było
bardzo praktyczne przy poufnych rozmowach.

Gospodyni Eichlera obsługiwała obecnych prawie tak, jakby poila
konie.

— My mamy własne obowiązki i nie możemy się od nich uchylić
— powiedział Johannes Eichler. — Obowiązki wobec opinii publicznej
gminy, ojczyzny.

Johannes Eichler był najbardziej aktywną osobistością wę wsi.
A stał się taki dopiero po przedwczesnej śmierci żony. Zmarła ona
w tragicznych okolicznościach: utopiła się w kadzi z mlekiem, w-owej
mleczarni, którą wniosła w wianie. Po przepisowym okresie żałoby
Eichler rzucił się w wir działalności patriotycznej. Zajął się krzewieniem
ducha narodowego i bardzo szybko stał się przywódcą ruchu. Znany
był też jako wspaniałomyślny fundator. Nie tylko udzielał pożyczek
i kredytów oraz pośredniczył w ich pozyskiwaniu, ale także pomagał
zakładać stowarzyszenia bojowników i inne podobne związki. Nawet ,
pomnik ku czci poległych, wartościowy artystycznie i wywierający
spore wrażenie, powstał z jego inicjatywy.

— Nie jestem zdeklarowanym przyjacielem Materny — powiedział
Uschkurat, człowiek o twardej głowie i wzroku bernardyna. — Moim
zdaniem jest on samowolny i uparty. Nie przestrzegą naszych zasad.
Roztrząsa swój gnój, kiedy chce. Na swoich polach stosuje płodozmian
bez widocznego sensu. Nierzadko zbiera plony i rozpoczyna żniwa
wbrew zdrowemu rozsądkowi. A jednak do licha, jest najlepszym
gospodarzem we wsi.

- Ja również cenię Alfonsa Maternę — rzekł Eichler wspaniałomyślnie. — On się zna na robocie. Za swoje zboże dostaje najwyższą cenę. A jego bydło mnoży się jak szalone. To trzeba mu przyznać. Ale często zadaję sobie pytanie: czy to już wszystko, co powinno cechował niemieckiego obywatela?

Eichler spojrział przy tym na swego Eugena Eisa. Ten zrozumiał spojrzenie właściwie i powiedział: — Ten Materna stoi wciąż poza naszą społecznością. Nie należy do żadnego z naszych stowarzyszeń. Gwiźdże na nasze patriotyczne wysiłki. Dlaczego on się tak za chowuje?

— Tylko odrobinę więcej poczucia wspólnoty! — Johannes Eichler popatrzył zasmucony. — Czy to rzeczywiście za duże wymagania?

Nikt z obecnych nie widział powodu, aby zaprzeczyć. Patrzyli przez okno. Było upalne lato — rozpościerający się daleko łąn zboża połyskiwał złotym blaskiem. Ale oni znali ten widok aż nadto dobrze; bardziej pociągający byłby dla nich w tej chwili widok butelki z wódką.

Eugen Eis powiedział: — Alfred zmarł jak bohater w czasie pokoju. Stał się ofiarą — nieważne, świadomie czy też nie. Należy to uczcić wobec opinii publicznej!

Ignaz Uschkurat musiał pilnie wyjść. Eichler wyszedł razem z nim. Na dworze stanęli zgodnie obok siebie pod gładką ścianą domu. Johannes Eichler jakby od niechcienia wspomniął o nie uregulowanym długi Uschkurata, między innymi o należności za ostatnie cztery miesiące mielenia.

. — Zapłacę po żniwach, jak zwykle — obiecał Ignaz.— To nie było oczywiście upomnienie, drogi przyjacielu. Pozwoliłem Sobie tylko na małe wzmocnienie pamięci. Jeśli moja uwaga miała jakikolwiek sens, to może tylko taki: należałoby bez zastrzeżeń uznać, że my tu wszyscy jesteśmy zaprzysiężoną społecznością. Albowieną jedziemy na tym samym wózku.

Po dalszych intensywnych obradach rezultat zebrania był następujący: Eugen Eis otrzymał polecenie, aby dalej z całą świadomością troszczyć się o patriotyczną postawę współobywateli; Gottlieb Speer obiecał w podobnym duchu, że będzie interweniował u pastora Bachusa, a Ignaz Uschkurat zobowiązał się, że osobiście uda się do Materny, aby mu przemówić do sumienia, zakładając, że ten człowiek je w ogóle ma.

— Chodzi o dobre imię naszej wsi — powiedział Eichler na zakończenie. — Przed tym słusznym wymaganiem nie może się uchylać nawet takj Alfons Materna.

Tego dnia zjawili się u Materny dwaj chłopcy zwani powszechnie szatanami — i to nie tylko w Maulen, ale także w bliższej i dalszej okolicy. Byli to syn żandarma i syn pastora. Nazywali się Konrad Klinger i Peter Bachus.

— Chcielibyśmy zobaczyć zwłoki — powiedział Bachus.

— I posłuchać, co pan Materna ma na ten temat do powiedzenia — uzupełnił Konrad Klinger.

Obaj chłopcy, jako jedyni we wsi, uczęszczali do gimnazjum w Olsztynie. Odznaczeni się inteligencją i zdumiewali wszystkich lenistwem. Niektórych nauczycieli doprowadzali do rozpacz, innych do zachwyty. Ich wyniki w nauce były alarmująco niskie. Nie mniej alarmujące było ich zachowanie we wsi.

— Jeśli ktoś tu umiera — powiedział Peter Bachus — to zazwyczaj w łóżku. Zwyczajnie, na sienniku. Tak jest u nas w zwyczajach.

— Ale tu znaleziono kogoś na dworze — uzupełnił Konrad Klinger — w niezwykłych okolicznościach. Coś takiego nas interesuje.

— Ale z was nicponie! — powiedział Jakub Jabłoński przy bramie. — Niczego się nie boicie, co?

Szatani milczeli zadowoleni. Byli dumni, że mają taką opinię. Szczycili się tą złą opinią i nie pomijali żadnej okazji, aby ją umocnić; nie tylko w gimnazjum, ale również w domu. W domu to znaczy nie tylko podczas weekendów, ale także w czasie wakacji, które właśnie się rozpoczęły. Przez pełne cztery tygodnie mogli swawolić, ile dusza zapagnie.

Alfons Materna wpuścił chłopców bez wahania do swego domu. Weszli najpierw do kuchni. Tu posilił się zimną pieczenią i kiełbasą; ich apetyt nie miał granic.

Następnie stanęli przy zwłokach Alfreda Materny. Był on tylko o kilka lat starszy od nich. Ale ta niewielka różnica wieku wystarczyła, aby stworzyć między nimi mur. Był im jednak bliski -- czuli to. Ten Alfred pasowałby do nich; przydałoby im się takie wzmocnienie.

— Dlaczego on musi gryźć ziemię? — zapytał Peter Bachus.

— Wszyscy kiedyś będziemy gryźć ziemię — oświadczył Alfons Materna. — Wcześniej czy później.

— Ale dotychczas zawsze myślałem: później — powiedział Konrad.

— Jeśli akurat nie ma wojny, jest jeszcze czas.

— Być może zawsze jest wojna — rzekł Materna. - Tylko my o tym nie wiemy.

Konrad i Peter pochylili się nad zwłokami. Materna przyglądał się im z rosnącą uwagą.

— To wprost niesamowite — powiedział Peter Bachus. — Człowiek leży sobie spokojnie w trawie, o niczym nie myśli — i nagle; pif! paf! I już go nie ma.

— Dziwne są pewne chłopaki — rzekł Konrad Klinger namysłony. — Skradają się po okolicy i rzucają granatami. Czy oni zdają sobie sprawę, jak człowiek się czuje, kiedy mu przed nosem pęknie granat?

— Niezła myśl! — Peterowi zabłysły oczy. — Wydaje się, że konieczne jest tu uświadomienie.

— Czy zna pan to wzgórze na północnych bagnach, tak zwane Wzgórze Dowódcy? — zapytał Peter Bachus.

Materna skinął głową. — Widać stamtąd olbrzymią część bagien.

— Rzeczywiście widać — zapewnił Peter. — Widział je także Johannes Eichler, kiedy wybuchały granaty. Stał tam, strzygąc uszami. Widzieliśmy go.

— Czy to panu wystarczy? — zapytał Konrad Klinger.

— Aż nadto — powiedział Materna niechętnie.

Niebo nad Mazurami lśniło promiennym błękitem, ciernia, ciepła i młoda, pachniała jak pulchne, świeżo wykapanane niemowlę. Maulen, sprawiało wrażenie wymarłego.

— To ci dopiero dzień — jęknął Ignaz Uschkurat. — Nawet psy latają z wywieszonymi ozorami.

Miał na myśli to, że było gorąco i sucho. W takie dni mieszkańcy wsi leżeli wyczerpani w cieniu albo siedzieli w gospodzie. On zaś musiał samotnie chodzić po okolicy w nadzwyczaj delikatnej misji. Tymczasemotał dopiero do gospody Scharfkego. Siedział tam już mistrz murarski i administrator kościelny Speer, towarzysz niedoli; on również był w drodze z podobną misją.

Skinęli do siebie głowami ze zrozumieniem i odświeżyli się piwem i żytniówką. Żaden nie czuł się zbyt dobrze we własnej skórze. Żeby tylko się udało — myśleli.

— Wiem — rzekł szynkarz i przysiadł się do nich. — Słyszałem, że macie poskromić wściekłego byka, każdy na swój sposób.

Był on zawsze dobrze poinformowany, mianowicie przez Eugena Eisa. Cała wieś wiedziała, dlaczego. Piękny Eugen bowiem był regularnie w gospodzie u córki właściciela. Ewentualne małżeństwo zdawało się niewykluczone; Christine Scharfke była nie tylko krzepką dziewczyną, ale i przyszłą dziedziczką gospody. Przychylność papy.

Scharfkego zdobył sobie Eis dzięki poufnym informacjom o sprawach wsi, co się nierzadko opłacało.

— Dotychczas pogrzeby we wsi zawsze odbywały się publicznie — rzekł gospodarz. — Im większy udział ludzi, tym większa cześć dla zmarłego ewentualnie dla czcigodnych bliskich.

Jasne byłę, co Scharfke chciał przez to powiedzieć: dla innych taki pogrzeb mógł być przyjemnością, dla niego byłby to niezły interes, zważywszy, że Cierpienie dotknęło Maternę. Ten mógł: sobie pozwolić na wspaniałą stypę, z biciem świni, żytniówką i orkiestrą. Taki był zwyczaj. I zawsze odbywało się to w gospodzie.

Speer i Uschkurat milczeli zamyśleni. Scharfke Spoglądał na nich, dodając im otuchy: —Poradzicie sobie. Nie dajcie się zwieść głupiemu gadaniu.

— Jakiemu gadaniu?

— Ja nic nie powiedziałem! — bronił się gospodarz. Na nowo napełnił szklanki. —Ja także nie wierz co plotą jacyś głupcy.

— A co plotą?

— Że jesteście szmaty.

Uschkurat i Speer popatrzyli zdumieni. Po czym, pełni oburzenia, chcieli usłyszeć nazwiska. Scharfke krygował się, zapewniając, że nie należy do ludzi, którzy zdradzają tajemnice. Jeśli ktoś mu coś powiedział w zaufaniu, to jak kamień w wodę.

— On chce nas tylko podbechtać — rzekł Uchskurat, kiedy znów byli przy stole sami.

— Albo poszczuć. Może przeciwko Eisowi? Człowieku w co myśmy wdepnęli! A jeśli już mamy wyjmować kasztany z ognia —to właściwie za kogo? I za jaką cenę?

Popatrzyli na siebie, podnieśli się nie dopijając wódki, i zamyśleni ruszyli do wyjścia.

Wdowa Meta Mischgoreit chodziła po wsi jak duch. Siała niepokój wśród kobiet. Jej kartoflana twarz aż błyszczała podniecenia.

— Dlaczego ten biedaczek musiał umrzeć? - pytała żałośnie. Przemykała od domu do domu. Miała dużo czasu i umiała go na swój sposób wykorzystać.

— Chodzi o zbawienie naszych dusz -- zapewniała.

— Ta stara wrona chce tylko uzyskać niższe komorne za swoją chałupę — powiedział Johannes Eichler, kiedy mu o tym doniesiono. —Zgodzimy się na to wówczas gdy będzie trzymała język zębami.

Ale ta wspaniałomyślna decyzja dotarła do Mischgoreit z pewnym opóźnieniem. Eugen Eis lekkomyślnie uznał ją za osobę mało ważną. Tymczasem jej prociwstwa przybrały nieoczekiwane rozmiary. Wmawiała kobietom, że Bóg wskazał palcem na Maulen. Dlaczego to zrobił? Ta śmierć to znak!

Kobiety słuchały niechętnie, ale z narastającą uwagą. Były całkowicie oddane swoim mężom, co ich jednak nie powstrzymywało od tego, aby im pod pewnymi względami nie ufać. — Te typy nie potrafią Wniknąć w głębsze zależności — twierdziła Mischgoreit. — Chcą tylko napchać sobie kałdun i uwalić się do łóżka, a przy tym najczęściej są pijani. A o wodniku nic nie wiedzą.

Latała więc Meta Mischgoreit od domu do domu. — Widziano Topicha! A on ukazuje się tylko wtedy, kiedy chce zapowiedzieć; nieszczęście.

Topich był potężnym symbolem rychłej śmierci. Kobiety rzucały mu ukradkiem do wody wianki z róż, a także świeżo upieczony chleb, czasem też zużytą bieliznę. Jeszcze bardziej ukradkiem mężczyźni rzucali mu butelki wódki i paczki z pieczenia. Ale nikt się do tego nie przyznawał.

Kiedy Eis złapał wreszcie Mischgoreit i oznajmił jej o uldze, wdowa prychnęła tylko z pogardą. Teraz chciała całkowitego zwolnienia od komornego.

— On was wszystkich zabierze, jeśli nie spojrzycie w głąb siebie Wejrzyjcie w siebie, bo będzie strasznie!

— Odtąd niech mieszka darmo — zdecydował Johannes Eichler patrząc przed siebie. — Jeśli jej to nie nauczy rozsądku, zamkniemy jej gębę raz na zawsze.

Potem wdowa Mischgoreit zamilkła na jakiś czas.

Gottpeb Speer, administrator kościelny, został przyjęty przez pastora Bachusa szczególnie uprzejmie.

— Czym mogę panu służyć? — Jego głos miał wesołe melodyjne brzmienie.

— Delikatna, ale nieunikniona sprawa, panie pastorze.

— Niech pan się nie krępuje, jestem wyrozumiały. Nauczyłem się tego w Maulen.

Gottlieb Speer uznał, że może sobie oszczędzić zbędnych wstępów. Z ulgą wyłożył swoje żądanie - żądanie swoich przyjaciół, jak powiedział: uroczysty pogrzeb z udziałem wszystkich mieszkańców.

- Nie możemy sobie pozwolić, aby mówiono o nas, że wyprawiamy naszych zmarłych samotnie do grobu.

— Ja również jestem za licznym udziałem mieszkańców. Popieram pańskie życzenie i życzenie pańskich przyjaciół czy też towarzyszy.

— Wobec tego wszystko w porządku; — Speer uznał, że się dogadali. — Niczego więcej nie chcemy.

— A jednak nigdy jeszcze nie zlekceważyłem woli najbliższych co do pogrzebu, oni mają do tego prawo — powiedział Bachus. A co się tyczy Materny, on przywiązuje szczególną wagę do tak zwanego, ekskluzywnego pogrzebu w małym gronie.

— Wobec tego niech mu to pan to jakoś wyperswaduje — polecił Gottlieb Speer dobrodusznie. !

— Może by mi się to i udało — rzekł Bachus. — Ale ja nie tylko jestem strażnikiem słów bożych, lecz także Domu Bożego, a pan, mój drogi, jest tutaj administratorem. Wie pan, że taki pogrzeb kosztuje. Materna zaś gotów jest wspaniałomyślnie zapłacić zdumiewającą sumę. Niech pan pomyśli o jednym: jeśli ten tak dokładnie obmyślony przez Maternę pogrzeb przemieni się w festyn - skąd weźmiemy pieniądze?

— Trzeba ponosić ofiary — powiedział Speer. - A może nie?

Pastor Bachus, człowiek o gotyckiej budowie i barokowym życiu wewnętrznymi, odparł: — Nic innego nie czynię od lat. Godzę się ze stratami. Ale przyznaję: czasem przychodzi mi to z trudem. Tak jak w tym wypadku. Kościół bowiem potrzebuje pilnie nowego dachu, a ofiara Materny to umożliwi. Pan zaś, mój drogi wykonałby go. Skoro jednak twierdzi pań uparcie, że krótkotrwała przyjemność wieśniaków jest ważniejsza niż dach w kościele, który przetrwa pokolenia... Opinię administratora kościelnego zawsze respektuję.

W ten sposób Speer znalazł się w opałach. — I nie widzi pan żadnej innej możliwości? Może by jednak przemówić Maternie do sumienia?

Bachus zaprzeczył pospiesznie. Ten Materna potrafi liczyć, jestem o tym przekonany. — Pastor powiedział to z uznaniem. Czasem jest jak odłamek skalny. Nie mam ochoty połamać sobie na nim zębów. A pan?

Alfons Materna nie dał Uschkuratowi dojść do słowa Sam zaczął mówić do swojego gościa,

~ Nie przypuszczam, abys przyszedł do mnie porozmawiać o pogodzie.

— Nie — powiedział Uschkurat.
— Potrzebujesz mojej rady?
— Także nie, Materna.
— Chcesz pożyczkę? Chętnie ci dam, z wymaganym zabezpieczeniem.

— Tym razem nie.
— Skoro nic ode mnie nie chcesz — oświadczył Materna uprzejmie — nie pozostaje mi nic innego, jak poinformować cię, że i ja od ciebie nic nie chcę. Wobec tego nie mamy sobie nic do powiedzenia. Wracaj więc, skąd przyszedłeś. Ja idę dalej opłakiwać zmarłego.

— Zostań jeszcze chwilę, Materna. Chcę z tobą porozmawiać jak człowiek z człowiekiem. Albo, jeśli wolisz, jak gospodarz z gospodarzem.

— Zawsze jestem gotów cię wysłuchać, obojętnie, czy przychodzisz do mnie jako gospodarz, czy jako człowiek. Jeśli jednak przychodzisz jako posłaniec Johanna Eichlera, każde następne słowo jest zbyteczni. Byłeś wcześniej u niego, prawda?

— Dlaczego miałbym z nim nie rozmawiać? W końcu jesteśmy przyjaciółmi.

— Nikt nie może być jednocześnie moim przyjacielem i przyjacielem Eichlera. — Materna stwierdził to prawie łagodnie, znudzonym tonem, — Jeśli zatrudniłeś się u niego jako chłopak na posyłki, to przykro mi ale nasze drogi w tym miejscu się rozchodzą.

— Czy to twoje ostatnie słowo, Materna?
— Dam ci dobrą radę: zajmij się lepiej swoim zbożem, za dużo w nim chwastów. — To powiedziawszy Materna opuścił swego gościa Uschkurat patrzył za nim ponurym wzrokiem. I znów stało się dla niego jasne: ten Materna ma twarde łeb.

Ale również Uschkurat miał mazurski łeb - A takim łbem, jak mówiono, można powalić dąb.

Co zatem, jeśli zderzą się dwa takie łby?

Godzinę później Ignaz Uschkurat i Gottlieb Speer znowu się spotkali. Skinęli do siebie, usiedli i najpierw milczeli wymownie. Potem zamówili jak zwykle piwo i wódkę.

- Christian Scharfke przyniósł obojczy jedno i drugie. Uśmiechając się przyjaźnie, przysiadł się do nich i zapytał: — No i jak wygląda bitwa?

— Robi się co można — powiedział Ignaz.

— Ale wszechmocny zaden z nasi oczywiście nie jest — dodał Gottlieb.

W ten sposób Scharfke dowiedział się tego, co chciał wiedzieć. Że współczuciem przepił do niefortunnych wiejskich dyplomatów, po czym wstał i udał się po schodkach na piętro, gdzie było jego prywatne mieszkanie.

Poszedł prosto do pokoju swej córki. Zapukał ostrożnie. Otworzył mu Eugen Eis — był tylko w koszuli i spodniach. Ale ten widok nie wbudził w nim najmniejszego zdziwienia.

— Nic nie załatwili — oznajmił.

— To fajtlapy! To gnoje! — Eugen Eis kiwał głową pogardliwie.

Po czym ubrał się, aby zdać Eichlerowi sprawozdanie. Pożegnał się wesoło ze swoją narzeczoną; poklepał ją po jędrnym ciele. Córka Scharfkego mruzczała, z zachwytem.

Następnie Eis udał się do młyna. Eichler; zanurzony w miękkim pyłe, zdawał się uważnie obserwować sypiącą się mąkę. To, co Widział, było zdrową, skoncentrowaną czystością, którą sam wyprodukował. Czuł się dowartościowany.

- Niewydarzone patałachy — oznajmił Eugen Eis.

Eichler słuchał swego popiecznika. Jednocześnie przyglądał się mące, która spadała na jego rozpostartą dłoń; podsuwał rękę pod nos i wachał sproszkowane zboże. — Najprzedniejszy gatunek — powiedział.

Eugen Eis przytaknął. Mąka i mleko — to były podstawowe artykuły żywnościowe - Eichler produkował jedno i dbał o to aby to drugie zostało przerobione, na masło śmietaną i ser. Również w tej dziedzinie był bezkonkurencyjny, i byt wielu mieszkańców okolicy zależał od niego.

— Nigdy nie liczyłem na wdzięczność ludzką — powiedział Eichler — ale na to, że ludzie, od czasu do czasu ruszą głowami. Bo na ogół w tej okolicy są oni dość przebiegli, jeśli idzie o własne korzyści. Tylko nie chcą przy tym zbyt wiele ryzykować. A więc nie pozostaje nic innego, jak zmusić niektórych — dla ich dobra.

— Również tego Maternę!

— Mam do ciebie wiele zaufania, Eis ale Materna to diabelnie twarda sztuka. Wierzysz w to, potrafisz go przekonać?

Wy tłumaczę mu czarno na białym, że u nas mówi się i myśli po niemiecku.

— Jestem przekonany, że mogę się zdać na ciebie — stwierdził Johannes Eichler. Przy tym znów popatrzył na mąkę która sypała

się z góry do kadzi jak delikatny śnieg, - Nas zadowala tylko to, co najlepsze.

— Już ja to powiem temu Maternie — rzekł Eis. --Będzie miał za swoje, jeśli nie nabierze rozumu.

Eugen Eis przemierzał tego upalnego letniego dnia wieś Maulen jakby przeprowadzał inspekcję murów obronnych twierdzy. Żadny czynu, dotarł do bramy obejścia Materny.

Stał tam Jakub Jabłoński ze swoim dębowym kijem i uśmiechał się dobrodusznie. — Tylko dotąd, Eugen, i ani kroku dalej!

— Ten nędzny łańcuch przeskoczę jednym susem — powiedział Eis,

— Możliwe. I co dalej?

— No tak, co dalej?

— Nasz Tyras jest ostry jak brzytwa.

— Ten zasrany kundel to szczekacz! — rzekł Eis. — Pasuje do waszego obejścia!

— Możliwe — patrząc z twojej strony. Ale ty tu nie pasujesz. A twoja głupkowata gęba wcale nie jest zabawna. Wynoś się więc stąd!

Jakub Jabłoński zostawił Eugena Eisa i wszedł do domu. Najwidoczniej był z siebie bardzo zadowolony.

Eis natomiast poczuł się sprowokowany. Wziął krótki rozbieg i rzucił się na bramę. Łańcuch pękł.

Skrzydła bramy wyskoczyły z zawiasów.

Ale w tej chwili rozległ się ostry gwizd. Wyskoczył Tyras i rzucił się na Eugena Eisa; ten powalił go mocnym kopniakiem, ale pies poderwał się i na nowo zajął pozycję do ataku. Następnie skoczył, okrążył przeciwnika i dobrał się do jego siedzenia.

Eis krzyknął. Był to dla Tyrasa zachęcający sygnał. Z radosną gorliwością zdarł z Eugena spodnie. Jego tyłek zaśnił jak księżyc w pełni. Ale Tyras zdawał się dostrzegać w nim świeżą szynkę; wbił weń zęby. Jego żółte jak bursztyn oczy wyrażały zachwyty.

Eugen Eis wrzeszcząc rzucił się jak wściekły do ucieczki.

Wieczorem tego samego dnia mężczyźni należący do Heimatschutzu zbrali się w gospodzie Scharfkego, w izbie na zapleczu. Byli poważni, spięci i zdecydowani, choć początkowo nie wiedzieli jeszcze, na co są zdecydowani. Przewodniczył Johannes Eichler.

— Koledzy - rzekł poważnym tonem— jestem tu w zastępstwie

Eugena Eisa, albowiem jego chwilowy, stan nie pozwala mu na przewodniczenie.

Ow chwilowy stan Eugena Eisa był w istocie niezwykle. Otóż przywódca Heimatschutzu znajdował się w łóżku swojej narzeczonej — w dodatku sam, leżąc na brzuchu. Jego okazały tyłek, którym zajmował się doktor Gensfleisch, przykryty był grubym bandażem, przesiąkniętym malowniczo jodyną i maścią.

— Nasz drogi towarzysz Eis — oznajmił Eichler — uległ zranieniu. Zdaniem lekarza potrwa kilka dni, zanim znów będzie do naszej dyspozycji. — Większość zebranych stanowiła młodzież. Ich twarze lśniły w blasku lampy, w wodnistoniebieskich oczach malowała się uległość. Ci wciąż niezawodni chłopcy gotowi byli zawsze uwierzyć w to, co się im z przekonaniem mówiło.

— Wiem, że mogę z wami rozmawiać szczerze — powiedział Johannes Eichler. — Dlatego z całym zaufaniem chcę was poinformować o tym, co się naprawdę stało. Naszego Eugena Eisa, a więc i waszego przywódcę, poszczuto psem.

— To niesłychane! — zawołało kilku zebranych naraz; Niesłychane było jednym z dwu najczęściej w tymi gronie używanych słów. Drugie słowo, pozytywne, brzmiało: brawo. Te słowa starczały im na całe godziny.

— Odważono się napaść na jednego z naszych szeregów! — Johannes Eichler był wzburzony, a nawet przerażony. — To daje wiele do myślenia. Tak to się zwykle zaczyna. Potem przyjdzie, kolej ca następnego i ani się obejrzymy, jak wszyscy będziemy wydani na pastwę krwiożerczych psów. A teraz pytam: czy możemy do tego dopuścić?

Nie, prawi mężczyźni nie mogli do tego dopuścić! To przecież tak, jakby cały Heimatschutz został pogryziony w tyłek, a nie tylko Eugen Eis.

Johannes Eichler zamówił kolejkę piwa, do tego podwójną wódkę. Potem poprosił szanownych wypróbowanych towarzyszy aby zaśpiewali jego ulubioną piosenkę *Ustrzeliłem jelenia w dzikim borze*. Chłopcy spełnili prośbę z wielką gorliwością.

Eichler z satysfakcją przyglądał się śpiewającym; jednocześnie kontrolował gospodarza, rzucając na boki badawcze spojrzenia wyćwiczonego feldfebla. Kiedy bowiem w gospodzie zapanował nastrój entuzjazmu Scharfke próbował nie dolewać swoim klientom.

Śpiewacy z Heimatschutzu ryczeli dalej o szlachetnym myśliwym. W tej podniosłej chwili wszyscy czuli się dumnymi myśliwymi. Ale gdy

co roku późną jesienią istotnie odbywało się polowanie byli oni używani jedynie jako nagonka. Strzelanie do kozłów stanowiła przywilej miejscowych wodzów. Kiedy jednak śpiewali, cały świat należał do nich, łącznie z mazurskimi lasami.

Obrońcy ojczyzny kończyli z uczuciem; ciągnęli ostatnie tony pieśni jak gumę. Eichler wstał. — Moi drodzy — zaczął. Ich wrażliwe serca, -ich gorące niemieckie serca niemalże przestały bić. Ale to, co naprawdę usłyszeli, to był brzęk szkła: pękła szyba. W oknie i do środka wpadł podłużny przedmiot. Potoczył się po stole; skakał między kieliszkami, wreszcie zatrzymał się bez ruchu. Drugi przedmiot, dokładnie taki sam jak poprzedni, wpadł zaraz za nim. Zebrani patrzyli na to, co przed nimi leżało. Miało to wielkość i kształt średniego rondelka do kawy z grubą rączką długości około trzydziestu centymetrów. Z obu tych przedmiotów ostro syczących wydobywała się gęsta, tłusta ciemnoniebieska smuga dymu. — Granaty ręczne! — krzyknął ktoś przerażony. Wszyscy rzucili się na ziemię, chowali po kątach, skakali do drzwi i okien. Potykali się o siebie, bladzi, z wykrzywionymi twarzami. Padali sobie w ramiona, aby się nawzajem osłonić. Przewracali się jeden na drugiego; kieliszki pękały, a ich zawartość wylewała się na podłogę. Potem rozszedł się straszliwy smród, jakby pękła ruja kanalizacyjna.

Granaty się wypaliły. Leżały teraz cicho i spokojnie. Nie wybuchły nawet by nie mogły, bo nie miały zapalników. Słysząc było jeszcze ostatni syk — niczym palącego się cygara, które zostało wrzucone do wody. Potem nastąpiła przyniatająca cisza.

Ludzie zaczęli się podnosić. Zrazu ostrożnie, rozglądając się uważnie, pełzali na kolanach. Na ich pobladłych twarzach malowało się najpierw zdumienie, potem ulga; a jeszcze później rozległ się spazmatyczny śmiech. Wreszcie ktoś krzyknął: Oddział zmotoryzowany! Był to jeden z synów Uschkurata, którego odtąd uważano za trzeźwego i energicznego. Chłopiec wybiegł. Kilku pognało za nim. Szukali sprawcy, który ich zmusił do tarzania się w knajpianym brudzie. Ale ich starania okazały się bezowocne. Sprawca, a raczej sprawcy — bo było ich dwóch — nacieszyli się wywołaną przez siebie sceną, po czym szybko się ulotnili.

Tymczasem Johannesowi Eichlerowi udało się wygramolić z grona kolegów. Dysząc zapytał: — Kto to był? — I na tym samym oddechu sam sobie udzielił odpowiedzi brzemiennej w skutki: — Domyślam się; kto się na to odważył., Ale z nami nie pójdzie tak łatwo! Moja

cierpliwość już się wyczerpała. Od tej chwili koniec z pobłażliwością - to byłoby po prostu samobójstwo. Teraz ja osobiście przystępuję do akcji!

Wieczorem tego dnia Alfons Materna opuścił swoją zagrodę mówiąc:
— Mam jeszcze coś ważnego do załatwienia.

Szedł przez Końskie Wzgórze, przez Psie Łąki, ku wsi. Była gwiazdzista noc. Na horyzoncie drzewa i niebo jakby się delikatnie dotykały. Księżyc leniwie żeglował pomiędzy kłębiącymi się strzępami: chmur. Materna wszedł do chaty żandarma Klintera. Działo to się dokładnie w tym samym czasie, kiedy w gospodzie Schaffkego Heimatschutz został rozpędzony na cztery, wiatry, przez dwa ślepe granaty. Materna powiedział: — Jest już wprawdzie dość późno, na moim zegarku dwanaście po dziesiątej. Czy tak?

Żandarm skinął głową, rzuciwszy przedtem okiem na zegar ścienny. Następnie oświadczył: — Obojętne, która godzina. Ja zawsze jestem do dyspozycji.

— Pan nie pochodzi stąd - - powiedział Materna.

— Ale tu pełnię służbę!

Starszy żandarm Klinter nie miał może polotu, ale w jego uczciwość w żadnym, razie nie można było powątpiewać. Był urodzonym stróżem porządku.

— Czy sporządził pan już raport o śmierci mojego syna? — zapytał Materna.

— Oczywiście— odpowiedział Klinter.,—Wszystko tu jest jasne. Przez kilka chwil Materna odczuwał wobec tego człowieka jakby współczucie, bo ten poczciwy żandarm nie dorósł do szczególnych wymagań tej doliny, po czym zapytał:

— Co pan zatem stwierdził podczas dochodzenia?

—Według zeznań świadków, całkowicie ze sobą zgodnych - oświadczył żandarm — można uznać za udowodniony następujący przebieg zdarzenia: pański syn Alfred Materna podczas spaceru na bagnach nadepnął na minę albo jakiś niewypał, z czasów wojny. Wybuch spowodował jego śmierć.

— I pan w to naprawdę wierzy?

Panie Materna — rzekł Klinter— to, co ja myślę, przypuszczam albo uważam za możliwe, jest zupełnie nieważne. Ja kieruję się wyłącznie wynikami śledztwa; zeznaniami świadków złożonymi pod przysięgą.

— A jeśli panu udowodnię, że pan się myli?

Klinger stał się niespokojny. Zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Na ścianach wisiały trzy mapy: Prus, Prus Wschodnich oraz Maulen i okolicy.

— Panie Materna, o co panu chodzi? Czego pan chce ode mnie?

— W każdym razie nie chcę, aby pan stracił posiadłość, ponieważ ma pan pewne poczucie sprawiedliwości. A nie byłbym taki pewien, czy tą cechą będzie obdarzany pański następca.

Klinger zaczął z trudem oddychać. Jak podczas silnego wiatru. Powiedział: — Mój raport jest absolutnie bez zarzutu.

— Ale nie jest całkowicie prawdziwy. Jeśli zechcę, potrafię udowodnić, co następuje: mój syn Alfred został śmiertelnie ranny granatem podczas ćwiczeń Heimatschutzu. Mogę mieć zeznanie w tej sprawie jednego z tych, którzy rzucali. Chodzi o mojego syna Hermanna — on był przy tym.

— Akurat pański syn? — powiedział Klinger. — To straszne.

— Straszne dla kogo? Dla pana? Dla mnie? Dla tego patriotycznego przedszkola? Dla tego, co miało być sprawiedliwością? Czy też dla pańskiego raportu?

— Jeśli to, co pan twierdzi, istotnie mogłoby zostać udowodnione - wyznał Klinger — to koniec ze mną.

— Tak to jest — powiedział Materna.

— A czego pan oczekuje ode mnie? — zapytał Klinger przerażony.

Niech pan to w spokoju przemyśli. I niech pan nie działa pochopnie!

Będę na pana czekał jutro po południu u mnie — albo na protokół, albo na wypicie wódki, albo na przeprowadzenie rozmowy.

Rozmowy przyjaciela z przyjacielem. Jeśli pan tak woli.

— Tylko mnie ubezpieczajcie — zarządził Johannes Eichler. — Dwóch niech się trzyma drogi na odległość głosu. Dwóch zajmie się bramą. Dwóch niech patroluje zagrodę. Tylko żadnych działań bez mojego wyraźnego rozkazu. Zabraniam tego! Nikomu nie wolno dać się lekkomyślnie sprowokować.

Po czym Johannes Eichler wszedł przez bramę do obejścia Materny, trzymając pistolet w kieszeni spodni. Nikt mu w tym nie przeszkadzał. Tyrasa bowiem można było poruszyć tylko gwizdem albo zawołaniem. A Jakub Jabłoński za pozwoleniem Materny chwilowo był pilnie zajęty dzbankiem sznapsa.

Eichler przeszedł przez próg. — Materna! — zawołał wyzywająco.

— Nie ma go tu — odpowiedział delikatny głos.

Była to Margarete — Eichler był niemal zachwycony, Podszedł do niej wzruszony i z gwałtowną serdecznością rzekł:

— Całe lata nie było nam dane się widywać, a w tych dniach wciąż się spotykamy.

— Nazwałabym to szczęściem w nieszczęściu — powiedziała Margarete przytłumionym głosem. — To dla mnie wiele znaczy.

— Nie więcej niż dla mnie! — zapewnił Johannes, ujmując przy tym jej rękę, którą mu podała z ufnością. — Kiedy cię widzę, odczuwam boleśnie, ile straciłem.

Wtedy, przed piętnastu laty, wybrała Maternę. Wzięła go razem z jego osieroconymi dziećmi, z jego widocznymi już wówczas dziwactwami; była przekonana, że Materna i Mazury, to nierozzerwalna całość. Ale Materna zawiódł w jej oczach; oddał się płytkim radościom, gardził wspólnotą; Eichler przerastał go coraz bardziej.

- Jesteś sama? - zapytał Johannes.

- Brigitte już śpi. Hermann również leży w swojej komorze. Maria, służąca, gdzieś się zaszyła. A Jabłoński przypuszczalnie tkwi gdzieś w kącie całkiem pijany. Takie ekscesy są w tym domu na porządku dziennym. Czy możesz sobie wyobrazić, Johannes, jak ja cierpię?

— A Materna?

— Ten powlókł się gdzieś na wieś, ale nie powiedział, dokąd. Nigdy mi tego nie mówi.

— Tą informacją mogłaby mieć znaczenie — oświadczył Eichler nasłuchując. — Czy możesz mi powiedzieć, kiedy poszedł do wsi?

- Krótko przed dziewiątą.

- To podejrzane — stwierdził Eichler. - Ale nie posądzam Materny o lekkomyślność czy głupotę.

- Co się stało?

- Nadzwyczaj niemiły incydent, na szczęście bez dalszych następstw. Nie musi on koniecznie pozostawać w związku z Materną, choć niejedno na to wskazuje.

— Johannes - powiedziała Margarete cicho— dlaczego wszystko musiało się potoczyć tak, jak się potoczyło? Długo nad tym myślałam, ale nie rozumiem.

— Ze mną jest tak samo --- przyznał -Eichler. Jego fantazja nie była wybitna, ale wystarczała na Maulen. Dla niego Margarete pozostała młodą dziewczyną z tamtych czasów, o lśniących blond włosach pełną ufności. Jej budząca pożądanie cielesność nie miała w sobie nic wiejskiego. W oczach Eichlera Margarete była damą,

niemal szlachcianką, na którą spoglądało się z czcią, jeśli się akurat nie było Materną.

— Nikt nie potrafi pojąć, ile ja wycierpiałam — wyznała Margarete.

~— Ktoś słabszy dawno by się załamał.

Johannes Eichler ujął jej rękę ponad stołem. — Margarete — powiedział ciężko — uważam, że Alfred, którego kochałaś przecież jak własnego syna, zasługuje na uroczysty pogrzeb. Jestem gotów zająć się tym. Jestem pewien, że ty też tak uważasz. Musisz mi pomóc!

— Możesz na mnie liczyć, Johannes, ponieważ wiem, że i ja mogę liczyć na ciebie.

Alfons Materna zbliżył się do podwórka. Zaczął zastawiać swoje sidła, ale wiedział, że zanim złapią się w nie wilki, upłynie jeszcze wiele czasu.

Wdychał przyjemny ciepły zapach nocy, który wydzielala syta ziemia; podobny do zapachu świeżo upieczonego chleba. Zboże dojrzało już do żniw. Materna spoglądał w niebo.

Przed domem wyszedł mu naprzeciw Jakub Jabłoński, lekko się zataczając.

— W kuchni siedzi Eichler — oznajmił stłumionym głosem. — Trzyma rękę twojej żony i coś do niej mówi. I ty na to pozwalasz?

— Opowiedz mi dokładnie — powiedział Materna. Wziął Jakuba pod ramię i poprowadził w stronę Końskiego Wzgórza, gdzie staj czerwony buk. Sękata sylwetka wyraźnie odcinała się na tle nocnego nieba.

— Nie powinieneś tego tolerować — rzekł Jabłoński. — Eichler przyszedł, kiedy nikt nie pilnował domu. Tyras spał, a ja wlewałem w siebie strumienie sznapsa. Ale go usłyszałem. Wskoczyłem przez okno do ogrodu, obszedłem dom dokoła i zajrzałem do kuchni. Siedział tam. A naprzeciw niego siedziała Margarete. Gruchali jak dwa gołąbki.

— O czym rozmawiali? — zapytał Materna.

— Oczywiście o tobie. I to wcale nie pochlebnie.

— Ciekawe — powiedział Materna. — Prawie jak na zamówienie. I to wszystko?

— Jeszcze ci mało?

— Niezupełnie — rzekł Materna powoli. Patrzył w księżyc i odychał głęboko. Zdawał się rozkoszować intensywnym zapachem nocy.

Jabłoński powiedział pogardliwie: — Patrzyła na niego jak ciele przed udojem. I to cię nie złości?

— Nie — odparł Materna spokojnie. — Uważam to raczej za zabawne.

Jakub położył dłoń na ramieniu przyjaciela. - Tego, co się ostatnio wydarzyło, było stanowczo za wiele dla ciebie. Ale nie przejmuj się, Alfons. To minie.

— To może oznaczać początek nowego — powiedział Materna. — Jeszcze nie dostrzegam wszystkich możliwości, jakie się tu otwierają. Ale jedno wiem już teraz: można przy tym zejść na psy. Dlaczego jednak to ja mam być tym, który musi zejść na psy?



Ten, kto kopie grób, pragnie też oglądać wieńce;
Ale nie należy nigdy dzielić skóry na niedźwiedziu,
dopóki się go nie ubije.

W dniu, kiedy miał być chowany Alfred Materna, słońce wzeszło jakby za mgłą. Szybko jednak uwolniło się od ciężkiej wilgoci poranka, rozbłysło dziką żądzą posiadania i zalało ziemię suszą i upałem. A ziemia była jak kurz.

Grabarze już od rana zaczęli kopać grób. Wieńce były przygotowane. Alfred leżał na katafalku w kościele. Margarete i rodzeństwo Alfreda czuwali przy nim ostatnią noc. Heimatschutz zaciągnął wartę; zmieniali się co dwie godziny. Stali jednak przy drzwiach kościoła.

Alfons Materna spał.

Oberzysta Scharfke nie mógł spać. Po pierwsze z powodu odgłosów, które dochodziły z pokoju jego córki. Pojękiwał tam Eugen Eis, tym razem głównie z powodu ran od pogryzienia. Przede wszystkim jednak niepokoił Scharfkego fakt, że Materna nie złożył zamówienia na stypę.

Również Johannes Eichler zrezygnował ze snu. Do późnej nocy był na nogach i wczesnym rankiem znów się pojawił, z powodu bowiem ran Eugena cały ciężar odpowiedzialności spoczywał na jego barkach.

Eichler organizował zmianę warty przed kościołem, prowadził rozmowy telefoniczne ze stowarzyszeniami i organizacjami w sąsiednich wsiach, konferował z przywódcami chłopskimi, administracją kościoła, pastorem. — Tu chodzi o naszego zmarłego! — zaklinał wszystkich: - Nie możemy go przecież tak zostawić.

Nikt tego nie chciał, ale decyzja należała wyłącznie do Materny. A ten zabronił, aby mu ktokolwiek przeszkadzał.

Podczas gdy Alfons spał, Jakub w jego imieniu przystąpił do akcji, - Udał się do żandarma Klingera, a to, co tam opowiedział, miało jeszcze bardziej skomplikować i tak już napiętą sytuację w Maulen

Jakub Jabłoński bowiem — zgodnie z notatką służbową w dzienniku żandarma poczynioną o godzinie 8.20 — zeznał, co następuje: Tyras, pies podwórzowy, zdechł, przypuszczalnie otruty. Sprawca nieznanym. Jednakże poprzedniej nocy Johannes Eichler w towarzystwie co najmniej czterech mężczyzn przebywał na terenie obejścia Materny.

Żandarm wysłuchał zeznania, następnie obejrzał miejsce zajścia. Tyras rzeczywiście leżał martwy, niejasne było tylko, czy śmierć nastąpiła wskutek działania osób trzecich, czy też samoistnie. Zdecydował, że zostanie przeprowadzone szczegółowe dochodzenie.

Następnie żandarm udał się — zgodnie z raportem o godzinie

9.10 — do Johanna Eichlera w celu przeprowadzenia śledztwa. Ten odrzucił wszelkie podejrzenia co do swojej osoby i swoich ludzi. Jednocześnie złożył doniesienie przeciwko nieznanemu, który wrzucił przez zamknięte okno dwa granaty w sam środek zgromadzonych w gospodzie, niczego nie przeczuwających, mężczyzn pijących piwo.

— Mam nadzieję — powiedział żandarm — że pan dobrze przemyślał to doniesienie.

— To pytanie powinien pan raczej postawić Maternie — odrzekł Eichler. — Albowiem to on zaczął. Z powodu zdechłego kundla! Ja bronię tylko mojej skóry. Czy też chce mnie pan nakłonić, abym cofnął zeznanie?

— W żadnym wypadku. Poddaję panu tylko pod rozwagę.

— Wie pan, panie Klinger, ja nie jestem tchórzliwym paacyfistą. Mnie nikt nie zaatakuję bezkarnie — zawsze oddam.

Żandarm, wzruszywszy ramionami, wziął do ręki pióro. Zdjął pokrywkę z kałamarza i maczając pióro, mruknął:— Do czego to - wszystko doprowadzi?

- Jak ci nie wstyd, Materna! — zawołała Margarete kłótliwie.

- Pochwalony — powiedział Materna przyjaźnie i zaczął ziewać. — A dlaczegoż to mam się wstydzić? Nikogo nie zabiłem. Ja nie. Jeszcze nie.

— Wstydzilibyś się — powtórzyła kobieta. To hańba, jak ty się zachowujesz!

— Jesteś dość rześka, jak widzę — stwierdził Alfons. — To pozwala mi mieć nadzieję na szybkie śniadanie.

- Ja całą noc czuwałam, Materna, a ty coś robił?

— Spałem — oświadczył Alfons.— Żeby zaś mieć dobry sen wypilem przedtem wódki. Prawie litr. Właśnie dlatego potrzebne mi teraz solidne śniadanie. Powiedzmy: sześć jaj, do tego szynka, i to dwa plastry grubości centymetra.

- Materna — powiedziała Margarete — obstaję przy tym, aby nasz syn miał godny pochówek.

— Ja też przy tym obstaję — rzekł Materna. — Tylko obawiam się, że każde z nas rozumie to inaczej.

— Pragnę uczcić Alfreda — oświadczyła Margarete. — On na to zasłużył! Podobno cała wieś gotowa jest wziąć udział w pogrzebie również z okolic zgłosiły się liczne stowarzyszenia.

— Cała wieś i okolice niech mnie pocałują...

— A jeśli cię poproszę, Materna.

— To byłoby w każdym razie coś nowego. Byłbym skłonny spełnić twoje szczególne życzenie — pod pewnymi warunkami. Czego żądasz ode mnie?

— Najpierw śniadanie. Potem interesowałby mnie pewien mały! szczegól, mianowicie Psie Łąki. Wniosłaś je w wianie, zabezpieczając się jednak specjalną umową. Dlatego dotychczas nie mogłem dysponować tym terenem bez twojej zgody. I przyznaję, że zawsze mi się to nie podobało.

— Czy to twój warunek?

— Skądże — to propozycja. Ale skoro ty masz swoje szczególne życzenie, dlaczego ja nie miałbym wyrazić swojego?

Psie Łąki zajmowały powierzchnię co najmniej trzydziestu pięciu tysięcy metrów kwadratowych. Ich szczególna wartość polegała na tym, że leżały blisko centrum Maulen, oddzielone od środka wsi tylko szkołą. Stanowiły zatem nęcącą, nie zabudowaną powierzchnię, prawie nie wykorzystaną. Dopiero za nią rozciągały się niewielkie chłopskie pola, a za nimi, jak okiem sięgnąć, ziemie Materny, sięgające aż do sąsiedniej miejscowości — przez lasy, bagna, hen po jeziora.

— Jestem gotowa dać ci prawo rozporządzania Psimi Łąkami Materna. Jednakże z jednym ograniczeniem: nie wolno ci ich ani sprzedać, ani włączyć w księdze wieczystej do własnych gruntów.

— Zgoda — powiedział Materna.

— I Alfred będzie miał uroczysty pogrzeb?

— Będzie miał. Mam nadzieję, że jesteś gotowa potwierdzić na piśmie obiecanie prawo do rozporządzania łąkami?

— Jestem gotowa.

— Załatwione. Postaram się, aby notariusz przyszedł jeszcze dziś przed pogrzebem.

Kiedy Alfons Materna jadł śniadanie, zjawili się Konrad i Peter. Wślizgnęli się do kuchni i stanęli przed Materną.

— No i co — odezwał się Peter Bachus — co pan teraz powie?

— Teraz jem śniadanie — oświadczył Materna.

Konrad Klinger pochylił się poufnie. — Czy słyszał pan, co się stało wczoraj wieczorem w gospodzie?

— Oczywiście — powiedział Materna, krojąc starannie na kawałki ostatni plasterek szynki. — Coś takiego szybko się rozchodzi.

— I co? — zapytali chłopcy. Stali lekko pochyleni, jak narysowane znaki zapytania.

— Nie przywiązuję szczególnej wagi do tego, aby wystawiać jakiegokolwiek cenzurki — powiedział Materna spokojnie. — Ale jeśli już koniecznie chcecie wiedzieć, co o tym myślę, no to zbyt eleganckie to nie było.

— Ale jaki efekt! — Konrad Klinger był całkowicie pewien, że spotka pełne zrozumienie. — Ci bohaterowie miotali się jak dzikie świny podczas burzy. Kleili się do siebie jak gówno i piszczyli jak szczury w pułapce. Założę się, że niejeden zrobił w spodnie.

Alfons Materna powiedział oschle: — Nie wątpię, że wasza fantazja jest ogromna. Albowiem nie przypuszczam, żeście tam byli — to byłoby zbyt niebezpieczne.

— Dla kogo? — zapytał Peter.

— No, przede wszystkim dla sprawców. — Materna odsunął od siebie pusty talerz. — Czy może uważacie, że ci zdeklarowani obrońcy ojczyzny tak bez sprzeciwu pozwolą się zamienić w dzikie świny i szczury?

— Pan nas rozczarowuje, panie Materna — powiedział Konrad Klinger zasmucony. — Nie zasłużyliśmy na to.

— Jacy wy jesteście jeszcze wspaniale młodzi! — Alfons Materna potrzaskał swoją wąską głową o ostro zarysowanych konturach.

— Przynajmniej jedno jest pewne: sprawiło nam to wielką przyjemność!

— To w każdym razie jest argument. Ale zdaje się, młodzi przyjaciele, że nie rozumiecie istotnej rzeczy, mianowicie tego, że nic nam nie zostaje darowane. A co będzie, jeśli ktoś zechce odebrać wasz dług u mnie? Co wtedy?

— Niech nam pan wierzy, panie Materna, że nie chcieliśmy ściągnąć na pana żadnych nieprzyjemności — zapewnił Konrad Klinger. A Peter Bachus dodał: — Lepiej już pójdziemy.

— Dlaczego tylko dwa granaty? — zapytał nagle Materna, — Alfreda zabiły trzy.

Obaj chłopcy przystanęli, jakby przyciśnięci do muru. — To całkiem proste. Nie można było wytrzasnąć więcej.

— A co można wam udowodnić?

— Nam? Peter Bachus uśmiechnął się. — Nic!

— Na waszym miejscu nie byłbym taki pewien — powiedział Materna. — Eichler złożył już doniesienie na kogoś nieznanego. Przypuszczalnie miał mnie na myśli. Ale to wy możecie być kozłami ofiarnymi!

— A jeśli nawet — zawołał Konrad Klinger zaczepnie — to oddamy!

— Wiem na przykład, gdzie leżą miny talerzowe — oznajmił Peter zadziornie. — Za ich pomocą moglibyśmy wysadzić w powietrze całą gospodę, a do tego kancelarię gminną; gdybyśmy tylko chcieli.

— Bzdury — powiedział Materna zdecydowanie. — Idźcie teraz do domu i tam siedźcie. Ja tymczasem spróbuję was uchronić przed więzieniem. Bo właściwie powinniście tam trafić — już chociażby z powodu waszej głupoty. Kto to słyszał: wysadzać domy w powietrze! W dodatku bez pomocy fachowca!

— Będziemy wdzięczni za każdą dobrą radę — zapewnił Konrad.

— Wynóście się! — zawołał Materna i roześmiał się. — I dobrze się schowajcie. To jest pierwsza rada, jakiej wam udzielał. A drugiej nie będzie, jeśli tej nie posłuchacie.

— Teraz pozostało nam tylko maszerować dalej — oświadczył Johannes Eichler zdecydowanie.

— To znaczy, nie możemy się cofać. — Eugen Eis leżał na boku w swoim fotelu przy oknie. — W tym momencie nie odczuwał ugryzienia biednego Tyrasa. — Myślisz, że Materna ustąpi? On i Jabłoński będą chcieli za wszelką cenę pójść na udry. Ja jestem tego dowodem.

Johannes Eichler urządził swoją kwaterę główną w gospodzie. I nie tylko dlatego, aby móc uczestniczyć w działalności, »jaką prowadził unieruchomiony Eugen Eis. Do tego celu zarezerwowany był pokój na piętrze — było z niego doskonale widać wiejski plac.

— Materna w polu widzenia! — zawołał Eugen Eis ze swego stanowiska przy oknie. — Pokazał się. Diabli wiedzą, co on teraz wymyśli.

Alfons Materna przeszedł ku powszechnemu zdumieniu przez plac w swoim zwykłym codziennym ubraniu. Uśmiechając się szyderczo, mijał odświeżnie ubranych ludzi, którzy już wyszykowali się na pogrzeb.

— Wszedł do domu żandarma — stwierdził Eis. — Może chce ten swój pogrzeb urządzić pod osłoną policji? Niewykluczone, że Klinger da się Maternie wystawić na pośmiewisko.

Johannes Eichler przez minutę nie wyrzekł ani słowa. Eis rozkoszował się, choć ostrożnie, faktem, że jego chlebodawca ma trudności. Z gospody dochodziły pierwsze odgłosy wrzawy żałobników w świątecznych nastrojach.

— Mam zgodę rady gminnej — powiedział Eichler kalkulując. — Na wierności moich licznych kolegów mogę polegać. Pastor nie będzie się wtrącał. Co prawda muszę jeszcze pogadać z żandarmem. A Materna z dwudziestoma może by się bił, ale nie z dwustoma.

Zjawił się Scharfke. — To świństwo! — oznajmił. — Żałobnicy siedzą o suchym pysku. Tylko Uschkurat chła jak wieprzek, ale na własny koszt. I plecie przy tym takie głupstwa, że aż uszy puchną.

— A co takiego mówi?

— Dziwne rzeczy — informował Scharfke. Nie podobał mu się nastrój: za mało wesołych twarzy, za dużo suchych gardel. — Uschkurat plecie jak głupi, nie da się tego słuchać na trzeźwo, panie Eichler.

Johannes Eichler zgodził się z tym. — Piwo i wódka dla każdego na początek — zarządził. — Na mój koszt.

— Materna i żandarm idą przez plac — zameldował Eis od okna. — Teraz się rozchodzą, nie podają sobie ręki. Materna idzie dalej w kierunku plebanii. Żandarm idzie prosto tutaj.

— Duże piwo i podwójna wódka — skorygował Eichler swoje dyspozycje. Scharfke zaczął się uśmiechać. Eugen Eis poprawił się na swoich poduszkach.

— Jesteśmy coraz bliżsi rozstrzygnięcia!

— Mój drogi — powiedział Eichler przymilnie i zarazem ostrzegawczo do żandarma Klingera. — Wiem, co widziałem. Mianowicie dwa granaty ręczne.

— To były ślepe granaty.

— Ale mogły być ostre! Czy mam czekać, aż zdechnę?

Żandarm pocił się w swoim grubym mundurze. Eichler miał uczucie, że ma przed sobą kogoś, kto potrzebuje pomocy. Zdawało mu się, że wie, co go gnębi: przypuszczalnie jego własny syn był zamieszany w historię z granatami. Tym samym miałby więc Klingera w garści. Eichler nie był drobiazgowy; gotów był obiecać żandarmowi złote

góry, jeśli ten zgodziłby się na poufną współpracę z nim, przez co rozumiał, że odtąd on, Eichler, określałby, jaki rodzaj harmonii ma panować między nimi.

— Niestety — powiedział żandarm — co się tyczy sprawcy albo sprawców, brak mi dotychczas jakichkolwiek namacalnych dowodów.

— Naprawdę? — Eichler uśmiechnął się, wychodząc mu uprzejmie naprzeciw. — A może wcale nie musicie zbyt daleko szukać? Czy pewne podejrzenia same się panu nie narzucają?

— Podejrzenia nie wystarczą, ja potrzebuję dowodów. Aby je zdobyć, muszę działać metodycznie. A to oznacza w praktyce: żebym mógł z całą pewnością ustalić tych albo tego, kto rzucił granaty, muszę najpierw stwierdzić pochodzenie owych granatów.

— Człowieku — powiedział Eichler zaskoczony — jak pan to stwierdzi?

— Narzędzie, za pomocą którego dokonano przestępstwa, zwykle jest najpewniejszym śladem prowadzącym do przestępcy — oświadczył żandarm. — A więc muszę się dowiedzieć, skąd pochodziły te granaty. Skąd się w ogóle wzięły w tej okolicy. Jak się dostały w ręce przestępców.

— To na pewno nie wyrosło na pańskim gnoju! — powiedział Eichler bezdźwięcznie, po krótkiej przerwie.

Żandarm orientował się w układach na swoim terenie, ale dotychczas nie przyjmował ich oficjalnie do wiadomości. Wiedział o magazynach broni, zawsze jednak świadomie nie zauważał tych pozostałości z wielkiej wojny.

— Posiadanie i magazynowanie broni i amunicji — powiedział odważnie — jest karalne.

— Nie, czegoś takiego nie mógł pan sam wymyślić — powtórzył Eichler. — Musiał ktoś tu się wtrącić, i nawet nietrudno zgadnąć, kto. Oczywiście Materna!

Żandarm nie zaprzeczył, ale i nie potwierdził. Powiedział tylko, krnąbrny jak mazurski muł: — Albo całkowicie, albo wcale. Nie załatwiam spraw do połowy.

W ciągu następnej godziny Johannes Eichler próbował przeciągnąć żandarma na swoją stronę. Apelowal do jego uczuć patriotycznych, wreszcie zagroził. Nie może uwierzyć, że żandarm, były zasłużony żołnierz, byłby gotów stanąć przeciwko społeczności świadomej swej przynależności narodowej.

Żandarm pocił się, ale trwał przy swoim. — Spełniam tu tylko mój obowiązek, nie zważając na nikogo, nawet na siebie!

W tej chwili ukazał się pastor Bachus. Wpadł niemal jak młodzieniec i oznajmił: — Przynoszę dobrą nowinę!

Johannes Eichler spojrział na niego nieufnie. -- Czyżby Materna również u pana wyładował swój gnój?

— Może pan to tak nazwać — powiedział wspaniałomyślnie pastor. — My, wieśniacy, potrafimy docenić wartość nawozu. -- Na nogach miał buty z cholewami, oblepione ziemią, przychodził bowiem wprost z pola. Po zajęciach z Biblią przystępował natychmiast do uprawy swojej kapusty, a efekty tej pracy często przekonywały bardziej niż wysiłki związane z wykładaniem Pisma Świętego.

Cóż takiego dobrego mogło wyjść od Materny?

Bachus złożył dłonie — były szerokie jak łopaty i w tym momencie, niezbyt czyste. — To, co się stało, mogę określić jako niespodziewane oświecenie.

— Coś takiego się zdarza — przytaknął żandarm przychylnie.

— A więc — oświadczył Bachus z godnością — Alfons Materna zgadza się na okazały, zbiorczy pogrzeb swojego syna Alfreda. I każdy, kto zechce wziąć w nim udział, będzie mile widziany. Nie wyklucza nikogo, wyraźnie powiedział: nikogo!

— Bravo! - - zawołał żandarm stłumionym głosem, z wyraźną ulgą.

Eichler spoglądał nieufnie. Wydawało mu się, że zna Maternę bardzo dobrze. Ale pastor ciągnął dalej z zapalem: — Przysięgał mi. On nie pragnie nic więcej niż tylko, godnego pogrzebu swego najukochańszego syna. Czyż mamy mu tego odmówić?

— Wprost przeciwnie! — powiedział Eichler pospiesznie. — Ale biada mu, gdyby zechciał zastawić na nas pułapkę. Wówczas będzie podwójny pogrzeb.

Na godzinę przed: ustaloną porą pogrzebu zjawił się Siegfried Grienspan. Przybył na rowerze, w swoim odświętnym ubraniu, chudy i czarny jak kruk.

Alfons Materna wyszedł przed dom. — Serdecznie witamy! — powiedział. — Nie przypuszczałem, że jest pan taki żądny rozrywki, panie Grienspan.

— Jestem tu całkiem przypadkiem — oświadczył handlarz bydła.

— I całkiem przypadkiem ma pan na sobie czarny garnitur. Rogaczna, którą pan kupuje, musi być szczególnie smutna.

Położył rękę na ramieniu Siegfrieda Grienspana i wciągnął go do domu. A kiedy znaleźli się sami w dużej izbie, Materna powiedział: ~-Dziękuję. — I nic więcej.

Grienspan usiadł. Wyglądał na zmęczonego. Jazda w prażącym słońcu była nad wyraz męcząca. Wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła.

— Zawsze widzę pana opanowanym, drogi przyjacielu — powie dział. — Ten widok dobrze na mnie działa.

— Jeśli pan się przyjrzy dokładniej, spostrzeże pan, że jestem wprost wesoły.

— To dobrze — odrzekł Siegfried — zwłaszcza że śmierć jest tylko przejściem, przypuszczalnie do lepszego świata.

— A zatem ci, którzy człowieka wyprawiają na tamten świat, są nawet dobroczyńcami!

— Materna — zapytał Grienspan zatroskany — dokąd prowadzą takie myśli?

— Prosto do nieba — odpowiedział Materna.

Grienspan podniósł się i zaczął chodzić nerwowo po izbie w tę i z powrotem. Zaciskał przy tym palce.

Nagle przystanął i powiedział: — Miałem brata. Nie znał go pan; zapewne nigdy pan o nim nie słyszał. Mówiono o nim, że jest całkiem inny niż ja, i mówiono to z uznaniem. Dał się zabić w Berlinie wiosną dziewiętnastego roku za to, co nazywał swoimi przekonaniem. Rozumie pan? Pozwolił, żeby go zabili.

— Takie rzeczy się zdarzają, Grienspan. To na pewno godne szacunku, choć nie najlepsze wyjście.

— I pan to mówi, Materna! A co pan robi? Prawie to samo co on!

Alfons Materna uśmiechnął się. — Dziś, w tym jednym dniu, widziałem trzy rzeczy i trzech ludzi, którzy poruszyli moje serce. Jeśli idzie o rzeczy, były to rozkwitające róże przed moim oknem, przejrzysta jak kryształ woda, która spływała do koryta krów, i drzewo, które zdawało się rozdzielać ołowiane niebo. Następnie ludzie: po pierwsze, Jakub Jabłoński, z tej samej krwi co ja; następnie Maria, moja głuchoniema służąca, która za pomocą ruchu ręki potrafi opisać całą kulę ziemską i każdego dnia uprzytamnia mi, że żyję; i wreszcie pan, panie Grienspan, na którego widok doznaję uczucia, że jednak istnieją przyjaciele.

— Jaki pan jest uparty — powiedział Grienspan ze smutkiem. — Wciąż pan pozwala sobie na marzenia. Co więcej, chce pan przenosić góry i odwracać bieg rzek.

— Wszystko jest możliwe.

— A czy można także zmieniać ludzi?

— Nie tylko można, ale nawet trzeba, w każdym razie należy próbować.

Siegfried Grienspan potrząsnął głową. — Czy pan się nie boi — zapytał ostrożnie — że pan siebie przecenia? Albo też ja pana nie całkiem rozumiem.

— Nikt nie rozumie drugiego człowieka. — Materna zdawał się wesoły, ale jego szare mysie oczy patrzyły smutno. — Trzeba się z tym pogodzić.

— Czy mam już sobie pójść? Nie chciałbym panu przeszkadzać — powiedział Grienspan.

Materna roześmiał się ledwie słyszalnie. — W żadnym razie nie, wolno panu opuścić przedstawienia, na które się zdecydowałem!

— Materna, pan jest szalony!

— Tylko żadnych przedwczesnych laurów — powiedział Materna. — Nie jestem bowiem pewien, czy moje rachunki się wyrównają. Ale jestem pewien, że się zgadzają. Głupota ludzka rządzi się żelaznymi prawami.

Uroczystości pogrzebowe Alfreda Materny rozpoczęły się o wyznaczonej porze. Punktualność należała do oczywistych cech mieszkańców Maulen, przynajmniej dopóki byli trzeźwi. Dzwony pogrzebowe były jak prastary niezawodny zegar.

— Pora już — powiedział pastor Bachus i nałożył sutannę.

Trumną stała przykryta i zaśrubowana przed ołtarzem. Piętrzyły się na niej kwiaty, głównie róże; rosły bujnie o tej porze roku. Z lewej i prawej świeczniki. Po obu stronach drzewa wawrzynowe. Przed trumną chodnik, granatowy z żółtymi i złotymi symbolami: krzyżami, rybami, koronami.

Taki dzielny, miły chłopiec — powiedziała zwolniona od czynszu wdowa Meta Mischgoreit, która wytrwale przepychała się do przodu. — Na pewno uśmiechał się słodko, kiedy Dobry Ojciec powołał go do siebie.

— Bzdura! — rzekł Jakub Jabłoński. — Jego głowa jest jak bryła błota. Nieprawdopodobne, żeby coś takiego mogło się uśmiechać.

— Bóg jest miłościw swoim biednym duszyczkom! — zawołał Uschkurat energicznie. Miał już za sobą pierwsze oszołomienie alkoholem — prawdziwy Mazur, mówiono, mógł przezwyciężyć trzy takie oszołomienia dziennie. Jęcząc i stękając, ocierał sobie pot z czoła. — Nie wolno mówić źle o zmarłych.

— A już na pewno nie o tym — powiedział uroczyście stojący obok Gottlieb Speer. — On zmarł jak bohater.

— Taki jest los — syknęła Mischgoreit.

— Proszę o spokój — rzekł kościelny cicho, ale tak, że nie można go było nie usłyszeć. — W kościele ma prawo mówić tylko ksiądz! Wszyscy inni tylko się modlą albo śpiewają na dany znak.

Większość zgromadzonych pochyliła głowy. Uschkurat zatoczył się na ławkę. Speer podtrzymał go troskliwie. Mischgoreit uklękła pośrodku przejścia.

Wokół trumny stali: Margarete Materna, która uplasowała się najbliżej ze wszystkich; nowy jedwabny szal okalał jej pobladłą twarz; tuż za nią klęczało rodzeństwo zmarłego — brat Hermann, ten, który rzucił granat; stał niemal na baczność i patrzył poważnie przed siebie, obok niego jego siostra Brigitte; szlochając od czasu do czasu, obserwowała zza chusteczki do nosa tłoczących się uczestników uroczystości nie uszło jej uwagi, że niejedno męskie oko spoglądało na nią z uznaniem.

Dopiero jakiś czas później przyszedł Alfons Materna. Twarz miał całkowicie bez wyrazu. Stał z boku i tkwił bez ruchu jak kamień.

— Pomódlmy się! — zawołał pastor Bachus.

W trzecim i czwartym rzędzie stała służba Maternów. Maria, służąca, patrzyła w podłogę. Jakub Jabłoński zamknął oczy; zdawał się rozmyślać. Za nimi, bez ruchu, stali dojarze, służba folwarczna, stajenny i dziewczki służebne.

— Pochylmy się w pokorze przed majestatem śmierci — powiedział Bachus.

Obecni zdawali się być gotowi do tego. Ale nikt z zebranych nie był wolny od niepokoju, nie zjawił się bowiem jeszcze Johannes Eichler. - Niemal wszyscy żałobnicy zadawali sobie pytanie: co się stanie, jak przyjdzie?

Ale już teraz można było ocenić: był to pogrzeb, jakiego Maulen dotąd nie oglądało. Kościół ledwie mógł pomieścić wszystkich uczestników. Mężczyźni, kobiety i dzieci tłoczyli się nawet na chórze.

Zjawiły się delegacje związków, stowarzyszeń i organizacji z Maulen oraz bliższych i dalszych okolic. Był więc Związek Bojowników z Gross-Grieben; ich znany historyczny sztandar trzymał niegdyś w swoich zwycięskich dłoniach generał feldmarszałek Hindenburg i Beneckendorff, aby go następnie udekorować czarno-biało-czerwoną wstęgą. Lśniąc pochylał się w kierunku trumny.

Następnie przybył znany na całym Mazurach chór mieszany

z Siegwalde. Dwukrotnie zdobył on główną nagrodę w konkursie Śpiewająca Ojczyzna . Na jego emblemacie widniało hasło: Pieśń czyni wolnym.

Obok zajęło miejsce Stowarzyszenie Strzelców z Seebergu. Ich letnie uroczystości cieszyły się wielką popularnością, ich hasło zaś brzmiało:

Pełni tężyzny dla naszej Ojczyzny!

Przybyły też delegacje związków weteranów, strażaków, towarzystw sportowych. Stali wszyscy stłoczeni, ramię przy ramieniu. Działwa szkolna stawiała się w komplecie, aby odbyć lekcję pogładową na temat zwyczajów ludowych i organizowania patriotycznych uroczystości.

Miejscowy Heimatschutz wyprosił sobie prawo do przetransportowania trumny ze zwłokami zmarłego kolegi z kościoła na cmentarz, a następnie złożenie jej do grobu. Materna przystał na to życzenie, wyrażone z niezwykłą uprzejmością.

Tylko kto będzie dowodził Heimatschutzem, skoro odpadł Eugen Eis? To pytanie zadawało sobie wielu.

Heimatschutzem dowodził osobiście Johannes Eichler! Na czele wyselekcjonowanych ludzi, ubranych w szare wiatrówki, wkroczył do kościoła; jego świta pomaszerowała równym krokiem w stronę ołtarza, do trumny, do Alfreda Materny.

W tym momencie skończyła się pieśń *Wolamy Cię, Boże*. Organy zagrzały jeszcze raz i zamilkły. W kościele zapanowała cisza jak makiem zasiał.

Johannes Eichler, wyprostowany i blady, maszerował jakby na transporterze, którego nie sposób zatrzymać. Zahamował trzy metry przed trumną. Spojrzał na Maternę, wyciągając jednocześnie do tyłu prawą rękę; podano mu wieniec dębowy. Na czarno-biało-czerwonej szarfie był napis: Niezapomnianemu Koledze, wierni przyjaciele .

Alfons Materna spojrział na ostatni filar, tam gdzie stał Siegfried Grienspan, i uśmiechnął się, co wszyscy zauważyli. Na ten widok wszystkim przeszły ciarki po twarzach, jak później twierdzili. Każdy, kto wówczas znajdował się w kościele w Maulen, był przygotowany na coś niezwykłego.

I rzeczywiście: stało się! Stało się wówczas, kiedy pastor Bachus wykrzyknął ostrzegającym i błagalnym tonem:

— Uszanujmy pamięć naszego drogiego zmarłego!

Alfons Materna ruszył z miejsca — powoli, mechanicznie, prawie jak lalka, którą ktoś pociąga za druty. Zrobił trzy, cztery kroki, które wydawały się nie mieć końca, w kierunku Johanna Eichlera. Stał przed nim, spojrział na niego. Mijały męczące sekundy.

A potem Materna wyciągnął prawą rękę do Eichlera i powiedział tak, że wszyscy słyszeli: — To ładnie, żeś przyszedł.

— To był mój obowiązek — odparł Johannes Eichler z wysiłkiem. Sprawiał wrażenie człowieka stojącego w łagodnym letnim deszczu, który oczekuje lodowatego gradu albo grzmotu i piorunów.

— Twój udział — powiedział Materna tak, że było go wyraźnie słyszać w każdym kącie kościoła — zostanie przeze mnie doceniony we właściwy sposób. Przrzekam ci to.

— Dziękuję — odrzekł Eichler ciężko.

Ujął wyciągniętą ku sobie dłoń i ucisnął ją. Nie miał innego, wyboru — patrzyło na niego kilka setek oczu. Pochylił się nisko, być może, aby ukryć zmieszanie.

— Jak Hindenburg i cesarz! — westchnęła Mischgoreit. — Zupełnie jak na obrazie, który zawsze wisiał nad łóżkiem mojego drogiego męża

A pastor Bachus zawołał: — Chwalmy naszego Pana, albowiem, cudowne są jego ścieżki!

Tego dnia i w tej godzinie — takie było powszechne odczucie — pastor Bachus przeszedł samego siebie. Jego głos dorównywał dźwiękiem organom. Rozpostartymi ramionami starał się przygarnąć do swego ojcowskiego serca całe Maulen, łącznie z Materną i Eichlerem.

— To, co się właśnie stało — wykrzyknął — można nazwać podniosłym i godnym naśladowania. To zrządzenie losu!

Wdowa Mischgoreit wybuchnęła szlochem, uszczęśliwiona. Uschkurat przycisnął dłoń do ust; wstał i wyszedł, zataczając się. Speer pospieszył mu usłużyć z pomocą.

A Materna i Eichler stali obok siebie, w pierwszym rzędzie żałobników. Galaretowata zgoda zdawała się ciasno otaczać odwiecznych wrogów. Organista wyciągnął wszystkie rejestry.

— Co za podniosły widok — powiedział Konrad Klinger zamysłony. — Oto stoją obaj przed trumną, w której leży Alfred — jeden sprowadził go na ten świat, a drugi wyprawił na tamten świat.

— Same ważne figury, gdziekolwiek spojrzeć — stwierdził Peter Bachus. — Ale Materna zdaje się być najważniejszy ze wszystkich.

— Czyżby? — zapytał Konrad.

A zadał to pytanie nie swojemu przyjacielowi Peterowi, tylko mężczyźnie, który stał obok niego, opierając się o kolumnę. Był to Siegfried Grienspan.

Grienspan nie odpowiedział. Jego oczy spoglądały smętnie. Wyjął chusteczkę i wytarł nos.

A dla mieszkańców Maulen pojednanie obu wielkich wsi zdawało się całkowite, albowiem kiedy mężczyźni z Heimatschutzu wzięli na ramiona trumnę, w pierwszym szeregu za nimi poszli Eichler i Materna. Dopiero potem szła Margarete i inni najbliżsi. A za nimi całe Marlen i okolice. Wchłonął ich cmentarz.

Teraz nastąpił ciąg dalszy tego niezapomnianego widowiska. Składał się on ze zwyczajowych mów pogrzebowych, zwanych przez pastora Bachusa pobłażliwie świeckimi kazaniami.

Pierwszym mówcą był kolega z Heimatschutzu. Powiedział prosto i dobitnie: — Nigdy cię nie zapomnimy, Alfredzie! — Następnie złożył wieniec.

Potem przyszła kolej na następnych. Oni również na szczęście nie używali zbyt wielu słów. Mazurzy nie byli narodem mówców, byli raczej ludźmi czynu. — Spoczywaj w spokoju wiecznym, przyjacielu Alfredzie! — zawołał jeden z kolegów stłumionym głosem. — Inny zaś rzekł: — Wierność za wierność. — Trzeci natomiast: — Za naród i ojczyznę!

Znany szeroko chór z Siegwalde zaśpiewał ową pieśń, dzięki której zdobył pierwsze miejsce w kraju. Brzmiała ona:

Pod stopami pole, łąka,
Obok srebrny strumyk płynie,
W górze słodki śpiew skowronka,
Ileż piękna w mej ojczyźnie.

Kiedy fala ogólnego podniecenia trochę opadła, nad otwartym grobem stanął jako ostatni Johannes Eichler. Zapytał uprzednio Alfonsa Maternę koleżeńskim tonem: — Pozwolisz mi, prawda? — Materna odrzekł: — Proszę bardzo! — I wszyscy, którzy stali obok niego, przyjęli to z zadowoleniem.

Przez kilka chwil Johannes Eichler zdawał się spoglądać w dół do głębi poruszony. Następnie podniósł głowę, jego usta otworzyły się i pozostały otwarte; wyglądało to tak, jakby nie mógł wydobyć słowa. Materna spojrział na niego zatroskany. Ale po chwili zebrani usłyszeli: — Drogi Alfonsie Materna z rodziną! Drodzy przyjaciele! Koledzy! Zebraliśmy się tu, aby pochować jednego spośród nas. Był jednym z najlepszych. Pozostanie na zawsze w naszej pamięci!

Chłopiec ten rozpoznał znaki czasu. Wcześniej znalazł właściwą dla siebie wspólnotę. Wiedział, co to jest miłość ojczyzny. Wiedział, że nie

jest to przyjemne urojenie. Że trzeba być gotowym oddać nawet życie. I tak uczynił.

Gdyby wszyscy byli tacy jak on, nie obawiałbym się o przyszłość naszego narodu. Jest on przestrogą i wzorem jednocześnie. Naśladowanie go powinno być dumnym celem nas wszystkich. Żegnamy cię z ciężkim, ale i wzniosłym sercem, Alfredzie — i zgodnym chórem wołamy: Spoczywaj w spokoju!

Wokół milczenie. Johannes Eichler podszedł do Alfonsa Materny i podał mu dłoń. Materna ją przyjął. Margarete aż się zatoczyła ze wzruszenia. Jakub Jabłoński przytrzymał ją jednak mocnym chwytem.

Grienspan patrzył zaniepokojony na Konrada i Petera, którzy pospiesznie się oddalali, parszkając przy tym godardliwie.

Komendant ochotniczej straży pożarnej dał znak orkiestrze. Z osiemnastu lśniących w słońcu instrumentów rozbrzmiała pieśń *Wzniesmy modły...* Dudniące dźwięki trąb zagłuszały dalsze słowa.

Kiedy przebrzmiały potężne tony, wystąpił pastor Bachus, aby odmówić ostatnią modlitwę. Ale Alfons Materna powstrzymał go. Sam stanął teraz na krawędzi grobu. Patrzył z tego miejsca ciekawie na zdumione twarze stojących dokoła.

— To nie było zaplanowane — szepnęła zaniepokojony Eichler do pastora. — To może przybrać zły obrót.

Ale Bachus westchnął: — Jeśli chce koniecznie przemówić, nie można mu zabronić.

Wiał lekki, łagodny wietrzyk. Poruszał wierzchołkami drzew i niemal bawił się delikatnie szarfami wieńców. Welon Margarete powiewał i dotykał nieruchomej twarzy Johanna Eichlera, tak jakby chciał ją zasłonić.

A Alfons Materna powiedział: — Cóż to jest życie ludzkie? Każdy, kto żyje, ten umrze. Wszędzie na tej ziemi ludzie umierają, na Dalekim Wschodzie i na Południu. Tyle tylko, że umierający synowie Chińczyków nas nie wzruszają, tak samo Murzyni Bantu. Kiedy jednak chodzi o naszą własną skórę, przejmujemy się, chociażby tylko przez te parę minut, kiedy chowamy jednego z naszych zmarłych. A powszechnie mówi się: Trudno, trzeba ponosić ofiary.

Należy sobie jednak zadać pytanie: dlaczego i za co mają być ponoszone te ofiary? Twierdzi się, że żyjemy w uporządkowanym, uznanym przez nas samych porządku świata, w którym wszystko ma swój sens. A zatem i owe ofiary powinny mieć swój widoczny sens.

Jestem ojcem, który stracił syna — to samo w sobie nic szczególnego. Śmierć człowieka można uważać za coś powszedniego. Ale tego

rodzaju sprawy niekoniecznie muszą być jednoznaczne z prawem i sprawiedliwością. Wniosek z tego rodzaju poznania nasuwa się z całą mocą. Nie mogę się od tego uchylić. Przrzekam to memu zmarłemu synowi.

Postaram się, aby mógł spoczywać w spokoju.

— O Boże — szepnął Siegfried Grienspan, który stał z tyłu — mam nadzieję, że nikt go nie rozumie.

Ale nie trzeba się było tego obawiać. Każdy bowiem słyszał to, co chciał usłyszeć. Johannes Eichler wymownym gestem powtórnie wyciągnął rękę z widoczną ulgą i powtórnie Materna ją ujął. Niewiele brakowało, a tłum zacząłby klaskać.

Potem pastor wypowiedział ostatnie błogosławieństwo: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Orkiestra odegrała marsza. Przy jego dźwiękach tłum uformował się w grupy i w zwartym szyku podążył w kierunku gospody. Tu były już przygotowane orzeźwiające napoje w wiadrach.

Minęło kilka minut, a grób Alfreda Materny stał się samotnym kopcem pośród setki innych.

Na cmentarzu w Maulen było jeszcze wiele miejsca.

IV

Najpierw jest błyskawica; grzmot następuje później.
A potem deszcz może przynieść urodzaj.

— Człowiek jest zwierzęciem, które się do wszystkiego przyzwyczaja — powiedział Johannes Eichler nabrzmiały myślami. — Ale nie powinien taki pozostać, albowiem wtedy życie nie ma wielkiego sensu. Musi on dążyć do doskonałości.

Powiedział to do Eugena Eisa; ten słuchał na pozór z nabożeństwem. Jednakże, jego zdaniem, Eichler w ostatnim czasie wypowiedział zbyt wiele podniosłych myśli. A w praktyce niewiele z tego wynikało. Potrzebne są czyny, jeśli Maulen ma rozkwitać.

— Według mnie sens ma tylko to, aby zgnoić ostatecznie Maternę — powiedział Eis. — Okazja po temu jest teraz w miarę korzystna.

— Jak ktoś raz straci mir u ludzi, to mu już nic nie pomoże — rzekł Johannes Eichler. Wyciągnął się przy tym na krzesło przy biurku. Jego brzuch pęczniał jak balon na uwięzi, który jest powoli nadmuchiwany.

— Materna jest moralnie skończony. Ale mnie chodzi zasadniczo o co innego — o wewnętrzne wartości, by tak rzec, o piękniejsze uczucia, które jednak często związane są ze szczególnymi trudnościami.

— Awantura z gospodynią? — zapytał Eis mrużąc oczy. — Czy ze służącą?

— U mnie nikt się nie awanturuje, a jeśli już, to zawsze tylko raz.

— Oczy Johanna Eichlera zabłysły ostrzegawczo jak sygnał świetlny. Jednakże zaraz znowu uśmiechnął się po koleżeńsku.

— Jestem w głębi niezadowolony, wiesz o tym. To się bierze z mojego poczucia jakości.

— Ze mną jest podobnie — powiedział Eugen Eis. — Szczególnie jeśli chodzi o Christine Scharfke, córkę szynkarza. Zapewne bardzo się stara, ale do ideału jej daleko.

— Eugen — powiedział Johannes Eichler — mnie w żadnym razie nie chodzi o niskie uciechy.

Eis spojrzał niemal prostodusznie. — Wiem, że ty zawsze dążysz do wyższych wartości.

— Tak właśnie jest! — Eichler powiedział to całkiem poważnie. Ostatnio często mu się zdarzały chwile głębokiej zadumy, nawet w gospodzie przy wesołej popijawie. — Dążenie do wyższych celów, Eugen, to cecha niemiecka.

— Być może — przytaknął Eis skwapliwie — ale czego ty jeszcze chcesz? Przecież w Maulen ostatnio każdy ci je z ręki — zwyciężyłeś na całej linii.

— Ale nie stałem się z tego powodu prózny — Johannes Eichler uśmiechnął się zadowolony, ale jednocześnie melancholijnie. Widać było, że czegoś mu brakuje do szczęścia. Wstał: — Zamierzam się trochę przewietrzyć.

— Potrzebne ci towarzystwo? — zapytał Eis usłużnie.

— Dziękuję — Eichler odmówił uprzejmie. — Chcę pobyć trochę sam na łonie przyrody.

— Materna podobno sprowadził sobie dwa groźne psy — ostrzegł Eis. — Poza tym widziano Jabłońskiego, jak ostrzył nóż. Nie zapominaj o meldunku Fischera, że w ostatnim tygodniu z jego zapasów zniknęły dwa karabiny, a do tego amunicja.

— Kiedy Materna mnie widzi, już z daleka zdejmuje kapelusz. — Eichler uśmiechnął się z wyższością. — A jeśli to tylko możliwe, schodzi mi z drogi szerokim łukiem.

— Czy ty się go boisz? — zapytał Jakub Jabłoński zasmucony. Materna podniósł głowę. — A czy na to wygląda?

— Oczywiście!

— To dobrze — powiedział Materna. — Cieszy mnie to. Ale jeszcze bardziej będę cię cieszył, jeśli ty będziesz się mniej troszczył o mnie, a więcej o nasze nowe owczarki.

Jakub Jabłoński wiejskim zwyczajem wysmarkał nos w dłoń. Następnie wytarł ją o spodnie. — Najlepiej jeśli je nauczę stawać na baczność na dźwięk imienia Johanna Eichlera.

— Jaki pan, taki pies, co? Materna uśmiechnął się zmrzywszy oczy, jak gdyby patrzył w daleki cel. — Ale czyż każdy nie ma takiego przyjaciela, na jakiego zasłużył? A może już nie jesteś moim przyjacielem?

— Pójdę do psów — powiedział Jabłoński niechętnie. — A na głupie pytanie nie daję głupich odpowiedzi, przynajmniej tobie - nie. Rób tak dalej — może nadejdzie dzień, kiedy powiem do ciebie proszę pana .

Opuścił Maternę. Alfons pozostał sam na ławce przed domem i patrzył w nadpływający zmierzch. Niebo barwiło się na różowo, słońce opadało — jak odcięte — za horyzontem; nad drzewa wypełzała niebieskawa czerń. Znów jeden dzień jego życia zaczynał umierać. Materna zamknęła oczy.

Kiedy je znów otworzył, zobaczył, że stoi przed nim Maria. Jej twarz wyrażała pytanie, wciąż to samo pytanie: Co mogę dla pana zrobić?

Alfons skinął jej głową. Zaczął zdejmować buty. Były ciężkie od przyklepionej ziemi. Maria ukłękła i pomagała mu przy tym. Jej ruchy były pewne i nawet przy takiej czynności nie pozbawione wdzięku. Nawet kiedy Maria wiązała snopy albo roztrząsała gnój, poruszała się jak w tańcu. Materna często przyglądał się jej ze skrywaną radością.

— Czy i w twoich oczach jestem jak pies, który służy? — zapytał.

Maria potrząsnęła głową. Pasma długich, gładko zaczesanych włosów zakrywały część jej twarzy. Zdawała się rozumieć, co powiedział, choć była głucha i niema. Wydawało się, że potrafi wyczytać wszystko z jego ust — każde słowo.

— Prawda, że ty mi wierzysz, że nie jestem zwierzęciem, że nigdy nie chcę być zwierzęciem, pod żadnym pozorem?

Teraz Maria skinęła głową. Jej twarz płonęła. Była to okrągła, jeszcze gładka, niemal dziecięca twarz, ale o dojrzałej słodyczy. Linia pomiędzy brodą a szyją zdradzała subtelny powab. Prowadziła do łagodnych zaokrągleń jej piersi, których nie mogły zatrzeć grubo pofałdowane płótna.

Dziewczyna odwróciła głowę. — Mario — rozległo się wołanie od drzwi — chodź natychmiast do domu!

Był to głos Margarete; również ją Maria zdawała się rozumieć. Wzięła buty Materny, przycisnęła je do piersi i pospieszyła do domu.

— Powinnaś ją lepiej traktować — powiedział Materna przyjaźnie. — Zasługuje na to.

— Ona musi opuścić ten dom — rzekła Margarete. — Tak nie może dalej być.

— Ona tu zostanie — powiedział Materna spokojnie. Obserwował żonę, która stała przed nim, oddychając pospiesznie. Stawianie żądań leżało w jej naturze; jego głównym zadaniem było odrzucanie tych żądań. — Bo ten dom jest wciąż jeszcze moim domem.

— Ta dziewczyna cię kocha! — zawołała Margarete oskarżycielskim tonem. — Widzi to każdy, kto nie jest ślepy!

— Dla mnie to tylko zaszczyt — rzekł Materna, stęknawszy lekko,

ponieważ pochylił się, aby poprawić skarpety. — To bardzo rzadko się zdarza, żeby człowiek naprawdę kochał drugiego człowieka. Tak spontanicznie, bez żadnego przymusu. W żadnym wypadku nie jest to powód do wymówienia.

— Jakże przeraźliwie mało dla ciebie znaczą! — powiedziała Margarete. — Jeszcze nigdy nie było to dla mnie tak zawstydzająco jasne jak w ostatnich czasach.

Ludzie w Maulen, którzy sądzili, że znają Alfonsa Maternę, zwykli mówić: Nigdy nie było łatwo go zrozumieć. I prawie zawsze on sam

był temu winien. Jego szczególne upodobania zdawały się służyć wątpliwym sprawom. Opowiadano, że w czasach młodości rozmawiał ze zwierzętami jak z ludźmi. Jako chłopiec opiekował się ściganym listem gończym włóczęgą, który leżał chory w jego stodole. Kiedy miał dziesięć lat, zwędził wódkę dla starej kobiety, która była na dnie, na krótko przed jej śmiercią. A podczas wojny był karany za kontakty z jeńcami wojennymi — mimo wielokrotnych ostrzeżeń. Nigdy nie wspiął się ponad najniższy stopień wojskowy.

Poza tym Materna zawsze bronił Jabłońskiego, nawet kiedy słusznie go atakowano. W szkole ostentacyjnie dzielił się z Jakubem śniadaniem; pomagał mu w lekcjach i wciąż się za niego bił. Tym sposobem tak, twierdzono — wychował sobie niewolniczego sojusznika.

Jeszcze bardziej zastanawiające — zdaniem ludzi — było pojawienie się Marii, głuchoniemej Polki. Tu w istotny sposób maczał swe palce handlarz bydła Grienspan. Pewnego dnia, latem 1922, wyruszyli obaj, aby po tamtej stronie granicy kupić gęsi i świnię. 'Przywieźli z tej podróży Marię. Podobno była sierotą, miała wówczas dziesięć lat. Alfons był dla niej jednocześnie ojcem, matką, bratem i Bóg wie, kim jeszcze. W każdym razie nikt nie był Maternie tak oddany — niektórzy mówili: poddany — jak ta cudzoziemska dziewczyna.

— Ja w każdym razie mam tego dość — powiedziała Margarete;

— Co cię opętało? — Materna zerknął na żonę. — Myślisz, że jestem teraz mały i brzydki, że przetrącono mi kręgosłup? Czy tak?

— Jestem zdecydowana nie znosić dłużej pewnych rzeczy!

— A teraz posłuchaj mnie, proszę — powiedział Materna, - Jeśli Maria mnie kocha, to jej sprawa. Jeśli ci to przeszkadza, to twoja sprawa. A jeśli ja kocham Marię, to moja sprawa.

— Ale to mnie ślubowałeś!

— Tego właśnie nigdy nie zapomniałem. Ale powiadam ci otwarcie: niejeden raz mi to ciążyło.

Wpadł Jakub Jabłoński. Ręce trzymał w górze, jakby się bronił

przed atakiem. Zawołał alarmującym głosem:— Johannes Eichler nadchodzi!

Alfons Materna wstał. Rzekł: — Wychodzę. Być może to dłużej potrwa. Tymczasem moja kochana żona poświęci chyba trochę czasu drogiemu gościowi.

— A to co znowu ma znaczyć? — zapytała Margarete niespokojnie.
— Czego chcesz ode mnie?

— Zawsze wszystkiego, co najlepsze! — Niemal z radością Materna udał się do trzydrzwiowego wychodka na końcu podwórza.

Ale zanim otworzył drzwi prowadzące do miejsca, które było zastrzeżone wyłącznie dla niego, zawołał do żony, spoglądającej na niego w osłupieniu: — Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo na tobie polegam! Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

— Co za wspaniały traf, że cię spotykam — rzekł Johannes Eichler wchodząc. — Właściwie to chciałem zamienić kilka słów z twoim mężem.

— Materna na chwilę wyszedł — odrzekła Margarete. — Musisz się tymczasem zadowolić mną.

Eichler powiedział teraz dokładnie to, co w podobnej sytuacji zwykło się mówić, a mianowicie: — Sprawia mi to wielką przyjemność.

— Uśmiechnął się zachęcająco i ujął jej dłoń. — Jesteś wprost niezwykła! — stwierdził.

Margarete uśmiechnęła się uradowana. —A ty jesteś chyba jedynym człowiekiem, który to widzi.

Był tym jedynym! Ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo do izby wszedł Jabłoński. Wyszczerył zęby i przyglądał się Margarete i Johannesowi z nie ukrywaną ciekawością.

— Gdzie jest Materna? — zapytał Eichler.

— Przypuszczalnie w lesie — odpowiedział Jakub Jabłoński usłużnie.
— Poszedł w kierunku jeziora.

— Wobec tego pójdę go poszukać.

— Alfons zabrał ze sobą flintę — powiedział Jabłoński od niechcienia.

— Śmieszny jesteś! — rzekł Johannes Eichler. — Chyba nie sądzisz, że w ten sposób mnie odstraszysz. — Spojrzał na Margarete; starał się nie okazywać wobec niej słabości. — Idę!

— Pójdę z tobą, jeśli pozwolisz — odezwała się Margarete.
Spacer dobrze mi zrobi, ostatnio prawie nie wychodzę z domu.

— W każdym razie radzę być ostrożny — powiedział Jakub. — Materna ćwiczy się w strzelaniu do tekturowych figur. Ustawił ich co najmniej dwanaście w swoim lesie. Trzeba uważać, żeby nie dostać się na linię strzału.

Johannes Eichler uśmiechnął się; jego zakłopotanie rosło. Podniósł się ociężale i otworzył przed Margarete drzwi.

Opuścili zagrodę i poszli przez pola Materny, na których dojrzewało zboże. Wokół same pełne kłosa; stały jak pułk wojska gotowy do wymarszu przeciwko głodowi. Plony Materny i w tym roku przewyższą zbiory wszystkich innych chłopów na Mazurach. Eichler stwierdził to nie bez zazdrości, ale obecność Margarete odwróciła jego myśli ku przyjemniejszym sprawom.

— Pamiętasz jeszcze? — zapytał, kiedy zbliżyli się do lasu.

Margarete skinęła głową. Wiedziała, co Eichler ma na myśli. Kiedyś wędrowali już po tym lesie — w odległych, niezapomnianych dniach. Wówczas to, gdy doszli do polany, głaskał jej rękę pod gęstymi jodłami. To samo uczynił i dziś w tym samym miejscu.

— Margarete — powiedział.

— Johannes — odrzekła.

W ten sposób niemal wszystko zostało powiedziane, choć niejedno było jeszcze do zrobienia. Wówczas tak jak i dziś drzewa zdawały się być dachem, a ziemia łóżkiem.

— Usiądźmy — powiedział Johannes Eichler.

Wtedy — dokładnie w tym istotnym momencie — wyłonił się Alfons Materna. Zdawał się czatować w pobliskich krzakach. Pozdrowił leżących na trawie i bez skrzepowania usiadł obok nich. Johannes, wtedy jeszcze wrażliwy, natychmiast się oddalił. A Materna bezwstydnie i do końca wykorzystał sytuację. W ten sposób stało się to, co zadecydowało o życiu Margarete aż do dziś.

Teraz też Alfons Materna był w pobliżu. Stał ze strzelbą w ręce, tym razem za krzakiem olszyny. Towarzyszył mu, uzbrojony w dębowy kij, Jakub Jabłoński. Obaj przyglądali się scenie, jaka się rozgrywała przed nimi. Jakub wściekły, Alfons spokojny i uśmiechnięty.

Ale uśmiech Materny w jednej chwili zastygł, oto bowiem odkrył dwie dalsze postacie; szły po miękkim mchu. Były to dwa szatany, Peter i Konrad, w poszukiwaniu rozrywki.

— Tylko ich mi tu brakowało — szepnął Alfons zaniepokojony.

Wypłoszą mi najlepszą zwierzynę!

Johannes Eichler pochylił się nad Margarete. Z rozkoszą wdychał

zapach, który wdzierał się do jego nozdrzy. Cóż to za kobieta! Powabna! Godna jego!

Tym razem nie zabrzmiał głos Materny, kiedy tych dwoje zbliżyło się ku sobie. Rozdzielił ich całkiem inny głos. Był młody i dźwięczny, podobnie jak wówczas głos Materny.

— Ostrożnie! — rzekł ów głos. — Tu są mrówki! One wszędzie wchodzą. I trzeba się porządnie napracować, aby się od nich uwolnić.

Przed Margarete i Johannesem stanęli Konrad i Peter.

— Czy możemy wam w czymś pomóc? — zapytał Konrad Klinger.

Johannes Eichler podniósł się. Zawołał wzburzony: — Do diabła! Czego tu szukacie?

— Przyszliśmy na spacer — powiedział Peter ustępliwie. — A nie można spacerować z całkowicie zamkniętymi oczami.

— Mam was już dość! — zawołał Eichler. — Wciąż zakłóćcie spokój w naszej wsi. Tego nikt na dłuższą metę nie wytrzyma!

— Jak to — zakłócamy spokój? — zapytał Konrad Klinger. — Może teraz też?

— To chyba wystarczy — oświadczył Eichler groźnie. — Domyślam się, kto was nasał. Już ja wyciągnę z tego konsekwencje!

— Kłusujecie w moim rewirze — powiedział Alfons Materna do obu chłopców, których spotkał w lesie. — Nie podoba mi się to.

- A może moglibyśmy nieco pomóc w tym polowaniu z nagonką? — zapytał Konrad uprzejmie.

Oczy Materny zdradzały cierpliwość i wyrozumiałość. Powiedział: — Każde polowanie z nagonką musi być zorganizowane. Im lepiej przygotowane, tym większy sukces.

— Zrozumiałem — zapewnił Peter Bachus i mrugnął do swego kolegi. — Niech nas pan poduczy. A jeśli ma pan szczególne życzenie, proszę nam powiedzieć.

— Mam tylko jedno życzenie — oświadczył Materna — to mianowicie: nie mieszajcie się do moich spraw.

Konrad potrząsnął głową. — To nie jest takie proste, panie Materna. Nam bowiem nie podobają się te same gęby co panu. A czy to nie było galowe przedstawienie, które urządziliśmy temu Eichlerowi?

— Obojętne, jakie było — powiedział Materna. — Ale może to mieć dla was niemiłe następstwa. Eichler nie zna się na żartach. A więc musicie teraz udowodnić, że zaszło nieporozumienie, że nie mieliście

nic złego na myśli i że znów niewłaściwie oceniono wasze intencje. Powinniście spróbować wytłumaczyć to najbardziej wpływowym ludziom we wsi.

— Zrobimy to! — wykrzyknął Konrad Klinger. Jednocześnie pojął, że i jemu, i jego przyjacielowi została przydzielona szczególna funkcja. — Puścimy w obieg prawdę, której następstwem będzie powszechny radosny rumieniec.

Chłopcy opuścili las Materny i wrócili do wsi. Tu usiedli na stopniach pomnika bohaterów i odbyli naradę wojenną/

Następnie Peter udał się na poszukiwanie swojego ojca. Znalazł go w kościele. Pastor rozmawiał z administratorem Speerem i nauczycielem Vetterem; ten ostatni był z zawodu organistą. Rozmowa dotyczyła możliwie sensownego wykorzystania ofiary pogrzebowej Materny: pokrycie dachu czy odnowienie chóru i ścian — to był najważniejszy problem.

— Czy mogę ci na chwilę przeszkodzić, ojcze? — zapytał Peter.

— Słucham — odparł Bachus pobłaźliwie.

Peter ucieszył się z tego przyzwolenia. Trzej strażnicy interesów miejscowej ewangelicko-luterańskiej gminy początkowo słuchali z niewielkim zainteresowaniem, na początku bowiem wszystko brzmiało niewinnie: Peter poszedł z przyjacielem na spacer, nad jezioro, aby tam badać gatunki mchu — jest ich tam chyba ze sto.

— To ciekawe -- powiedział Bachus niecierpliwie. — Tyle gatunków w jednym miejscu. Niewiele regionów może się czymś takim poszczycić. Ale do rzeczy!

— Właśnie do tego zmierzam— powiedział Peter. — W pobliżu wielkiego krzaka olszyny zobaczyliśmy, jak leżeli.

— Kto? — zapytał Uschkurat ubawiony. — Kto z naszych robi to w biały dzień?

Nauczyciel potrząsnął głową karcąco. Dotychczas w Maulen w dzień pracowano!

— Kiedy dwoje ludzi leży w trawie, nie musi od razu coś być. A może jednak? — Peter przedstawił to z wirtuozowską naiwnością. Uschkurat śmiał się obłeśnie. A pastor, który znał swoje owieczki, zrezygnowany złożył dłonie.

— A więc kto? — zapytał Uschkurat.

— Margarete Materna i Johannes Eichler. — Stwierdzenie to poruszyło wszystkich. Nauczyciel przestał nagle kiwać głową; otworzył szeroko usta. Śmiech Uschkurata zamarł. A pastor podniósł w górę złożone dłonie.

— Fe — powiedział. — To niemożliwe. Nie mogę sobie tego Wyobrazić.

Dokładnie to samo powiedział — niemal w tym samym czasie — żandarm Klinger. Tylko że z dodatkiem: Fe, do diabła!

Jego latorośl zastała go w gospodzie — zamierzał właśnie napić się piwa. Obok niego — również popijając piwo — siedzieli Scharfke, Fischer i dwaj gospodarze. Również tu początkowo zamierzano potraktować opowieść jako rozrywkę, dopóki nie padły nazwiska Margarete Materny i Johannesesa Eichlera.

— To bzdura! — wykrzyknął żandarm, zaraz potem, jak zawołał:

Fe, do diabła! Wypił do końca piwo i zażądał nowego kufła, do tego wódki — po mazursku, a więc podwójnej. — Musiałeś się pomylić — odrzekł energicznym tonem.

— Chyba nie — powiedział Konrad z uprzejmą stanowczością, - Mój przyjaciel Peter widział dokładnie to samo.

— Wobec tego obaj się mylicie — stwierdził żandarm. — W końcu to mogło być całkiem niewinne.

— Z pewnością! — Konrad Klinger potwierdził słowa ojca, ponieważ wiedział, że teraz już nikt nie uwierzy w niewinność tej sceny. — Oni tylko leżeli na trawie. Każdy tak czasem robi, prawda? Ze względu na przyrodę, i w ogóle!

— Oczywiście, to wszystko było niewinne — mruknął żandarm,

— Oczywiście — powtórzyli zebrani jak wielokrotne echo.

— Nie rozumiem tylko — powiedział Konrad Klinger — dlaczego pan Eichler tak się zdenerwował, kiedy przypadkiem znaleźliśmy się w pobliżu. Krzyczał na nas i kazał wynosić się z lasu, który przecież wcale nie należy do niego. Dlaczego?

— Jeszcze jedną kolejkę! — zawołał żandarm. A do swego syna powiedział z wymówką: — Ty tego nie rozumiesz. Jesteś jeszcze na to za młody. Zostaw tę sprawę spokojnie nam.

— Tak dalej nie może być, w żadnym razie — powiedział Johannes Eichler bojowo. — Chcę wreszcie wiedzieć, na czym stoję z tym Materną!

— Czy ci nie wystarczy, że wiesz, na czym stoisz z żoną Materny? — rzekł Eis.

Eichler nie odpowiedział. Chodził po biurze jak lew w klatce — majestatycznie, ale pełen niepokoju. Przystanął tuż przed swoim popiecznikiem.

— Jeśli ten Materna wciąż jeszcze nie ma dość, jeśli próbuje ryc jak kret, to musi być odpowiednio potraktowany — oświadczył.

Eugen Eis skinął głową. Poprawił się na krześle; rany na siedzeniu już się zagoiły. — Zniszczymy tego drania! Tylko od czego najlepiej zacząć?

Johannes Eichler miał plan. Prawie zawsze miał jakiś plan. Ten polegał na tym, aby sprawdzić gotowość Materny do pracy dla wspólnego dobra. Jeśli odmówi, zostanie uznany za obcego albo wręcz za wroga ludu. Wówczas go publicznie skompromitują.

— Załatwię to z przyjemnością — zapewnił Eugen Eis i wsunął pistolet do kieszeni.

Kiedy przyszli do zagrody Materny, Eis zabębnił w bramę. Natychmiast pojawiły się dwa nowe psy. Eis sięgnął do kieszeni spodni, gdzie był pistolet. Ale po chwili zjawił się Jakub Jabłoński. Zagwizdał, dwa razy i psy się wyniosły.

— Kochane zwierzaki, niewiele jeszcze umieją, ale są dobre — oznajmił Jabłoński. Rozszarpią nawet lniane worki. Raz dwa. Czy mam ci zademonstrować?

— Chciałbym porozmawiać z Materną.

— Proszę, proszę! — Jabłoński otworzył szeroko bramę. - Serdecznie witamy!

Eugen Eis zdumiał się. Wietrzył jakąś pułapkę, ale nic nie dostrzegł. Jednakże zawahał się. Mocniej ścisnął pistolet.

— Czyżbyś się bał? — zapytał Jabłoński. — Wejdz śmiało, nikt ci nic nie zrobi. W każdym razie dziś. Znajdziesz Maternę w sadzie, leży pod dużą gruszą.

Materna istotnie tam leżał. Wyciągnął się na plecach, ręce podłożył pod głowę i patrzył przez gałęzie i liście w zalane słońcem niebo. Nie odwracając głowy, odezwał się do Eugena Eisa: — Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Jego gość stał na rozstawionych nogach i patrzył na leżącego mężczyznę. — Przychodzę z misją!

— Tak myślę, inaczej nie przyszedłbyś tutaj. — Materna roześmiał się. — A czegóż to mój przyjaciel Eichler tym razem ode mnie oczekuje?

— W niedzielę o godzinie dwunastej w południe — powiedział Eis, rozgniewany nieco śmiechem Materny — odbędzie się nabożeństwo za poległych bohaterów, w którym wszyscy patriotycznie nastawieni obywatele...

— Jeśli o mnie chodzi, chętnie przyjdę — opowiedział Materna. Nie mogę nie skorzystać z tak uprzejmego zaproszenia. Co jeszcze?

— Po drugie — rzekł Eis — w tę samą niedzielę przypada rocznica założenia naszej ochotniczej straży pożarnej. Planujemy, dzięki możliwie licznym datkom, zwiększenie i odnowienie sprzętu. Czy zamierzasz wyłączyć się z tej akcji?

— Wprost przeciwnie! Chętnie się włączę. Ufunduję węża długości dwudziestu pięciu metrów z podwójnym złączem. Czy jeszcze jakieś życzenie?

— Po trzecie — powiedział Eugen Eis — musimy stwierdzić, że nasz Heimatschutz ma za małą przestrzeń do poruszania się. Wciąż tylko ćwiczenia na północnych bagnach, to na dłuższą metę...

— A więc czego chcecie? — zapytał Materna prowokująco uprzejmie. — Mojego lasu? Czy też Psich Łąk?

Eugen Eis rzekł z niedowierzaniem: — Myśleliśmy o lesie.

— Dlaczego tylko o lesie? Nie bądźcie tacy skromni, gdy chodzi o swobodę poruszania się w imię wielkiej sprawy! Oczywiście, daję waszej organizacji do dyspozycji również Psie Łąki. A także brzeg jeziora, który do mnie należy. Czy to wszystko?

— Wszystko — powiedział Eugen Eis, lekko się jękając.

— W porządku — powiedział Materna. — Wobec tego oszczędź mi teraz twojego widoku.

Eugen Eis oddalił się, wyraźnie przybity tą prowokującą przychylnością. W drodze powrotnej próbował się pozbierać. Zatrzymał się na krótko w gospodzie, zanim odważył się wrócić do jaskini swojego lwa.

— Załatwiłem go — stwierdził potem. — Zgodził się na wszystkie żądania bez najmniejszych zastrzeżeń. Co więcej: pętał jak robak.

— To do niego podobne — powiedział Johannes Eichler pogardliwie. Żal mi tylko jego żony — nie zasłużyła na takiego męża. Ta kobieta warta jest człowieka dużej klasy.

— Proszę szklankę wody — powiedział Siegfried Grienspan. Padł wyczerpany na krzesło, które stało w pobliżu drzwi. Jego twarz była biała jak kreda.

— Chyba nie wypił pan za dużo? — Materna odrzucił na bok gazetę, podniósł się i podszedł zaniepokojony do swego gościa. — CO z panem?

Grienspan zdjął czapkę. Ukazała się bladoczerwona strużka krwi, płynąca po czole aż do kącika ust.

Działo się to w piątek wieczorem, w tygodniu przed ową niedzielą, kiedy miały się odbyć obchody rocznicy powstania straży pożarnej,

z nabożeństwem polowym, poświęceniem sprzętu i tańcami w sali gospody i w ogrodzie. Radosny nastrój oczekiwania opanował wieś na kilka dni przedtem. Już teraz zaczynali się ćwiczyć w picciu. Do programu przygotowań należały też bójki; ale nie miały one większego znaczenia.

Grienspan próbował zażartować, choć z trudem: — Przypadkiem siedziałem tam, gdzie któryś uderzył. Coś takiego się zdarza.

— A w jakim charakterze pan tam siedział: jako zwyczajny gość, jako handlarz czy jako Żyd? — Materna pochylił się nad nim i pewnym ruchem odsłonił jego ramię. — Człowieku — powiedział — ale z pana twarda sztuka, kto inny by tego nie zniósł.

Alfons Materna przyniósł miskę z letnią wodą, do tego ręczniki. Odprawił Marię, która chciała pomóc. Żony nie potrzebował odprawiać; i tak jej nie było. Jabłońskiego również nie było — prawdopodobnie towarzyszył Margarete jak cień.

— Nawet nie boli — powiedział Grienspan. — To jest tylko nieprzyjemne, chyba również dla pana, panie Materna.

— Głupstwa pan gada! Pański rozum chyba szwankuje. — Materna starannie opatrywał krwawiącą głowę Grienspana. Rana miała około czterech centymetrów długości, ale na szczęście nie była głęboka. — Przypuszczalnie butelka po piwie. Kto ją rozbił na pańskiej czasce?

— Tego nie wiem - powiedział Grienspan.

— A więc uderzono pana od tyłu, czy tak?

— Czy to nie wszystko jedno? — Grienspan próbował się bronić przed rosnącym zainteresowaniem Materny. — Nieważne, kto to był. Być może go sprowokowałem, czymkolwiek. Może nawet samą obecnością. Albo zachowaniem. Nie chciałem bowiem zamówić piwa ani wódki. Napoje Scharfkego nie są nadzwyczajne. Poza tym mówiłem w gospodzie, że ceny świń spadną.

— Czy to powód, aby pobić człowieka?

— Powiedziałem jeszcze, że ten spadek cen to nie przypadek, tylko skutek krótkowzrocznej polityki rolnej. Polityki, w której nie całkiem bez winy są chłopci i ich związki.

— Wobec tego — rzekł Materna — ten cios w tył głowy to i tak jeszcze mało w porównaniu z taką dawką prawdy.

Siegfried Grienspan próbował się uśmiechnąć, ale sprawiało mu to widoczny ból. Uśmiechnął się jednak. Alfons podprowadził swego gościa ostrożnie do kanapy.

W oddali ktoś zatrąbił. Przerażliwe dźwięki rozeszły się po wsi i zdawały się wplątywać w drzewa.

— Strażacki sygnał alarmowy— powiedział Materna. — Przepuszczalnie ćwiczenia.

— Nie musi pan tam iść?

— Zamknę okno. Poza tym mój słuch funkcjonuje bardzo źle, jeśli tego chcę. Zamyka się na pewne dźwięki. I dopóki tu naprawdę się nie pali, pozostawiam innym uwijanie się po naszych łąkach idiotów w pełnej gotowości do akcji.

Dźwięk trąbki strażackiej początkowo rozlegał się we wschodniej części wsi, w pobliżu gospody, ale za nią. Już to powinno było zastanowić tego czy owego jako rzecz niezwykłą. Trąbienie na zbiórkę zaczynało się bowiem zazwyczaj w środku wsi, a więc przy pomniku. Tym razem jednak rozlegało się gdzieś daleko, na kilka minut nawet całkowicie zamilkło, aby następnie, po południu, znów się odezwać pomiędzy mleczarnią a Psimi Łąkami.

Takie odstępstwo od miejscowych zwyczajów alarmowych nie przeszkodziło jednakże mężczyznom zerwać się, aby spełnić swój obowiązek; ci, którzy byli w gospodzie, opróżnili wprawdzie najpierw stojące przed nimi kieliszki. Również dzieci szkolne przybiegły na miejsce przed remizą, ich dwaj nauczyciele bowiem także należeli do drużyny strażackiej. W zagrodach chłopci zostawili wszystko, czym się w danej chwili zajmowali, i spieszyli do wsi.

— Alarm! — nawoływali się ludzie. — Alarm!

Wołali to dość radośnie, ponieważ dokoła nie było widać ognia. i A zatem chodziło o ćwiczenia. I miały one przypuszczalnie stanowić wstęp do uroczystości z okazji rocznicy powstania straży. Takie ćwiczenia zwykle kończyły się w gospodzie, by tak rzec — na koszt państwa: darmowe piwo księgowano jako materiały do gaszenia ognia .

Trąbka strażacka rozlegała się teraz na południowo-zachodnim krańcu wsi, na łące za kościołem i cmentarzem. Z trudem wydobywane dźwięki drażniły co wrażliwsze uszy.

— Jeszcze nigdy Wilhelm tak nie fałszował — oświadczył nauczyciel krytycznie.

Wilhelm był zakrystianem, a także grabarzem i pierwszym trębaczem straży pożarnej. Zazwyczaj żaden alarm nie odbywał się bez niego. Teraz jednakże stanął na placu wśród zebranych mężczyzn, tuż obok nauczyciela Vettera, i oświadczył obrażony:

— Ja wcale nie trąbię!

— Ano właśnie! — zawołali mężczyźni.

— Kto więc trąbi? — zapytał Vetter i zaczął naciskać Wilhelma, cały wzburzony. Wilhelm jednak zaklinał się na wszystkie świętości, że o niczym nie wie. A jego trąbka wisi w izbie nad łóżkiem, jeszcze przed dwiema godzinami ją tam widział. Mężczyźni z Maulen tłoczyli się przed remizą, przestępowali z nogi na nogę i patrzyli w napięciu na zamkniętą bramę. Nagle uświadomili sobie, że przecież brama już od dawna powinna być otwarta, bo od rozpoczęcia alarmu upłynęło około piętnastu minut. Cennych minut — w wypadku pożaru. Ale trąbka nadal świdrowała w uszach, wywołując dreszcze; tym razem na północy wsi, za młynem.

Mężczyźni wydawali nieprzyjemne pomruki. — Zastrana organizacja! — zawołał któryś.

— Tu coś śmierdzi! — stwierdził Vetter. — Gdzie jest komendant?

Komendantem był obecnie Gottlieb Speer. Właśnie nadbiegł, dysząc. Jeszcze w biegu zapinał mundur. Jego hełm połyskiwał jak zawsze w łagodnym słońcu; ale był włożony krzywo i wyglądało, że spadnie. Spodnie zsunęły mu się na cholewy. Nie był to budujący widok — stwierdzili starzy strażacy. Gottlieb Speer zapytał bez tchu: — Co to ma znaczyć? Co się tu dzieje?

— Jak to co? — zebrani otoczyli go kołem. — Alarm!

Speer rozejrzał się bezradnie dokoła. — Jak to alarm? Nie ogłaszałem: żadnego alarmu!

— A więc kto? — zapytał Vetter niczym inkwizytor. — W końcu ty tu jesteś komendantem!

— Ale nie starszym komendantem! — Speer stwierdził to niemal oskarżycielskim tonem. Pojął, że w tej chwili nie prezentuje się zbyt dobrze. W oczach niektórych mężczyzn kwalifikował się do tego, aby go zwolnić ze stanowiska — kandydatów na jego następcę było pod dostatkiem.

Zdenerwowanie Speera narastało. — To świństwo! — zawołał. ~ Trąbi się na alarm, a ja o niczym nie wiem! — Ale zaraz dodał, łagodząco: — To wbrew regułom gry!

— Wszystko jedno! — rzekł jeden z mężczyzn, wyszkolony w Heimatschutzu, a więc pełen energii i gotów do działania. — Najważniejsze w tej chwili — to klucz do remizy. Gdzie on jest, do diabła?

— Nie mam go! musiał przyznać Speer. — Wszędzie go szukałem, ale gdzieś się zapodział. Jestem pewien; że jeszcze przed dwiema godzinami wisił u mnie na desce na klucze.

— Wyważcie drzwi! — zawołało kilku mężczyzn zdecydowanie — Alarm to alarm!

Gottlieb Speer drżącymi rękami poprawił na głowie lśniący hełm. Wyprężył się i stanął przed remizą, zasłaniając wejście, albowiem masywne drzwi remizy były jego dziełem. Zbijał je mozolnie podczas długich godzin, całkowicie na własny koszt. Z drzeniem patrzył więc, jak kilku ludzi wyciągało już swoje toporki, a inni podeszli nawet z belką, aby je staranować.

— Droga wolna! — wołali. — Naprzód!

Dzieci wydawały chóralne okrzyki zachwytu.

Teraz Vetter postanowił wkroczyć do akcji — jako miejscowy reprezentant zdrowego pedagogicznego rozsądku. Widział, że nadeszła jedna z jego wielkich chwil. Stanął pomiędzy obrońcą bramy a napierającymi strażakami z belką.

— Koledzy! — zawołał. — Pomyślcie logicznie!

Stanął na skrzyni na odpadki, która znajdowała się przy remizie, i podniósł swój wyszkolony głos pedagoga. Głos ten poskromił już wielu awanturujących się, nieokrzesanych łobuziaków w wieku szkolnym. A dorośli mężczyźni, jak wykazuje doświadczenie, byli nieporównywalnie posłuszniejsi. Zamilkli natychmiast.

Vetter zadał najpierw pytanie: kto mógł ogłosić alarm? I sam sobie na nie odpowiedział: po pierwsze, komendant, a więc Speer; następnie honorowy komendant, a więc Eichler. A skoro to nie Speer wydał rozkaz, zatem mógł to być tylko Eichler. Jasne?

Na koniec zaś dodał: — Czy może ktoś chce działać wbrew zarządzeniom naczelnego komendanta? No więc! Czekajmy wobec tego, aż przyjedzie Eichler. Zobaczymy, co będzie dalej.

Nie potrzebowali długo czekać; zjawił się Johannes Eichler. Był właśnie, oczywiście nie sam, na skraju lasu, ziemia w Maulen była, bowiem ciepła, a księżyc zdawał się uśmiechać. Alarm wyraźnie mu przeszkodził.

Wściekły torował sobie drogę przez zdumiony, podniecony tłum i napadł na Speera: — Co ci przyszło do głowy? Zwariowałeś?

— Ja? — zapytał komendant wyzywająco. — Jak to ja? Ja nie ogłaszałem alarmu!

Stali naprzeciw siebie jak dwa walczące koguty. Dyszeli. Zebrani; wietrzyli nowy skandal—jeszcze krok i cała straż się rozleci.

Ale Johannes Eichler w porę spostrzegł, że coś tu nie jest w porządku. Zapytał: — Czy naprawdę nie ogłaszałeś alarmu? Bo ja też nie. Więc kto?

Zaalarmowani mężczyźni, gotowi do działania, patrzyli na siebie zadziornie, a jednocześnie pogardliwie. Czyżby padli ofiarą podstępnego

oszustwa? Tego ich godność męska by nie zniosła. Duch wsi Maulen zaczął kipieć.

— Do diabła! — wrzeszczeli. — Nie wolno tak z nami postępować!

— Koledzy! — zawołał Eichler łagodząco. — Zachowajcie godność! Oczywiście, nie pozwolimy sobie na coś takiego.

— I jak to było wykonane — rzekł Wilhelm trębacz. - Wstyd i hańba.

— Znajdziemy winnych albo winnego — obiecał Eichler;

— Nietrudno zgadnąć, kto mógł maczać palce w takim świństwie — powiedział jeden z obecnych. Księżyc nie oświetlał jego twarzy; stał w cieniu remizy. — Nie trzeba nawet wymieniać nazwiska Materna

— Również po tym Żydzie można się wszystkiego spodziewać! zawołał ktoś inny z niepohamowaną gwałtownością.

— Mogli to być nawet oni obaj!

— Nie możemy wypowiadać pochopnych przypuszczeń — oświadczył Eichler. — Nie jesteśmy mściwi, tylko sprawiedliwi. Wiemy jedno: ten, kto jest winny, odpowie za to. A teraz, drodzy koledzy, chodźmy, do gospody, aby odbyć naradę wojenną. Na mój koszt

— Czy możemy wejść? — zapytali chłopcy.

Jakub Jabłoński zaprowadził ich do izby. Stanęli tam teraz ze zmierzwionymi włosami i w podejrzenie zabloconych bajtach. Wyglądali na zmęczonych.

— Chcieliśmy tylko powiedzieć dobry wieczór —oznajmił Konrad Klinger. — Bo to jest dobry wieczór, a może lepiej: udany wieczór.

— Nasi młodzi przyjaciele wyglądają tak, jakby dopiero co zrobili rundę dookoła wsi, przy tym dmuchając w trąbkę — stwierdził Jabłoński wesoło.

Alfons Materna rzekł do Grienspana: — Zna pan naszych chłopców. Godne uwagi egzemplarze. — Następnie dał znak Jabłońskiemu, który wyszedł i zagwizdał na podwórku na psy. W jasnym blasku księżycy ćwiczył z nimi rzucanie się na pojawiającego się nagle nieprzyjaciela. Domniemany nieprzyjaciel był to worek z piaskiem, który huśtał się na linie nad bramą obejścia. Psy go rozszarpywały.

W domu tymczasem Alfons Materna wskazał swoim gościom dwa krzesła i postawił przed nimi szklanki i dwa dzbanki — w jednym było mleko, w drugim sok z malin. Powiedział przy tym: — Nie wyobrażam sobie, żeby wam tu się szczególnie podobało, a jednak przyszliście? Dlaczego?

— Są miejsca, które wywołują piękne, a niekiedy głębokie uczucia
~ oświadczył Konrad Klinger. — Jakże szybko upływa czas!

— Tak to jest — przytaknął Peter Bachus. — Kiedy tu przyszedliśmy,
było tuż po ósmej. A teraz jest już dziesiąta.

— Czy tak jest? — zapytał Materna, nasłuchując.

— Niech pan zapyta Jabłońskiego — rzekł Konrad Klinger. —
Założę się, że on ma nosa do takich spraw.

Alfons Materna uznał za słuszne zawołać Jabłońskiego. Psy ujadły
pod drzwiami.

Jakub Jabłoński wysłuchał pytań Materny i oznajmił: — Mogę
to, jeśli trzeba, poświadczyć. Jestem pewien, że długo rozmawiałem
na dworze z tymi chłopakami. Nawet bardzo długo, dobrze pamiętam.

— A więc tak to jest — powiedział Materna zamyślony.

— Tak jest chyba zawsze — zauważył Grienspan. — Ma się swoich
przyjaciół — czy się chce, czy też nie.

— A więc zgoda — powiedział Materna do chłopców. —
Rozmawialiśmy ze sobą cały wieczór.

Siegfried Grienspan złożył ręce, zamyślony. Jego ciemno płonące
oczy promieniowały szczęściem. — Chciałbym być jeszcze kiedyś taki
beztroski jak nasi przyjaciele.

— Beztroski jak młode szczeniaki! — stwierdził Materna. — Nie
splamiony życiem, prawdziwym życiem. Ale co mamy z nimi począć?

— Rozglądamy się dokoła i spostrzegamy to i owo — powiedział
Konrad. — Na przykład dwoje ludzi, którzy leżą na skraju lasu. —
Peter skinął głową i oświadczył: — Gdyby pan potrzebował świadków,
panie Materna...

Materna zaprzeczył: — Tego by tylko brakowało!

— Ale my nie tylko dlatego zaalarmowaliśmy straż ogniową —
przyznał Konrad. — Taki alarm planowaliśmy już od jakiegoś czasu.
Wiedzieliśmy, gdzie jest przechowywany klucz do remizy i gdzie wisi
trąbka. Czekaliśmy tylko na dogodną okazję.

— Ani słowa więcej! — zawołał Materna. — Nikt z nas nie ma;
najmniejszej ochoty brać udziału w waszych wesołych zabawach. Tyle,
tylko, że cały wieczór tu rozmawialiśmy. Powiedzmy: o polowaniu.

— O polowaniu i o miłości — zaproponował Konrad. — To są
w końcu najbardziej ulubione zajęcia Mazurów.

— O miłości się nie rozmawia — powiedział Materna. — Ją się
uprawia.

— Również z żoną innego?

Alfons Materna uśmiechnął się nie zmieszany. — najwidoczniej sądzicie, że jestem głupi. Czyżbym na takiego wyglądał?

— Przy całej wyrozumiałości — rzekł Konrad Klinger — szczególnie moralne to chyba nie jest.

— Ale słuszne — oświadczył Materna ubawiony. — Powinno się każdej kobiecie użyć tego, co się jej należy.

— Ktoś niepowołany wszczął alarm straży ogniowej — poinformował Hermann, jedyny już syn Materny. — Istnieje też podejrzenie kradzieży klucza do remizy i trąbki alarmowej. Zostało już złożone doniesienie. Żandarm będzie miał pełne ręce roboty.

Było już późno, kiedy Hermann wszedł do izby. Chłopców już nie było. Materna siedział pod wiszącą lampą naftową; przed nim leżały warcaby, naprzeciw siedział jego partner, Siegfried Grienspan.

Hermann jakby nie zauważył Grienspana, nie podał mu ręki, nie spojrzął na niego. Usiadł z boku i powiedział: — Nic na to nic poradzę, ale mi tu śmierdzi czosnkiem.

Alfons Materna spojrzął zaskoczony na syna. Zapytał: - - Coś ty powiedział?

— Że tu śmierdzi czosnkiem!

To były całkiem nowe tony, stwierdził Materna, przynajmniej w jego domu. Hermann najwidoczniej ochoczo podchwytuje wszystko, co mówią pewni koledzy. Tak, to były całkiem nowe rzeczy.

Twarz Siegfrieda Grienspana pobladła. Jego ręce leżały bez ruchu na stoliku do gry. Na nich delikatnie położył swe chłodne dłonie Alfons Materna. I spokojnie powiedział: — Najwyraźniej chłopak chce nas rozweselić.

— Mówię to całkiem poważnie — oświadczył Hermann z uporem. — I odpowiadam za swoje przekonania.

Materna dobrze wiedział — a cóż dopiero Grienspan — co ta pozornie bezsensowna wzmianka o czosnku faktycznie oznaczała: Żyda! Bo Żydzi to były płatfusy, krzywe nosy i zjadacze czosnku. Kto miał dobry, a więc aryjski nos, potrafił zwietrzyć Żyda ten bowiem śmierdział czosnkiem.

— To zdumiewające — powiedział Alfons Materna zdziwiony i mówił dalej łagodnie: — Dam ci dobrą radę. Jeśli nie możesz oddychać tym powietrzem, to idź do swojego pokoju.

— Tak zrobię — odparł Hermann. W sposób na pół wojskowy

pożegnał ojca; tylko jego. Na Grienspana nawet nie spojrział. Wyszedł sprężyscie.

Alfons Materna spojrział na Grienspana i powiedział niemal wesoło: — Nieprzebrane są rodzaje ludzkiej głupoty. Ale nikt mi nie zabroni odczuwać pewnej satysfakcji.

— Boję się — powiedział Grienspan cicho. — Boję się również o pana, Materna. Zadaję sobie pytanie: w co pan się wplątuje? Dokąd to prowadzi?

— Wiem — odrzekł Materna. — Z wilkami nie ma żartów. Ale nie mam zamiaru okazać się tchórzem albo idiotą. Wolałbym nie żyć. A muszę przyznać, że podoba mi się życie!

Tak zwane obchody rocznicy powstania ochotniczej straży pożarnej odbywały się rokrocznie w pierwszą niedzielę sierpnia. Całe Maulen było wówczas na nogach. Nie znalazł się nikt, kto nie chciałby się tego dnia rozerwać. Tak było też i tym razem.

Johannes Eichler, już w ciemnym garniturze, przyjął swego wiernego Eugena Eisa na ostatniej rozmowie informacyjnej. Sprawdzili najpierw zawartość kasy związkowej — to decydowało o ilości darmowego piwa. Następnie przystąpiono do omawiania gotowości służb specjalnych .

— To zbyt cenne — powiedział Eis. — Jeśli ktoś zbyt szeroko rozewrze gębę, osobiście mu ją zatkam. To dla mnie przyjemność.

— Oczywiście, musimy zwracać szczególną uwagę na Maternę. — Jeśli w ogóle przyjdzie, w co wątpię. W końcu ma żalobę. A zatem mamy wolną rękę.

— Jeśli przyjdzie, może przyprowadzi swoją Brigitte — Eis zatarł rękę. — Ta mała w ciągu ostatnich lat pięknie się rozwinęła.

— A niech tam! — Eichler wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: Daruję ci ją! Miej przyjemność, tylko uważaj, aby Materna nie zachował się niestosownie .

— Wszystko będzie grało — zapewnił Eis. — Gotów jestem przysiąc.

Tymczasem najbardziej udręczeni ojcowie okolicy, żandarm i pastor, starali się przyhamować pęd do czynu swoich synów. Zaraz po nabożeństwie omawiali wspólnie środki zaradcze. Byli przy4ym dalece jednomyślni.

— Tych chłopaków trzeba krótko trzymać - rzekł Klinger.

— Nie jestem wprawdzie zwolennikiem radykalnych metod — oświadczył pastor — ale w tym wypadku przyznaję pani rację. Nig możemy lekkomyślnie wystawiać ich na pokusy.

— Najlepiej ich zamknąć.

— Chyba wystarczy, jak im przytniemy skrzydełka.

W praktyce wyglądało to tak: obaj ojcowie ustalili, że dadzą synom tylko po jednej marce. Połowa z tego była potrzebna na wstęp, za resztę nie można było sobie pozwolić na szczególnie wielkie wysoki.

Konrad i Peter przyjęli spokojnie wręczone im marki. Udali się do lokalu, w którym odbywała się uroczystość. Wdrapali się przez okno do szatni, stamtąd bez trudu dostali się na salę. Przeszli przez nią i stanęli przy ladzie.

— Dziesięć wódek — powiedział Konrad Klinger i położył swoją markę.

— Dla mnie to samo — dodał Peter Bachus. — Musimy się rozgrzać, aby trochę życia weszło do tej budy.

Wypili swoje wódki w ciągu kwadransa. Uskrzydleni i chwiejąc się lekko na nogach, udali się z powrotem na salę. Ich oczy promieniały chęcią działania.

Bądź co bądź poczynili pewne przygotowania.

— Moi drodzy — powiedział wesoło Materna do swoich, którzy zgromadzili się wokół niego — nie chcę nikogo zmuszać, aby mi towarzyszył na uroczystości. Ale zdaje się szykować tam niezła zabawa i żal byłoby ją pominąć.

— Jestem gotów — zgodził się Jakub Jabłoński.

Margarete spojrzała surowo. — Czyż nie mamy żaloby?

— Żalobę mamy zawsze — powiedział Alfons i wzruszył ramionami, — A co ty sądzisz, Hermann?

Hermann poczuł się pochlebiony; dotychczas bowiem nie zdarzyło się jeszcze, aby ojciec zapytał go o zdanie. Uśmiechnął się uszczęśliwiony i zapewnił żarliwym skinieniem głowy: — Ja w każdym razie chętnie znalazłbym się w takim dniu wśród moich kolegów.

— Jest to też praktyczne — stwierdził Materna. — Albowiem ten, kto jest obecny, unika tego, że mówi się o nim źle. Raczej sam może mówić źle o innych. W ten sposób przyczynia się do własnego uznania.

Twarz Brigitte załśniła — była okrągła i rumiana jak jabłko. Dotychczas rzadko miała okazję przebywać wśród ludzi ze wsi, a bardzo tego pragnęła. — Ja się na pewno nie wyłamie!

Materna popatrzył nieufnie na córkę. Mimo to uśmiechnął się do niej. Potem zwrócił powoli wzrok ku Margarete. — No co, chcesz nas może puścić samych?

— Nie mogę ze względu na dzieci — stwierdziła, omijając go wzrokiem.

— W porządku — powiedział Materna zadowolony. — Na wszelki wypadek zarezerwowałem dla nas stół, na samym przedzie, tuż obok stolika Johanna Eichlera.

Wyruszyli niemal uroczyście: na czele Alfons, Jakub Jabłoński zamykał pochód; obok niego, jakby pod jego opieką, szła Maria.

— Pragnę obejrzeć piękne widowisko, moi państwo! — zawołał Alfons Materna w pogodnym nastroju. — Niech wieś myśli, że jesteśmy jak Wilhelm Tell z rodziną. I mam nadzieję, że Hermann pozwoli mi zestrzelić sobie jabłko z głowy.

— Nie wiem wprawdzie, co masz na myśli — oświadczył Hermann — ale na mnie możesz zawsze polegać.

— Wiem o tym — rzekł Materna ze skąpym uśmiechem — i liczę na to.

To było nadzwyczaj udane święto. Już wczesnym popołudniem nikt w to nie wątpił. A wdowa Mischgoreit powtarzała każdemu, komu nie udało się jej ominąć: — Szkoda, że mój drogi mąż tego nie doczekał.

Nikt z mieszkańców Maulen nie zrezygnował z tej wielkiej wspólnej przyjemności. Dookoła radosne twarze, serdeczne przyjacielskie głosy i dźwięczny śmiech kobiet. I ogólne brawo, kiedy zjawił się Materna ze świtą.

— Dobrze, że pan przyszedł — zapewniły szatany, szczerząc zęby do Materny. — Bo inaczej wiele by pan stracił.

Johannes Eichler szybko przezwyciężył zaskoczenie i wstał do uprzejmego ukłonu w stronę Margarete. Materna kiwnął mu ręką wśród żywego zainteresowania zgromadzonych.

Orkiestra grała świetnie i bardzo się podobała; niektóre marsze trzeba było wielokrotnie powtarzać. Na sali i w ogrodzie panował serdeczny braterski nastrój. Trunki Scharfkego były bez zarzutu; przynajmniej do tej chwili.

Zapomnienie i pojednanie zdawało się być panującym hasłem,! Najpierw Materna przepił do Eichlera, potem Eichler do niego. Najbliższe otoczenie klaskało wobec tej nieoczekiwanej demonstracji przyjaźni.

Wreszcie Eichler poprosił nawet Margarete do tańca — grano walca *Nad pięknym modrym Dunajem*. Eugen Eis tańczył z córką Materny, a Hermann, w otoczeniu kolegów przy ladzie, śpiewał tymczasem hymn pochwalny na cześć swego ojca, niczego nie przeczuwając: — Ostatnio zrobił się taki wyrozumiały! Jestem pewien, że możemy się po nim jeszcze wiele spodziewać.

W istocie Materna zdawał się najzupełniej przystosować do panujących zwyczajów. Fundował orkiestrze piwo, wymieniał z kolegami wesołe uwagi, postawił niejedną kolejkę. Wziął również udział w strzelaniu w ogrodzie z broni małokalibrowej — i osiągnął pięćdziesiąt osiem punktów w pięciu strzałach do tarczy, która miała dwanaście kół. Nie było nikogo, kto by mu odebrał pierwszeństwo.

Tymczasem zapadł zmrok. I doświadczeni mężczyźni zaczęli wypełniać swe żołądki oprócz piwa i wódki również wątrobianką, plastrami cytryny, a potem jeszcze sokiem jabłkowym.

— Wszystko do dupy — powiedział Peter Bachus, zmartwiony. — Jak do tej pory, nic się nie układa!

— Jeszcze nie wybiła nasza godzina — stwierdził Konrad Klinger uspokajająco.

To, co chłopcy nazwali swoją godziną, nadeszło w owej chwili, kiedy orkiestra rozpoczęła potężny tusz. Podium zaczęło się mocno chwiać, ale jeszcze stało.

Peter patrzył zawiedziony. — Może nasze obliczenia się nie zgadzają?

— Tylko cierpliwości — powiedział Konrad. — Wkrótce się tu zakotłuje.

Na podium wszedł teraz nauczyciel Vetter, który był w Maulen odpowiedzialny za kulturę we wszelkiej formie i za jej pochodne. Należały do tego też tak zwane rozrywki kulturalne, a wśród nich loteria. W końcu na loterii można było także wygrać książkę; nosiła ona tytuł *Bohaterowie na pełnym morzu*.

Ponownie mocny tusz. Podium wciąż jeszcze stało. A Vetter krzychał: — Rozpoczynamy losowanie wygranych na loterii.

Po czym czterech mężczyzn w mundurach strażackich — wniosło uroczyście stół z fantami. Były tam kieliszki, wazony, koszule, popielniczki, jedwab, budziki, papier, koce, różne bibeloty, papierońnice — i właśnie książka. Ciekawscy i żądni wygranej zaczęli się tłoczyć.

Następnie na podium do Vettera wdrapała się córeczka Speera; miała łagodne aksamitne oczy, we włosach kokardę, i była ubrana w blad różową sukienkę. Dziewczynka miała odgrywać rolę sierotki, a więc ciągnąć losy, bo jej tata był komendantem straży pożarnej.

— Zaczynamy! — zawołał Vetter dźwięcznym głosem.

Mężczyzna, który mu pomagał, trzymał w górze fant — był to budzik. Dziewczynka wyciągnęła los i dygnawszy podała go Vetterowi.

Ten odczytał cyfrę: — Dwadzieścia trzy.

Zgłosiły się dwie osoby jednocześnie — żona listonosza i pewien gospodarz. Oboje wystąpili do przodu i wręczyli Vetterowi swoje losy. Na obu widniała cyfra 23.

Protekcjonalny uśmiech na twarzy Vettera zastygł. Marszcząc czoło przyglądał się karteczkom. Następnie oznajmił pospiesznie: — Musiała tu zajść przykra pomyłka. Nie może być oczywiście dwóch losów z tym samym numerem. Wyjaśnimy to później. A teraz losujemy dalej.

Konrad i Peter patrzyli z zainteresowaniem na tłum, który stawał się niespokojny. Materna obserwował ich ze skrywaną wesołością.

Vetter wywołał następny numer: znów dwie osoby wygrały. Jeszcze jeden numer. Tym razem zgłosiły się nawet trzy osoby.

Młody jeszcze głos zawołał z sali: — To oszustwo!

— Oszustwo! — krzyczało coraz więcej osób. Okrzyk rozprzestrzenił się jak ogień — po sali, po ogrodzie, aż do placu wiejskiego. A wzburzony tłum, który kupił losy, zbił się w gromadkę i przepychał do przodu, do podium. A podium zaczęło się na nowo chwiać.

Vetter wymachiwał zamasyżycie rękoma, ale nie mógł nic poradzić. Dzielnie próbował przekrzyczeć tłum. W fali oburzenia dały się jednak słyszeć niektóre słowa: to się wyjaśni , musiała zajść pomyłka , kiedy tylko, wówczas...

Tylko orkiestra sprostowała temu zamieszaniu. Wstała sprężysto na dany znak. Na drugi znak czekała gotowa do grania. Na trzeci uniosła patetycznie instrumenty. I wtedy podium się zawałiło.

— Nareszcie! — rzekł Peter Bachus.

Powszechny krzyk pośród chmury kurzu! Krzyk przerodził się w spazmatyczny, następnie ryczący śmiech. A z chmury kurzu wypełzali muzycy.

Wszyscy wyszli z tego bez szwanku, podium miało bowiem tylko osiemdziesiąt centymetrów wysokości, ale z tuby zrobił się stos blachy, a dwaj mężczyźni, którzy usiłowali się uwolnić z ram kotła — wpadli do środka.

W ten sposób loteria była załatwiona. A orkiestra stała się delikatniejsza, bo najbardziej hałaśliwe instrumenty odpadły. Ale wciąż jeszcze nie było światła. Egipskie ciemności zalegały salę.

I znów ktoś zawołał czystym młodym głosem: — Niech nikt nie rusza fantów!

— Niech pan zabierze swoje łapy! — zawołała jakaś oburzona kobieta. — Świnia!

— O co chodzi? — odparł łagodny męski głos. — Myślałem, że to pani córka.

— Spokój! — krzyknął Scharfke głosem jak syrena alarmowa. Bał się bowiem — i słusznie — o swój inwentarz. — Uszkodzenie przewodów elektrycznych zostanie wkrótce usunięte. Tymczasem ustawimy świece. Uroczystość przeniesiemy do ogrodu - tam są lampiony!

Ogród nie był zbyt rozległy. Kilka stolików natychmiast uprzątnięto dla honorowych gości. Oprócz pięciu wiszących już lampionów gospodarz kazał zapalić jeszcze trzy. Przy odrobinie dobrej woli, a tej nigdy mieszkańcom Maulen nie brakowało, można było nazwać tę sytuację niemal romantyczną.

— Za godzinę dowiemy się, kto z kim — powiedział Konrad/— To może być zabawne, jak i pouczające.

Okazja była sprzyjająca. Spożyty alkohol pobudził apetyt na inne rozkosze, a skąpe oświetlenie sprzyjało tym pragnieniom. Poza tym wskutek zamieszania niemożliwe było już rozeznanie się w sytuacji.

Z ogrodu w wabiącą ciemność był tylko jeden krok. I został on wielokrotnie zrobiony, albowiem ta letnia noc zdawała się parować jak sauna.

Wtajemniczeni znali odpowiednie miejsca. Ci, którym się szczególnie spieszyło, udawali się zgodnie z doświadczeniem za stodołę na tyłach gospody. O tej porze roku można tam było liczyć na kilka stogów siana. Chętnie odwiedzanym miejscem było też otoczenie pomnika i muru wokół kościoła, który jednocześnie okalał cmentarz. Tylko nieliczni uważali za konieczną długą uciążliwą drogę, na przykład na północne bagna albo na południe do lasu. Bo przecież chodziło tu tylko o wypełnienie czasu pomiędzy tańcami.

Jabłoński został zaopatrzony przez Maternę w szczegółowe instrukcje. Jakub nie akceptował ich, ale był gotów się dostosować. Tej nocy został cieniem Eichlera. Stał więc oparty o drzewo i słuchał, co Eichler mówił Margarete i co ona mu odpowiadała. Ta rozmowa poruszyła go, a mówiąc dokładniej, obudziła w nim wstręt. Ale stał nieporuszony, aż rozmowa ucichła.

Dopiero potem wyszedł z ukrycia. Ukłonił się uprzejmie, a jego głos brzmiał przyjaźnie. Powiedział: — Materna kazał was pozdrowić

i powiedzieć, żebyście sobie nie zaprzęтали myśli jego osobą. Życzy wam miłej zabawy. Z całego serca.

Ponieważ Jakub nie dostał polecenia, aby czekać na odpowiedź, cofnął się więc w ciemność i odszedł.

Kiedy tak włókł się w stronę gospody, spotkał obu chłopaków. Zastąpili mu drogę. Ich ciekawość zdawała się nie mieć granic.

— Jeszcze mi tu was brakowało — powiedział Jakub, szczerząc zęby. — Ja nie jestem podestem, który można podpiłować.

— Gdzie tam podpiłować! — Peter Bachus był oburzony. — Nie jesteśmy tacy prymitywni. My tylko wyjęliśmy kilka gwoździ. Obluzowaliśmy kilka desek i przesunęliśmy dwie belki podporowe. Rezultat w każdym razie był wstrząsający.

Konrad Klinger zdawał się mieć inne zmartwienie. — Musi się pan natychmiast porozumieć z panem Materną. Niech mu pan powie, żeby zaraz przyszedł na boisko szkolne. Tam przy bramie, tuż obok płotu, stoi ławka. Siedzą na niej Eugen Eis i Brigitte.

Jabłoński pobiegł kłusem. Przed gospodą czekał na niego Materna. Jakub sapiąc zdał mu sprawozdanie. To, co Alfons usłyszał o Eichlerze i Margarete, skwitował słowem: — Wspaniale! — Kiedy następnie Jabłoński opowiedział o Brigitte i Eugenie, Materna odpowiedział tak samo: — Wspaniale!

Ale pospiesznie ruszył z miejsca. Szybkimi krokami pognął przez plac, obok remizy, do szkoły. Znalazł tam Brigitte i Eugena na wskazanym miejscu. Siedzieli wciąż jeszcze na ławce, na szczęście tylko siedzieli.

Alfons Materna stanął przed nimi i zapytał uprzejmie: — No, dzieci, czy dobrze się bawicie?

Oboje oderwali się od siebie. Brigitte skuliła się zawstydzona. Ale Eugen Eis podniósł się, stanął w całej okazałości, dzięki czemu mógł patrzeć na Maternę z góry. — My tylko intensywnie ze sobą rozmawialiśmy. I to z całym szacunkiem, rozumie się. Coś takiego chyba nie jest zabronione, prawda?

— Wprost przeciwnie — zapewnił Materna skwapliwie. — Cóż może być bardziej owocnego niż intensywna rozmowa? Powinniśmy to zrobić obaj, Eis. Może zaraz jutro, po południu, przy kieliszku. Co o tym myślisz?

— Wydajesz mi się rozsądniejszy, niż dotychczas przypuszczałem — stwierdził Eugen Eis. — Być może powinniśmy naprawdę zamienić ze sobą kilka poufnych słów. Mogłoby się to opłacić.

— Każdemu z nas — dodał Materna zachęcająco. — Albowiem jest wiele możliwości, aby osiągnąć cel. Niekiedy najszybciej może do niego doprowadzić droga okrężna.

— Myślę, że powinniśmy ze sobą szczerze porozmawiać, jak mężczyzna z mężczyzną.

Słowa te wypowiedział Johannes Eichler, stanąwszy przed Materną, Spotkali się pod lampą, która wisiała nad wejściem do gospody. Znow się paliła, ponieważ awaria instalacji elektrycznej została tymczasem usunięta. Obok Eichlera stała Margarete.

— Co za piękny harmonijny obraz! — Alfons Materna powiedział to bez ironii. — Muszę przyznać, że Margarete bardziej pasuje do ciebie niż do mnie. Już chociażby ze względu na wzrost.

— Materna — rzekła Margarete. — Powinieneś wreszcie zrozumieć ty sam jesteś winien temu, co się stało.

— Być może — przyznał Alfons Materna skwapliwie. — Mam nadzieję, że Eichler jest naprawdę człowiekiem honoru, za jakiego się uważa.

— Któż w to wątpi? — zapytał Eichler.

— Proszę cię, bądź ostrożny, Johannes — poradziła Margarete. Znam Maternę. Będzie ci wmawiał rzeczy, których potem możesz żałować. Na słowa z nim nie wygrasz.

— Wciąż słyszę: słowa! — Materna wyszczerzył zęby. — A co najmniej trzy osoby mogą przysiąc, coście tymczasem robili.

Johannes Eichler uczynił krok do przodu, jak gdyby chciał odegrać ważniaka przed Margarete. — Materna — powiedział ostrzegawczym tonem. — Nie daruję ci, jeśli wywołasz tu skandal. Nie waż się ośmieszyć mnie wobec wsi!

— Dłaczego tak się denerwujesz, Eichler? Wiem, że zrobiłem niejeden błąd. I jestem nawet gotów wyciągnąć z tego słuszne wnioski. A to oznacza, że nie robię ci wyrzutów. Nie czuję się do tego uprawniony.

— Nie wierz mu! — zawołała Margarete zaniepokojona.

— Gdzie tu tkwi podstęp? — zapytał Eichler niespokojnie. — Gadaj całą prawdę! W co nas chcesz zrobić?

— Ustępuję, to wszystko. — Materna przymknął oczy, aby nie można było w nie zajrzeć. — Chylę czoło przed faktami.

— Czy mówisz to poważnie?

— Przekonałem sam siebie — stwierdził Materna. — Muszę uznać

że nie zasługuję na taką żonę jak Margarete. Ty jesteś bardziej jej godny. A więc bądźcie szczęśliwi! Możecie być pewni mojego błogosławieństwa.

— A teraz przystępujemy do wręczenia nagród! — zawołał Gottlieb Speer, komendant straży pożarnej.

Nad Maulen i świętem straży pożarnej zapanowała znów normalna atmosfera; świece płonęły, a podium na nowo prowizorycznie zmontowano. Uroczystość odbywała się dalej w sali. Wniesiono pierwsze trzy nagrody w strzelaniu z broni małego kalibru: posrebrzany puchar, czarną miskę z brązu i kielich cynkowy. Na każdym przedmiocie widniała piękna sentencja: Serca i dłonie Ojczyźnie! Dodatkowo obok nazwy miejscowości i daty wygrawerowane były dwa skrzyżowane toporki — symbol skutecznego gaszenia pożaru.

— A teraz oddaję głos naszemu honorowemu przewodniczącemu, panu Eichlerowi — oznajmił Gottlieb Speer.

Ta zapowiedź była pozbawiona zwykłej, serdecznie koleżeńskiej werwy. Wynikało to przypuszczalnie z owej przykrej rozmowy z okazji fałszywego alarmu. Speer czuł się widocznie wciąż jeszcze dotknięty. Wtajemniczeni uważali go za pamiętliwego.

Poza tym Eichler nie czuł już w sobie wigoru. Sprawiał wrażenie wręcz zamyślonego; jego uwagę zdawało się zaprzętać coś ważnego. Miał jednak jeszcze na tyle poczucia wyższości nad nimi, żeby pokazać dobroduszną ironię, kiedy przy wręczaniu nagrody oświadczył: Dzisiejszy zwycięzca nazywa się Materna!

Alfons Materna wystąpił, wziął do ręki zwycięski puchar i trzymał go w górze wśród oklasków.

Potem jednak stało się coś zupełnie nieoczekiwanego: Alfons zaczął przemawiać. Nikt nie mógł mu w tym przeszkodzić.

— Drodzy sąsiedzi — zaczął serdecznym tonem. — Nie jestem z pewnością takim wspaniałym mówcą, jak nasz wypróbowany w wielu sytuacjach życiowych Johannes Eichler. Jestem tylko chłopem, jak większość z was. Uprawiamy przeważnie nasze pola, sadzimy kapustę, kartofle i siejemy zboże. Kierowanie narodem pozostawiamy tym, którzy czują się do tego powołani, jak na przykład nasz wielce czcigodny Johannes Eichler.

— Strzeż się go — ostrzegła Margarete.

Ale Johannes wiedział: Materna był teraz rzeczywiście skończony. Stracił nie tylko syna, ale także żonę, a wraz z nią rozległe Psie Łąki,

które należały do Margarete. Dawać mu za to srebrny puchar, myślał Johannes, było ironią wyższego rzędu. — Pozwólmuy mu spokojnie mówić — rzekł. — On tylko szczeka, ale już nie gryzie.

— Ja również jestem zwolennikiem cennych twórczych sił — oświadczył Materna szczerze. — I dlatego uważam, że wszyscy zbyt mało dotychczas uczyniliśmy dla tych dzielnych mężczyzn, którzy zawsze, bezinteresownie i dobrowolnie, gotowi są strzec naszego dobra i życia z sikawką w ręce.

— Brawo! — zawołał Gottlieb Speer. Słowa Materny trafiały mu do serca. Wreszcie znalazł się ktoś, kto uhonorował jego ludzi właściwymi słowami, bo Eichler tym razem zapomniał to uczynić.

— Dobrze jest mówić — rzekł Materna z serdecznością, mrugając oczami. — Ale najważniejsza rzecz to czyny! I dlatego przekazuję ten puchar dla młodego narybku ochotniczej straży pożarnej.

Ogólna owacja. Ten puchar był wprawdzie wart nie więcej niż dwadzieścia pięć marek, ale oznaczał zwycięstwo, wobec czego stawał się bezcenny. Młoda gwardia strażacka poczuła się niezwykle zaszczycona.

— Jak już być może wiecie — zawołał teraz Materna do rozentuzjzmowanego tłumu — ufundowałem dla naszej straży dwudziestopięciometrowego węża. Ale to jeszcze za mało, zważywszy niezwykłą doniosłość i bezsporne zasługi tej organizacji. I dlatego teraz funduje nową, nowoczesną sikawkę.

— Brawo! — zawołali zebrani zgodnym chórem. — Niech żyje! — Jakże nie doceniali tego Materny. — Niech żyje!

— A sikawka ta — zawołał Materna — powinna nosić imię mojego syna Alfreda, jeśli się na to zgodzicie. Jako nieustanna pamięć o nim. Jestem bowiem zdania, że pewnych rzeczy nie wolno zapominać!

V

Również najciemniejsza noc ma swoją zorzę.
Każdy kogut jest odważny na własnym gnoju.

— To człowiek godny pożałowania — mówili mieszkańcy Maulen, mając na myśli Alfonsa Maternę. — Nie znajdzie drugiego takiego.

— Mieszkańcy Maulen mówili także: — Ten to ma szczęście! — Mieli na myśli Johannesesa Eichlera. — Ale szczęście, jak wiadomo, mają tylko ludzie dzielni, a w dzielności nikt mu nie dorówna.

Albowiem rozeszło się już po wsi, że Margarete Materna zamierza się rozwieść. Jak sięga pamięć ludzka, coś takiego w tej okolicy jeszcze się nie zdarzyło. A Alfons Materna powtarzał i publicznie zapewniał, że nie ma zamiaru stawiać żonie jakichkolwiek przeszkód. Wola człowieka jest jego prawem.

— To nawet przyzwoite z jego strony — stwierdziła żona nauczyciela Vettera.

— Może i przyzwoite — odrzekł nauczyciel — ale nie w naszym zwyczaju.

W zwyczaju wsi było raczej to, że jeśli się żonę przyłapało na zdradzie, to się ją kładło na kolano i tłukło bykowcem na kwaśne jabłko. Ale żeby się rozwodzić — na taki pomysł ludzie na Mazurach raczej nie wpadali.

— I znów okazało się, że nikt nie ujdzie kary, że jeszcze istnieje sprawiedliwość — powiedział Fritz Fischer, rybak.

Fischer był zapiekłym wrogiem Materny. Alfons bowiem uparcie bronił mu dostępu do brzegu jeziora, który należał do jego majątku. A to, jak uważał Fischer, z czystej złośliwości.

— Ale na mój honor, to trzeba mu przyznać — stwierdził żandarm, — nie skarży się.

— Ten człowiek bardzo cierpi — zapewnił pastor Bachus. — Choć sprawia wrażenie irytująco zadowolonego.

Johannes Eichler cieszył się ogólną sympatią. Wiedział, czego chce. Spełnił pragnienie swego serca — zdobył kobietę, którą kochał już, w młodości. Wraz z majątkiem.

— Serdeczne życzenia — powiedział Eugen Eis. — Kiedy ślub?

— Najpierw musi nastąpić rozwód — odrzekł Eichler. — Ale z tym nie będzie większych trudności. A wesele, które się potem odbędzie, wspominać będą jeszcze dzieci naszych dzieci.

Chyba miał rację tak mówiąc. Przy wódce — był to samogon sześćdziesięcioprocentowy, pędzony na czerwonym pieprzu i nalewany z aptekarskiej kolby, dowiedział się Eugen Eis dalszych szczegółów. Pani Margarete dla wypoczynku przebywała u swojej siostry w Giżycku nad jeziorem. Tam przyszła pani Eichler czekała, niewątpliwie tęskniąc, na najpiękniejszy dzień swego życia.

— Ten Materna, zdaje się, pragnie jedynie uratowania własnej skóry — zauważył Johannes Eichler.

— Pozwolimy mu na to? — zapytał Eis.

Eichler podniósł kieliszek. Na jego twarzy malowało się zadowolenie.

— Oskubany kogut nie wskakuje na kury — powiedział wesoło. — Psie Łąki spadną mi pod nogi niczym dojrzały owoc.

Przebiegły Eugen Eis zapytał: — Czy to jest potwierdzone na piśmie?

— Notarialnie uwierzytelnione! Materna może wprawdzie zarządzać tymi łąkami, ale nie może ich ani sprzedać, ani przywłaszczyć. A moja przyszła żona już mnie poprosiła, abym zarządzał jej dobrami.

— Wobec tego na zdrowie, Eichler — powiedział Eis z uznaniem.

— Ale moim zdaniem ten Materna to szczwany lis. A może się myłę?

— Materna — powiedział Grienspan niechętnie — oświadczam wyraźnie, że nie będę więcej robił z panem żadnych interesów.

— Chyba nie chce pan w taki głupi sposób obniżyć ceny? — zapytał Materna rozweselony.

Siegfried Grienspan podniósł w górę ręce, zmartwiony. W jego oczach malował się smutek. — Nie mogę patrzeć dłużej, jak pan się rujnuje. Ostatnio sprzedał mi pan dwie cenne mleczne krowy, aby zakupić za to zbędną sikawkę. Czego pan chce tym razem?

Stali naprzeciw siebie w stajni Materny. Dokoła nich: trzydzieści sześć krów, cztery buhaje, dwanaście koni i blisko sześć tuzinów świń. Wszystko w znakomitym stanie.

— Co jest więcej warte — zapytał Materna — wół czy ludzkie życie? — Wziął Grienspana za ramię i poszedł z nim przez stajnię. Bydło wydzielało ciepły intensywny zapach; mieszał się on z zapachem gnojówki, świeżego mleka i gorzko-słodkim odorem świńskiego łajna.

— Niech pan na to spojrzysz. To wszystko jest moim dziełem.

Zacząłem od małego, ale to wcale nie znaczy, że muszę skończyć na dużym. Czy pan jako handlarz bydła nie wietrzy tu interesu dla siebie? Grienspan potrząsnął głową. — Oczywiście że chcę robić interesy; to mój zawód. Ale nie w ten sposób. Czy naprawdę zamierza pan zlikwidować swoją hodowlę bydła? Z powodu kobiety? Z powodu tej kobiety?

— Drogi przyjacielu — rzekł Materna z uśmiechem. — Kiedy żeniłem się po raz pierwszy, było to z młodzieńczego porywu. Moje drugie małżeństwo miało w sobie coś z wyrachowania — Margarete uchodziła powszechnie za najlepszą partię. Drogo musiałem za to zapłacić.

— A teraz jest pan gotów nawet sprzedać za bezcen swoje najlepsze bydło, aby naprawić kilka błędów?

— Co za bzdury! — zawołał Materna. — Proponuję panu tylko moje chrome konie, krowy, które nie chcą dawać mleka, i świnie dojrzałe na rzeź. Niech mi pan więc przedstawi swoją ofertę.

Grienspan milczał jakiś czas. Zdawał się porządkować w głowie myśli, niczym klocki. Wreszcie rzekł: — Jeśli pan zamierza zrobić to, co ja myślę, drogi przyjacielu — dawaj pan to swoje niepotrzebne bydło. Za najwyższą cenę!

— Koledzy — powiedział Gottlieb Speer — chciałbym wam zakomunikować miłą wiadomość. Dlatego zwołałem to nadzwyczajne posiedzenie zarządu. Chodzi mianowicie o nową sikawkę. Została nam zapewniona.

— I dlatego nas skrzyknął? — Fritz Fischer patrzył z wyrzutem. — Przecież Materna obiecał nam tę sikawkę, i to wobec całej wsi.

— Jest gotów ją kupić — rzekł Gottlieb Speer łagodząco. — Pokazałem mu katalog z sikawkami. Mógł wybrać małą, ale tego nie zrobił.

— Ponieważ na małej nie dość okazałe prezentowałyby się imię i nazwisko jego syna — skontrował Fritz Fischer. — Temu Maternie nie podam nawet małego palca.

Oficjalni uczestnicy posiedzenia zarządu milczeli, na pozór zamyśleni, niektórzy patrzyli przez otwarte okno. Na dworze na ławce siedzieli dwaj nieoficjalni uczestnicy, nasłuchując uważnie.

Byli to Konrad i Peter. Wakacje tymczasem się skończyły, ale na każdy weekend chłopcy przyjeżdżali do Maulen.

— Przypuszczalnie Fischer chce upiec obok Materny własną pieczeń

— szepnął Klinger. — Jestem pewien, że się go tu nie docenia: to groźny pies.

— Drodzy koledzy — powiedział komendant Speer energicznie — kiedy chodzi o wielką sprawę, osobiste niechęci pojedynczych osób muszą iść na bok!

— Wielka sprawa to dla mnie nie sikawka, ale ojczyzna! — zawołał Fischer.

— Z pewnością — przyznał natychmiast Speer. — Nikt w to nie wątpi. Tylko że sikawka figuruje na porządku dziennym naszych obrad. I za to nie możemy odmówić Maternie naszego uznania.

— Brakuje tylko, żebyśmy go mianowali honorowym członkiem - mruknął Fischer.

— To znakomita propozycja — oświadczył Speer pospiesznie.— Całkowicie popieram.

— To idiotyczne — stwierdził Fritz Fischer — koń by się uśmieł. Trzeba tylko, żeby to usłyszał Eichler, ale by wam dał kopniaka!

— Oczywiście — zauważył Speer z rozważą — chętnie weźmiemy pod uwagę opinię Johannesesa Eichlera, jeśli nam ją przedstawi. Ale dotychczas tego nie uczynił. Dla straży ogniowej nikt w tej chwili nie jest ważniejszy niż Materna. Musimy mu w godny sposób wyrazić swoją wdzięczność i uznanie.

— Czy to ma być odwet za to, że Eichler zbeształ cię wobec całej drużyny podczas fałszywego alarmu, a podczas święta zapomniał ci nałożyć wieniec laurowy? — zapytał Fischer ironicznie.

Gottlieb Speer spojrział wzburzony. — Jeśli zamierzasz sam zostać komendantem, proszę bardzo.

— Jeszcze nie — odrzekł Fischer, szczerząc zęby.

— Wobec tego rezygnujemy z sikawki, z dalszych fundacji, z uroczystości poświęcenia, którą również sfinansował Materna. — Speer mścił się. — Oznajmię ten rezultat kolegom.

Wreszcie zaprotestował Uschkurat. Nie chce brać na siebie odpowiedzialności. Zdecydowanie! Z ciężkim sercem wprawdzie, z dużymi oporami, ale musi się zgodzić ze Speerem: Maternę należy uhonorować.

— A ja jestem temu najzupełniej przeciwny! — oświadczył Fritz Fischer. — Zanim oddam swój głos na Maternę, wiele jeszcze musi się wydarzyć. Po prostu nie wierzę w jego dobrą wolę. I nie uwierzę, dopóki mnie osobiście o tym nie przekona. Chętnie dam mu po temu okazję. Możecie mu to powiedzieć. Powiedzcie mu także, że ja mam swój honor — może mnie przepędzić ze swojego brzegu, ale nigdy z mojej chałupy!

Obaj chłopcy, którzy siedzieli pod oknem, nasłuchując uważnie, spojrzeli na siebie. Ich fantazja została właśnie mocno pobudzona. Podnieśli się bez słowa i poszli w ciemność — w stronę jeziora.

Kiedy Fritz Fischer wracał po dłuższym czasie do domu, potknął się najpierw o sznur przeciągnięty w poprzek drogi. Zaklął soczyście,

Kiedy już zbliżał się do chałupy, potknął się po raz drugi i upadł na coś ciemnego i okrągłego: przed wejściem leżała w poprzek jedna z jego łodzi rybackich, poza tym drzwi domu były zabite gwoździami. Musiał więc wejść przez okno, wybiwszy uprzednio szybę. W izbie stały skrzynie z małymi kurczakami, a dokoła łóżka ktoś rozpiął gęste sieci.

— Do cholery! — zawołał Fritz Fischer, pieniać się ze złości. — Co to ma znaczyć?

— To pierwsze ostrzeżenie — ryknął przeraźliwy głos przez wybite okno.

Jesień tego 1932 roku była oszałamiająco piękna. Zalewała Mazury lśniącem blaskiem. Słońce promieniowało rozrzutnie swoją ostatnią letnią siłą.

— I te plony już zwiezione — powiedział Materna do syna Hermanna, z którym przemierzał puste pole. Chłopiec szedł obok niego szybkim krokiem.

— O czym myślisz, synu, kiedy widzisz przed sobą te puste pola?

— Teraz można myśleć o różnych rzeczach — odrzekł chłopiec nieco bezradnie — na przykład o manewrach albo o polowaniu.

— Ja nie urządzam polowań. Ja strzelam. W zasadzie tylko do grubej zwierzyny, Hermann.

Było to proste stwierdzenie. Hermann odebrał je jednak jako upomnienie. Milczał. Ciężkim krokiem szedł przez kartoflisko.

Ziemia rozciągała się przed nimi łagodnymi pagórkami. Wydawała się nieskończona. Horyzont zlewał się z bladoniebieskim niebem.

— Każdej jesieni robię taki obchód po moich polach — powiedział Alfons Materna. — Przejąłem ten zwyczaj już jako dziecko od mojego ojca. I zawsze myślę sobie przy tym: jak będą wyglądały te pola w następnym roku? — Pocziwa twarz Hermanna lekko się zaczerwieniła. Milczał przez dłuższy czas. Cierpliwość ojca wydawała się ogromna.

Wreszcie syn oznajmił: — Ja przypuszczalnie nie jestem typowym chłopskim synem, ja jestem raczej naturą wojowniczą.

— Muszą pewnie istnieć i takie, Hermann. — Materna powiedział

to przyjaznym tonem. Usiadł na dużym kamieniu i wskazał Hermannowi miejsce obok siebie. — Ostatnio dużo myślałem o tym, co z tobą zrobić. To znaczy chciałbym wiedzieć, co ty sam najchętniej chciałbyś robić.

Hermann wahał się przez chwilę, po czym wziął do ręki butelkę, którą mu wręczył ojciec, i wzmocnił się jednym haustem. Następnie powiedział: — Na gospodarce dasz sobie radę sam ze swymi ludźmi. Zanim ja będę mógł ją objąć, upłynie sporo lat, wobec takiej formy, w jakiej się znajdujesz.

— Być może — powiedział Materna, przyglądając się przy tym dłoniom: były małe, niemal jak u kobiety, ale mocne i żyłaste mógłby nimi, gdyby chciał, ugnieść kartofle na papkę. — A co chciałbyś robić tymczasem?

— Powiedzmy: organizować. Mam do tego zdolności.

— A nie miałbyś ochoty handlować bydłem? Grienspan przypuszczalnie przyjąłby cię do swego interesu, gdybym go o to poprosił.

— Rozkręciłbym ten cały interes! — zapewnił Hermann z przekonaniem. — Coś takiego by mi odpowiadało, ale przecież Grienspan jest...

— Żydem — uzupełnił Materna. I to cię złości?

— Mam swoje zasady, ojcze — Hermann oświadczył to uroczystym tonem. — Jestem nastawiony patriotycznie, a moja miłość ojczyzny...

— W porządku — powiedział Alfons Materna. — O ile cię dobrze zrozumiałem, chciałbyś bardziej niż dotychczas brać udział w tak zwanym życiu publicznym.

— Dobrze mnie rozumiałeś, ojcze. — I Hermann wyznał: — - Najchętniej zostałbym burmistrzem w Maulen albo przynajmniej komendantem straży czy kimś podobnym. — Mam tu kolegów i czuję się z nimi związany.

— W porządku — powiedział Materna łagodnie. — Jeśli to jest twój raj, nie mam nic przeciwko temu.

— Mimo że przywódcą tych kolegów jest Johannes Eichler?

— Mimo to, mój synu.

— Co za mądre słowa! — Hermann był poruszony. Najwidoczniej dotychczas błędnie oceniał ojca — on się znał nie tylko na swoim bydłe, ale potrafił również wejrzeć w serce swego syna. A jego wspaniałomyślność była wręcz germańska. — Nigdy ci tego nie zapomnę!

— Mam nadzieję. — Alfons Materna podniósł się energicznie.

Sprawiał wrażenie, że wie już dokładnie, jak obsieje w przyszłym roku swoje pole. Ruszył z miejsca długimi krokami; widział przed sobą nowe żniwa.

Spotkali się nad stawem w lesie jednego z owych ostatnich rozświetlonych jesiennych dni tego roku. Dochodziło się tam łatwo od szosy, która prowadziła do Gross-Grieben; powierzchnia wielkości areny cyrkowej, połyskująca ciemnym granatem, obrzeżona zielonymi pasami trawy, otoczona czarnoszarymi jodłami.

— To cudownie, że przysłaś — powiedział Eugen Eis.

— Ale zaraz muszę wracać — rzekła Brigitte. — Właściwie przysłałam tu tylko po to, aby ci powiedzieć, że nie mam czasu.

— Znamy to! — Eugen Eis uśmiechnął się z wyższością. Był człowiekiem światowym, o ile Maulen można nazwać światem. Ujął rękę Brigitte i przyciągnął ją do siebie.

Ten staw był ulubionym miejscem spotkań zakochanych z Maulen i okolic. Prowadziło bowiem do niego wiele dróg, przeważnie poplątanych. Poza tym nie było przyjemniejszego miejsca dla określonych celów niż to. Tu las był jak ściana; drzewa milczały, a domy były daleko. Powszechnie twierdzono z całą stanowczością, że niemała część ludności stąd brała początek.

— Boisz się? — zapytał Eugen Eis.

— Kogo? — Brigitte próbowała stworzyć wrażenie, że panuje nad sytuacją. Ale jej głos był przytłumiony. Nie miała w tym względzie żadnego doświadczenia i wstydziła się ujawnić tę przykrą prawdę. Wiedziała bowiem, że Eugen Eis uchodzi za najbardziej pożądanego mężczyznę w okolicy i nie chciała się wobec niego okazać niedoświadczoną gęsią.

— Czy mogę ci ufać, Eugen?

— Jeszcze jak! Możesz to w każdej chwili sprawdzić.

Fakt, że mówili sobie po imieniu, jeszcze o niczym nie świadczył; w ten sposób zwracali się do siebie niemal wszyscy w tych stronach — takie tu panowały formy towarzyskie. Niejedno było dzięki temu łatwiejsze. Również przy mocnych wyzwiskach poufałe ty okazywało się bardzo pomocne.

Eugen Eis zdjął marynarkę, rzucił ją na trawę i położył się na niej. Zapraszającym gestem wskazał Brigitte miejsce obok siebie. Dziewczyna jednak wahała się.

Eugen Eis roześmiał się. Wiedział, jak postępować z ludźmi,

a zwłaszcza z dziewczętami. Wystarczy zwątpić W ich odwagę, a już wyzwała się ich lekkomyślność.

— A jednak się boisz. Czyżby ojciec?

— Dlaczego miałabym się bać właśnie jego? Mój ojciec dobrze wie, gdzie jestem i z kim się spotykam.

Eugen zerwał się raptownie. Rozejrzał się dokoła, ale nic nie zobaczył oprócz wody, trawy i drzew; do tego Brigitte. A dziewczyna była bardzo pociągająca, teraz jednak, jako cel ataku, niezbyt bezpieczna.

— Wie o tym? I co powiedział?

— Baw się dobrze, powiedział, ale nie za bardzo. Na pewne przyjemności bowiem — to też powiedział — dziewczyna może sobie pozwolić tylko raz.

— To do niego podobne! — Eugen Eis odprężył się i położył z powrotem. Skoro Materna nie zatrzymał siłą swojej córki, to było prawie jak błogosławieństwo. - Ale mnie to odpowiada.

Brigitte usiadła sztywno obok niego. Objął ją z pewnością posiadacza.—

Czy tak dobrze? — zapytał.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć; nie umiała określić, czy to, co on robi, jest przyjemne, czy nie. Ledwie czuła jego dłoń leżącą na jej ramieniu, która potem osunęła się w dół, do jej piersi. Zdawało się, że słyszy własną krew szumiącą jak wodospad.

A naprawdę usłyszała głośnie, zajadłe, wściekłe szczekanie. Eugen Eis jakby zamarł w bezruchu, potem przekręcił się na bok i uwolnił jej piersi jakby od jakiegoś ciężaru. A z gęstych jodeł wyskoczyły dwa psy...

Zaraz za nimi zjawił się Jabłoński. Trzymał ujadające wściekłe zwierzęta na długiej linie i szczyrzył zęby. Zawołał: — Nie bójcie się! Ja tylko tresuję psy. Ale te bestie są nie do ujarzżenia.

— Do diabła! — krzyknął Eugen Eis oburzony. — Czy akurat musisz to robić, tutaj?

— Gdzieś trzeba to robić — powiedział Jakub Jabłoński przyjaźnie. Skrócił teraz linę i stanął przed Brigitte i Eugenem.

— Materna cię przysłał — rzekł Eugen Eis.

— Nikt mnie nie musiał przysyłać — odparł Jabłoński. — Zawsze jestem tam, gdzie mi się akurat podoba. I tam zostaję.

Jakub Jabłoński usiadł nad stawem w niewielkiej odległości od Brigitte i Eugena Eisa. Sprawiał wrażenie zajętego psami. Zwierzęta merdały ogonami. Po chwili i psy, i on zdawali się być jedynie częścią tego lasu.

Eugen Eis wiedział, że gdziekolwiek by teraz poszedł z córką Materny, Jabłoński pójdzie za nimi ze swoimi psami. Najwidoczniej otrzymał rozkaz nie mieszać się bezpośrednio, a to pozwalało wyciągnąć daleko idący wniosek: Materna nie był w istocie przeciwny.

— My oboje stanowimy udaną parę, prawda? — zapytał Eis przytłumionym głosem, przy czym ujął rękę Brigitte.

Dziewczyna uwolniła swoją dłoń i wstała. Potem powiedziała to, co już od wielu dni zamierzała powiedzieć: — Mnie nie nabierzesz! Wszędzie masz kobiety! Ja jestem tylko jedną z wielu!

Eugen Eis uśmiechnął się gorzko. Próbował w ten sposób dać do zrozumienia, że to nie on uwodził. To one chodzą za nim jak cień. Już go to nudzi.

— Ale nie masz nic przeciwko temu!

— To chyba z rozpaczy — powiedział Eugen — albo z nudów. A może dlatego, że dotychczas daremnie szukałem kobiety, która by mnie rozumiała.

Mógłby się wżenić w gospodarkę Scharfkego, gdyby tylko chciał. Christine Scharfke zawzięła się na niego, opowiadał. Jednakże, czy to byłaby kobieta na całe życie? I wreszcie: czy miałby przez całe życie podawać piwo i wódkę i sprzątać brudy po innych ludziach? — Przecież szkoda mnie do takiej roboty!

— Za to do Materny mocno mnie ostatnio ciągnie — powiedział po krótkim intermezzo energicznie sobie poczynającej ręki. — Zwłaszcza odkąd wiem, jaką ma wspaniałą córkę.

Brigitte zastanawiała się: dlaczegoż to ona nie miałaby okazać się tą kobietą, która da Eugenowi wreszcie to, czego on tak bardzo pragnie? Czują się wystarczająco silna, aby temu sprostać. — Czy naprawdę tak myślisz?

— Przysięgam — powiedział Eugen Eis bez wahania. Jego oddech stał się nierówny. Zaczął głaskać dziewczynę.

Ale oto niezbyt daleko rozległ się strzał. I zaraz potem drugi. Psy Jabłońskiego zerwały się i nastawiły uszu. Brigitte wygładziła spódnicę. Eugen odsunął się od niej.

Jabłoński oznajmił fachowo: — To nie broń myśliwska, to raczej karabin. Odległość mniej więcej dwieście metrów; strzał w kierunku jeziora. Przypuszczalnie znów ćwiczenia.

Potem rozległ się krzyk, który przybliżał się coraz bardziej. Postrzelony jeleń zdawał się torować sobie drogę w gęstwinie. Ale nie był to jeleń, był to Fritz Fischer, który wypadł z krzaków. — Ktoś do mnie strzelał! — ryknął.

Eugen Eis zerwał się i patrzył nieprzyjaznym wzrokiem na intruza. Jakub Jabłoński zbliżył się zaciekawiony wraz ze swymi psami. - Naprawdę ktoś do ciebie strzelał? I nie trafił?

Fritz Fischer zaczął opowiadać pospiesznie. — Siedziałem sobie spokojnie w łodzi na brzegu i porządkowałem sieci. Nagle ktoś do mnie strzelił. Pierwszy strzał padł na lewo ode mnie — skryłem się. Drugi padł z prawej strony — znów się skryłem, ale tym razem z takim rozmachem, że straciłem równowagę i wpadłem do jeziora.

— A więc się wykąpałeś? — zapytał Jabłoński, szczerząc zęby.

— To był zamach na mnie! — zawołał Fischer. I tylko jeden człowiek może mieć to przestępstwo na swoim sumieniu. Materna!

— Nie otwieraj tak szeroko swojej gęby, bo się przeziębisz — ostrzegł Jabłoński. — A poza tym drażnisz moje psy.

— Postawię tego Maternę przed sądem! — darł się Fischer.

— Chyba żartujesz! — oświadczył Jabłoński. — To nie mógł być Alfons. Jeśli on strzela, to zawsze trafia.

— To był Materna, któż by inny?

— Nie mogę w to uwierzyć! — powiedziała Brigitte.

Eugen skinął jej głową uspokajająco. Popatrzył na Fischera i powiedział łagodnym głosem: — Tylko bez pochopnych twierdzeń. Z tego, co mówisz, wynika, że nie mogłeś w żadnym razie widzieć, kto do ciebie strzelał. Słyszałeś kiedy o zabłąkanej kuli?

— Co ty sobie myślisz! — Fritz Fischer ofuknął ostro Eugena. — Chyba nie zamierzasz osłaniać tego Materny tylko dlatego, że z jego córka...

— Pocałuj mnie w nos — odparł Eugen Eis.

— To już szczyt wszystkiego — Fischer rozejrzał się dokoła, wytracony z równowagi. — Johannes Eichler z pewnością nie pochwaliliby tego, na co sobie pozwalasz.

— Człowieku, nie wyjeżdżaj mi tu z taką mową — powiedział Eis. Czuł na sobie pełne zachwyty spojrzenie Brigitte i to dodało mu animuszu. — Jeśli narobiłeś w portki ze strachu, to nie znaczy, że ja też zaraz mam zgłupieć. Wiesz, co robimy z takimi, którzy kulą ogon pod siebie, jak słyszą strzały? Spisujemy ich na straty. Czy o to ci chodzi?

Johannes Eichler zareagował na to wydarzenie z majestatyczną godnością. Odkąd — jak sądził — opanował całkowicie sytuację w Maulen, jeśli mu coś nie dogadzało, wydawał po prostu rozkazy, aby niedogodność usunąć.

W tym wypadku rozkaz został wydany Ignazowi Uschkuratowi, ale nie jako przywódcy chłopów, lecz jako burmistrzowi.

— Mój drogi — powiedział Eichler leniwie — doszły mnie słuchy, że ktoś strzelał do naszego kolegi Fischera. Nie podoba mi się to.

— Mnie również nie, jeśli to prawda.

— Dlaczegoż miałyby nie być prawdą? — Johannes Eichler uśmiechnął się z miną człowieka wszystkowiedzącego. — Strzały padły w lesie, który jest własnością Materny. A Fischer bynajmniej nie należy do jego przyjaciół. Od tego należy wyjść. Chętnie zająłbym się sam tą sprawą, ale chwilowo mam ważniejsze rzeczy na głowie. Więc zrobisz to ty.

Plaska, kanciasta, ogorzała twarz Ignaza Uschkurata posmutniała. Niemał błagalnym głosem zapytał: — Czy to muszą być właśnie ja?

Eichler spojrział zdumiony. — Znam co najmniej trzech, którzy chętnie zostaną burmistrzami w Maulen zamiast ciebie.

— Zgoda — powiedział Uschkurat. Wstał i wyszedł jak winowajca.

Johannes Eichler natomiast patrzył zamyślony przed siebie. Ale nie myślał nawet o swoim zbliżającym się weselu. To było jakby oczywiste. Bardziej go poruszały pewne wyczuwalne już oznaki burzy na szerokim świecie.

Johannes Eichler bowiem nie tylko dbał o powierzonych sobie ludzi: on podtrzymywał również kontakty z dawnymi towarzyszami z wojny. Jeden z nich mieszkał w Ostródzie, drugi w Olsztynie, trzeci w Giżycku. Wszyscy oni niemal jednocześnie i zarazem dość wcześnie rozpoznali, że szykują się duże zmiany: zapowiedź nowych wielkich czasów.

Eichler starał się więc wy badać sytuację. Zauważył przy tym, że towarzysze wojenni, ludzie podobnie myślący w Ostródzie, Olsztynie i Giżycku, zaczęli tworzyć tak zwane Ortsgruppen NSDAP, następnie wchodzące w ich skład oddziały szturmowe, nazywane w skrócie SA. Eichler czytał ostatnie broszury i gazety, między innymi *Völkischer Beobachter*, *Stürmer* i *Angriff*. Sprowadził sobie nawet książkę pod tytułem *Mein Kampf*. Nie przeczytał jej wprawdzie, ale wystarczyło mu, że ją ma.

Tak więc studiował znaki czasu, a kiedy już je dokładnie prze-studiował, zapoznawał swoich zwolenników w Maulen z tym nowym, przełomowym myśleniem. Zaczął od ostrożnych słów wprowadzających. — Nie może nam zaszkodzić, jeśli się tym zajmujemy. A może nawet przynieść Maulen korzyści. Zakładając oczywiście, że słuszne idee przejmą właściwi ludzie.

Ignaz Uschkurat z trudem dźwigał ciężar zaufania, jakim go obdarzono. Minęły dni, zanim się zebrał, aby pójść do Materny. Wystąpiły już pierwsze tego roku przymrozki.

Zanim Uschkurat ruszył, koniecznie musiał się wzmocnić alkoholem. Jakże wielkie było jego zdumienie, kiedy został wylewnie powitany przez Maternę. Z pewną nadzieją w głosie zaczął rozmowę: — Ja osobiście, jak wiesz, nie mam nic przeciwko tobie.

— Dlaczego miałbyś mieć! — Materna pełen oczekiwania zapalił cygaro. — W końcu jestem wygodnym wierzyicielem — jak dotychczas nigdy jeszcze nie upominałem się u ciebie o długi. Czyżbyś mimo to chciał ukłębć mi głowę z wyższego polecenia?

Ignaz Uschkurat podniósł ręce. — Czy oczekujesz ode mnie, że się dla ciebie poświęcę?

— Zdaje się, że cię rozumiem. — Materna najwyraźniej dobrze wiedział, co kogo w Maulen boli. — Ty chciałbyś tu pozostać burmistrzem, a ja jestem gotów ci w tym pomóc. Tylko musimy uzgodnić, jak to najskuteczniej zrobić.

— Kto pragnie zachować swój urząd, musi się wykazać osiągnięciami. — Ignaz Uschkurat zacisnął dłonie, jakby ugniatał nimi bryłę gliny. — Muszę więc dbać we wsi o spokój i porządek. Nie mogę na przykład tolerować tego, że życie obywateli jest zagrożone.

— To całkiem coś nowego — powiedział Materna z gorzkim szyderstwem. — Znam bowiem przypadek, kiedy jeden z mieszkańców tej wsi został rozszarpany i... Ale zostawmy to, przynajmniej na razie. Przyszedłeś więc, aby mnie wydać na rzeź, jednakże przeciw temu buntuje się twoje dobre serce. Każde wyjście z sytuacji powitałbyś z ochotą.

— Tak jest w istocie — przyznał Uschkurat.

Alfons Materna wstał; poruszał się po izbie niemal tanecznym krokiem. — Być może mam ci do zaoferowania to, czego, zdaje się, potrzebujesz. Co byś powiedział, gdybym zrobił z ciebie najskuteczniejszego burmistrza Maulen wszechczasów?

— W jaki sposób? — zapytał Ignaz Uschkurat chciwie.

— Podaruję gminie Maulen Psie Łąki!

Ignaz Uschkurat zbladł. Każdy we wsi wiedział, jakie znaczenie miały owe Psie Łąki: najlepsza ziemia, idealny teren pod budowę, jak, również najpiękniejszy w okolicy plac na uroczystości. Wprost bezcenna rzecz!

— Człowieku — jęknął Uschkurat zdumiony _____ Czy mówisz poważnie? Zdobyłbyś się na to? Rzeczywiście chcesz to uczynić?

— Z czystej przyjaźni — zakpił Materna łagodnie. — Ale nie musisz się z tego powodu tak podniecać. Wystarczy, że przyjmiesz do wiadomości, że jestem gotów przekazać ten teren gminie bez żadnych roszczeń finansowych, bez oficjalnej rekompensaty, bez żadnych pisemnych warunków. Całkiem zwyczajnie: jako upominek. Jako darowiznę — tak to się oficjalnie nazywa. No i co, Uschkurat?

— Człowieku, jeśli z tym wystąpię, będą mi jedli z rąk.

— A ja chętnie będę twierdził, że wyrwałeś mi te łąki wprost siłą. Wszystkim rozpowiem, żeś mi wiercił dziurę w brzuchu. I w ten sposób będzie to całkowicie twoją zasługą. Zgoda?

— Dziękuję — powiedział Ignaz Uschkurat wzruszony. — Nigdy ci tego nie zapomnę. Jesteś dobrym człowiekiem. Odtąd nie dam na ciebie powiedzieć złego słowa. — Już widział siebie, jak przechodzi do historii wsi Maulen pod hasłem: Człowiek, który podwoił (jeśli nie potroił) dobro gminy . — Odtąd zawsze możesz na mnie liczyć, Materna.

— Mam nadzieję. W każdym razie chwilowo przywiążuję do tego wagę. — Alfons Materna złożył ręce jak do modlitwy. — Tymczasem jednak niech ta sprawa pozostanie między nami. Załatwimy wszystko notarialnie i ja zadecyduję, kiedy zaskoczymy tych naszych przyjaciół.

— Przyjmuję do wiadomości pańskie zeznanie — powiedział żandarm uprzejmie.

— I to wszystko? — zawołał Fritz Fischer wzburzony.

Spadł już pierwszy śnieg. Mróz zaczął się wciskać w ziemię. Nadchodził długi mazurski zimowy sen. Nawet domniemane usiłowanie zabójstwa Fischera zdawało się pogrążyć w sennej obojętności.

— Nie musi mi pan przypominać o moich obowiązkach — oświadczył żandarm chłodnym tonem. — Proszę, aby pan się łaskawie hamował.

— A czy inni się hamują wobec mnie? — zawołał Fischer oburzony. — Najpierw zablokowano mój dom, następnie strzelano do mnie, a dziś w nocy opróżniono nawet mój zbiornik z rybami — było w nim prawie pół cetnara węgorzy!

— Czy ten zbiornik był zamknięty?

— Co to znaczy: zamknięty? Po co te wybiegi? Wystarczy, że pokrywa była opuszczona. A skoro ryb już tam nie ma, to znaczy, że ktoś je ukradł.

— To tylko przypuszczenie, żaden dowód!

— Niech pan zniszczy wreszcie to gniazdo os, Klinger, niech pan wsadzi tego Maternę!

— Nie jest wskazane wymawianie nazwisk — powiedział żandarm ostrzegawczo — dopóki brak dowodów albo przynajmniej uzasadnionego podejrzenia.

Fritz Fischer poczuł się zdradzony i zaprzędany. Co się dzieje w tym Maulen? Już od tygodnia go tu zwodzą. Nie ma nikogo, kto by mu skutecznie i po przyjacielsku pomógł. Dawni niezawodni kompani pochowali głowy w piasek. Nawet żandarm wyszukiwał trudności. — Pan najwyraźniej nie ma ochoty znaleźć sprawcy albo sprawców!

— Ja mam swoje przepisy, i tych się trzymam.

Fritz Fischer zaklął po cichu. Odwrócił się plecami do żandarma i opuścił jego dom. Podszedł zdenerwowany do swego roweru, który postawił pod murem cmentarza. A obok roweru stał Siegfried Grienspan.

— Wygląda na to, że ma pan defekt — powiedział Grienspan uprzejmie. — Przechodziłem tędy przypadkiem i zobaczyłem...

— Do diabła! — wrzasnął Fischer. Jego nerwy nie były ostatnio w najlepszym stanie. Jednym spojrzeniem ocenił, co się stało z jego rowerem. W obu kołach brakowało powietrza. — Czy pan coś tu majstrował? — ofuknął Grienspana.

— Skądże! — powiedział Grienspan wystraszony. — Gdzieżbym śmiał? Chciałem tylko pomóc.

— Pomóc? Komu? Swojemu przyjacielowi Maternie? Wypuszczając mi powietrze z kół? To do was, drani, podobne! Chcecie mnie wykończyć wspólnymi siłami! Ale to się wam nie uda! Poradzę sobie z waszymi żydowskimi sztuczками!

— Jak panu nie wstyd — powiedział Grienspan śmiało i bardzo spokojnie. — Jak pan może mówić coś takiego! — I odszedł pochylony, ale z godnością; jego lekki uśmiech zdradzał bezradny smutek.

Fritz Fischer patrzył za nim z triumfem: ale mu dał nauczkę. Przynajmniej z jednym mu się udało.

Kogo Fischer nie dostrzegł, to obu chłopców, Konrada i Petem, którzy przykucnęli na murze cmentarnym w odległości dwudziesta metrów. Trwali w bezruchu niczym kamienne posągi; tylko ich oczy błyszczały.

Fritz Fischer najpierw posilał się dość długo w gospodzie, następnie przeklinając poprowadził rower do domu. Kiedy chwiejąc się na nogach zbliżał się do swojej chałupy, zdawało mu się, że nie wierzy własnym oczom; albowiem była ona pomalowana na kolorowo!

Wyglądała, jak zebra, ale nie tylko w białe i czarne pasy, lecz także w czerwone.

— O Boże! — zawołał Fischer wytrącony z równowagi. Stał jak wryty.

Następnie pospieszył do domu. Drzwi były szeroko otwarte. Jego oczom ukazał się widok wprost oszałamiający: izba błyszczała niemal całkiem pusta, pośrodku leżała tylko zdechła śmierdząca ryba. Fischer wprost nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Musiały upłynąć minuty, zanim znów odzyskał jasność spojrzenia. Spozregł wówczas dwa długie cienie. Zaczynały się przy drzwiach i sięgały do zdechłej ryby. Spojrzał w górę i zobaczył Konrada Klingera i Petera Bachusa. Przyglądali mu się z uwagą.

Fischer opuścił bezsilnie głowę. Nie wiedział, jak ma potraktować tych chłopaków z piekła rodem, milczał więc.

— Jak to śmiesznie wygląda — powiedział Konrad miłym głosem.

— Pański dom ma coś ze sztuki nowoczesnej. Nie wiedziałem, że pan gustuje w takich rzeczach.

— Ale pan ma pomysły — uzupełnił Peter równie miłym głosem.

— Tak pomalować sobie dom w paski. Chyba nikt w okolicy nie pójdzie w pana ślady.

— Idźcie do diabła — powiedział Fritz Fischer słabym głosem. I nagle wrzeszcząc dodał: — Co ja wam takiego zrobiłem?!

— W zasadzie wszystko jest bardzo proste — oświadczył Konrad. - Kto chce mieć spokój, musi się starać żyć w zgodzie z sąsiadami. Wystarczy do tego tylko odrobina dobrej woli.

Po czym Peter Bachus zaczął się rozwódzić na temat osobliwych reakcji w przyrodzie. A specjalnie na temat skażenia wód. To skażenie, wywodził, może nastąpić z powodu ścieków z fabryk i garbarni, a także mogą je spowodować pewne chemikalia.

— Kropla kwasu, jak mówią, może zatruć dziesięć metrów sześciennych wody. Dla całego naszego jeziora wystarczy kilka butelek. A te kosztują niewiele więcej niż cetnar węgorka. Niech pan się nad tym zastanowi. Może pan przeznaczyć na to trochę czasu — byle nie całą wieczność.

Tegoroczna zima spadła na Mazury jak sęp, który się rzuca na swoją zdobycz. Śnieg pokrył ziemię, a jezioro zamarzło już na początku grudnia. Ludzie zaszyli się w swoich domach, a kominy ich chat dymiły.

Tylko wdowa Mischgoreit włożyła swój sfilcowany kożuch i węd-

rowała wytrwale od domu do domu. I opowiadała wszystkim po kolei: — Ten mrozek jest jak stado wilków. Nie można się wysuszać, żeby nie zamienić się od razu w sople lodu. Od dziesiątków lat tak nie było. To musi coś oznaczać!

— Należy tej babie wreszcie zatkać gębę — polecił Johannes Eichler. — Ona sieje tylko we wsi niepokój. Nawet wśród mężczyzn.

On sam tylko się z tego śmiał. Jak każdy na Mazurach, popijał swój grog, przyrządzany według starej recepty: musi być rum, musi być cukier, woda nie jest konieczna. Powiadają, że Mazurzy w zimie siedzą i myślą, a jak już wszystko przemyślą, to sobie tylko siedzą.

Boże Narodzenie było nastrojowe i przebiegało spokojnie. Johannes Eichler przebywał u swojej narzeczonej w Giżycku, a Eugen Eis przez trzy dni nie trzeźwiał. Pastor Bachus jeszcze raz zapanował nad Maulen: narodzenie Chrystusa było przez niego świętowane nadzwyczaj uroczystie. W kościele zajęte były nawet miejsca stojące.

W Sylwestra i Nowy Rok Scharfke zanotował największe od lat obroty. Zalewała go falami przytłumiona wesołość. Dwaj chłopcy spalili całą noc na śniegu i nie ponieśli żadnego uszczerbku na zdrowiu. Wzbudzili tym wielki śmiech.

Piątego stycznia, przy dwudziestodwustopniowym mrozie, ludzie zostali obdarzeni przeżyciem szczególnego rodzaju. Z Johannisburga doniesiono, że w okolicy grasuje wilk — przypuszczalnie przywędrował z Polski, przypuszczalnie przebywa na terenie Grieben — Siegwalde — Maulen. Wilk ów podobno wdziera się do kurników, napada na płową zwierzynę, na psy, zagraża nawet ludziom. Trzeba go jak najszybciej upolować.

Wiadomość ta nadeszła od landrata do naczelnika, stamtąd dotarła do burmistrza; ten zawiadomił Johanna Eichlera, który natychmiast wszczął alarm. — Nie możemy tego zbagatelizować, nareszcie coś się dzieje. Już my mu damy do wiwatu!

Ale taką akcję trzeba szybko zorganizować — Eichler znał się na tym. Za pośrednictwem Eisa kazał zwołać wszystkich kompetentnych ludzi; zjawili się w pełnej gotowości, podnieceni perspektywą polowania.

Plan Eichlera szybko nabrał ogromnego zasięgu. Eichler zamierzał pod swoim kierownictwem włączyć do polowania całą dolinę. Poinformował starostę: — Wszystkie nici akcji trzymani w swoich rękach.

Na co starosta polecił mu przekazać:

— Darzbór!

Był to zobowiązujący wszystkich dowód zaufania. Całe przedsięwzięcie

miało być strategicznym sukcesem Johanna Eichlera, jak niegdyś bitwa pod Tannenbergiem była sukcesem Hindenburga. Tak w każdym razie twierdzono. Eichler podzielił całą okolicę na sektory, dla każdego odcinka powołał kolumnę naganiaczy. Skoncentrowanie działań — w środku Maulen. A tu on sam na czele strzelców!

— To będzie święto! — obiecywał pewny siebie. Przygotowania zajęły cały dzień i pół nocy. Główna kwatera znajdowała się w gospodzie Scharfkego. Przygotowano pełen kocioł grogu.

Wielki ruch miał się rozpocząć następnego ranka, punktualnie o godzinie piątej i w pięciu miejscach jednocześnie. Ale przedtem — coś na wzmocnienie: wydanie pełnych manierek dowodzącym akcją, specjalne przydziały gorących kiełbasek dla reszty uczestników. Wszystko ze specjalnego funduszu Heimatschutzu.

Tak więc święto ludowe zaczęło się radosnym oczekiwaniem. Przydzielano ciężkie kozuchy. Filcowe buty człapały ciężko po śniegu; przejrzyste mroźny poranek wypełniały wesołe rozmowy. Wilhelm, zakrystian, grabarz i pierwszy trębacz straży pożarnej, stał gotowy do odtrąbienia sygnału.

Johannes Eichler zjawił się opatulony w grube futro. Na głowie miał podziwiany przez wszystkich zielony myśliwski kapelusz. Fuzję niósł za niego Eugen Eis. Dowódcy poszczególnych odcinków meldowali swoje formacje, strzelcy salutowali. Eichler dziękował wszystkim, pewien zwycięstwa.

Potem spojrzął na zegarek — brakowało jeszcze kilku minut do rozpoczęcia wielkiego polowania. Eichler zamierzał je należycie wykorzystać. — Ustawcie się wokół mnie półkołem — zarządził.

I podczas gdy jego drużyna gromadziła się posłusznie wokół niego, z oddali rozległy się jasne, głośne dzwoneczki sań. Eichler podniósł niechętnie głowę; aż do chwili rozpoczęcia akcji zabronił przecież wszelkiego hałasu! Spojrzął z przyganą na Eisa.

Ten stwierdził tylko: — Najwidoczniej znowu ten Materna.

Dźwięk dzwonka zbliżał się; pędziły dwa najlepsze konie Materny. Ale na koźle siedział tylko Jakub Jabłoński i szczyrzył zęby. Wjechał w sam środek zebranych, zatrzymał swój zaprzęg.

Johannes Eichler spojrzął ponuro: — Co to za głupota?

— Ja też chciałbym o to spytać — zawołał Jabłoński wesołek. Następnie sięgnął za siebie i wyciągnął wielkie, szare, martwe zwierzę. Rzucił je na ziemię, pod nogi Johanna Eichlera.

Był to wilk.

Zabił go tej nocy Alfons Materna. Jednym strzałem. Drapieżnik zwał się na ziemię, nie wydając nawet dźwięku;

I w ten sposób trafiony został również Johannes Eichler.

Dopiero około południa Fritz Fischer powrócił do domu z zakończonego polowania — opity grogiem i brzemienny w myśli. Nawet duża dawka darmowego alkoholu nie mogła zatrzeć w nim wrażenia, że Eichler doznał porażki.

Eichler jednak zameldował landratowi: — Wilk upolowany! Padlina w drodze. A landrat odpowiedział: — Moje podziękowanie i uznanie! — Ale nawet to nie ucieszyło Eichlera.

Natomiast Fritz Fischer — i nie tylko on — zaciął myśleć o Eichlerze krytycznie. I trwało tak jakiś czas. W wypadku Fischera — co najmniej do owej chwili, w której spostrzegł, że chyba płonie jego chałupa. Otaczały ją bowiem gęste chmury dymu. Przerażony pognął w jej kierunku.

Na miejscu stwierdził z ulgą, że to tylko zatkany komin. Tkwiła. w nim choinka, a na niej tabliczka: Ukradzioną w lesie Materny. Są na to świadkowie . A w piecu paliły się nasączone smołą szmaty. W chacie śmierdziało jak w piekle.

Na stole Fischer znalazł karteczkę, na której edukowanym pismem było wykaligrafowane: Czas do namysłu minął. Jest to ostatnie ostrzeżenie .

Fischer stał jakiś czas nieruchomo jak słup soli. Potem jednak nagle ruszył, zdecydowany zabrać się do rzeczy całą parą.

Najpierw poszedł do żandarma i oświadczył mu, że wycofuje doniesienie, jakie złożył na nieznanego sprawcę albo wręcz na Maternę. To była pomyłka. Klinger zaakceptował tę decyzję, nazwał ją rozsądną.

Następnie Fischer udał się do Speera, potem zaś do Uschkurata. Zapewnił obu, że całkowicie zgadza się z ich poglądami — również w sprawie planowanego honorowego członkostwa Materny w ochotniczej straży pożarnej. Pogratulowano mu tej zmiany przekonania. Zdaje się, że jesteś na właściwej drodze.

— A jestem! — powiedział Fischer i pospieszył do domu Materny.

— Przyszedłem do ciebie, aby szczerze porozmawiać — oznajmił Fritz Fischer.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział Materna — ale może byś wpierw przeprosił. — I wskazał na swojego gościa, Siegfrieda Grienspana, który stał przy oknie.

— Ależ to nie jest konieczne — rzekł Grienspan niespokojny i zakłopotany. — Nie przywiązuję do tego wagi.

— Bardzo przepraszam — oświadczył Fritz Fischer. — Głupio się zachowałem i jest mi przykro z tego powodu. Nie chciałem urazić. Czy mogę liczyć na wybaczenie?

— Ależ oczywiście — zapewnił Grienspan. — Nie żywię urazy.

Po czym Fischer rozpoczął dłuższy wywód. Człowiek — powiedział — może się mylić i często w związku z tym powstają nieporozumienia. W końcu jesteśmy sąsiadami i odpowiednio do tego powinniśmy postępować.

— Zdumiewa mnie twoja ugodowość — odrzekł Alfons Materna.

— Nie sądz, że chcę wywierać na ciebie jakikolwiek nacisk. Nie uważam tego za konieczne.

Fritz Fischer oświadczył, siłąc się na przyjazny ton: — Ty, Materna, masz swoje gospodarstwo, ja mam swoje rybołówstwo. Nasze interesy nie muszą się ścierać.

— Wiem, co byś chciał — odrzekł Materna. — Poszerzenia terenu połowów aż do mojego brzegu jeziora. Byłbym gotów do tego pod pewnymi warunkami.

— Jakie to warunki?

— Jeśli okażesz się sąsiadem, z którym można pokojowo współżyć, wtedy udostępnię ci mój brzeg.

— Jest to propozycja, która przychodzi jak na zawołanie — rzekł Fischer. — Dla moich ryb gotów jestem uczynić wszystko! I niech mnie diabli porwą, gdyby w przyszłości coś między nami nie grało.

Johannes Eichler zaprosił swoich popleczników, aby ich umocnić w wierności i posłuszeństwie. Zebrali się na poufną rozmowę na zapleczu gospody Scharfkego.

Eugen Eis przybył jako pierwszy, zgodnie z rozkazem. Miał się zatroszczyć, jak zwykle w takich wypadkach, o ciepłe pomieszczenie, chłodne piwo i zimną wódkę. Dla Eichlera musiało być przygotowane wysokie krzesło z oparciem, dla Eisa krzesło średniej wysokości, reszta miała siedzieć na zwykłych krzeselkach ogrodowych. --- Hermann Materna, najmłodszy towarzysz, wysoki, potężny, energiczny, wkroczył do gospody, nie wiedząc jeszcze, o co chodzi tym razem.

Ujął dłoń Eugena, uścisnął ją mocno

— Czy wiesz, o co chodzi? — zapytał.

— Oczywiście, że wiem — rzekł Eis - chociaż wcale nie wiedział. Ale z czymś takim nie zdradzi się żadna prawdziwa wodzowska natura wobec towarzysza niższej rangi.

Tymczasem Scharfke podszedł do Eugena Eisa, wziął go na bok i szepnął: — Obawiam się, że będą trudności.

— Ale ty nas od nich uwolnisz, Scharfke, albowiem dzisiaj wszystko musi grać. Eichler, zdaje się, zamierza wystrzelić z grubej rury.

— Być może — powiedział Scharfke — ale jestem bezsilny wobec kapryśków kobiecych. Moja córka nie chce was obsługiwać - i to przez ciebie, Eugen. Mówi, że ostatnio flirtujesz z Brigitte Materną. Nie poda ani szklanki na stół, przy którym ty będziesz siedział...

— Co za brednie! — zawołał Eis oburzony. — W moim całym zachowaniu chodzi o tajną służbową misję.

— Wierzę ci — zapewnił Scharfke. — Ale spróbuj to wytłumaczyć naszej Christine.

— Nie mam teraz czasu, ty to za mnie załatwisz. Ona musi obsługiwać bez gadania; później, kiedy minie zamieszanie, osobiście jej to wyjaśnię.

Tymczasem zjawili się następni uczestnicy spotkania: Uschkurat, Speer, Fischer. Nadeszli razem. Zazwyczaj to się nie zdarzało. Szli jak za pograbem.

Zaraz za nimi próg gospody przekroczył Johannes Eichler. Zdawał się być w wyśmienitym nastroju, zawołał do obecnych. — Szykują się wielkie rzeczy. Powiem tylko tyle: ale się zadziwicie!

Popijali w milczeniu. Był to przestrzegany rytuał: najpierw się przyjemnie rozgrzać. — A nasz kolega Hermann — powiedział Eichler serdecznie — będzie nas osłaniać przed nieproszonymi gośćmi i podsłuchującymi.

— Tak jest — odrzekł Hermann ochoczo. — Będę osłaniać!

To polecenie nie było dla niego czymś nieoczekiwanym. Jeśli Eugen Eis był w Maulen kimś w rodzaju szefa sztabu generalnego, to Hermann przyjął ostatnio funkcję generalnego adiutanta. Z czujnym spojrzeniem zajął stanowisko w przedsiönku.

— Drodzy koledzy — powiedział Johannes Eichler bez wstępu— przejdźmy od razu do rzeczy.

Jego poplecznicy opuścili głowy jak konie nad żłobem. Nie widzieli przy tym swego przywódcy, a ten nawet nie zwrócił na to uwagi.

— Wszyscy wiemy — oświadczył Eichler z pewnością siebie — skąd się biorą szczególne trudności w naszej wsi i że tolerowanie tego na dłuższą metę przyniesie uszczerbek naszemu honorowi. Myślę, że w tym punkcie jesteśmy zgodni.

Ale tym razem nie było to takie pewne. Obecni skinęli głowami, niezbyt jednak gorliwie. Dopiero teraz Eichler spostrzegł tę nieoczekiwaną upartą obojętność. Napelniało go to nieufnością, która zaczęła narastać. Zapytał zniecierpliwionym głosem: — A może nie jesteśmy zgodni? Jeśli nie, to znaczy, że umacniamy pozycję wroga, a tego przecież nikt nie chce.

Zapanowało podejrzane, niemal groźne milczenie.

Eichler zarejestrował to zaniepokojony. I postawił na niemal zawsze skuteczną metodę — na pytanie wprost: — Co ty o tym sądzisz, Fischer?

Fischer wił się jak piskorz, ale tylko krótko; potem zdawał się znów dostosować do Eichlera. Oświadczył: — Ten Materna wprost umizguje się do mnie. Po prostu mi się narzuca. Ale ja nie muszę zaraz ulegać. Ja mu nie ufam.

— Dobrze — powiedział Johannes Eichler. — Zawsze to jest coś. A jak z tobą, Speer?

— Materna umożliwił w końcu remont kościoła, a poza tym ufundował nową sikawkę. Uważam, że to nas w jakimś sensie zobowiązuje.

— W jakimś sensie — niewątpliwie. — Eichler wspaniałomyślnie pominął milczeniem tego rodzaju rozumowanie. Jeśli to były wszystkie przeszkody, mógł być spokojny. Odmalowany kościół i nowa sikawka ostatecznie nie wyrugują dojrzałego światopoglądu. — A teraz ty, Uschkurat. Jak ty widzisz sytuację?

— No tak — powiedział Uschkurat. — Ten Materna ma też w końcu jakieś zasługi...

— Jakież to? — zapytał Johannes Eichler z pozornie łagodną ironią.

— Podarował gminie Psie Łąki. Po prostu podarował. Tak jest!

— Nie! — zawołał Johannes Eichler. — To wprost niemożliwe. Nie mogę w to uwierzyć!

— Ale to fakt! — oświadczył Uschkurat skromnie. — To już potwierdzone notarialnie. Prawie bez zarzutu.

— To jest chyba największa podłość, jakiej się wobec mnie dopuszczono — stwierdził Eichler, trzęsąc się ze złości. — Nie wolno sobie pozwalać na coś takiego wobec mnie! To przyniesie niewyobrażalne wprost następstwa!

W tych ostatnich dniach stycznia wdowa Meta Mischgoreit krążyła jak duch po wsi, mocno poruszona.

— Widziałam Topicha, kiedy chciałam przejść przez jezioro. Wy-

szedł z przerębli tuż przede mną. Miał na głowie swoją czerwoną czapkę i patrzył na mnie.

— Czy pani może ostatnio popija? — zapytał Bachus, marszcząc czoło.

Mischgoreit ofuknęła go. — Jestem biedną starą kobietą — powiedziała z krzywym uśmiechem. — Tacy jak ja nie przechowują w piwnicy wina mszalnego.

Pastor cofnął się, skonsternowany. Potem zawiadomił zandarma. Ten powiedział: — Możliwe, że takie gadanie jest niebezpieczne, ale z urzędu nie mogę tu przeciwdziałać.

Nauczyciel Vetter próbował uświadomić swoich uczniów: duchy wodne nie istnieją. Ale musiał stwierdzić zaskoczony, że mu nie wierzą. Poprosił Eugena Eisa o pomoc.

Ten wezwał Mischgoreit i powiedział: — Jeśli natychmiast nie przestaniesz pleść głupstw, będziesz znów płacić czynsz za swoją budę.

— Niedługo nikt nie będzie płacił czynszu, bo świat się zawali! — zawołała Meta Mischgoreit, nie dając się zbić z tropu.

Z każdym dniem stawała się coraz bardziej gwałtowna; biegała pip wsi niechlujnie ubrana i z potarganymi włosami. Wpadła nawet do gospody i zaczęła przeklinać wszystkich, którzy tam siedzieli. u

— Wszyscy zdechniecie nędznie! — wołała. — I to już wkrótce,

— Skąd to wiesz, od swego wodnika?

Meta popatrzyła na kompanów od kieliszka. — Najpierw chłanie, potem zdychanie! Tak powiedział Topich. Poleje się krew! Wspomnicie jego słowa, łajdacka zgrajo!

Wyniosła się z gospody, zanurzyła w kurzawie i zniknęła.

Znaleziono ją po trzech dniach dwudziestego dziewiątego stycznia. Utonęła w przerębli jeziora. Jej ręce zaciskały się wokół lewej piersi — tam, gdzie przypuszczalnie było serce.

I niemało ludzi w Maulen szeptało do siebie potajemnie: — Topich ją zabrał! — Mówili też: — Kiedy wodnik się wyłania na powierzchnię, nadchodzi krwawe czasy. On jeszcze nigdy nie zadowolił się jedną ofiarą.

— Co robi pies, kiedy go dogonią i złapią? — zapytał Alfons Materna. — Broni wtedy swojej skóry, nie ma innego wyboru. Ja również nie robię nic innego.

— Niech mi pan pozwoli w to wątpić po wszystkim, co się tymczasem stało. — Siegfried Grienspan przyglądał się swojemu

kieliszкови. Jego twarz pozostawała niewzruszona, ale oczy błyszczały jasno, — Czy nie powinniśmy nieustannie starać się ćwiczyć w cierpliwości?

— Najbardziej cierpliwi są zmarli — powiedział Materna ponurym głosem. — Oni mają nad nami istotną przewagę: nie mogą już umrzeć.

Była późna noc. Świece oświetlały ich twarze. W kieliszkach przed nimi lśniło czerwone wino. Materna milczał. Jakub Jabłoński siedział w kącie daleko od światła, u jego stóp leżały psy.

— Pan jest bardzo odważny, przyjacielu — rzekł Grienspan.

— To nieprawda — odparł Alfons Materna uśmiechając się. — Uważam raczej, że jestem zwyczajnym człowiekiem, podstępny i pamiętliwym. Nie potrafię tak po prostu ustąpić pola Eichlerowi.

— Pan wręcz prowokuje jego wrogość!

— Tu już nie ma co prowokować — Materna oparł się na krześle. Wszystko, do czego można go było sprowokować, już się stało.

— To niesprawiedliwe. — Grienspanowi najwyraźniej niełatwo było to powiedzieć. — Nie można przecież wykluczyć, że między Eichlerem i waszą żoną istnieje prawdziwe uczucie. To, co nazywa się miłością.

— To się wkrótce okaże — powiedział Alfons.

— Panie Materna — rzekł Grienspan ostrzegawczo. — Nie powinien pan być zrobić tego z Psimi Łakami. Tego panu Eichler nigdy nie wybaczy.

— Ach, co tam, teraz w każdym razie musi się ożenić, jeśli nie chce uchodzić wobec całej wsi za łowcę posagów i zwykłego kłamcę. Krótko mówiąc: mam go w garści!

— Jak to wszystko jest możliwe? — zapytał Johannes Eichlar. — Jak to się mogło stać, a my nic wcześniej nie wiedzieliśmy?

— Tacy oni są, ci dranie — powiedział Eugen Eis. — Ten, kto tym wazniakom złoży lepszą ofertę, temu gotowi są wejść w tyłek.

— A jak jest z tobą, Eugen? Czy ty także nie dobieierałeś się do Materny?

— Tylko do jego córki, to wielka różnica.

— Jakimi kreaturami jestem otoczony! — jęknął Johannes Eichler. Po czym spojrzał badawczo na Eugena Eisa. — Czy wiedziałeś o Psich Łakach?

— Nie, naprawdę nie, mogę przysiąc! Przy tym nie na darmo przystawiałem się do tej małej Brigitte. I przysięgam: ona była gotowa

jeść mi z ręki! Ale o Psich Łąkach i ona nie wiedziała; tego piwa nawarzył Materna sam, w wielkiej tajemnicy.

Johannes Eichler był wstrząśnięty. Chwytał się za bok, jakby chciał powiedzieć: Wychowałem żmiję na własnej piersi. Ale to co rzekł, było bardziej rzeczowe: — Co robić?

Eugen Eis wzruszył ramionami. Bitwa była przegrana. Nie pozostało nic innego, jak zebrać oddziały, które przeżyły, jeśli się ma naturę wojowniczą. Zebrano je więc i przygotowano do walki.

Eis oświadczył: — Niełatwo mi właśnie teraz mówić o mleczarni, którą już od lat zarządzam, raczej samodzielnie, ale chyba też wzorowo. Chcę tylko w ten sposób dać do zrozumienia, że na mnie można zawsze polegać. I wcale nie oczekuję, że mleczarnia zaraz zostanie przepisana na mnie — całkowicie by mnie zadowolili gwarantowany udział w zyskach, mniej więcej około jednej trzeciej.

Eichler zorientował się, jak nisko upadł. Znów to co prawdziwe i słuszne, pochwycił w swe ręce ciemne moce.

I udręczony zapytał sam siebie: czym ja sobie na to zasłużyłem?

Wszystko to działo się owej nocy, po której nastąpił ów pamiętny dzień 30 stycznia 1933 roku, tak zwany dzień przejęcia władzy.

VI

Wiosną nawet najstarsze kozły ożywiają się.
I niejedyn, który strzela Panu Bogu w okno,
trafia do celu.

Istniały na Mazurach trzy wioski, które w swojej nazwie miały słowo Maulen : Gross-Maulen, Klein-Maulen i właśnie Maulen.

Na początku dziewiętnastego wieku nazwa wsi została wspomniana po raz pierwszy w kronikach, i to od razu dwukrotnie: pewien młynarz nazwiskiem Leberecht zabił swoją żonę, prócz tego jej kochanka i jej matkę, która ich skojarzyła; uniewinniono go. Następnie trupa najemników z południowych Niemiec, pozostająca w służbie francuskiej, została napadnięta i obrabowana pod wsią Maulen podczas odwrotu armii napoleońskiej z Rosji. A zatem już w tych historycznych początkach zaznaczyły się dwie istotne cechy miejscowej ludności: i poczucie humoru i gotowość do walki.

W połowie dziewiętnastego wieku — dokładnie wiosną 1852 — na tutejszych bagnach, tuż przy dzisiejszym Wzgórzu Dowódców, odkryto grób rycerza zakonnego Fryderyka Czarnego, nazwanego tak z powodu barwy wykopanej zbroi. W ten sposób udowodniono, że już rycerze zakonni w roku 1410, w walce z pogańską — ich zdaniem — Polską, zrosili swoją krwią ziemię w Maulen.

W roku 1888 Maulen stało się widownią wielkich manewrów, podczas których strzelano też podobno ostrymi nabojami. Generał Dennwitz-Pleiderer nocował wraz ze swoim sztabem w gospodzie Scharfkego. Cały batalion był zakwaterowany we wsi. Następnego roku liczba mieszkańców wzrosła nagle o piętnaście procent. Od tamtej pory społeczność ta została nazwana, słusznie zresztą, żołnierską wsią.

W roku 1904 było w Maulen trzech żandarmów — wprawdzie jeden po drugim, ponieważ kłusownik o nazwisku Uschkurat, ale żaden krewny późniejszego burmistrza — zastrzelił ich po kolei. A w roku 1914 generał feldmarszałek von Hindenburg przejeżdżał nocą przez wieś; rozległy cmentarz rosyjski przy szosie do Siegwalde świadczył

o ówczesnych zwycięstwach. Osiemnastu ojców i synów Maulen straciło życie w tak zwanej wielkiej wojnie.

Podczas plebiscytu w lipcu 1920 cała ludność opowiedziała się jednogłośnie za przyłączeniem do Niemiec, w Maulen jednakże z siedemnastoma wyjątkami. Tym jednak szybko stworzono okazję opuszczenia ziemi, której nie chcieli widzieć jako niemieckiej. W owym czasie nastąpiły też pierwsze akcje Heimatschutzu, założonego przez Johannesesa Eichlera. Już w 1923 rozpoczęła się działalność publiczna tego zasłużonego człowieka. A w 1927, po zorganizowaniu — również przez Eichlera — straży pożarnej, związku sportowego i towarzystwa śpiewaczego, powołano do życia oddział Stahlhelmu, Związku Żołnierzy Frontowych.

Mieszkańcy tej wsi byli niemal wyłącznie ewangelikami o wyraźnie nacjonalistycznym nastawieniu. Do około 1930 roku ludność w blisko dziewięćdziesięciu procentach była narodowoniemiecka; tylko dwanaście głosów padło w wyborach na centrum, pięć na socjaldemokratów, jeden na komunistów. Za owym komunistą, płamą na honorze wioski, prowadzono intensywny, jednakże daremny pościg.

Po roku 1930 obraz się zmienił. Teraz bowiem pojawili się narodowi socjaliści i pozyskiwali coraz więcej głosów — w 1932 mieli już trzydzieści jeden procent. Ruch ten był tolerowany — na razie w milczeniu — przez Johannesesa Eichlera; z tego czasu datuje się także nawiązanie kontaktów z towarzyszami wojennymi w Olsztynie, Giżycku i Ostródzie, którzy tworzyli Orstgruppen NSDAP.

Wraz ze zmianą władzy nastąpiły również w Maulen nowe czasy. A głównym przedstawicielem tych nowych czasów dla wsi i okolicy był oczywiście Johannes Eichler.

Kiedy podano do wiadomości, że kanclerzem Rzeszy został Adolf Hitler, Johannes Eichler jakby się obudził z ciężkiego, mrocznego snu. Z miejsca wyczuł, że teraz trzeba rozwinąć jedynie słuszny sztandar. Wszedła nowa jutrzeńka, która jaśniała nad Niemcami jak jeszcze nigdy żadna inna.

— Musimy urządzić manifestację z pochodniami! — zarządził Eichler.

— Ale nie mamy pochodni — powiedział Eugen Eis, który jeszcze niezbyt dokładnie dostrzegał znaki czasu i dlatego się wahał. — A gdyby nawet się znalazły, to kto będzie je niósł?

— Każdy, kto myśli po niemiecku!

Taki argument Eis musiał wziąć pod uwagę. Również on słuchał radia, a przejęcie władzy było magicznym określeniem, chciał więc brać w tym udział. — Proponuję urządzić coś takiego jak Dzień Niemiecki! A punktem kulminacyjnym owego dnia będzie godzina pamięci przy pomniku bohaterów.

Ale dla Eichlera było to za mało. Skoro nie można zorganizować marszu z pochodniami, trzeba przynajmniej rozpaść ognisko. Wystarczy stos drewna przed pomnikiem, na to bańka nafty — i fajerwerk gotów!

— To da się załatwić. — Eugen Eis słuchał, jak Eichler ponad godzinę rozmawiał telefonicznie z podobnie myślącymi kolegami z Ostródy, Giżycka i Olsztyna, a w jego głosie brzmiała narastająca radość.

.— Zwołana została cała ludność, która czuje się zobowiązana wobec naszych Niemiec! — powiedział wreszcie Eichler.

Podczas gdy Eichler i Eis snuli patriotyczne myśli, nauczyciel Vetter nieco się zaniepokoił, kiedy usłyszał głos trąbki.

Po wiadomości o utworzeniu Gabinetu Narodowej Koncentracji, po dosadnie prostym wezwaniu Hindenburga do opamiętania, po ogłoszeniu przez Johanna Eichlera Niemieckiego Dnia Pamięci z ogniskiem radości — Vetter ruszył w drogę. Chciał się dowiedzieć, skąd i dokąd wieje wiatr.

Najpierw udał się do pastora Bachusa. Zastał go przy dołowaniu ziemniaków; duchowny pracował z zapalem. — Co pan sądzi o rozwoju wypadków, panie pastorze? Bachus oparł się na widłach, którymi nagarniał ziemniaki.

— Cóż mnie to obchodzi? Nie jestem politykiem.

— Nie martwi się pan?— Tylko o moje ziemniaki. Zdaje się, że przemarzły.

Dlaczego zresztą miałbym się martwić? Nigdy nie popierałem antynarodowych dążeń ani też nie głosowałem na partię socjaldemokratyczną.

Nauczyciel odszedł skonsternowany. W końcu on też był narodowcem. A jeśli kiedykolwiek głosował na SPD — co zresztą nigdy nie zostało z całą pewnością udowodnione — to czynił to w dobrej wierze. Był zdecydowanie wierny ojczyźnie.

Pospiesznie udał się teraz do żandarma Klingera. Znalazł go w jego biurze. — Słyszał pan już? — zapytał Vetter. — Hitler został kanclerzem Rzeszy.

— Ale że akurat ten Hitler, nie niepokoi to pana?

— Mnie nic nie może niepokoić — oświadczył żandarm — Widzi pan, ja tu jestem tylko urzędnikiem, tak samo zresztą jak i pan, A jako urzędnicy mamy swoje obowiązki — ja w ramach prawą, pali zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Kultury. Nic nas chyba, nie może od tego odwieść. Jesteśmy lojalni.

Vetter wybiegł, wskoczył na rower i pojechał do Gross-Görchen. Było to cztery kilometry od Maulen. Kiedy tam przybył, udał się do hrabiego von Schwernitza-Weibla, pana majora i właściciela ziemskiego.

— Panie majorze — zaczął Vetter z szacunkiem — przychodzę z powodu obecnej sytuacji politycznej.

— To wszystko gówno! — powiedział Schwernitz-Weibel. Hrabia był oryginałem, jacy na Mazurach nierzadko się zdarzają. — Mój drogi panie, damę tym brunatnym zasrańcom kilka tygodni. Potem koniec z nimi!

— Być może nie docenia pan tych ludzi — Vetter odważył się sprzeciwić.

— No dobrze, wobec tego kilka miesięcy, najwyżej rok. A do tej pory weźmy na przeczekanie. Możemy sobie polować, aż przyjdzie nasz czas, i wtedy pójdziemy na całość.

Vetter opuścił tego nadzwyczaj apodyktycznego rozmówcę. Nie czuł się zbyt uspokojony. Przypuszczalnie również ten junkier uważał go za skrytego socjalistę.

Zamyślony pedałował Vetter z powrotem do Marlen. Myślał przy tym o Goethem. I o Niemczech. Oba te pojęcia uważał za nierozzerwalne po wsze czasy. Na tym należało budować. W domu zwołał swoich uczniów pierwszej i drugiej klasy.

— Drogie dzieci — powiedział — dziś wieczorem odbędzie się pod pomnikiem godzina pamięci. Z tej okazji uradujemy zebranych pieśnią, mianowicie tą: *Ojczyzno, którą mocno i niewzruszenie chronię w moim sercu.* — Przecwiczyl tę pieśń piętnaście razy. Wreszcie sam się wzruszył, bo tak pięknie to wszystko brzmiało.

Wzruszeni zdawali się być także uczestnicy wieczornej uroczystości przy pomniku. Chyba jeszcze nigdy uczniowie nie śpiewali z takim sercem i chyba jeszcze nigdy tak głośno i fałszywie.

- Nasza młodzież! — powiedział Johannes Eichler z uznaniem między dwiema zwrotkami. — Na naszej młodzieży możemy polegać!

Nie tylko on cieszył się uroczystym nastrojem tej doniosłej chwili. Świecący księżyc i świeży śnieg stapiały się w magiczne światła. Wszystko zdawało się lśnić tajemniczo: prosta jasna sylwetka wsi i czerstwe twarze jej mieszkańców.

Prawie cała ludność przybyła na wezwanie. Niewielu odważyło się wyłamać. Nawet Materna z drużyną był obecny.

Alfons Materna, obserwując śpiewające z oddaniem dzieci, szepnął do Jabłońskiego: — Oni gotowi wykrzyczeć duszę z ciała. Takie coś może doprowadzić do zapalenia płuc.

Nauczyciel dyrygował z zapalem. Ten hymn zdawał się nie mieć końca.

Ludzie stali się niespokojni. Było bowiem bardzo zimno owego historycznego dnia.

Johannes Eichler, zeszytywniały jak sople lodu, uznał, że gorliwy ryk dzieci na mrozie grozi utratą głosu. Mieszkańcy wsi tupali już nogami w rytm hymnu, dla rozgrzewki. A młode głosy zawołały: — My chcemy ogniska!

Eichler zareagował jak praktyk. Ledwie uczniowie skończyli, wystąpił. Powiedział niemal pospiesznie: — Od tego dnia zaczyna się w Niemczech nowa epoka. I możemy powiedzieć o sobie, że uczestniczymy w tym doniosłym momencie. Będą o tym pamiętać jeszcze nasze dzieci i wnuki.

— Być może — powiedział Materna do swego otoczenia.

Eichler zaś zawołał: — A teraz ognisko!

Albowiem ognisko — to znaczy ciepło. A ciepło było teraz pilnie potrzebne. Eugen Eis zapalił leżącą z boku wiązkę chrustu. Pełgające płomienie przegryzały się z trzaskiem przez cienkie gałązki aż do stosu drewna.

Ten stos kazał ułożyć Eugen Eis późnym popołudniem ze zręcznością podpalacza: najpierw chrust, potem suche drewno, wreszcie gałęzie dębowe. Płomienie powinny więc teraz buchnąć wysoko ku niebu.

Ale nie buchnęły. Z trudem przegryzały się przez chrust. Rozchodził się gęsty żółty dym.

— Śmierdzi! — stwierdził Konrad Klinger.

Przesunął się razem z Peterem do przodu. Stali teraz obaj koło Alfonsa Materny. Ich oczy promieniały triumfem.

— Jak żeście to zrobili?

— To szmaty — powiedział Konrad. — Wsunęliśmy mokre szmaty pomiędzy drewno. Do tego parę wiader gnojówki i to wszystko!

Istotnie: to wystarczyło. Lekki wiatr pędził gęsty jak wata dym na

wszystkie strony, wciskał go do nosów zgromadzonych. Ludzie cofnęli się, potem zaczęli kaszleć, pluć, chwytać powietrze.

— Partacka robota! — mruzczał Eichler, patrząc z wyrzutem na Eisa. Ten zrozumiał: narodowa uroczystość została zadymiona. I przekasłana. Trzeba było wyprowadzić kobietę bliska uduszenia. Vetter odprowadził dzieci w bezpieczne miejsce.

— Śmierdzi! — zawołał tym razem Peter Bachus i trudem hamując zachwyty. — Śmierdzi aż do nieba!

— Takie coś nie może. nas zbić z tropu! — krzyknął Eichler Starając się ratować sytuację, ogłosił: — A teraz do gospody, przyjaciele! Kufel piwa dobrze nam zrobi. Oczywiście, stawiam każdemu.

— A na mój koszt — zawołał Materna — trzy wódki dla każdego prawdziwego niemieckiego mężczyzny, a dla każdej kobiety co najmniej jedna słodka wódka. Dalsze kieliszki według zapotrzebowania!

Owego wieczoru 30 stycznia 1933 roku Johannes Eichler wygłosił być może najważniejsze oświadczenie w swoim życiu. W każdym razie święcie w to wierzył. Stało się to w gospodzie wobec zgromadzonych mieszkańców. Eichler za pośrednictwem Eisa poprosił o ciszę, następnie wszedł na krzesło.

— W dniu dzisiejszym decydują się losy naszej ukochanej ojczyzny. Adolf Hitler, nasz Führer, przejął władzę. A czcigodny sędziwy feldmarszałek i prezydent Rzeszy udzielił mu swego błogosławieństwa.

— Brawo!

— Od dnia dzisiejszego istnieje u nas oficjalna Orstgruppe NSDAP Maulen. A ja jestem jej kierownikiem.

— Hurra! — wykrzyknęli ludzie.

Kurki od beczek z piwem syczały głośno i nieustannie.

— Praca uszlachetnia — powiedział Materna, mrugając w stronę swoich. — Wytężajcie siły, abyście mieli przyjemność z tego, co się nazywa etosem pracy.

Takie podniosłe mowy zwykł był wygłaszać Materna; ale nigdy nie było tak, żeby sam nie przyłożył ręki do pracy. Zwłaszcza kiedy robota była wyjątkowo ciężka albo niezwykle brudna, jak na przykład coroczne nawożenie i polewanie pól gnojówką. Odbywało się to u Materny w połowie lutego.

— On ma nie po kolei w głowie — mówili wówczas chłopcy w Maulen, ale mówili to z uznaniem. Albowiem Materna zbierał najlepsze plony, choć jego pola były nawożone już w środku zimy.

Materna umiał sobie zorganizować tę najbrudniejszą robotę w roku. Maria i Jakub Jabłoński zajmowali się obornikiem; Brigitte i Hermann wybierali gnojówkę z dołu. A sam Materna rozrzucał gnój i polewał swoje pole. Znał dokładnie każde miejsce, które potrzebowało nawożenia, i to, które mogło się bez niego obejść.

— Muszę zrobić przerwę — powiedział Hermann, kręcąc nosem. Ta robota była poniżej jego godności, ale oczywisty obowiązek synowski kazał mu ją wykonywać. Poza tym miał przykład ojca: Materna pracował niemal tak samo jak wszyscy inni.

Teraz Materna zaczął przyjaźnie rozmawiać z Brigitte, która nalewała gnojówkę do beczkowitzu. — No, moje dziecko, jak tam z twoimi subtelnymi uczuciami?

— Jeśli masz na myśli Eugena Eisa — powiedziała Brigitte — to jestem pewna, że drugiego takiego nie ma w całej okolicy.

— Być może to prawda.

— A jeśli chcesz wiedzieć więcej, nie zaszło jeszcze nic istotnego.

Materna starał się opanować narastającą wesołość. — Zapewne, bo mamy zimę. Ale wkrótce przyjdzie wiosna — i co wtedy?

— W końcu jestem twoją córką — powiedziała Brigitte.

— I to właśnie mnie niepokoi — odrzekł Materna. — A jednocześnie mam całkowite zrozumienie dla twoich szczególnych pragnień. Nie widzę dla ciebie odpowiedniejszego mężczyzny. Tobie potrzebny jest właśnie taki.

— Ważne jest, czego potrzebuje Eugen: mianowicie kobiety, która by go bez zastrzeżeń kochała. Czyż to nie jest godne zadanie?

Alfons ze zdumieniem opuścił szufłę i gnojówka prysnęła mu na twarz. Brigitte pracowała zawzięcie dalej. Wkrótce beczkowitz był pełen.

Zaraz potem zjawił się znów Hermann. Najwidoczniej wzmocniony, podciął konie i wyjechał beczkowitzem na pola. Alfons Materna pojechał wraz z nim.

Hermann powoził silnymi i zbyt twardymi ruchami. Obchodził się z końmi, jakby to były maszyny. Materna wyglądał na zmartwionego.

— Chyba to nie jest, synu, właściwe zajęcie dla ciebie, prawda? O ile cię znam, wolałbyś teraz być wśród swoich kolegów, zwłaszcza że szykują się tam teraz wielkie rzeczy.

— Znasz mnie, ojciec.

— Mój drogi synu — powiedział Materna, kiedy opróżnili już beczkowóz — serce mi się kraje, kiedy patrzę, jak zajmujesz się takimi bezsensownymi sprawami. Ty również jesteś Materną. A my nienawidzimy półspraw, prawda?

— Jesteśmy stuprocentowi, ojczy!

— A zatem nie zmuszaj się dłużej, Hermann. Musisz być przekonany o słuszności tego, co robisz. Jeśli w tym celu potrzebny ci jest mundur — zgoda. Jeśli chcesz umundurować cały oddział — chętnie ci w tym pomogę. Rozumiemy się?

— Całkowicie — odparł Hermann, niczego nie przeczuwając.

— A więc do dzieła! — powiedział Materna i uścisnęli sobie dłonie.

— Ortsgruppe NSDAP Maulen została założona przeze mnie. oświadczył Johannes Eichler. — A zatem jestem władzą z ramienia Rzeszy. Należy teraz wyznaczyć głównych współpracowników.

Mężczyźni, którzy go otaczali, kiwali głowami i znów ćwiczyli podstawowe zajęcie swego życia: respektowali władzę i zgadzali się z nią. I to, jak sądzili, z godnym uznania przekonaniem

— Odtąd partia będzie decydowała o życiu i pracy w naszej wsi! — zawołał Johannes Eichler. — Tak samo zresztą jak w całych Niemczech. Przy tym nasza partia przyjmuje w swe szeregi każdego, kto ma dobrą wolę. Ale z równą konsekwencją zostanie odrzucony i zniszczony każdy, kto okaże się zapiekłym wrogiem Niemiec.

Na owym tak zwanym historycznym posiedzeniu — odbyło się ono 12 lutego 1933 roku w gospodzie Scharfkego — podjęto pierwsze decyzje przeciwko kombinatorom, obłudnikom i krętaczom, jak to określono. Eichler zdecydowanie wypowiedział im wojnę. Jednocześnie szukał współbojowników. Znalazł ich bez trudu.

Nikt z obecnych nie zawahał się przed wstąpieniem do partii. Przy tym okazało się, że niektórzy już wcześniej przewidująco przystąpili do działania. Eis, Fischer i Vetter płacili już składki, mieli ulotki, prenumerowali gazety MS. A Hermann Materna był już członkiem wspierającym SS i to — o czym nikt nie wiedział — za radą ojca.

— Ciesz się mnie to — pochwalił Eichler zadowolony. — To się nazywa inicjatywa, i to w przyszłości będzie zapisane; wielkimi zgłoskami.

Zebrani kiwali głowami. Obojętne, czy, byli wierni cesarzowi, czy orientacji narodowoniemieckiej, czy, narodowosocjalistycznej jeśli chodziło o Niemcy i własną wieś, byli oddani sprawie całym sercem.

Johannes Eichler okazał się prawdziwym przywódcą. Zgromadził wokół siebie nie tylko świadomych wyższych celów towarzyszy partyjnych, rozwiązał także w sposób władczy wszelkie stojące na przeszkodzie stowarzyszenia, które nie chciały bezwarunkowo uznać tego, co socjalistyczne, w ramach tego, co narodowe. A więc także Stahlhelm, Związek Żołnierzy Frontowych. Eichler najlepiej się do tego nadawał, ponieważ to on sam założył w Maulen Stahlhelm.

Jego następnym posunięciem było tak zwane ujednoczenie szeregów Heimatschutzu. Oficjalnie zainspirował go do tego Eugen Eis, który poprosił o wciągnięcie do ruchu dzielnych i godnych zaufania kolegów z Heimatschutzu. Eichler oświadczył: — Heimatschutz — to znaczy obrona ojczyzny. A jest to także zadanie SA, tworzących się obecnie oddziałów szturmowych.

— Od tego nikt nie może się uchylać — zapewnił jeden z obecnych. A ktoś inny dodał: — Nasza współpraca może być uważana za pewną, o ile będzie odpowiednio oceniona.

Zgodnie z oczekiwaniami Johannes Eichler uczynił konkretną propozycję. Przewidywała ona rozbudowę Ortsgruppe przez utworzenie następujących stanowisk: nauczyciel Vetter — kierownik organizacji i propagandy, ze szczególnym uwzględnieniem wychowania, oświaty ludowej i sztuki; Ignaz Uschkurat — przywódca chłopów z NS i pełnomocny kierownik sekcji rolnictwa i myślistwa; Gottlieb Speer - szef rzemiosła, mający też wpływ na handel i przemysł; do tego dochodziła opieka społeczna i sprawy bytowe; Fritz Fischer — odpowiedzialny za budowę dróg, rybołówstwo i zjednoczenie narodowe, a także za ogólne kontakty międzyludzkie, Upiększanie domów i całej wsi; Christian Scharfke — skarbnik.

Ta przemyślana propozycja żywo zainteresowała zebranych. Bardzo szybko wszyscy się zdecydowali: — Współuczestnictwo to nasz obowiązek!

Tymczasem jednak jedna dziedzina pozostawała nie obsadzona, być może najważniejsza: kierownictwo SA. Że tu właśnie Johannes Eichler popełnił swój niewybaczalny błąd, nie było jaszcze wówczas widoczne. Ale przecież nie był on jasnowidzem.

— Nie chcę się oczywiście narzucać — powiedział Eugen Eis — ale zależało mi na kierowaniu SA.

— Nie wyobrażam sobie nikogo innego — zapewnił Eichler.— Któż by się do tego bardziej nadawał niż ty. Nie spieszmy się jednak zbyt.

Następnie Eichler zaciągnął Hermanna Maternę do kąta: — Pozwól najpierw, że wyrażę swoją radość, iż jesteś wśród nas, a więc należysz do nas. — Położył prawą dłoń na ramieniu młodego przyjaciela. — A teraz powiedz szczerze: czy masz jakieś szczególne życzenie?

Hermann miał życzenie. I został do tego sprowokowany przez Alfonsa Maternę, wskutek jego ojcowskiego nacisku. Dlatego powiedział: — Wystarczy mi, że jestem z wami. Ale byłby to dla mnie szczególny zaszczyt, gdybym mógł dowodzić kolegami z SA.

— Oczywiście — zgodził się natychmiast Eichler. — Ty faktycznie znakomicie się do tego nadajesz, drogi Hermannie. I możesz być pewien mojej rekomendacji, jednakże nie powinniśmy się zbytnio spieszyć.

Potem Johannes Eichler udał się z Eugenem Eisem do drugiego kąta. Było już po północy. W powietrzu unosiły się kłęby dymu. Wszystkich zebranych rozpierała radość przyszłości.

Eichler oznajmił Eisowi: nie ma zamiaru mu rozkazywać, prosić ani żądać, ma tylko nadzieję na wyrozumiałość. Sytuacja jest bowiem następująca: Hermann Materna zgłosił swoją kandydaturę na przywódcę SA. Oczywiście on, Eichler, wolałby na tym miejscu Eisa, - ale byłoby mądrze i korzystnie dla organizacji zaszkodzić ^{zawczasu} niektórym ludziom. Poza tym nie należy odpłacać synowi za winy popełnione przez ojca, tak to przynajmniej powinno wyglądać.

— A więc zgoda — powiedział Eis po krótkiej walce wewnętrznej. Pomyślał sobie, że być może zostanie szwagrem Hermanna, dobrze więc będzie zobowiązać chłopca wobec siebie.

Teraz Johannes Eichler mógł oznajmić: — Przewodzenie naszej grupie SA powierzam naszemu drogiemu młodemu przyjacielowi i towarzyszowi partyjnemu, Hermannowi Maternie. Jestem pewien, że okaże się godny tej funkcji. A mojego wypróbowanego towarzysza walki Eugena Eisa mianuję niniejszym moim zastępcą, a więc zastępcą ortgruppenleitara.

Zebrani zawołali z zachwytem: -- Hura! — Ale natychmiast i się zorientowali, że popełnili błąd, ostatnio bowiem takie okrzyki powinny brzmieć inaczej. Poprawili się więc i w gospodzie rozbrzmiało trzykrotnie: — Sieg Heil!

Nieświadomy niczego kot Scharfkego zeskoczył przestraszony z lady, zrzucając przy tym kilka szklanek na podłogę. Chłop siedzący w gospodzie zakrzuszył się, a Christine, córka Scharfkego, oświadczyła: — Takie coś przejmuje człowieka aż do głębi.

— Od tej chwili — stwierdził Johannes Eichler — wrogowie naszych

drogich Niemiec nie mają tu czego szukać. Powiem tylko tyle: idziemy na spotkanie niezwykłych czasów!

— Oby Bóg to sprawił — powiedział Speer z przekonaniem.

Ale zaraz potem się poprawił i zawołał: — Oby Führer to sprawił!

Wkrótce po utworzeniu Ortsgruppe NSDAP, 5 marca 1933 roku, Johannes Eichler poślubił Margarete z domu Majewski, z pierwszego małżeństwa Maternę. Miał to być najbardziej okazały, najwspanialszy i najgodniejszy ślub, jaki Maulen kiedykolwiek przeżyło.

Zaczęło się ceremonią w kościele. Nie uchylił się od niej nawet dygnitarz Eichler, choć ostatnio pomiędzy partią a Kościołem zarysowało się napięcie. Co prawda nie w Maulen. Pastor Bachus sprawiał wrażenie, że gotów jest iść z duchem czasu.

A więc duchowny zdecydował się omówić przedtem z Johannesem Eichlerem swoje kazanie. Nie posunął się wprawdzie od razu tak daleko, aby przedstawić Jezusa jako narodowosocjalistycznego reformatora, zamordowanego podstępnie przez Żydów, jak to już czynili niektórzy jego koledzy, ale był gotów wspomnieć zyczliwie Führera i kanclerza Rzeszy w końcowej modlitwie.

Obaj chłopcy, Konrad i Peter, brali również udział w tym weselu, nie było bowiem żadnego konkretnego powodu, aby ich wykluczyć; Eichler zaprosił ojców, a tym samym musiał się zgodzić i na obecność synów. Na razie obaj wyglądali na bardzo grzecznych.

Żądni widowiska ludzie ujrzeni w kościele szczególnie malowniczy widok, a dla Maulen całkiem nowy. Sprawił to intensywny brąz, w który ubrany był pan młody: miał na sobie mundur swojego Führera. A śnieżna biel sukni panny młodej stanowiła efektowny kontrast.

Alfons Materna należał do tych nielicznych, którzy nie zostali zaproszeni, a więc i Jabłoński nie brał udziału w uroczystości. Natomiast Hermann i Brigitte otrzymali zaproszenie, a Materna zgodził się na ich udział.

Hermann poza tym przybył też dlatego, aby dowodzić swoją SA. Wystąpiła ona, częściowo już umundurowana, jako eskorta honorowa. Na niektórych lśniły pasy do kabury i koalicyjne, a na Hermannie błyszczało niemal wszystko: od złotobrazowych butów z cholewami do posrebrzanego orła. Alfons Materna nie żałował pieniędzy, aby swego syna jak najwspanialej wyekwipować.

— A teraz proszę wychodzić z kościoła parami, jak było ustalone!

— zawołał Vetter gorliwie, kiedy ślub dobiegł końca. Albowiem w jego ręce oddano organizację całej ceremonii — piastował przecież funkcję kierownika organizacyjnego. — Proszę się pospieszyć, teraz musi nastąpić jak najszybsze ustawienie w pary.

— Już teraz? — zapytał Peter Bachus.

Nie otrzymał odpowiedzi. Nikt go nawet nie obrzucił miażdżącym spojrzeniem, teraz bowiem nadeszła wielka chwila dla miejscowej SA. Hermann wydał komendę i dwadzieścia cztery prawe ręce uniosły się w górę, na wysokość oczu, tworząc coś w rodzaju dachu. Pod tym dachem przemaszerował Johannes Eichler z małżonką u boku, pełen konstruktywnej dumy.

Wytorny, dobrze ubrany orszak weselny opuścił kościół, przeszedł przez plac, skręcił w kierunku młyna Eichlera. W owym uroczystym dniu zamarł tu wszelki ruch. W obszernej hali ustawiono długie, Stoły: kozły, a na nich deski przykryte obrusami, do tego równie prymitywne, ale stabilne ławy wypożyczone z gospody i ze szkoły. Kapela składająca się z czterech mężczyzn — skrzypce, klarnet, bas i perkusja — grała przywróconego do łask Richarda Wagnera,

Johannes Eichler przysunął swojej żonie krzesło udekorowane, gałązkami jodły — džentelmen w każdym calu. Pani Margarete obecnie już pani Margarete Eichler, usiadła i uśmiechnęła się z wdzięcznością do swego eleganckiego małżonka.

Organizacja Vettera unikała wydeptanych ścieżek. Nie posadził on małżeństw obok siebie, jak by o w zwyczaju, tylko na przykład żonę pastora usadowił obok żandarma, a żonę żandarma przydzielił Fritzowi Fischerowi. Siostra Fischera, która od czasu do czasu u niego sprzątała, siedziała obok Uschkurata, żona Uschkurata obok Speera, żona Speera obok pastora; Eugen Eis został posadzony obok Brigitte Materny, a Hermann Materna miał miejsce obok Christine Scharfke.

— Jakże mi miło — zapewnił Hermann i wykonał gest przypominający pocałunek w rękę. Odkąd był w Maulen przywódcą SA, uważał się niemal za oficera.

— Hermann - powiedziała Christine wesoło — wyglądasz jak kogut, czy potrafisz tyle samo co on?

Kierownik organizacyjny Vetter zagrzewał muzyków, kazał wносить piwo i wódkę, wachał w kuchni i jak było trzeba wskazywał dzieciom drogę do ustępu. Nie zapomniał także o obu chłopcach, Peterze i Konradzie. Ale ich zachowanie było zadowolające: siedzieli skromnie na końcu stołu, tuż obok drzwi.

Czekano na ucztę weselną. Zaangażowano akuszerkę Audehm, aby

dopilnowała przyrządzenia potraw. Nie można sobie wyobrazić lepszego wyboru, Audehm bowiem opanowała wszystkie mazurskie tajniki gotowania i pieczenia. Kazała sobie przygotować pięć prosiąt, siedem gęsi, dziewięć kaczek, dwanaście kur; następnie składniki na dziesięć misek nóżek w galarecie, dwanaście mis węgorza i trzydzieści smażonego śledzia; napoje stały przygotowane w beczkach.

— Drodzy przyjaciele! — zawołał Johannes Eichler. — Darujmy sobie tym razem wielkie słowa, przejdźmy od razu do rzeczy. Radujmy Się wszyscy całym sercem!

Zebrani gotowi byli to uczynić. — Starzy przyjaciele — zawołał Eugen Eis do muzyków. W ten sposób wykazał swoje muzyczne obycie: nieobce mu były tytuły utworów muzycznych. Jednakże w ślad za tą zachętą nie poszła muzyka, albowiem tymczasem Konrad i Peter nie pozostawali beczynni. Skierowali swą uwagę najpierw ku kapeli: muzykanci popijali piwo wzmocnione czystym alkoholem. Pociągali też wino, które było słabo rozcieńczonym winiakiem.

Zanim rozpoczęła się uczta weselna, perkusista potknął się o swój wielki kocioł i upadł; klarncista daremnie szukał ustnika; skrzypek zaś, mocno pijany, usiadł na swoich skrzypcach. Tylko basista stał jak skała, ale z nim samym nie udałoby się żadna muzyczna zabawa.

— Każę zaciągnąć tych zachlanych drani pod pompę — powiedział Eugen Eis. — Nawet gdyby mieli zamarznąć na sople lodu! I za godzinę znów będą grać!

Tymczasem i bez muzyki nastrój się ożywił. Wniesiono bowiem półmiski z pieczystym. Pachniało upojnie. Pastor Bachus wstał i jako przyjaciel domu zaczął dłuższą mowę.

Kiedy wreszcie musiał zacerpnąć powietrza, wkroczył przytomnie Johannes Eichler, wołając: — A teraz częstujcie się, drodzy przyjaciele, zaczynamy!

Powiedział to swobodnym tonem. Dymiące misy już stały gotowe, a zebrani mieli w tej chwili tylko jedno pragnienie: pakować w siebie prosięta, gęsi, kureczęta i co tam jeszcze było. Okazało się to jednak w praktyce niemożliwe, bo nie było ani noży, ani widelców, ani łyżek.

I oto zjawiała się kucharka, krzycząc przerażona już od drzwi. — Ktoś ukradł nakrycia!

Za nią stał Vetter, odpowiedzialny za organizację, i wymachiwać rękami jak nietoperz. Powiedział bez tchu: — Nakrycia były w skrzyni, ale ona zniknęła.

— Tego już za wiele — rzekł Johannes Eichler poblady. — To zwykły sabotaż!

W tym momencie zgasło światło. Nastąpiło krótkie spięcie. Zebranych ogarnęły ciemności. Tylko jakaś kobieta zapiszczała rozkosznie i niestosownie — było jeszcze o wiele za wcześnie na tego rodzaju wyskoki.

— Eugen! — zawołał Eichler rozkazującym tonem w ciemność.

— Już się robi! — obiecał Eis.

Potem jednak zaczęły strasznie dymić żelazne piecyki. Gryzący dym osnuwał gości weselnych, a jego zapach tłumił z łatwością zapach pieczenia. Kucharka wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

— Do diabła! — zawołał jeden z gości, mocno poruszony. — Chcę się napić wódki, a co mam w kieliszku? Wodę! Czystą wodę!

Eugen Eis krzyknął od drzwi: — Nie mogę znaleźć zapasowych bezpieczników. Ktoś je również musiał ukraść. Cholerne świństwo!

Johannes Eichler powiedział groźnym tonem, cicho, ale wyraźnie — To bezgraniczna podłość! Nie puszczę tego płazem! Nie daruję!

— Czy pan nie uważa, Materna, że może pan stracić znacznie więcej niż swój majątek, być może nawet swoje dzieci?

Siegfried Grienspan znalazł się tego dnia całkiem przypadkiem, jak powiedział, u Materny. Siedział teraz razem z nim, Marią, i Jabłońskim koło pieca. Popijali grzane wino, a mężczyźni palili holenderskie cygara. Grienspan dostawał je regularnie od swego kuzyna i dzielił się z Materną. W ten sposób jego przyjemność była podwójna.

— Jaki pan jest dwulicowy, Grienspan. Najpierw obdarowuje mnie pan kosztownymi cygarami, a potem próbuje dręczyć moje sumienie.

— Ja wiem, Materną, że jestem starym Żydem — Grienspan mówiąc to uśmiechnął się.

— Pan jest również synem swego ojca.

— Niestety, nie pod względem dzielności - on. miał Krzyż Żelazny pierwszej klasy.

— A to dobre! Ojciec walczył o Niemcy, które teraz zwalczają jego; własnego syna!

— Grienspan ma rację — powiedział Jakub Jabłoński zatroskanym głosem. — Ty naprawdę musisz bardziej uważać, bo inaczej będziesz mógł jeszcze spisać na straty Brigitte i Hermanna.

— Ach, co tam ojciec, co tam dzieci! Znam dwóch dzielnych ojców,

którzy zostali tęgimi mordercami. A mnie się nawet nie udało spłodzić gospodarza, tylko wojownika. Czy to nie zabawne?

— Nic na to nie można poradzić — rzekł Jabłoński, wzruszając ramionami, przy czym mrugnął do Grienspana. — On myśli miarą dziesięcioleci.

— Oczywiście, że tak robię! — zawołał Materna z zachwytem. — W istocie to prastara chłopska mądrość. Swoje pole uprawia się zawsze dla najbliższych żniw. W przypadku zwierząt, które się hoduje, myśli się na wiele lat do przodu. Kiedy się sadi las, myśli się o następnym pokoleniu. To nieważne, czy Hermann pragnie teraz zostać bohaterem. A jeśli Brigitte popycha ślepa namiętność, to czy mam jej tego zabraniać?

— Chciałbym mieć pańską pogodę ducha — powiedział Grienspan.

Materna opróżnił do dna szklankę i rzucił nią o piec. Jego twarz wyrażała radość istnienia, choć oczy były mętne. Przygarnął do siebie Marię, która przykucnęła obok niego; jak gdyby szukał kogoś, na kim mógłby się oprzeć. Zapytał przy tym: — Czy opowiadałem już panu, jak umarł mój ojciec?

— Chce mi pan to opowiedzieć? — odparł Grienspan.

— Podobno zaśmiał się na śmierć. — Myśl ta zdawała się uszczęśliwiać Maternę. — Stało się to, jak powiadają, podczas bitwy nad Jeziorami Mazurskimi. Wówczas to, tu, w naszym obejściu, znajdowali się trzej generałowie. Jeden z nich spojrzął w wylot lufy karabinu, który należał do wartownika — padł strzał i było o jednego generała mniej. Drugi potknął się na schodkach do piwnicy o butelkę czerwonego wina i rozbił sobie głowę. A trzeci wpadł do gnojówki, nabawił się zapalenia płuc i zmarł. Być może dzięki temu bitwa nad Jeziorami Mazurskimi została wygrana. Mój ojciec, który to wszystko przeżył, dostał jednego ze swoich ataków śmiechu — i przy tym jego serce przestało bić.

— Chciałbyś też tak skończyć, co? — powiedział Jabłoński. — Ale ci się nie uda! Nie w takich warunkach i na pewno nie z takim Eiselem jako zięciem.

— Wszyscy jesteśmy skazani na popełnianie błędów — powiedział Materna. — Poza tym Brigitte nie jest naiwną małą dziewczynką — Ona tryska żądzą życia. Ja też byłem taki, tylko mój rozsądek miał mocniejsze hamulce.

— Wobec tego Eugen może się cieszyć! — Jakub Jabłoński nie ukrywał swego wzburzenia. — On nie tylko robi partię pierwsza klasa, ale ma też zapewnioną przyjemność!

Alfons Materna pozostał nieporuszony. - Z pustego i Salomon nie należy.

— Ach, zaczynam rozumieć — powiedział Jabłoński, szczerząc zęby. — Ty swojej Brigitte użyczasz wszelkich możliwych radości, a temu Eisowi nie dasz ani feniga ze swego majątku.

— Mniej więcej tak — oświadczył Materna uprzejmie. — W końcu nie jestem jeszcze taki stary, a poza tym rozwiedziony nie z własnej winy. Cóż więc stoi na przeszkodzie, aby się znów ożenić? W ten sposób mógłbym spłodzić nowe dzieci, uprawnione do dziedziczenia.

Materna zdjął dłoń z ramienia Marii. Wyciągnął ją do niej. Maria z uśmiechem ujęła jego rękę. Zdawała się wszystko słyszeć i rozumieć. Delikatnie położyła głowę na jego kolanach.

— To jest rozwiązanie! — zawołał Jakub zachwycony. - I to do ciebie podobne!

— Dziś mówią we wsi: oto dzień wielkiego wesela — rzekł Materna. — I to się zgadza. Tylko ludzie nie wiedzą, o czym mówią.

VII

Kiedy pada deszcz, wtedy i lisy mokną.
Ale jakiegokolwiek słońce wysuszy każde futro.

Nad Maulen powiewała flaga z hakenkreuzem. Pod nią stał Johannes Eichler w otoczeniu swoich podopiecznych. Wyprostowani i nieruchomi, zdawali się patrzeć daleko w przyszłość. Robiono im zdjęcie.

Tę grupową fotografię robiono z okazji położenia kamienia węgielnego pod budowę kancelarii partyjnej w Maulen. Eichler oddał darmo na ten cel teren, a że w praktyce oznaczało to rozbudowę jego własnego domu — to zdaje się nikomu nie przyszło do głowy.

— To dopiero skromny początek!

Te pierwsze tygodnie i miesiące roku 1933 porwały wszystkich; wyglądało na to, że nikt nie chce się wyłączyć. Nawet drugi garnitur wsi — Naschinski, Poeski, Sombray i Kochanowski — zgodnym chórem poprosili o przyjęcie do partii. Podobno także żandarm Klinger śpiewał wraz z innymi głośno i wyraźnie *Horst-Wessel-Lied*. A kiedy pastor Bachus czynił znak krzyża, wszystkim się zdawało, że chodzi o hakenkreuz.

Uschkurat kazał przybić orła na budynku urzędu burmistrza, a w jego biurze na ścianie wisiał portret Adolfa Hitleca. Speer zatroszczył się o to, aby straż ogniowa jak jeden mąż stanęła do dyspozycji SA. Nauczyciel Vetter zaś uradował wszystkich wzorowym udekorowaniem szkoły flagami i organizował, wspierany przez Fischera, wszystko, co się dało organizować. A było tego niemało. Natomiast Eugen Eis zdejmował swój mundur jedynie do spania. W gorliwości prześcigał go co najwyżej syn Materny, Hermann.

Eichler nie tylko rozkazywał — był zawsze gotów do pomocy tam, gdzie jego pomoc była potrzebna. Tak więc odwiedzał najbiedniejszych; nie wyrażał im jedynie swojego współczucia, ale i sprawiał radość darami. Inwalidzie wojennemu Samigkeitowi podarował nową protezę, a wdowie Zuaslau, matce kilku, synów-bohaterów, wręczył kwiaty

i kawę. Również zorganizowana młodzież wiejska, zanim jeszcze mogła działać w imię Hitlera, otrzymała nową piłkę i dwa proporzyczki.

Szczególnie wart uwagi był przypadek Grabowskiego, który potem miał się okazać godną pożałowania pomyłką. Ów Grabowski został, dzięki interwencji Eichlera, jako jeden z pierwszych zwolniony z więzienia na mocy pierwszej amnestii: siedział tam za podpalenie, które miało podłoże polityczne. Grabowski podpalił mianowicie swoją stodołę na znak protestu wobec rozkładu skorumpowanej Republiki Weimarskiej. Niektórzy twierdzili, że uczynił to, spodziewając się wysokiego odszkodowania. Wkrótce po przejściu władzy przez Hitlera został zwolniony, ale, niestety, nie okazał się oczekiwanym symbolem nowych Niemiec.

Mimo olśniewających sukcesów nie dało się uniknąć całkowicie i porażek. Ujawniły się one po raz pierwszy podczas wielkiego zgromadzenia patriotycznego w marcu 1933 roku. Wówczas je zbagatelizowano.

Tylko poufnie wyrażano przypuszczenie że to Materna próbował podstępnie wkroczyć do akcji. Ale zgodzono się co do tego, że nie jest on w stanie cofnąć koła historii. Choć próbował nim kręcić.

Główny temat tego wielkiego zgromadzenia patriotycznego, którego oficjalnym organizatorem była Ortsgruppe NSDAPMat|enj brzmiał:

Nasza świadomość jest niemiecka — nikt nie może nam jej zakłócić
Mówcą wieczoru był Johannes Eichler.

Za śpiew wprowadzający, hasła, czytanie *Meih Kampf* i *Modlitwę niemiecką* na zakończenie odpowiedzialny był Vetter jako kierownik propagandy i organizacji ruchu. Wychodził z siebie, aby wszystko przebiegało jak najsprawniej. Było to tym bardziej wskazane po niepowodzeniu uroczystości weselnej Eichlera.

Uwagę koncentrował Vetter na spontanicznych patriotycznych okrzykach: oczywiście one również musiały być zorganizowane z wypróbowaną niemiecką dokładnością.

W tym celu Vetter zebrał wokół siebie rzeźnika Kerna i listonosza Baumanna — obaj byli zdeklarowanymi patriotami partyjnymi, Prócz tego był jeszcze Grabowski, który z honorem opuścił więzienie; od niego przede wszystkim należało oczekiwać gotowości do dobrych uczynków.

- - Ty masz wołać , hańba! Nic więcej tylko hańba -
powiedział Vetter do Baumanna.

— W porządku — odrzekł listonosz skwapliwie. — A kiedy?

— W odpowiedniej chwili!

— Aha — dobra wola listonosza o dobroduszej twarzy była niewątpliwa.

— A ty — rzekł Vetter do Kerna — będziesz krzyczał po prostu: „sprawiedliwość”.

— Będę krzyczał, i to jak! — rzeźnik patrzył nadzwyczaj odważnie. — Sprawiedliwość jest nawet jakby moją szczególną troską, nie tylko jeśli idzie o ceny mięsa.

Vetter udzielał bliższych wskazówek: kiedy mówca będzie szczególnie wzburzony, wtedy należy szybko zawołać hańba. Kiedy będzie zmartwiony sprawami Niemiec i Maulen, wówczas ma się rozleć okrzyk sprawiedliwość. Vetter będzie dawał odpowiednie znaki. Prawa ręka uniesiona do wysokości piersi: hańba! Lewa ręka w okolicy serca: sprawiedliwość!

— A ja? — zapytał Grabowski niecierpliwie. — Co ja mam robić?

— Dla ciebie przewidziane jest szczególnie zadanie — oznajmił Vetter. — Przystąpisz do akcji, kiedy ja wezmę się za głowę.

Vetter uśmiechnął się dumnie. Punkt, który zamierzał teraz ustalić, był przez niego szczególnie dokładnie opracowany. Eichler, poinformowany o tym, przyklasnął z zachwytem. Pamiętaj zawsze o swoim wrogu! — brzmiała przy tym podstawowa zasada.

Ale to wcale nie było w Maulen takie proste. Albowiem nie było tu widać zbyt wielu zdecydowanych przeciwników narodu. Jak okiem sięgnąć, był tylko jeden, którego można było pod to miano podciągnąć: Żyd Grienspan.

A jednak przeciwnicy, a szczególnie wrogowie, musieli się koniecznie znaleźć! Vetter rozwiązał i ten zasadniczy problem. Prawdziwy wróg czyhał, jego zdaniem, na granicy, tylko kilka kilometrów od Maulen. Czekał na osłabienie. Gotów do napaści. Nienawidzący wszystkiego, co prawdziwie niemieckie. A więc Polacy!

Nadto Vetter odkrył dokument szczególnego rodzaju: wspomnienia pewnego żołnierza. Nazywał się on Coignet i należał niegdyś do cesarskiej gwardii Napoleona — trudno było znaleźć bardziej wiarygodnego świadka. Eichler zacytuje go w swoim przemówieniu, mianowicie na temat Polaków. Jest to bezduszna rasa. Zostawiliby pod drzwiami umierającego żołnierza, nie udzielwszy mu pomocy. Porzucają stale swoje domy. Niemcy nigdy tego nie robili. Ci byli uosobieniem dobroci.

— Twoje hasło, Grabowski, będzie całkiem proste: Precz z Polakami!

— Precz z Polakami! Grabowski powtórzył to niemal uroczyście, jakby powtarzał słowa przysięgi. — Brzmi to całkiem dobrze. Ale co mi po tym? Zaszło mi w gardle, ledwie mogę wymówić słowo.

Vetter wiedział, że Grabowski pił ostatnio jak smok. Jego pole obrabiała żona i parobek; ów parobek zwykł był nawet sypiać w łóżku

Grabowskiej — mówiono, że z braku miejsca. Chyba dlatego Grabowski tak pił bez opamiętania. Był skazany przy tym na dobroczynne koleżeńskie ofiary.

— Wszyscy mamy tu do spełnienia zadanie — oświadczył Vetter. Jego kalkulacja była prosta: mógł wyasygnować ze swojego specjalnego funduszu litr wódki. — Mój okrzyk będzie brzmiał: Ruszajmy na Wschód.

— Dokąd ruszamy? — zapytał Baumann zdumiony.

— Na wschód.

— Czemu nie — powiedział Grabowski z pijackim wzrokiem — A więc ruszajmy! Najważniejsze — to prowiant na drogę ty wystarczającej ilości.

— We wsi! odbędzie się wielkie zgromadzenie patriotyczne - powiedział Hermann Materna do swego ojca - -- Zaproszeni są wszyscy mieszkańcy. Ja osobiście objąłem ochronę sali wspólnie z kolegami z SA. Czy cię to interesuje?

Alfons Materna oparł się wygodnie na krześle. Jego syn dostarczał mu ostatnio chwil osobliwej rozrywki. Był jak paw pośród stada kurcząt.- Bardzo bym chciał cię widzieć w akcji-

— To dobrze, a więc weźmiesz udział! — Hermann wyciągnął rękę do ojca, jak gdyby zamierzał go zaprzysiąc dla SA. — Zdziwisz się, jak wezmę moje stado do galopu.

Alfons Materna ujął wyciągniętą przyjaźnie synowską dłoń, popatrzył na nią i powiedział: — Powinieneś bardziej dbać o swoje paznokcie, synu, skoro coraz częściej musisz podawać dłoń.

Hermann roześmiał się. Taki był ten stary! Niekiedy kłujący jak jeź, ale w gruncie rzeczy poczciwy. Wyekwipował przecież prawie całą miejscową SA.

Hermann — już we wspinałym mundurze S.A. — zaprezentował teraz niemieckie pozdrowienie. Był pewien, że ucieszy tym swego ojca. Nie mógł przypuszczać, że go tylko ubawił.

Ledwie syn odszedł, Materna zawołał do siebie Jakuba Jabłońskiego: — Dziś znów zmieszamy się z ludem -powiedział.

— W porządku! — odrzekł Jabłoński. — Czy mam wziąć ze sobą karabin?

— Ani scyzoryka!

— Czyżbyś już był zmęczony?

— Jestem tylko ciekaw. Wiesz przecież, jaka jest moja największa wada.

— Oni tylko na to czekają, aby cię poćwiartować, Alfons.

— Ale właśnie do tego nie dam im lekkomyślnie okazji. Wcale mi to nie przeszkadza, że mają mnie za tchórza. Weźmiemy także Marię i Brigitte.

— Czyżby one miały cię ustrzec przed pokusą?

— Czy znasz historię, którą opowiadano o moim ojcu? Kiedy był jeszcze dzieckiem, pozwolono mu pójść do cyrku. Zdarzyło się, że lew wyskoczył z klatki i ludzie z krzykiem uciekali. A co zrobił mały Materna? Podszedł do pustej klatki i zamknął za sobą okratowane drzwi — nie było bezpieczniejszego miejsca. Czy rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Jestem jego synem.

Wielkie zgromadzenie patriotyczne zapowiadało się szczególnie obiecująco: mieszkańcy Maulen napływali strumieniem; już na kwadrans przed oficjalnym rozpoczęciem w sali prawie nie było wolnych miejsc. SA miała pełne ręce roboty.

— Organizacja gra — zapewniał Vetter.

Klinger regulował ruch przed lokalem, w którym miało się odbywać zgromadzenie; SA — pod wodzą Hermanna Materny — dbała o właściwy przebieg uroczystości wewnątrz. Przybył nawet pastor Bachus; siedział w pierwszym rzędzie, wraz z innymi osobistościami wsi.

— Wszyscy zaufani towarzysze przyszli punktualnie — stwierdził Eis z zadowoleniem.

Na szczęście obaj chłopcy, Konrad Klinger i Peter Bachus, przebywali w Olsztynie. Nie trzeba się było obawiać żadnych zakłóceń przynajmniej od tej strony.

— Zapowiada się wspaniały triumf! — oznajmił Vetter spieszący w stronę Eichlera i Eisa. — Nikt się nie wyłamał, nawet Materna. Właśnie idzie!

— Co teraz zrobimy? — Zapytał Eis. — Czy mamy mu przeszkodzić w wejściu na salę, może przy pomocy SA, którą dowodzi jego syn? Czy też wskażemy mu honorowe miejsce? Albo w ogóle nie zwracamy na niego uwagi?

Eichler zajrzał przez szparę w drzwiach do szynku. Zobaczył Maternę ze świtą — zajęli miejsca w pobliżu lady.

— A może Scharfke za nas to załatwi? — powiedział Eis.

Ale Alfons Materna nie zamówił ani piwa, ani wódki, tylko wino. I to od razu więcej butelek. Było to przemyślane. W ten sposób Scharfke został wystawiony na pokusę — zwietrzył bowiem możliwość większego zarobku. I dlatego nie tylko znosił Maternę, ale nawet zajmował się nim w sposób szczególny: tacy są szynkarze.

— Mamy więc kłopot — powiedział Eugen Eis niemal wesoło; Zauważył, że Eichler zaczął się lekko pocić. — A jak się ten Materna uśmiecha, jak baranek!

— Jak długo jeszcze? — odrzekł Johannes Eichler.

Na wstępie tego wielkiego zgromadzenia do mównicy podszedł Eugen Eis. Zawołał: — Cisza obywatele! - i ogłosił: — Otwieram patriotyczną uroczystość.

W pełnej oczekiwania; ciszy jak w kościele rozległ się teraz chór i orkiestra.

Staśmy przed Bogiem
z modlitwą na ustach...

— Wspaniale! — powiedział Materna i podrósł w górę kieliszek. — Ta siła dźwięku jest wprost niezrównana. Maulen poczyniło pod tym względem niebywałe postępy. Wypijmy za to, że zostało nam oszczędzone przeżycie tego potężnego hałasu w bezpośredniej bliskości.

Jakub Jabłoński wyszczerzył zęby w uśmiech Brigitte rozglądała się za Eugenem Eisem. A Maria patrzyła w swój kieliszek, widząc wszędzie tylko Alfonsa Maternę.

- Smakuje?— zapytał Scharfke usłużnie. ~ To moje najlepsze wino.— Mimo to smakuje — powiedział Materna.

Teraz w gospodzie zjawił się również Eugen Eis. Powitał Maternę i córkę, nie podając im jednak ręki. Skinął również głową Jabłońskiemu i Marii, i to najwidoczniej życzliwie.

- - Nie jesteś potrzebny na arenie? — Materna zrobił ruch głową w kierunku sali, gdzie odbywała się uroczystość .

- Wszystko przebiega jak trzeba — odparł Euglen Eis i usiadł.

- O co tam chodzi? - zapytał Materna.

— O to co zawsze — powiedział Eugen Eis. — Mogę ci załatwić: przemówienie Eichlera, jeśli ci na tym zależy.

Materna wstał i zaczął iść w kierunku drzwi prowadzących na salę. Jabłoński podążał za nim jak cień. Słuchali słów, które do nich dochodziły. Przemawiał Eichler. Ale nie było wyraźnie słyhać, co mówił.

Materna w towarzystwie Jabłońskiego zbliżał się ku drzwiom. Zanim je jednak otworzył, powiedział do Brigitte: — Zaczekaj tu na nas. A potem rzekł do Marii: — A ty pilnuj, aby Brigitte tu na nas czekała.

Maria skinęła głową.

— Chcę się tym nacieszyć — oświadczył Materna swemu przyjacielowi. — Możesz mi oszczędzić swoich pełnych wyrzutu spojrzeń. Wiesz, że jestem żądny rozrywki.

Przemówienie Eichlera robiło niezwykle wrażenie. Najbardziej istotne fragmenty ćwiczył on wielokrotnie przed lustrem. Jednakże wystudiowane przerywniki nie udały się.

Powstały bowiem pewne nieporozumienia. Otóż Vetter stał teraz dokładnie naprzeciw wykrzykujących. Jego prawa ręka dla tamtych była lewą. Wobec tego zawołali hańba! , kiedy Eichler mówił o niemieckim prawie i sprawiedliwości, a kiedy wzywał do wytępienia podludzi, ktoś krzyknął o sprawiedliwości.

Ale prawdziwa katastrofa tego dnia zaczęła się dopiero wówczas, kiedy Alfons Materna, jakby popychany magiczną siłą, podszedł do mównicy. Jabłoński schwycił go za rękaw, próbując powstrzymać przyjaciela. Ten jednakże uwolnił się z tego uchwytu niemal oburzony.

— Niemcy — - mówił właśnie Johannes Eichler — muszą być gotowe walczyć o swoje istnienie i swoją przyszłość. — Zbliżał się do punktu kulminacyjnego swojego przemówienia. Dyszał przy tym dramatycznie jak pływak docierający do mety. — A wolność wymaga zawsze wysokiej ceny.

Liczni zebrani słuchali z przejęciem. Niektórzy zdawali się być nawet porwani. Materna wykorzystał sposobność, aby się przesunąć jeszcze bardziej do przodu.

— Naszą walkę — grzmiał Eichler — uszlachetnia słuszna sprawa. Powinni o tym pamiętać nasi wrogowie! Kto wyciągnie po nas rękę natrafi na granit!

— Precz z Polakami! — zawołał Grabowski ochryplym głosem.

Zobaczył bowiem, że Vetter wziął się za głowę. Tak było umówione.

A ponieważ, Vetter wciąż trzymał się za głowę, Grabowski znów zawołał; — Precz z Polakami!

Ten okrzyk umożliwił Eichlerowi chwilę wytchnienia. Podniósł głowę znad swego brulionu, sięgnął po szklanekę z wodą, która stała przed nim na pulpicie.

Tymczasem Materna przesunął się do pierwszego rzędu. Ale nie pozostał tu długo, ponieważ Jakub Jabłoński przepchał się do niego i szepnął: — Brigitte i Maria zniknęły.

Materna natychmiast pospieszył do Scharfkego. — Gdzie one są?

Gospodarz wzruszył ramionami. — Moi goście — powiedział niechętnie — interesują mnie tylko wówczas, kiedy zamawiają i kiedy płacą. A co robią poza tym, to mnie nie obchodzi.

Alfons Materna mrugnął do Jabłońskiego. Ten ruszył z miejsca, okrążył ladę i przycisnął gospodarza do muru. - Scharfke - powiedział miłym głosem — jesteś starą tłustą świnią. Czy mam wskazać drania, który w zeszłym tygodniu zastrzelił w naszym lesie sarnę?

— To nie byłem ja! — - zawołał Scharfke udręczony. - Ja nigdy nie strzelam.

— Oczywiście że nie. Ty pozostawiasz to innym. - - Jabłoński nie miał żadnego dowodu na poparcie swojego oskarżenia. - Ty jedynie kupujesz zwierzynę od kłusowników, zresztą po haniebnie, niskich cenach.

Ta wzmianka najwyraźniej odświeżyła pamięć Scharfkego. Rozejrzał się dokoła, pochylił poufnie i oznajmił: — Ale ja nic nie powiedziałem.

Wówczas Materna był już pewien, że coś się wydarzyło. Zażądał ostro: — Gadaj bez ogródek, co się stało!

Gospodarz spełnił żądanie. Według jego relacji było to tak: kiedy Materna i Jabłoński oddalili się, aby pójść na zebranie, Brigitte, Maria i Eis pozostali przy stole. Pili dalej wino. I najwidoczniej im smakowało.

— Tylko bez ogródek! — mruknął Jabłoński.

Scharfke informował pospiesznie dalej: Brigitte i Eis szepтали ze sobą jakiś czas. Potem podnieśli się, aby wyjść. Maria próbowała im w tym przeszkodzić — chciała wziąć Brigitte za rękę, ale Eugen nie pozwolił na to.

— Czy to znaczy, że on uderzył Marii?— zapytał Alfons Materna.

Scharfke zaprzeczył gwałtownie i opowiadał dalej; Brigitte i Eugen opuścili gospodę. Maria chciała najpierw pójść za nimi, potem pobiegła na salę.

Podczas zebrania?

— Ale nie doszła daleko. Już w drzwiach natknęła się na dwóch SA-manów. W sali wołali akurat: — Precz z Polakami! — I koledzy z miejsca wyprowadzili Marię z sali.

Materna i Jabłoński zostawili Scharfkego i wybiegli szukać Marii. Zdawało im się, że wiedzą, gdzie ją można znaleźć.

Maria siedziała w kącie pomiędzy murem cmentarnym a kościołem., Była tam ławka, na której dziewczyna czekała zawsze po nabożeństwie na Maternę.

— Chodź tu do mnie — rzekł Alfons Materna.

Maria wstała. Drobny, zmęczonymi krokami podeszła do obu mężczyzn. Opuściła nisko głowę, a ręce przycisnęła do czoła.

Alfons szedł jej naprzeciw, rozpościerając ramiona. Maria jakby bezwładnie opadła na niego.

Materna uniósł jej twarz, aby zobaczyć oczy. Lśniły łagodnie, ale od czoła w dół, po nosie aż do uśmiechniętych lekko ust spływała krew.

— To nic nie boli — powiedział Materna delikatnie. — Teraz już nie boli.

Maria skinęła głową. Ale on czuł, jak drżała w jego ramionach. Czekał cierpliwie, aż się uspokoi.

— Zaprowadź ją do domu — powiedział potem do Jabłońskiego.
— Ja przyjdę później. Mam we wsi jeszcze coś do załatwienia

Alfons Materna pospieszył do mleczarni. Szerokie okna fasady były ciemne — znajdowały się nad rampą, na której załadowywano i wyładowywano bańki z mlekiem. Kantor znajdował się z tyłu.

Lśnił tam płomyk światła, widoczny przez zaciemnione szyby. Materna wszedł na palcach po schodkach. Otworzył drzwi, przeszedł wąskim korytarzem i stanął przed kantorem. Pochylił się nieco. Następnie rzucił się całą siłą na drzwi.

Roztrzaskały się.

Nie był to dla Materny szczególny wysiłek, albowiem Lis z Maulen miał siłę jak para wołów, również ich twardość. Prawie każdy we wsi to wiedział.

Teraz więc Alfons Materna stanął pośrodku kantoru. Ze skrzyń od masła przykrytych kocami zerwały się dwie postacie. Brigitte i Eugen patrzyli na niego przerażeni.

Materna zdawał się nie zauważać ich zmieszania. Popatrzył na matowe światło przykręconej lampy naftowej i powiedział: — Chciałem tylko trochę poprzekadzać.

Eugen Eis podciągnął pospiesznie spodnie. Usiłował zapiąć pasek. A Brigitte obciągała spódnicę. Nadal jednak leżała skurczona.

Eugen Eis próbował ratować sytuację. Wyprostował się i oświadczył:
— Powinieneś brać rzeczy takimi, jakie są. My się, kochamy!

— Tak, to prawda — potwierdziła Brigitte z wysiłkiem ale, i z zapalem.

Materna rozglądał się ożywiony dokoła. I zdaje się, że znalazł to czego szukał: była to butelka wina porzeczkowego. Nalał sobie szklanke, powąchał, wziął pod światło. Potem wypił do dna.

— Jeszcze nie całkiem dojrzałe — rzekł ze znajomością rzeczy. .

— Czy to ma być aluzja? — zapytał Eugen Eis niespokojnie. Tu w każdym razie chodzi o fakty dokonane.

— Czy naprawdę? — Alfons Materna zmierzył Eisa wzrokiem podejrzenie uprzejmie. — Jeśli dwoje ludzi śpi ze sobą, to nie muszą od razu pozostać razem na całe życie. Gdyby tak było, Eugen, musiałbyś być żonaty już kilkadziesiąt razy.

— Ale tym razem to poważne — oświadczył Eis.

— Jesteśmy oboje zgodni co do tego — dodała Brigitte.

— Zamknij łaskawie swój dziób — zażądał Materna . Znajdujesz się w Maulen, a tu nikt nie pyta kobiet o zdanie, Albo wyjdiesz za mąż, albo nie. A to się okaże już niedługo.

— Co to znowu ma znaczyć? — zapytał Eugen Eis podejrzliwie.

— Mam jedno z najbardziej wydajnych gospodarstw w okolicy. I nie mam żony, ale i dwoje dzieci — córkę, która tu leży, i syna, który ogromnie lubi grać rolę żołnierza. Zgodnie z obecnym stanem rzeczy oboje będą dziedziczyć — jedno mniej, drugie więcej. To zależy.

- Mnie jest wszystko jedno! — oświadczył Eis.

Alfons Materna zaśmiał się w duchu, przy czym obserwował Eugena Eisą z przymrużonymi oczami. Powiedział: — Przypuszczalnie mówi się w Maulen, że mój syn Hermann nie jest właściwym dziedzicem. Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak rozejrzeć się za dobrym zięciem.

— Mylisz się! — zawołała Brigitte pospiesznie. — On mnie naprawdę kocha!

— Miło mi to słyszeć. Jakże mnie uspokaja fakt, że moja córka jest w dobrych rękach. Zamierzam bowiem wkrótce się ożenić. Z kobietą, która mnie kocha i którą ja kocham.

Eugen Eis natychmiast pojął, co to oznacza. Zrobił się biały na twarzy. Zaczął się jękać: — W takiej sytuacji... Rzeczywiście...

— Eugen! - ~ zawołała Brigitte przerażona. Zerwała się, nie zwracając uwagi ani na spódnice, ani na bluzkę.

— Zechciej mnie zrozumieć, Brigitte — Eugen próbował wyjaśnić. W moich uczuciach do ciebie oczywiście nic się nie zmieniło. Ale nie wziąłem pod uwagę podstępności twojego ojca.

Alfons Materna wstał; jego ruchy były teraz ciężkie. — Chodź do domu, moja córko.

— Nie! — zawołała Brigitte powtórnie. Twarz jej poczerwieniała. W oczach lśnił upór Maternów. Powiedziała: — Już wszystko się zdecydowało. Nie można niczego cofnąć. Będę miała dziecko!

Ludzie w Maulen nie byli pruderyjni. W milczeniu tolerowali to, na co sobie pozwalały na przykład żona rzeźnika Kerna albo listonosza Baumanna. Nie były one jedyne.

Nie przejmowano się też zbytnio, kiedy od czasu do czasu zgrzeszyła jakaś służąca. Nie było to żadne nieszczęście, zwłaszcza że z reguły otrzymywały one za to odpowiednią rekompensatę. W ten sposób przynajmniej powiększał się ich posąg. Długoletnia gospodyni Eichlera na przykład stała się w końcu znakomitą partią.

Mazurskie wiosny i lata były wielkimi uwodzicielami. Każdy to rozumiał. Rozumiał też, gdy chodziło o inną porę roku, na przykład zimę, bo wówczas potrzeba bycia blisko siebie była jeszcze silniejsza. Nikt się więc nie dziwił, kiedy od czasu do czasu urodził się jakiś wcześniak.

Ale w wypadku Materny było inaczej. Tu ludzie ze wsi nie mogli się połąpać.

Akurat Maria! — mówiono. Z pewnością nie uszło niczyjej uwagi, że dziewczyna ubóstwiała Maternę. Mogli mieć z tego oboje swoje korzyści.; Niepojęte jednak było, że Materna chce poślubić tę dziewczynę!

Wiadomość ta wywołała we wsi, a nawet w dalszych okolicach, po części wesołość, po części żywe oburzenie. Nie tylko dlatego, że ta Maria była Polką. Również to, że była głuchoniema, nie stanowiło w oczach ludzi zbyt wielkiej przeszkody.

Ale Maria była tylko służącą! Do tego prawie dwadzieścia lat młodszą od Materny. Skoro jednak chce ją poślubić, to ma w tym tylko jeden cel: pragnie oszukać swoje dzieci, Brigitte i Hermanna, i pozbawić ich dziedzictwa.

— Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego — powiadali ludzie we wsi. — Do czego to doprowadzi?

— On tego nie zrobi! — powiedziała córka Materny.

— W każdym razie nie radziłbym mu — rzekł Eugen Eis poważnie.

— Mam wrażenie, że on się tylko z nami droczy. W gruncie rzeczy jest wspaniałomyślny. Chce nas wystawić na próbę, znam go. — Brigitte przytuliła się do Eugena, który ją obejmował. — Może chce także wyzwać moją matkę. My oboje zawsze się doskonale rozumieliśmy.

— To mogłoby się opłacać — powiedział Eugen, myśląc obecnej żonie Eichlera.

— Mój ojciec w każdym razie jest bardzo uparty, musimy do tego przywyknąć.

— Czasem wydaje mi się, że on jest nie całkiem normalny — rzekł Eugen zamyślony. — Ale i to, umiejętnie wykorzystane, mogłoby mieć swoje dobre strony — dla nas, dla naszej miłości. Jego majątek ocenia się na ponad pół miliona.

— Kochasz mnie? — zapytała Brigitte, cała płonąca.

— Jestem tego absolutnie pewien — powiedział Eugen. - Ale twój ojciec musi nam udzielić błogosławieństwa. I to obfitego! Inaczej miłość nie ma sensu.

VIII

Głupi nie wymierają, a mądrzy nie chcą umierać.
Ale każdemu pisana jest śmierć.

- To nawet nie to! — zawołał Johannes Eichler. — Zawsze się liczę z pewnymi słabościami, ale jeśli mnie ktoś zawiódł, to go nie potrzebuję.

Przed Johannesem Eichlerem stali, niczym kamienie milowe, czołowi przedstawiciele miejscowej partii: Eugen Eis, Hermann Materna i Vetter. Wyglądało na to, że czuli się niezbyt dobrze we własnej skórze.

— Czego ja wymagam? — Johannes Eichler poruszał się jak przedłużony o dwadzieścia centymetrów Napoleon. — Nic innego ponad to, aby każdy w Maulen spełniał swoje obowiązki. Jestem tu dygnitarzem i nie zniosę, żeby wystawiano na pośmiewisko partię, a tym samym i mnie.

Hermann Materna stał bez ruchu. Obojętne, co nastąpi — on był zdecydowany przyjąć to we wzorowej postawie. A Eugen Eis odetchnął z ulgą, wyczuł bowiem, do kogo Eichler pije: do Vettera. Ten był ofiarą. I zdawał się to przeczuwać.

-Zdobył się jednak na oświadczenie: — Co się tyczy godnego pożałowania nieporozumienia z hasłami, to nie jest moja wina.

— Jak ci nie wstyd! — Eichler huknął na nauczyciela swoim potężnym głosem. — Tylko nędzna kreatura próbuje swoje błędy zwać na innych.

Hermann przytaknął. On również odczuł zachowanie Vettera jako zawstydzające. Ten człowiek nie ma godności! I przed kimś ta im drżało się w szkole.

Johannes Eichler przystąpił do decydującego ciosu. — Złożysz natychmiast swój urząd kierownika organizacji i propagandy. Wniosek o wykluczenie z partii został już wniesiony. Poprosiłem też odpowiednie władze szkolne o twoje przeniesienie. Nie potrzebujemy w Maulen ludzi, którzy zawodzą.

Vetter odszedł, Eichler go zniszczył.

— To było nieuniknione — powiedział Johannes Eichler niemal

łagodnie. Oto dał przekonujący przykład. To się szybko rozniesie i potem da odpowiednie owoce. — Poza tym moje wyrazy współczucia, albowiem decyzja Materny, aby poślubić Marię, czyni z was ofiary, Najwidoczniej ten człowiek usiłuje pozbawić was dziedzictwa.

— Mnie idzie o wyższe wartości — zapewnił Hermann, i

— W tej sprawie zapewne nie zostało jeszcze powiedziane, ostatnie słowo — rzekł Eis powoli.

— Miejmy nadzieję — powiedział Eichler, poczęstował swięch gości wódką i sam wypił kieliszek. Pili za dalszą owocną współpracę. Potem pożegnali się niemieckim pozdrowieniem.

Eugen Eis i Hermann Materna szli przez plac w stronę gospody. Hermanną ciągnęło do pełnej wigoru Christine Scharfke; Eugen cieszył się wyłącznie na smaczne chłodne piwo.

— Tego Vettera Eichler zgnoił całkowicie — powiedział Hermann z podziwem.

— Kto będzie następny? Może jeden z nas?

— Cóż nam się może stać? — odparł Hermann prostodusznie. — Jeśli dalej będziemy ciągnąć jego wózek tak jak dotychczas.

— Człowieku, możesz ciągnąć jak najlepiej, ale czy to wystarczy, O tym zdecyduje tylko Eichler. — Eugen Eis wzruszył ramionami. I właśnie to mi się nie podoba. On nas traktuje jak psy podwórzowe.

— W końcu jest przywódca.

— To również nie musi być stanem trwałym — stwierdził Eis mrużąc oczy. Hermann Materna nie zrozumiał swojego kolegi. Powiedział serdecznym tonem: — Trzymajmy się lepiej tego, co można wziąć do ręki. — Niewątpliwie miał przy tym przed oczami Christine Scharfke

— Wiem tylko jedno — rzekł Eis. --Gdyby znów ktoś miał tu wylecieć, o na pewno nie będę ja! Ja mam również swoją listę ludzi do odstrzału!

— Podobny sposób myślenia tworzy dobre podstawy do przyjaźni — powiedział Jakub Jabłoński. — Wkrótce twój syn i twój zięć będą chodzili po wsi ręką w rękę. Już niejeden raz wspólnie się upili.

Alfons Materna stał w stajni z Grienspanem. Przyglądali się kobyłę, która wkrótce miała rodzić. Uwagi Jabłońskiego zdawały się ich nie interesować.

— To będzie ciężki poród — rzekł Siegfried Grienspan, obmacawszy brzuch zwierzęcia mocnymi ruchami. — Ale słyszałem o pewnej nowej

metodzie. Ciężki poród można przyspieszyć specjalnymi masażami. Powstaje przy tym jednak niebezpieczeństwo, że klacz zdechnie — jedynie źrebaka może się uda uratować, choć nie ma gwarancji.

Jakub Jabłoński przysunął się bliżej: — Oni stanowią już jakby jeden zaprzęg. Twój syn Hermann i ten Eis wydają się czasem jak dwa półdupki, a przemawia z nich Eichler, jeśli tak można powiedzieć.

Materna uśmiechnął się pobłaźliwie. Siegfried Grienspan spojrzął w bok, na stos końskiego gnoju.

— Mój drogi syn przeżywa teraz wspaniały okres — oświadczył Materna spokojnie. — Teraz, kiedy może być posłuszny, może dowodzić i organizować, czuje się szczęśliwy.

Alfons położył dłoń na głowie klaczy i przyciągnął ją do piersi. Zwierzę poddało się chętnie jego uchwytowi. Zdawało się, jakby chciało dotknąć nozdrzami twarzy Materny.

— W każdym razie to z Brigitte to hańba — powiedział Jakub.

Alfons potrząsnął głową. — Nie ma nic bardziej nieobliczalnego niż miłość. Jeśli Brigitte koniecznie chce tego Eisa, niech go ma.

— Jeśli się na to zgodzisz, to jesteś nic niewart w moich oczach.

— Czy coś jeszcze poza tym? — zapytał Materna wesoło.

Jakub Jabłoński oddalił się. Alfons uniósł głowę klaczy, jakby chciał zajrzeć zwierzęciu w oczy. — Oczywiście, że on ma rację. Porządni ludzie zawsze mają rację. Tylko, że oni nie są sami na tym świecie. A ten, kto żyje, jest jak nitka w olbrzymim dywanie — związana ciasno i nierozzerwalnie z innymi figurami i nitkami.

— Alfons — odezwał się Grienspan cicho. Był on teraz, obok Jabłońskiego, drugą osobą, która mogła zwracać się do Materny po imieniu; trzecią byłaby Maria, ale ona nie mogła mówić. — Zaoszczędziłem przyzwoitą sumę. Moglibyśmy z nią przenieść się gdzieś indziej, może do Polski. Proponowano mi niewielką posiadłość na południe od Krakowa.

— Ziemia na południe od Krakowa jest podobno tak dobra jak nasza. Daje obfite plony. A warunki do hodowli świń i drobiu są wprost idealne. Mimo to nie jestem zainteresowany — powiedział Materna.

— Poczekaj, Alfons, przemyśl to jeszcze.

— Mógłbym teraz powiedzieć z patosem: tu, w tej zagrodzie, żyli mój ojciec i mój dziad. Tu się urodziłem i tu chcę umrzeć. Ale byłoby to głupie gadanie.

— Co cię tu trzyma, Alfons?;

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie; Siegfried. — Materna spojrzła na Grienspana niemal błagalnie, ale ten zdawał się nie mieć zamiaru uwolnić przyjaciela od odpowiedzi. — Chodzi niemal dokładnie o to samo, o czym ci głupi krzykacze przy każdej nadarzającej się okazji trąbią po okolicy: ja również kocham tę ziemię.

— Tak — wyznał Grienspan cicho — mnie też ciężko byłoby stąd odejść.

Znów zjawił się Jabłoński. — Właśnie intensywnie myślałem — oznajmił.

— To niedobrze — powiedział Materna.

— I przyszła mi do głowy następująca myśl: zdarza się, że dzieci opuszczają swojego ojca. Ale nic na świecie nie jest ostateczne, oprócz śmierci. Dlaczego więc nie miałyby wrócić? Jeśli się trochę dopomoże?

— Ty chyba nie chcesz igrać z losem, Jakubie?

— Tak zwana przyjaźń — to często nic innego jak tylko rodzaj wspólnoty interesów. Od tego powinniśmy wyjść.

— Uważaj — powiedział Grienspan ostrzegawczo

Ale Alfons Materna przyglądał się z rosnącym zainteresowaniem swemu Jakubowi. — Chcesz może uświadomić przyjacielowi, że jego domniemany przyjaciel jest niepewnym osobnikiem? W ten sposób rzeczywiście można by coś zyskać.

— Ależ to, zgodnie ze stanem rzeczy, jest dziecianną zabawą — zapewnił Jakub. — To, co kobieta może przykryć jedną ręką, już niejednego chłopca wytrąciło z równowagi.

Miłość była w Maulen poważną sprawą. A fałszywy wstyd był na Mazurach prawie nie znany.

Hermann Materna był jednakże inny niż reszta mieszkańców wsi; on był również w miłości idealistą — tu wszystko musiało być czyste jak jego mundur. Oczywiście, kochał Christine Scharfke, ale także ją szanował.

— Jaki z ciebie delikatny mężczyzna — powiedziała Christine wdychając.

— Przy tobie tak trzeba — stwierdził Hermann poważnie.

Zaczęło się to na weselu Eichlera; ona była jego towarzyszką przy stole. Poczuł wtedy drzenie w całym ciele, a jego oczy zasnuły się mgłą. Nie mogło to być od nadmiaru jedzenia i picia — tu w grę wchodziła niewątpliwie miłość.

— Ach - powiedziała Christine, kiedy stał obok niej przy ladzie

— tu nie można swobodnie, rozmawiać. Może pójdziemy do mojego pokoju?

— Nie możemy sobie na to pozwolić — rzekł Hermann poważnie.

— Nie chciałbym zaszkodzić twojej reputacji.

Taki był ten Hermann! Młodzieniec czysty jak lza. I choć śmiał się z nieprzyzwoitych kawałów, nie rozumiał ich, ale śmiał się wraz z innymi — to było po koleżeńsku.

Widział Christine taką, jaką chciał widzieć: kochającą niemiecką kobietę i przyszłą matkę niemieckich dzieci. Trzymał ją za rękę, a czasem jego dłoń przesuwiała się z drzeniem w okolice jej piersi. Nic poza tym.

— Niewiele można z nim działać — mówiła Christine do swego ojca.

— Ale on jest synem Materny — rzekł Scharfke, a ten ma nie tylko przyzwoite konto w kasie oszczędności; sama jego hodowla warta jest niemal pół Maulen. To powinno cię nastawić rozsądnie.

Christine Scharfke była z natury zmysłowa. Jej przychyłność mógł zyskać ktoś taki jak Eugen Eis. To był mężczyzna! Przy Hermannie zaś czuła się zaniedbywana i niedoceniana, być może nawet wzgardzana.

W owych dniach pijaczyna Grabowski siedział całymi godzinami w gospodzie. Jakub Jabłoński finansował mu tę przyjemność. A Grabowski okazywał mu należyłą wdzięczność — prawie nieustannie zagadywał Christine. Mówił do niej: — Nie można z tak wielkiej miłości stać się od razu dziewicą!

Tego oczywiście nie należało się po Christine spodziewać. I niepokoiło ją mocno, kiedy musiała słuchać: Czy Hermann rzeczywiście nie chce, czy też nie może? Takie coś, uważała, rani jej honor.

Tak więc całymi dniami wahała się poniekąd między obowiązkiem a namiętnością. Ten pijaczyna Grabowski plótł wciąż i plótł, nawet chłopaki, Konrad i Peter, pokpiwali sobie z niej. Powoli, ale zdecydowanie zbliżało się wydarzenie o najbardziej przykrych następstwach.

— Christine — powiedział Eugen Eis, pochylając się nad ladą — co to za życie! — Lubił snuć takie głębokie rozważania, zwłaszcza o życiu, szczególnie kiedy był pijany.

— Przynajmniej jesteś zaręczony — powiedziała Christine ostro.

— Ty w końcu też — Eugen Eis przyłożył obie ręce do czoła; chciał pokazać, że cierpi. — Cóż to znaczy; zaręczony? Jakie to ma znaczenie!

Rzeczywiście, jakie to ma znaczenie w Maulen? W dodatku kiedy wiosna puszcza pierwsze pąki, a okazja zdaje się sposobna. Hermann był daleko, a pokój numer trzy w gospodzie Scharfkego — blisko.

Eugen Eis sięgnął po kieliszek, który mu podsunęła Christine. — Powiadam ci jedno: nie jestem szczęśliwy.

— Ale twoja narzeczona spodziewa się dziecka.

— Człowiek jest bezradny wobec losu — rzekł Eugen Eis ponuro.

— Mnie w każdym razie by się to nie przytrafiło — powiedziała Christine z dumą. — Ja jestem mądrzejsza.

— Ty jesteś wyjątkowa. Gotów jestem przysiąc.

Christine popatrzyła na salę. Była prawie pusta. Przy jednym stoliku siedział Grabowski z głupim wyrazem obojętności na twarzy; miał przed sobą niemal pełną butelkę.

— Człowiek nie może się bronić przed własną naturą - powiedział Eis. — Pójdziemy na górę?

— Jesteś łajdak — rzekła Christine przytłumionym głosem. Wytarła ręce i ponownie, nie wzywana, napełniła kieliszek Eugena. — Pójdę pierwsza, nie każ mi zbyt długo czekać.

Hermann Materna znajdował się w tym czasie w remizie strażackiej. Ćwiczył tam swoją SA, mianowicie podoficerów. Temat brzmiał:

Szkolenie w grupach na wolnym powietrzu

— Najważniejsze to dokładna komenda. Musi brzmieć głośno, wyraźnie i porywająco.

Podoficerowie SA, w liczbie trzech, skinęli głowami. Mieli silne głosy. To między innymi zadecydowało o ich stanowisku.

— Czy jest tu Materna? — rozległ się głos od drzwi. Był to głos Petera Bachusa.

— Jestem! — odrzekł Hermann, każdej chwili gotów do działania.

- Telefon do pana, na plebanii.

- Przerwa! — zawołał Materna do swoich oficerów.

Pospieszył niezwłocznie na plebanię. Znalazł tam odłożoną na bok słuchawkę. Wziął ją do ręki i powiedział: — Tu Hermann Materna.

Był pewien, że słyszy głos Johanna Eichlera — później gotów był przysiąc. Ów zniekształcony, ochryply, plujący, drżący głos płynący z wiszącego telefonu powiedział: — Poufna narada sztabowa. Zgłosić się natychmiast w pokoju numer trzy w gospodzie Scharfkego.

— Tak jest! - 'zawołał Hermann Materna posłusznie.

Odłożył słuchawkę i pobiegł w kierunku gospody. Tam udał się niezwłocznie na górę, zapukał do drzwi wskazanego pokoju i zawołał:

— Melduję się na rozkaz!

Skandal był zatem nieunikniony. Wciąż jeszcze niczego nie przeczuwający Hermann ponownie zapukał do drzwi. Zdumiało go, że nikt nie odpowiadał — został przecież wezwany. Postanowił więc wejść nie proszony. Ale teraz usłyszał głos swojej ukochanej Christine; nie życzyła sobie, aby jej przeszkadzano.

Dopiero teraz Hermann stał się nieufny. Zakłopotany stał pod drzwiami i zastanawiał się. Wreszcie zabębnił w drzwi, jakby dawał sygnał alarmowy w afrykańskim buszu. Znalazło się kilku ciekawskich.

Stało się: Materna przyłapał u swojej narzeczonej przyjaciela i towarzysza partyjnego, Eugena Eisa. Gdyby Hermann miał broń, wyciągnąłby ją. Z rękoczynu jednak zrezygnował; nie chciał sobie brudzić rąk.

Stali naprzeciw siebie: przywódca SA i zastępca szefa Ortsgruppe Maulen. Groziło, że partia się rozpadnie!

Kiedy Hermann odzyskał mowę, zawołał na cały głos: — Świnia! Drań! — a także: — Bydlak! — to do Eugena. Następnie krzyknął: — Dziwka! Szmata! Łajdaczka! — W ten sposób Christine dostała swoją porcję, a Hermann wyczerpał swój zasób słów odpowiedni w takiej sytuacji.

Wściekły torował sobie drogę pomiędzy gapiami w gospodzie. — Tu śmierdzi! — wołał. Następnie wyskoczył na dwór. I poszedł mimo to dumnie, lecz samotnie przez Psie Łąki na Końskie Wzgórze.

Stał tam jego ojciec, a obok niego Jakub Jabłoński. Wyglądało, jak gdyby obaj na niego czekali. Patrzyli przyjaźnie.

— Ojczy — powiedział Hermann. — Przyłapałem ją z Eisem. Co mam robić?

— Sam musisz to wiedzieć — rzekł ojciec spokojnie.

— Oczywiście, wyciągnę konsekwencje. Tylko jakie?

— Hermann — powiedział Alfons Materna otwarcie — właściwie mógłbym teraz zatrzeć ręce i powiedzieć: to smutne, ale pożyteczne. Ty się pozbyłeś tej baby, a moja córka przekona się, na kogo trafiła. Eugen, że tak powiem, na leżąco wykonał całą robotę.

— Połamię mu kości! — zawołał Hermann. — Posiekam go na kawałki!

— Wciąż te obiecanki cacanki! — Jabłoński wyszczerzył zęby do Alfonsa Materny. — Ale to zdaje się być u nas ostatnio ulubionym zajęciem.

Eugen Eis również był gotów wyciągnąć konsekwencje. Nie miał innego wyjścia. Najpierw jednak się ubrał. Potem poszedł do Johannesesa Eichlera.

Znalazł go w młynie. Sprawdzał przebieg mielenia. Widział w tym procesie symbol czasu: niezliczone, pojedyncze, niepozorne wyschnięte! ziarna — wskutek działania potężnej siły — świadome celu mielenia, zamieniały się w białą jak śnieg czystość. Przekształcanie wartości: Uszlachetnianie. Pożywienie dla ludności. Dla niemieckiej ludności!

— Coś takiego mnie porusza — rzekł Johannes Eichler znacząco. — Mąka to chleb, a chleb to życie.

Do tego Eugen Eis mógłby niejedno dodać, życie bowiem było jednym z jego ulubionych słów. Ale teraz nie wolno mu było zwlekać. Teraz musiało nastąpić coś decydującego.

— Popatrz, jak to życie igra z człowiekiem — zaczął, i zdawało mu się, że w ten sposób znalazł znakomite przejście. Potem mówił o splocie niepomyślnych przypadków — same bardzo zręczne sformułowania. Ale Eichler powiedział tylko:

— No, wal całą prawdę! O co tym razem chodzi?

Po czym nastąpiło sprawozdanie. Eugen Eis twierdził, że został uwiedziony. Christine zwabiła go w swoje sieci. Zrezygnowany ciągnął dalej: — Ani się obejrzałem, jak leżałem w jej łóżku.

— Eugen zapytał Eichler zaalarmowany — i właśnie na tym zostałeś przyłapany?

- Tak!

— A przez kogo? Chyba nie przez Hermanna?

— Niestety — wyznał Eis ze spuszczonego wzrokiem. - Ktoś go musiał napuścić. Zachował się jak szaleniec. Nie miałem możliwości, aby mu uświadomić, że ja niemal podstępem i przemocą...

— To świństwo! — powiedział Johannes Eichler oburzony.

Zaczął teraz działać metodycznie. Zasięgał informacji, przesłuchiwał osobiście świadków i przemawiał im do sumienia. — Nie mogę przecież dopuścić do załamania się ruchu z powodu baby, która chętnie idzie do łóżka.

Po takich przygotowaniach odbyło się wewnętrzne postępowanie partyjne - jeszcze tego samego dnia. Eichler nigdy nie dopuszczał do wybuchu — należało to do jego zasad.

Najpierw panowała lodowata atmosfera, Hermann nie zaszczycił Eisa nawet jednym spojrzeniem. Ale jednak przyszedł. Nie chciał okazać nieposłuszeństwa wobec swego szefa Ortsgruppe. Siedział sztywny, jakby kij połknął.

Johannes Eichler zaczął od oświadczenia, że nikogo nie faworyzuje i nikogo nie chce skrzywdzić. Chodzi mu tylko o prawdę. Następnie stwierdził: — Nie ma nic bardziej niebezpiecznego i niegodnego niż brak zaufania pomiędzy kolegami. Nasi wrogowie tylko na to czekają.

— Te słowa Eichlera zdawały się wyrzucić wrażenie na Hermannie Maternie.

Johannes Eichler spojrzał z nadzieją na swego wodza SA. — Chciałbym zapewnić o jednym: jeśli Eis jest winien, jego dni w Maulen są policzone.

Eugen Eis stał się niespokojny. Patrzył na Eichlera błagalnie i ostrzegawczo zarazem. Ale ten koncentrował się wyłącznie na Hermannie. A Hermann Materna cieszył się blaskiem wielkości, która ku niemu promieniała. Miał zaufanie do swego przywódcy.

— Jeśli to prawda, co doszło do moich uszu — powiedział Eichler twardo i na pozór nie zmieszany — to wówczas biada! Ale czy to rzeczywiście prawda? Pytam Eugena Eisa.

— Nie — zapewnił Eis pospiesznie; wyczuł, że Eichler rzucił mu koło ratunkowe, chwycił je więc pospiesznie. — Oczywiście że to nieprawda.

Hermann wstał oburzony. Machał ramionami, jakby to były cepy.

— Przecież ja widziałem na własne oczy!

Eichler skinął głową przytakująco. Ale powiedział: — Jednakże pozory mylą, już nieraz to się zdarzyło. — Oparł ręce na blacie stołu.

— Porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną, jak towarzysz z towarzyszem. Pytam więc Eugena, czy czuje się winny?

— Nie! — wykrzyknął Eis pospiesznie.

— Ale ja go przyłapałem! — zawołał Hermann. — Są na to świadkowie.

Johannes Eichler pochylił się do przodu. — A może on tylko rozmawiał z Christine?

— Czy przy tym zdejmuje się koszulę?

— Eis — powiedział Eichler surowo - proszę mi to wyjaśnić!

Eugen Eis miał chwilę czasu, aby się nad tym zastanowić. Mam podobną figurę jak Hermann. A Christine chciała mu uszyć nocną koszulę. Miała to być dla niego niespodzianka. Przymierzała ją tylko na mnie.

— To całkiem prawdopodobne — powiedział Eichler z rozwagą. — Na wszelki wypadek zapytałem o to Christine Scharfke. Ona potwierdza to zeznanie. Obawiam się, Hermann, żeś ją mocno skrzywdził.

Posiedzenie trwało jeszcze jakiś czas. Wreszcie zostało uwieńczone

sukcesem. Eugen Eis przyznał się do niewielkiego, jego zdaniem, uchybienia i poprosił o wybaczenie. Hermann Materna stanął na wysokości zadania i oświadczył: — Pozory wskazują na coś zupełnie innego, ale uroczyste zapewnienie kolegi musi być dla mnie miarodajne.

Koledzy podali sobie dłonie. Zadra mogła pozostać, ale najważniejsze, że Eichler uratował jedność partii i pokój we wsi.

A było to szczególnie ważne w obliczu spraw, które miały nastąpić: potem, jak na przykład zapowiedziany wielki plebiscyt.

W dniu, w którym miał się odbyć plebiscyt, słońce świeciło nad Maulen, a niebo było jak żagiel z delikatnego lśniącego jedwabiu. Nabożeństwo wraz z komunią, głosowanie fundowane piwo, święto radości i tańce zdawały się pewne.

— Oto mamy dziś dzień Pana — powiedział pastor Bachus spoglądając wyczęty w poranek.

— Wspaniały dzień, aż się chce żyć — mówili mieszkańcy Maulett; — Każdego świerzbi skóra, a także gardło. Tylko się zabawić!

— Alfons Materna oświadczył: — Jeśli stanie się to, co uważam za możliwe, będzie to pamiętny dzień.

Zadzwęczały dzwony. Scharfke napoczął pierwszą beczkę. SA zebrała się przy remizie.

Johannes Eichler już wczesnym przedpołudniem zaprosił do siebie miejscową partyjną czołówkę. — Najpierw się wzmocnijmy — powiedział. Nikt się nie sprzeciwił. W czystym, pomalowanym na biało kantorze — znać tu było rękę Margarete przygotowano stoły, tace; na nich dwie szynki, jedna gotowana, druga wędzona. Do tego gruby salceson krwisty, wątrobianka, metka i serwolotka, poza tym wędzone i pieczone śledzie, a w miskach kawałki sera tyłzyckiego, wielkości cegły. Do picia podano winiak.

— Mamy przed sobą ciężki dzień — powiedział Eichler. Ale będzie to także dzień pełen chwały.

Nikt z obecnych nie odważył się w to wątpić. Wszyscy jedli i pili. Nastrój był wspaniały.

Tego dnia pastor zezwolił swoim wiernym na wieczerzę. Zostało to przyjęte ze szczególnym aplauzem, albowiem w dniu głosowania obowiązywał urządowany zakaz wyszynku;

Zdawało się, że nic nie zostało przeoczone. Organizacja Eichlera funkcjonowała bez zarzutu. I to już od dłuższego czasu: rzucające się w oczy plakaty, osobiste wizyty, pisemne wezwania i mocna sztuka przekonywania.

Poza tym Eichler głosił oficjalnie: — Zwycięstwo musi być nasze będzie nasze! — Następnie nieoficjalnie mówił do Eugena Eisa: — Musimy te nędzne dupy zmusić do głosowania!

Decydujące pytanie na kartkach do głosowania brzmiało prosto:

Czy jesteś za partią Adolfa Hitlera? Tak czy nie? Na kartce narysowane były dwa koła na odpowiedź: duże na tak, mniejsze na nie. Czyż prawdziwy Niemiec mógł mieć wątpliwości, jaką podjąć decyzję?

— Tu nawet Materna nie może nam się sprzeciwić. Musi się w stu procentach dostosować, jeśli mu życie miłe.

Organizacja objęła całą wieś — od dzierżawców Eichlera na północy Maulen aż po tereny rybackie na południu, od ludzi Uschkurata na zachodzie po nędznych wyrobników na twardej wschodniej ziemi. Organizacja nie ominęła nikogo — nawet dzieci i starców.

Aby wypędzić z najdalszych kątów zmęczonych i niezdecydowanych, po wsi chodzili chłopcy z werblami. Zostali oni wybrani i wyszkoleni przez nauczyciela Kniesego, który zajął miejsce Vettera. Rozstawiali szeroko nogi, walili z poświęceniem w bębny i ryczeli słowa osobiście wymyślane przez Kniesego:

Naprzód, naprzód, podążajcie
Na Führera głos oddajcie
I na partię też głosujcie
Nam wyborów nie popsujcie.

Kto na partię nie głosuje,
Marny los sobie gotuje.

Odgłosy te dochodziły także do uszu Materny, ponieważ szosa do Gross-Grieben przebiegała w pobliżu jego obejścia. Wysoki płot niewiele chronił.

Materna siedział po obiedzie na ławce przed domem — była gęś nadziewana jabłkami i sześcioma różnymi ziołami. Maria okazała się znakomitą kucharką. Tysiące zalet wyszły u niej ostatnio na jaw. Była radością jego starzejącego się serca.

Materna uśmiechał się, patrząc przed siebie; nawet wówczas, kiedy stanął przed nim Hermann — paw o wspaniałych piórach.

— Przyszedłem, aby cię zabrać. Chodź głosować. Nikt nie może się wyłamać.

Wiesz co, mój synu — takie głosowania zdarzają się często, a takiej wspaniałej gęsi nie jadłem już od lat. Trawienie jest dla mnie ważniejsze i przyjemniejsze niż jakieś tam głosowanie.

— Ale tu idzie o Niemcy, ojczu! I proszę cię nie jako sturmführer, lecz jako twój syn, abys się bez zastrzeżeń za tym opowiedział.

— Bez zastrzeżeń? Za Niemcami?

— Tak jak należy.

— A więc dobrze! — Alfons Materna wstał. — Skoro przywiązujesz do tego taką wagę, niech więc i twój ojciec uczyni coś dla Niemiec. Bez zastrzeżeń!

Na godzinę piątą po południu zapowiedziano urzędowy koniec głosowania. Ale już trzy godziny wcześniej Johannes Eichler wraz z Eugenem Eisem przeglądali listę.

Było na niej zaznaczone krzyżykami, kto już głosował. Niewiele było pustych miejsc. Nazwiska niechętnych głosowaniu wypisano na kartce. A kartka natychmiast trafiła w ręce SA.

I natychmiast oddział bojowy partii przywłókł: bezzębnego jękającego się emeryta, który nie opuszczał już swojego poddasza w przytułku, dwie obłąkane staruszki, parę młodych ludzi, już uprawnionych do głosowania, którzy nieświadomi tego zabawiali się spokojnie w krzawkach nad stawem. Także ciężko chory stary chłop został niemal triumfalnie wniesiony do lokalu wyborczego. Wkrótce potem zmarł. Ale uczynił to przynajmniej w przekonaniu dobrze spełnionego obowiązku wobec ojczyzny.

Tymczasem chłopcy z werblami dalej wrzeszczeli po wsi jak nakręcone zabawki:

Adolf Hitler wódz kochany

My za niego życie damy.

Bronim go — bo my straż wierna

Miłość nasza jest bezmierna.

Kto nie kocha zaś Hitlera

Tego weźmie wnet cholera!

W niespełną godzinę później całe Maulen oddało swe głosy, Tylko trzech krzyżyków brakowało na liście przy nazwiskach Materny, Jabłońskiego i Grabowskiego.

Dawać ich tul — zawołał Eichler do swoich ludzi z SA.

Grabowskiego, znanego we wsi pijaka i pożałowania godną ofiarę systemu, najłatwiej było sprowadzić; siedział na swoim ulubionym miejscu pod murem cmentarnym. I pił. Nie obchodził go zakaz wyszynku podczas plebiscytu — on miał swoje zapasy. Teraz jednak wmaszerował pijany do lokalu wyborczego i zawołał wesoło od drzwi:

— Chyba nie przychodzę za późno?

— Już najwyższy czas, ty pijaczyno! — Eugen Eis stał wyczekująco. Właż, ty oliwo!

— Przyszedłbym wcześniej — zawołał Grabowski — ale musiałem się przedtem wzmocnić. Bo w końcu chodzi tu o wielką sprawę, czy nie?

— Tak, niedługo będzie chodziło o twoje życie, jeśli zaraz nie wejdiesz do środka.

— Tak jest! — zawołał Grabowski niemal po żołniersku. Próbował nawet stanąć na baczność. — Jestem wyborcą! Idę spełnić swój obowiązek. Nie zawiodę naszego Führera. Niech żyje Führer!

— Możesz sobie darować to gadanie! — Ten człowiek działał Eihlerowi na nerwy, poza tym zaczął wywoływać niemiłą sensację. - Marsz do środka i postaw swój krzyżyk.

— Co, mam postawić krzyżyk? — Kaprawe oczy Grabowskiego patrzyły zdumione. Ja — krzyżyk? Jak w kościele? Czy to rzeczywiście po myśli naszego Führera?

— Co ty sobie wyobrażasz! Czy masz mnie za durnia? — Eugen Eis zaczynał być niespokojny — ten pijany łeb gotów był go ośmieszyć, Ludzie stojący dokoła już uśmiechali się podejrzliwie. — Właż do środka i zrób krzyżyk tam, gdzie jest kółko.

— Aha! — Grabowski rozejrzał się dokoła — rozkoszował się powszechnym zainteresowaniem, jakie wywołał. — Zrobię krzyżyk tam, gdzie jest kółko. A jaki krzyżyk? Czy taki jak w kościele, czy hakenkreuz?

W końcu Eugen Eis zrozumiał, co Grabowski chciał osiągnąć przez swoje głupie zachowanie. — A więc dobrze — szepnął — zezwalam na pół litra.

— Tylko pół litra? Za cały krzyż?

— Wobec tego litr, ale teraz właż!

— Niech żyje Führer! — zawołał Grabowski. — Również ja mam mu coś do zawdzięczenia.

Wkrótce potem przyszli Materna i Jabłoński, i to w towarzystwie SA: dwóch ludzi przed nimi, dwóch za nimi. Mieszkańcy wsi zebrani przed lokalem wyborczym ustępowali im z drogi z szacunkiem.

— Wszystko dla Niemiec — powiedział Alfred Materna wesoło. Johannes Eichler wyszedł z lokalu wyborczego. W porę uprzedzono go o przybyciu Materny.

— Cieszę się — powiedział głośno i wyraźnie — że również ty przyszedłeś spełnić swój obowiązek.

— To dla mnie nawet przyjemność — zapewnił Materna.

— W każdym razie jestem pewien, że nie możesz być nastawiony przeciwko naszemu Führerowi — powiedział Eichler wyzywająco i tak, żeby go było słychać daleko. I jednocześnie dodał cicho i poufnie: — Nie liczę absolutnie na twój rozsądek, Materna, tylko zakładam, że nie jesteś głupcem.

— Nawet gdybym był głupcem, nie przeszkadzałoby mi to podziwiać naszego Führera.

— To już w każdym razie coś znaczy — powiedział Eichler jakby z ulgą.

Kiedy wreszcie również Materna i Jabłoński oddali głosy, na liście nie brakowało już nikogo. W ten sposób głosowanie w Maulen zostało zakończone, i to o godzinę wcześniej, niż przewidywał czas urzędowy. Przekonywający triumf wzorowej organizacji Johanna Eichlera.

Ortsgruppenleiter kazał więc ze skromną dumą zatelegrafować do władz okręgu: Maulen opowiedziało się w całości za swoim Führerem i partią. Heil Hitler! Podpisano Eichler .

Tymczasem żandarm w lokalu wyborczym oznajmił: — Uwaga, mieszkańcy! Głosowanie zakończone. Obecnie będą liczone głosy. Wyników należy oczekiwać wkrótce.

Była to istotna informacja, oznaczała bowiem, że skoro lokal wyborczy został zamknięty, otwarte zostaną beczki z piwem. Scharfke natychmiast zaczął podawać darmowe piwo w zbudowanej w tym celu budzie.

Ludzie napływali, jeśli już nie byli zgromadzeni. SA pilnowała kolejki do syczących kurków od piwa. Ustawiła się orkiestra strażacka; jej zadanie polegało na tym, aby zaraz po ogłoszeniu wyników wyborów dać wesołe melodie, a więc marsze.

Do akcji po raz ostatni w tym dniu przystąpili dobosze. Obwieścili oni bardzo już zmęczonymi chłopięcymi głosami:

Führer górą — to jest pewne,
Kto nie wierzy — gównu nędzne.
U nas takich się nie zoczy
Ku zwycięstwu Führer kroczy.

— No, no — powiedział Alfons Materna zachwycony do żandarma Klingera, który stał obok niego — czyżby to miał być głos ludu?

— Przepuszczalnie są to hasła wyborcze — odrzekł żandarm ostrożnie. — A hasła wyborcze są dozwolone.

— Ale ja słyszałem słowa Führer i gówno. Czy to zestawienie ma głębszy sens?

— Nie obchodzi mnie to — powiedział żandarm. — Takie subtelności to sprawa partii.

Obliczanie głosów zajęło niewiele ponad pół godziny. Potem drzwi lokalu wyborczego zostały szeroko otwarte. Najpierw pojawił się Eugen Eis i podniósł rękę: chłopcy uderzyli w swoje bębny, kapela zagrała trzykrotny tusz.

Następnie ukazał się Johannes Eichler i zawołał w pełną oczekiwania ciszę: — Towarzysze! Przyjaciele i koledzy! Drodzy wieśniacy! Podam teraz wyniki głosowania.

Tu Eichler zrobił artystyczną pauzę. Rozkoszował się tą chwilą; uważał ją za najważniejszą w swoim politycznym życiorysie. I też nie pomylił się co do tego.

Eichler oznajmił: — W gminie Maulen było w tym dniu dwieście osiemnaście osób uprawnionych do głosowania. Spośród nich stawilo się dwieście siedemnaście. To znaczy, że nikt się nie wyłamał, albowiem ten jeden brakujący głos to głos starego parobka Lipskiego, który dziś rano zmarł.

I dalej: — Te dwieście siedemnaście osób, które przyszły, oddało dwieście siedemnaście głosów. Wszystkie ważne. A więc ważnych głosów oddano dwieście siedemnaście. Dwieście siedemnaście głosów na tak. A zatem ani jednego na nie. A to oznacza: stuprocentowy udział w głosowaniu i stuprocentowe tak. I Eichler spontanicznie dodał: — To najpiękniejsza chwila mojego życia.

— Trzykrotne Heil na cześć naszego ukochanego Führera! — wykrzyknął Eugen Eis.

Ale zanim jeszcze obecni mogli zawołać wymagane Sieg Heil! zanim dobosze uderzyli w bębny, a gorliwi trębacze zadęli w trąby, dał się słyszeć spokojny, mocny i bardzo wyraźny głos: — To się chyba nie zgadza.

Był to głos Materny.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Johannes Eichler niezwykle zdumiony. — W tej uroczystej godzinie, w której naród niemiecki jak jeden mąż podniósł się...

— To może się i zgadza — rzekł Materna. — Ale jedno nie zgadza się z całą pewnością, mianowicie podany przez ciebie wynik głosowania,

— To jest wynik urzędowy! I jest to manifestacja woli ludu!

— To wszystko możliwe, Eichler, oprócz jednego drobiazgu: twoje liczby się nie zgadzają.

Eichler podszedł do Materny groźny jak lew. I wobec nasłuchujących, zdumionych, żądnych sensacji mieszkańców Maulen powiedział:

— Dobrze ci radzę, Materna! Zastanów się nad tym, co mówisz. W swoim własnym interesie!

— Tu nie ma się nad czym zastanawiać — odrzekł Materna wcale nie zbity z tropu. — Albowiem oddany został przynajmniej jeden głos na nie . Wiem to z całą pewnością.

— Dwa głosy na nie — powiedział Jabłoński i stanął obok Materny.

— Ojczy! — zawołał Hermann przerażony. — To nie może być prawda!

— To podłe oszczerstwo! — zawołał Fritz Fischer. Powinna tu wkroczyć SA, a także policja! Ale żandarm stoi bezczynnie!

— Wkroczę — oznajmił Klinger. — Ale dopiero, jak się okaże, przeciw komu. Bo jeśli mamy tu do czynienia ze sfalszowaniem wyników, to jest to czyn kryminalny.

Mięsista twarz Johanna Eichlera zrobiła się czerwona jak burak.

— Ten, kto staje przeciwko Führerowi, staje tym samym przeciwko naszemu narodowi, a więc jest wrogiem ludu! Czy jesteś przeciwko naszemu Führerowi, Materna?

— Co za pytanie!

— A więc głosowałeś na tak ?

— Nie.

Tu mądrość Eichlera zdawała się kończyć. Rozglądał się za Eugenem Eisem, jakby szukając pomocy, ale ten przyglądał się bacznie swoim paznokciom. Również tak zazwyczaj niezawodni towarzysze partyjni patrzyli w ziemię. Podopieczni Hermanna stali nieporuszeni. A mieszkańcy Maulen gapili się z głupim wyrazem twarzy.

Materna zaś oświadczył: — Nie wystarczy chyba zrobić jakiś krzyżyk przy jakimś tak . To nie takie proste.

— No już dobrze. A więc jesteś za naszym Führerem?

— Lubię go — stwierdził Alfons Materna. — Ale ta kartka do głosowania każe nam tylko opowiedzieć się za jedną partią, nic więcej. Jak gdyby to była zwyczajna partia, jak na przykład komuniści. Coś tak głupiego mogli wymyślić tylko nędzni biurokraci. Nasz Führer to przecież nie towar, którym można handlować. I dlatego postawiłem swój krzyżyk przy nie .

— Ja również — powiedział Jabłoński.

— Trzy głosy na nie — zakrakał Grabowski. Miał obiecany następny litr, tym razem od Materny. — Ale ja tylko pomyliłem kierunek. Moja ręka nie była pewna; za mało wypilem.

— To podła intryga — z trudem wykrztusił Johannes Eichler.

— Od tej chwili sprawa staje się przedmiotem śledztwa — zawołał żandarm zdecydowanie. — Konfiskuję wszystkie materiały z głosowania!

Tymczasem zgłosiło się czterech dalszych mieszkańców Maulen, wśród nich pozbawiony swego partyjnego stanowiska nauczyciel Vetter. Również oni oświadczyli, że głosowali na nie . I to z tych samych przyczyn co Alfons Materna. Oni także stwierdzili, że kochają Führera, ale nie zniesliby, gdyby został on poniżony wskutek biurokratycznego sposobu przeprowadzenia wyborów.

- To już koniec — jęknął Johannes Eichler wyczerpany.

Dla kogo? — zapytał Eugen Eis bezlitośnie.

IX

Śmierć nie tylko rozdziela
— ona umacnia niektóre więzi.
Większość jednak pragnie jedynie przeżyć.

Na temat zająć w Maulen przy okazji głosowania poszło w świat wiele często sprzecznych ze sobą opinii. Mówiono: żalosa pomyłka . Albo: oszczerstwo . Ale niemało ludzi szeptało: manipulacja . Trzej mówili to nawet całkiem otwarcie.

Zanim bowiem ogłoszono wyniki, Eichler polecił przekazać wiadomość telegraficznie; została ona kilkakrotnie nadana za pośrednictwem Reichssender Königsberg, a nawet powtórzona przez Deutschlandsender. Jeszcze tego samego dnia Ortsgruppe Maulen otrzymała liczne telegramy z gratulacjami od ważnych wpływowych towarzyszy partyjnych.

Tymczasem żandarm Klinger czynił uparcie to, co uważał za swój obowiązek. Ale wszyscy, których wypytywał, zeznawali, że są niewinni, i wskazywali na Eichlera — oni tylko w dobrej wierze spełniali rozkazy. Rozkazy Eichlera.

Kierownictwo Rzeszy zażądało od Prus Wschodnich, aby zajęły w tej sprawie stanowisko. W związku z tym odpowiednie władze okręgu były naciskane. I z kolei naciskały Ortsgruppe Maulen, ze wskazówką: trzeba znaleźć winnego.

— Muszę z tobą pilnie porozmawiać — powiedział Eis do Materny w bramie jego obejścia.

Alfons bawił się swoimi strzelbami. Jego twarz była lekko wykrzywiona.

— Czy chcesz mnie nastawić przeciwko Eichlerowi?

Eugen Eis nie mógł ukryć zaskoczenia: ten Materna wie, co w trawie piszczy.

— Prawdopodobnie, Eis, masz mnie zbajerować, abym nie złożył doniesienia w sprawie sfałszowania wyników głosowania.

— Czy możemy porozmawiać szczerze?

— A czy my właśnie tego nie robimy?

Eugen rozejrzał się ostrożnie dokoła. Wreszcie odważył się stwierdzić, że istnieją między nimi pewnego rodzaju więzi rodzinne, w każdym razie są planowane.

— Nie przeze mnie — powiedział Alfons Materna.

— Ale nie da się ich uniknąć! — Dziecko twojej córki musi mieć ojca, a ja nim jestem. I dlatego sędzę, że byłoby najlepiej, gdybyśmy w przyszłości pracowali razem.

— Dla kogo najlepiej? Wiem tylko tyle: Eichler tkwi po uszy w gównie. I sam się w nim pograżył. Jednym zeznaniem, fałszywym co prawda, mógłbym go wyciągnąć. Ale to by ci nie pasowało, Eis. Bo ty jesteś następny w kolejce do żłobu partyjnego w Maulen. Gdy Eichler przepadnie, wybije twoja godzina.

— To by ci było na rękę, Materna.

— Wcale nie, bo Eichler jest bądź co bądź lwem, albo przynajmniej wilkiem, jak się uważa, a ty jesteś tylko szakalem. Ścierwnikiem. Budzisz we mnie obrzydzenie.

— Tylko wolnego, Materna! — Eugena Eisa nie można było tak łatwo obrazić. — Powinieneś pomyśleć o szczęściu swojej córki, matki mojego przyszłego syna. Twojego wnuka!

- Jakub! — zawołał Materna przez podwórze. — Psy!

Eugen Eis zniknął i udał się pospiesznie do Johanna Eichlera.

Oświadczył mu: próbowałem wszelkich sposobów, aby mu przemówić do rozsądku, robiłem mu różne propozycje. Ale pozostał głuchy na wszystko.

— To do niego podobne — powiedział Eichler z wysiłkiem. Ciężko znosił swoje rozczarowanie. Teraz możliwe było postępowanie partyjne, a może nawet sądowe o nie przewidzianych skutkach. Łącznie ze zdjęciem go ze stanowiska ortsguppenleitara. I to tylko dlatego, że Materna pała żądzą zemsty.

— Nazwał nas nawet szakalami i ścierwnikami!

— Jakże to wszystko wstrętne!

— Powinienem żywić względem niego uczucia rodzinne, ale w tym stanie rzeczy nie jestem do tego zdolny. Teraz posłę go tam, gdzie jest jego miejsce.

Eis, nie proszony, poczęstował się wódką Eichlera, pewnym ruchem wyciągnął najlepszą butelkę, ową wysokoprocentową żytniówkę zaprawioną złotym miodem. Wypił dwa kieliszki.

— Teraz trzeba iść na całość — powiedział. — Od tej chwili każdy krok musi być w stu procentach prawidłowy, bo inaczej przepadniemy.

Johannes Eichler przyznał, że jego sytuacja jest co najmniej niepewna. Ale nie zamierzał się poddać. Lew z Maulen pragnął jeszcze zaryczeć.

Pozbawił Hermanna Maternę funkcji przywódcy SA. Chłopak wyraźnie cierpiał z tego powodu. Początkowo zapijał się do nieprzytomności. Ciskał przy tym ostre słowa przeciwko partii i jej miejscowemu kierownictwu.

Wkrótce potem Hermann opuścił Maulen. Pojawił się w Giżycku. Tam przystąpił do interesu Siegfrieda Grienspana, na początek w charakterze wolontariusza. Ale bardzo szybko, dzięki finansowemu wsparciu ojca, został udziałowcem przedsiębiorstwa. I zorganizował w krótkim czasie handel bydłem, tak jak kiedyś swoją grupę bojową. Interes kwitł!

Eugen Eis został mianowany przywódcą miejscowej SA. Nominacja ta, jak również stanowisko zastępcy Ortsgruppenleiters, przydały mu szczególnego splendoru. I w decydującej chwili rzucił te atuty na szalę.

— Materna zdemaskował się ostatecznie jako zdecydowany wróg ludu. — Po raz ostatni Eis przyjął błogosławieństwo Eichlera na wszelkie dalsze akcje. A więc mam teraz całkowicie wolną rękę?

— Niech się stanie to, co nieuniknione — powiedział Eichler.

Jeszcze tego samego dnia Eugen Eis spotkał się z Brigitte, swoją narzeczoną. Spotkanie zaaranżował Fritz Fischer, który został mianowany zastępcą przywódcy SA. Występując w roli stręczyciela, czynił, to z politycznej dalekowzroczności.

— Nigdy nie wierz, co mówią ludzie. Wierz zawsze tylko mnie — powiedział do Brigitte.

— Przecież przyszłam — powiedziała dziewczyna szczerze.

Wsiedli do łodzi. Dokoła zapadał zmrok. Lasy zdawały się pogrążyć w głębinie jeziora. Niebieskoczarna woda jakby wciągała niebo w swoje otchłanie.

— On chyba tego nie wie, ale muszę ci wyznać, że mam słabość do twego ojca. — Eugen Eis ujął Brigitte za rękę i przyciągnął ją do siebie..

Ochoczo przyłgnęła do niego i osunęli się na dno łodzi.

— W końcu twój ojciec jest też tylko człowiekiem i również ma swoje słabości.

— Nie mówimy o Nin powiedziała dziewczyna, dysząc ciężko.

Przestali o nim rozmawiać. Przez ponad kwadrans w ogóle nie rozmawiali. Leżeli na dnie łodzi i wdychali lepką smołę, stęchło-słodką wodę jeziora i parująco ciepły pot. A łódź kołysała się mocno.

Potem oderwali się od siebie. Przez kilka minut oddychali ciężko i bez ruchu.

— On przecież też był kiedyś młody — powiedział Eugen ostrożnie. — Również w jego życiu były chyba chwile, kiedy...

I tak to trwało — niewyraźne aluzje, uprzejme sugestywne pytania, subtelne wyznania. Eugen starał się niezauważalnie krążyć wokół swego celu. Zdawał się z lubością słuchać odpowiedzi Brigitte; żartował, zachęcał dziewczynę, jak potrafił, i uparcie wracał do tematu: również Materna był przecież kiedyś...

Wreszcie Brigitte przypomniało się nazwisko: Amalia Amrein. To Margarete wspomniała owo nazwisko z okazji swego rozwodu, z następującymi słowami: Ze mną nie uda ci się tak jak z tą Amalią Amrein .

Dłoń Eugena przesunęła się w górę, powyżej uda Brigitte. Dziewczyna znów się położyła, oddychając ciężko. Jakby przez różowy obłok słyszała pytanie Eugena: — Jakie to było nazwisko?

— Amalia Amrein — szepnęła z całkowitym oddaniem.

— Powierzyłeś mi swego syna — powiedział Siegfried Grienspan, uśmiechając się. — Ale dotychczas nie wiedziałem że przyjaźń może być taka uciążliwa.

Ta sytuacja bawiła Alfonsa Maternę: świadomość, że Hermann jest w interesie Grienspana. — Musiałem go przestawić na inny tor. Biedny chłopak cierpiał z powodu utraty stanowiska.

— Ja tymczasem z trudem go przekonałem, że również handlarze bydła mają swój honor. Hermann jednak nadal uważa, że tylko wówczas, gdy są stuprocentowymi Aryjczykami!

— Jeśli on ci przysparza zbyt wiele kłopotów, Siegfried , to go wyrzuc.

— Niestety, już za późno, Alfons, bo tymczasem on mnie wyrzucił.

Materna znów się roześmiał — ten świat z każdym dniem staje się coraz bardziej zabawny. — Chłopak cię wyrzuci a ty się z tym zgadzasz?

— A co mam robić? Nie miał odwagi pracować razem ze mną. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak kazać mu pracować samemu — jednakże dla mnie. -

— A co ty tymczasem robisz?

— Ja bawię się z przyjaciółmi — powiedział Grienspan i podniósł w górę kieliszek, w stronę Materny, Jabłońskiego i Marii, a także w stronę Konrada i Petera, którzy też tu się znajdowali i słuchali zachłannie.

— Na moje wesele każę podać szampana — powiedział Materna, kładąc dłoń na ramieniu Marii. I zaproszę tylko was, nikogo więcej. I będziemy żyli przez jeden dzień tak, jakbyśmy gościli na Mazurach samego Pana Boga.

Obecni popatrzyli ubawieni na Alfonsa Maternę. Ten uśmiechnął się do Marii. Ale ta zerwała się nagle jakby wystraszona i spojrzała na okno. W tej chwili pękła szyba i kamień wielkości pięści wpadł do środka, w otoczeniu odłamków szkła.

W kilka sekund później na dworze rozległy się okrzyki: - Precz z Żydami! Precz z Żydami! Precz z Żydami!

Jakub Jabłoński był pierwszy przy drzwiach. Za nim rzucił się Materna. Następnie chłopcy. A Grienspan podszedł do Marii, uśmiechnął się i pomógł jej usiąść. Sam usiadł obok niej i skinął głową.

Na dworze zaczęła się pogoń. Ci, którzy wołali: Precz z Żydami zniknęli już w ciemnościach, ale ich głośny tupot słychać było z daleka. Biegli w kierunku Maulen, ku szosie. Chłopcy rzucili się za nimi jak tygrysy, ale nie na długo starczyło im sił. Wreszcie w pogoń ruszyły psy Jabłońskiego — dopadły jednego z krzyczących.

Był to młody chłopak, blady jak kreda. Głos mu drżał i cały się trząsał.

— Zrobił w majtki ze strachu — stwierdził Jabłoński po krótkim śledztwie. — Ale to zdarza się wielu tym, którzy lubią otwierać szeroko gębę. W jakimś sensie istnieje związek pomiędzy tymi dwiema czynnościami.

Latarka kieszonkowa oświetlała mięsistą twarz młodego człowieka. Był to jeden z synów Uschkurata.

— Co zrobimy z tym nicponiem? — zapytał Jabłoński.

— Przetrzepiemy mu skórę — zawołali chłopcy.

— To byłoby zbyt mało — powiedział Jabłoński. — Ukarzemy go znacznie surowiej, mianowicie w ten sposób, że potraktujemy go łagodnie.

Tak więc syn Uschkurata został zaprowadzony do izby w domu Materny. Tu Alfons wskazał mu krzesło.

— Może mu się chce pić — powiedział Materna do Grienspana. Krzyk zawsze powoduje pragnienie.

Siegfried po krótkim wahaniu napełnił kieliszek winem. Postawił go przed wytresowanym antysemitą. Ten spoglądał blady, z głupią miną, na swoje ubłocone buty. Bardzo go denerwował stan, w jakim się znajdował.

— Na zdrowie — powiedział Alfons Materna przyjaźnie.

Tymczasem chłopcy pobiegli do wsi. Konrad odnalazł swego ojca, a Peter Uschkurata. Przekazano im obu: Materna prosi ich do siebie na kieliszek wina, i to w ważnej sprawie. Obaj mężczyźni posłuchali wezwania.

Uschkurat, burmistrz i przywódca chłopów, zdumiał się ujrawszy swego syna siedzącego u Materny. — A ten co tu robi? — zapytał.

— On jest tu gościem — oznajmił Alfons.

Żandarm zachowywał się tak, jakby już nic nie mogło go zadziwić. Przyszedł złożyć wizytę Maternie i zdawał się nie widzieć ani syna Uschkurata, ani rozbitego okna. Wino wszakże zauważył. Z rozkoszą wachał szklanekę, którą przed nim postawiono.

Kiedy wszyscy razem wypili, Materna zapytał: — Czy mogę pani o coś zapytać, panie Klinger?

— Oczywiście — odpowiedział żandarm uprzejmie.

— Przypuśćmy, że stała się rzecz następująca — zaczął Materna gawędziarskim tonem. — Siedzę tu sobie z przyjaciółmi. Nagle przez okno wpada kamień wielkości pięści. Potem rozlegają się głosy: Precz z Żydami! Co by pan na to powiedział, panie Klinger?

— A więc — odrzekł żandarm — po pierwsze, wtargnięcie przemocą do waszego obejścia — to podpada pod zakłócenie spokoju domowego; po drugie, wrzucenie przez okno kamienia — jest to zagrożenie i jednocześnie szkoda materialna, następnie okrzyk: Precz z Żydami! — to nagonka, a poza tym stanowi zakłócenie nocnego spokoju. Krótko mówiąc: zakładając w miarę sprawiedliwych sędziów — kilka miesięcy aresztu.

Materna podniósł kieliszek i wypił do dna. Spojrzał z wdzięcznością na żandarma. Następnie zerknął na Uschkurata, któremu z wściekłości twarz poczerwieniała.

— Jeśli złożę skargę w sprawie, którą właśnie przedstawiłaś — powiedział Materna — co wtedy?

— Wtedy przyjmę skargę, opracuję ją i przekażę dalej — rzekł żandarm.

Alfons Materna nie powiedział na to ani słowa. Uschkurat wstał z westchnieniem, podszedł do swego syna, stanął przed nim i położył mu ciężką dłoń na piersi. Powoli, jakby za pomocą dźwigu, uniosł go w górę.

Następnie uderzył syna w twarz — najpierw z prawej, potem z lewej strony. I jeszcze raz, tym razem w odwrotnej kolejności. Po czym wypuścił go z ręki jak gorący kartofel.

— Nie trzeba już skargi — powiedział Materna. — Sprawa sama się załatwiła.

— Do diabła! — zawołał Eugen Eis. Patrzył z pogardą na resztki swego Rollkommando. — Tak się dać głupio złapać.

Stali teraz świadomi tego, że zawiedli. A przecież starali się wypełnić rozkaz. A może była to tylko zachęta? Nie mogli się już połapać.

— Takie postępowanie — wołał dowódca SA — znieśławia cały ruch! Coś takiego może bardzo zaszkodzić naszej partii.

Tę niemiłą wiadomość Eugen Eis podał natychmiast Eichlerowi. A ten zorientował się z miejsca: pożałowania godny fakt, że chłop-zawiedli, podważał także jego i tak już osłabioną pozycję. Z zapałem szukał więc odpowiedniego rozwiązania.

Znalazł je dopiero po kilku godzinach, i to sam. Eis bowiem okazał się bezradny i tylko wpatrywał się w niego. Eichler oznajmił:

Ten młody Uschkurat jest wydalony z SA. Od tej chwili nie należy ani do partii, ani do żadnego jej odłamu. A więc nie ma z nami więcej nic wspólnego.

Eugen Eis skinął głową z pewnym uznaniem. Od Eichlera można się było niejednego nauczyć! Jego decyzja oznaczała, że partia praktycznie pozostaje bez skazy, tak samo jak kierowana przez Eisa SA. Jeśli wpłynie skarga na policję, będzie ona dotyczyła tylko osoby prywatnej. A to żadne nieszczęście.

— A więc walka toczy się dalej — powiedział Eugen Eis. — I teraz na noże! Najpierw załatwimy Maternę. Wiem już nawet, jak to zrobić najlepiej.

Eugen Eis odwiedził Amalię Amrein.

Znalazł ją w sąsiedniej wsi, w Siegwalde. Żyła tam w domu swojego brata, z niechęcią i w narastającym przekonaniu, że została ograbiona z najlepszych lat swego życia. Zajmowała się drobiem i warzywami.

- Czy zna pani Alfonsa Maternę? — zapytał Eugen Eis.

— Któż by nie znał tej świni! — zaklęła Amrein.

Miło było Eisowi to słyszeć. Z życzliwością przyglądał się kobiecie, która stała przed nim. Jej świdrujące oczka patrzyły z twarzy mopsa,

a jej zapach nie był najprzyjemniejszy. Za to głos dźwięczał jasno i czysto.

— Ja również jestem przekonany, że to świnia — powiedział Eugen Eis poufnie. — I może to być z korzyścią dla pani.

Amalia Amrein patrzyła nieco obłąkanym wzrokiem. Żąda tylko sprawiedliwości, sprawiedliwości za całą tę podłość, jaką jej wyrażono. — Precz z Materną! Ten drań zniszczył moje życie!

— On jest zdolny do tego. Ale samo twierdzenie nic nie da. Aby coś zrobić, potrzeba dowodów, faktów, zeznań świadków.

— Ile pan zechce! Chętnie mu dołożę!

Eugen Eis dowiedział się następujących rzeczy. Przed czterema albo pięcioma laty Amalia Amrein przybyła na służbę do Alfonsa Materny jako gospodyni. — Przez te wszystkie lata spełniałam należycie swoje obowiązki. Byłam czysta, pilna i uczciwa — zapewniała.

— Wierzę pani — powiedział Eugen Eis. — Przypuszczalnie nędznie pani płacił i bezwstydnie wykorzystywał. To do niego podobne. Ale do naszych celów to jeszcze za mało!

Teraz Amrein rozgadała się. Z Materną nigdy człowiek nie był pewien. Raz czy dwa razy zbił ją po siedzeniu.

— To wszystko za mało. — Klapsy w tyłek od czasu do czasu to nie było na Mazurach żadne uchybienie, raczej wyraz uznania. -

— On robił to z żoną rzeźnika i z żoną listonosza. Mogę przysiąc.

Inni też mogą, pomyślał Eugen Eis. Były to znane we wsi adresy. Aby trafić do Materny, trzeba było użyć broni ciężkiego kalibru.

— A dlaczego z panią do niczego nie doszło?

— Chciał, ale ja byłam nieugięta. Poza tym on wolał młode ciała, najlepiej jeszcze dzieci!

Teraz Eugen Eis nastawił uszu. Jak myszołów rzucił się na swoją zdobycz. — Powiada pani, dzieci?

— Tak! Łaził za tą Marią, która wówczas była jeszcze dzieckiem.

— Ile miała lat dokładnie?

— Ta dziwka miała wówczas zaledwie piętnaście lat. Ale patrzyła na niego jak głodny pies na spyrkę.

Eugen Eis próbował zatrzymać Amrein przy tym punkcie. Początkowo nie było to wcale łatwe. Ale jej pamięć zaczęła funkcjonować w pożądanym sposób, kiedy obiecał znaczną nagrodę w wypadku sukcesu. Sto marek! Można je było podjąć z kasy Ortsgruppe, jako koszty związanie z ankietowaniem ludności.

Wreszcie Amalia była gotowa zaświadczyć i przysiąc, co następuje:

1. Widziała wielokrotnie, jak Alfons Materna obejmował Marię, dotykał przy tym jej piersi;

2. Była świadkiem ciągłej wymiany spojrzeń, co wskazywało na intymne porozumienie między Marią i Alfonsem Materną. Oczy Marii bywały często podkrążone, a jej łóżko rozgrzebane;

3. Przyłapała Maternę na tym, jak w nocy wychodził z pokoju Marii. Dziewczyna miała rzekomo gorączkę; nietrudno sobie wyobrazić, od czego. Materna w każdym razie sprawiał wrażenie wyczerpanego.

— To powinno wystarczyć— powiedział Eugen Eis. — Jest to mianowicie uwiedzenie nieletniej, czyn nierządny z osobą podwładną i co tam jeszcze. Czy jest pani gotowa przysiąc, że tak było?

— Ze wszystkimi szczegółami. — W oczach Amalii Amrein, błyszczała żądza odwetu. — Obym tylko mogła zniszczyć tę świnię!

Tymczasem SA we wsi Maulen przystąpiła do akcji. Nastąpiło to po intensywnych wieczorach szkoleniowych pod hasłem: Sprawiedliwość — to sprawa przekonania!

Maulen jakby się obudziło z kilkusetletniego snu. W każdym razie Eugen był tego zdania. — Niemcy się obudziły! -- twierdził.

SA została podzielona na grupy i ruszyła w teren. Napotykała jednak przy tym złośliwy opór; zdawały się działać wrogo nastawione siły.

— Coś tu się nie zgadza — stwierdził Eugen Eis; marszcząc czoło.

Najwyraźniej ktoś wsypywał piasek w tryby maszyny SA. Mnożyły się fałszywe alarmy. Ogłaszane były przez telefon, a ci, do których dzwoniło, byli pewni, że słyszą głos Eichlera albo Eisa.

Po takich alarmach mężczyźni z SA zbierali się zwykle przed remizą, albo przy pomniku bohaterów, albo też w sali parafialnej. Stali gotowi do akcji: sztylet u boku i pistolet w kieszeni. Nikt się nimi jednak nie interesował. Taka sytuacja powodowała duże niezadowolenie.

— Od tej chwili pilnować Materny! — rozkazał Eugen Eis. — W dzień i w nocy, jeśli będzie trzeba!

— Ale on nie ma telefonu.

— Wobec tego są kreatury, które za niego telefonują. I tych chcę mieć!

Telefoniczne rozkazy, które wywoływały tyle zamieszania -, nagle ustały. Za to, jak się zdawało, przystąpiły do akcji całe kolumny włóczęgów. Jeśli na przykład SA wypisała na murze cmentarza: - Precz

z Żydami , następnego dnia takim samym pismem, tak samo wyraźnie i równie wielkimi literami było napisane: Najpierw naziści i Hitler na czele, dla przykładu!

Takie rzeczy zrazu złościły mieszkańców, ale potem wystąpiło coś znacznie gorszego: zaczęli się z tego śmiać. I kiedy SA rozpięła koło szkoły transparenty z napisem: Zbudźcie się, Niemcy! , zaraz potem zawisło pod nimi hasło: Hitlerze, zaśnij!

— Coś trzeba z tym zrobić! — zawołał wściekły Eugen do żandarma Klingera. — Niech pan schwyta sprawców, jeśli panu zależy, aby pozostać nadal żandarmem w Maulen.

— Jakich sprawców? — zapytał żandarm obojętnie.

No tych, którzy mażą po ścianach!

~ ~ ~ Czyli SA — powiedział żandarm.

— Jeszcze pan tego pożałuje — rzekł Eugen Eis groźnie.

W jego oczach żandarm Klinger był wrogim elementem. Ale również chęć działania Uschkurata pozostawiała wiele do życzenia. Nie zgodził się on bowiem dłużej zwlekać z udzieleniem ślubu Maternie i Marii, który już dawno był zgłoszony. Nawet pastor okazywał niewiele zrozumienia dla narodowych problemów wsi — odmówił zajęcia stanowiska wobec skandalicznych wyczynów antypaństwowych elementów. W każdym razie z ambony.

— Co się u diabła zakradło do tej cholernej wsi! — zawołał Eugen Eis, nie panując nad sobą.

Następnie wezwał do siebie strażników Materny. — Co porabia ta świnia?

— Przeważnie leży w swoim ogrodzie i gapi się w niebo - informowali strażnicy.

— Ten typ jest głównym szkodnikiem społecznym.

— Być może — przytakiwali ludzie z SA. — Ale jak to udowodnić?

— Zarządzam niniejszym wzmożoną gotowość alarmową.

SA przyjęła ochoczo rozkaz. Bojownicy partyjni chodzili teraz dwójkami do piekarza, rzeźnika i handlarza artykułami kolonialnymi, a także do szewca, kowala i stolarza. Przemawiali do ludzi. Wreszcie wręczali im ręcznie drukowane kartki, na których było napisane:

Jesteśmy niemieckimi i aryjskimi przedsiębiorcami.

Nie sprzedajemy towarów Żydom, Polakom ani ludziom zdeprawowanym.

— Powieście to na widocznym miejscu! — brzmiało polecenie.

Tak też się stało.

Ale już następnego dnia pod tymi kartkami naklejone zostały paski papieru, a na nich napisy:

My wzbogacamy się raczej na swój sposób.

Włazimy zawsze w tyłek, który akurat jest pozłacany.

Eugen Eis trząsał się z wściekłości. SA pracowała ponad normę. Apel gonił apel. Na każde posunięcie szachowe znanego wprawdzie, ale nie przyłapanego na gorącym uczynku wroga, należało natychmiast odpowiedzieć kontrą. Przy każdym plakacie, przy każdym transparenecie, przy każdym napisie stała warta.

Tylko że te warty nie zawsze mogły stać spokojnie. Jednemu na przykład wciśnięto na głowę worek, po czym spuszczone mu spodnie i pomalowano tyłek. I to na właściwy, żółtozielony kolor. Z dwoma innymi wartownikami postąpiono tak samo. Nadmierne zużycie farby olejnej pozwalało sądzić, że w grę wchodził tu ktoś, kto mógł sobie na to finansowo pozwolić. A Materna znów sprzedał ostatnio trzy świnie temu Grienspanowi.

Wreszcie Eugen Eis zapienił się z wściekłości: — Miara się przebrała!

Kiedy przemyślał dokładnie sytuację, nasunęły mu się następujące przypuszczenia:

Po pierwsze, Hermann Materna. Ten czuł się z pewnością wzgardzony; niewykluczone, że pragnął się zemścić, poza tym pracował dla Grienspana, a więc miał pieniądze. Następnie w grę wchodził szynkarz Scharfke; jak wykazało doświadczenie, niepokoje zwiększyły jego obroty. Miał on również córkę, która, być może, czuła się oszukana i jak wszystkie kobiety w takiej sytuacji, zdolna była do wszystkiego. Wreszcie: Konrad Klinger i Peter Bachus. Ci znów mają wakacje!

Eis kazał natychmiast wezwać do siebie pastora i żandarma. -Jeśli któryś z nich bierze udział w tych świństwach, obojętnie— pośrednio czy bezpośrednio, mocno tego pożałuje.

— Pan chyba ma źle w głowie — odrzekł żandarm.

— Pan wybacz, ale protestuję przeciwko takim podejrzaniom oświadczył pastor.

— Niech panowie się tak nie unoszą — mruknął Euglen Eis - Chcę tylko, abyście poczuli się odpowiedzialni za to, co czynią wasi synowie.

— Nasi synowie — pastor Bachus spojrzał urażony. — A cóż oni takiego robią — uczą się! Siedzą w swoich pokojach, nad książkami. Czytają *Mein Kampf* Hitlera, widziałem u nich także , Volkischer

Beobachter . Jeszcze nigdy nie spędzali tak pracowicie wakacji. Stwierdzam to z radością jako ojciec.

Żandarm mógł to również stwierdzić z radością. — A co się tyczy tak zwanych znaków czasu, jestem przekonany, że oni je dostrzegli!

I faktycznie dostrzegli. Ich umysły były jasne, ich serca były gwałtownie i przy minimum wysiłku osiągnęły maksimum efektów.

Wielkie spotkanie SA w czwartek wykurzyli niemal dosłownie: wystarczyły dwie świece dymne i ampulka gazu łzawiącego pochodzące z wciąż jeszcze bogatych zasobów nielegalnych obrońców ojczyzny. Mieli na nie nawet pokwitowanie, na którym drukowanymi literami było wypisane: Dla naszej SA .

Ludzie z SA kaszlali, pluli i płakali. Łzawiąc pchali się do wyjścia. I przynajmniej na kilka minut SA w Maulen była rozwiązana.

Tego samego dnia wieczorem ludzie z SA napadli na Jabłońskiego, który szedł przez wieś, i zbili go. Jakub leżał na drodze jak worek z zabitym zwierzęciem.

Tego samego wieczoru dwaj pijani członkowie SA gonili Marię. Próbowali ją przewrócić na ziemię i zaciągnąć do rowu. Ale Maria broniła się rękami i nogami: pluła, drapała, gryzła, aż wreszcie wyrwała się napastnikom i uciekła z poszarpaną odzieżą.

Tego samego wieczoru wybito szybę w kościele. A na biurku żandarma wylądował kamień wielkości pięści. Nauczyciel Vetter schronił się przed SA-manami do lasu Materny. Spłonęła stodoła Ignaza Uschkurata.

— Teraz zrobimy tu porządek! — wołał Eugen Eis.

Dla niego było to tylko wyrównanie rachunku. Albowiem jego zdaniem SA została sprowokowana w najbardziej podły sposób; kilku kolegów musiało się nawet leczyć. Winnym tego był niewątpliwie Jakub Jabłoński. Maria natomiast chodziła rzekomo po wsi w wyzywający sposób, prowokując mężczyzn.

Dalej, to nieprawda, że szyba w kościele została wybita — ona tylko pękła; przypuszczalnie z powodu wpływów atmosferycznych. Również kamień na biurku żandarma można było bez trudu wytłumaczyć — tam mianowicie zawsze leżały kamienie; Klinger przyciskał nimi dokumenty. A co się tyczy pożaru stodoły Uschkurata, to była ona ubezpieczona i to na wysoką sumę; Uschkurat zrobił na tym niezły interes.

Johannes Eichler w tych decydujących godzinach schronił się w idyllę

rodziną — grał z żoną w człowieku nie irytuj się . Wszyscy odczuli to jako godne pożalowania.

Delegacja szacownych obywateli Maulen przybyła do niego pod przewodnictwem Ignaza Uschkurata. — Czy to wszystko, co się ostatnio wydarzyło, jest istotnie po twojej myśli? Czy chcesz za to ponosić odpowiedzialność?

Eichler stał jak dąb w letni poranek: potężny i ulistniony. Miał przy tym uczucie, że w jego pień uderza siekiera. — Nie — powiedział — to nie jest po mojej myśli.

— Ale to się dzieje w twoim imieniu!

Gwiazdy najwidoczniej były w niekorzystnej konstelacji. Noc nad Mazurami była jasna. Domy wyglądały jak śpiące zwierzęta.

Możliwe, że na brzegu jeziora czatował Topich. Kobiety wierciły się niespokojnie w swoich łózkach, czekając na mężów. I wiedziały, że oni nie przyjdą. Zajmowały ich sprawy rzekomo wyższej rangi.

— Teraz musi nastąpić coś decydującego! — zażądał Uschkurat jako przywódca delegacji.

Johannes Eichler stał zamyślony. Zebrani patrzyli na niego w pełnym szacunku milczeniu. Byli przekonani, że ich wódz planuje coś wielkiego. I usłyszeli, jak Eichler pełnym głosem powiedział:

— Zdaje mi się, że to nieuniknione. Muszę sam pójść najniebezpieczniejszą z dróg. Drogą do Alfonsa Materny.

— Materna — powiedział Johannes Eichler dobitnie, ale zarazem pojednawczo — przyszedłem zaapelować do twojego sumienia.

— Ja nie mam sumienia — odparł Materna — a w każdym razie takiego, z którym mógłbyś coś zrobić.

Stali naprzeciw siebie, długo po północy, w dużej izbie domu Materny. Eichler w mundurze partyjnym, Materna w nocnej koszuli. Obaj starali się uśmiechać.

— Czy uważasz mnie za łajdaka? — zapytał Eichler.

Tak — odpowiedział Materna wprost. — Oczywiście patriotycznego łajdaka, jeśli ma cię do uspokoić.

— Materna — rzekł Eichler z wysiłkiem — przychodzę do ciebie z prośbą, co wcale nie jest dla mnie łatwe. Proponuję ci zawarcie pokoju, czegoś w rodzaju zawieszenia broni.

Teraz Materna już się nie uśmiechał. Jego twarz stała się bez wyrazu. — Czy to już koniec z tobą, Eichler? Czy wciąż jeszcze nie widzisz, kto jest twoim prawdziwym grabarzem? Czy nie czujesz że on

pragnie wszystkiego, co ty masz, a także tego, co ja posiadam? On wie, że nadeszła godzina wilków. Mam na myśli Eugena Eisa.

— To nie może być prawda, Materna.

— W tym miejscu, dokładnie tu, gdzie ty teraz stoisz, przed kilkoma dniami Eugen Eis zaproponował mi wspólne działanie — przeciwko tobie. Aż zostaniesz załatwiony!

— Materna — powiedział Eichler — wiesz, że ci we wszystkim ufam. Jesteś szcwanym lisem. Ale przecież nie jesteś kłamcą. Nie wierzę, żebyś teraz kłamał.

— Nie — rzekł Materna ze smutkiem.

Tym samym nieszczęście się dopełniło. Eichler pobiegł z powrotem do wsi, jak rozdrażniony byk. Był czerwony jak burak i wrzeszczał na Eugena Eisa.

— Jesteś świnia — krzyczał Johannes Eichler — nędzna, podła, obrzydliwa świnia!

— Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

— Pozbawię cię wszystkich stanowisk!

— Nie zrobisz tego. Nie możesz sobie na to pozwolić po tym Wszystkim, co dla ciebie uczyniłem.

- To jest jak cios w plecy — powiedział Johannes Eichler głośno.

— Oszczędźmy sobie tego gadania. Obaj przecież wiemy dobrze, O to chodzi. — Eugen Eis usiadł na krześle Eichlera i wyciągnął nogi.

Pod tym względem dużo się od ciebie nauczyłem.

— Załatwię cię jak wściekłego psa!

— Zdaje się, że masz cholernie złą pamięć. — Eugen Eis obserwował bacznie, lekko mrużąc oczy, każdy ruch Eichlera. — Czy nie pamiętasz już swojej pierwszej żony? Utopiła się niemal na moich oczach, w mleczarni, w kadzi z mlekiem. Zgodnie z twoim życzeniem. Czy mam ci także przypomnieć syna Materny, który — również całkowicie po twojej myśli — został trafiony przez trzy granaty?

Johannes Eichler wrzasnął jak zwierzę. Jego wyblakła twarz stała się szara jak wosk, pokryta czerwonymi plamami jak w gorączce. Ręce wpiły się mocno w krawędź stołu. Pochylił się w stronę Eisa i powiedział:

— Teraz jest mi wszystko jedno, z jednym wyjątkiem. A jest to moja pozycja tu, w Maulen. Możesz o mnie mówić, co zechcesz. Ale jeśli spróbujesz to udowodnić, wówczas koniec z tobą. Znasz mnie! W decydujących chwilach nie cofam się przed niczym. Jako dygnitarz i ortsruppenleiter z miejsca pozbawię cię wszystkich stanowisk.

— Nie! — zawołał Eugen Eis. Policzki mu drżały. Pochylił się,

gotów do skoku. Wsunął przy tym rękę do tylnej kieszeni spodni, tam, gdzie znajdował się jego pistolet. — Nie odważysz się!

— Odważę się, bo nie mam już nic do stracenia. Odbiorę ci dowództwo SA. Wyrzucę cię z partii. Odbiorę ci wszelkie pełnomocnictwa. Wyrzucę cię z mojej mleczarni. Natychmiast opuścisz Maulen. Dam ci kopniaka w dupę! I to z rozkoszą!

W tym czasie przed domem stało dwóch wiernych sympatyków partii. Tupali nogami i patrzyli w górę, w okno, które było widoczne od ulicy. Drugiego okna od podwórza nie widzieli.

Później mieli oni zostać ważnymi świadkami. Mogli zeznać, że widzieli cienie Eichlera i Eisa. Obaj zdawali się rozmawiać ze sobą, energicznie gestykulując.

Jednym ze świadków był Grabowski. Słuchał w napięciu, kiedy głosy za domem stały się donośne. Ale niewiele słów słyszał wyraźnie. Dotarł do niego na przykład okrzyk Eichlera: Ta świnia! Ale mógł on równie dobrze powiedzieć: Ta wstrętna świnia! Także sformułowanie: To jest jak cios w plecy zostało udowodnione.

A potem padły strzały — jeden po drugim. Zadzźwięczały szyby, rozległ się krzyk i coś ciężkiego opadło na podłogę. Być może było to krzesło — zeznali później obaj świadkowie. Nikt nie mógł dokładnie powiedzieć, ile strzałów padło; może sześć, może dziesięć, może dwanaście. Grabowski z towarzyszem wpadli do domu.

Widok, jaki ukazał się ich oczom, był przerażający. Eichler leżał zastrzelony na swoim biurku. Eugen Eis stał pośrodku pokoju jak skamieniały. Z jego czoła sączyła się krew. Powiedział: — Jakaś świnia do nas strzeliła!

Wskazał przy tym na rozbite drugie okno. To okno, które wychodziło na podwórko. Trzęsąc się zawołał: — To był podstępny zamach., Chodziło o nas obu. I nawet się domyślania kto w tym maczał palec.

Tuż przed świtem żandarm Klinger wszedł na podwórze Materny.

— Potrzebuję się wyspać — powiedział Alfons ziewając. - Nie lubię, żeby mi zakłócano sen. Czy zezwoli mi pan na to?

— Nie dzisiaj.

— Wygląda pan na zmęczonego — powiedział Alfons Materna. — Każda bliskość poranka doprowadza sen w pobliże śmierci. Jest pora, kiedy umiera najwięcej ludzi — wszyscy ci, którzy są chorzy; zmęczeni życiem albo ranni.

— Jest to i moja pora — powiedział żandarm.

Opadł na krzesło i poprosił o szklankę wody. Potem oświadczył, że chce rozmawiać nie tylko z Materną, ale i z Jabłońskim. Wkrótce potem obaj siedzieli przed nim.

— Co robiliście tej nocy? — zapytał żandarm.

— Ja spałem — odpowiedział Materna.

— I ja spałem — odpowiedział Jabłoński. — Po tym, jak mnie pobito. Napadło na mnie co najmniej pięciu mężczyzn. O dwóch za wiele. Tylko dlatego mnie pokonali.

— I teraz pragniecie zemsty? — zapytał żandarm.

Jakub Jabłoński wyszczerzył zęby: — Przy najbliższej okazji zabiorę się do tych chłopaków.

— Musiało się zdarzyć coś niezwykłego, panie Klinger. — Alfons Materna zrobił się niespokojny jak owczarek, który zwęszył wilka. — Inaczej by pan tu nie przyszedł o tej porze.

— A więc spaliście — powiedział żandarm zamyślony.

— Co się stało?

— Dziś w nocy Johannes Eichler został zastrzelony.

Klinger sięgnął po szklankę wody, która stała przed nim, i wypił do dna. Obserwował przy tym Maternę i Jabłońskiego. Widział na ich twarzach przerażenie, może także zaskoczenie, może zdumienie — były to reakcje, z którymi niewiele dało się zrobić. Nic, czego można by się uczyć.

Żandarm odstawił szklankę i zobaczył, że Materna i Jabłoński patrzyli na siebie, wprawdzie ostrożnie, ale wyraźnie pytającym wzrokiem. I dalej żandarmowi zdawało się, że widzi w ich oczach zrozumienie i porozumienie.

— Tak to jest — powiedział żandarm. — Dwaj duchowi bracia, czy tak? Każdy z was mógłby uważać drugiego za zdolnego do popełnienia tego czynu, co? Ale kto to był naprawdę?

— Dlaczego nie ja? — rzekł Jabłoński niemal wesoło. — Pobito mnie dotkliwie. Czy to nie wystarczający powód, aby zastrzelić miejscowego twórcę tych metod przemocy?

— Nie mniej przekonujący mógłby być mój argument — oświadczył Alfons Materna. — Ci dranie bowiem chcieli zgwałcić Marię. Kobietę, którą zamierzam poślubić.

— Całkiem prawdopodobne, że to ja sięgnąłem po rewolwer — powiedział Jakub.

— A może to był ten karabin? — Materna gotów był dostarczyć wszelkich materiałów dowodowych.

— Do prostej roboty ja się najlepiej nadaję. — Jabłoński wyszczerzył zęby. — Czy chce mnie pan aresztować, panie żandarmie?

— To by wam odpowiadało! — powiedział Klinger.

— Ale pan nam gotów przypisać tego rodzaju czyn?

— Bez wątpienia. Wam, a także jeszcze paru innym we wsi. Jedno wszakże mnie przy tym dziwi. Jeśli już coś takiego się zdarzyło, dlaczego tylko Eichler musi gryźć ziemię? Dlaczego również nie Eis? Albo właśnie Eis przede wszystkim?

— Moje uznanie — powiedział Materna. — Tu tkwi sedno. Jeśli to pana uspokoi: jestem absolutnie pewien, że i na niego przyjdzie kryska.

— To mnie uspokaja. Tylko przykro mi, że nie będę mógł być przy tym.

— Chyba nie zamierza nas pan opuścić, panie Klinger?

— Muszę. Zostałem awansowany. Wczoraj dostałem przeniesienie, mianowicie do Olsztyna. Tam będę mógł dalej przesiadywać przy biurku.

Będzie nam pana brakowało. — Materna wyjrzał przez okno, gdzie nad horyzontem przesuwało się bladoczerwone poranne słońce.

— Do diabła! — zawołał żandarm. — To piekielnie nudna okolica! Ale czasem czułem się tu szczęśliwy. Jak nigdzie indziej.

— Komu pan to mówi! — wyznał Alfons Materna.

— Ale zanim opuszczę Maulen, moją ostatnią czynnością urzędową będzie ostrzeżenie was, abyście nie tracili głów. Myślę, że zrobicie z nich jeszcze dobry użytek.

Poranne niebo płonęło teraz jak ogień.

Śmierć Johanesa Eichlera wstrząsnęła całym Maulen i okolicą. Szczególnie wstrząśnięty był Eugen Eis.

Jeszcze nad grobem — a był to jeden z najwspanialszych pogrzebów, jakie wieś kiedykolwiek widziała — Eis poprzysiągł, że wytropi bezlitośnie morderców swego przyjaciela, przywódcy i zaufanego towarzysza, i odda w ręce sprawiedliwości. — Daję ci na to słowo honoru, drogi Johannesie!

Ale śledztwo przeciągało się i prowadziło donikąd. Ekspert z policji kryminalnej z Olsztyna, a potem jeszcze jeden, z Królewca, nie osiągnęli żadnego zadowalającego rezultatu.

Zrzucano to niepowodzenie na żandarma Klingera. Uznano, że jego intensywne poszukiwania i ich pogmatwane pierwsze wyniki okazały się przeszkodą. Nie tylko hamowały spodziewany postęp, ale także kierowały prowadzących śledztwo w nadzwyczaj niebezpieczną stronę.

Albowiem żandarm wpadł na pomysł, że podejrzana jest SA.

Udało mu się nawet wystraszyć dwóch bojowników partyjnych, którzy na czas popełnienia przestępstwa nie mieli niepodważalnego alibi. Sam Eugen Eis był podejrzany o to, że strzelał do Eichlera.

Uczestniczący w śledztwie zaufani funkcjonariusze partyjni wili się jak piskorze. Mówili żandarmowi: — Wasza argumentacja jest może sama w sobie słuszna, ale w końcu nie jesteśmy tu po to, aby niszczyć gniazdo os.

Klinger jednak pozostał twardy: — Tu nie chodzi o polityczną zoologię, tylko o prawo i sprawiedliwość.

Wyznaczeni urzędnicy bronili się. Nie byli oni zdeklarowanymi nazistami, ale rozumieli interes Rzeszy, od której w końcu otrzymywali pensję: — Tylko żadnych energicznych działań! — wołali uspokajająco.

— Wyniki mojego śledztwa są absolutnie bez zarzutu — zapewniał żandarm.

Podejrzany Eugen Eis nie stracił przez to swej stanowczości.

— Będę strzegł spuścizny po moim drogim przyjacielu Eichlerze i pomnażał ją! — zapewniał.

I tak też się stało.

A stało się to owego dnia, kiedy Eugen Eis, obecnie dygnitarz i ortsguppenleiter Maulen, został poproszony o dostarczenie pomocy urzędniczej okręgowi Giżycko. Trzeba było wziąć do aresztu prewencyjnego pewnego Żyda.

Żyd ów wywołał u towarzyszy partyjnych gniew — po części przez wymowne milczenie i znaczące chrząkanie, jak również przez swój arogancki uśmiech, powtarzający się wielokrotnie. W końcu ten podczłowiek próbował się uchylić od dobrowolnej zbiórki, aż wreszcie gdzieś zniknął.

Jego nazwisko: Siegfried Grienspan.

— Bardzo ciężki poród — powiedział Siegfried Grienspan, wycierając lepiące się ręce w lniany ręcznik. — Cielak wciąż nie chce przyjść na świat.

— Nie da rady czekać — rzekł Alfons Materna niecierpliwie. - Nie możesz tu dłużej pozostać. Twój plecak jest gotowy.

-- Najpierw cielak — powiedział Grienspan.

— Siegfried — odezwał się Materna z rosnącym niepokojem — ja żyję na tym świecie nie tylko jako hodowca bydła.

Usiedli na wiązce słomy. Materna wyciągnął z kieszeni spodni butelkę i podał Grienspanowi. Ten nie przyjął jej. Materna miał zle

przecucie w związku z Grienspanem, w związku z jałówką również On powinien być już dawno w drodze do granicy, ona zaś już od kilku godzin powinna się była ocielić.

— Jeśli cię schwytają — zapytał Materna — co z tobą zrobią?

— Skąd mogę wiedzieć? — Grienspan patrzył przed siebie, uśmiechając się łagodnie. — Być może zechcą ze mną porozmawiać. Na swój sposób.

— W takich czasach — powiedział Materna zamyślony — kiedy wszyscy się organizują, musimy i my stworzyć organizację. Może coś w rodzaju systemu pocztowego, jak w średniowieczu?

— Wcale niezła myśl — powiedział Grienspan. — A gdybyś potrzebował pieniędzy na takie przedsięwzięcie, to Hermann dostał polecenie, aby wypłacić ci każdą potrzebną sumę z mojego interesu. Każdą kwotę — nie pytając, na co ci jest potrzebna.

— Załatwione — powiedział Materna. — A więc przedsiębiorstwo transportowe zostało założone, ty zaś jesteś pierwszym pasażerem, miejmy nadzieję, że do lepszego świata.

Kłęczeli obaj przy jałówce imieniem Emmy, która wciąż nie chciała się ocielić. Cierpiące zwierzę patrzyło na obu mężczyzn śmiertelnie zmęczonym, smutnym wzrokiem. Grienspan pewnymi, sprężystymi ruchami masował drżące boki jęczącej krowy.

— Takie zwierzę — powiedział Materna — ma dość proste życie: je, trawi, daje mleko i robi placki, do tego śpi. Daje też parę cieląt, a potem śmierć.

— Są również ludzie, którzy żyją niemal tak samo — powiedział Grienspan. I wystarcza im ich smutne życie, bo nawet jeśli się ich doprowadzi do zabójstwa, to znaczy dla nich tyle samo co krowie łąjno.

Materna znów się napisze swojej butelki. Powiedział zamyślony:

— Nie potrzeba, zdaje się, zbyt wiele, aby człowieka zabić.

— A już zupełnie nic, jeśli morderca sądzi, że spełnia dobry uczynek, na przykład służy sprawiedliwości albo broni ojczyzny. To przerażające, jak wiele jest przekonujących powodów, aby dokonywać niecných czynów.

— Tej nocy, kiedy Eichler został zastrzelony — powiedział Materna — żandarm sądził, że mógł to uczynić jeden z nas, Jakub albo ja. I wiesz co? Każdy z nas przypisywał ów czyn drugiemu. To mnie niepokoi.

Siegfried Grienspan potrząsnął głową. - Są czasy, w których

morderstwo pleni się jak chwast. Ale ten, kto zna chwasty, wie także, jak wyglądają kwiaty.

— Jesteś poetą, Siegfried — powiedział Materna. — Ale już najwyższy czas, żebyś zniknął.

Na drodze zaszczekały psy Jabłońskiego. Alfons nasłuchiwał przez chwilę, potem spojrzał na Grienspana: ten opuścił głowę; masował jakby mechanicznie leżące przed nim zwierzę. Materna zakorkował butelkę i spojrzał na drzwi obory.

Stanął w nich Jakub Jabłoński. Jego twarz była biała. Powiedział:

— Przyszła SA. Co najmniej trzydziestu ludzi. Eugen Eis na czele. Otoczyli obejście.

— Wyjdę do nich — powiedział Siegfried Grienspan.

— Nie ma mowy! — Alfons Materna wyprostował się zdecydowany.

— Jesteś tu pilnie potrzebny. Dopilnuj, aby krowa się ocieliła. Resztę zostaw mnie.

— Poszczuć ich psami? — zapytał Jabłoński.

— W żadnym razie. Powiedz im, że ich zapraszam.

Eugen Eis, wielki i groźny, stanął przed Materną. Spojrzał na niego jak kot na mysz.

— Nie ze mną takie manewry — powiedział. — Nie próbuj osłaniać tego Żyda.

— Za kogo ty mnie uważasz? — odparł Materna, szczerząc zęby.

— Czy nie wystarczy ci, że mojego najlepszego buhaja nazwałem Hermannem, i to nie na cześć mojego syna, ale naszego wielkiego Göringa, pierwszego paladyna Führera? Chyba to wymownie świadczy, że stoję mocno na gruncie obecnego światopoglądu.

— Oszczędź mi twoich tanich żartów — powiedział Eis władczo. — Teraz jesteś w pułapce.

— Czy istotnie uważasz mnie za takiego głupca? — Alfons uśmiechnął się, jakby był mocno ubawiony. Czyż już zapomniał, że jestem dla ciebie w pewnym sensie ową słynną kurą, która znosi złote jaja? Czy też wiano Brigitte jest ci całkiem obojętne? Jeśli zechcę, może ona stać się tak zwaną dobrą partią.

Tu Eugen Eis nastawił uszu. Zdawało mu się, że słyszy nowe, nieznane jeszcze tony. Zapytał przeciągle:

— Co to znaczy: jeśli zechcesz?

— Dokładnie to, co przypuszczasz.

- To nie jest takie proste — powiedział Eugen Eis wzburzony, —

Jest przecież jeszcze Maria. Ona stoi między nami. Ona musi zniknąć
Tak szybko, jak to tylko możliwe.

— Zgoda — powiedział Materna.

Eugen Eis próbował natychmiast się zabezpieczyć. — Czy to
znaczy, że teraz jesteś gotów ustanowić swoją córkę główną spad-
kobierczynią? Czy tym samym również nasz syn będzie miał prawo
do spadku?

Materna przytaknął. — Możemy to pisemnie ustalić i uwierzytelnić
notarialnie. Brigitte dziedziczy połowę całego majątku. Gotów jestem
także do pewnych finansowych świadczeń awansem. Daję ci na to
moje słowo.

Eugen Eis wyglądał na zadowolonego. — Wreszcie nabrałeś rozsąd-
ku. Już najwyższy czas. Jeśli o mnie chodzi, może się teraz rozpocząć
rodzina idylla.

— Chyba nie sądzisz, Eis, że ja robię te wszystkie ustępstwa
z czystej sympatii?

Eugen zaprzeczył ruchem ręki. — Wiem, że w twoich oczach jestem
złym człowiekiem.

— Rzygać się chce na twój widok — poprawił Materna uprzejmie.

— Nie jestem drobiazgowy. Będziesz miał w przyszłości spokój,
gwarantuję ci to.

— Nawet wieczny spokój, co? — Materna zatarł ręce. — Oszczędź
sobie jednak takich wysiłków — nie jestem Eichlerem; ja strzelam
szybciej i zawsze trafiam.

— Nie stworzę ci do tego okazji.

— Poczekajmy — powiedział Materna sucho. — W każdym razie
chciałbym ci zwrócić uwagę, żebyś się nie spodziewał ode mnie
prezentów. Obiecany spadek to wysoka cena. Oczywiście są za to
odpowiednie ustępstwa z twojej strony. Oczekuję od ciebie, że pomożesz
mi odstawić Marię bezpiecznie do Polski.

— Czemu nie? Najważniejsze, żeby ona stąd zniknęła.

— A więc dogadaliśmy się. Maria zostanie odstawiona przez ciebie
i twoich ludzi do granicy. To tylko parę kilometrów.

— Co? Żądasz, abym ja osobiście...?

— Ty i nikt inny. Poręczysz mi, że Maria dotrze do Polski
i że włos jej z głowy nie spadnie. A jak cię znam, z łatwością
wytlumaczysz swoim ludziom, że chodzi tu o czyn patriotyczny.
Możesz to określić jako wydalenie za granicę obcych rasowo i
narodowościowo elementów.

— To leży w granicach moich możliwości — wykrztusił wreszcie

Eis z trudem. — Dlatego nie mówię nie . A kiedy ta akcja ma nastąpić?

— Jeszcze dziś w nocy.

— To świetnie! — Eugen Eis zawarł ten pakt, bo obiecywał sobie po nim znaczne korzyści.

— Chyba nie oczekujesz ode mnie, że ci bez zastrzeżeń powierzę Marię? Konieczna jest tu osoba towarzysząca, do której mam zaufanie.

— Nie! — Eis natychmiast się zorientował, co to żądanie oznaczało: transport jeszcze jednej osoby na wolność — Siegfrieda Grienspana. W dodatku pod ochroną SA. — Nie możesz tego ode mnie żądać!

— To jest mój warunek. Jak już powiedziałem: inaczej nic ci nie dam!

— A jeśli odmówię?

— Wówczas Brigitte nie dostanie ode mnie ani feniga. Chcę wiedzieć, że Maria i jej towarzysz są bezpieczni. Dopiero wówczas zrobisz dobrą partię.

— A więc zgoda! — zawołał Eis wzburzony. — Dziś w nocy, najpóźniej za trzy godziny, Maria i jej towarzysz zostaną przetransportowani za granicę. Ale potem ja będę inkasował!

— Cielak się urodził — powiedział Grienspan.—Jest silny i żwawy.

— Podeszedł do kadzi z wodą, aby umyć ręce. — Krowa też całkiem dobrze zniosła ten skomplikowany poród.

— Dziękuję ci, Siegfried.

— To ja jestem twoim dłużnikiem, Alfons. Słyszałem twoją rozmowę z Eisem. Czy cena, jaką chcesz zapłacić, nie jest za wysoka?

— Nie ma ceny zbyt wysokiej za życie ludzkie. A poza tym ja wcale nie płacę, Siegfried, ja tylko inwestuję. Myślę przy tym również o naszym punkcie kontaktowym. Czy jesteś gotów do transportu? —

— A co Maria na to powie?

— Nic. Ona przecież nie mówi — rzekł Materna ciężko. — Ale wiem, że mnie zrozumie.

— Przyszła już pora, Mario — powiedział Materna i wskazał na walizkę i torbę dziewczyny. Już od paru dni stały przygotowane w kącie jej pokoju.

Maria skinęła głową. Jej oczy były ciemne jak woda w leśnym stawie. Ale się uśmiechnęła, jak gdyby chciała mu dodać odwagi i siły.

Materna wyciągnął ku niej ręce; a ona położyła na nich swoje dłonie. Popatrzyli na siebie i przypomnieli sobie ową godzinę, kiedy się po raz pierwszy spotkali: on, wówczas pogodny mężczyzna, i ona, nieśmiałe dziecko o dużych oczach, w których malował się strach, dopóki nie przekonała się, jaki Materna jest naprawdę — mianowicie człowiekiem, który kocha bliźnich. Od tamtej chwili zaczęła żyć, aż do dziś.

W latach, które upłynęły od tamtej pory, było wiele radości. Jej pierwszy uśmiech owego ranka lśnił przez cały dzień — i przez wiele tysięcy kolejnych dni.

— Dziękuję ci — powiedział Materna cicho.

Maria rozumiała wszystko, co mówił. Potrafiła czytać w jego oczach i tłumaczyć sobie najdrobniejsze drgnięcie jego ust.

Było tak już wówczas, kiedy po raz pierwszy ją objął. Było to w sadzie; zapowiadała się wówczas gorąca letnia noc. Ale dopiero pM lat później pochylił się nad nią — oczekiwany z uśmiechem. Przekonali się, co to jest szczęście.

— Wracaj do Polski — powiedział Materna czule. — Żyj tam spokojnie i wiedz, że nigdy cię nie zapomnę. Może wkrótce za tobą przyjadę. Albo zabiorę cię z powrotem tutaj. Należymy do siebie.

Rozumiała go. Oparła swoje czoło o jego. To było wszystko.

— Nadeszła godzina pożegnania — powiedział Grienspan i wziął swój plecak.

Alfons Materna napełnił kieliszki. ~- Może już jutro albo za tydzień, albo za miesiąc będę mógł być z wami. A nawet gdyby to miało trwać lata, jeśli ludzie cię ze sobą zwiążą tak jak my, to nigdy się nie opuszczą.

Maria stała spokojnie i uśmiechała się.

— Podjechali już ci dranie — zameldował Jabłoński:

Materna skinął głową. — Niech poczekają jeszcze parę minut.

Jakub wyszedł i zaczął na podwórzu organizować coś w rodzaju apelu — z ciężarówką i drużyną towarzyszącą. Skontrolował światła pojazdu, zapytał o zapas benzyny, obejrzał papiery. Eugen Eis kłął po cichu.

Materna natomiast ujął dwa napełnione kieliszki i podał Marii i Siegfriedowi. Następnie uniósł swój i powiedział: - Szczęśliwej podróży.

— Dlaczego nie pojedziesz z nami? zapytał Grienspan.

— Chyba żartujesz — odpowiedział Materna; na próżno starał się sprawiać wrażenie wesołego.

Grienspan wypił do dna i rzekł: — A więc po tamtej stronie granicy urzędę następny punkt kontaktowy.

— Tak, to ważne! — Materna jeszcze raz objął Marię. — Wszystko bowiem, co się teraz stanie, to dla mnie dopiero początek.

— A jak chcesz załatwić Eisa i spółkę?

— Ach, ci durnie nawet nie przeczuwają, co mam zamiar z nimi zrobić! Ale się zdziwią. Bo kiedy tylko transport zostanie przeprowadzony przez granicę, zdemaskuję ich jako elementy kryminalne.

— Rozumiem — powiedział Grienspan. — Kiedy tylko wrócą od granicy, będziesz ich miał w garści. Udowodnisz im, że brali udział w ucieszcze z Rzeszy Żydów i Polaków. A w razie konieczności każesz im wypić piwo, którego nawarzyli.

— Aż się udławia! — zapewnił Materna. — Ale teraz już was tu nie ma! Dopiero wówczas zacznie się moja przyjemność. Pragnę się nią wreszcie rozkoszować.

Ciężarówka odjechała. Obok kierowcy siedział Eugen Eis; patrzył tępo przed siebie. Dwaj ludzie z SA spoglądali ponuro i zdecydowanie przez opuszczoną tylną ścianę w pustkę, w ciemność nocy.

A pomiędzy nimi widoczna była biała chusteczka; Materna wiedział, że należy ona do Marii. Fruwała jak gołąb na silnym przeciwnym wietrze.

— Czy należy im współczuć, czy zazdrościć? — zapytał Jakub.

Stał obok Materny na podwórzu. Obaj patrzyli za znikającą ciężarówką, aż tylne światła zdawały się wirować w oddali jak robaczki świętojańskie w letnią noc. U ich stóp leżały gotowe do skoku psy.

— Następny transport do Polski przypuszczalnie nastąpi niebawem, jeśli będziesz się bał o nasze pieskie życie — powiedział Materna.

— Ja potrafię wyc jak stado wilków — zapewnił Jabłoński — choć jestem tylko biednym mazurskim kundlem.

— Nie ma na tym świecie tak dużo wilków, żeby potrafiły na dłuższą metę zagłuszyć swoim wyciem wołanie o wolność.

Jakub Jabłoński wyszczerzył zęby. Głaskał przy tym swoje psy.

Czy naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

— Muszę w to wierzyć — powiedział Materna. — Bo nie chcę się poddać. Za nic na świecie.

Część druga

ŚWIĘTO WILKÓW

1938 — 1939

Ogień nie tylko niszczy — on daje również ciepło.
A niejeden gotuje na nim swoją zupę.

— Stodoła się pali! — zawołał Jakub Jabłoński. Wpadł do izby, w której Materna, z pozoru wesoły, czytał *Völkischer Beobachter*, gazetę zwaną w tym domu pismem satyrycznym. Materna ledwie uniósł głowę. Powiedział tylko: — Nie musisz zaraz tak wrzeszczeć. Tu nie SA.

Jabłoński potrząsnął kanciastą głową. — Chyba mnie nie zrozumiałeś, Alfons. Powiedziałem, że nasza stodoła się pali!

Alfons spojrział z uśmiechem znad gazety. — Wiem o tym.

Jabłoński popatrzył na siedzącego spokojnie przyjaciela. — Wiesz o tym i nawet nie ruszysz tyłka?

— Czy ja jestem strażą pożarną? — Materna złożył powoli gazetę i wskazał krzesło naprzeciwko.

Jabłoński przycupnął na nim, gotów jednak każdej chwili się zerwać. Sięgnął po butelkę z wódką, którą Alfons mu podsunął. Pił łapczywie i dużo.

— Chyba cię diabeł opętał, Alfons.

— To ja zamierzam jego opętać, tylko on jeszcze o tym nie wie.

— Materna spojrział przy tym w okno, za którym płomień już buchał.

Ten płomień Jabłoński ujrzał jako pierwszy, w każdym razie tak sądził. Wracał ze wsi, dokąd był wezwany przez żandarma z powodu głupstwa: nie miał przy rowerze tylnego światła. Teraz już go nie brakowało — Jabłoński wymontował je z roweru żandarma i przyczepił do swojego.

Takie żarty były teraz w Maulen na porządku dziennym. Jakub jak zwykle cieszył się, że opowie o tym przyjacielowi, ale kiedy zbliżał się do zagrody, odniósł wrażenie, że coś mu przysłania widok, jak gdyby mgła nad stodołą. I to w pełni lata.

Pospieszył do przodu i zobaczył, że to nie była mgła, tylko chmura dymu. Pomyślał, że przypuszczalnie Materna znów pali stare ubrania,

niepotrzebne papiery albo niebezpieczne dokumenty. Takie rzeczy często się teraz zdarzały. Plac przeładunkowy życia ludzkiego i przedsiębiorstwo transportowe Materna miały już rangę niemalże dworca.

Chmury dymu były ciemnoczerwone, płomienie zaś wystrzelały z dachu stodoły.

— A nasi goście — zapytał Jabłoński wzmocniwszy się żytniówką. — Czy są bezpieczni?

— Znajdują się w schronie numer jeden — powiedział Materna. — W lesie pod srebrnymi świerkami.

— No, Bogu dzięki! — Jabłoński odetchnął z ulgą. — Przynajmniej to niebezpieczeństwo zostało usunięte. A co z ogniem?

Alfons Materna popatrzył obojętnie. — Bardzo by mi się przydała nowa stodoła — powiedział.

Jabłoński popatrzył zdumiony na przyjaciela. Łuna ognia w oknie oświetlała chytrze uśmiechniętą twarz. — Człowieku — odezwał się po dłuższej chwili Jabłoński — chciałbym mieć twoje nerwy.

— Ten pożar jest nie do ugaszenia — oświadczył Materna. — Stodoła spłonie; nie da się uratować. Zabezpieczenie innych budynków nie jest konieczne. Nie są zagrożone — odległość do płonącej stodoły jest zbyt duża. I nie ma wiatru.

— Ja na twoim miejscu, Alfons, nie byłbym taki spokojny. Wiem, że jesteś ubezpieczony na wysoką sumę, ale właśnie na tym możesz się potknąć.

— Myślisz, że będzie się mówiło, że to ja sam podpaliłem stodołę, aby zagarnąć pieniądze za ubezpieczenie?

— Oni niewątpliwie będą wtykać nosy w nasze pogorzelnisko, a potem powiedzą, że śmierdzi.

— Wcale mnie to nie martwi.

— Dlaczegoś taki pewny, Alfons?

— Bo coś wiem! — Materna odsunął na bok gazetę. Świat za oknem pograżył się teraz w jasno świecącej plamistej purpurze.

— W każdym razie założę się, że sam nie podpaliłeś stodoły?

— Chyba mnie nie posądzasz o coś takiego!

— W żadnym razie. Przecież byś mnie nie pominął. Poza tym to podpalenie — to fuszerka. My obaj urządzilibyśmy pożar pierwsza klasa.

— Jesteś niebezpieczny, przyjacielu. Ale wierz mi: ci podpalacze wcale nie są mi niemili. Oni raczej sprzyjają mojej odbudowie. Jestem też pewien, że przypała sobie przy tym swoje świńskie mordy.

Jabłoński nasłuchiwał. — Trąbka alarmowa! Za niespełna dziesięć minut nasi dzielni strażacy będą tutaj.

— Wtedy zaprezentujemy im widok, jakiego oczekują. Przykro by , mi było ich rozczarować.

Kiedy przybyła ochotnicza straż pożarna Maulen, stodoła Materny niemal doszczętnie spłonęła. Jeśli ci dzielni chłopcy nie spieszyli się zbytnio, to nie z braku poczucia obowiązku, lecz raczej z doświadczenia. Wiadomo, że przy płonącej stodole, zwłaszcza w pełni lata, niewiele jest do zrobienia.

— Znów przybywacie w samą porę! — zawołał Alfons Materna. — W sam raz, aby ugasić pragnienie!

— Ale przybyliśmy — oświadczył nowy komendant.

Był to jeden z sześciu synów Uschkurata, ponieważ zasłużony Speer miał zaszczyt walczyć w obronie ojczyzny. Żywił nawet nadzieję na wyższy stopień oficerski w piechocie. Wkrótce zostanie oficerem rezerwy! Maulen mogło jeszcze przez jakiś czas obejść się bez niego.

Syn Uschkurata gorliwie sprawował swój urząd. Kazał rozwinąć węża i uruchomić sikawkę. Potem rozkazał: — Włączyć pompę! — Umiał komenderować; odpowiadało mu to.

Potężny strumień wody opadał sycząc na wałący się stos żagwi. Pompa skrzypiała, a mężczyźni spoglądali wesoło na Jabłońskiego, który zbliżał się do nich z butelkami wódki i szklankami.

— Wyłączyć pompę! — rozkazał Uschkurat z przejęciem.

Podszedł do Alfonsa Materny, który stał w jego pobliżu. — Nie mam tu już nic do zrobienia. Kiedy tylko usłyszałem, że u ciebie pali się stodoła...

— Od kogo słyszałeś?

— Ktoś wołał: stodoła Materny się pali!

— Kto to był? Kto mógł wiedzieć, że to akurat pali się stodoła?

Syn Uschkurata myślał intensywnie. Nie zdawał sobie sprawy, że to właśnie on pomógł zastawić pułapkę. Powiedział tylko: — To rzeczywiście dziwne.

— Musiał to być jasnowidz — powiedział Materna. — Ktoś z szóstym zmysłem. Albo ktoś, kto był przy tym, kiedy moja stodoła została podpalona.

— Włączyć wodę! - rozkazał powtórnie Uschkurat. Wietrzył komplikacje. Wyglądało na to, że sądzi, iż przez energiczne działanie będzie mógł się ubezpieczyć.

Materna mierzyl wzrokiem obecnych: ciekawscy widzowie, pomocnicy, dzieciaki — zwyczajni gapie. Eugena Eisa, którego szukał, nie było.

Tylko Bruno Buttgerreit, nowy wiejski apostoł, przeciskał się przez tłum. Oznajmił głośno tonem skargi: — I to także jest znakiem od Pana, który stworzył niebo i ziemię. Albowiem Pan, tak jest napisane, ześle ogień na ludzi, którzy są grzeszni, aby ich zniszczyć!

Bruno Buttgerreit był solidnym szewcem. Siedział pilnie w swoim warsztacie blisko trzydzieści lat. Ale nagle, w ostatnich miesiącach, przyszło na niego olśnienie i od tej pory z zapalem wieścił koniec świata. I to akurat w czasie, kiedy proklamowano tysiącletnią Rzeszę.

— Głupi pleciuga — powiedział strażak ubawiony. Nie wpadł na to, że właśnie usłyszał tu antypaństwową mowę.

— Pamiętajcie o końcu! — wołał Buttgerreit. — On będzie straszny!

— Przeszkadzasz w pracy strażakom! — wykrzyknął komendant. — Skończ z tym głupim gadaniem!

— Zabierz go do domu — r powiedział Materna do Jabłońskiego. — Jeśli koniecznie chce zasłużyć na czapę, to nie na moim podwórku.

— Drzyjcie przed gniewem Pana! — zawołał Bruno Buttgerreit raz jeszcze, po czym dał się posłusznie wyprowadzić Jakubowi. Ten bowiem obiecał mu świeży salceson i wątrobiankę. A coś takiego umieli docenić na Mazurach nawet prorocy.

Gromada żądnych wrażeń gapiów rozpraszala się. Pomiędzy nich wkroczył spokojnie koń. Koń ten był powszechnie znany w Maulen i okolicy — nazywał się Adolf II, przypuszczalnie po swoim ojcu, ogierze z Burgundii. Jego właścicielem był baron Alarich von der Brocken — rotmistrz rezerwy, pan na Gross- i Klein-Siegwalde.

Komu tym razem doborą się do skóry? — zawołał baron śmiało.

--- To się dopiero okaże — powiedział Alfons Materna.

Baron, siedząc na swoim smukłym rumaku, wyciągnął ręce, jakby chciał je ogrzać nad ogniem. Adolf II sapał niechętnie. Von der Brocken poklepał siwka po karku i powiedział: — Tu strasznie śmierdzi.

— Nie rozpraszać uwagi! — zawołał komendant do swoich ludzi. Starał się pokazać, kto tu dowodzi. Baron był osobą szanowaną, ale nie należał do kierowniczych sił w partii i państwie.

Von der Brocken pochylił się nieco do przodu, w stronę Materny, i powiedział: — O ile pana znam, jest pan ubezpieczony.

— Doskonale ubezpieczony — potwierdził Materna uprzejmie.

Baron podniósł swoją płaską końską twarz, która była lekko zaczerwieniona, ale tylko dlatego, że padały na nią ostatnie płomienie. Tymczasem Adolf II grzebał z przyjemnością w piasku.

— Pan mnie zaciekawia, Materna— powiedział von der Brocken. - Wiele o panu słyszałem, ale chciałbym wiedzieć jeszcze więcej. Niech mi pan zrobi tę przyjemność i odwiedzi mnie w najbliższych dniach.

Siegwaldczyk, jak w skrócie barona nazywano, popatrzył przy tym ponad dogasającym ogniem. Na skraju pogorzeliska ukazał się mężczyzna. Posuwał się wolno do przodu, niczym czołg. Był to Eugen Eis.

— Heil! — zawołał baron i spał konia ostrogami. Siwek wyprostował się niechętnie, po czym ruszył kłusem.

Baron Alarich von der Brocken na Gross- i Klein-Siegwalde był typowym junkrem, a zatem zjawiskiem poniekąd przedpotopowym. Historia, powiadano, przeszła ponad nim. Mimo to żył sobie całkiem; nieźle. A ostatnio nawet w sposób rzucający się w oczy. Przez całe lata ograniczał się tylko do tego, aby zarządzać swoimi rozległymi dobrami i wciąż jeszcze okazałym majątkiem. Dysponował przy tym różnymi pożytecznymi stosunkami.

Tak więc był po imieniu z pułkownikiem Hindenburgiem, synem zmarłego prezydenta Rzeszy, poza tym miał order Pour le Merite, a Hermann Göring ustrzelił niejednego wspaniałego kozła w jego rewirze.

Alarich von der Brocken był również znany z tego, że od czasu do czasu oświadczał: Muszę zatelefonować do kolegi ministra Reichswehry, albo: Jeszcze dziś napiszę list do Reibiego, przy czym miał na myśli biskupa Rzeszy. Ciekaw jestem, co powie na to Rudolf. Rudolf - to znaczy Hess.

Wszystko razem nie było niczym złym, nazywano to ekstrawagancją. Ale ostatnio baron postanowił się włączyć. Na miejsce działania obrał sobie Maulen. Być może dla wygody, albowiem jego główna posiadłość, Gross-Siegwalde, była oddalona od wsi ledwie dziesięć minut drogi galopem. Nie był on tu szczególnie mile widzianym gościem, ale też nie odnoszono się do niego zbyt niechętnie. Przyjmowano go jak burzę letnią.

Materna spoglądał za odjeżdżającym na koniu baronem z pewną nadzieją. Powiedział do Jakuba: — Zdaje się, że lekkomyślnie nie dostrzegaliśmy dotychczas tego barona. Mam wrażenie, że on należy do nas.

— To niewykluczone - przyznał Jabłoński. — Ale przede wszystkim powinieneś się zająć bliższymi krewnymi. Ten Eugen Eis przyssał się do ciebie jak pijawka

Eugen Eis wskazał z zadowoleniem na ostatnie ślady pożaru. - To powinno ci dać do myślenia — to zrządzenie losu.

— Nie wysilaj się — powiedział Materna. — Ja i bez tego pożaru wiem, co o tobie myśleć.

Stali z boku, w pobliżu stajni; Eis zaprowadził tam Maternę, oświadczając przy tym: — Powinieneś wreszcie zrozumieć, że na dłuższą metę nie pozwolę się bezkarnie traktować jak głupca.

Tego rodzaju oświadczenia były między nimi w zwyczaju już od lat, wówczas kiedy nikt inny ich nie słuchał. Eis to nie był Eichler. On gardził pięknymi słówkami.

Od kilku lat córka Materny Brigitte była panią Eis i dziedziczką połowy majątku ojca.

— Przyszła pora na decyzję — stwierdził Eugen Eis.

— Jeszcze żyję — powiedział Alfons wesoło. — A póki żyję, nikt nie może po mnie dziedziczyć.

— Na tym tutaj — rzekł Eis, wskazując ręką pogorzeliśko — skręcisz sobie kark.

Materna uśmiechnął się przed siebie. Wiadomo było, że Eis prze-transportował kiedyś przez granicę pewną Polkę i pewnego Żyda, z pomocą SA. Tego nie dało się wymazać. Poza tym Brigitte wówczas wcale nie spodziewała się dziecka — tylko tak twierdziła.

— Uważasz, że jesteś szczwany lis — powiedział Eugen Eis. — Twoim zdaniem cały narodowy socjalizm to brunatna zaraza, a nasz Führer to szalony malarzyna, ja zaś jestem jego wasalem. Czy tak?

— To bardzo łagodnie powiedziane.

— Jeśli w tej okolicy jest zdeklarowany wróg ludu — to właśnie ty, Materna! — Eis zatarł ręce. — Ale gdzieś w końcu istnieje pułapka, w którą lis się złapie. A tym razem ty się w niej znalazłeś! Z całą pewnością bowiem ty sam podłożyłeś ogień.

— Gdzie się podziały te piękne czasy — rzekł Materna — kiedy w Maulen żył jeszcze Johannes Eichler? Ten był przynajmniej drapieżnikiem. Ty natomiast zachowujesz się jak zdziczała ordynarna świnia prosto z chlewa.

— Nie wysilaj się, Materna. Ja stwierdzam tylko, że ten pożar cię załatwi. Potem będzie więzienie.

— A ty oczywiście masz alibi?

— Ja siedziałem w gospodzie imam na to co najmniej dziesięciu świadków.

Materna skinął głową. — A co będzie, jeśli potrafię udowodnić, kim naprawdę są podpalacze?

Eugen Eis roześmiał się. Wciąż jeszcze czuł, że jest górą. - Chcesz ze mnie wyciągnąć wyznanie? Nigdy ci się to nie uda.

— Brało w tym udział siedmiu ludzi — powiedział Materna spokojnie. — Dwóch stało na czatach, dwóch przenosiło materiał do podpalenia, dwóch podłożyło ogień. Jeden dyrygował. Wszyscy pod-

palacze należą do SA. Ci, którzy podpalili, byli to Anton Dermat i Felix Kuschke, zwany Bubi. Akcją kierował Fritz Fischer.

— Człowieku — powiedział Eugen Eis ochryplym głosem. — Skąd ty to wiesz?,

— Skąd wiem, to wiem! — Alfons Materna przyglądał się z zaciekawieniem przerażonemu Eisowi. — Czy wciąż jeszcze uważasz, że to ja upiekłem tu swoją pieczeń?

Eugen Eis udał się do swojej kwatery głównej w siedzibie Ortsgruppe NSDAP Maulen. Znajdowała się ona w nowym, wytwornym jak na miejscowe stosunki, budynku. Mieściła się tam administracja, pokój konferencyjny, pomieszczenie szkoleniowe, archiwum i biblioteka, kancelaria miejscowego dygnitarza z przedpokojem i właściwą centralą dowodzenia: gabinetem Eugena Eisa.

W gabinecie znajdował się Fritz Fischer, wódz SA. Siedział w najwygodniejszym fotelu, popijał alkohol i patrzył na swego zwierzchnika z radosną dumą. — No i jak się spisaliśmy? — zapytał i od razu sam sobie odpowiedział: — Wykonaliśmy robotę wzorowo. Tylko syczało! Nikt nam nie dorówna!

Eugen Eis opadł na fotel. Odebrał Fischerowi butelkę z wódką, aby samemu się napić.

— Czyście się kolejno przedstawiali Maternie, zanim przystąpiliście do pracy? — zawołał oskarżycielskim tonem. — Przecież on zna każdego z was. Wszystkich siedmiu!

Fritz Fischer spojrział zmieszany. Oznajmił: — W obejściu podczas przewidzianej akcji odwetowej znajdował się tylko Materna. Wszyscy inni byli nieobecni, jak wybadali szpiedzy. Materna siedział cały czas w swojej izbie. W otwartym oknie. Przy lampie, wyraźnie widoczny. Czytał gazetę. Cały czas był pilnowany przez naszych ludzi. Nie mógł nic widzieć.

— Ale on wszystko wie! Zna każdy szczegół! Zdarzyło się potężne świństwo!

Eugen Eis patrzył przed siebie. Najwidoczniej myślał intensywnie. Ale nie doszedł do zadowalającego wniosku. Wreszcie powiedział: — Ten Materna potrafi pójść naszej SA zaprowadzić na ławę oskarżonych.

— Musimy się więc bronić!

— A to oznacza w praktyce, że musimy jak najszybciej znaleźć kogoś, kto wybierze za nas kasztany z ognia — stwierdził Eis. - I wiem już, kto się do tego nadaje.

— Sądzę, że myślimy o tym samym — rzekł Fischer. — I nie powinniśmy się wahać przed złożeniem ofiary, chodzi tu bowiem o dobre imię partii. Jest tutaj ktoś i tak zbędny.

Eis skinął głową i powiedział: — Tylko w jaki sposób temu Maternie udało się zajrzeć nam w karty? Gdybym to wiedział, lepiej bym się czuł.

Rozwiązanie tej zagadki było proste. Goście przebywający w tym czasie w zagrodzie Materny wszystko widzieli i słyszeli. Byli to: były poseł do Reichstagu z ramienia KPD, który ostatnio pracował jako robotnik transportowy w Królewcu, niski, mrukliwy człowiek; następnie świecki kaznodzieja, jeden z badaczy Pisma Świętego — łagodny, dobronudny i pokorny; wreszcie radca stanu Erich Wollnau, członek SPD, przywódca związku zawodowego i kierownik socjalistycznych organizacji pomocniczych — człowiek żywotny, ruchliwy, niezmiernie optymistyczny.

Goście ci czekali u Materny na kolejny transport do Polski. Miał on nastąpić w ciągu najbliższych dni. Był to już czterdziesty ósmy transport. Ludzie przybywali w nocy i w nocy znikali. Dni spędzali najczęściej w ciemności.

Punktem zbornym numer jeden była stodoła Materny, a w niej. pomieszczenie w rodzaju piwnicy. Leżała tam słoma i stos kocy raz stała półka pełna produktów żywnościowych. Pomieszczenie miało dwa wejścia, ale nie miało światła. Rozmowy musiały być przytłumione. I zawsze ktoś stał na czatach.

Tak było również owego wieczoru, kiedy zbliżali się podpalacze. Zobaczył ich były poseł do Reichstagu. Był on przyzwyczajony do ciemności i miał szczególnie wyostrzony słuch. Ostrożnie zaalarmował swoich towarzyszy.

Radca stanu Wollnau przemknął pochylony pod okno i zawiadomił Maternę wyćwiczonym szeptem. Materna wysłuchał spokojnie, następnie zdecydował: — Nie przeciwdziałać, ale wszystko dokładnie obserwować i nadal mnie informować.

Tak też się stało. Badacz Pisma Świętego, wyćwiczony w zapamiętywaniu wersetów Biblii, starał się zapamiętać każde słowo, które docierało do niego od podpalaczy. Poseł do Reichstagu rejestrował

w pamięci każdy szczegół ich czynności. Otto Wollnau koordynował spostrzeżenia swoich towarzyszy i donosił Alfonsowi Maternie.

Tak więc, siedząc przy kominie i pozornie czytając, dowiedział się Materna następujących szczegółów: ogółem siedmiu ludzi — jeden z nich obserwuje Maternę, dwaj ubezpieczają, dwaj noszą materiał, dwaj podkładają ogień. Jednego z dwóch podpalaczy nazywają Anton , drugiego Bubi . Przywódca całej akcji reaguje na określenia sturmführer albo Fritz .

W ten sposób wszystko było jasne.

— Moje uznanie, przyjaciele — powiedział Alfons Materna do swoich gości , którzy zebrali się wokół niego w obozie przejściowym numer jeden. W schronie pod srebrnymi świerkami. — Zachowaliście się wspaniale.

— Czy dostaniemy teraz ordery? — zapytał były poseł do parlamentu.

— Bóg znów rozpostarł nad nami swą opiekuńczą rękę — oświadczył badacz Pisma Świętego.

— Nie widziałem jej — mruknął człowiek z partii komunistycznej;

— Panowie, trochę więcej tolerancji! — zawołał radca stanu Wollnau. — W naszej sytuacji powinniśmy się powstrzymać od wszelkich osobistych deklaracji.

Alfons Materna roześmiał się. — Myślę, że musicie sobie działać nawzajem na nerwy.

— Nie jest tak źle! — Były poseł wziął, z ręki Materny latarkę i skierował ją na swoich towarzyszy. — W jednym punkcie, najważniejszym, jesteśmy zgodni.

Po czym czwórka jakże różnych ludzi uśmiechnęła się przyjaźnie do siebie. Materna nie zatrzymywał się dłużej nad tym drobnym epizodem.

— Musimy przyspieszyć ten transport — powiedział. — Okoliczności zdają się być sprzyjające. Pożar ściągnie wszystkich do gospody, a wódka uśpi czujność. Jabłoński poprowadzi was do granicy. Przed świtem będziecie w Polsce.

— Mnie proszę z tego wyłączyć — powiedział Wollnau.

Ten powszechnie szanowany urzędnik państwowy miał na sobie chłopskie ubranie: buty w kształcie ogórka ze sznurowadłami powiązanymi w supły, niebieskie wygniecione lniane spodnie i kurtkę, która wyglądała jak nieudolnie przerobiony kaftan bezpieczeństwa; Pod tym nosił śnieżnobiałą koszulę — z zasobów, Materny.

— Czyżby się panu tak tu spodobało, że nie chce pan odejść?

— Z pewnością moja prośba o dalszą gościnę może brzmieć absurdalnie. — Głos Ericha Wollnaua brzmiał tak, jakby przewodniczył on poufnej konferencji. — Ale może się zdarzyć, panie Materna, że powstanie tu sytuacja, w której moja obecność może okazać się pożyteczna.

— Co pan ma na myśli? — zapytał Materna zdumiony. — Czyżby chciał pan grać rolę świadka? A może zamierza pan tylko być moim doradcą?

— Teraz nie ma czasu na dyskusję — powiedział poseł niespokojnie.

Badacz Pisma Świętego podniósł się i sięgnął po swoją teczkę.

Komunista założył plecak. Latarka Materny była nadal skierowana na Wollnaua.

Urzędnik patrzył na jej jasny blask. Powiedział niemal pospiesznie:

— Niech pan sobie myśli, co chce, ale ja nie mogę teraz tak po prostu opuścić Niemiec. Jeszcze nie.

— W porządku — zdecydował Materna po dłuższej przerwie. — Niech więc pan zostanie nadal moim gościem. Ale pod jednym warunkiem; nie poczyni pan żadnego kroku bez porozumienia się ze mną.

— Obiecuję to panu! — zapewnił radca stanu z wdzięcznością. — Daję na to słowo honoru.

— Mam nadzieję, że nie będę panu musiał o tym przypominać — powiedział Materna z pewnym odcieniem nieufności. — Ale teraz do roboty! Proszę, aby panowie udali się za mną.

Następnego dnia w południe na podwórku Materny zjawiała się mała dziewczynka — Sabine Gäbler. Córka obecnego żandarma w Maulen.

— Gość do ciebie, Jakub — zawołał Materna do wnętrza domu. Siedział na ławce obok drzwi, trzymał na kolanach blok i rysował na kartce prostokątne figury. Sabine podeszła bliżej, zaciekawiona. Usiadła obok Materny i patrzyła na jego nieudolne szkice. — Co to ma być?

— Jak wiesz, Sabine, moja stodoła się spaliła.

— Wiem, wczoraj, byłem przy tym. Ale nie chciałam przeszkadzać tobie ani Jakubowi. Mieliście pełne ręce roboty. Z ogniem i z waszymi gośćmi.

— Materna lekko się przestraszył. To dziecko z fryzurą w kucyki i z zadartym nosem było wszędzie tam, gdzie można było coś odkryć wdrapywała się na drzewa i zaglądała w najciemniejsze kąty. Nic nie uszło jej uwagi. — Ty dużo wiesz, prawda?

— Prawie wszystko — powiedział Sabine. - - Ale jeszcze nie wiem, co oznacza twój rysunek.

— Jest to wstępny projekt mojej nowej stodoły. — Materna rozmawiał z Sabine jak z dorosłym człowiekiem. Dziewczynka to doceniała. — Zbuduję ją ze wszystkimi szykanami: klepisko, magazyny, pomieszczenia na zboże i piwnice.

— A więc opłacało się, prawda? — Sabine przysunęła się bliżej Materny, aby lepiej widzieć. — Ten pożar to jest coś, tak mówi również mój ojciec. Tak uważa też Eugen Eis. Gadał i gadał do mojego ojca niemal godzinę. Był też przy tym ten Fischer.

Materna zwlekał ze stawianiem dalszych pytań. Z ulgą stwierdził, że zbliża się Jakub Jabłoński. W jego rękach to sprytnie dziecko było najpewniejsze.

— Witaj, mój pieseczku! — zawołał Jakub serdecznie. — Co słychać? — I rozpostarł szeroko ręce.

Sabine wybiegła mu naprzeciw. Przywarła do jego potężnych piersi, objęła go za szyję i wdrapała mu się na ręce. Jakub podniósł ją w górę. Dziewczynka piszczała z radości.

Alfons Materna obserwował tę scenę z zadowoleniem. Od kiedy do Maulen przybył owdowiały żandarm Gäbler ze swoją córką, mieli oni w Sabine silnego sojusznika — od chwili spotkania z Jakubem.

Owego dnia dziecko siedziało smutne i samotne na stopniu pomnika. W rękę trzymało lalkę bez głowy. Jabłoński, który akurat szedł do gospody, zaofiarował się, że zreperuje lalkę. Udało mu się i od tej chwili dziewczynka pokochała Jakuba całym sercem.

— Pokaż no się! — zawołał Jakub, trzymając ją przed sobą w wyciągniętych rękach, - Czyś się starannie uczesała?

- Zawsze to robię, zanim przyjdę do ciebie.

— A zęby?

— Myję je co wieczór, tak jak chcesz!

— A rano nie?

— Czy naprawdę tak trzeba? Ale jeśli koniecznie się upierasz...

Takie rozmowy na powitanie mogły trwać bez końca. Ojcowska miłość Jakuba, dotychczas tłumiona, znalazła wreszcie obiekt.

— Ta twoja Sabine — powiedział Alfons ostrożnie — to bystre dziecko. Ona wie nawet, że mieliśmy gości.

— Trzech albo czterech — powiedziała dziewczynka, przytulając się do Jakuba. Ale nikomu o tym nie mówiłam.

— A dlaczego nie??

— Co to kogo obchodzi?

Jakub uśmiechnął się i spojrzął z dumą na Alfonsa. Ale jego zatroskana twarz nie chciała się rozjaśnić.

— Sabine ma bardzo dobry słuch — zapewnił Jakub. — Potrafi odróżnić prawie wszystkie głosy ptaków.

— Czy słyszała także, co mówiono w pokoju jej ojca, kiedy byli tam Eis i Fischer?

— Ale to była rozmowa! — oczy Sabine załśniły jak kotu. — Jak wściekli szukali kogoś, kogo mogliby oskarżyć o podpalenie. I wreszcie znaleźli.

— Nie musisz nam o tym opowiadać — odezwał się pospiesznie Jakub. Po czym zwrócił się do Materny: — Nie chcę, aby ona...

— No już dobrze. Ale jeśli dziewczynka koniecznie chce nam coś powiedzieć — rzekł Materna od niechcena — to niech powie. Ja w każdym razie chętnie bym się dowiedział, kogo znaleźli.

— Grabowskiego! — powiedziała Sabine. — Kogóż by innego?

Rzucenie podejrzenia na Grabowskiego było wprost genialnym posunięciem. Kiedy stało się jasne, że nie uda się udowodnić winy Maternie, a w żadnym wypadku nie wolno było obciążyć tym SA, pomyślano o Grabowskim.

— To musiał być on! — twierdził Eis.

Fischer skinął głową. A żandarm Gäbler był niemal gotów dać się przekonać. — Nie byłoby to jego pierwsze podpalenie.

— Grabowski siedział już w więzieniu — opowiadał Fischer, - Gdzie tylko się pojawił, wybuchał pożar. W poprzednim okresie mogło to być jeszcze coś innego, ale teraz chodzi o własność społeczną. czyż nie tak?

Żandarm podjął śledztwo, bogato zaopatrzone we wskazówki. Rezultaty były następujące:

Grabowski nie miał alibi na czas podpalenia. Twierdził, że był wtedy pijany. Przypuszczalnie leżał gdzieś pod murem cmentarnym. — Ma pan na to świadków? — zapytał żandarm.

— A czy jest ktoś, kto zaświadczy coś przeciwnego? — zapytał Grabowski.

Żandarm szukał prawdy, którą miał nadzieję znaleźć. Zanotował nazwiska dwóch SA-manów, którzy wchodzili w grę jako świadkowie.

Byli to Anton Dermat i Felix Kusche — Bubi; obaj podsunięci przez Fritza Fischera, godni zaufania, wypróbowani ludzie, przewidywani do szybkiego awansu.

Anton i Bubi stawili się chętnie do dyspozycji.— A więc, panie żandarmie, co chce pan usłyszeć? — Następnie zeznali z całkowitą zgodnością: widzieli w tym czasie Grabowskiego, mniej więcej dziesięć albo dwadzieścia minut po dziewiątej.

— Aha! — powiedział żandarm. — A dokąd szedł? Czy w stronę domu Materny?

— Dokładnie tam!

— Czy niósł coś ze sobą? Cos, co by wyglądało jak kanister z benzyną albo inny środek łatwo palny?

— Tak jest!

W ten sposób dla żandarma sprawa stała się jasna. Wyraził swoim świadkom podziękowanie i uznanie, i oświadczył: — Aresztuję Grabowskiego!

Grabowski leżał, pochrapując, w wysokiej trawie na Psich Łąkach. Tu wytropiła go Sabine. Została wysłana, aby mu powiedzieć; - Materna czeka na ciebie, przygotował dzbanek wódki.

Ale dziewczynka stwierdziła, że z tym zapitym typem nie da sobie sama rady. Miała w tym względzie pewne doświadczenie, bo okolica gospody należała do jej ulubionych miejsc. Znała więc najróżniejszych pijaków.

Pobiegła zatem z powrotem do domu Materny i oznajmiła: — Leży pijany jak bela! Sama nie dam rady. Ale ty sobie poradzisz, Jakub.

Jakub wziął wiadro i poszedł. Sabine dreptała koło niego po łące. — Znasz się na rzeczy, pędraku — powiedział z czułością.

Grabowski leżał pod wierzbą. Jego zmęczone, nierówne chrapanie słyhać było już z odległości stu metrów. Wskazywało ono na potężną ilość spożytego alkoholu.

Sabine napełniła wiadro wodą z pobliskiego strumienia i przyniosła je. — Grabowski — powiedział Jakub, pochyliwszy się nad nim - musisz wstać!

Ale ten podkulił nogi jak jeź i przewrócił się na bok. Jakub podniósł wiadro z wodą i chlusnął Grabowskiemu na twarz.

Ten parsknął pospiesznie i zawołał: — Do diabła! — Podniósł się z trudem i popatrzył dokoła głupawym wzrokiem.

— Materna na ciebie czeka — oznajmił Jakub. — Przygotował wódkę.

— To brzmi w moich uszach jak muzyka — zachichotał Grabowski. Próbował się wyprostować, ale znów się przewrócił. Jabłońska ukląkł. Przerzucił sobie Grabowskiego jak worek przez ramię, wstał i ruszył.

Sabine szła obok, podziwiając go. - Ojej! — zawołała zachwycona.
— Jak ty to robisz?

Jabłoński zaniósł Grabowskiego do domu Materna, zachęcany pełnymi uznania spojrzeniami Sabine, i położył go w kuchni na stole.

Alfons i Jakub potrzebowali niemal godziny wspólnej intensywnej pracy, aby pierwszego pijaczynę Maulen doprowadzić jako tako do przytomności.

— Czy wiesz — powiedział Materna energicznie — że szukają cię z powodu podpalenia?

— To śmieszne! — Grabowski wciąż jeszcze mówił z trudem.

— A jeśli są przeciw tobie świadkowie?

— Nędzni partacze! Mnie nie potrzeba uczyć, jak się podpala. Przy twojej stodole brali udział nowicjusze. To nie mogłem być ja.

— Ale ty, zdaje się, całkiem zapomniałeś, gdzie jesteś — mianowicie w Maulen. I chodzi o to, żeby znaleźć winnego.

— Czy tym razem mam to być ja? — zapytał Grabowski prawie trzeźwy.

— Na to wygląda.

— Czy zawdzięczam to Eisowi?

— Możliwe. — Materna przyglądał się z troską wzburzonemu Grabowskiemu. — I radzę ci, abyś nie robił teraz żadnych głupstw.

— Skręć kark tej świni!

- Ukryję cię — powiedział Materna zdecydowany.

— Ale nie dam się pozbawić honoru! Zwłaszcza temu draniowi Eisowi!

— Odtransportuj go — rozkazał Alfons Materna.

Jakub Jabłoński wkroczył do akcji. Zaprowadził urągającego Grabowskiego do obozu przejściowego numer jeden. A tam już czekał radca stanu Wollnau, gotów działać zgodnie z udzielonymi mu wskazówkami.

Najbliższej nocy w Maulen znów wybuchł pożar. Stanęła w płomieniach mleczarnia Eugena Eisa. I choć tym razem strażacy bardzo się starali, niewiele dało się uratować.

Ten ogień podłożony był nadzwyczaj fachowo: jednocześnie w dwóch miejscach. I to z uwzględnieniem kierunku wiatru. Suche drewno, stoczone przez robaki belki i nasączony tłuszczem papier palily się jasnym płomieniem.

Ale Eugen Eis nie był ubezpieczony.

Alfons Materna przedzierał się przez gęsty sosnowy las, następnie zszedł na dół do schronu, wystukawszy przedtem umówiony sygnał. W piwnicy numer jeden zastał tylko Ericha Wollnaua. — Panie Materna — powiedział on zmęczonym głosem. — Za dużo pan ode mnie wymaga

— Czy Grabowski zniknął?

Wollnau spuścił głowę. Przemawiał Grabowskiemu do rozumu setką argumentów, ale na próżno. Ten człowiek jest napiętnowany.

Grabowski początkowo milczał, przygnębiony i nieufny. Upłynęła niemal godzina, nim zaczął mówić. Wreszcie rzekł: — Pozwól mi przepłukać gardło. Może wówczas coś szepnę.

Wollnau skwapliwie podał Grabowskiemu dzban. Ten przytknął go do ust i pił, jakby była w nim woda.

— Potem wybiegł jak oszalały. Jakby go gnały furie!

— Biedny człowiek — powiedział Materna.

— Próbowałem go zatrzymać, ale mnie odepchnął, aż upadłem.

— Nie robię panu wyrzutów — powiedział Materna głucho.

— Mam jednak uczucie, że zawiodłem.

— Myślę, że nie po raz pierwszy, panie radco. Bo jest to właściwością naszych czasów. A co się tyczy Grabowskiego — ten jest i tak skończony.

— Boże, bądź miłościw biednej duszy! — powiedział pastor Bachus, kiedy usłyszał, że Grabowski rzucił się w ogień, który z taką znajomością rzeczy sam podłożył.

Na miejscu pożaru gapię zaczęli się już rozpraszać. Grabowski, którego żandarm omal nie złapał, był zwęglony, a ogień przygasał; nic więcej nie należało się spodziewać.

— Teraz załatwimy rzecz śpiewająco! — szepnął Fritz Fischer do mniej radosnego Eisa. Mieli sprawcę, który jednocześnie był martwy — ze wszech miar pożądane rozwiązanie.

Eugen Eis tyłfto mruknął. Podeszedł do zwłok Grabowskiego przykrytych kocem. Podniósł róg czubkiem buta. Powiedział gorzko i pogardliwie: — Jacy to są ludzie!

— Jego mózg to była sama gąbka — powiedział Fritz Fisefer; ~r~
Taki mózg bardzo łatwo nasaczyć kryminalnymi myślami.

W tej chwili zjawił się Alarich von der Brocken. Z dużym opóźnieniem. Przyklusował na swoim siwku i oświadczył: — U was pali się szybciej, niż ja potrafię dojechać na swoim koniu. Przyspieszacie tempo, muszę się dopiero do niego dostosować..

Poszkodowany Eugen Eis powitał barona uprzejmie. Na miejscu pogorzeliska było już niewielu ludzi. Eis powiedział: — To była diabelska robota. To szalenie napędzany przez mroczne siły!

— To brzmi niemal poetycko — powiedział baron. Spojrzał sceptycznie z wysokości swego rumaka i potrząsnął głową. Po chwili odjechał. Eis rozejrzał się dokoła. Zobaczył nadchodzącego Maternę.

— No i co? — zapytał Alfons zachęcająco. — Jak teraz wygląda bitwa?

— Powiedziałbym: remisowo. Przynajmniej w tej chwili. Ale być może jeszcze trochę, a będę miał wreszcie potomka, który, jak zostało załatwione, będzie twoim dziedzicem. Akuszerka jest już w akcji.

— To, że moja córka będzie miała dziecko, nie uszło mojej uwagi. Chodzi tylko o ojca.

— Co to znaczy? Ja jestem ojcem!

— Jesteś tego absolutnie pewien? Po ostatnich wyczynach Brigitte miałbym co do tego pewne wątpliwości. To jasne. Chyba nie zaprzeczysz?

— To największa bezczelność, jakiej się wobec mnie dopuszczono! — wykrztusił Eis. — Chcesz mnie oszukać na majątku, który ma odziedziczyć moje dziecko.

— Spróbuj się przyzwyczać do myśli, że nic ci nie dam — powiedział Materna — Nawet najmniejszej rzeczy!



Nadzieja jest często płomieniem,
po którym pozostaje tylko popiół.
A ten się rozwiewa,
kiedy przychodzi silny wiatr.

W nocy, która nastąpiła po pożarze, Eugen Ere przyglądał się uważnie dziecku, które urodziła jego żona.

— Ma moje oczy — orzekł.

— Ma także twój głos — zapewniała akuszerka, - Krzyczy za trzech.

Eugen odczuł to jako komplement. Uważnie obserwował noworodkka. Wreszcie powiedział: Nie podoba mi się jego nos.

Ten nos nie był podobny ani do jego nosa, ani do nosa matki. Poza tym nie podobała mu się dolna warga chłopca. A także podbródek. Brakowało w nim Eisowej energii, brakowało, przedsiębiorczej siły Maternów. W kogo to dziecko się wrodziło?

— Nie podoba mi się — powiedział wreszcie Eugen. Wszedł z hałasem do izby, w której leżała Brigitte. Stał sztywno i nie bacząc na błądzenie i zmęczenie żony, zapytał ostro:

— Czyje to dziecko?

— To moje dziecko — powiedziała Brigitte z wysiłkiem. — To w każdym razie nie ulega wątpliwości.

Eugenomal nie zaczął krzyczeć — ze złości i ze wstydu. Uznał, że miarka się przebrała. Najpierw pożar, potem ten poród, tego już było za wiele. Czyżby w ciągu jednej nocy dzieło jego życia miało ulec zniszczeniu, łącznie z jego dziedzictwem?

— Każdy musi zapłacić za swoje — powiedziała zmęczona Brigitte, Jednakże jej głos brzmiał twardo.

Eugena Eisa znów ogarnęło pragnienie krzyku. Chciał rzucić tej kobiecie w twarz, że jest nędzną dziwką, jeśli go istotnie okłamała, ale nie krzyknął. Akuszerka Audehem, która z pewnością podsłuchiwała pod drzwiami, miała dobry słuch i ostry język.

Eugen pochylił się nad Brigitte i wysapał: — Kto jest ojcem?

Brigitte próbowała się uśmiechnąć. Patrzyła z przyjemnością, jak Eugen Eis niemal wił się z, niepokoju i niepewności.

— Może ty w ogóle nie jesteś zdolny do spłodzenia dziecka? Ale ja mogę mieć dzieci — dowiodłam tego.

Eugen Eis uznał, że dokonuje gigantycznego wysiłku, opanowując się. Z trudem powiedział: — Jeśli moja żona ma dziecko, to ojcem mogą być tylko ja.

— Ale nie jesteś pewien?

— Porozmawiamy o tym innym razem — powiedział Eugen wymijająco. — Teraz jestem zmęczony, za dużo się na mnie zważyło.

Kiedy baron Alarich von der Brocken wjechał na podwórko Materny na parszającym Adolfie II, powitała go Hannelore Welser. Stała na progu domu i patrzyła ubawiona na istic feudalny obrazek: czerwone spodnie, śnieżnobiała kamizelka, czarna lśniąca marynarka — jakby wycięty z magazynu jeździeckiego.

— Dzień dobry, łaskawa panienko! — zawołał baron szarmancko, ale głośno.

— Pan chyba pomylił adres! — powiedziała Hannelore wesoło. — Wygląda pan, jakby miał zamiar złożyć wizytę królowej Anglii.

Baron uśmiechnął się pochlebiony. — Jeśli ma pani na myśli mój flajnowszy model stroju jeździeckiego, to założyłem go z pani powodu, drogie dziecko.

Hannelore Welser miała równe dwadzieścia lat. Była niska, zgrabna, ale pulchna. Gładkie jedwabiste włosy spadały jej na ramiona. Otaczały piękną delikatną twarz niczym złotą ramą.

Od blisko roku prowadziła gospodarstwo Materny. Nikt dokładnie nie wiedział, skąd przybyła, z wyjątkiem Alfonsa i Jakuba. Uchodziła za krewną gospodarza i tak była traktowana. Nazywała Maternę drogim wujem , a on zwracał się do niej zwykle moje drogie dziecko .

Kiedy było trzeba, Hannelore, mimo swojej delikatnej postaci potrafiła działać energicznie jak prawdziwa gospodyni. Nie było wsi nikogo, kto by nie patrzył na nią z przyjemnością.

— Kiedy tak na panią patrzę, łaskawa pani — powiedział baron donośnym głosem — moje stare myśliwskie serce zaczyna żywiej bić. Miałem nadzieję ujrzeć panią w blasku pożaru, ale chyba przyszedłem za późno.

— Nie było mnie tam, musiałam na krótko wyjechać. Inaczej byłby mnie pan z pewnością zauważył.

— Powinniśmy się bliżej poznać, piękna dziewczyno. Mój dom stoi dla pani otworem każdej chwili.

— Chyba nie, chce mi pan odebrać mojej, najlepszej siły? — Alfons Materna stanął z uśmiechem przed domem. — Takie rzeczy są karalne.

— Przyjmę na siebie każdą karę — oświadczył baron z szerokimi gestem. — I niech mi pan teraz nie wyjeżdża z uwagą, że mam w swoim domu dość kobiet. Byłoby to nielitościwe, choć prawdziwe. W każdym razie brak mi gospodyni — jestem jeszcze kawalerem.

— Czyżby to była oferta małżeńska? — zapytała Hannelore śmiało. — Ale proponuję, żeby pan się trochę wzmocnił, zanim podejmie pan dalsze ataki.

Baron zsiadł z konia, przekazał Adolfa Jabłońskiemu, który stał z tyłu, szczerząc zęby, i przywitał się z Hannelore, całując ją w rękę, co nie wprawilo jej w najmniejsze zakłopotanie. Alarich stwierdził to z uznaniem. Ta mała wesoła osóbką była prawdziwą damą! On się na tym zna.

— Skąd na naszym odludziu wzięło się takie zachwycające stworzenie? — zapytał Alfonsa Maternę, kiedy siedzieli w izbie naprzeciw siebie: wysoki, barczysty elegancki mężczyzna i drugi — kanciasty, z grubą ciosaną.

— Gdzieś taka istota jak Hannelore musi przebywać - odparł Materna.

— Czy ona nie ma rodziców?

— Tylko ojca. Ale nikt dokładnie nie wie, gdzie on się obecnie znajduje. Są przy tym dwie możliwości: więzienie albo obóz koncentracyjny.

— Nie do wiary! — powiedział baron wzburzony; — Kiedy słyszę coś takiego, ogarnia mnie wściekłość albo zbiera mi się na wymioty. Przydałby mi się teraz kieliszek pańskiej słynnej wódki.

Otrzymał to, czego żądał, powąchał, wypił i uśmiechnął się zachwycony. — Muszę tu częściej przychodzić — powiedział. — Z kilku powodów. Na przykład ostatnio sypiam dość niespokojnie.

— Ale to ma chyba w pana wypadku najprzyjemniejsze przyczyny.

Baron zaprzeczył ruchem ręki, pochlebiony. Aluzja Materny odnosiła się do wytwornych opiekunek barona. Ostatnio miał ich sześć — praktycznie na każdy dzień tygodnia jedną; w niedzielę zwykł odpoczywać sam. — Czy to panu przeszkadza?

— 'Podoba mi się to — powiedział Materna. — Przynajmniej teoretycznie roztaczają się dzięki temu przed człowiekiem najwspanialsze możliwości. A jak to wygląda w praktyce, nie śmiem nawet się domyślać.

— Jeśli ma pan ochotę, panie Materna, może pan u mnie odbyć odnośne studia. Nawet po to tu przybyłem, aby pana zaprosić.

Alfons przyglądał się swemu gościowi z rosnącym zdumieniem. — Czyżby pan chciał mi zaproponować rozrywkę, panie baronie?

— Niech pan się na to zgodzi! — Alarich von der Brocken znów napełnił swój kieliszek. — Ktoś, kto potrafi robić taką wódkę, musi mieć dobry smak. Każdy, u kogo takie niepowtarzalne zjawisko jak panna Welser dobrze się czuje, musi korzystnie oddziaływać na otoczenie. Dlaczego więc pan wojuje w Maulen z tą nędzną zgrają, zamiast ze mną popijać?

— Od czasu do czasu chętnie, panie baronie. Ale istnieje jeszcze wiele innych przyjemności.

— A gdybym tak miał ochotę w nich uczestniczyć? — baron pochylił się do przodu. — Niech pan tylko nie mówi, że mam dość urozmaicenia! Kiedy ostatnio stałem przy pożarze, wie pan, co sobie pomyślałem? Że tu, w Maulen, dzieją się rzeczy, o których nie miałem dotychczas pojęcia. Zdaje się, że diabelnie dużo straciłem.

Alarich von der Brocken zamienił swoją posiadłość w twierdzę. Starał się żyć własnym życiem. Nienawidził polityki. Mieszkańcy wsi go nie interesowali, ale wreszcie natknął się na Alfonsa Maternę.

— Bardzo chciałbym brać w tym udział — oświadczył Alarich.

— Panie baronie — rzekł Materna powoli — każdy może stracić tylko tyle, ile posiada. A pan posiada dużo. Dlaczego nie chce pan tego zachować?

— Czy to znaczy, że odrzuca mnie pan jako sojusznika? — zapytał Alarich oburzony.

— Ja panu tylko odradzam włączanie się w to wszystko. Albowiem wszystko, co się tu dzieje, jest twarde i z pewnością nie oznacza feudalnej zabawy w polowanie.

— Mój Boże — zawołał baron, bardziej zasmucony niż zły — za kogo mnie pan uważa! — Wstał i zaczął się zbierać do wyjścia.

Eugen Eis siedział w swoim dygnitarskim fotelu, jak gdyby się tam schował. Nad jego gospodarstwem wciąż jeszcze unosił się słodki, ciężki zapach spalenizny.

Stał przed nim Fritz Fischer, niespokojnie przyczajony. Ręce mu drżały nerwowo. — Chyba nie rozpaczasz z tego powodu, Eugen?

— Nigdy w życiu! — rzekł Eis niezbyt przekonująco. - Jednakże

miałbym ochotę rzucić to wszystko. Zaharowuję się, nadstawiam karku i jakie mam za to podziękowanie?

— Ja doceniam twoje zasługi! — zapewnił Fischer uroczystym tonem.

— Chcesz może tu zostać ortsguppenleiterem, Fritz? Jeśli o mnie, chodzi — proszę bardzo. Powiedz tylko słowo. — Fritz wystrzegał się choćby najmniejszej aluzji na ten temat. Zawahał się jednak i powiedział z zapalem: — My obaj, Eugen, stanowimy, jak wiadomo, zaprzysiężoną wspólnotę.

— Nikt nie jest niezastąpiony — mruknął Eugen Eis — najwyżej: Führer.

— Ale my obaj jedziemy na tym samym wózku. Gdy jeden spadnie pociągnie za sobą drugiego. A wówczas najpewniej taka gnida jak ten Amadeus Neuber wygra wyścig. — Neuber był kierownikiem organizacyjnym. — A do tego nie wolno dopuścić.

— Jak to, czyżby on zamierzał przejąć po mnie władzę?

Fritz Fischer zęcnie ominął to pytanie. Szybko powiedział: — Co nas obchodzi ten pasożyt? Tu chodzi o nas obu. Twoje kłopoty są moimi kłopotami. Wiemy, że nie jesteś ubezpieczony, to poważne zmartwienie. Ale da się coś zrobić.

Eugen był zdumiony. — Co masz na myśli?

— Postaram się, abyś był ubezpieczony. Na każdą, sumę, na jaką zechcesz.

— Jeśli to załatwisz, Fritz, moja wdzięczność nie będzie miała granic.

— Wystarczy, jeśli mianujesz mnie swoim zastępcą i przywódcą zjednoczonych związków w Maulen.

— Czemu nie, jeśli zainkasuję za to wysokie odszkodowanie!

— Cóż mam z panem począć? — zapytał Alfons Materną swego, jedyne go obecnie gościa, radcę stanu Erichia Woilnaua, który pozostał. — Co będzie dalej?

— Panie Materna, niech pan powie słowo, a wyniosę się z pana, terenu.

— — A dokąd, jeśli wolno spytać? Za granicę?

— Nie wiem. To wszystko jest bardzo trudne. — Radca mówił cicho, jakby zawstydzony. — Wydaje mi się, że jestem żołnierzem, który zdezerterował.

— I wolałby pan być martwym żołnierzem. Uważa, pan to za bardziej honorowej?

Szli ostrożnie przez las. Oślaniał ich Jakub Jabłoński.

- Nawet taki człowiek jak ja ma choć kilku przyjaciół Czy jest możliwe, aby na pana ręce przekazać wiadomość?

— Jest możliwe, choć nieco kłopotliwe. Mam wprawdzie dobry tajny adres w Giżycku. Pracuje tam mój syn Hermann jako doradca kierownika okręgu i handlarz bydła. Może pan więc pisać swoje listy. Ale co pan zamierza robić tymczasem?

Wollnau opuścił głowę. — Najpierw chciałbym pana opuścić; mniej więcej na czternaście dni. Potem wrócę. Niech pan się nie martwi, dam sobie radę.

Wollnau wiedział, że Mazury były wciąż jeszcze najmniej zaludnioną częścią Niemiec. Duże gęste lasy otaczały samotne jeziora. Zagrody wśród nich sterczały niczym kopce kretów. A ponieważ zbliżała się jesień, wyżywienie po drodze nie stanowiło większego problemu — na polach dojrzewało zboże, w ogrodach zostały marchew i kapusta, jeziora roiły się od ryb, które można było wprost łowić rękoma. Noce były jeszcze ciepłe, wszędzie pełno stogów siana, w których można było spać.

— Co pan sobie o mnie myśli? — zapytał Materna gorzko.

Teraz Erich Wollnau zrobił się czerwony. Jego blada zazwyczaj twarz poczerwieniała. — Na to, co pan uczynił dla mnie i dla takich jak ja, niewielu by się odważyło. Brak mi słów na wyrażenie wdzięczności. Ale byłoby szczytem nieodpowiedzialności narażać pana dalej na niebezpieczeństwo i być dla pana ciężarem.

— Pan mnie nie docenia — powiedział Materna. — Mianowicie nie docenia pan mojego egoizmu. Ja tymczasem myślałem trochę o panu. Przypuszczam, że ma pan niezbędną wiedzę prawniczą?

— Oczywiście — oświadczył Wollnau zdumiony, ale także pewny siebie. — Pracowałem zresztą jakiś czas w kancelarii pruskiego ministra spraw wewnętrznych.

— To wspaniale! Dostarczę panu odpowiednie kodeksy, komentarze i wszelką literaturę specjalistyczną, która będzie panu potrzebna. Pierwsze pańskie zadanie brzmi: sporządzenie doniesienia w sprawie pożaru, zgodnie z wszelkimi regułami pańskiej sztuki. Czy jest pan gotów pomóc mi uprząść nić, z której nie wysłizgnie się nawet mysz?

— Właściwie już to robię! - zawołał radca zachwycony.

Ignaz Uschkurat, wciąż jeszcze przywódca chłopów i burmistrz, miał przed sobą ciężką godzinę. Była to jego ostatnia godzina jako człowieka najbardziej kompetentnego we wsi. Potem stał się nieważny, jak kamień rzucony w bagno.

Najpierw jednak patrzył przyjaźnie na Eisa i Fischera, nie mając o niczym pojęcia. Widział, jak idą, i wiedział, że mają zmartwienie, Schlebiało mu, że przychodzą z tym do niego.

— To wszystko jest bardzo przykre — powiedział.

— Ale chyba nie aż tak bardzo — zapewnił Eugen Eis. — Spaloną mleczarnię można przecież odbudować.

— Oczywiście, jeśli się ma niezbędne do tego pieniądze — powiedział Uschkurat.

— Na szczęście tak właśnie jest — oświadczył Fischer, przesuwając się do przodu.

— Co takiego? — zapytał Uschkurat zdumiony. — O ile wiem, Eis nie był ubezpieczony.

Wydawało mu się, że jest dobrze zorientowany; był przecież nie tylko burmistrzem i przywódcą chłopów, ale również — dzięki wynikającym stąd kontaktom — także tak zwanym agentem owego jedynie liczącego się towarzystwa ubezpieczeniowego. Od lat czerpał z tego zyski.

— Jesteś w błędzie, myśląc, że Eugen nie jest ubezpieczony. On jest ubezpieczony!

— Naprawdę? — Uschkurat stał się niepewny. — A więc wypada mi się tylko cieszyć.

— Wobec tego ciesz się.

— Ale niestety nie jest on ubezpieczony u mnie, wskutek czego ominęła mnie ładna premia.

— I tu, Ignaz, jesteś w błędzie. — Fischer uśmiechnął się do Eisa. — Jest on ubezpieczony w twoim towarzystwie, i ja także,

— No nie! — W oczach Uschkurata załśnił niepokój. — Rzeczywiście nic o tym nie wiem.

— Twoja pamięć jest jak sito! — chrząknął Fischer, — Albowiem dokładnie przed tygodniem, mianowicie w ubiegły piątek, byliśmy obaj tu u ciebie. Wypiliśmy po kieliszku z okazji ubezpieczenia, które z tobą podpisaliśmy. Od ognia i szkód ogólnych. Wpłaciliśmy przy, tym od razu pierwszą ratę. Czy sobie przypominasz?

Ignaz Uschkurat wyciągnął dużą szaroniebieską chusteczkę. Otarł nią czoło. Pot wypływał ze wszystkich porów jego ciała.

— W każdym razie ja jestem świadkiem — powiedział Fritz Fischer bezlitośnie.

— A ja mogę zeznać dokładnie to wszystko, co zeznał Fritz. — Eis wypowiedział to oświadczenie, jakby odczytał uchwałę rządową. — Obaj podpisaliśmy u ciebie umowę; jednocześnie dokonaliśmy pierwszej wpłaty. Tym samym ubezpieczenie nabrało mocy.

- Czyżbyś powątpiewał w ten fakt? — wódz SA chciał wiedzieć jasno: przyjaciel czy wróg. Jeśli przyjaciel — to w porządku. Jeśli wróg — krótki proces. — Chyba nie masz już dość życia, Uschkurat? — Po czym dodał z koleżeńską wspaniałomyślnością: — Być może zarzuciłeś gdzieś podpisane z nami umowy albo ich w porę nie odesłałeś? Twoja korespondencja nie jest w najlepszym porządku. Byłeś ostatnio taki przepracowany... Ale nic na tym nie tracisz.

Ignaz Uschkurat — mężczyzna na ogół zadziorny — siedział skulony na krześle. — Co mam robić?

— Musisz być rozsądny! — poradził mu Fritz po koleżeńsku.

— Pamiętaj przy tym o swojej prowizji! — Eugen Eis roześmiał się serdecznie. Gra była prawie wygrana. — Prowizja przysługuje ci przecież przy każdej umowie. Dlaczego miałbyś być stratny w naszym wypadku?

Uschkurat westchnął głęboko. — A co będzie, jeśli się nie zdecyduję wziąć udziału w grze?

— Mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju sytuacją przymusową. Wszyscy musimy się trzymać razem, jeśli nie chcemy razem pójść na dno. Powiedział to już nasz Führer.

— A kto się przeciwstawia naszemu Führerowi — oświadczył Fischer ostrym tonem — ten zasługuje na to, aby go zmieść. Czy wyrażam się dość jasno?

— Skoro nie można inaczej — powiedział Uschkurat zrezygnowany - niech będzie tak, jak jest.

. W ten sposób jednak stał się on napiętnowany i stracony dla Maulen. Przyjął to nie poddańczo, ale bezwolnie. Spuścił głowę, jakgdyby kładł ją pod topór kata.

— No więc! — Eugen Eis odetchnął z ulgą. Najważniejsza rzecz została zrobiona. Resztę załatwi sprytny adwokat wspólnie z wielkoniemiecką sprawiedliwością.

— No więc! — powtórzył Fischer. Wreszcie udało mu się zakasować nawet Eugena Eisa. Wiedział teraz o nim znacznie więcej, niżby należało. Reszta to już tylko rutyna. Ale nie powiedział tego głośno.

Do Maulen wciąż jeszcze przyjeżdżali na weekendy Konrad Klinger i Peter Bachus, choć już nie tak regularnie jak kiedyś. Obaj studiowali teraz w Królewcu — Peter medycynę, a Konrad prawo. Byli o pięć lat Starsi, ale niewiele się zmienili.

Zakwaterowali się u pastora Bachusa, lecz, nie usiedzieli tam zbyt

długo — woleli dom Materny. Przyciągała ich zwłaszcza Hannelore Welser.

Obaj rwali się do niej. Kręcili się dokoła jak psy i pilnowali nie tylko Hannelore, ale i siebie nawzajem. Materna z zadowoleniem śledził ich starania.

— Czy coś się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch tygodni?

- Dwa pożary — powiedziała Hannelore.

— A więc nic szczególnego — rzekł Konrad. — Dawniej była to nawet ulubiona rozrywka w wolnym czasie na Mazurach.

Peter Bachus wysunął się do przodu, wskutek czego przyjaciel znalazł się nieco z boku. — A poza tym nic więcej, Hannelore? — zapytał.

Hannelore uśmiechnęła się. — Otrzymałam propozycję małżeńską.

— Od kogo? — zawołali obaj chłopcy jednocześnie.

— Od barona.

— To śmieszne! — powiedział Peter.

— To daje do myślenia — dodał Konrad.

Przyjaciele spojrzeli na siebie z troską. Intrygowały ich lśniąco oczy Hannelore, nie po raz pierwszy zresztą. Wycofali się na naradę.

Peter szepnął przyjacielowi: — Wykastruj tego capa. W końcu nie na darmo studiuję medycynę.

— Poczekaj, aż skończę studia — poradził Konrad; — Wtedy obronię cię przed sądem.

Roześmiali się obaj i szybko doszli do wspólnego wniosku: to wszystko żarty, choć trochę niesmaczne. Następnie wrócili do Hannelore, która popatrzyła na nich zadowolona-

Konrad Klinger oznajmił: Ustaliliśmy w tej sprawie, co następuje: Hannelore na pewno kiedyś wyjdzie za mąż, i to za kogoś z nas. Nikt inny nie wchodzi w grę. Ale to nic pilnego, mamy czas.

Hannelore udała się z chłopcami do Materny i poinformowała go o sytuacji. — Oni sami za mnie zdecydowali!

— Tu chodzi o układ — oświadczył Konrad.

— I tylko w interesie Hannelore — stwierdził Peter.

Alfons Materna grał akurat w karty z Jakubem Jabłońskim. Skinął wesoło głową. Jabłoński natomiast przyglądał się chłopcom nieufnie.

Minęły już czasy, kiedy chłopcy znajdowali przyjemność w miejscowych walkach podjazdowych. Ich wysiłki stawały się bezsensowne. Maulen z każdym dniem było coraz bardziej brunatne — jak całe Prusy Wschodnie i Wielkie Niemcy. Ojcowie też brunatnieli, matki nie

miały nic przeciwko temu, koledzy szkolni włożyli mundury: Niemcy stali się potężnym stadem bydła, uznali chłopcy.

Konrad i Peter wynajmowali w Królewcu wspólny pokój. Dla swoich ojców odczuwali już tylko współczucie. Pastor Bachus, kiedy bliski niemieckim chrześcijanom, teraz skłaniał się coraz bardziej ku Kościołowi Wyznającemu, i to głównie w swojej piwnicy, gdzie znajdowały się zapasy wina mszalnego. Żandarm Klinger pełnił teraz służbę w Olsztynie. Zą swego biurka koordynował pracę strażników porządku. Czynność ta zdawała się go bardzo męczyć. Dużo spał i mało mówił; i starał się nie mówić tego, co myśli.

Uważni obserwatorzy w Maulen wkrótce spostrzegli, że Hannelore to przynęta wystawiona świadomie przez Maternę. Chłopcy szybko ją zwęszyli i dzięki temu Alfons wzbogacił się o najostrzejsze, najruchliwsze i najinteligentniejsze psy gończe na swoim terenie.

W dodatku Materna nie żałował przysmaków ze swojej kuchni. Hannelore potrafiła je znakomicie przyrządzać według starych mazurskich przepisów.

Po którejś z takich świątecznych uczt Materna powiedział do swoich przyjaciół: — Chętnie pokazałbym prawnikowi pismo dotyczące podpalenia. A medykowi zaproponowałbym, aby wyjątkowo zainteresował się działaniem armaty. Jakub zna wszystkie niezbędne szczegóły.

Konrad Klinger wziął do ręki pismo, które opracował dla Materny radca Wollnau. A Peter Bachus poszedł z Jabłońskim do kąta.

Peter dowiedział się, że gorliwy pedagog Amadeus Neuber zdobył z jakiegoś muzeum dawną rosyjską armatę. Miała ona być ustawiona uroczyście przed budynkiem szkoły na zasadzie „można by z tym coś zrobić”.

Nie do wiary — powiedział Konrad, przeczytawszy pismo.

— Czy to budzi jakieś wątpliwości?

- Skądże! To coś wspaniałego! Kto to napisał? To wprost artystyczna robota. Za pomocą tego pisma można wysadzić z siodła co najmniej tysiąc biurokratów!

Peter, również zachwycony, powiedział: Wyobraźcie sobie — armata w środku wsi! Kogóż nie zaświerzbą ręka, aby z niej wystrzelić?

— Ale przedtem trzeba dobrze wycelować — powiedział Alfons Materna stłumionym głosem. — Kto chce strzelać, musi umieć trafić. Żadnych półśrodków!

Amadeus Neuber, obecny nauczyciel i kierownik organizacyjny partii, a więc obywatel Maulen o wielkim autorytecie, zdecydowany był bronić swojej pozycji i ją umacniać. Mając wytyczony cel, zwrócił się zatem najpierw do tej części ludności, o której wówczas zwykło się mówić, że jest gwarantem przyszłości: mianowicie do młodzieży.

Pod jego bezpośrednim wpływem znajdowała się znaczna część młodzieży Maulen. Uczniowie bowiem byli albo członkami Jungvolku, albo Hitlerjugend.

— Komu przysięgaliście wierność? - pytał Neuber.

— Naszemu Führerowi!

— A kto jest naszym wrogiem?

— Ten, kto jest wrogiem naszego Führera!

Posłuszna dziatwa aż się paliła do tego, żeby się wykazać. Sabine Gäbler jednakże, córka żandarma, zapytała: — Czy to jeszcze długo potrwa?

— Tak długo, aż staniemy się jednością.

— Przecież jesteśmy. Zawsze!

— Bardzo dobrze! — Oczy Neubera patrzyły z zadowoleniem na tę przedwcześnie rozwinięte dziecko, nie tylko umysłowo.

Zbliżył się do niej z serdeczną otwartością.

— Sabine — powiedział, ujmując ją przy tym zachęcająco pod brodę, — gdyby, przypuścimy, twój ojciec wyraził się źle o naszym Führerze, co byś zrobiła?

— Ojciec nigdy tak nie postąpi, a gdyby nawet, to ja tego nie będę słuchała.

Neuber podszedł bliżej i położył Sabine dłoń na ramieniu - delikatnie, a zarazem energicznie. Stwierdził przy tym, że dziewczynka wzbudza w nim wybitne poczucie piękna. Te klasyczno-antyczne miary! Greckość i nordyckość! Hellada i Hitler! Trzeba było te rzeczy połączyć. Również tu, na Mazurach.

— Historia zostanie rozjaśniona promieniejącą wielkością Niemiec — oświadczył Neuber. — Wschodni kraj pograżyłby się w mroku zapomnienia, gdybyśmy go od tego nie uchronili.

Potem następowała nieunikniona opowieść o strzale w Remter. Remter to była główna sala zebrań zakonu rycerskiego w Malborku. Przy słowach zakon rycerski nieodmiennie padało pytanie: — Za co oni walczyli? — Dobrze opanowana zbiorowa odpowiedź dzieci brzmiała: — Za niemieckość! — Dalsze pytanie: — Przeciwko komu walczyli? — Odpowiedź: — Przeciwko Słowianom! — Chodziło o Polaków, W Remter była pośrodku kolumna nośna. Gdyby się

udało w nią trafić, zamek zostałby zburzony. I oto znalazł się nędzny zdrajca, który jako znak dla Polaków wywiesił w oknie czerwoną czapkę. — Czerwoną, drogie dzieci! Polacy strzelili więc, ale nie trafili; Ich umiejętności artyleryjskie pozostawiały wiele do życzenia.

— I z takiego punktu widzenia musicie patrzeć na armatę, którą udało się zdobyć i którą wkrótce uroczyste ustawimy w naszym drogim Maulen.

Pouczywszy w ten sposób powierzonych sobie gwarantów przyszłości, Neuber udał się do następnej ostoi niemieckości: do kobiet zorganizowanych w NS-Frauenschaft. Jabłoński nazywał je hitlerowskimi kwokami. Ich przywódczynią była wdowa po niezapomnianym Johannesie Eichlerze. Margarete Eichler stała się bowiem tymczasem narodowosocjalistyczną instytucją wsi.

Zarządzała spuścizną po zmarłym, była wdową po bohaterze NS i ta rola bardzo przypadła jej do gustu. Wszyscy w Maulen okazywali jej szacunek. Ale Neuber zakasował w owym czasie wszystkich. — Taka kobieta jak pani powinna mieć większy wpływ — mówił. A do innych wołał głośno: — Nasze drogie niemieckie kobiety zasługują na to, aby ich słuchać!

Hitlerowskie kwoki otaczały Neubera niczym koguta. Czują, że on je rozumie. A Neuber mówił: — Uważam, że w Maulen nie powinna zapaść żadna decyzja bez akceptacji kobiet. W każdym razie należy przedtem wysłuchać ich opinii.

— To słuszna propozycja — oświadczyła Margarete. Kobiety dokoła niej przytaknęły.

— Ja w każdym razie jestem zawsze do waszej dyspozycji — zapewnił Amadeus Neuber. — Chodzi tu bowiem o obronę prawdziwych wartości. Któż więc, jeśli nie my, powinien się czuć do tego powołany?

Alfons Materna został przyjęty przez baronową w Gross-Siegwalde. Elisabeth von der Brocken była kobietą niezamężną, mimo swoich czterdziestu lat. Była wysoka, szczupła i niezwykle wytworkna.

— Witamy, panie Materna. — Patrzyła na niego z życzliwą ciekawością. Choć Siegwalde było oddalone od Maulen ledwie o trzy kilometry, dzieliły je od siebie całe światy. Elisabeth prawie nie opuszczała swej posiadłości — chyba tylko po to, aby pojechać do Berlina, Marienbadu czy Nicei.

— Pan baron chciał ze mną mówić.

— Brat jest chwilowo zajęty. Proszę mnie tylko nie pytać, w jaki sposób. Ale gdyby pan zechciał wypić ze mną filiżankę herbaty...

— Czemu nie, jeśli ta herbata będzie z rumem.

Surowa twarz spiętej Elisabeth rozluźniła się. — Zastanawiałam się jak sprawić panu przyjemność.

— Ach tak — Materna nieskrępowany usiadł na jasnoniebieskim rokokowym krześle. — Tacy goście jak ja są rzadkością w tym domu i musiała pani zadać sobie pytanie: co mam począć z tym człowiekiem?

— Zgadza się powiedziała Elisabeth szczerze. — A teraz zadaję sobie pytanie, nie bez obaw, czegoż to mój brat może chcieć od pana?

Materna przyglądał się trochę już wyblakłemu przepychowi wokół siebie z uczuciem obcości. Szlachetne drewno, które toczyły robaki; dywany, które zdawały się być zdeptane przez tabuny jeźdźców; zasłony stylowo zniszczone. — Czy uspokoi panią, jeśli ją zapewnię, że ja nic nie chcę od pani brata? Zupełnie nic. Nie jestem panem, jestem chłopem. A to zobowiązuje.

Elisabeth odchyliła głowę lekko na bok. W ten sposób Materna zobaczył jej profil. Przyglądał się z podziwem — najdelikatniejsza porcelana nie mogła być bardziej krucha.

Ale niewiele miał czasu, aby się rozkoszować tym widokiem. Zjawił się bowiem Alarich von der Brocken. Ubrany był w domowy strój z brokatu, ozdobiony złotem. Wyglądał jak Jowisz, jak operetkowa figura, jakby zstąpił ze wspaniałego obrazu. Jego głos brzmiał jak dźwięk trąb.

— Mam nadzieję, Elisabeth, że nie udało ci się wystraszyć naszego gościa, jest on tu bowiem pilnie potrzebny.

Alarich uśmiechnął się do swojej siostry, która spojrzała na niego z wyrzutem, i zaprowadził Alfonsa do sąsiedniego pokoju. Był to rodzaj biblioteki: literatura myśliwska oprawna w zieloną skórę, historia — na niebiesko, filozofia — na czarno, książki o tematyce erotycznej - na czerwono. Dominowały zieleń i czerwień.

Ale tu Alarich nie zatrzymał się długo; poprosił swego gościa dalej i poprowadził go korytarzem do tak zwanej sali audiencyjnej. Znajdowała się tam szeroka sofa, pod ścianami stały rzeźbione fotele, nad nimi wisiły amorki.

Alarich usiadł; wskazał dłonią krzesło przypominające wannę do kąpieli na siedząco. Materna zanurzył się w nim, a w jego spojrzeniu malowała się ciekawość.

— Przede wszystkim pragnę panu udowodnić, że zła opinia o mnie, z której jestem dumny, jest uzasadniona. I o ile pana znam, nie będzie

pan miał nic przeciwko temu, aby zajrzeć do mojego tak zwanego haremu. Nie musi się pan certować, chętnie go panu pokażę.

Alarich von der Brocken klasnął w dłonie. Natychmiast zjawiała się kobieta: młoda, jędrna i pulchna, ze zmyslową i miłą twarzą. — Proszę całą załogę, jak było przewidziane — powiedział Alarich.

Po chwili wokół zdumionego Alfonsa Materna zebrало się sześć pociągających, zmysłowych kobiet. Ich widok pobudził jego wyobraźnię. Omal nie zaczął klaskać. Baron z dumą zauważył jego uznanie. Następnie przedstawił swemu gościowi kolejno radości swego codziennego dnia. I Materna dowiedział się, że dziewczyna na poniedziałek nazywa się Margot, na wtorek Dorothea, na środę Maria, na czwartek Dagmar, po nich kolejno Felicita na piątek i wreszcie Susanne na sobotę.

— Moje dziewczyny pracują w domu i w ogrodzie. Dobrze im płacę i traktuję serdecznie. Można powiedzieć, że są tu na etacie. — Alarich skinął na nie i zawołał z królewskim gestem: — Dziękuję, moje drogie!

— I sześć gracji zniknęło.

— Czego pan chce jeszcze! — wykrzyknął Materna.

Baron, zamyślony, potrząsnął głową. — Niewątpliwie mam swoje przyjemności — powiedział. — Ale one niestety nie będą trwałe wiecznie. Człowiek się starzeje. — Pochylił się do przodu i oświadczył z zachęcającym uśmiechem: — Jeśli mężczyzna nie może się już zabawić z kobietami tak jak kiedyś, to łatwo wpada na myśl, aby się zabawić z mężczyznami.

— Tylko nie ze mną!

— Ja cały czas myślę o wspólnym przedsięwzięciu. Mam propozycję: co pan sądzi o stworzeniu niewielkiej, ale skutecznej prywatnej armii? Finansowanej przeze mnie, pod pańską opieką, a wykorzystywanej przez nas obu?

— Takie coś jest diabelnie niebezpieczne — powiedział Materna po krótkim namyśle.

— Ale to jest właśnie pociągające w całym tym przedsięwzięciu, panie Materna!

— Myśl jest fascynująca. Ale pan przecież wie, że można to przypłacić głową.

— Skoro nie mogę żyć tak, jak pragnąłbym, to wolę zdechnąć.

— To życzenie postaram się spełnić... — powiedział Materna. — A więc zgoda, zastanowię się nad pańską propozycją.

Eugen Eis zamierzał godnie uczcić narodziny syna, a zarazem jak sądził, dziedzica Materny. Powstały jednak przy tym komplikacje nie do pokonania. Nie wszystkie z nich przewidział.

Najpierw napotkał opór żony. Podeszła do niego, przyciskając niemowlę do piersi, i powiedziała: — To dziecko należy tylko do mnie.

— To jasne — odrzekł Eis. — Ty jesteś matką, a ja jestem twoim mężem, a więc jego ojcem. Nie może być inaczej.

— A jeśli się sprzeciwię?

— Brigitte — powiedział Eugen niemal łagodnie. — Jak powszechnie wiadomo, jestem człowiekiem honorowym. Nie pozwolę ranić mojej wielkiej wrażliwości moralnej, bo skutki tego mogą być straszliwe. Nawet tak kruche stworzenie jak to dziecko mogłoby ponieść przy tym szkodę. Możesz to rozumieć tak, jak chcesz.

Brigitte odwróciła się od niego. Osloniła dziecko ręką i chciała wyjść z izby. Ale Eugen zagroził jej drogę. — Mój syn zawsze będzie miał dobrze, bo jest moim synem. I będziemy hucznie obchodzić jego urodziny. Przez wzgląd na moje dobre imię.

Następna komplikacja przyszła ze strony Amadeusa Neubera i była całkiem nieoczekiwana. Neuber wślizgnął się jak wąż do izby i powiedział najpierw: — Dziękuję za zaproszenie. Oczywiście, przyjdę z radością. Bardzo wiele sobie po tym obiecuję. Zwłaszcza że odstąpisz od wciąż jeszcze niestety popularnej chrześcijańskiej ceremonii chrztu. Dla ciebie najlepsza będzie tylko tak zwana uroczystość nadania imienia.

— Oczywiście, myślałem o tym — skłamał Eugen Eis. — Ale...

— Zostaw to mnie — polecił Neuber. — Zorganizuję to doskonale, Zgodnie z ostatnimi wytycznymi kierownictwa Rzeszy.

— Niech mi pan da spokój — powiedział Eis do pastora Bachusa, kiedy ten stanął przed nim, lekko się chwiejąc. Przybiegł bowiem prosto ze swej piwnicy. Zaalarmowała go Brigitte.

— Jestem człowiekiem o narodowosocjalistycznych przekonaniach — powiedział Eugen Eis.

Bachus wskazał na tradycje narodowe, na wiarę ludu, na uczucia religijne i na niemiecką świadomość narodową, przynajmniej poważnej części Kościoła, uzmysławiając sobie na nowo, jak mało go łączy wewnętrznie z tego rodzaju pojęciami i z Niemieckimi Chrześcijanami; Zgoda, z całą wyrozumiałością nie żąda od Eisa samego tylko chrztu w kościele. Protestuje jednakże przeciwko ograniczeniu się wyłącznie

do nadania imienia. Jeśli tak się stanie, będzie musiał wyciągnąć z tego konsekwencje.

- Ja mam swoje obowiązki — oświadczył Eis.

— Ale również wobec Kościoła i własnej żony!

— Nie mogę się rozerwać!

Po dłuższych zmaganiach pogodzili się wreszcie w następujący sposób: syn Eisa zostanie ochrzczony zgodnie z wolą matki i najbliższej rodziny, a więc z pominięciem opinii publicznej. Potem może nastąpić uroczystość nadania imienia. Eugen zgodził się, przekonany, że zawarł mądry kompromis.

Ale jeszcze raz zawisły nad nim chmury: zjawił się Materna i zażądał rozmowy z córką. W cztery oczy. I nie czekając na zgodę Eugena, udał się do pokoju Brigitte.

Wyszedł mniej więcej po kwadransie. Wyszczrzył zęby i powiedział:

— To dorodne dziecko!

— Bo to jest moje dziecko! — stwierdził Eis ostro.

— Możesz tak uważać, dopóki się nie udowodni czegoś zupełnie innego — powiedział Materna. — Ale na to jest jeszcze czas.

— A twoja obietnica spadku?

— Oczywiście, podtrzymuję ją. Zakładając, że istotnie to ty jesteś ojcem.

— Udowodnię to przed całym światem.

Dobrze usposobiony, rozwiązał Eis kolejną, raczej śmieszłą, komplikację. Oto bowiem ośmielił się przyjść do niego Buttgereit, wioskowy nawiedzony. Ta na poły komiczna, na poły tragiczna postać próbowała mu przemówić do sumienia: — Nigdy nie jest za późno, dopóki człowiek żyje.

Eis odesłał go do Fritza Fischera, który w sąsiednim pokoju rozmyślał nad swoim ulubionym projektem koordynacji związków, i stowarzyszeń pod flagą partii, a zarazem pod jego kierownictwem.

Zgodnie z oczekiwaniem Fischer poczuł się nagabywany przez wiejskiego proroka. Rozkazał więc dwóm SA-manom, aby wyprowadzili tego Jezuska na schody. Tam Fischer kopnął go dla przykładu, biorąc krótki rozpęd. Buttgereit potknął się i z głuchym hukiem upadł w kurz. Dopiero po dłuższej chwili podniósł się, zakrwawiony.

— Chwalcie Pana! — zawołał ca nim Fischer— Znów stała się jego wola!

Wszystkie nadzieje Eugena zdawały się spełniać. Uroczystość nadania imienia jego synowi przerodziła się w narodowosocjalistyczne święto. Całe Maulen, z wyjątkiem oczywiście Materny, chwiała się na nogach.

Impreza przebiegała jakby dwutorowo. Wieśniacy ucztowali najpierw w gospodzie, podczas gdy ich przywódcy zebrali się w kancelarii partii na uroczystości, którą Neuber starannie przygotował.

Trzeba przecież zachować proporcje!

Większą część pomieszczenia zajmowały delegacje Hitlerjugend i NS-Frauenschaft. Ich udział polegał na śpiewie i recytacji, pojedynczo i w grupach. Prócz tego występował kwartet fletowy, który zawodził usypiająco i ckliwie.

Sabine Gäbler wybrał Neuber, aby wyrecytowała szczególnie nastrojowy hymn młodzieży Rzeszy. Ale Sabine nie przyszła. Twierdziła że była chora.

Najważniejszy jednak był ojciec, a więc Eugen Eis. Ubrany w brązowy lśniący mundur, trzymał na ręku niemowlę; matka, znajdując się w pobliżu, patrzyła tylko na swoje dziecko; zdawała się nie dostrzegać lichtarzy z płonącymi świecami, które stały w pobliżu, ani sztandaru z hakenkreuzem. Nie zwracała też uwagi na Führera, który wisiał na ścianie i spoglądał dostojnie i łagodnie na zebranych. Neuber dał znak do rozpoczęcia uroczystości.

Najpierw zaśpiewano pieśń — nie żadną staroświecko sentymentalną pieśń kościelną, ale patriotyczną pieśń wielkoniemieckiej pychy

Dziś słyszają nas tylko Niemcy
A jutro cały świat!

Następny punkt programu stanowiły recytacje chóralne. Mieszane głosy, którymi dyrygował Neuber, deklamowały teksty jakby wyjęte z *Eddy*:

Życie płodzić — to życie zachować.
Nie będzie rodziców bez dzieci.
Kto pragnie przyszłości, musi kochać nasze czasy,
Te czasy zaś to Adolf Hitler.

I w tym guście pięć dalszych wierszowanych kawałków, częściowo na chór, częściowo na głos solo. Amadeus Neuber wyraźnie rozkoszował się tym słowem mówionym. Zgromadzeni tymczasem pocili się uroczyście, albowiem pomieszczenie było przepelnione. Elita Maulen z oddaniem gapiła się przed siebie. Tylko Fritz Fischer, wciśnięty w kąt, spoglądał ostrożnie jak lis. Nie odpowiadało mu, jak ten

Neuber się popisywał. On nie tylko organizował, on także dyrygował, a teraz zaczął nawet wygłaszać przemówienie.

— Natrętny typ — szepnął Fischer do kilku kolegów z SA, którzy stali obok niego. — Robi w portki z tej ważności!

Neuber zaczął swoją uroczystą mowę od przedstawienia starogermańskich obyczajów. Ten bohaterski lud, który wciąż tryumfalnie zwyciężał ówczesną dekadencją potęgę światową, jaką stanowili Rzymianie, był zarazem ludem o wysokim poczuciu moralności. I to wszystko bez chrześcijaństwa, bez Kościoła!

Od tego miejsca do Hölderlina i Schillera upłynęło nieco czasu. Wzrok zebranych stał się mętny. Niemowlę było dziwnie spokojne, Eugen bowiem przezornie, bez wiedzy matki, dał mu wypić trochę wódki. Fritz chrząknął w swym kącie niezadowolony i spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

Neuber zrozumiał właściwie ten gest. Z trudem ukrył swoje oburzenie i szybko zaczął mówić o Adolfie Hitlerze. Ale nie rozwodził się zbyt długo. Nieco zdyszczonym głosem zawołał: — Przejdziemy teraz do nadania imienia! — I oznajmił: — Dziecko będzie się nazywało Adolf Eugen Friedrich Alfons Eis!

Zostało to wprost genialnie wymyślone, takie było powszechne odczucie. Tym sposobem bowiem chłopak został przede wszystkim poświęcony Führerowi: potem ojciec dał mu z konieczności swoje imię, następnie został uczczony wielki król Prus, wreszcie dodatkowe imię Alfons wskazywało na dziedzictwo Materny. Rozległy się głośne pomruki uznania.

Przy dźwiękach współczesnej melodii w wykonaniu kwartetu fletowego nastąpił wpis do księgi rodowej. Oczywiście, dokonał tego Neuber. Potem jeszcze chór pod kierunkiem nauczyciela wyrecytował dwuwiersz:

Kto dziś jeszcze leży w kołysce,
Już jutro rozpocznie swój marsz!

Następnie odbyło się wręczenie — również przez Neubera - świadectwa nadania imienia, księgi rodowej i bezkonkurencyjnego bestselleru *Mein Kampf*. I wreszcie: wspólny, donośnie brzmiący finał: *Horst- Wessel-Lied*.

— Uroczystość skończona! — oznajmił z dumą Neuber.

— Najwyższy czas! — powiedział Fritz Fischer, spojrzał na zegarek i precyzyjnie się w stronę organizatora: — Przekroczyłeś swój czas równo o pół godziny!

Amadeus Neuber spojrział do głębi dotknięty — oczekiwał słów uznania, a nie ataku ze strony tego wiejskiego buhaja. Próbował się bronić: — Szczególna podniosłość tej uroczystości...

— ... nie wyklucza trzymania się ram organizacyjnych! Mnie osobiście jest to obojętne, ale nie mogę wymagać tego od moich SA-manów. Oni są przyzwyczajeni do punktualności.

Na to nadszedł Eugen Eis i przekazał niemowlę żonie, nie zaszczyciwszy obojga nawet spojrzeniem.. Rozpostarł ręce, objął nimi Fischera i Neubera i zawołał: — Chodźcie na kieliszek, koledzy. To uspokaja.

Niemal w tym samym czasie Sabine Gäbler zbliżała się do zagrody Materny. Zamknięta brama nie stanowiła dla niej przeszkody. Dziewczynka wdrapała się przez płot, usiadła na ziemi i głaskała psy , które węsząc kręciły się wokół niej.

Drzwi domu były także zamknięte, i to od środka; Sabine wzięła jeden ze stojących pod drzwiami drewnianych chodaków i zaczęła nim rytmicznie walić w drzwi. Umówiony znak: trzy razy krótkie, raz długie dwukrotne bębnienie.

Jakub Jabłoński otworzył natychmiast. — To ty! — zawołał serdecznie. Rozpostarł ramiona, a dziewczynka skoczyła m niego jak młody psiak, ogromnie spragniona czułości.

— Nie spodziewaliśmy się wprawdzie twojej wizyty, ale zawsze jesteś mile widziana.

— Wiem o tym — powiedziała Sabine poważnie.

Została zaprowadzona do jaskini Materny. Alfons siedział przy stole, a obok niego mężczyzna, którego już raz widziała. Spojrzął na nią dość nieufnie, ale spróbował się uśmiechnąć. Jabłoński wymienił nazwisko Sabine i przedstawił ją jako swoją drogą przyjaciółkę .

— A pan jak się nazywa? — zapytało dziecko.

— Wollnau — odpowiedział radca stanu, ponieważ Materna skinął mu głową przyzwalająco.

Sabine wyciągnęła do niego rękę, wytarłszy ją przedtem o spódnicę. — Co słychać? — zapytała i ciągnęła dalej śmiało: — Tu w każdym razie jest przyjemniej niż w pańskim lochu w lesie.

— Sabine — powiedział Jakub łagodnie. — Czasem widzi się rzeczy, które w ogóle nie powinny istnieć. — Dziewczynka pospiesznie skinęła głową. — I dlatego siedzimy tu tylko w trójkę: ty, Alfons i ja. Prócz nas nie ma nikogo. '

- Jasne — Sabine usiadła koło Jakuba. — Tyle się już zdążyłam nauczyć: nie wolno opowiadać każdemu tego, co się wie. Ale tobie opowiem wszystko, jeśli zechcesz.

Alfons pochylił się z uwagą do przodu. — Zdaje się, że przeżyłaś coś szczególnego?

— Skąd to wiesz?

— Widzę to po tobie!

Dziewczynka namyślała się. — Ile czasu pali się właściwie światło?

Oczy Materny zaślniły. Wollnau przyglądał się dziecku ze zdumieniem. Jabłoński podniósł rękę w obronnym geście. Chciał przez to powiedzieć: to dziecko trzeba traktować ostrożnie, wymagam tego!

— Przypuszczam — powiedział Alfons — że mówiąc światło masz na myśli świecę. Jeśli tak, to istotne są dwie rzeczy: jak długa jest ta świeca i jak jest gruba.

— Jest to zwyczajna świeca, może ma siedem centymetrów długości — powiedziała Sabine.

— Wobec tego będzie się paliła trzy i pół godziny — oznajmił Materna.

Sabine zdawała się liczyć w napięciu. Została ona zapalona po południu, tuż przed czwartą. A więc będzie się paliła mniej więcej do wpół do ósmej. Czy to już niedługo?

— A gdzie widziałas taką świeczkę?

— U Fritza Fischera.

Obecni dowiedzieli się, że Sabine śledziła Fischera na polecenie Jakuba. Zobaczyła przy tym, że rozrzucił on w swojej oborze, przylegającej do domu, suchą słomę i polał ją naftą. Wetknął w to świecę. Następnie udał się do wsi na przedstawienie związane z nadaniem imienia.

— To niesłychane — powiedział Wollnau przerażony.

— Jest to równie prymitywna co skuteczna metoda — stwierdził Materna obojętnie. — Wielokrotnie wypróbowana u nas na Mazurach i diabelnie pewna.

— Jeśli ten głupiec koniecznie chce osmalić sobie tyłek, dłaczegóż mielibyśmy mu w tym przeszkadzać? — powiedział Jakub wściekły.

— Nawet gdybyśmy chcieli — Materna spojrział na zegarek — jest już i tak za późno.

W gospodzie Scharfkego następowały po sobie kolejne punkty programu. Odbywały się korowody taneczne; pierwsze pary zaczęły się odłączać; radośnie hałasujące grupy otaczały ladę. Już wczesnym

wieczorem pierwsi goście byli na wpół przytomni — oznaczało to piękny sukces.

Jedna z większych atrakcji tego niepowtarzalnego święta nazywała się transport trupów. Było to najbardziej rozweselające widowisko całkiem pijanych mieszkańców wsi kładziono na blat stołu i przyśpiewie sprośnych piosenek transportowano do domu. Ceremonią kierował Fritz Fischer.

— Wynieść trupa! — rozkazał Fischer i sześciu kolegów z SA wzięło na ramiona blat stołu z pijanym. — Wyrzucić trupa! — i ofiara zsuwała się gładko, jak podczas pogrzebu na pełnym morzu, w dół na stos gnoju. Ceremonii towarzyszył śmiech zachwytu.

— Melduję siódmego trupa! — oznajmił Fischer z dumą.

W sali zaczynały się pierwsze tańce z przytupem. Mężczyźni i kobiety którzy chcieli wziąć udział w tańcu, ustawiali się jedno za drugim, Każdy widział przed sobą tylko plecy. Wielki bęben wybijał takt. Reszta instrumentów słabo zawodziła monotonną melodię. Podłoga sali dudniła głucho, a ze szpar w podłodze niczym mgła unosił się kurz.

— Zawracać! — wołał Neuber, który odgrywał rolę wodzireja.

Tancerze odwracali się z pijacką ślamazarnością. Wyciągnięte ręce obejmowały gorące od potu ciała partnerek; kobiety piszczały.

— Iz powrotem!

Jedna para upadła na podłogę. Dwie następne zwały się. Wkrótce utworzył się gęsty stos, z którego wystawały nogi, a także ręce. Ręce jednak zaraz znów się zanurzały. Piski przerodziły się w namiętne okrzyki podniecenia.

— Sukces na całej linii! — wołał Fritz Fischer uszczęśliwiony. Patrzył przez okno na jezioro. Horyzont zdawał się czerwieniec obiecująco.

Eugen Eis natomiast przyglądał się temu widowisku, obojętnością. Jego postawa świadczyła, że był ponad to. Niskie uciechy jego rodaków były mu obojętne.

Nie dlatego, że się zestarzał — ale on po prostu zebrał już pewne doświadczenia. Jego żona go zdradzała. Kiedyś będzie musiała za to zapłacić. Córka Scharfkego, której zawdzięczał niezapomniane przeżycia, przeniosła się do miasta. I choć inne kobiety zabiegały o jego względy, nie miał im nic do zaoferowania. I tak było dobrze. Rozkoszował się swoją wolnością.

— Przyjaciele, towarzysze, koledzy! — zawołał do Neubera i Fischera — Stanowimy nierozzerwalną wspólnotę, żeby nie wiem co.

Ale w tej chwili rozległ się przeraźliwa głos: — Pali się!

— Gdzie? — zapytał Eis drętwiejąc.

— W kierunku jeziora!

Fritz Fischer starał się okazać przerażenie. — Ale chyba nie u mnie?

— Zdaje się, że właśnie tam!

Eugen Eis zdjął powoli ręce z ramion swoich wasali. Pełen złych przeczuć spojrzął na Fischera. Ten otworzył usta. Zdawało się, że szuka właściwych słów; była to reakcja, którą starannie przygotował.

— Alarm! — rozległy się skrzeczące głosy.

Pospiesznie opróżniono kieliszki. Pary się rozłączały. Mężczyźni klęli. Muzyka umilkła.

— Pożar u Fischera! — wołano.

Eugen Eis chwycił Fischera i zaciągnął go do najbliższego kąta. — Człowieku, czyżbyś miał odwagę wykorzystać w ten sposób moją niepewną sytuację?

Fritz wyrwał się. — A jeśli ja także ostatnio, z twoją pomocą, się ubezpieczyłem, czy to ci coś mówi? Czy ty naprawdę sądzisz, że ja bym...

— Owszem!

— A jeśli nawet! Skoro ja tak samo jak ty wykorzystałem sposobną okazję, to przede wszystkim ty powinieneś to zrozumieć.

- Jesteś świnią — oświadczył Eugen bez wielkiego przekonania.

III

Nikt nie wie, co go czeka.
Na gnoju mogą wyrosnąć róże,
ale nadmiar nawozu spowoduje gnicie.

Zaledwie kilka dni po tych wydarzeniach zjawił się w Maulen mężczyzna o prostym nazwisku Meier. Willi Meier. Był średniego wzrostu i chudy jak śledź. Miał gładką twarz sprzedawcy i poruszał się jak dżokej bez konia. Jego głos brzmiał jak głos fryzjera w czasie namydlania klienta.

Ale ten obraz był mylący. Ci, którzy go już znali, w uproszczeniu choć trafnie nazywali go Meierem-Trupiarzem.

Przywieziono go czarnym jak trumna mercedesem. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn, przypominających dębowe szafy. W milczeniu obstawili szefa, który wyglądał między nimi jak laska spacerowa. Oni nie potrzebowali myśleć — to załatwiał za nich Meier. On natomiast nie potrzebował brudzić sobie rąk — to załatwiali za niego oni. W ten sposób tworzyli idealną wspólnotę.

Eis przyjął mężczyznę nazwiskiem Meier z gorliwą nieświadomością, zwłaszcza że gość sprawiał wrażenie sprzedawcy odkurzaczy. Jednakże przybył on z Królewca; tego faktu nie należało lekceważyć. Dlatego też padło na pół przyjazne pytanie: — Czy mogę coś dla pana zrobić?

— Być może. — Meier uśmiechnął się niemal chłopięco. — Przybyłem tu z polecenia gauleitera. — Błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni. — Oto moja legitymacja.

Eugen Eis przyglądał się nieufnie papierowi. Widział na nim podpis, który już znał: Erich Koch, gauleiter. Z trudem zapytał:

— Po co pan tu przybył?

— Mam tu zbadać pewne zdarzenie — oznajmił Meier serdecznym tonem.

Eugen Eis uznał, że głos Meiera brzmi przyjemnie i że jego różowa gładka twarz sprawia niewinne wrażenie. Przypuszczalnie wysłano do Maulen lepszego gońca. — Wobec tego serdecznie witamy! Wysłannik gauleitera może być pewien wszelkiej niezbędnej pomocy z mojej strony,

— To świetnie — powiedział Willi Meier — w stosownej chwjb

chętnie wróć do proponowanej mi pomocy. Ale najpierw sprawa zakwaterowania. Dla moich towarzyszy wystarczą dwa pokoje w gospodzie. Ja sam wolę schludną kwaterę prywatną.

Eugen Eis zdawał się rozumieć. Ten dzielny chłopak przywiązywał wagę do wygody, dobrej opieki i znakomitego wyżywienia. Powinien to mieć. — W moim domu... — zaczął.

— Zgoda — powiedział Meier szybko. Zamyślony przyglądał się przy tym swoim paznokciom.

Willi Meier uchodził za jednego z najskuteczniejszych funkcjonariuszy gestapo. Jego specjalnością było rozstrzyganie trudnych i nieprzyjemnych spraw, o których opinia publiczna niekoniecznie musiała wiedzieć.

— Czy nie jest pan ciekaw, dlaczego tu jestem? Zapewne tak. Pańskie sumienie jest czyste. Przejdźmy więc od razu do rzeczy. Pomówmy o Maternie. Co pan o nim sądzi?

— To cholernie szczwany lis!

— Ponieważ udało mu się zostać pańskim teściem?

Eugen spojrział nieufnie. Ale najwidoczniej ten Meier żartował. Nie ma powodu do niepokoju. — Co ten świntuch tym razem zmalował?

— Donos — powiedział Meier — który w dodatku wywołał duże wrażenie w okręgu.

Eugen Eis starał się zrozumieć, o co chodzi. — Ten Materna to lepszy intrygant, on mnie chce pozbawić dziedzictwa.

— To mnie nie interesuje — rzekł Meier nieprzyjaźnie. — Istotne jest tylko to, że ten Materna napisał takie pismo do prokuratora, że ten aż spadł z krzesła. Z trudem się pozbierał i poszedł do swego zwierzchnika. Ten znów udał się dalej, do wyższej instancji. I ta wędrowka trwała tak długo, aż cały ten stos dynamitu dostał się w moje ręce. I oto jestem.

— Z powodu pożarów? — Eis zobaczył, że Meier skinął głową. — W tej sprawie mogę panu udzielić obszernych wyjaśnień.

— Może później. Nie możemy działać zbyt pochopnie.

— Rozumiem. — Eugen Eis odetchnął z ulgą. On się zna na ludziach; ten człowiek o gładkim uśmiechu fryzjera chciał najpierw wyprostować nogi i napełnić kądun. — Proszę ze mną.

Meier obejrzał zaproponowany mu pokój gościnny. Dom Eisa został zbudowany i urządzony na koszt partii. Był bardzo porządnym, w stylu współcześnie wiejskim. Solidna swojskość.

— Mam nadzieję, że będzie się panu u mnie podobało — powiedział — Wielu kreisleiterów czuło się tu dobrze.

Willi Meier sprawiał wrażenie zadowolonego. Oczywiście, mieszkał już w lepszych warunkach, na przykład w Parkhotel w Królewcu, kiedy badał działalność pełnomocnika okręgu do spraw gospodarki i handlu. I to z powodzeniem; oficjalnie pełnomocnik popełnił samobójstwo po złożeniu zeznań.

— Czy poduszka jest odpowiednia? — zapytał od drzwi głos, który Meier z miejsca określił jako wielce obiecujący. Był to głos Brigitte.

— Ważny jest kształt poduszki. Czy woli pan twarde posłanie? Wówczas jest lekki sen — tak mówią.

— Moja droga małżonka — przedstawił Eugen Eis Brigitte. — Będzie się panem zajmowała, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Gdzieżbym śmiał? — Meier-Trupiarz podniósł w górę ręce. Były blade, cienkie, jakby przejrzyste, popuchnięte w stawach.

— Powinien się pan u nas dobrze czuć.

— Pod każdym względem — uzupełniła Brigitte.

— To mi znacznie ułatwi wykonanie zadania — zapewnił Meier zadowolony.

Fritz Fischer zdawał się ostatnio słyszeć, jak trawa rośnie; Wyszkolił także swoich SA-manów na mężów zaufania. Meldowali mu każde spostrzeżenie. Dowiedział się więc bardzo szybko, że w Maulen pojawiły się ważne fiske.

Wskoczył na motocykl — służbowy pojazd, BMW, kolor stalowy, pojemność pięćdziesiąt centymetrów — i popędził, wznosząc za sobą dekoracyjną chmurę kurzu, do kancelarii partii. Tu udał się do pokoju ortsruppenleiters i zapytał: Jest dla mnie robota?

— Przychodzisz jak na zawołanie! — Eugen Eis przywitał go serdecznie. — Przybył pełnomocnik z okręgu.

— Czego tu chce?

— Ma przeprowadzić śledztwo w sprawie pożarów.

Fritz Fischer najpierw usiadł. — W porządku, niech sobie przeprowadza. Niech zadaje pytania, ile tylko zechce. — Sęk w tym, jakie dostanie odpowiedzi. Tu jest sedno sprawy.

— Eugen Eis skinął głową. — Jesteś pewien, że pod tym względem wszystko gra?

— Najprościej byłoby zamknąć pysk temu Maternie — powiedział Fischer. — Mielibyśmy raz na zawsze spokój.

— Z pewnością — przyznał Eis, aby sprawić Fischerowi przyjemność; potrzebna mu była teraz zachęta: czekało go niełatwe zadanie.

Z pewnością najlepszym rozwiązaniem byłoby ostatecznie usadzić Maternę. Ale przedtem trzeba by o niejnym pomyśleć.

Po pierwsze, Materna musiałaby sporządzić testament. Sukcesja po nim musiałaby być notarialnie potwierdzona. Do tej chwili Materna musiał być z konieczności nietykalny. Przycisnąć go tak, żeby nie mógł złapać tchu — owszem. Robić mu trudności, aż będzie miał uczucie, że tkwi po uszy w bagnie — czemu nie? Ale dopiero uwierzytelniony podpis mógł spowodować szczęśliwe zakończenie tej sprawy.

— Tymczasem podejmiemy działania profilaktyczne — powiedział Eis. — Spróbuję grać na zwłokę wobec przedstawiciela okręgu, a ty tymczasem rozpracujesz nasze kapuściane głowy.

Fritz Fischer przystąpił z miejsca do akcji; polecenie to bardzo mu odpowiadało. Zamierzał zastosować metodę, którą posługiwał się skutecznie już niezapomniany Johannes Eichler, a mianowicie metodę bezpośredniej perswazji.

Fischer zarządził alarm, wielki alarm, dla całej SA. Mężczyźni nadciągali ze wszystkich stron. Zebrali się w sali gospody. Odbył się specjalny apel. Czterdziestu mężczyzn z Maulen i okolic złożyło meldunek Fritzowi Fischerowi, który przeszedł przed frontem. Popatrzył w energiczne puste twarze.

Następnie zawołał dźwięcznym głosem: — Koledzy! — W ten sposób najważniejsze zostało powiedziane.

Po czym Fischer oznajmił zgromadzonym: — Mam wybitne poczucie humoru. Ale nawet mnie nie jest do śmiechu, kiedy jakieś kreatury mają czelność twierdzić, że nasza SA, a więc my, jesteśmy bandą podpalaczy! Co wy na to, koledzy?

Ogólny pomruk protestu. Oskarżające spojrzenia. Patrzące z niedowierzaniem twarze. Skrzypiący szmer najgłębszej pogardy.

Takiej reakcji Fischer oczekiwał. Szukał jednak starannie kogoś, kto wydawałby się nie dość oburzony. I znalazł takiego w osobie Emila Kopetzkiego. Dotychczas człowiek ten nie odgrywał żadnej roli i dalej miał nie odgrywać. Ale w tej chwili ten Emil, który o niczym nie miał pojęcia, tworzył, by tak rzec, historię w Maulen. Uśmiechał się bowiem w milczeniu przed siebie.

— Co tu jest takiego śmiesznego? — zapytał Fischer ostro.

— To wszystko razem wydaje mi się cholernie komiczne — Emil Kopetzki spojrzał z dziecięco rozbawionym wyrazem twarzy na krąg ludzi stojących w bezruchu. — W gruncie rzeczy to przecież nic takiego, kiedy człowiek podpala swoją budę. Taki ogień to przecież u nas na wsi zwyczajna rzecz.

— To podłość nie mająca sobie równej! — zawołał Fischer z wściekłością.

Wszyscy rzucili się na Kopetzkiego. Najpierw przystąpili do akcji oddani poplecznicy przywódcy SA, inni poszli gorliwie za ich przykładem. Wybuchnął gniew ludu, jak to chętnie nazywano; objawił się w zwykły sposób: pięści i kopniaki. Ktoś splunął.

— Dość! — Fritz spojrział ponuro na zbitego Emila. — Tak się stanie z każdym — co najmniej tak — kto będzie próbował lekkomyślnie plamić nasz honor.

Głośne dziecięce śmiechy rozchodziły się po wsi. Ufne, niczego nie przeczuwające dzieci otoczyły swego wychowawcę Amadeusa Neubera. A między nimi stało stalowe monstrum — armata.

— Ona słyszała Rosjan, których nasz Hindenburg zmusił do ucieczki — oznajmił pedagog. — Był to ten Hindenburg, który w testamencie powierzył Niemcy naszemu ukochanemu wodzowi, Adolfowi Hitlerowi.

Tego rodzaju informacje zdawały się tym razem niezbyt zajmować dzieci. Podniecone, podziwiała kolosa ze stali, który odtąd miał ozdabiać szkołę. Dotykały pękatej lufy, kłocowatego cokołu, na którym spoczywała armata. Jej koła były wielkości człowieka. Żaden wóz we wsi nie mógł się takimi poszczycić.

— Ta armata, przekazana naszym wiernym dłoniom — oznajmił Neuber — ma kaliber dziesięć, przecinek pięć centymetrów. Można z niej było przebić na wojnie każdą ścianę, obojętnie jak grubą.

— A teraz też jeszcze można? — zapytała Sabine, przepychając się do przodu.

— Oczywiście, moje dziecko! — Amadeus przyciągnął dziewczynkę bliżej siebie. Jakby przypadkiem położył jej dłoń na ramieniu. Był to bardzo budujący widok: niez mordowany pedagog i żadna wiedzy uczennica. — Oczywiście, z tej armaty można jeszcze strzelać, jeśli się ma amunicję.

— A jest amunicja?

— Kilka kul. Przewidziane są na uroczystość poświęcenia. Nie są to wszakże tak zwane ostre naboje, tylko takie, którymi strzela się salwy.

— A gdzie one są?

— W skrzyni, a skrzynia stoi w mojej sypialni pod łóżkiem. Chcesz je zobaczyć?

Sabine zdawała się zastanawiać nad tą propozycją, ale była ona

obdarzona zdrowym poczuciem nieufności. I dlatego postanowiła zapytać o to Jakuba. Cofnęła się ostrożnie.

Amadeus Neuber rozkoszował się tymczasem jasnym urokiem młodości — swojej młodzieży! Podniósł dziewczynkę do góry i posadził ją na grubej lufie. Sukienka Sabine powiewała, a dzieci się śmiały.

Neuber otworzył i zamknął zamek; był znakomicie naoliwiony. — To najlepsza precyzyjna robotaf — oświadczył. — Przejęta wprawdzie od Rosjan, ale wyprodukowana w Niemczech, przez firmę Kruppa. Znow można się przekonać, ile świat ma nam do zawdzięczenia.

Podziw dzieci nie miał końca, zwłaszcza że przyjechał Alarich von der Brocken na swoim Adolfie. Zatrzymał konia i przyglądał się monstrum z zainteresowaniem budzącym wspomnienia. — Na co ta armata będzie skierowana? — zapytał.

— Będzie stała przed szkołą. Jako pomnik, a zarazem pomoc naukowa. Chodzi przy tym głównie o symbolikę.

Ale baron rzucił myśl: — Armaty muszą być zawsze skierowane na wroga. Jak pan chce to zrobić? Na wschodzie, gdzie znajduje się nasz odwieczny wróg, stoi szkoła, na zachodzie — gospodą. Północ jest neutralna, a z południem jesteście sprzymierzeni.

To był problem! Baron uśmiechnął się i przyglądał się z zaciekawieniem Amadeusowi Neuberowi. Również dziatwa szkolna patrzyła pytającym wzrokiem na swego wychowawcę — imponowały im słowa o armacie skierowanej zawsze na wroga. Neuber sprawiał wrażenie lekko zakłopotanego.

— Chyba że uważa pan kościół za odpowiedni obiekt — powiedział Alarich.

— To wspaniała propozycja, panie baronie! —zapewnił Neuber pospiesznie.

Teraz Alarich von der Brocken wyglądał na zmieszanego. Czyżby dał się zaskoczyć przez zwykłego wiejskiego nauczyciela? Swoje niezadowolenie przeniósł na Adolfa II. Koń sapał pospiesznie. — Tu nie ma mowy o żadnej propozycji!

— W każdym razie to dobry pomysł, panie baronie. Wprowadzimy go niezwłocznie w czyn.

Neuber pracował teraz jako celowniczy. Ustawiał lufę poziomo i pionowo, kręcąc nią z całym poświęceniem; dzieci uczestniczyły w tym z zapałem. Alarich i Adolf II odjechali.

Pastor Bachus stał w drzwiach kościoła i patrzył, jak groźna armatnia lufa zaczęła się ruszać — najpierw została skierowana w górę, potem na niego. Zdawało mu się, że widzi wylot działa. Kula

teraz wystrzelona trafiłaby go w piersi, przebiłaby go i roztrzaskałaby drzwi.

— Mój Boże — powiedział Bachus do siebie — do czego to ludzie są zdolni!

Po chwili jednak lufa skierowała się wyżej — ponad jego głowę, na okno nad wejściem. W ten sposób został namierzony środkowy słupek, na którym wspierał się dach kościoła. Gdyby nastąpił strzał, Dom Boży zapadłby się, tak jak to było kiedyś zaplanowane z Remterem w Malborku.

Bachus pobiegł do piwnicy. Drżącymi rękami otworzył butelkę. — Tak nie może dalej być! — jęknął.

— Podoba mi się tu — powiedział Willi Meier do Brigitte, która przyniosła mu śniadanie. — Tu można żyć!

Wdychał zapach chleba; dopiero przed paroma minutami wyjęto go z pieca. Do tego masło — żółte, śmietankowe, delikatne. A nad tym zapach lipy, który rozchodził się z miodu.

Meier zdawał się mierzyć Brigitte wzrokiem — marzycielski wyraz twarzy, pulchne, ledwie osłonięte ramiona. — Chyba nie zamierza mnie pani uwieść? — zapytał uśmiechając się. — A jeśli tak, to co sobie pani po tym obiecuje?

Brigitte odpowiedziała uśmiechem. — Przecież pan nie przybył tu dla przyjemności, pan ma wykonać polecenie.

— Ono może poczekać. To obraca się zwykle na dobre, jak uczy doświadczenie. Jeśli o mnie chodzi, niech się niektórzy kiszą we własnym sosie, aż zmiękną jak masło.

Ujął rękę Brigitte i położył ją na swojej piersi, tak aby kobieta poczuła bicie jego serca. Było całkiem normalnie. — A więc, piękna pani, czego pani w zamian żąda?

Brigitte wyprostowała się. Serce waliło jej jak młotem. — Zapewne, nie słyszał pan nigdy o tym, że coś takiego można robić bez żadnych ubocznych myśli, na przykład z miłości.

— Słyszałem, ale jestem człowiekiem praktycznym. I uważam, że każde świadczenie wymaga rewanżu. Podobasz mi się i sądzę, że ja ci się również podobam. Dlaczegoż mielibyśmy się wahać? Powiedz tylko, jakie twoje szczególne życzenie mam spełnić? Czy chodzi o twojego męża, czy ojca?

Brigitte spojrzała na jego nogi — były jak nogi podlotka: cienkie, zylaste, niemęskie. Wystarczająco męskie natomiast były jego stopy -

miały wielkość butów z cholewami. — Nie jest to piękne, co pan sobie o mnie myśli — powiedziała. — Ale pan, zdaje się, w ogóle nie ma zbyt dobrego zdania o kobietach. A może ja marzę tylko o odrobinie czułości, chociaż na krótko?

Objął ją ramieniem. — Albo jesteś wyrafinowaną babą, albo mówisz prawdę. W każdym razie mam do ciebie słabość. I może się ona utrzymać przez jakiś czas, jeśli będzie zręcznie podsycana. A tego należy się po tobie spodziewać.

Ostrzegawczy przykład, mianowicie spontaniczne ukaranie podstępnego oszczercy przez oburzonych kolegów z SA, zdawał się przynieść spodziewany wynik. Nikt nie miał ochoty doświadczyć czegoś podobnego.

Sam ukarany szybko ujawnił się jako zapoznany człowiek honoru wówczas, kiedy krwawił jak zadzana świnia i kilku kolegów sprawiło mu chłodzenie pod pompą. Oświadczył wówczas ochoczo przed całą SA: — Wstyd mi, jestem łajdakiem, ale żałuję i proszę o wybaczenie.

Fritz Fischer skinął wspaniałomyślnie głową. A ofiara stwierdziła gorliwie: — Gdyby teraz ktoś przyszedł i powiedział, że nasza SA to banda podpalaczy — własnoręcznie spralbym go po pysku!

— Bardzo dobrze! — przytaknął Fischer. — Prawda zawsze się przebiję, ale czasem trzeba jej pomóc.

Fritz Fischer nie marnował ani chwili. Niedługą przerwę na wzmocnienie w gospodzie wykorzystał na to, aby wybać Scharflcego.

- Co wiesz na temat pożarów?

— Nic. Tyle tylko, że się spaliło.

- A jaka była przyczyna?

— Skąd mam wiedzieć? — Gospodarz był pewien, że przejrzał tego diabła i wie, co ten chce usłyszeć. — Wszystkie pożary mają całkiem naturalne przyczyny. Czy myślisz, że ktokolwiek w Maulen zaświadczy o czymś przeciwnym?

Fritz Fischer zostawił go. Następnym na liście był Ignaz Uschkurat. Ten podpisał podsunięty mu dokument bez ociągania. Pragnął tylko, aby zostawiono go w spokoju. — Nic więcej.

Teraz Fischer udał się do pastora Bachusa. Zastał go w ogrodzie, gdzie właśnie pełł rządki z różami. — A więc, panie pastorze, teraz będzie pan musiał przemawiać do sumienia tym autsajderom wielkoniemieckiej społeczności, którzy dziś jeszcze chronią się po kościołach.

Musi pani obudzić w nich świadomość narodową! Już pan zna sposoby przekonywania: kto się nie modli za Führera, ten w ogóle nie ma prawa wzywać imienia bożego. I podobne rzeczy. A przy tym także: kto przypisuje naszej SA podpalanie, ten nie potrafi myśleć po chrześcijańsku, zrozumiano? I to na najbliższym kazaniu.

— Panie! — zawołał pastor z wściekłością. — Za wiele pan ode mnie żąda!

— Żądam tylko tego, co najlepsze! — Fischer wykonał niemieckie pozdrowienie, odwrócił się i wyszedł.

Chciał także porozmawiać z Neuberem, ale ten się wykręcił. — Sam dobrze wiem, co do mnie należy. Czuję się podporządkowany samemu Führerowi.

— Czy zamierzasz mi robić trudności?

Neuber zaprzeczył energicznie. Ale nie pozostawił Fischerowi cienia wątpliwości, że przyświecają mu wyższe cele. — Coś takiego bywa często zapoznane. Jednakże nic nie jest ważniejsze i cenniejsze...

— Marzyciel — powiedział Fischer. Był pewien: dni tego Neubera w Maulen są policzone. A co się tyczy Materny — nim chciał się zająć w następnej kolejności. Tu nikt nie mógł długo i bezkarnie wicherzyć.

Spotkał Maternę we wsi. A ten powiedział, nie pozdrowiwszy go nawet: — Jeśli nie skończysz natychmiast z tym światopoglądowym cyrkiem, przerobię cię na pokarm dla drapieżników.

— Nie boję się pogrózek — odparł Fischer — zwłaszcza jeśli pochodzą od ciebie. Wynoś się stąd czym prędzej, albo przywołam moją SA.

— Gdybyś wiedział, co ja wiem o tobie — powiedział Materna twardo — wilbyś się teraz jak piskorz.

Fritz Fischer zawahał się. Nie chciał się przyznać, ale zaniepokoił go uśmiech Materny.

— No to gadaj — odezwał się wreszcie.

Materna wyliczył teraz, co się zdarzyło w dniu, kiedy odbywały się chrzciny u Eisa. A więc: Fischer wszedł do kuchni w swoim domu dokładnie o godzinie trzeciej dziesiąt po południu; wziął z szuflady świecę. Następnie udał się do szopy. Była trzecia piętnaście. Tu polał przygotowaną słomę naftą z dziesięciolitrowej bańki i pośrodku umocował świeczkę.

— Wyssałeś to sobie z palca! — wykrzyknął Fischer w panice. -To twoja metoda!

Jest na to świadek.

Fischer przestraszył się: te szczegóły mógł znać tylko ktoś, kto go dokładnie obserwował. Tym sposobem Materna miał go w garści.

— A zatem zgadzamy się co do jednego — powiedział Alfons. — Jeśli natychmiast nie zaczniesz się zachowywać w Maulen przyzwoicie, wsadzę cię za kratki.

Fritz Fischer zgrzytał zębami, gdy pozostał sam. Oparł się o ścianę domu, niemal bez sił.

— Tak nie może być — mruczał. — Muszę mieć tego świadka, żeby mu przemówić do sumienia. Ale boję się, że to nie będzie łatwe.

— Stoimy przed ciężkim zadaniem — zwierzał się Fritz Fischer swoim zaufanym ludziom z SA. Stafo ich pięciu wokół niego — wyprostowani, z bohaterskim błyskiem w oczach, gotowi do wielkich czynów.

— Na naszym terenie — powiedział — grasuje podstępny typ.

— Zniszczymy go! — zapewnił z zapałem jeden z mężczyzn.

— Znajdziemy tę świnię, choćbyśmy mieli postawić na nogi całe Maulen — stwierdził sturmführer Fischer. — Ktoś tu węższy potajemnie i podstępnie.

— W grę może wchodzić tylko Buttgereit — powiedział Bubi Kusche. — Ten rzeczywiście węższy na wszystkie strony. Nie można się nawet spokojnie napić piwa — zaraz zjawia się Buttgereit i plecie o końcu świata.

SA-mani skinęli głowami potakująco. — On wtyka swój nos nawet przez otwarte okna sypialni — powiedział ktoś inny. — A prócz tego przesiaduje z tym Materną! Napycha u niego swój kałdun i smrodzi, ile się da. Niedługo nie będzie można w Maulen pierdnąć, żeby się Materna o tym nie dowiedział.

— Precz z nim! — zawołał Fischer z triumfem.

Przywleczono Bruna Buttgereita, wiejskiego proroka. Popatrzył na zebranych, ale jakby ponad nimi. Dziwny spokój malował się na jego twarzy. Wszyscy zamilkli na chwilę, kiedy go zobaczyli.

— Heil Hitler! — powiedział wreszcie Fischer wyzywająco, a jego ludzie uśmiechnęli się zadowoleni. — Słyszałeś, Buttgereit? Powiedziałem: Heil Hitler!

— Bóg z wami — odrzekł Buttgereit.

Wybuchł rżący śmiech. Fischer i jego piątka odskoczyli na bok i rozdziawiali gęby; jeden z nich trzymał się nawet za brzuch, aby pokazać, że pęka ze śmiechu.

— Buttgereit — zapytał Fischer — dlaczego jesteś naszym wrogiem?

— Wcale nie jestem — odparł Buttgereit. — Mój światopogląd każe mi kochać wszystkich ludzi. Ale nie mogę kochać wszystkich z jednakową siłą. Być może jest to wystarczająca wina.

Dla towarzyszy Fischera było to całkiem niezrozumiałe, a dla samego Fischera oznaczało wrogą religijną paplaninę. Zapytał zuchwałym tonem: — Czy uważasz, że to ja jestem podpalaczem?

— Tak — powiedział Buttgereit cicho. — Ale i tobie Bóg wybaczy, albowiem jego dobroć jest nieskończona.

Zapanowało milczenie, jakby gdzieś wymiotło udawaną wesołość.

Fischer dał znak swoim podopiecznym. Jego głos brzmiał teraz niemal smutno, ale oczy mu lśniły. — A więc w twoich oczach jesteśmy świnię?

— Tego nie powiedziałem.

— Ale pomyślałeś, to jeszcze gorzej! Bo świadczy o twojej podstępności. Nie możemy czegoś takiego tolerować. Ten, kto nas zniesławia, zniesławia także Führera. On i my to jedno; on sam tak powiedział. A ty jesteś jego wrogiem, Buttgereit!

— Nie ma się co dłużej ceregielić — zawołał jeden z mężczyźni.

Fritz Fischer zdradzał wielkie wzburzenie.

— Buttgereit — zawołał — jeśli ci życie miłe, powtarzaj teraz, co ci każę. A zatem wyznaj: sram na mojego żydowskiego Boga i jestem podległy tylko naszemu Führerowi!

Bruno Buttgereit powiedział ochryplym głosem: — Sram na waszego Führera i wyznaję wiarę w Boga, naszego Pana!

Po tych słowach wszyscy rzucili się na niego i bili go tak długo, aż zmarł.

Trup leżał u ich stóp; przyglądano mu się z dławiącym uczuciem wstrętu. — Dobrze mu tak! — powiedział jeden z mężczyzn niepewnym głosem.

— Nie chcieliśmy tego — oświadczył Fritz Fischer — ale nie mieliśmy innego wyjścia. Był to akt moralnej samoobrony.

— Poza tym — rzekł dobrze wyszkolony, niewątpliwie dojrzały do awansu Bubi Kusche — ten człowiek był słabszy, niż sądziliśmy. Tych parę razy to naprawdę wcale nie tak wiele. Prawdopodobnie zmarł na atak serca.

Fritz Fischer był pewien, że niebezpieczny świadek jego podpalenia przestał istnieć. — Jego Bóg w każdym razie mu nie pomógł. A my zrobiliśmy dobrą robotę. Znów o jednego wroga Führera mniej.

Wiadomość o nagłej śmierci Buttgereita dotarła do Materny, kiedy stał w stodole i wymieniał noże w swojej sieczkarni. — Atak serca? — zapytał po paru sekundach namysłu.

Jakub Jabłoński skinął głową. — Atak nastąpił w bliskim kręgu kolegów z SA.

Materna znał Buttgereita tylko powierzchownie. Imponowały mu jego odwaga i prawość; nie rozumiał nic z jego poglądów religijnych. Wiedział tylko tyle: należy szanować to, co czyni człowieka szczęśliwym albo chociaż zadowolonym. Przede wszystkim nie zmuszał nikogo, aby był szczęśliwy na jego modłę.

— Czy jest już urzędowy wynik oględzin?

— Z pewnością — powiedział Jakub. — I znów wszyscy są zgodni: żandarm ze swoim śledztwem, lekarz ze swoją obdukcją i ortsguppenleiter ze swoimi zeznaniami — śmierć na skutek ataku serca.

— A ty w to wątpisz, Jakub.

— Z zasady nie wierzę tym szakalom.

Materna przejechał kciukiem po ostrzu noża. Był faktycznie ostry. Powiedział przy tym: — Powinieneś się bardziej zainteresować swoją małą przyjaciółką Sabine.

— Myślisz, że ona wie, gdzie tu śmierdzi?

— Jeśli ktokolwiek wie, to tylko ona — powiedział Alfons pewnie.

Nagła śmierć Buttgereita zdawała się nie wzbudzać w Marlen zbyt dużego poruszenia. Pisarz gminny powiedział: — Ten natrętny chłop nie był całkiem normalny. — Uschkurat wzruszył tylko ramionami. A pastor Bachus oświadczył: — Oddalił się od Kościoła, mimo to będziemy się za niego modlili.

Eugen Eis sprawiał wrażenie obojętnego. Miał w istocie inne smartwienie: Willi Meier, szpicel z okręgu, przebywał w okolicy już dwa dni, i to w towarzystwie Brigitte. Rzekomo w celu porządkowania dokumentów. Eis aie był pewien, czy powinien swojej żonie zagrozić batem, czy też rozsądniej będzie pochwalić jej chęć działania. To stanowiło jego problem.

Tymczasem Sabine Gäbler, córka żandarma, okazała się dobrze poinformowana. Jak się Materna spodziewał. Słyszała rozmowy, jakże się odbywały w biurze jej ojca. Zaglądała nawet do akt, a pamięć miała znakomitą.

— Dziewczyno! — zawołał Materna z uznaniem. — Jesteś bardziej niezawodna niż stenograf w Reichstagu!

To stwierdzenie pochlebilo Jakubowi, a to znów ucieszyło Sabine. Jej ojciec był suchym urzędniczyną, ciotka, która miała jej zastąpić

matkę, nie kiwnęła nawet palcem ponad to, co było konieczne. Jabłoński zastępował jej wszystkich. Przy nim Sabine nauczyła się łowić ryby, ścinać róże, czyścić konia zgrzeblem, rozróżniać trawy, tresować psy i jeszcze tysiąc innych rzeczy. On był jej światem. I to co ona wiedziała, wiedział również on.

I tym razem było tego niemało. Materna dowiedział się więc, że to Fischer wraz z pięcioma towarzyszami był odpowiedzialny za śmierć biednego Buttgereita. Sabine wymieniła nazwiska wszystkich pięciu.

— Morderstwo — powiedział Materna błady z wściekłości — i to nie pierwsze! Buttgereit wierzył w swojego Boga, a takie coś ostatnio staje się niebezpieczne dla życia. Ale zapamiętamy to sobie i pewnego dnia, kiedy nadarzy się okazja, wrócimy do tego.

— I myślisz, że w tej chwili to już wszystko?

Materna zaczął bez słowa ostrzyć noże swojej maszyny.

Następnego dnia po tym zdarzenia Eugea Eis przebywał kilka godzin u pierwszej kobiety wsi, jak mówiono — Margarete Eichler, najbogatszej wdowy w okolicy.

— To ładnie z pana strony, Eugen, że zainteresował się pan taką starą kobietą jak ja.

Eugen zaprotestował zgodnie z oczekiwaniem. I to nawet goręcej, niż można było się spodziewać. — Szanowna pani. Jak okiem sięgnąć, nie ma nikogo, kto byłby godny podać pani szklankę wody.

— Pan jest zawsze taki uważający.

Eugen wziął do ręki kieliszek napełniony lepkiem likierem, który mógł wywołać mdłości w mazurskich gardłach. On jednak powąchał dzielnie słodki płyn; udało mu się ukryć wstręt. Dla niego było jasne: mógłby mieć Margarete w każdej chwili — jej gotowość wydawała mu się oczywista. Nie tylko dlatego odwiedzał ją z zasady tylko w dzień. Na razie. Albowiem jeszcze nie mógł się zdecydować: dziedzictwo Materny czy posag Margarete. To właśnie świadczyło o jego dominującej pozycji we wsi — mógł wybierać. Tak czy siak — Maulen wcześniej czy później będzie do niego należało.

— Czy jest pan szczęśliwy z Brigitte? — zapytała Margarete.

Eugen wykonał ręką ruch, który mówił: cóż to jest szczęście?

Oczywiście — oświadczył po chwili — Brigitte jest pani córką, ale także niewątpliwie córką Materny. Śmiem jednak wątpić, że odziedziczyła pani zalety.

Wkrótce potem Eis pożegnał się grzecznie. - Zrobił swoje. Jak na skrzydłach pospieszył do domu. Przybył najwidoczniej w samą porę:

pod drzwiami stał czarny mercedes Willego Meiera. Ale nie było widać ani jego, ani Brigitte. Eugen przyjął to jako dobrą zapowiedź.

Otworzył ostrożnie drzwi, zdjął w sieni buty i przemknął w brązowo-żółtych skarpetkach, jak Indianin — on również czytał swego Karola Maya — do pokoju gościnnego. Tu nasłuchiwał w napięciu.

Tak jak się spodziewał, usłyszał głos swojej żony. Brigitte śmiała się jasno, ale nie dość jasno. On znał wszystkie odcienie jej śmiechu. Dopiero w chwili szczytowej wybuchała dźwięcznym śmiechem. Jeszcze więc do tego nie doszło.

Eugen nie był ani niespokojny, ani wzburzony, To, co się działo za drzwiami, było mu obojętne z ludzkiego punktu widzenia; interesowała go raczej polityczna strona tego faktu.

— Pasujemy do siebie, prawda? — Był to pewny siebie głos Meiera. — Jesteśmy jakby stworzeni dla siebie.

Eis skinął głową z uznaniem — Brigitte знаła się na rzeczy. Ale jako żona przestała dla niego istnieć już od jakiegoś czasu; od kiedy on poświęcił się partii, ona zeszła na dalszy plan.

Znów usłyszał jej śmiech — tym razem dźwięczniejszy. Nie mylił się: śmiech rozkoszy po krótkiej przerwie zamienił się w jęk; również łóżko zaczęło trzeszczeć zgodnie z oczekiwaniem.

Dopiero po sześćdziesięciu—siedemdziesięciu sekundach Eis wkroczył do akcji. Nacisnął klamkę, przy czym stwierdził, że Brigitte nie uważała nawet za konieczne zamknąć drzwi jak zazwyczaj.

Eis otworzył i ujrzał to, czego się spodziewał. Powiedział tylko: — O, przepraszam! — Następnie zamknął drzwi, jak gość hotelowy - który pomylił numer pokoju.

To było wszystko. Najwyraźniej zadowolony Eis wyszedł, przekonany o tym, że właśnie stoczył ważną bitwę.

IV

W gęstych bajorach żaby kumkają najchętniej.
Ale one wabią bociany.

— Myślałem o pańskiej inicjatywie — powiedział radca stanu Wollnau. — Sądzę, że istnieje całkowicie legalna możliwość założenia niewielkiego, ale mocnego prywatnego przedsiębiorstwa.

Materna machnął ręką. Siedział w kącie swej dużej izby. Miał otwartą książkę, ale nie czytał. Nie wykazywał także chęci do rozmowy; dręczyła go myśl o śmierci Buttgereita.

— Pański pomysł wydawał mi się początkowo absurdalny — powiedział Wollnau. — Ale stopniowo stawało się dla mnie jasne, że jest on wprost genialny.

— On jest idiotyczny — wybuchnął Materna — idiotyczny jak prawie wszystko, co się tu robi. Bo my mamy tu do czynienia nie ze zwykłymi przestępcami, lecz z chorymi umysłowo kryminalistami!

Wollnau, który siedział przy stole i przeglądał księgi handlowe Materny, nawet nie oderwał od nich wzroku, tylko powiedział spokojnie: — Pan nie jest tu winny.

— Ach, gdzie tam! — zawołał Materna pospiesznie. — Gdybym nie, powiedział Fischerowi, co wiem na temat pożaru, Buttgereit żyłby. To pewne.

Wollnau porównywał ze sobą dwa rachunki. Kombinował właśnie, jak Maternie oszczędzić kilkuset marek podatku. — Czyżby był pan zmęczony? Czyżby szukał pan pretekstu, aby się wycofać?

— Mówi pan do mnie teraz jak Jakub Jabłoński. Niech pan się lepiej martwi o moje księgi handlowe.

— Pańskie rachunki nie nastęrczają mi żadnych kłopotów — powiedział Wollnau uprzejmie. — Niepokoi mnie tylko pański nastrój przygnębienia po śmierci Buttgereita. Poza tym obawiam się, że moja obecność w pańskim domu obciąża pana, Jeśli chce pan z tym skończyć, co absolutnie rozumiem...

— Pan tu zostanie — rzekł Alfons zdecydowanym tonem.

Przynajmniej dopóki nie uporządkuje pan moich papierów; Poza tym jutro albo najpóźniej pojutrze będzie pan miał towarzystwo.

— A więc nie zamierza pan przestać? — zapytał Wollnau z widoczną satysfakcją. — Nie myśli pan o tym...

— Moje przedsięwzięcie transportowe to teraz mój ulubiony sport.

— Materna poprawił się niespokojnie na krześle. Po chwili powiedział:

— A więc, jak pan sobie wyobraża te legalne możliwości? Co pan wymyślił?

— Bagna, panie Materna, które znajdują się pomiędzy pańskim lasem a jeziorem, należą przecież do pana?

— Tylko częściowo, jedna trzecia należy do Gross-Siegwalde, a więc do barona.

Wollnau skinął głową. Wyciągnął szkic, który sporządził przy pomocy Jabłońskiego, rozpostarł go na stole, następnie przysunął do Materny. — Powinien pan ten teren osuszyć.

— Coś takiego kosztuje majątek! I potrzebny jest do tego cały zastęp siły roboczej!

— Właśnie o to chodzi!

Materna zamilkł. Przyglądał się szkicowi uważnie. Wreszcie zapytał cicho: — Myśli pan, że to się uda?

— Chodzi o to, żeby się zwrócić do właściwych czynników. Dawno temu, kiedy byłem jeszcze kimś, sam załatwiałem podobną sprawę.

— Oczywiście, tak można! — zawołał Materna z nagłym przyływem energii. — Ale baron się zdziwi! Tak, taki projekt był mi potrzebny. A więc nie pozostaje mi nic innego jak wziąć się do roboty.

Willi Meier leżał nieco zmęczony, ale odprężony obok Brigitte. - Twój mąż powiedział tylko przepraszam — zastanawiał się — i nic więcej. Co to znaczy? Czy on zawsze tak reaguje?

— W taki sposób po raz pierwszy.

A jak zazwyczaj?

Brigitte wstała. — Chyba nie myślisz, że coś takiego zdarza się często?

Meier wolał nie odpowiadać na to pytanie. — Czy on chce ode mnie czegoś konkretnego? — zapytał niecierpliwie. — Możesz mu śmiało powiedzieć, że pod tym względem jestem wspaniałomyślny i przychylny.

— Cóż on nas obchodzi — stwierdziła Brigitte podniecona.

Willi Meier miał nie tylko szczęście do kobiet, miał także dużą wiedzę prawniczą. I ta wysuwała się zdecydowanie na czoło. Po pierwsze, zdrada małżeńska. Po drugie, nadużycie stanowiska, w zależ

ności od interpretacji. Przy zręcznej zagrywce można sprawę przedstawić jednoznacznie — jako protekcjonizm.

Z drugiej zaś strony Meier nie wyobrażał sobie, że Eugen Eis będzie mu chciał podstawić nogę. On się tak łatwo nie potknie.

— Wobec Eugena trzeba być zawsze nieufnym — powiedziała Brigitte. — Odkąd nie pozwałam mu zbliżać się do siebie, odczuwa wobec mnie jedynie nienawiść.

— Czy istotnie tak jest? — Na gładkim zazwyczaj czole Meiera pojawiły się dwie ostre, głębokie, pionowe bruzdy. — A ty?

— Ja nim gardzę!

— A więc to tak — stwierdził Meier zaskoczony. Musiał sobie teraz zadać pytanie: w co ja się wplątałem? A na początku wszystko sprawiało wrażenie harmonii. — Czyżby Eis próbował mnie ukradkiem dopaść?

— O ile cię znam, Willi, już ty sobie z tym poradzisz. Nawet gdyby Eugen nie był sam w drzwiach, bo on ma zawsze tuziny świadków, jeśli zechce. Ale do ciebie nie dorósł, prawda?

Willi odsunął Brigitte, szybko wstał i ubrał się. Była najwyższa pora, aby coś przedsięwziąć.

— Muszę go wypróbować.

- Zrób z nim porządek! — zawołała Brigitte zachęcająco.

W końcu tygodnia zjawili się w Maulen Konrad i Peter, tym razem już w piątek po południu. Zostawili swoje niewielkie walizki w domu pastora i od razu udali się do Materny. Zamierzali tam rozerwać Hannelore Welser wesołą rozmową.

Ale na placu zastąpiła im drogę jasnooka dziewczynka o długich jasnych włosach i zadartym nosie, imieniem Sabine. — Co wam się tak spieszy? — zapytała. — Widzieliście już naszą najnowszą zdobycz? — Wskazała na armatę, która stała przed szkołą.

— Wyranżerowany wrak z zamierzchłych czasów — powiedział Peter Bachus. — Nadaje się najwyżej dla psów, które nie chcą sikać na drzewo.

— W każdym razie strzelać z tego raczej się nie da — dodał Konrad Klinger pewnym siebie tonem.

— Właśnie, że się da! — oznajmiła Sabine. - Jest do tego nawet amunicja.

— Co małe dziewczynki mogą wiedzieć o takich sprawach - powiedział Peter Bachus pobłażliwie.

— Nie jestem małą dziewczynką! — zawołała Sabine wzburzona
— Jestem prawie tak samo dorosła jak ty! Tylko więcej wiem.

— Naprawdę? — Konrad odsunął przyjaciela lekko na bok. —
A gdzie jest ta amunicja?

— U Neubera, w skrzyni pod łóżkiem — powiedziała dziewczynka
z zapalem, przy czym zwracała się tylko do Konrada. — Ale to jest
amunicja do salw honorowych. Trzeba ją najpierw przerobić na ostrą,
jeśli się chce ją właściwie użyć.

— Ta mała mówi całkiem mądrze jak na swój wiek — powiedział
Peter Bachus z zadowoleniem. — Ale ona nas tylko zatrzymuje,
a przecież mamy coś lepszego do roboty. — I pociągnął przyjaciela
za sobą.

— A podobno były z was kiedyś sprytnie chłopaki.

— Ale niestety nigdy nie byliśmy specjalistami od ostrych naboí —
powiedział Konrad.

— Jesteście obaj fajtłapy! Może nawet robicie w majtki ze strachu!
— zawołała za nimi Sabine.

Pospieszyli się, aby zejść jej z oczu. — Ta cała jej mądrość to robota
Jabłońskiego — snuł domysły Peter.

— Być może — powiedział Konrad — my też dużo się od niego
nauczyliśmy.

Kiedy potem roześmiani przybyli do domu Materny, Hannelore stanęła
w drzwiach i powiedziała: — Już na was czekałam.

— To świetnie! — zawołali chłopcy.

— Możecie mi pomóc przy obieraniu ziemniaków.

-Takie wymaganie było czymś normalnym. Mogli w ten sposób
nadskakiwać Hannelore, choć tylko wspólnie. Żaden z nich bowiem
nie zostawiał kolegi sam na sam z dziewczyną. Starali się obaj być jak
najbardziej poprawni, nie udało się jednak uniknąć rywalizacji -
gotowi byli harować jak woły robocze, aby tylko przypodobać się
dziewczynie. Rezultat mógł wzbudzić zachwyty.

— Masz ładne ręce — zapewnił Peter.

A Konrad dodał — Nie tylko ładne, ale i niezawodne.

— Nigdy jeszcze nie widziałem takich rąk.

- Bo są tylko jedne takie, to jasne!

Hannelore uśmiechnęła się do Jakuba, który rozsiadł się w kuchni.
— Kiedy się tak na was patrzy — powiedział — można by sądzić,
jesteście pożytecznymi członkami wielkoniemieckiej społeczności -
tak głupie twarze macie niekiedy.

Peter i Konrad próbowali się nawzajem prześcigać nawet przy

obieraniu kartofli. — Nie przeszkadzaj nam, Jakubie — powiedział Peter. — Zajmij się lepiej swoją Sabine. Ona ostatnio wygaduje straszne głupoty.

— To niemożliwe! — zawołał Jakub oburzony. — Wszystko, co ta dziewczyna mówi, ma ręce i nogi.

— Również to z amunicją do armaty?

— Ona ma pomysły — zapewnił Jakub z dumą — Od Sabine można się niejednego nauczyć.

— Być może — powiedział Konrad zamyślony — ale w wypadku armaty jej fantazja przechodzi granice. Aby to monstrum uruchomić, potrzebny jest fachowiec.

— Fachowiec od materiałów wybuchowych? — zapytał Jabłoński przeciągle. — Może ja mógłbym pomóc?

— A ty się na tym znasz?

— Prawie wcale, mówiąc szczerze. Ale w końcu mam swoje kontakty. I chętnie je wykorzystam, aby sprawić radość małej Sabine:

Przed południem następnego dnia — była to sobota — Alfons Materna udał się do Gross-Siegwalde. Jechał na rowerze, który kiedyś należał do jego przyjaciela Grienspana.

Elisabeth, siostra barona, powitała gościa serdecznym uśmiechem, jakby na niego czekała. — Jest pan tu zawsze mile widziany — zapewniła.

— To się dopiero okaże — powiedział Materna.

Jakaś ważna sprawa?

Materna skinął głową. Szli przez salon w widocznej harmonii.

- Chciałabym być przy tym, jak będziecie rozmawiali. — Położyła mu rękę na ramieniu. Gest ten oznaczał: proszę, niech mi pan zaufa.

Materna usiadł na miękkiej sofie obitej wzorzystym jedwabiem -- obfitość róż w kolorze cegły i żółtka.

Elisabeth usiadła obok niego. Pili kawę i rozmawiali ze sobą jak starzy znajomi.

— No proszę! — zawołał Alarich von der Brockert na ich widok.

— Pan do mnie czy też umówił się pan z moją siostrą?

— Próbowałam tylko wytłumaczyć panu Maternie, że dość trudno z tobą pertraktować — powiedziała Elisabeth łagodnie — Ty nie tak łatwo podejmujesz ryzyko.

— To bzdura! — zawołał Alarich. — Ja zawsze kuję żelazo póki gorące, choć nie gołymi rękami. — Rozsiadł się, demonstrując zdecydowanie. — No, niech pan strzelaj drogi przyjacielu!

Materna przedstawił swój projekt, a właściwie projekt Wollanauna w kilku punktach:

1. Melioracja południowych bagien Maulen, w dwóch trzecich należących do Materny, w jednej trzeciej do barona. Koszty byłyby podzielone odpowiednio między nich obu.

2. Starania u władz o uzyskanie zgody na realizację gotowego już projektu podjąłby baron von der Brocken, wykorzystując swoje kontakty.

3. Materna zwerbowałaby w Polsce konieczną tanią siłę roboczą. Zgodę na to u władz załatwiłby baron.

4. Zbudowanie baraków dla robotników na gruncie Materny. Opiekę nad robotnikami sprawowałby Jakub Jabłoński, mówiący po polsku. Ewentualnej wymiany siły roboczej dokonywałby Materna.

5. Robotnicy — na początek dwunastu — byłiby przez obu partnerów wykorzystywani także w miarę potrzeby do krótkotrwałych specjalnych zadań.

— To niemożliwe! — Elisabeth dopingowała swego brata. — Alarich nigdy czegoś takiego nie zrobi!

— Wprost przeciwnie, to się da zrobić! Nie wtrącaj się, moja droga, bo się na tym nie znasz. — Baron pospiesznie wziął do ręki papiery, które trzymał Materna.

Elisabeth opuściła pokój, uśmiechając się. A Alarich czytał z zapałem. Jego oczy stawały się coraz większe.

— Człowieku! — zawołał po jakimś czasie. — To wspaniały pomysł! Władze dadzą się na to złapać jak muchy na lep. Nie może być inaczej! Ze względu na wielkoniemiecką przestrzeń życiową, krew i ziemię, uzdatnianie terenów przez prywatną inicjatywę — i to w dodatku przy udziale obcych robotników. Dostanie pan za to medal!

— Na razie wystarczy mi pańska zgoda. — Już pan ją ma, panie Materna.

— Bez żadnych zastrzeżeń? Nie oczekuje pan ode mnie bliższych informacji?

— Ani mi to wglowie! — oświadczył Alarich von der Brocken. — Wiem tylko jedno: pan chce osuszyć bagna. A że przy tym dostaniemy dodatkowo tuzin silnych chłopów, i to za zezwoleniem władz, to się rozumie samo przez się. Ale jeśli kiedyś banda zbójów albo stowarzy szenie morderców — nie mówię: SA — napadnie na naszych ludzi, będzie to przykry przypadek.

— Mniej więcej tak — powiedział Materna skinąwszy głową.

Potrząsnęli swymi dłońmi niczym handlarze bydła. Potem baron

kazał podać szampana, aby opić interes. Obsługiwały ich dziewczęta, wotorkowa i czwartkowa.

Kiedy wypili, Alarich pochylił się do przodu z miną spiskowca. — Ale jedno panu mówię: niech pan nigdy nie próbuje prowadzić gry ze swoją prywatną armią beze mnie. To był w końcu mój pomysł i nalegam na to.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał Eugen Eis przyjaźnie. — Proszę usiąść, panie Meier, proszę się nie krępować. Czym mógłbym pana poczęstować? Jak pan wie, jesteśmy tu gościnni.

Wysłannik z okręgu usiadł i milczał. To milczenie przedłużało się; Eis czekał ze spokojnym uśmiechem. — Czy wie pan, z jaką misją tu przyjechałem? — zapytał wreszcie Meier ostrożnie.

— Ta misja przypuszczalnie stała się zbędna. Mam jednak nadzieję, że spędził pan tu miło czas.

Willi Meier zmrużył oczy. Nie podobało mu się, że Eis chce go stąd wyrzucić jak ładunek nadgniętych buraków. Powiedział:— Pan dobrze wie, że tu śmierdzi, i to mocno.

— Tak to jest w życiu, zawsze coś śmierdzi.

— Przy tych pożarach niektórzy pobrudzili sobie łapy. Wykrycie tego było dziecinną igraszką. Pan również brał w tym udział. A na czele wszystkich stał wasz przywódca SA, ten Fischer. Chyba pan temu nie zaprzeczy?

— Dlaczego miałbym zaprzeczać, skoro pan dobrze wie? Ale żeby poznać związki, trzeba pożyć w Maulen jakiś czas. Ja na przykład kieruję tu nie tylko partią — jestem także urzędnikiem, właścicielem ziemskim, właścicielem mleczarni, dzierżawcą młyna i czym tam jeszcze. Również inni towarzysze partyjni prowadzą podobnie wypełnione życie dla wspólnego dobra. Ale w Maulen nie da się tego zrobić w białych rękawiczkach. Maulen to nie Królewiec, a Mazury to nie Prusy. Najważniejsze jest przy tym, aby trzymać wysoko w górze sztandar partii. A my to robimy. I dokładnie to samo powinien robić pan.

— Oczekuje pan ode mnie, że ni stąd, ni zowąd oświadczę, że sprawa jest załatwiona?

— Właśnie tak, tego oczekuję!— Eugen Eis roześmiał się. W imię najlepiej pojętego interesu naszej wspólnoty. Albowiem nic przybył pan tu dla własnej przyjemności, a już na pewno nie po to, aby działać przeciwko partii.

Coś takiego jeszcze się Willemu nigdy nie zdarzyło. Poczłł nie-przeparł pragnienie, aby tego typu, który go próbował w tak prymitywnie brutalny sposób nabrać, raz na zawsze załatwić: poszczuć psami, uwięzić, następnie rozpracować tak, aby był w stanie odpowiedzieć tylko tak , obojętne, o co się go będzie pytało.

Ale Eis powstrzymał to pragnienie. Zapewnił bowiem: — U mnie partia jest zawsze ponad wszystko. Ponad wszystko, proszę zauważyć. Nie wyłączając niczego ani nikogo — nawet mojej żony.

Usta Meiera zacisnęły się. Na jego chłópięcej twarzy pojawiły się czerwone plamy. Posunął się na krzesle nieco do przodu, jakby się szykował do skoku. Ale siedział.

— My tu, panie Meier, wiemy jeszcze, co to jest wierność. Moi chłopcy pójdą za mną w ogień. No, ale proszę rozumieć te słowa tylko symbolicznie. Niech pan zapyta kogokolwiek w Maulen — każdy to potwierdzi.

— Może pan więc przedstawić każdą liczbę świadków, prawda?

— Każdą liczbę i w każdej sprawie. Ale nie wyobrażam sobie, aby pan przywiązywał jeszcze do tego szczególną wagę. Mówię to panu nie tylko dlatego, że jest pan towarzyszem partyjnym, ale także dlatego, że mam nadzieję — jest pan również człowiekiem honoru. Tego ostatniego bardzo pragnę w interesie mojej żony.

— Dość tego! — zawołał Willi Meier gwałtownie.

— Chce pan nas opuścić?

— Tak szybko, jak to tylko możliwe! — Meier zerwał się z miejsca. Zostawię panu jednego z moich ludzi. On załatwi resztę. Po myśli partii. Ja bowiem potrzebuję pilnie zmiany powietrza. Życzę panu powodzenia, o ile to jest tu jeszcze możliwe.

Zaledwie trzech ludzi wiedziało o człowieku, który teraz w Maulen przystąpił do akcji. Był to niejaki Josef Leitgeber. Młody, średniego wzrostu, wyglądający jak chomik, odznaczający się niezwykle powściągliwością w słowach.

Tak powiedział do Jakuba Jabłońskiego, odpowiadając w ten sposób na pytanie, czy umie się obchodzić z materiałami wybuchowymi albo może nawet z amunicją artyleryjską.

Trafił on do Materny wraz z duchownym katolickim. Przybyli obaj z Królewca, ukryci na wozie ze świniami przeznaczonymi na rzeź. Jak większość gości , byli niezwykle skromni i nieśmiali.

— Przypuśćmy, że jest tu armata kaliber dziesięć i pół — powiedział

Jakub w leśnej kryjówce. — I do tego ślepa amunicja, składająca się z gilzy i proszku. A więc nie pocisk. Czy mo na z tego zrobić ostry nabój?—

Można — powiedział Leitgeber krótko.

Ów Josef Leitgeber, drwał z bawarskiego lasu, początkowo pomagał rozklejać plakaty antynazistowskie, wówczas głównie dlatego, aby wyświadczyć kolegom szkolnym przysługę. Kiedy u jego rodziców zjawilo się gestapo, zaszył się w Augsburgu. Pracował tam w fabryce maszyn. W dzień. W nocy zaś zaczął przerabiać sprzęt radiowy na nadajniki krótkofalowe. Potem sporządzał bomby z materiałów wybuchowych. Jedyne jego zdjęcie, jakie kiedykolwiek istniało, można było obejrzeć w liście gończym: poszukiwany z powodu działalności antypaństwowej...

— Co jest potrzebne, panie Leitgeber, aby ta amunicja zaczęła strzelać?

Jakub dowiedział się, że konieczna jest kula. Może być metalowa albo też kamienna. Nie gwarantuje to zbyt silnego działania, ale narobi sporo ńaiasu.

Jabłoński skontaktował się z Sabine. Dziewczynka przybiegła z trzema ładunkami ślepej amunicji — zabrała je z sypialni Neubera.

— Dobrze — powiedział Josef Leitgeber. Węsząc niemal jak pies przesukał szopę Materny. Znalazł tam wiele kamieni; również żelazny kloc przeznaczony do klepania kos, następnie grubą rurę.

— Może być — powiedział krótko.

Zabrał materiały i liczne narzędzia. Udał się z nimi do kryjówki w lesie. Tam, przy świetle lampy naftowej, zaczął kuć, piłować, stukać.

Tymczasem jego towarzysz, duchowny, mrucał półgłosem przed siebie, nie patrząc, w otwarty brewiarz. Przyglądał się powstającemu granatowi.

Po dwóch godzinach Josef Leitgeber przekazał Jabłońskiemu gotowy pocisk. Ten przycisnął go do piersi. Kiedy wszedł na podwórze Materny, wywołał Konrada i Petera.

— Popatrzcie, chłopcy, co mam! — Wyciągnął dłonie, na których leżał pocisk. — No i co wy na to?

— Niezły — powiedział Peter Bachus. — Wygląda jak prawdziwy.

Konrad Klinger zaczął obmacywać i obstukiwać ów niezwykle przedmiot. — Człowieku — powiedział następnie do Jakuba - zdaje się, że to może strzelać. Skąd go masz?

— Nieważne. Chcecie go wziąć?

— Jąk najbardziej - powiedział Konrad ucieszony. — Już

najwyższy czas, żeby się tu znów coś działo. A jeśli przy tym całe Niemcy się nie zbudzą — jak się to pięknie mówi — to niech przynajmniej Maulen przetrze swoje zaspane oczy.

Czołowe osobistości Maulen znów zabiegały o jednomyślność, ale jej nie znalazły. Był już piątek, a wciąż jeszcze nie zapadła decyzja, kto następnego wieczoru wygłosi przemówienie z okazji poświęcenia armaty. Poruszało to umysły.

Cała elita partyjna zapełniała pokój na zapleczu gospody. Każdy z nich komuś przewodził: jeden SA, drugi HJ, trzeci chłopom, czwarty robotnikom rolnym, piąty handlarzom i rzemieślnikom. Organizowali partię i czerpali korzyści; uprawiali tak zwane oświecanie ludu i formowali oddziały szturmowe tego rozszerzającego się niepostrzeżenie ruchu.

— Musimy się dogadać! — Oczy wszystkich skierowały się na Eisa. — Nadeszła już pora!

— Na picie, co? — zapytał Eis miłym głosem. Ten żart, który na pozór odebrano jako udany, wywołał wprawdzie dźwięczny śmiech, ale niewiele osłabił napięcie. Eis mógł teraz zadecydować: ja wygłoszę przemówienie. Albo: wygłosi je ten a ten. Ale nie uczynił tego. Pozostał neutralny. Z pozorną obojętnością przyglądał się walce kogutów — swoich zastępców Fischera i Neubera.

— Jeszcze raz zwracam waszą uwagę — powiedział Neuber — że to mnie zawdzięczacie załatwienie armaty. A ponieważ ma ona wymowę symboliczną, należy więc do narzędzi ideologicznego kształtowania naszego narodu. A za to ja jestem w Maulen odpowiedzialny.

— To nieporozumienie — powiedział Fritz Fischer — by nie rzec: nonsens! Armata to armata! To przedmiot szkolenia i wychowania bojowego. A to jest sprawa SA.

Mogło się to tak ciągnąć jeszcze całe godziny. Eis słuchał tej wymiany zdań z zadowoleniem. Usadzała ona nieco Fritza Fischera, który ostatnio stawał się coraz bardziej zarozumiały, i prowokowała coraz gorliwszego Neubera. Jego zaś wiejska dyplomacja polegała na wygrywaniu antagonizmów między obu mężczyznami.

Oświadczył więc z rozważą: — W niedzielę przed południem odbędzie się poświęcenie armaty. Jutro przypada rocznica rozpoczęcia wojny. Wieczorem zorganizujemy uroczystość z tańcami. A więc muszą być wygłoszone co najmniej trzy przemówienia.

— Ja się tym zajmę — oświadczył Amadeus Neuber bezceremonialnie. — Jestem w tej sprawie kompetentny jako kierownik szkoły.

Fischer chciał odpowiedzieć, ale w tej chwili rozległo się w pobliżu dudnienie. W gospodzie rozszalała się orkiestra dęta. Przypuszczalnie mieli próbę.

— Czy to manewr zakłócający? — zawołał Fischer do Neubera.

A ten odkrzyknął: — O ile wiem, to stowarzyszenie hałasu podlega twoim rozkazom.

Na znak Eugena Eisa Fischer wysłał do gospody jednego ze swoich ludzi. Ten wrócił z wiadomością, że baron ma znów swoją złą godzinę. To on kazał grać.

Alarich von der Brocken dał się poznać ostatnio w Maulen jako człowiek muzykalny. Nikt nie miał nic przeciwko temu. Opłacał huty i instrumenty, poza tym wspaniałomyślnie zaopatrywał muzyków w trunki. Chętnie grali dla niego.

Od czasu do czasu baron zaskakiwał swoich muzyków. Wjeżdżał na swoim Adolfie II przez ogród wprost na salę. *Hohenfriedberger Marsch* był stałą melodią na powitanie.

Alarich schodził następnie z konia, przysuwał sobie krzesło i wyjmował z portfela banknot stumarkowy. Układał go przed sobą na podłodze i wołał: — No, ludzie, zmiękcźcie moje serce! — Zaraz potem rozbrzmiewały tęskne tony: o grobie na stepie, o falach Bałtyku, o brzozech na wiosnę w ciepłym powiewie wiatru.

— Ale nie akurat teraz! zawołał wojowniczo Fischer. — Człowiek nie słyszy własnych słów.

Co niekiedy bywa błogosławieństwem! — wrzasnął Neuber.

— Proponuję — oświadczył Eugen Eis ostrym rozkazującym tonem — żebyśmy po prostu przegłosowali: albo Fischer, albo Neuber. Na piśmie i tajnie.

To oświadczenie zostało przyjęte z ogólną ulgą. Zebrani przywódcy partyni natychmiast przystąpili do głosowania. Po niespełna pięciu minutach był wynik: siedem głosów za Fischerem, siedem za Neuberem.

Eugen Eis, który nie głosował, z trudem mógł ukryć satysfakcję z powodu tego wyniku. — Zróbmy teraz małą przerwę — zarządził. — Napoje i papierosy są przygotowane.

Teraz nastąpiło coś, co można by nazwać walką o głosy. Neiber przyciągnął przywódcę HJ do swojego kąta. Fischer, praktyk, przywołał do siebie Bubi Kushego. Ten zareagował zgodnie z oczekiwaniami. — Jasne — powiedział — kto nie posłucha, temu wypolerujemy facjatę.

Tymczasem w sali gospody baron Alarich von der Brocken wydawał się już wystarczająco zmięczony. Podniósł rękę — ckiwie ludowe tony umilkły; clou programu zdawała się być melodia *Ławeczka przy grobie rodziców*. Alarich wyciągnął teraz następny banknot stumarkowy. Położył go obok pierwszego i powiedział: — No, ludzie, zróbcie teraz ze mnie na powrót człowieka twardego.

Natychmiast rozległa się muzyka marszowa. Najpierw jak zwykle melodia *Ustrzelę jelenia w dzikim lesie*, potem *Z nocy do światła*, wreszcie *Marsz Wielkiego Kurfursta*. Po czym na salę wkroczył Adolf II z radosnym rżeniem. — Grajcie dalej! — zawołał baron.

Bubi Kusche załatwił tymczasem przywódcę HJ. Nastąpiło to po krótkiej wymianie słów połączonej z silną sztuką przekonywania: pięść trafiła w żołądek. — Żeby wszystko było jasne, towarzyszu! — Ten skulił się, dysząc.

Następne głosowanie na zapleczu gospody dało wynik: osiem głosów, na Fischera, sześć na Neubera.

— Trzeba było tak od razu! — zawołał Fritz Fischer. Popatrzył dokoła pewny siebie. Eugen Eis uśmiechnął się wymownie.

— Co się odwlecze, to nie uciecze — mruknął Neuber.

Konrad i Peter zbliżali się ostrożnie do placu wiejskiego. W gospodzie dudniła muzyka marszowa. Gdzieś daleko wyły psy do księżyca. — Jak w dawnych czasach, prawda? — zapytał Peter.

— W każdym razie hałas, który urządza baron, jest nieoceniony — oświadczył Konrad. — Możemy się tu zachowywać jak drwale i nikt nas nie usłyszy.

Jednakże nie powstrzymało ich to od szczególnej ostrożności. Oparci o remizę, spoglądali na plac; kościół wyglądał jak ciemny grobowiec; pomnik bohaterów stał jak ostatnia kolumna historycznej ruiny. W matowym świetle księżyca; sokoła była jak stodoła z oknamj. Armata przed nią zdawała się 'połyskiwać magicznie, była bowiem obficie naoliwiona.

— A więc naprzód!

Ale nie poruszyli się, ponieważ obaj jednocześnie usłyszeli metaliczny dźwięk. Zaczęli nasłuchiwać. Znow ten dźwięk: jak gdyby ktoś uderzał w żelazo.

— Tu się ktoś kręci — szepnęła Peter. — Czyżby ktoś próbował popsuć nam robotę?

Zostawili swoje wypchane aktówki pod remizą i obeszlili plac.

Poruszali się w czarnym cieniu kościoła. Następnie podeszli pod szkołę i zbliżyli się do armaty. Ujrzeni tam małą zwinną istotę; oświetlił ją nagle księżyc, który zabłysnął całą pełnią.

Konrad Klinger wyprostował się i podszedł do armaty. Powiedział przy tym: — Chyba zwariowałaś, Sabine! Co ty robisz?

— Przypuszczalnie waszą robotę — powiedziała dziewczynka.

— O tej porze dzieci powinny już spać — rzekł następnie Peter Bachus.

— To by wam odpowiadało — zawołała Sabine bojowo.

— Ona próbowała zniszczyć zamek — stwierdził Peter zdenerwowany. Klęczał obok armaty i badał ją: - Wepchnęła kamienie. Powinna za to dostać lanie.

— Albo to będzie strzelać, albo nie!

— Zaprowadź ją do Jakuba — powiedział Konrad.

— Chodź ze mną — zażądał Peter energicznie.

— Jak mnie dotkniesz — zawołała Sabine — to tak cię kopnę w piszczel, że ci się gwiazdy pokażą!

— Ona to potrafi — powiedział Peter, cofając się ostrożnie.

— Sabine — powiedział Konrad — może ty to źle robisz. Zapytaj Jabłońskiego.

— Jakub nie ma tu nic do powiedzenia. On o niczym nie wie.

— Dlaczego go nie zapytasz, Sabine? — Konrad wziął ją delikatnie za ramię. Daję ci słowo honoru, że działamy po jego myśli.

— Skoro tak mówisz, Konrad — oświadczyła Sabine poważnie — to zgoda. Pójdę, bo ci ufam. Ale biada ci, jeśli mnie oszukujesz. — Pobiegnę szybko.

Konrad i Peter przystąpili do pracy. Sprawdzili zamek, z trudem wyjęli kamienie. Na szczęście profil był tylko nieznacznie uszkodzony. W każdym razie dobrze naoliwiony zamek dawał się bez trudu otwierać i zamykać.

Solidna niemiecką robota — powiedział Konrad, szczerząc zęby.

Peter przydźwigał teczkę i wyciągnął z niej pocisk; ostrożnie wsunął go do lufy. Pasował! Zamknął zamek — pasował. Jak drzwi szafy pancerniej.

— Ale będzie huk - powiedzieli chłopcy jednocześnie.

Następny dzień — była to niedziela — zaczął się radośnie. W szkołę, dzieci miały próbę śpiewu przed wieczorną akademią. I choć Neuber niewiele się angażował, spełniał jednak swoją powinność.

Nawet się trochę odprężył, kiedy z kilkoma dziewczętami ćwiczył technikę oddychania za pomocą ucisku przepony.

Żandarm rękawem koszuli czyścił buty przed drzwiami domu — niezmordowanie i po wojskowemu dokładnie. Pastor Bachus spoglądał w niebo, ale tylko z powodu pogody: przydałaby się krótka silna ulewa.

— Ogień, co płonie w niemieckich sercach! — śpiewały dzieci.

Liczni pomocnicy z HJ i BdM przystroili już salę pod kierunkiem Bubiego. Porozwieszane transparenty z hasłami mówiły o wielkim dniu poświęcenia zdobywczej armaty. Nad pulpitem mówcy czarnymi literami na białym tle i w czerwonej obwódce było napisane:

Nikt żyw nie został, ścigaliśmy ich w deszcz i słotę.

Wpędziliśmy wroga z ziemi niemieckiej w mazurskie błota.

— Będziemy musieli celować tam, gdzie jest słowo wroga — powiedział Konrad Klinger. Jakby przypadkowo przechodzili z Peterem pod szeroko otwartymi oknami sali.

Peter skinął głową. — Jeśli trafimy w belkę stropową, zwali się pół sufitu.

Pełni nadziei opuścili wieś i udali się do Materny. Tu zagroził im drogę Jabłoński.

— Dom jest chwilowo zamknięty — powiedział. — Materna ma robotę.

— Niech sobie pracuje spokojnie. My przyszedliśmy do Hannelore.

Jakub wskazał palcem w bok. — Jest w warzywniku. Ale najlepiej weźcie od razu ze sobą łopaty i motyki, oszczędzicie sobie w ten sposób drogi.

Posłuchali rady I rzeczywiście po radosnym powitaniu trzymali polecenie, aby oczyścić ścieżki pomiędzy grządkami. Byli zajęci do obiadu.

Alfons Materna tymczasem opracował z Wollnauem ostatni fragment projektu melioracji południowych bagien Maulen: uzasadnienie prośby do prezydenta Olsztyna. — Nie może powiedzieć nie — rzekł radca stanu z przekonaniem — jeśli nie chce być posądzony o sabotowanie akcji pozyskiwania przestrzeni życiowej.

— W poniedziałek przed południem baron jest umówiony z władzami. Przy jego stosunkach uda mu się z pewnością. A więc pozostaje mi tylko podziękować panu z całego serca, panie Wollnau.

— Ależ to dopiero początek!

— Może dla mnie, ale nie dla pana. Albowiem dziś wieczorem,

kiedy będzie się odbywała wielka uroczystość z konkursem pijaństwa na zakończenie, odejdzie stąd kolejny transport do Polski.

— Zapewne najkorzystniejsza pora, panie Materna, ale nie dla mnie. — Radca podniósł obie ręce w geście obronnym. — Nie mogę teraz pana zostawić. Nawet jeśli dostaniecie zgodę, będzie jeszcze wiele trudności.

— Pan wciąż nie chce stąd wyjeżdżać?

— Nie. Teraz już całkiem nie. Bo teraz będę tu pilnie potrzebny.

— Czy następne dni i tygodnie również chce pan spędzać głównie pod ziemią, w bunkrze?

— Jeśli tak musi być. Ale są jeszcze inne możliwości. Ja mówię płynnie po polsku. Może mnie pan traktować jako pierwszą siłę roboczą przybyłą z Polski.

— Jest pan cholernie uparty — powiedział Alfons Materna z uznaniem. — Chwilowo nie mówię tak ani. nie. - Poczekam, aż się sprawa rozwinie.

Radosna gotowość do świętowania, która zdawała się wisieć nad Maulen, utrzymywała się. Tym razem dzieci ćwiczyły piękną pieśń:

Daj rękę, razem wkroczymy
Do niemieckiej przyszłości krainy.

Tymczasem Eugen Eis wkroczył z Margarete Eichler, na oczach mieszkańców Maulen, na salę i objaśnił jej przygotowania do akademii, -- Całkiem w stylu naszego niezapomnianego Johannesesa.

— Ależ on by się cieszył — powiedziała Margarete.

Eis uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. — Maulen jeszcze nie zapomniało, co należy do tradycji.

W tym samym czasie Brigitte siedziała na dygnitarskim biurku swojego męża. Przy biurku siedział nisko pochylony, ciężko dysząc; urzędnik, którego pozostawił Meier spasiony byczek o. nazwisku Friedrich Wilhelm Pampusch.

— Nic tu nie mogę zmienić — powiedział Pampusch ochryplym głosem, wskazując na leżące przed nim papiery; ale patrzył przy tym na mięsiste uda Brigitte. — Dostałem tylko rozkaz, aby doprowadzić do końca sprawę pożarów.

— To nie musi być od razu, można to przeciągnąć,

— Dlaczego?

— Nie może paw tego zrozumieć?

Oczywiście, mógł. Najwyraźniej zależało jej na jego towarzystwie.

Pochlebiało mu to. — A więc dobrze — powiedział. — Mam załatwić tę sprawę, ale jak szybko — tego mi nie powiedziano.

Brigitte spojrzała uradowana. — Niech pan postępuje tak, jakby nie wszystko było jasne. — To będzie niepokoiło niektórych w Maulen.

— Chętnie to dla pani uczynię! — zawołał Pampusch, ujmując Brigitte za rękę. — Musi mi pani tylko dokładnie powiedzieć, jak pani to sobie wyobraża. Mieszkam w gospodzie. Pokój numer trzy.

— Przyjdę tam do pana około ósmej, kiedy zacznie się uroczystość. Uroczystość owa zaczynała niepokoić Fritza Fischera — choć bardzo jej oczekiwał po błyskotliwym zwycięstwie w głosowaniu — albowiem jego przemówienie nie było jeszcze gotowe.

Przeczytał już fragmenty swemu poplecznikowi Bubi Kuschemu. Ten zawołał z zachwytem: — Niepowtarzalne! Oszłamiające! — Ale nawet taka dawka entuzjastycznej aprobaty nie była w stanie uspokoić Fischera, wyczuł bowiem, że kryteria Bubiego w tym wypadku nie są idealne.

Próbował poprosić Eugena Eisa o koleżeńską radę, ten jednak był zajęty Margarete Eichler.

Zandarm, choć myślący w kategoriach wielkoniemieckich, nie wchodził w rachubę; on mógł tylko sporządzać protokoły. Musiał też zrezygnować z pomocy Neubera, człowieka, który najlepiej się do tego nadawał, bo przecież dostarczyłby mu tylko satysfakcji.

Tak więc, po dłuższym namyśle, Fritz Fischer wylądował u pastora Bachusa. Ten akurat badał widłami dół z gnojem, stwierdzając przy tym: za mało gnojówki. Z niepokojem spojrzał na swego gościa, nie spodziewał się bowiem niczego dobrego od kierownika SA.

Ale Fritz Fischer demonstrował niemal chrześcijańską gotowość do pojednania. Jego uśmiech był nadzwyczaj serdeczny. Pierwsze pytanie dotyczyło samopoczucia pastora, drugie zawartości gnoju w dole, a trzecie prognozy pogody. Bachus nie mógł wyjść z podziwu. Wreszcie Fischer skierował rozmowę na kazania Bachusa i niewątpliwie wielki wysiłek przy ich opracowywaniu.

Bachus zaprzeczył skromnie. Wtedy Fischer zawołał nieoczekiwanie: — Pan jest moim człowiekiem! — Zdawało się, że za chwilę poklepie duchownego przyjaźnie po plecach. — Jak pan słyszał, dziś wieczorem mam wygłosić wielkie przemówienie. — Z szybkością czarodzieja wyciągnął z kieszeni szkic. — Czy zechce pan to przejrzeć? Jest tu jeszcze coś do zrobienia. Przywiązuję dużą wagę do pańskiej oceny.

To było coś nowego i jednocześnie zobowiązywało. Bachus powiedział z westchnieniem:

— A więc w imię boże!

Nawet to powiedzenie Fischer przełknął. Udał się za duchowym do jego gabinetu i nie spoczął, dopóki nie zostały znalezione dźwięczne patriotycznie ogniste sformułowania do jego przemówienia. Fischer upierał się przy niektórych zdaniach, których Bachus nie pochwałał; za to na końcu aż się roilo od takich sformułowań, jak Opatrzność, wola Wszechmocnego i z pomocą Boga, ale wreszcie i Fischer nie wahał się przed użyciem takich zwrotów.

— No pięknie — powiedział Fischer na zakończenie, nie dziękując, do czego też, jak się później miało okazać, nie miał szczególnego powodu. — To uwzniośli całą uroczystość. I jestem pewien, że niejeden zrobi wielkie oczy.

— Bardzo możliwe — powiedział Bachus.

Eugen Eis stał w kalesonach pośrodku pokoju. Czekał na koszulę, którą Brigitte zapomniała uprasować. Od jakiegoś czasu zaczęła się opuszczać w swoich obowiązkach.

— Jak długo mam jeszcze czekać? — zawołał.

— Aż będę gotowa — odpowiedziała.

Eugen podszedł do dużego lustra na ścianie i przejrzał się w nim. Wyglądał okazale. Niejedna kobieta mogłaby to potwierdzić. Tym bardziej niezrozumiałe było to, że jego żona szukała radości gdzie indziej.

Brigitte prasowała w kuchni powolnymi, obojętnymi ruchami. Nie spieszyła się. Eugen może poczekać. Sama była kompletnie ubrana w kwiecistej obcisłej jedwabnej sukience, w kolorach czerwonym, niebieskim i białym, a więc w kolorach mazurskich. O tych barwach mówi prastara tradycja ludowa:

Nos czerwony od picia,
Oczy podsińnię od bicia,
Włosy białe z rozpusty
Takie Mazura kolory i gusty.

W koszu na bieliznę, nie opodal deski do prasowania, leżało dziecko, które Eugen Eis z takim powodzeniem reklamował jako swoje, aby mieć gwarancję dziedzictwa Maternity. Ale za to każe ona Eisowi drogo zapłacić. Była na to zdecydowana.

Niemowlę gaworzyło. Już dawno powinno spać. Brigitte nie mogła wyjść z domu, dopóki nie spało. Patrzyła na nie niespokojna.

Potem jednak sięgnęła, zdecydowanie po zwykły mazurski środek,

od którego kapryszące dzieci zapadały w głęboki, nieprzerwany sen, mianowicie po butelkę z wódką stojącą w kredensie. Napełniła kieliszek od wina średniej wielkości i wlewała ten nasenny napój niemowlęciu do ust. Dziecko połykało szybko, potem, śliniąc się, zamknęło swoje wielkie oczy.

Kiedy dziecko zasnęło, Brigitte wzięła niedokładnie uprasowaną koszulę i zaniósła do pokoju. Rzuciła ją niedbale na krzesło.

— Najwyższy czas! — zawołał Eugen oburzony.

— Ja też wychodzę.

Co to ma znaczyć? — zawołał wściekły. — Czy nie powiedziałem ci wyraźnie, że chcę iść sam na tę uroczystość?

— Możesz sobie iść. Ja mam ważniejszą sprawę. Zgadnij, jaką?

— Masz tu zostać! — krzyczał Eugen. — Przy moim synu! — Eis zwolnił tego dnia opiekunkę dziecka, która chciała również wziąć udział w uroczystości. Uwiązanie Brigitte w domu miało być karą. — Natychmiast zdejmij sukienkę.

— Nie natychmiast. I nie tu!

Powiedziawszy to, odwróciła się i wyszła z pogardą. Eis patrzył za nią przez kilka sekund nie dowierzając, po czym wybiegł aż na dwór.

— Wracaj natychmiast, ty łajdaczko!

— Uważaj, bo sobie tyłek przeziębisz! — Brigitte zaśmiała się szyderczo.

Teraz dopiero Eis spostrzegł, że jest wciąż tylko w kalesonach. Pospieszył do domu, rzucając głośne przekleństwa. Miał nadzieję, że nikt z jego otoczenia nie widział go w tej przykłej sytuacji.

Włożył niedbale uprasowaną koszulę, na to złotobrazowe partyjne ubranie. Klął przy tym co chwila. W koszuli brakowało guzika, a jego dygnitarskie ubranie nie było oczyszczone z plam od piwa. Buty również miał nie wyglansowane.

Nałożył na głowę czapkę z połączanym orłem i rozmyślał: Nie do wiary, na co sobie to ścierwo pozwala. Musiał oczywiście wziąć udział w akademii i festynie ludowym — coś takiego nie mogło się bez niego obyć. Ale czy mógł zostawić syna samego?

Zajrzał do kosza, w którym leżało niemowlę. Zdawało się mocno spać. Mogło to być jednak złudzenie, chłopiec bowiem często leżał spokojnie jak trusia, a za chwilę szalał jak diabeł.

— Ale masz matkę! — powiedział Eis gorzko.

Jego wzrok szukający pomocy padł na kredens. Westchnąwszy podszedł do niego i wyjął butelkę z wódką. Wziął kieliszek od wina, napełnił go po brzegi. Potem pochylił się nad niemowlęciem, obudził

je ostrożnie, uniósł nieco i wlał mu płyn do ust. Dziecko połknęło i i zakwiliło wyczerpane. Potem zamilkło.

— Stare metody są najlepsze — powiedział Eis sam do siebie, zadowolony. Przykrył dziecko i wyszedł. Za kilka minut mogła się zacząć uroczystość.

— Ortsgruppenleiter nadchodzi!

Okrzyk ten niósł się od posterunków na drodze do pilnujących drzwi wejściowych, a stamtąd do wypełnionej po brzegi sali, gdzie Fischer, wódz SA, podniósł rękę.

Orkiestra dęta zagrzmiała *Badenweiler Marsch*. Był to ulubiony marsz Führera, a więc również Eugena Eisa.

— Dziękuję — powiedział z godnością.

Udał się na swoje honorowe miejsce. Tu powitał pierwszą-kobietę Maulen, Margarete Eichler, wyraźnie widoczną na tle gapiącego się tłumu. Zajmowała ona miejsce na prawo od niego.

Eugen Eis rozsiadł się i patrzył na Fischera i Neubera. Robił to tak zręcznie, że każdy z nich miał wrażenie, że Eis patrzy wyłącznie na niego.

Najszybciej zareagował Amadeus Neuber. Śmiało wziął na siebie przewodniczenie uroczystości. Zgodnie z programem przewidziany był tylko wspólny śpiew: *Kto kocha Führera, ten wie, co to wierność*. Ale Neuber bez namysłu rozszerzył występy. Ledwie przebrzmiała pieśń, rozległ się chór, potem recytacje, potem znów pieśń, i znów chór, i następny wiersz:

Gdy najciemniejszy mrok zalegał nad Niemcami
I ci najlepsi z lepszych byli załamani,
Wzbił się do lotu wickogermański orzeł,
Wolności przeogromny płomień wnet rozgorzał.

Była to poezja Willibalda Adolfa Glaukego. Pisywał on regularnie do *Preussische Zeitung* w Królewcu i należał do poetów Wielkich Niemiec, którzy prawidłowo i we właściwym czasie dostrzegli znaki czasu. Jego tomu wierszy pt. *Maszerować i modlić się* nie mogło brakować w żadnej bibliotece szkolnej.

Fritz Fischer, który najwidoczniej nie był chwilowo w stanie docenić należycie tej heroicznej liryki, kręcił się niespokojnie na krześle. Dostrzegł starania Neubera, aby się wysforować na czoło. Ten człowiek był jego wrogiem: z natury i z postępowania.

— Światło pada z wysokości tam, gdzie panuje prawdziwa

wielkość — recytował rozgorączkowany uezniak piskliwym głosem. Potem zaciął się — zapomniał tekstu. I nie doszedł już do tego, aby oznajmić, kogo dotyczyła owa prawdziwa wielkość. Mianowicie Adolfa Hitlera.

Teraz Fischer pospieszył na podium, aby wygłosić swe uroczyste przemówienie. Nikt i nic nie mogłoby go od tego powstrzymać. Nie robiło na nim wrażenia, że Neuber wymachiwał rozpaczliwie rękami. Syknął tylko na swego przeciwnika krótko i ostro.

— Drogi panie ortsruppenleiterze — zaczął Fischer donośnym głosem. Dokoła przytłaczająca, głęboka cisza. Następnie wódz SA rzucił na salę dalsze słowa, jak ciężkie kamienie — wprost na Neubera: — Drodzy koledzy! Szanowni towarzysze i towarzyszki! Niemieccy mężczyźni i niemieckie kobiety!

W ten sposób rozwinięta została mocna wstęga zaprzysiężonej wspólnoty. Opasać zebranych i związać jak paczkę wydawało., się prostą rzeczą. Głos Fischera był donośny i pewien zwycięstwa:

— Opatrzność jest z nami. Historia naszego narodu wyraźnie tego dowodzi. Ilekroć nasi wrogowie usiłowali nas podstępnie napaść — a w czasie ostatniej wojny próbował tego cały świat — zawsze czuliśmy nad sobą kierującą dłoń Boga i błogosławieństwo Wszechpotężnego; nie opuścił on nas mimo niejednej ciężkiej próby.

— Czyżbyśmy byli w kościele? — mruczał Neuber, wprawdzie przytłumionym głosem, ale tak, że słysząc go było na odległość paru metrów. Wśród wiejskiej elity NS dał się zauważyć pewien niepokój.

— Nasz niezwykły naród — grzmiał Fritz Fischer — któremu dane było niegdyś złamać potęgę rzymskich legionów, przetrwać tysiąc lat i przeżyć wszystkich wrogów, Bóg wyznaczył do tego, aby po wsze czasy wpisał się do księgi historii! Złotymi zgłoskami!

Nad Fischerem wisiało hasło, w którym była mowa o wrogach Rzeszy; w czarno-biało-czerwonych kolorach — jak należało. Przymocowane było do belki podtrzymującej sufit, przed którą stała mównica. Transparent otaczała gruba, gęsta dębowa girlanda; uplotły ją niemieckie dziewczęta.

— Nasz obowiązujący wielkoniemiecki testament, widoczny już w bitwach wielkiej wojny — ta niepowtarzalna wzniosła chwila w naszej historii — zrządzenie Opatrzności, wobec której stajemy z pokorą, świadomi jednakże naszej siły i mocy — wiedząc, że błogosławieństwo Wszechmocnego, wszechobecnie — wszechobecnie...

Rozległ się potężny huk. Potem suchy trzask. Pęknięcie drewna! Jak

gdyby sutrt rozpadał się na tysiąc części. Spadła też girlanda z dębowych! liści otaczająca transparent z hasłem.

Opadła ciężko na Fritza Fischera i otoczyła jego szyję i ramiona. Na jego głowie sterczały drzazgi i szarobiałe resztki pobielanego; sufitu. Fischer popatrzył, wystraszony i blady. Następnie zaczął się chwiać i wyglądało, że osunie się na podłogę.

Ludzi na sali jak gdyby uniosło z krzeseł pootwierali usta jak wrota stodół. Rozległ się głośny okrzyk, po czym zapanowała cisza.

A Eugen Eis wybuchnął gromkim śmiechem.

Ten śmiech wyrwał Fischera z odrętwienia. Rzucił się na Neubera i wrzasnął: — To był twój pocisk!

Neuber zawołał: — To ty wymyśliłeś, aby mnie zniszczyć!

Eugen Eis omal się nie zakrztusił ze śmiechu. Aż poczerwieniał..

W tym samym czasie jego żona próbowała wyrwać się z objęć Pampuscha. Ten jednakże nie posiadał się z radości i wołał: — Co za życie!

W tym samym czasie Alfons Materna podpisał wniosek dotyczący melioracji południowych bagien Maulen . A Wollnau powiedział: Tak więc zaczyna się dla Maulen nowy rozdział.

W tymże czasie niemowlę z siniejącą twarzą leżało w swoich poduszkach. Drobne palce zacisnęły się kónwulsyjnie. Po krótkich szybkich drgawkach dziecko umarło.

A Eugen Eis śmiał się bezustannie aż do łez. - - Ale heca! - sapął,

V

Zanim krowa da mleko, trzeba ją nakarmić.
A zarodowe bydło ma dobrą cenę.

— Serdeczne wyrazy współczucia — powiedział Fritz Fischer.

— Dziękuję — odrzekł Eugen Eis jakby nieobecny. Stał w swojej mleczarni i patrzył na walek, który z uporczywą regularnością rozbijał maślaną masę, z powrotem ją zbijał, na nowo rozdzielał i znów ugniatał w grube grudy.

— Biedne dziecko, podobno się udusiło.

Eis skinął głową. — Tragiczny wypadek.

— Naprawdę? — zapytał Fischer podejrzliwie.

— Śmierć mojego syna nastąpiła przez uduszenie — tak orzekł doktor. Coś takiego zdarza się często niemowlętom. Czy masz jakieś wątpliwości?

— Broń Boże! Uważam, że brzmi to absolutnie wiarygodnie. I gdyby ktoś twierdził co innego...

— Kto? — zapytał Eis ostro.

— Tak tylko myślę.

— Niech tylko jakaś świnia spróbuje mnie oczernić, to ją zabiję. — Eugen zacisnął pięści, oddychał pospiesznie, a zęby odsłonił jak rozwścieczony pies. — Nie będę miał litości. Możesz to powiedzieć każdemu, komu ewentualnie trzeba. Znasz kogoś takiego?

Fischer zaprzeczył.

— Możesz być pewien: nikt nie zechce nadstawić karku, nawet Neuber, dla którego nie ma żadnej świętości.

Eugen skierował wzrok na wykładaną kafelkami podłogę. — Możesz mi wierzyć — cierpię z tego powodu strasznie. Jestem twardym człowiekiem, ale tym razem zostałem pokonany. Mam mianowicie więcej uczucia, niż być może niektórzy myślą.

— A twoja żona?

— Ona także cierpi.

Tak było w istocie. Eugen i Brigitte spotkali się nad zwłokami dziecka. Targało nimi poczucie winy. Każde z nich myślało, że to ono spowodowało śmierć — skutek żałośnie lekkomyślnego działania w dobrej wierze.

— Dlaczego je zostawiłaś? — zapytał Eugen.

— A dlaczego ty nie zostałeś przy nim? — brzmiała jej odpowiedź.

Wezwany lekarz, doktor Gensfleisch, przyjrzał się martwemu niemowlęciu, dotknął je i wreszcie zbadał. Po czym oznajmił: — Uduszenie. — Następnie, jakby tylko do siebie, dodał: — Najwidoczniej krowy tu dają mleko z alkoholem. To dziwne, ale na Mazurach wszystko jest możliwe.

Eugen Eis zadrżał na te słowa. W tej chwili spostrzegł, że Brigitte również zadrżała. Ale nie tłumaczył sobie tego w żaden sposób.

— Wola boska — odważył się powiedzieć.

A Brigitte przytaknęła z pokorą.

To skinięcie głową stanowiło dla Eisą pewne zadośćuczynienie. Albowiem jego żona, istota ostatnio opanowana niepohamowaną żądzą użycia, teraz zdawała się powracać do źródeł bytu a więc do niego. W owej godzinie przeznaczenia była potulna jak owieczka — zwierzał się Eis swemu zaufanemu Fischerowi. - Była jakby uduchowiona. I to mogę odczuwać jako pocieszające.

— Z pewnością — powiedział Fischer gorliwie. - To korzystny objaw. Spotkanie ze śmiercią — ja również to przeżyłem. Wszak przeciw mnie strzelano z armaty.

— Ale strzał poszedł o metr z boku.

— Bo to byli partacze! Nie fachowcy, tylko wyrefinowane kreatury w rodzaju tego Neutbera! N usrmy temu przeciwdziałać z całą surowością i konsekwencją jeśli nie ehcemy po kolei zginąć!

— Do mnie nikt jeszcze nie strzelał — powiedział Eugen Eis. A że strzelano do ciebie, nie zostało udowodnione. W każdym razie nie trafiono.

— Czy to znaczy, Eugen, że nie chcesz pociągnąć Neuberą do odpowiedzialności?

— Dostarcz mi dowodów, a zrobię z nim koniec. Na wszelkie, wątpliwe podejrzenia nie ma teraz czasu.

— Czy istotnie mnie zostawiasz?,

— Jestem w żałobie, do diabła! Co mnie obchodzą twoje obrzydliwe pomówienia! Jak będziesz mógł przedstawić konkretni fakty wtedy porozmawiamy.

W kościele rozległy się organy.

Pastor Bachus wślizgnął się ostrożnie do Domu Bożego; spadły na niego ostre dźwięki pełnych rejestrów, Przy organach siedział Amadeus Neuber!

Bachus zbliżył się na palcach. Wszedł po drewnianych schodach na chór i tam spotkała go następna niespodzianka: kalikował Friedrich Wilhelm Pampusch, pozostawiony przez Meiera funkcjonariusz z jego bandy.

Pampusch słuchał w zachwycie. Jego oczy lśniły od wilgoci. Jeśli to nie było złudą, można powiedzieć, że płakał ze wzruszenia. Kiedy spostrzegł duchownego, zawołał: — Co za siła, prawda? Bach!

Pastor ledwie skinął głową. Podszedł bliżej organów. Amadeus Neuber przerwał grę. Pampusch oznajmił szorstkim głosem: — Coś takiego przenika człowieka do głębi. Czuje się podniesiony na duchu.

Odszedł z uniesioną głową; jego kanciasta twarz mordercy promieniowała pełnią przeżyć. Muzyka poruszała jego zazwyczaj tak niewzruszone serce. I kobiety! Był w końcu również mężczyzną.

— Czego pan chce ode mnie? — zapytał zdumiony pastor.

— Chcę panu coś zaproponować — Amadeus uśmiechnął się. — Może nawet zawrzemy układ.

Pastor rozejrzał się dokoła siebie, jakby szukając pomocy, ale w kościele byli tylko oni dwaj.

Neuber uśmiechał się wytrwale i nieprzerwanie. Powiedział: — Zamierzam grać w otwarte karty. I dlatego przyznaję szczerze: to był błąd z mojej strony, kiedy widziałem w panu, ewentualnie w pańskim Kościele, wroga ludu. Albowiem pan wcale nim nie jest.

— A skąd pan to wie?

— Od Fritza Fischera, przywódcy SA.

— On to panu powiedział?

— Wywnioskowałem to z jego przemówienia. Tylko pan może być autorem takiego przemówienia, panie pastorze.

— Jest pan tego pewien?

— Całkowicie pewien! Autorem albo współautorem, Ale ja nie czynię panu z tego powodu wyrzutu; przyjmuję ten fakt z radością, Mam nadzieję, że dalej będziemy wspólnie pracowali w zgodnej hanñonii. Mógłby to być rodzaj paktu pomiędzy bliskimi sobie duchowo ludźmi.

— Czyżby pan chciał mnie wykorzystać przeciwko Fischerowi? — zapytał Bachus zmieszany.

— Niekoniecznie. Jeśli będę miał pewność, że pan w przyszłości nie

pozwole się wykorzystać przeciwko mnie, na przykład takiemu Fischerowi. Tę mianowicie byłoby dla mnie bardzo, nieprzyjemne. I mogłoby być również dla pana bardzo, ale to bardzo nieprzyjemne. Czy wyraziłem się dość jasno?

— Całkowicie!

— To się cieszę. — Amadeus podniósł się i przesunął niemal pieszczotliwie dłonią po ławce. — A więc na dobrą współpracę, panie pastorze! A jej początkiem niech będzie poufna informacja, proszę mi powiedzieć, w jakim stopniu jest pan autorem przemówienia Fischera?

Bachus pprzrząsnął głową. — Nie — powiedział ku zdumieniu Neubera ochryłym, ale mocnym głosem. — Nie, panie Neufier/

Któregoś z następnych dni do Maulen przybyły niespodziewanie dwa naraz urzędowe samochody. Zahamowały ostro. Były pokryta grubą warstwą kurzu.

Ale tylko jeden z pasażerów wysiadł powoli. Wyglądał dostojnie i sympatycznie zarazem: dobrze odżywiony, szedł sztywnym krokiem, rozprzestrzeniając wokół siebie irytującą obojętność. Zapytał dziewczynkę, która akurat biegła zaciekawiona — była to Sabine — o dom burmistrza. Kiedy otrzymał odpowiedź, szybko odjechał.

W kancelarii burmistrza Uschkurata przedstawił się jako nadinspektor Schielke, wysłannik władz, w Olsztynie. Poprosił o plany gminy Maulen i o księgę gruntów.

— Po co? — zapytał Uschkurat.

— Komisja rządowa — i oznajmił dobitnie nadinspektor i wyzywająco wyciągnął rękę. Kiedy otrzymał żądane dokumenty, wyszedł. Zawołał do kierowcy pierwszego auta: — Dalej, do Gross-Siegwalde!

— Komisja rządowa — poinformował Uschkurat telefonicznie Eugena Eisa.

— Czego ci szpicle tu węszą? — zapytał Eis zaniepokojony.

- Tę nie wiem. - Uschkurat odłożył słuchawkę z twarzą bez wyrazu.

— Komisja rządowa — zameldował SA-man pełniący służbę patrolową w gospodzie Fritzowi Fischerowi.

Tę zażądał szczegółów: podania dokładnego czasu, liczby członków komisji, informacji dotyczących wyposażenia samochodów i przypuszczalnego zadania - prawdopodobnego celu. Otrzymane informacje były całkowicie niezadowolające.

— To fuszerka! — krzychał Fischer do słuchawki. — Służba wywiadowcza wciąż jeszcze nie działa w stu procentach, ale już ja wam nogi z dupy powyrywam!

Posterunkowy odniósł to do siebie. Kiedy odłożył słuchawkę na widelki, powiedział: — Gówniarz! — Następnie zatelefonował całkiem odruchowo, jak później oświadczył, do Amadeusa Neubera. Również jemu powiedział — tylko dla informacji, że przybyła komisja rządu.

— Dziękuję, mój drogi — odrzekł Neuber serdecznym tonem. — Potrafię docenić pańską uprzejmość. Jakie jest pańskie nazwisko? A więc Schlaguweit, Ernst Schlaguweit. Łatwo zapamiętać. Czy mogę pana prosić, kolego, aby nadal mnie pan informował?

Amadeus Neuber węszył kłopoty, a że nie dotyczyły one jego — były mile widziane. Poleciał uczniom napisać wypracowanie na temat:

Co mamy do zawdzięczenia naszemu Führerowi? Sam stanął przy oknie, skąd mógł obserwować plac.

Zobaczył, że pojawił się Eugen Eis i zniknął w biurze burmistrza. Wkrótce potem swym BMW 500 podjechał Fritz Fischer, zeskoczył z siodła i wbiegł do kancelarii. Neuber ucieszył się na ten widok. Chciał jednak wiedzieć, o co tu chodzi.

Jedyną osobą w Maulen, która mogła się uważać za dobrze poinformowaną, był Alfons Materna. Zawdzięczał to Sabine. Tylko ona słyszała słowa komisja rządowa, jak również rozkaz rzucony kierowcy: Do Gross-Siegwalde!

— Jesteś wspaniała! — zawołał Alfons do dziewczynki.

- A co za to dostanę? — Sabine pragnęła mieć lornetkę, aby jeszcze więcej widzieć. — Materna dał jej pożądaną przyrząd z własnych zasobów.

Potem zaalarmował barona. — Do tego doszło!

Alarich był zdumiony: — Tak szybko?

— Najważniejsze, że jest pan na to przygotowany.

- W każdej chwili! Zaraz każę schłodzić szampana, Alfons udał się wspólnie z Erichem Wollnauem na kąpielisko. Były radca stanu wyraził swoje stanowisko w sprawie właściwych kierunków działania. Uśmiechając się, pełen nadziei dodał: — Wszystkie sformułowania, które urzędnicy lubią.

Jakub Jabłoński przytargał blat stołu. Rozpięty był na nim naszkicowany przez Wollnaua wstępny plan pracy - skala jeden do stu, z dokładnymi obliczeniami, czas trwania, koszty, wielkość siły roboczej. — Miejmy nadzieję, że baron zachowa się odpowiednio. Wtedy się uda.

— Czyżbyś mu nie ufał? — zapytał Materna, stojąc na skraju kąpieliska.

— Nieufność to niewłaściwe słowo. Baron wydaje mi się czasem jak clown w cyrku, który próbuje zepsuć numer z tygrysem

Nadjechały wolno oba samochody urzędowe. Zatrzymały się przy Maternie. Alarich wysiadł jako pierwszy, w niedbałym, zniszczonym, niemodnym ubraniu myśliwskim. Wyglądało, że wypożyczył je od swego inspektora lasów. Stosownie do tego także się zachowywał: solidny, pewny siebie, ale skromny, zasiedziały szlachcic. Jak postać z powieści ziemiańskiej.

— Ten mógłby grać w teatrze — mruknął Jakub z uznaniem.

— Nasz wspólny plan — oświadczył baron prostodusznie — ma z pewnością swoje braki. Również my mamy wątpliwości. Ale nie możemy patrzeć, jak taki teren leży odłogiem. Można by tu zebrać kilkaset cetnarów zboża rocznie, o ile oczywiście nie jesteśmy na błędnej drodze z naszym pomysłem. Ale po to, aby to ocenić, wy tu jesteście, moi panowie.

Mężczyźni skinęli głowami. Decyzja należała do nich — to oczywiste; I nikt nie próbował na nich niczego wymuszać; przyjęli to z zadowoleniem, ponieważ nie było to w powszechnym zwyczaju.

Następnie panowie dali swemu specjaliście nadinspektorowi, sygnał do startu. Ten zajął się gorliwie planem organizacyjnym. - Dobra robota! — powiedział po dziesięciu minutach. Potem zadawał pytania. Alfons Materna odpowiedział na wszystkie.

Po półgodzinie nadinspektor zatarł ręce; potem spojrzął na nadradcę stanu i skinął głową. Była to decyzja na tak.

Jednakże kierownik komisji powiedział — jak na prawdziwego strażnika interesu państwowego przystało: — Nawet jeśli my zaakceptujemy ten projekt, wątpię, czy uzyskacie panowie subwencje państwowe na ten cel.

Alfons odrzekł, rzuciwszy uprzednio okiem na karteczkę z informacją Wollnaua: — Według zarządzenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z sierpnia 33 pieniądze 7c mogą być zużyte na. 9b, jeśli osiąga się przez to pewien przyrost majątku narodowego.

Nadradca stanu popatrzył na radcę stanu, a ten spojrzęła na nadinspektora, który gorliwie przerzucał papiery. Kiedy znalazł to czego szukał, pokazał to nadradcy stanu.

Nadradca przeczytał i powiedział: — Stwierdzam, że pan się wyjątkowo dokładnie przygotował do tego projektu. To umacnia moje zaufanie.

~ Przygotowałem dla panów, niewielką, skromną przekąskę — oznajmił baron — Czy zechcą panowie być moimi gośćmi?

— Myślę, że możemy spokojnie przyjąć to zaproszenie. - Towarzyszący radcy ludzie wykazali gorliwą aprobatę: praca komisji została praktycznie wykonana, mogą więc sobie pozwolić na małą rozrywkę. To, co było jeszcze do załatwienia, to sprawa specjalisty , wspólnie z Jabłońskim.

— Człowieku — szepnął baron Maternie — urzędaszy długo jeszcze będą pamiętać ten dzień.

— Być może — odparł Materna. — Chyba jeszcze żaden rząd nie pomagał osuszać takiego bagna jak to.

Żandarm Gäbler siedział zamyślony przy biurku. Przed nim leżało wiele spraw, jedna bardziej zagmatwana od drugiej. W kącie pokoju, tuż obok półki z aktami, siedziała Sabine, jego córka. Czytała najnowszy list gończy.

- Nie możesz się bawić gdzie indziej? — zapytał ojciec.

— Czy ci przeszkadzam?

Oczywiście, że mu nie przeszkadzała, bo była grzeczna. Nawet nie było słychać, jak oddycha. Jednakże Gäbler odczuwał potrzebę samotności — pragnął spokojnie pomyśleć. Piętrzyły się bowiem problemy.

Oto skarga Fritza Fischera z powodu próby okaleczenia, mianowicie strzelano do niego z armaty; następne doniesienie pochodziło od Amadeusa Neubera — kradzież z włamaniem: z zamkniętej skrzynki zabrano amunicję. Był też donos Felixa Kuscheho, zwanego „Bubim” , w sprawie niebezpiecznego dla obywateli zagrożenia, w tym także jego własnego. Dalej wniosek Uschkurata o wszczęcie postępowania z powodu zakłóceń w gminie, mających charakter sabotażu. Cały stos!

— Co mam z tym począć? — zawołał Gäbler, na skraj rozpacz.

— Do kosza — poradziła Sabine przyjaźnie.

Żandarm pomyślał dokładnie to samo, niemniej zdumiał się, słysząc to z ust swojej córki, która była przecież jeszcze dzieckiem. Zmusił się do ojcowskiej surowości, w której pobrzmiwała jednak dobroć. — Co ty sobie myślisz, dziewczyno? Co cię to obchodzi?

— Nic — odpowiedziała Sabine i spojrzała grzecznie na ojca.— Kogóż to może obchodzić, oprócz partii.

Żandarm otworzył usta i przez jakiś czas ich nie zamykał. To, co usłyszał, było dziecięco naiwne, ale wcale nie takie głupie. Wstał zamyślony, pdał się, pospiesznie do gospody, wszedł na piętro

i zapukał do pokoju numer trzy. Friedrich Wilhelm Pampusch zdołał głośno: Wejść!

Leżał w butach na łóżku. Na biurku leżała rozłożona gazeta Volkischer Beobachter . Na nocnym stoliku stało radio; dobiegały z niego dźwięki tanga.

— Niech pan posłucha! — zawołał Pampusch zachwycony, — To jest muzyka! Bach, chóry męskie i muzyka marszowa — dreszcze mnie; od tego przechodzą. I tango! Czy pan tańczy tango? W ubiegłym roku w Królewcu w Tiergartencafe zająłem pierwsze miejsce w turnieju tańca, wraz z dziarską blondyną. Zdziwił się pan, co?

Żandarm istotnie się zdziwił. Musiał wysłuchać tanga do końca, aż do ostatniego rzewnego końcowego taktu. Kiedy zaraz potem rozległ się szybki fokstrot — wciąż to murzyńskie rzępolenie - Pamputsch z minuty na minutę tracił zainteresowanie muzyką radiową. Wyłączył aparat i zapytał: — No, co pan ma na wątrobie?

— Ten wybuch ubiegłej soboty podczas akademii, Co pan o tym sądzi?

- Człowieku — oświadczył Pampusch wściekły — to, było coś niesłychanego! A ja tkwiłem w samym środku. Ale potem powiedziałem sobie: co cię to obchodzi? Jeśli partyjni bonzowie próbują się: powystrzelać nawzajem z armaty, to nic, tylko się kryć. Jest to najlepsza rada, jaką mogę panu dać, panie kolego.

Żandarm Gäbler wyszedł. Pomyślał o obowiązującej zasadzie: Słuszne jest to, co służy narodowi! A naród w Maulen ucieleśniał Eugen Eis. Cóż więc mogło być bardziej słuszne niż pozostawienie decyzji jemu?

Gäbler zaniósł tedy swoje papiery — ostrożnie, jakby transportował bombę, do ortsruppenleitiera. — Jeśli się nie mylę, chodzi tu o sprawę partii. Z całym zaufaniem oddaję je w pańskie ręce.

— I oto leżą! -- Eis oglądał melancholijnie wręczony mu zwój papieru. ~ A gdzie się zaraz znajdują? — Opuścił ręce. Dokument-zsunęły się w dół - najpierw wolno, potem szybciej. Do kosza na śmieci..;

— Przyszedłeś do mnie? - zawołała Brigitte, — Właśnie zamierzałam cię szukać.

W drzwiach kuchni stanął Alfons Materna.. Przyglądał się z uśmiechem zatroskania- swojej córce.

—Wciąż, mnie zdumiewasz — powiedział, - Jakże często wpadamy oboje na taką samą myśl.

Rzadko się widywali. Często zamieniali zaledwie kilka słów, niekiedy wymieniali tylko spojrzenia. Ale mieli uczucie, że się rozumieją.

— Jesteś mną bardzo rozczarowany? — zapytała córka.

Materna usiadł obok niej. — Sama sobie wybrałaś drogę życiową.

— Bez twojej zgody, ojcze. Wbrew twojej woli.

— W tej mierze, zdaje się, nie doceniasz mnie — oświadczył Alfons cicho. — Gdybym miał taki zamiar, przypuszczalnie udałoby mi się oszczędzić ci takiego męża. Ale nie chciałem tego.

Brigitte wstała niespokojna. — Nie masz pojęcia, co się ze mną stało.

Alfons Materna oparł się ciężko. Krzesło, na którym siedział, zatrzeszczało. — Ty już jako dziecko łaknęłaś szczególnych przyjemności. Takie coś wyradza się niekiedy w pożądlivość. A z dziewczynek wyrastają kobiety.

— I nie pogardzasz mną?

— Skądże znowu! — Materna powiedział to łagodnym tonem i raczej wesoło. — Kiedy wówczas chciałaś poślubić tego Eisa, długo nad tym myślałem. Znalazłem kilka argumentów, które za tym przemawiały, i doszedłem do wniosku, który mnie samego zaskoczył: to będzie dla niej dobre! Nie miałem więc prawa się złościć, kiedy potem stało się inaczej. Albo kiedy przyszli inni.

— Wielu innych.

— Jeśli już coś robisz, to robisz perfekcyjnie. Jesteś przecież córką Materny.

— Ale teraz umarło moje dziecko — powiedziała Brigitte.

Alfons milczał. Brigitte pospiesznie ciągnęła dalej. — Umarło tu, w tym domu. A kiedy umierało, nikogo przy nim nie było. Umarło całkiem samotnie.

Alfons Materna pochylił się, na jego twarzy malował się smutek. — Brigitte — zapytał — czy sądzisz, że jesteś winna śmierci swego dziecka?

— Tak! — zawołała. I opowiedziała mu, co się stało. Podeszła do szafy, wzięła butelkę. — Wódka — jak widzisz. To było to. Nalałam kieliszek. Był średniej wielkości. Nie nalałam do pełna. Z butelki ulałam jeden centymetr — do górnej krawędzi etykiety. To niedużo, pomyślałam sobie.

Postawiła butelkę przed ojcem.

Ten odsunął ją na bok. — Prawie każdy tu tak robi.

— Ale moje dziecko udusiło się od tego!

Alfons Materna opuścił wzrok. Butelka znów znalazła się w polu jego widzenia. Przyglądał się etykietce: żytniówka, czterdziestoprocentowa.

- Ulałaś więc kieliszek, mniej więcej centymetr, prawda?

Córka skinęła głową. -- A potem sama chciałaś się wzmocnić, z tej butelki, przypuszczalnie po tych wszystkich przejściach?

— Nie. Ja prawie nie piję.

— Dlaczego zatem w kredensie stoi alkohol?

— Do przyprawiania niektórych potraw, na przykład kapusty...

— A Eis pije czasem z tej butelki?

— On ma dość wódki. Wszędzie, gdzie przebywa, stoją butelki, nawet pod jego łóżkiem. Do kuchni daje mi to, czego sam nie wychała.

— A więc wszystko jasne — powiedział Materna. — Podejź bliżej, dziecko. Widzisz, butelka jest opróżniona poniżej etykiety i to prawie trzy centymetry poniżej.

Oczy Brigitte rozszerzyły się. — Myślisz, że to coś znaczy?

— Myślę, że to, co przypuszczasz. -- Materna postawił butelkę ostrożnie na stole.—Po twoim wyjściu przypuszczalnie jeszcze Eis zajmował się niemowlęciem, prawda?

— Tak, to on! — zawołała Brigitte wzburzona. — Nikt inny. nie wchodzi w rachubę. — I ledwie dosłyszalnie dodała:— Kiedyś go zabije.

To zrozumiałe pragnienie — oświadczył Materna który już stał w drzwiach. — Ale nie życzę sobie tego. A nawet ci zabraniam. Ja, twój ojciec!

Materna zniknął z Maulen na trzy dni. Otrzymał wiadomość od barona że jest zgoda komisji rządowej. Wsiadł więc do swojej dwukonki i odjechał na wschód, gdzie o kilka kilometrów dalej znajdowała się, granica polska.

— Powodzenia! — zawołał za nim Jabłoński.

Materna trzasnęła z bicia.— Mam nadzieję, że tymczasem nic tu nie stracę.

Jakub wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zdawał się mówić: Cóż tu się może wydarzyć jak ciebie nie będzie! Ale właśnie tu się mylił; Właśnie dlatego, że nie było Materny, to, co się zdarzyło jeszcze tego samego wieczoru, mogło stanowić nie lada zagadkę dla mieszkańców Maulen.

Najpierw jednak panował zupełny spokój. W szkole dzieci wyjątkowo nie śpiewały; pastor Bachus medytował w ogrodzie. Fischer łowił ryby, a Eugen Eis siedział zmartwiony. Neuber zaś rozglądał się za kimś kto by go mógł zabezpieczyć na przyszłość także za Sabine.

Uśmiechając się po ojcowsku, przywołał ją ruchem ręki. Jego wyciągnięta dłoń dotknęła jej głowy, przesunęła się delikatnie aż do pleców. — Co tu robisz, moja mała? — zapytał.

— Stoję — odpowiedziała Sabine.

— Tak sobie stać, doznawać radości istnienia i czuć swoją jaźń — oto klasyczne greckie odczucie życia.

— Ale przypuszczalnie nie germańskie?

Amadeus Neuber uśmiechnął się serdecznie. Wspaniała dziewczyna! — Germańskość — powiedział, obejmując ją ramieniem — jest dla nas oczywiście dominującą siłą. Ale nie zapominajmy także o pokrewnej kulturze greckiej, która zakwitła pod świecącym słońcem. Jakież ona dała wspaniałe malowidła na wazach — najszlachetniejszą cielesność. Mam na ten temat piękną książkę.

— W szkole? Czy w sypialni?

— Właśnie tam, Sabine! — Ręka Neubera prześliznęła się po plecach dziewczyny. — Nie miałabyś ochoty obejrzeć tych wspaniałości?

— Oczywiście — zapewniała Sabine, ponieważ dla niej sypialnia Neubera była pomieszczeniem, w którym wciąż jeszcze stała skrzynia z resztą amunicji do armaty, a to miało dla niej szczególną siłę przyciągającą. Dodała jednak z żalem: — Może później.

— Kiedy tylko zechcesz! — Neuber starał się ukryć zdumienie. Musiał hamować niecierpliwość. Jego piękne marzenia o czystym nietkniętym świecie powoli zdawały się spełniać...

Sabine opuściła wieś i udała się w kierunku wschodnimi Zboczyła z głównej szosy, powędrowała polną drogą i po kilku kilometrach zbliżyła się do stacji Geierwiese. Około stu metrów przed nią usiadła na stosie kamieni.

Tu czekała na wieczorny pociąg z Giżycka. Była to tak zwana wiejska ciuchcia — przewoziła produkty rolne, bydło i ludzi. Ale miała także połączenie z pociągiem pospiesznym z Królewca. A pociągami tym przyjeżdżali zazwyczaj Konrad Klinger i Peter Bachus.

Sabine dostrzegła ich, jak wysiedli. Oni również dostrzegli dziewczynkę i ruszyli w kierunku stosu kamieni.

— O! — zawołał Peter zaskoczony. — Czyżbyś nas chciała nastrościć?

— Głupi — oświadczyła Sabine.

— A może chciałaś nam zrobić przyjemność? — powiedział Konrad.

— Czy ja jestem Hannelore?

Wzięli dziewczynkę do środka i poszli w stronę Maulen, śmiejąc się po drodze.

— Nie ma zbyt wiele powodów do śmiechu — powiedziała Sabine.

— Czy coś się stało?

— Niestety, nic ważnego. Tyle tylko, że tym razem nie zabawicie się w domu Materny. Alfons jest za granicą, a Hannelore przebywa chwilowo u jakichś krewnych.

— Wobec tego ty musisz nam ją zastąpić — zażartował Konrad.

— Chcielibyście! — zawołała Sabine. — Nędzni partacze.

— Czy czatowałaś na nas po to, aby nam wleźć w paradę?

— Wy zawsze robicie wszystko tylko połowicznie. Dlaczego tylko Fischer? Dlaczego również nie Neuber? Jeśli starczy dla jednego...

Usiedli na skraju drogi, na stosie kamieni. Wieczne słońce opadało za horyzontem, jakby pociągane za sznurek. Niebo rozjaśniał gigantyczny ogień, który szybko gasł. Na to wszystko kładły się niebieskie, koczarne cienie niczym grube kołdry. Ale ciepło dnia pozostało — unosiło się z kamieni, z piaszczystej ziemi, pełzało w górę po sękatach wyschniętych drzewach. A niebo lśniło srebrzyście.

Sabine bez przerwy mówiła — poinformowała chłopców o śledztwie w związku ze strzałem z armaty, które wszczął jej ojciec. - Zwykły niewypał. — Opowiedziała też o podejrzeniu Fischera wobec Neubera. — Zachowują się obaj jak tryki na wiosnę. Boda się nawzajem, aż trzeszczy.

Doszła wreszcie do oferty Neubera, mianowicie, że gotów jest pokazać jej książkę z malowidłami na greckich wazach. — Dostanę się przy tym na pewno do skrzyni z amunicją. Na przykład kiedy on pójdzie coś przynieść albo będzie musiał wyjść. Już ja to załatwię.

— Niezły pomysł — powiedział Peter.

— Najgorsze ze wszystkich możliwych rozwiązań — uznał Konrad

— Zbyt duże ryzyko. Poza tym jeśli Jabłoński domyśli się, czego żądamy od Sabine, stłucze nas na kwaśne jabłko.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć — powiedziała Sabine zyczliwie. Ale teraz i Peter uznał, że sprawa jest dość niebezpieczna. Jesteś jeszcze za mała na takie rzeczy.

— Tchórze! — zawołała Sabine wzburzona.

— Nie mów tak — oświadczył Peter Bachus. — Zastanów się lepiej, co powiedziałyby na to Jakub. Myślisz, że byłby zachwycony?

Sabine wrzuciła raryżonami. Bez słowa szła do domu, mając po bokach obu przyjaciół, Zanim zniknęła za drzwiami wyszeptwała — I w takich, gówniarzach pokładano nadzieję!

Księżyc nadpływał powoli nad Maulen. Dachy domów lśniły. Wszystko stworzenie już spało, tylko kilka psów kręciło się niespokojnie.

W gospodzie Scharfkego panował jeszcze ruch. Było niemal pełno. W sali obok ćwiczyło towarzystwo śpiewacze, wzmocnione chórem SA i kwartetem Związku Kobiet, tym razem pod kierunkiem Fritza Fischera.

Podnieść dłoń na kraj niemiecki
Może tylko łotr zdradziecki.

Śpiew wzmagął pragnienie. Fischer to wiedział. Beczułka piwa stała już przygotowana — na koszt państwa, do zaksięgowania jako materiał szkoleniowy .

Żandarm Giibler, zasmucony, przerzucał swoje akta. Prawo i sprawiedliwość, myślał, to niestety dwie sprzeczności. Jak je ze sobą pogodzić?

Pastor Bachus siedział w swojej piwnicy; próbował utopić w winie swoje przygnębienie i rozczarowanie. Na próżno! Im więcej pił, tym więcej, znosił. Odurzenie zapomnienia, którego tak pragnął, powoli stawało się coraz kosztowniejsze.

Nie podnosząc się, spojrzął na drzwi piwnicy. Stał w nich jego syn Peter. A za nim, jak cień, nieodłączny Konrad.

— Jak się czujesz, ojczy?

— Dobrze — stwierdził Bachus. — Bardzo dobrze. Medytuję.

— Czy możemy ci w czym pomóc?

Bachus roześmiał się; trzymał w ręku butelkę wina. — Ten nasz żywot jest niesłychanie zabawny. Bóg, zdaje się, lubi makabryczne żarty. Inaczej nie da się wytłumaczyć tego wszystkiego, co się tu każdego dnia zdarza.

— To niech pan coś na to poradzi! — zawołał Konrad.

Pastor podniósł głowę. Jego uśmiech sprawiał wrażenie udręczonego. — Błagałem Boga o błogosławieństwo dla czasów, w których żyjemy — powiedział. — Naprawdę. Nie jest łatwo dla takich jak my iść drogą od błogosławieństwa do przekleństwa — kto się na to odważy?

Przyjaciele oddalili się. Usiedli, jak dawniej, na niskim murze, który oddzielał położony za kościołem cmentarz od placu. Siedzieli tam bez słowa. Nie docierał do nich blask księżycy, docierał natomiast wielogłosowy hałas — chóralny śpiew z gospody.

Na wschód hen ciągną gęsi dzikie,
W mym sercu płacze męka sroga,
Lecz już wolności lśnią promyki,
Zapowiedź jej to klęski wroga.

— Ten ryk to jedno wielkie wyzwanie — powiedział Peter. Konrad skinął głową. — Zgadza się! Podejmujemy pomysł Sabine.

Głośny śpiew dotarł do uszu Amadeusa Neubera. Leżał na niespokojnie, w ubraniu, na łóżku. Lampa oświetlała książkę z wazami: muskularna męskość i najdelikatniejszy profil dziewczęcy; wesołość satyra — i nabrzmiewające pożądanie, osuwająca się nimfa...

Neuber wstał, książka wyslizgnęła mu się z rąk i spadła na podłogę tuż obok skrzyni z amunicją. Nie zwrócił na to uwagi. Pospieszył do drzwi, otworzył je i patrzył w napięciu w ciemność.

— Kto tam? — zapytał wesoło. I po chwili: — Czy to ty, Sabine?

Nie otrzymał odpowiedzi. Czekał chwilę, pochyłony do przodu, nieruchomo — na próżno. Potem westchnął i zgasił światło. Wyszedł w ciemność. Szedł najpierw bez celu, obok armaty, przez plac. I tak dotarł do domu żandarma. Spojrzał na ciemne okna.

Znów westchnął, okrążył dom, następnie wypalił papierosa i poszedł dalej. Czuł się tak, jakby śnił.

Nieco później głuchy wybuch rozdarł nocną ciszę nad Maulen. Potoczył się przez wieś, aż zabrzęczały szyby w oknach, a w gospodzie wprawił w drżący ruch zawartość kieliszków.

Sypialnia Amadeusa Neubera była stosem gruzów.

Kiedy to się stało, Eugen Eis przebywał w izbie, gdzie leżały zwłoki jego syna. Stojąca pośrodku, przybrana srebrnymi ozdobami, dębowa trumna wypełniała przestrzeń. Nie przeszkadzało to jednak Eisowi rozsiać się wygodnie.

Na kartkach papieru zaopatrzonych w godło państwowe robił projekty ceremonii pogrzebowej i notował: uroczysta ceremonia w domu — rozmieszczenie gości honorowych — udekorowanie kwiatami i wieńcami — uzgodnienie mów pogrzebowych — zorganizowanie delegacji...

Kiedy usłyszał wybuch, potrząsnął niechętnie głową. Uznał, że mu się przeszkadza, nie wiedząc, że był to niezwykle huk.

Weszła Brigitte w koszuli nocnej. - Przeszkadzasz mi — powiedział Eugen, wskazując na papiery.

— Czy ty nie masz uszu? — zapytała żona. — Omal nie wypadłam i z łóżka, tak potężny był to wybuch.

Eis roześmiał się szorstko. Postanowił zademonstrować swoją przewagę: — Ty wypadłaś już z niejednego łóżka, dlaczego nie miałabyś raz wypaść z własnego! Ja w każdym razie jestem zajęty; opracowuję program uroczystości pogrzebowej. A może zapomniałaś, że mamy żałobę?

— Ty nie masz żałoby. Dla ciebie nawet ta trumna to tylko rekwizyt — okazja do jeszcze jednego przemówienia!

Eugen odetchnął głęboko. — Czy wiesz, kim ty jesteś?

Nie dowiedziała się jednak, ponieważ do izby wpadł Fritz Fischer, natarczywie, najwyraźniej postanowiwszy nie uznawać żadnych przeszkód. Nawet Brigitte w nocnej koszuli nie mogłaby go powstrzymać — ale ona nie miała takiego zamiaru; wyszła z pokoju.

Fischer był niczym lokomotywa, która spuszcza parę: — Ten Neuber będzie próbował mnie w to wrobić. Jestem przekonany, że jest do tego zdolny. Jego buda wyleciała w powietrze, ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Naprawdę nie! Daję na to słowo honoru.

Eis chciał zrobić ironiczną uwagę na temat słowa honoru Fischera, ale zanim to uczynił, zjawił się Amadeus Neuber: czerwony na twarzy, wzburzony, spocony. Wykrztusił: — To jest najpodlejszy akt zemsty!

— I to z twojej strony! — zawołał szybko Fischer. — Sam wysadziłeś swoją budę w powietrze, aby tylko mnie dać w kość!

Neuber z trudem chwycił powietrze. — Najpierw próbujesz mnie przypisać wystrzał z armaty, potem zaś wysadzasz moją sypialnię w powietrze — a jest to wszak mieszkanie służbowe, a więc własność państwowa!

Fritz Fischer chciał się na niego rzucić — fizycznie bowiem przewyższał Neuberą — ale między nimi stała trumna. Przywódca SA uderzył o nią; załomotało głucho. Zawołał przy tym do Neubera: — Człowieku, gdybym chciał cię wysadzić w powietrze, teraz mężna by zdrapywać ze ścian twoje szczątki!

— To zwykłe morderstwo! — krzyczał Neuber. — Tylko przez przypadek uniknąłem śmierci.

— Spokój! — zawołał Eugen Eis. — Do diabła, stoicie tu wobec majestatu śmierci!

Mężczyźni zamilkli. Eis rzucił się na trumnę swego syna i warczał na intruzów jak, buldog. Kiedy się znów odezwał, w jego głosie zabrzmiało rozgoryczenie: — Koledze! Czy chcecie się do mnie dobrać?

- Skądże znowu! - zaprzeczył Neuber. — Ale czy to moja wina, że moje mieszkanie wyleciało w powietrze?

— Wypraszam sobie to oskarżycielskie spojrzenie! — Fischer na nowo się zapienił. — Dzieją się tu rzeczy, które nie powinny się dziać. A poza tym jeszcze jedno nie powinno się dziać — powiedział Eis — mianowicie publiczne walki kogutów pomiędzy przywódcami partyjnymi. Nasze porachunki powinniśmy załatwiać między sobą.

— Między sobą? Kiedy był taki huk, że na milę wszystkie psy się zbudziły!

— Wciąż te połowiczności! — zawołał Eis. - Skoro chcecie się nawzajem sprzątnąć, to zróbcie to szybko i możliwie cicho, do stu diabłów. Ale nie mieszajcie do tego partii!

— Wyjdź, Neuber — rozkazał Fischer — żebyś ci mógł spokojnie zrobić siekierą przedziałek na głowie.

— Wolę inne metody — powiedział Amadeus Neuber twardo. Mnie słucha duża część partii, i uznają to jako zobowiązanie.

— Partia to tutaj wciąż jeszcze ja! — zapewnił Eugen. — A obecnie mam żalobę. Proszę, aby to uszanowano. — Zastukał w dziecięcą trumienkę. — Wszystko musi mieć swoją kolej i porządek. Najpierw pogrzeb, a potem zobaczymy.

Eis powitał pierwszych żalobników na progu domu. Byli to: Uschkurat z żoną, która kiwała głową jak ptak i przeważnie milczała; żandarm Gäbler ze swoją otyłą siostrą, która mogła pomieścić w sobie tyle alkoholu co beczka; kierownik organizacyjny Neuber prowadzący po rycersku panią Eichler; przywódca SA z miejscową przywódczynią BdM, o nazwisku Frólich— dziewczyna chętnie się śmiała, odsłaniając przy tym końskie zęby, i odruchowo dotykała męskimi dłońmi swego partnera, z którym rozmawiała.

Wszystkim podano na powitanie alkohol — jako wstęp do małej uroczystości w ścisłym gronie, którą zwykle poprzedzała pogrzeb wraz z uciechami dla ludu na zakończenie. Był to alkohol pięćdziesięciprocentowy, po którym nie należało się spodziewać szczególnej działalności. Podniesione głosy nie miały z tym żadnego związku zawsze były podniesione.

— Tylko bez fałszywej skromności! — zawołał Eugen zachęcająco. Wskazał przy tym pprasającym gestem na stół obok wejścia. Stały tam butelki w szeregu niczym pruskie kompanie honorowe, wódka

łagodna, przeznaczona specjalnie dla kobiet, żubrówka, która zwałała z nóg, wreszcie niezawodna żytniówka w litrowych butelkach.

Liczne świece rzucały łagodne światło na trumnę, stojącą pośrodku izby; dokoła były stoły ustawione w podkowę.

— Serdeczne wyrazy współczucia! — zawołali zebrani, podnosząc pełne kieliszki.

— Bardzo dziękuję — powiedział Eugen Eis.

Żałobnicy powitali głośno Naschinskiego, kierownika kasy pożyczko wo-oszczędnościowej; Eis zamierzał u niego zaciągnąć pożyczkę. Pani Naschinska zagruchała jak gołąb, kiedy pan domu poklepał ją uwodzicielsko po plecach. Serdeczne było również powitanie państwa Poreskich: on weteran, jak również specjalista od mleka i tłuszczu, co nie było bez znaczenia dla mleczarni Eisa, ona — zasłużona członkini Związku Kobiet NS i przewodnicząca Koła Gospodyń.

— Proszę się rozgościć, drodzy przyjaciele! — zawołał Eugen. — Czujcie się jak u siebie w domu!

Jako kolejny gość zjawił się Friedrich Wilhelm Pampusch, który tego wieczora dawał swoje przedstawienie pożegnalne, rad, że opuszcza cało Maulen. Przyszedł w mundurze SS i przyniósł bukiet białych róż, które zamierzał położyć na trumnie. Ale zanim to uczynił, wyjął jedną z nich i wręczył ją Brigitte ze słowami: — Skromny znak mego, bezgranicznego uznania i wdzięczności!

Żałobnicy zajęli miejsca przy stole w swobodnym barwnym porządku, Radośnie skierowali wzrok na talerze z poczęstunkiem. Na stojącą pośrodku trumnę nikt nie zwracał uwagi.

Pó zimnych zakąskach nastąpiły dania gorące, później desery, następnie dalsze dania — kwaśne, ostre i drapiące: kiełbaski, nóżki W galarecie, sery, ciastka i marcepany. A przedtem, potem i w ogóle przez cały czas — wódki pobudzające trawienie. Dotychczasowe kieliszki wielkości pięści zostały zastąpione naczyniami wielkości wazonów.

Felix, czyli Bubi Kusche, pomagał obsługiwać gości. Chętnie przy tym przebywał w kuchni, u akuszerki Audehm, która nie tylko potrafiła przyrządzać po mistrzowsku mazurskie potrawy. Miała też i inne kwalifikacje; niejeden je wychwalał.

— Taka uroczyść to ma coś w sobie — mówił Felix, patrząc przy tym na tyłek Audehm. — Przenika człowieka na wylot. Naprawdę? — kobieta spojrzała na drzwi, za którymi hałasowali żałobnicy. — Czyżby cię znów naszło?

- A masz coś przeciwko temu? - zapyta Bubi śmiało i rozłożył ręce.
- Człowieku, ale przecież nie tu!

Felix jednak uznał, że okoliczności są sprzyjające. — Nikt nam nie przeszkodzi, picia mają tam pod dostatkiem.

Tam zaś Eugen Eis obchodził swoją rundę. Przed każdym stała pełna butelka — sprawą honoru było opróżnić ją jak najszybciej. Zandarm Gäbler zapewnił po wielokroć uroczyście, że można na nim jako na przedstawicielu praworządnego państwa całkowicie polegać. Kierownik kasy oszczędnościowo-pożyczkowej Naschinski gotów był udzielić pożyczki w każdej wysokości. A zastępca przywódcy miejscowych chłopów Po reski, przyszły burmistrz, oświadczył, że jego opinia na temat mleczarni Eisa będzie jak najlepsza.

Po czym nastąpiły krótkie toasty i okrzyki: „Zdrówko! Atmosfera stawała-się coraz bardziej swobodna. Wilhelm Pampusch wyciągnął stojący w kącie gramofon. Nie było wątpliwości jaką płytę wybierze; tango! Uschkurat przyklasnął z aprobatą. Kilka kobiet zaczęło nucić do wtóru.

A Eugen Eis usiadł pomiędzy Fischerem i Neuberem i położył im ręce na ramionach — mocno i serdecznie. — Drodzy przyjaciele! — zawołał. ~ Uchodzimy powszechnie za zaprzysiężoną wspólnotę, czyżbyście wy chcieli zostać zdrajcami?

Tego oczywiście nie chcieli. Opuścili głowy, unikali spoglądania na siebie i milczeli. Również dokoła nich zapanowało pełne oczekiwania milczenie. Tym wyraźniej słychać było dźwięki tanga i głos Friedricha Wilhelma Pampuscha: —Takie tango to najdoskonalsza szkoła ruchu! Przy fokstrocie człowiek podryguje jak pudel, który chce się wysiusiać, a nie wolno mu A walc to nic innego jak namiastka wódki — człowiek obraca się w kółko, aż mu się zakręci w głowie. Za to tango ludzie! Szczyt elegancji!

— Chcemy to zobaczyć! — zawołał Eugen zachęcająco.

— Tak! — przytaknęli obecni. — Pokaż!

Pampusch jednakże certował się: — Jak cnotliwa panienka, co to i chciałyby, i boi się — szepnęła wyraźnie przywódczyni Związku Dziewcząt Niemieckich. A Pampusch powiedział: - Takie tango wymaga dużo miejsca.

Zrobimy miejsce— powiedział Eis — Odsuńcie stoły na bok, przyjaciele!

Ale przecież tak nie można! - zawołał pastor Bachus niepewnym, ale oburzonym głosem,

— Właśnie że można! — powiedział Eis. — Trumnę postawimy pod ścianą. — Zebrani przesunęli krzesła na bok, rozsunęli stoły i ustawili je, jeden na drugim, pod ścianą. Butelki z wódką i kieliszki poustawiano na oknach.

Pampusch zmierzył przestrzeń do tańca za pomocą kroków i oznajmił: — Przykro mi, ale to nie wystarczy!

— Wynieść stoły! — zawołał Eugen Eis.

— A co z trumną?

— Postawimy ją na sztora

Dym z papierosów i opary alkoholu otoczyły gości niby mgłą. Bełkotliwe głosy przebijały się jak wodospad.

— Mój Boże — powiedział pastor Bachus cicho, zataczając się. Wsparł się przy tym na przywódczyni dziewcząt, która cierpliwie to zniosła. Eis przysunął mu krzesło. A pastor zwałił się na nie i mruknął: — Wszystko ma swoje granice!

— Nie u nas! — Eugen Eis był najśmielszy ze wszystkich. Wyniesiono trumnę. Eis, Fischer i Kusche postawili ją zwyczajnie pod drzwiami.

— A teraz tango! — Nastawiono ulubioną płytę *O donna Clara*. Znany wszystkim tekst mówił o owej Clarze między innymi:

Marszowy krok, sroga mina,
A ciało jak łuk się napina.

Friedrich Wilhelm Pampusch podszedł na sztywnych nogach do Brigitte.

— Ja nie tańczę — powiedziała.

— Która dama na ochotnika? — zawołał Eugen zachęcająco.

Ku ogólnemu zdumieniu podniosła się siostra żandarma, ważąca dwa cetnary. Powitała ją gwałtowny aplauz. A potem wszyscy patrzyli z rozdziawionymi gębami na zapamiętałe tańczącą parę. Wyglądali jak mistrzowie, choć nieco zbyt opaśli.

— Do diabła, jeszcze raz! — zawołał Fischer i próbował położyć rękę na kolanie siedzącej obok kobiety. Ale tam spoczywała już dłoń Neubera. Ich palce klasnęły. Ponieważ jednak działo się to podczas tanga, nikt nic nie słyszał.

— Przyciemnić światło! — zawołał Naschinski i Kusche posłusznie zgasił górne oświetlenie. Teraz tylko stojąca lampa rzucała łagodne nastrojowe światło na zatopionych w sobie nawzajem gości.

— Jakże mnie to mierzi — powiedział Eugen Eis do Margarete Eichler. — Ale trudno, wytrzymam. Choć bardzo cierpię z tego powodu.

— Pan doskonale panuje; nad sytuacją — odrzekła kobieta z uznaniem.

— Nauczyłem się tego od Johannesesa. On był dla mnie wielkim wzorem!

— Pan zdaje się mieć podobne cechy jak on.

Eugen ucieszył się. Ta noc oznaczała dla niego pełny sukces — zaczynał się nią rozkoszować. Ale pozostało mu już niewiele sekund radości.

Oto bowiem Bubi Kusche oznajmił poruszony: — Trumna zniknęła!

Eugen krzyknął wzburzony, odsunawszy się od Margarete: — Światło! — Lampa pod sufitem zapaliła się. Wszyscy pośpiesznie doprowadzili się do porządku. Nagłe zakłócenie wywołało wściekłość. Tancerze padali na podłogę. Pastor Bachus, jakby przebudzony, patrzył dokoła z niedowierzaniem. Przywódczyni dziewcząt niemieckich piszczała zdumiona. Żandarm wodził urzędowym wzrokiem.

Natychmiast rozpoczęto wspólne poszukiwanie trumny. Znalezione ją wreszcie pod gospodą. Stała na schodach. Nad nią kartka z napisem:

Cena umiarkowana .

— Kto śmiało to zrobić?— zapytał Eis.

Fischer węszył jak podrażniony pies. — Kogo było na to stać? To nikt inny tylko Materna!

— Być może! Tylko że on przecież wyjechał...

— Ale ma swoich ludzi.

— Właściwie to nie jest w jego stylu. Chociaż...

— Wszystko mi jedno! — zawołał Eugen Eis. — Ktoś w każdym razie tę trumnę zabrał i przywłókł tutaj. I ja to traktuję jako osobiste wyzwanie. Ktoś za to odpowie, bo inaczej Maulen nie jest niemieckie. Wielkoniemieckie! Teraz wreszcie sprawa się rozstrzygnie!

Brigitte wzruszyła pogardliwie ramionami. — Wciąż te wysokie tony, wielkie słowa — powiedziała. — A co z tego wynika? Ledwie wiaterek.

VI

Ten, kto drugiemu podsuwa jeża,
musj się liczyć z tym, że jemu podsuną
pod tyłek dzika.

— A więc już pora — powiedział Alfons Materna, kiedy wrócił z podróży. Podał lejce Jabłońskiemu, który radośnie szczyrzył zęby. — Teraz może się zacząć, jeśli o mnie chodzi.

Materna kazał sobie podać potężne chłopskie śniadanie: trzy kartofle pokrojone w plastry, usmażone na świeżym maśle; do tego gruba na dwa centymetry szynka pokrojona w kostkę; na to cztery jajka rozbełtane ze śmietaną. Jadł z przyjemnością.

— Za mniej więcej dwie godziny będę potrzebował Wollnaua — powiedział potem. — Najpierw jednak muszę załatwić sprawę z baronem. — Wsiadł na rower i pojechał w kierunku Gross-Siegwalde.

— Ale mu się spieszy — powiedziała Hannelore lekko zdziwiona. Jakub skinął głową zadowolony. — Jest pełen energii, jak za najlepszych czasów.

Alfons Materna został powitany w Gross-Siegwalde jak księżę. Kiedy przejeżdżał przez bramę parku, pracujący tam ogrodnik zasałutował i nacisnął dzwonek. Na podjeździe stały dwie spośród sześciu gracji barona, machając przyjaźnie rękami. Na górnym podejściu stała Elisabeth, lekko zaróżowiona, w zielonej sukni, która podkreślała jej figurę; wyglądała jak z paryskiego żurnala mody. Wyciągnęła prawą dłoń w stronę Materny. — No, nareszcie się pan zjawił!

— Nie do wiary! — powiedział Materna, uśmiechając się z zakłopotaniem. — Wygląda pani niemal tak, jakby mnie pani oczekiwała.

— Nie tylko oczekiwałam, panie Materna. Byliśmy o pana niespokojni.

Alfons uznał, że za wiele tego dobrego. Jednakże schlebiali mu to. Za chwilę zjawił się także Alarich w szlafroku z brokatu w zielono-czerwone paski. Odciągnął Alfonsa od siostry i zaprowadził do biblioteki. — No i jak? — zapytał. — Odnioś pan sukces?

- Ta część mojego zadania została wykonana, a czy przyniesie sukces — to się dopiero okaże. — Następnie Materna poinformował

barona o szczegółach: zostało zwerbowanych jedenastu polskich robotników; następnych piętnastu było do dyspozycji i mogli być każdej chwili zatrudnieni. — Wszystko chłopcy na schwal! A ich mózgi pracują na tej samej częstotliwości co nasze. Wyszukał mi ich osobiście mój przyjaciel z Polski, Siegfried Grienspan.

— To wspaniale, mój drogi — powiedział Alarich von der Brocken I nie bez dumy dodał: — Ja oczywiście w tym czasie także nie próżnowałem.

Alfons Materna usłyszał, że baronowi udało się załatwić ostateczną zgodę; były też zapewnione kredyty państwowe. A specjalistyczna firma z Olsztyna, o dużym doświadczeniu, już jutro zacznie stawiać baraki. — Co pan na to?

Materna początkowo nic nie powiedział. Nadgorliwość barona nie była tak całkiem bezpieczna. — Mam nadzieję, panie von der Brocken, że układ między nami nie został naruszony.

— Oczywiście że nie! To przecież jasne!

— Zgodnie z tym wyłącznie ja będę regulował sprawy zatrudnienia polskich robotników, wyłącznie ja mam prawo dysponowania nimi.

— Oczywiście, oprócz przypadków wyjątkowych!

— A co jest przypadkiem wyjątkowym — określam ja!

— Ależ mój drogi — baron roześmiał się. — Jakoś się pogodzimy. W końcu chodzi tu o naszą szczególną przyjemność. I obaj przecież chcemy się z niej cieszyć.

— I to możliwie jak najdłużej.

— Tak długo, jak tylko się da! — Alarich wstał, zdawał się nie przywiązywać szczególnej wagi do kontynuowania rozmowy. Nie chciałem pozbawiać mojej siostry zbyt długo pańskiego towarzystwa. Ona przywiązuje dużą wagę do rozkoszowania się pana obecnością. Jak pan sądzi, czy ma to jakąś szczególną przyczynę?

— Obawiam się, że jest to ciekawość jej brata — Materna uśmiechnęła się — który zdaje się sądzić; czego ja się nie dowiem, dowie się ona i mi powtórzy.

— Na miłość boską! — zawołał Alarich. — Jest pan na wyjątkowo fałszywym tropie. Przyjacielu i partnerze, skoro tak, muszę pana ostrzec. Pan, zdaje się nie docenia Elisabeth. Może pan być pewien, że ma pan do czynienia nie tyle z moją siostrą, ile z kobietą. Niech pan o tym nie zapomina:

Wczesnym przedpołudniem następnego dnia zajechały dwie ciężarówki z zachodu. Przywiozły materiał budowlany na zamówione dwa baraki. Niemal w tym samym czasie dotarł na bagna wóz transportowy ze wschodu. Przywiózł piętnastu zatrudnionych Polaków.

Jabłoński wymachiwał planami, które opracował Otto Wollnau, niczym buławą marszałkowską. — A więc do roboty, przyjaciele!

Powiedział to w dwu językach. Opanował całkiem dobrze język polski na codzienny użytek. Umiejętności Materny wystarczyły, aby zamówić wódkę albo podać wymiary wykopu pod budowę — w każdym razie potrafił się dogadać.

Ale znajomością językową znacznie przewyższał go mężczyzna, który wyszedł z lasu i zbliżał się właśnie do placu budowy — w zniszczonym, ale schludnym garniturze, bladej na twarzy, o cmęczonych oczach, przygarbiony. Był to Wollnau.

Wmieszał się w gromadkę polskich robotników; wyglądało, jakby był jednym z nich. Z miejsca zaczął pośredniczyć między niemieckimi budowniczymi i Polakami, energicznie zabierającymi się do dzieła;— i z widocznym powodzeniem.

Jakub pobiegł zaalarmować Maternę. Ten siedział właśnie przy drugim śniadaniu. Zostawił pełen jeszcze talerz i pospieszył na budowę.

Zastali Wollnaua w wirze pracy. — Wygląda, jakby rzeczywiście do nich należał — powiedział Jakub zdumiony.

— Odciągnij go! — rzekł Materna.

Udało się to z niejakim trudem — Wollnau koniecznie chciał stawiać ściany z desek. Kiedy wreszcie stanął przed Materną, ten powiedział, siłąc się na surowość: — Panie Wollnau, mimo najlepszych chęci — tak nie można!

— Tylko tak! — zapewnił radca stanu. — Jest tu pilnie potrzebny człowiek, który zna oba języki, a najlepiej jeszcze parę innych.

Do Wollnaua podszedł polski robotnik i zagadał do niego. Ten znów rzucił się w wir pracy. Było to jak najbardziej oczywiste.

Niewątpliwą zasługą Wollnaua było to, że udało się w krótkim czasie położyć fundamenty baraku. Jeszcze tego samego przedpołudnia ustawiono boczne ściany. Wollnau zbił nawet drewniany hakenkreuz; miał on być przymocowany nad wejściem.

— Panie Wollnau — powiedział Materna podczas przerwy obiadowej — myślę, że jest dla pana jasne, jakie będą następstwa pańskiego dzisiejszego publicznego wystąpienia.

Były radca stanu skinął głową. - Mogę jeszcze dziś zniknąć. Mogę też zostać — na czas nieokreślony, bo będę tu potrzebny. Myślę

bowiem tak: jeśli niebawem ktoś ma być transportowany przez granicę polską, to niech to będzie dla odmiany polski robotnik. W ten sposób automatycznie zwalnia się miejsce dla mnie.

Alfons Materna zastanowił się. — To kusząca propozycja - rzekł po chwili.

— A więc zaakceptowane — stwierdził Wollnau zadowolony. — Wobec tego od tej chwili nazywam się Wollnowski.

Tak więc Erich Wollnau, niegdyś doradca pruskiego ministra spraw wewnętrznych, został włączony do grupy polskich robotników, którzy zostali oficjalnie zwerbowani do osuszenia południowych bagien Maulen. Tego samego dnia przeniósł się do baraku. Polacy, przygotowani na wszelkie możliwe komplikacje, przyjęli Ericha Wollnaua serdecznie.

— Strasznie uparty typ! - - stwierdził Jakub zamyślony.

— Co jest błędem, a co nie — powiedział Alfons — widać najczęściej dopiero z perspektywy. Ale więcej niż własnych głów nie możemy przy tym stracić. Pomijając to, że nie są one zbyt wiele warte. W końcu już nieraz podejmowaliśmy takie ryzyko.

Eugen Eis obserwował wydarzenia na bagnach zaniepokojony. To przedsięwzięcie nie wydawało mu się całkiem czyste. Zaangażował nawet Uschkurata, którego zazwyczaj ignorował, jako eksperta.

— Tak — powiedział Uschkurat w zamyśleniu — taki projekt nie jest tani; może kosztować kilkaset tysięcy marek. Ale Materna dokładnie to przemyślał.

Wysokość sumy zaniepokoiła Eisa. Powiedział do żony: — To czyste szaleństwo, na co sobie twój ojciec pozwala.

Brigitte uśmiechnęła się. — Czyżby znów robił ci trudności?

— Z tym bym sobie poradził. Gorzej: on marnotrawi twój spadek.

— Nie możesz mu w tym przeszkodzić, ja również nie.

— Naprawdę? — zapytał Eugen dobitnie. — Brigitte, ostatnio nie zgadzaliśmy się, ale przecież wciąż jeszcze stanowimy nierozzerwalną wspólnotę.

— Czyżby?

— Dopóki ja tak uważam. A to, co było, może jeszcze wrócić. Dlaczego nie? Tylko muszą być do tego podstawy. Uważam, że my oboje ponosimy w jakimś sensie odpowiedzialność za twojego ojca. Pewnego więc dnia musi się to stać.

— Co takiego?

— No, jesteś moją żoną, a zarazem jego córką. Masz więc prawo wnieść o ubezwłasnowolnienie.

— Wobec kogo?

— Brigitte — powiedział Eugen ostrzegawczo — nie zapominaj, że poślubiłaś mnie. I powinnaś wreszcie zrozumieć, co to oznacza!

Eis wyszedł. Mógłby się pocieszyć u przywódczyni dziewcząt niemieckich, Fröhlich, ale zdecydował się na sprytną zagrywkę.

Udał się do Margerete Eichler. Powitała go z radością, a on stwierdził, że jej widok go cieszy. Szlachetny, germański profil, promieniejące niebieskie oczy, romantyczno-niemiecka fryzura, łabędzia szyja i gładka różowa skóra, myślące czoło, figura kłacz, srebrne spojrzenie.

— Coś mnie do pani ciągnęło — wyznał.

— Ja również często o panu myślę.

Eugen Eis ujął jej dłoń. — Odczuwam jako wspaniały dar tę piękną harmonię, która panuje między nami. I to z każdym dniem coraz bardziej.

Południowe bagna Maulen były jak kocioł. Pomiary wykazyły, że teren opadał w kierunku jeziora. Wobec tego w planach przewidziano wykopanie w pierwszym etapie dwóch kanałów, które miały przeciąć piaszczystą krawędź kotła. Wyznaczono na to dwa tygodnie.

Były to dwa w miarę spokojne tygodnie dla Maulen. Dwaj szpicle Fritza Fischera, wystawieni w porozumieniu z Eugenem Eisem mogli jedynie donosić, że robotnicy pracują. Z przerwami wprawdzie ale intensywnie. Osiem godzin dziennie.

— I nic poza tym? — dopytywał się nieufny Fischer.

- Jabłoński codziennie zwołuje coś w rodzaju apelu, rano i wieczorem.

— I co im mówi?

— Nie da się tego zrozumieć, oni mówią po polsku.

Niepohamowana podejrzliwość nie dawała Fischerowi spokoju. Ale minęły dni, zanim zdecydował się zbliżyć do budowy. Służbowy motocykl zostawił w lesie i posuwał się do przodu klasycznym zwyczajem oddziałów szturmowych, wykorzystując każdą osłonę.

Szybko jednak został odkryty. Najpierw ujrzał przed sobą dwie paszcze psów, potem dobroduszny uśmiech Jabłońskiego. o, no!

— zawołał Jakub zdumiony.— Kogo my tu widzimy?

— Chciałem tylko...

— Odwiedzić nas? Chyba nie mówisz tego poważnie, Fischer. Możemy wspaniałomyślnie zrezygnować z twojej wizyty.

— Przecież mam prawo przebywać, gdzie mi się podoba.

— A to coś nowego — oświadczył Jakub ubawiony. — Ten teren należy do nas. Kto chce tu wejść, musi mieć naszą zgodę, a tej tobie z całą pewnością nie udzieliliśmy.

— Człowieku — warknął Fischer. — Chyba nie wiesz, kogo masz przed sobą?

— Wiem bardzo dobrze. — Jabłoński najwidoczniej rozkoszował się tą sytuacją., — Znikaj stąd. Jeśli nie chcesz, aby moje psy wygrawerowały ci monogram na dupie.

Słowa monogram i wygrawerować zdradzały sposób wyrażania się Materny, a więc Jabłoński działał na wyższe polecenie.

Fischer w każdym razie uznał za najwłaściwsze wycofanie się. — Ze mną tak się nie postępuje, ja tu jeszcze wrócę!

Istotnie, wrócił jeszcze tego samego dnia. Tym razem w towarzystwie żandarma Gäblera który oświadczył, że musi sprawdzić listę meldunkową.

Miał prawo, a nawet obowiązek. Jego pojawienia się oczekiwano już od kilku dni; Sabine też już wcześniej go zapowiadała.

Tym razem jak okiem sięgnąć nie było widać ani Jabłońskiego, jego psów. Za to Materna stał koło baraku, gotów na przyjęcie gości A obok niego baron von der Brocken, zatwierdzony urzędowo wspólnik Materny w osuszaniu bagien.

— Rutynowa kontrola, jeśli panowie pozwolą — oznajmił Gäbler uprzejmym tonem.

— Czyżby w tym celu przyprowadził pan pomocnika? — zapytał baron, mrugając okiem.

— Pan Fischer towarzyszy mi z ramienia partii, sam mnie o to prosił.

— A po co, jeśli wolno zapytać?

Fischer wysunął się do przodu i powiedział: — W ramach naszej Ortsgruppe działa również Urząd do spraw robót publicznych — organizacja i koordynacja. I ja jestem za to odpowiedzialny.

— Od kiedy? — zapytał Materna ciekawie i dodał żartobliwym tonem: — Czy od godziny?

— Czas nie gra tu żadnej roli — oświadczył! Fischer energicznie.

Oczywiście, nie pomyślał o tym, że ten podstępny Materna trafił w dziesiątkę. Ten urząd, który miał w istocie niewielkie znaczenie w Maulen i był mało potrzebny, jeszcze pół godziny temu pozostawał w gestii baueraführera. Fischerowi nie sprawiło zbytniej' trudności

podporządkować go komisarycznemu przywództwu SA z niejasnym, ale dostatecznie energicznym uzasadnieniem, które nikogo nie interesowało.

— Czy wie pan, co mi partia może? — zapytał Alarich serdecznym tonem. Przez moment rozkoszował się rosnącym przerażeniem Fischera, ale dostrzegł też ostrzegawcze spojrzenie Materny. — Może mi przekonująco udowodnić, że ma zrozumienie dla pionierskiej roboty.

Po tych słowach nastąpiło westchnienie ulgi. Materna uśmiechnął się przyjaźnie, żandarm znów spoglądał przychylnie. Fischer zastanowił się, czy baron pozwolił sobie na łagodny, czy też złośliwy żart. A może to wcale nie był żart i coś należało odpowiedzieć? Ale nic mu nie przychodziło do głowy.

Żandarm tymczasem zaczął sprawdzać listę Polaków. Wywoływał po kolei nazwiska, a każdy wywołany zgłaszał się okrzykiem, który brzmiał mniej więcej jak obecny .

— W porządku — powiedział Gäbler w końcu. Złożył listę i schował ją. — Wobec tego możemy już wracać.

Fritz Fischer był jednak innego zdania. — Chcę powiedzieć tym ludziom kilka słów — oznajmił.

Baron już miał zaprotestować, ale Materna uspokoił go jednym spojrzeniem.

Przemówienie Fritza Fischera brzmiało następująco: — Ludzie! Przybyliście do nas, do Niemiec, aby tu pracować. To się chwali. A więc witam was. W ten sposób uczestniczycie w ogromnym dziele budowy Wielkoniemieckiej Rzeszy. Doceniamy to. I dlatego wy również jesteście pod ochroną partii i jej odpowiedzialnych organizacji. Każdy powinien mieć do niej zaufanie. A jeśli wynikną jakiegokolwiek problemy, śmiało zwracajcie się do mnie. — Słuchanie tłumaczenia Wollnaua było dla każdego, kto choć trochę opanował język polski, prawdziwą przyjemnością.

— Ten człowiek zna świetnie niemiecki — powiedział Fischer, — trdzie się tego nauczył?

— W szkole — odpowiedział Wollnau-Wollnowski.

— A kim pan jest z zawodu?

Wollnau odpowiedział gładko: — Nadradcą stanu!

Fischer zdumiał się, Materna był przerażony, Alaricha natomiast bardzo to ubawiło.

— Powiedział pan: nadradcą stanu? — zapytał Fischer niedowierzaniem.

— Tak powiedziałem.

Fischer okazał teraz, że jest skutecznie wyszkolony. Od razu rozwinął

propagandowo-górnolotną ideologię. Pełen wyższości spytał:— Polityczna mniejszość, czy tak?

— W pewnym sensie.

— Prześladowany przez pełnych nienawiści, niedouczonej nacjonalistów, czy tak?

— Można tak powiedzieć.

Fischer starał się to wszystko sobie wyobrazić. — Żli ludzie! — Miał na myśli Polaków. — Najbardziej wartościowa część ludności jest zmuszona do poniżającej roboty, aby utrzymać się na powierzchni. To woła o pomstę do nieba!

Podał rękę prześladowanemu radcy stanu. — Mam nadzieję - powiedział, że będzie pan tu miał dobre warunki pracy.

Wollnau odrzekł uprzejmie, że też ma taką nadzieję. Następnie stanął na czele Polaków i udał się z nimi na bagno.

Fritz Fischer powiedział teraz krótko, bardziej do barona niż do Materny: — Tego rodzaju przedsięwzięcie może zawsze liczyć na poparcie miejscowych komórek partyjnych. — Po czym odmaszerował wraz z żandarmem. Obaj byli przekonani, że dobrze spełnili swój obowiązek.

— Niech Bóg sprawi — powiedział Materna, „spoglądając za odchodzącymi — aby ich rozum był odwrotnie proporcjonalny do ich zarozumiałości.

Baron sięgnął do kieszeni po chusteczkę, aby otrzeć sobie łzy z kącików oczu. — Ten wasz Wollnowski to chłop dużej klasy. Ale nabral tego typu. Tak stwierdzić wprost, że jest nadradcą stanu!

— On istotnie jest nadradcą stanu — powiedział Materna. — I to nie w Polsce, lecz u nas. Spędza tu tylko, w co mocno wierzy, przejściowy okres spoczynku. W każdym razie uwziął się, aby pozostać w Niemczech. Za wszelką cenę.

Alarich von der Brocken przez dłuższy czas stał zamyślony. Potem rzekł: — Taki człowiek z pewnością gra w szachy. Niech pan go do mnie przyśle przy najbliższej okazji. Dam mu mata.

Przed Amadeusem Neuberem leżała teczka czerwonego koloru. Widniał na niej napis: Materiał propagandowy dot. wroga wewnętrznego. Tylko do użytku partyjnego. Trzymać pod zamknięciem Wszystko dużymi literami.

W teczce tej znajdował się między innymi cienki zeszyt pisemka „Stimmen der Kirche” . Był w nim artykuł pod tytułem: *Wątpliwości prawdziwego chrześcijanina wobec zwierzchności,*

Wątpliwości te były, zdaniem kierownictwa Rzeszy, perfidnym atakiem na porządek państwowy. Przede wszystkim w liście towarzyszącym zwrócono uwagę na szóstą spośród dziesięciu wątpliwości.

Brzmiała ona:

Jeśli nasz Führer jest przekonany — czemu nikt nie odważy się zaprzeczyć — że wybrany został przez Opatrzność, to mamy prawo przyjąć, że czuje się on bezgranicznie zobowiązany Bogu. Nie wolno więc nam wątpić, że posłany przez Boga Führer jest też przez Niego prowadzony. Ale ponieważ tylko Kościół chrześcijański ma prawo w imieniu Boga...

— Co za bezczelność! — powiedział Neuber pogardliwie. Po czym wyjął ostrożnie ze swej teczki *Stimmen der Kirche*. Zamierzał raz na zawsze unieszkodliwić Bachusa, który wciąż starał się mu wywinąć. W tym celu wezwał do siebie Ernsta Schlaguweita.

— Kolego — powiedział serdecznie — nadszedł czas, kiedy wasza pozytywna postawa znalazła uznanie. Pan wielokrotnie mnie informował, potrafię to docenić

Schlaguweit pokłonił się z wdzięcznością. — SA — powiedział — potrzebuje pilnie reform, wartościowe siły pragną się sprawdzić.

— Mają szansę — zapewnił Neuber. — Dla mnie pan, a nie taki Kusche, jest przyszłym przywódcą SA. Ale trzeba jeszcze pokonać różne przeszkody. Trzeba działać metodycznie.

- Jestem gotów — odrzekł Schlaguweit. — Co mam robić?— Krok po kroku. Zaczniemy od Bachusa.

Schlaguweit wziął ochoczo wręczoną mu teczkę z materiałem propagandowym. W pół godziny później rozłożył ją przed pastorem. -Kto szuka, ten znajduje.

— Możliwe — pastor machnął ręką. — Nikt chyba nie powie, że jestem negatywnym elementem naszego kraju.

— To mi się podoba! — zawołał Schlaguweit uradowany. Teraz bowiem mógł zameldować: całkowity sukces. — Już dziś jestem ciekaw pańskiego niedzielного kazania.

— O Boże! —jęknął pastor, kiedy już został sam. — Czego to się ode mnie oczekuje.

Ż posępnym wzrokiem zaczął przeglądać pozostawione mu materiały: *Tylko Aryjczyk może być prawdziwym Niemcem*, podtytuł; *Krew jest szczególnym sokiem*. Następnie broszura: *Germańskie budowle na palach, czyli sztuka wykazania się uniwersalnością*. Dalej zbiór: *Ruszamy na Wschód —niemieckie pieśni z pięciu stuleci*, oraz pismo uświadamiające: *Żyd i przestępstwo na narodziniemieckim. Rys historyczny od*

Hermann Cheruska do Hitlera; Fuhrera i człowieka, który zjednoczył, Wielkoniemiecką Rzeszę.

Pastor Bachus pojękiwał. Ale wreszcie jakby zaświtała mu nadzieja. W jego lekko drżące ręce dostały się *Stimmen der Kirche* — pismo, które zaplątało się w oficjalny materiał. Podniecony zaczął czytać. I szybko doszedł do podkreślonego czerwonym ołówkiem punktu numer sześć.

— To jest bądź co) bądź jakieś światło w ciemności.

Skoncentrował się na tym punkcie, na tym problemie. Przeczytał go wielokrotnie i zrobił notatki. Butelka francuskiego wina uskrzydliła jego myśli. Opanowało go coś w rodzaju uczucia wzniosłości.

Ibżucie to utrzymywało się aż do kazania w najbliższą niedzielę, a skjbńczyło dokładnie dwadzieścia pięć minut później.

Bachus rozpoczął od pięknych tradycyjnych słów: — Drodzy bracia w Chrystusie. — Miał tu na myśli wszystkich, którzy go słuchali: grzeszników na duszy, a szczególnie na ciele, te zatwardziałe chwasty na bożym poletku, te owce o zmierzwionej sierści, a więc całe Maulen. — Ale miłosierdzie niebios ogarnia wszystkich nędzników ..

Tak było przez całe kazanie, które szybko zwróciło się ku Bogu i Führerowi

— Wszystkich nas prowadzi Führer, jego zaś — Boża Opatrzność jak sam to niejedną raz wyznał; prowadzi go Bóg w swej niezmierzonej dobroci. Skoro Bóg jest łaskaw naszemu Führerowi Fuhier musi odczuwać wdzięczność wobec Boga. A ponieważ Bóg jest wszechpotężny, potęga Fijhrera może pochodzić tylko od Niego.

Bachus należycie rozbudował punkt numer sześć. Wciąż do niego wracał. Rzucił wielkie słowa nad głowami kimających wieśniaków.

Na koniec zawołał już z suchym gardłem, ale pompatycznie: — To Bóg nam dał takiego Ffihtfëra, a my dziękujemy mu za takiego przywódcę!

Potężnie zabrzmiał końcowy chorał. Wyrwał ostatnich drzemających z ich błogiego spokoju. Każdy patrzył na ołtarz; w tym samym kierunku znajdowała się też gospoda.

— No i jak wypadło? — zapytał Bachus po skończonym nabożeństwie Amadeusa Neubera — który przyszedł do zakrystii wraz z Ernstem Schläguweitem.

— Dla wroga wystarczy z powodzeniem — oświadczył chłodno Neuber. — To, co pan tu powiedział, mógł powiedzieć tylko zdeklarowany wróg państwa!

— Ale ja przecież trzymałem się tylko przekazanych mi materiałów!-

— Materiałów? — zapytał Neuber marszcząc czoło. — Nic o tym nie wiem. Wiem tylko jedno: niektóre z pańskich myśli pochodzą ze zdecydowanie wrogiego czasopisma *Stimmen der Kirche*.

— Ależ proszę posłuchać! — zawołał Bachus. — To czasopismo zostało mi wręczone, że tak powiem; służbowo przez pana Schlaguweita, na pańskie polecenie.

Neuber spojrział, udając zdumionego, na Ernsta Schlaguweita. Ten podniósł ręce w geście przysięgi. — Ja nie przyniosłem panu Bachusowi żadnego wrogiego czasopisma. Czasopismo kościelne? Skąd bym je wziął? Niestłuchane!

— W każdym razie — rzekł Neuber poważnie — z ambony tego kościoła rozpowszechnia się destrukcyjne myśli. To może mieć złe następstwa.

Pastor Bachus umiał to sobie wyobrazić: niejeden z jego współbraci duchownych został skazany z powodu podobnych przewinień. Nogi się pod nim ugięły. Usiadł na krześle i siedział tak dłuższy czas — jego dręczyciele pozwolili mu siedzieć

Wreszcie powiedział, nie odważywszy się spojrzeć na nikogo:

— Przecież zawsze chciałem jak najlepiej...

— Ależ z pewnością — odrzekł Neuber z nagłą przychylnością. — To mogła być także godna pożałowania pomyłka.

- Nic innego — powiedział Bachus słabym głosem.

— Cieszę się, że pan to uznaje — oświadczył Neuber. — Tłumaczę to jako pańską gotowość do współpracy. A więc zdecydował się pan współdziałać ze mną, tym samym przeciwko Fischerowi. Najwyższy czas! A zatem karty na stół, jeśli nie chce pan trafić do więzienia: czy napisał pan Fischerowi przemówienie z okazji poświęcenia armaty?

— Tak — mruknął Bachus ledwie dosłyszalnie.

— I jest pan gotów, o tym zaświadczyć?

— No cóż, tak.

A więc Fischer jest skończony — myślał Amadeus Neuber, Bachus także, ale to nie śikodzi; gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. A teraz potwierdzimy to na piśmie, reszta pójdzie gładko.

Alfons Materna wdał się na cmentarz w Maulen — w środku lata i do tego wczesnym popołudniem. O tej porze nie było nikogo, kto by go pbserwował.

Spotkał tam Matgarete Eichler. Czekala na niego przy grobie Johanna, jak to zapowiedziała wcześniej za pośrednictwem godnej

zaufania akuszerki Audehm. Klęczała, ale niebyła pogrążona w modlitwie — po prostu wyrwała chwasty.

— Pobrudzisz sobie ręce — powiedział Alfons, stając za nią.

Podniosła się z klęczek. Niewiele się zmieniła w ciągu ostatnich paru lat. Jej życie upływało spokojnie i beztrąsko — to człowieka nie postarza. — Chcę z tobą porozmawiać — oznajmiła.

— Słucham. — Alfons usiadł na ławce przy grobie Eichlera.

— Martwię się — powiedziała, spulchniając jednocześnie ziemię na grobie.

— Ale chyba nie o mnie?

— W pewnym sensie tak. W końcu we mnie nie wszystko jeszcze wygasło, Materna. Myślę także o Brigitte. Ona jest przecież moją córką.

— Myślisz o niej, czy o spadku dla niej, a zatem o Eugenie Eisie? O kogo właściwie się martwisz? O mnie z pewnością nie.

Ręce Margarete grzebały w ziemi sprawnie jak automat. — Materna, — powiedziała — jestem także tylko kobietą.

I jakie z tego wyciągasz wnioski?

— Czuję się zmuszona do podjęcia decyzji.

— Ale chyba nie przez Eugena Eisa?

— A gdyby tak, Materna?

Alfons roześmiał się cicho. — Moje gratulacje. On wie najwidoczniej, ile jesteś warta — połowę Maulen!

Popatrzył na gałęzie sosen — były ostro naznaczone wpływem lat; rzadkie zębate gałązki, mocno powyginane, miejscami ogołoczone z igieł, z sączącą się żywicą, dalej znów gołe i sękaty, i nagle kończące się gęstymi od soku, pełnymi nasion szyszkami.

Powiedział z uśmiechem: — Przypuszczalnie chcesz usłyszeć moją radę, aby potem zrobić odwrotnie. Zgoda, poradzę ci: poźryj tego Eisa!

— Spróbuj mnie zrozumieć, Materna. Nie chcę zaraz twierdzić, że ostatnio nasze interesy się uzupełniają. Ale myślę, że pewna zgodność mogłaby być dla każdego z nas z pożytkiem. Bo choć lubię i cenię Eugena, mam na myśli coś wyższego.

Materna świetnie się bawił. Margarete poczuła w sobie krew. Czyżby chciała zostać królową Maulen?

— Mówiąc szczerze i między nami — ciągnęła Margarete — Eugen Eis ma swoje zalety, brak mu jednak umiejętności Johanna Eichlera i twojej mądrości. Nie potrafi się przebić, a już na pewno mu się nie uda, kiedy my oboje połączymy nasze możliwości. My oboje to prawie to samo co całe Maulen. Chyba nie powiesz: nie.

— Nie mogę sobie na to pozwolić — oświadczył Materna z uśmiechem. — Ale powinniśmy to gruntownie przemyśleć.

— A do tego czasu?

— Poczekajmy. — Wstał i wskazał na grób Eichlera. — Jest całkiem prawdopodobne, że do tej pory twój mąż będzie miał towarzystwo. W Maulen takie rzeczy idą szybko. I może przez to zmieni się sytuacja.

— W tym roku, w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, będziemy świętować dwudziestą piątą rocznicę bitwy pod Tannenbergiem i na Mazurskich Bagnach — powiedział Amadeus Neuber do Eugena Eisa.

— To świetnie — odparł Eugen. — Rocznicę to dobra rzecz, one odwracają uwagę.

— A więc powołam komitet organizacyjny — zaproponował Amadeus. — Dziękuję za zaufanie.

— Nie tak szybko — powiedział Eugen nieufnie. — Czy znów masz zamiar wyłączyć naszego kolegę Fischera albo kopnąć pod nim dołki?

— W żadnym razie — zaprzeczył Neuber prostodusznie. — On wejdzie oczywiście w skład komitetu organizacyjnego.

— W porządku — powiedział Eis zadowolony. — Wobec tego możecie zaczynać.

Wkrótce potem Neuber — w porozumieniu z ortsruppenleiterem — podał skład komitetu. Weszły do niego trzy osoby: Neuber, Fischer i Uschkurat — jako przedstawiciele partii, SA i mieszkańców.

Neuber uznał wciągnięcie Uschkurata za genialne. Ten prawie się nie wzbraniał, a więc będzie się trzymał przewodniczącego komitetu, czyli Neubera.

Faktycznie Uschkurat nic nie powiedział — w przeciwieństwie do Fischera. Ten oświadczył natychmiast: — Pragnę podkreślić, że nie będę służył niczych rozkazów, albowiem nie widzę nikogo, kto by mi mógł rozkazywać.

— Ale tu chodzi tylko o coś w rodzaju wstępnych ustaleń — zapewnił Neuber pospiesznie.

- A kto ma przewodniczyć? Może ty? Odpada!

Neuber pozostał jednak uprzejmy. Spodziewał się napaści ze strony Fischera. Oświadczył łagodnym tonem: — Najpierw trzeba omówić kilka założeń. Oczywiście, na zasadzie całkowitego równouprawnienia.

— Odpada! — zawołał Fischer powtórnie. — Nie ma równoupraw-

nienia pomiędzy podporządkowanymi organizacjami partyjnymi i SA. Nie pozwolę, aby nasza SA była dyskryminowana.

— Nikt nie ma takiego zamiaru — zapewnił Neuber z manifestacyjną cierpliwością. — Ten jubileusz być może największej, najpotężniejszej, najsłynniejszej bitwy w historii musi być uczczony odpowiednio godnie. Te obchody muszą stanowić coś niepowtarzalnego w życiu naszej wspólnoty. A ukoronowaniem wszystkiego będzie przedstawienie.

— Jakie?

— Oparte na motywach historyczno-narodowych — oświadczył Neuber. — Być może rodzaj przeciwstawienia chrześcijańsko-żydowskim misteriom pasyjnym w Oberammergau.

— To śmieszne — zaskrzeczał Fischer pogardliwie. — Nie danf moich ludzi do czegoś takiego!

Amadeus Neuber wyprostował się. — Czy mogę prosić towarzysza Uschkurata, aby nas zostawił samych? To potrwa zaledwie kilka minut i wszystko się wyjaśni.

Uschkurat opuścił pokój na pozór chętnie. W sekretariacie pokrzepił się pachnącą jałowcówką, którą poczęstowała go sekretarka. — To dobrze robi — sapał zadowolony po pierwszym kieliszku.

Ale ledwie wypił, z pokoju wypadł również Fritz Fischer, pieniąc się z wściekłości. Pobiegł przez plac na plebanię.

— Co w niego wstąpiło? — zawołał Uschkurat.

— Przypuszczalnie Neuber pokazał mu pewien dokument — objaśniła sekretarka. — Widnieje na nim podpis pastora Bachusa.

To, co teraz nastąpiło, trwało nie dłużej niż trzy minuty. Jest na to wielu świadków. Po pierwsze Uschkurat, który pobiegł za Fischerem z czystej ciekawości. Następnie piekarz, zakrystian i kobieta, która przyszła zgłosić dziecko do chrztu. A także Sabine.

Sabine siedziała akurat przy pomniku, kiedy Fischer przebiegał około niej; pobiegła za nim, tak więc Materna miał zapewnione szczegółowe sprawozdanie.

Fritz Fischer wpadł na plebanię. Wrzeszcząc szukał Bachusa. Znalazł go wreszcie między stajnią a ogrodem.

— Świnia! — zawołał bez tchu.

Bachus skulił się i zapytał spokojnie: — Co się stało?

— Jak pan śmie! — darł się Fischer. — Czy chce pan ze mnii zrobić sługusa klechy? Chciałby pan, żebym się zeświził?

- Panie Fischer — powiedział Bachus twardo. — Nie: zyczę sobie, aby mówiono do mnie takim tonem!

— Jest pan obłudnym draniem! — Fischer wykrztusił to pośpiesznie — przy czym zrobił się czerwony jak burak, następnie błady jak ściana; wymachiwał prawą ręką, a lewą przyciskał do piersi.

— Co panu jest? — zapytał Bachus zatroskany. — Coś z sercem?

— Niech pan nie odbiega od tematu. Podpisał pan gówniany świstek, w którym twierdzi się, że jestem kleszym sługusem. Musi pan to odwołać, i to natychmiast!

— Źle pan to ocenia, panie Fischer. Ja nie podpisałem nic, co byłoby niezgodne z moim sumieniem.

— To jest szczyt podłości! Ale zrobimy z tym porządek, i to raz na zawsze! Nie będziemy we wsi tolerować takich podstępnych typów jak pan.

— Niech pan się opamięta! — powiedział Bachus cały roztrzęsiony.

Ale Fischer nie mógł się pohamować. Widok trzęsącego się duchownego dodawał mu bodźca. Na rękę było mu również to, że znaleźli się słuchacze.

— A więc, niech pan mnie posłucha! Jeśli ma pan głowę na karku, niech pan stwierdzi, że pański podpis to zwykła pomyłka. Że zrobił, pan to pod przymusem i że pan tego żałuje.

— A jeśli tego nie uczynię?

— Wówczas pana załatwię, panie Bachus, według wszelkich reguł sztuki! Jeśli będzie trzeba, każę zrównać z ziemią pańską budę. Dziś mamy piątek. Daję panu dwadzieścia cztery godziny na załatwienie sprawy. Jeśli nie, to przysięgam, że w niedzielę wygłosi pary swoje ostatnie kazanie.

Następnego dnia pogoda była łagodna; temperatura normalna; niebo nad Maulen pokryte niewielkimi chmurami. Sprzyjało to pracom w polu.

W sobotnie popołudnia mieszkańcy zajmowali się bydłem w oborach naprawianiem narzędzi, robili obchód obejść, sprząтали domy, wreszcie załatwiali pilne interesy. Tego dnia coraz więcej spojrzeń kierowało się na gospodę.

— Wygląda to jak sielanka — powiedział pastor Bachus gorzko. Wahał się między piwnicą a kościołem. Zdecydował się na piwnicę.

Baron zamówił sobie orkiestrę dętą. Słuchał na zmianę pieśni ludowych i marszów, siedząc na trzciniowym krześle. Ale nic nie było w stanie go zadowolić.

Elisabeth, jego siostra, poprosiła Maternę do siebie, rzekomo po to, aby z nim omówić sprawę opieki nad Polakami. Przechadzali się po parku. Kobieta położyła rękę na jego ramieniu, jakby potrzebowała podpory.

Eugen Eis zalecał się tymczasem do Margarete Eichler, z niewielkim jednakże powodzeniem. Wypytywała go o szczegóły na temat jego mleczarni i resztek majątku, a to nie sprzyjało dobremu nastrojowi między nimi.

Amadeus Neuber — za zgodą Hitlerjugend i kierownictwa BdM — zwołał na późne popołudnie specjalną akademię z zamiarem przeciwiczenia sprawności obronnej. Nikt nie miał zastrzeżeń, a rodzice byli zadowoleni, że ich niezdolne dzieciaki mają zajęcie.

— Uwaga! — zawołał Neuber przez boisko. — Do szeregu - marsz, marsz!

Dzieci przybiegły i ustawiły się posłusznie — oddzielnie chłopcy, oddzielnie dziewczęta. Neuber przeszedł wzdłuż szeregu dziewcząt, patrząc jak feldfelbel, ale zarazem życzliwie. Prawie każdej miał coś do powiedzenia: a to włosy były w nieładzie, a to znów postawa niewłaściwa. — A gdzie jest Sabine? — zapytał wreszcie.

— Ona jest dziś chora.

Badawcze spojrzenie Neubera osłabło — bez Sabine cała impreza przestała go bawić. Zwrócił się ku chłopcom. Kazał im maszerować w bojowym szyku: SA jutra!

Wieść o jego staraniach dotarła do Fritza Fischera. Roześmiał się szyderczo. Nieco później on stanął przed SA — SA dzisiejszą — na placu.

— My nigdy nie działamy podstępnie — oznajmił. — Zawsze przystępujemy do akcji z podniesionym czołem!

Ludzie z SA przynieśli ze sobą farbę olejną. Pełne kanistry stały w remizie: biała, czerwona i brązowa.

— Do dzieła, koledzy! — rozkazał Fischer. — Jego ludzie zaatakowali mury kościoła; najpierw zagruntowano powierzchnię.

Żandarm Gäbler stał za firanką w oknie swego pokoju służbowego i obserwował poczynania SA. Jego reakcją było: w tył zwrot! Wyszedł z domu tylnymi drzwiami, przeskoczył przez płot i zjawił się w domu Eisa.

Ale nie zastał wszechmocnego wioski. A za to była Brigitte. Powiedziała: — Niech pan na niego poczeka, chętnie dotrzymam panu towarzystwa.

Fritz Fischer śledził pracę swojego oddziału malarskiego z błyszczącymi oczyma. Zagruntowanie powierzchni szerokości wrót stodoły wypadło zadowalająco. Następnie Fischer rozkazał: — Teraz hakenkreuz z lewej i z prawej, a w środku piękne hasło: Zbudźcie się, Niemcy! Klecha-judasz niech zdycha!

Do wykonania tego zadania wybrany został SA-man nazwiskiem Sombray. Jego ojciec wykonywał bezkonkurencyjnie wszystkie prace malarskie w okolicy, a wiele obiecujący syn pragnął, jak niegdyś Führer, zostać malarzem. Teraz dał przekonywającą próbkę swego talentu. Koledzy z SA stali zachwyceni dokoła niego. Hakenkreuze zdawały się płonąć, słowo Niemcy wzbudzało podniosłe wrażenie, a nieco dziwne słowa klecha-judasza wyglądały parszywie.

— Wspaniale! — zawołał Fischer z uznaniem. — Teraz jeszcze patriotyczna pieśń i możemy sobie spokojnie wypić.

W domu Materny Hannelore Welser nastawiła Reichssender Königsberg, która akurat nadawała ulubioną jednogodzinną wiązankę melodii *Od morza do gór*. Ale dziewczyna nie słuchała — czekała niecierpliwie na przyjaciół, podczas gdy Jakub bawił się ze swoimi psami. Kto mógł zatrzymać Konrada i Petera?

Obaj chłopcy zostali zatrzymani przez Sabine, która opowiedziała im o akcji SA. Usłyszeli przy tym dźwięki tanga, dochodzące z domu Eisa. — Tego również nie powinniście przepuścić — poradziła Sabine.

Konrad i Peter ujrzeni przez szparę niedbałe zasłoniętych firanek gwałtownie pocącego się żandarma, który najwyraźniej uczył Brigitte tańczyć tango. Kołysał się po izbie jak pijany kangur.

— To nie dla ciebie — powiedział Konrad i zasłonił Sabine widok.

— Czego chcesz, o tak zwanym życiu wiem wystarczająco dużo! A kiedy mój stary posuwa się w tangu, nie może grać jednocześnie żandarma.

Po chwili jednak cała trójka zaniemówiła, usłyszawszy ryk trzydziestu głosów z kierunku plebanii:

...Gdy klechów krew spod noży tryśnie,
Powiedzie się nam lepiej!

Były to dwie wciąż powtarzające się linijki pieśni z wielkich czasów. Fritz Fischer pozwolił sobie wobec tego tekstu na małą twórczą swobodę: w tekście oryginalnym była mowa o krwi żydowskiej, która tryskała spod noży. Ale na terenie Ortsgruppe Maulen, i znacznie dalej, od dawna już nie było żadnego Żyda. Jedyny, jakiego znali, niejaki Grienspan, wywędrował przed laty. — Jeszcze raz od początku, to takie piękne! — wołał Fritz Fischer.

Pastor Bachus drżał w swojej piwnicy.

Tego wieczoru SA świętowała w gospodzie swoje zwycięstwo nad reakcją, ciemnotą i klechami . Scharfke ściągnął orkiestrę, którą baron łaskawie zwolnił.

Fritz Fischer zdecydowany był rozkoszować się tą nocą; spał, twarz mu lśniła od potu, w oczach jarzył się ogień. Co chwila chwycił się za serce, jak gdyby chciał zapewnić: ono bije dla was, koledzy! Okażcie się tego godni!

— Przy całej wyrozumiałości — powiedział Uschkurat ostrożnie — ale z tym Bachusem to przesadziłeś. — To nie jest zły człowiek.

— Jeśli mówisz coś takiego, to jesteś wrogiem ludu — oświadczył Fischer wzburzony, a z takimi typami nie chcę mieć do czynienia!

Ignaz Uschkurat został wkrótce potem wywołany przez chór zaufanych ludzi z SA — chodziło o ukaranie dla przykładu. Dostał parę razów w głowę i kopniaka w tyłek. Oznaczało to zakaz wstępu do gospody aż do odwołania.

— Czy ktoś ma coś przeciwko temu? — zapytał Fischer zebranych w szynku.

Nikt się nie zgłosił. Tylko niepozorny Nickles, ubogi chłop z północnej części Maulen, który zazwyczaj otwierał usta po to tylko, aby zamówić piwo, rzekł mrukliwie: — Tylko spokojnie! — On również został wyprowadzony, dostał parę razy po głowie i kopniaka w tyłek.

Następnie polala się wódka, jeszcze obficie niż dotychczas, i zebrani; towarzysze mogli się pojednać z bojownikami SA w pieśni *Niemcy to nasza дума!* Wkrótce potem wszyscy zadeklarowali, jak już nieraz, chęć wyprawy konnej na Wschód.

Przy czym rzeczywiście jechali konno — na krzesłach. Trzymali się oparć niczym końskiej grzywy, wreszcie sześciu ludzi podniosło Fischera na blacie stołu i obnosiło go dokoła. Wkrótce potrzaskały pierwsze meble, pękła szyba w oknie, dwie pełne butelki zostały rozbite o ścianę, a listonosz Geelhaar doznał złamania trzech żeber. Nastrój był wspaniały.

A teraz *Horst- Wessel-Lied!* — wydyszał Fischer.

Później twierdzono: były to jego ostatnie słowa, czyli - jego testament.

Bubi Kusche wyprowadził lekko zataczającego się, ale wyprostowanego Fritza Fischera. Na dworze przywódca SA próbował uruchomić swój motocykl. Na próżno. BMW zawarczał, huknął, parsknął i zamilkł ostatecznie,

— Przekłete gówno! — zawołał Fischer i kopnął swój motocykl. Rzygać się chce na to wszystko!

I to były jego ostatnie słowa. Bubi Kusche przemilczał je potem taktownie. Powiedział tylko: Fritz Fischer udał się w kierunku swego domu.

Potyając się Fischer szedł powoli przez noc. Ziemia pod jego stopami zdawała się uginać. Z nieba spływało łagodne ciepło. Na skraju wsi zwymiotował gwałtownie. Dobrze mu to zrobiło. Ryczał przy tym jak lew.

Potem pomaszerował dalej, przepelniony uczuciem triumfu. To był dzień! Ale im pokazał! Wytępi to robactwo, przydusi, utopi, aż im tchu zabraknie.

Po jakimś czasie przystanął, aby się odlać. Rezeźmiał się przy tym — znajdował się właśnie przy brzozowym lasku: zawsze musiał się tu odlać. Jak pies przy swoim drzewku. Znów zaśmiał się głupkowato.

Ale ten śmiech zamarł — w jednej chwili ktoś narzucił mu na głowę worek po mące, pewnym ruchem, aż do kolan.

— No to go mamy! — zawołał radosny głos.

— Do drzewa z nim — odezwał się inny głos.

Fischer, początkowo skamieniały ze strachu, próbował się bronić, ale miał uczucie, jakby dostał się w szczęki imadła. Nieznani ludzie podnieśli go, przycisnęli do drzewa i zaczęli sznurować jak belę torfu.

— I co z nim zrobimy? — zapytał głos.

— Postąpimy z nim tak, jak on postąpił z Buttgeritem!

Fritz Fischer jęknął głucho w swoim worku. Wpadł w ręce wrogów. Było ich chyba co najmniej dwunastu — być może ludzie Materny albo typy od Neubera, a może klechy, Żydzi, komuniści... Nie sądził nawet, że było tylko dwóch, i to młodych ludzi.

Ich głosy brzmiały w uszach Fischera głucho, jakby przez chusteczkę. Co z nim zrobią? Przerażony chwycił powietrze.

— On narobił w portki! — odezwał się głos, w którym zadźwięczała troska. — Już teraz! A przecież jeszcze nawet nie zaczęliśmy.

Teraz trzęsący się ze strachu Fischer usłyszał, że głosy sprzeczą się między sobą. Jeden z napastników chciał go załatwić raz dwa, drugi oświadczył, że absolutnie się z tym nie zgadza.

— Litości! — jęknął Fischer. — Błagam o litość!

Jakie on ma słownictwo! Zna nawet słowo litość! Ale co ono znaczy, tego z pewnością nie wie.

— Co mam uczynić? — jęczał Fischer. — Powiedzcie tylko.

— Teraz możesz zawołać: sram na Führera!

Fischer zamilkł na chwilę. Po czym wrzasnął dziko: — Sram na Führera! Sram na niego! Sram... — w końcu już tylko bełkotał.

Jeden z głosów odezwał się: — Szkoda, że jego koledzy z SA tego nie słyszą. Należałoby im z całego serca życzyć takiej lekcji pogładowej.

— Powinien dostać za to nagrodę — rzekł inny głos. — Na znak naszego uznania puścimy go tym razem wolno, oczywiście z wymalowanym tyłkiem!

— Oczywiście. Proponuję na każdym półdupku wymalować mu hakenkreuz. Ale będą wielkie — na takim siedzeniu!

Fischer nie poruszył się. Jego ciało robiło wrażenie, jakby stało się bezwładne.

— Ojej — powiedział Peter Bachus — chyba nie zemdlął?

Konrad Klinger podskoczył i zaczął odwiązywać od drzewa bezwładne ciało. Ułożyli je na ziemi i ściągnęli worek.

— Człowieku — odezwał się Konrad bezdzwięcznym głosem. — Co ty o tym myślisz? Przecież studiujesz medycynę.

Peter zbadał i osłuchał leżącego bez ruchu Fischera — i jakby zdrętwiał. Powiedział cicho: — Już po nim.

Cisza wokół nich stawała się groźna. Mijały nie kończące się sekundy.

Potem Konrad spytał przerażony: — Jak to się mogło stać?

— Myślę, że to atak serca.

— Dokładnie tak samo jak wtedy u Buttgereita.

— Tak. Z tą tylko różnicą, że my go wprawdzie napadliśmy i przestraszyliśmy, ale praktycznie nawet mu włosy z głowy nie wyrwaliśmy. Musiał mieć chore serce, kto to mógł przypuszczać!

— Czy jesteś pewien, że oględziny to potwierdzą?

— Tak należy przypuszczać.

— Wobec tego zwiewajmy, ale przedtem musimy zatrzeć ślady. Jeśli ktoś nam może coś teraz doradzić, to tylko Materna.

VII

Świnie dopóty cisną się do koryta,
aż się przeżrą.
Ale to dobrze dla ich wagi.

Ciało znaleziono dopiero w poniedziałek. Nikt wcześniej nie zauważył nieobecności przywódcy SA., Trupa odkryły bawiące się dzieci, wśród nich Sabine.

Dziewczynka przytrzymała inne dzieci. Jako córka żandarma wiedziała, co należało zrobić: zawiadomić policję. A więc zaalarmowała swojego ojca, nakazawszy przedtem pozostałym dzieciakom, aby utworzyły rodzaj łańcucha wokół miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. Następnie pobiegła do Jabłońskiego i Materny.

— Że też to biedne dziecko musiało oglądać coś takiego! — zawołał Jakub Jabłoński.

- — To wcale nie było takie straszne — zapewniła Sabine szczerze.

— Widziałam już nie takie rzeczy w fachowych pismach ojca.

— Nie zatrzymujemy naszej Sabine — powiedział Alfons Materna. Z pewnością jest ciekawa, co się dzieje przy zwłokach.

— Potem wam opowiem — powiedziała Sabine i pobiegła. Żandarm tymczasem uczynił to, co w takich wypadkach należało zrobić: zawiadomił lekarza i poinformował miejscowe władze, a więc Eisa i Uchkurata. Eis zatelefonował do Neubera; ten zadzwonił do swego zaufanego SA-mana, Ernsta Schlaguweita. Uschkurat, pamiętający sobotnie kopniaki, powiadomił Bubi Kushego.

Po niedługim czasie w lasku brzoźowym kłębiło się od ludzi. — Godne pożałowania — powiedział Eugen Eis z obojętnym smutkiem. Inni podchwycili to sformułowanie. Niektórzy dodawali: tragiczny los .

Wreszcie zjawił się Bubi Kusche. Podszedł uroczyście do przykrytych zwłok i oddał im niemieckie pozdrowienie. Po czym oświadczył: — Fritz, twoja śmierć zostanie pomszczona!

— Pan wybaczy, proszę — odezwał się żandarm ostrożnie — ale według stanu rzeczy nic nie wskazuje na użycie przemocy.

— On miał wrogów! — zawołał Bubi Kusche. — Taki człowiek jak

on nie mógł umrzeć normalną śmiercią! On się dla nas poświęcił. Jest męczennikiem ruchu!

Ale akurat Eugen Eis nie chciał zrobić z niego męczennika. Zależało mu na tym, aby w jego Ortsgruppe wszystko toczyło się w wyznaczonych przez niego ramach. Żadnych sensacyjnych sztuczek! Zamiar pochowania niższego rangą przedstawiciela kierownictwa SA jako bohatera był co najmniej przedwczesny. — Uważam, że powinniśmy najpierw poczekać na urzędowe wyniki śledztwa.

Doktor Gensfleisch po zbadaniu zwłok oświadczył krótko: — Śmierć wskutek ataku serca.

Bubi Kusche potrząsnął głową z dezaprobatą i zawołał ostrzegawczo: — Tu coś śmierdzi.

— Istotnie — odparł doktor — on się sfajdał.

— Za pozwoleniem! Nie wolno panu tak mówić o naszym przywódcy SA.

— Mówię o zwłokach, a te badałem jako lekarz; jest dla mnie całkowicie bez znaczenia, jaki urząd sprawował zmarły.

Ale Bubi Kusche nie zadowolił się tym — na jego barkach spoczywał teraz szacunek dla SA. Był oberscharFührerem, wkrótce z pewnością zostanie sturmFührerem. — Protestuję! — zawołał głośno. :

Ale Eugen Eis powstrzymał go energicznie. •— Eelix — powiedział — co chcesz przez to osiągnąć?

Kusche wiedział to bardzo dobrze: przewodnictwo SA. — Należy oddać sprawiedliwość naszemu zmarłemu, stał się on ofiarą naszych wrogów!

— Bzdura — oświadczył Eis. — Mamy tu do czynienia z całkiem zwyczajnym przypadkiem. — Prawda, doktorze?

Gensfleisch skinął głową przytakująco. — Żadnych śladów pobicia, żadnych obrażeń skóry, żadnego krwiaka ani śladów duszenia. Pewne jest tylko, że zmarły był pijany.

— Tym samym urzędowe śledztwo zostało tymczasem zakończone — oznajmił żandarm pospiesznie, zachęcony spojrzeniem Eisa.

A ten powiedział: — Czy mogę panów teraz zaprosić na mały poczęstunek do gospody? — Jak należało oczekiwać, propozycja ta została przyjęta ochoczo. — Felix Kusche niech także idzie z nami — zarządził Eis przezornie.

Przy pierwszym kuflu piwa ortsruppenleiter podziękował najpierw Gensfleischowi. — Na panu, drogi doktorze, można polegać. —, Podobne podziękowanie i słowa uznania skierował też Eis do żandarma Gablera:— Pan bowiem, drogi, mistrzu, nigdy nie zawiedzie.

Następnym, którego Eis wymienił, był Kusche. — Mój drogi - powiedział do niego serdecznie — nie może pan przecież pragnąć, aby nasz kolega Fischer był celem niskich spekulacji.

— Mam całkiem odwrotny zamiar, panie ortsruppenleiterze.

— Wobec tego w zasadzie się zgadzamy. Obaj jesteśmy zdania, że w naszej SA i w naszej partii nie może być skandalu — żadnego kryminalnego przypadku! Fischer nie żyje — tego się nie odwróci.

— Ale jego honor...

— Zostanie zachowany! To się rozumie samo przez się. Ale aby to osiągnąć, mamy całkiem inne możliwości.

— Chciałem powiedzieć tylko tyle: jego śmierć nie mogła być daremna.

— Oczywiście że nie. Fischer zmarł na serce, a to może oznaczać: z przeczerpania.

— On się poświęcił. Dla ruchu!

— Walczył do ostatniego tchu. To można powiedzieć.

Kusche uznał, że brzmi to całkiem dobrze. To przenika człowieka do głębi. Wziął buteikę do ręki i zaczął konstruować własny mit Fischera. Wymyślił między innymi: Fritz Fischer, osiągnąwszy szczytowy punkt narodowosocjalistycznej kariery, cieszący się sympatią i miłością swoich towarzyszy partyjnych i kolegów z SA, stał się niemal symbolem wielkoniemieckiej dzielności; jego przeciążone serce, bijące nieprzerwanie dla narodowej wspólnoty, odmówiło mu posłuszeństwa. Padł na ukochanej ojczystej ziemi.

— Wspaniale! — powiedział Eis, z trudem panując nad sobą. — Tylko tak dalej!

— A jego ostatnie słowa brzmiały: Zaśpiewajcie mi jeszcze raz *Horst- Wessel-Lied*, koledzy, zanim odejdę. Są na to liczni świadkowie.

Amadeus Neuber przekazywał dzieciom w Maulen ważne wiadomości z historii: — Również historycznie konieczne tępienie Sasów pozwala w Karolu Wielkim rozpoznać tego, który wytyczył kierunek naszemu Führerowi. — Dalej tym razem się nie posunął, zjawił się bowiem Ernst Schlaguweit z SA, jego zastępca, i zażądał pilnej rozmowy.

Neuber skinął głową i zarządził: — Wypracowanie na temat:

Dlaczego należy ponosić ofiary dla ojczyzny! Macie czas, aby się nad tym zastanowić. Podczas mojej nieobecności pilnować was będzie Sabine Gäbler.

Sabine wyszła posłusznie na środek klasy. Amadeus wziął ją zachęcająco pod brodę. — Już ty sobie dasz radę. Jestem pewien, że mnie nie zawiedziesz.

W swoim mieszkaniu postawił na stole dzbanek z wódką. - No i jak wygląda sprawa?

— Lekarz mówi, że to atak serca — powiedział Schlaguweit. - Żandarm to potwierdza. Bubi chciał być ważny, ale Eugen go przyhamował. Tylko żadnego skandalu. Maulen ma już ich dosyć. Tak prawdopodobnie sądzi Eis.

Amadeus siedział wygodnie, z lekkim uśmiechem. Jedno było teraz pewne: ponieważ Fischera już nie ma, on został bezkonkurencyjnym drugim mężczyzną wsi. Być może jeszcze jeden krok i będzie pierwszym.

— A więc to tylko atak serca, nic więcej. I wszyscy we wsi w to wierzą?

Ernst Schlaguweit powiedział ostrożnie: — Oczywiście, istnieją pewne domysły. Wszyscy przecież wiedzą, że Fischer miał we wsi wrogów.

— Ja w każdym razie do nich nie należę — pospiesznie zapewnił Amadeus. — Nigdy nie czułem do niego nienawiści. Czasem było mi go żal. On nie dorastał do swego urzędu — to żadna tajemnica. Ale nie zamierzam go sądzić; szczególnie teraz, kiedy już nie żyje. Poza tym każdy przecież we wsi wie, że nie jestem człowiekiem gwałtownym.

— To wszyscy wiedzą — oświadczył Schlaguweit skwapliwie. — I mogę tylko zapewnić: gdyby ktoś choć słowem wspomniał coś przeciwnego, będzie miał ze mną do czynienia.

— To świetnie! Śmierć towarzysza partyjnego Fischera porusza mnie do głębi i zadaję sobie pytanie: kto mógłby być za to odpowiedzialny?

A to miało znaczyć: kogo można by uczynić za to odpowiedzialnym? — na tyle Schlaguweit się orientował. Ale jakie wnioski należało z tego wyciągnąć? — No, było nieporozumienie z Bachusem...

— Ale skąd, pastor! Poza tym to szmata.

— Może Uschkurat? Został wyrzucony z gospody na polecenie Fischera.

— Uschkurat? Po nim nie należy się spodziewać czynów, obojętnie jakiego rodzaju. Nie, tu działały całkiem inne siły.

Ponieważ Schlaguweit patrzył na niego bezradnie, Neuber musiał wyrazić się jaśniej: — Jedna rzecz daje mi do myślenia SA traci

animusz! Ich człowiek został zabity, a oni nawet nie kiwną palcem, aby przywrócić zdeptany honor. Pytam cię, Schlaguweit; — Czy możesz spokojnie na to patrzeć?

Schlaguweit był wzburzony i zakłopotany. Pospiesznie oświadczył: — Zastępcą Fischera jest Kusche. Niektórzy z nas ubolewali z tego powodu, ale musieliśmy to respektować.

'— Skoro nie ma już Fischera, nie ma też on zastępcy. A następny na liście do awansu jesteś ty.

Schlaguweit siedział z otwartymi ustami. — W zasadzie zawsze byłem przeciwko Fischerowi, a więc i przeciwko Kuschemu. Przeciw niemu szczególnie. W moich oczach nie jest on uosobieniem prawdziwego ducha SA.

— Kolego Schlaguweit — powiedział teraz Amadeus uroczystym tonem — przyszedł twój czas. Teraz musisz się wykazać. Możesz być pewien mojej sympatii.

— Ale co mam robić?

— Musisz mieć siłę, aby podjąć nieuniknioną decyzję. Z moją pomocą, rozumie się. Przy tym oczekuje się od ciebie dużej odwagi. Marzeniem Kushego jest wziąć SA w swoje brudne łapy. Każdy środek jest do tego dobry — również śmierć Fischera. Udowodnij to. Uczyni to przekonująco! Bez względu na możliwe straty. Tego wymaga chwila!

Pogrzeb Fritza Fischera był uroczystością ani zbyt szumną, ani **zbyt** podniosłą.

Rozdźwięk zaznaczył się już na wstępie, podczas omawiania programu. Chodziło o to, gdzie ma być wystawiona trumna.

— Przed pomnikiem ku czci poległych — zaproponował Kusche. - W żadnym wypadku w kościele! Nasz Fischer nigdy nie był sługą Kościoła!

' Neuber, kierownik organizacyjny, powiedział: — Mimo to nie możemy lekceważyć miejscowych zwyczajów. — Spojrzał przy tym rozkazująco na Schlaguweita.

Ten zawołał pospiesznie: — Zgłaszam moją wątpliwość. Ja również gwizdnę na Kościół, ale ludzie nie. Musimy się z tym liczyć.

Tego rodzaju problemy musiały być rozwiązane bez Eugena Eisa. Ten się wylegiwał. A czynił to chętnie. Jeśli o niego chodzi, niech się ludzie biorą za łby — tym łatwiej będzie mu się potem nimi wysługiwać.

Bubi Kusche zawołał rozkazującym tonem: — Mówię, w imieniu

SA! — Na to Schlaguweit, zachęcony przez Neubera: -- Śmiałem wątpić, czy właśnie ty masz prawo występować w imieniu SA!

Stali naprzeciw siebie i warczeli. Obaj oberscharFührerzy deklarowali teraz całkiem otwarcie swoje roszczenia, do przewodzenia oddziałowi. Byli niemal gotowi do ataku.

Neuber patrzył na to z satysfakcją. Oświadczył spokojnie: — Ten, kto chce u nas przewodzić, musi umieć zręcznie zjednoczyć możliwie wszystkie kierunki i prądy.

— Tak właśnie robię! — stwierdził Kusche.

— Ale niezbyt zręcznie — odrzekł Schlaguweit.

Obaj udali się wreszcie do Eugena Eisa. Ten oznajmił: —r- Jako najwyższa władza kieruję praktycznie także SA. Ja: nikt inny. Chwilowo kierownictwo przejmuje Kusche, a Schlaguweit będzie mu pomagał. Nie będziemy przyspieszali zasadniczych decyzji.

Obaj oberscharfurerzy stanęli na baczność i zasalutowali. Od tej chwili nie spuszczała z siebie oka. Neuber mógł więc spokojnie organizować.

Trumna, w której leżał Fritz Fischer, była wystawiona już od wczesnych godzin rannych, stolarz Germański z dwoma pomocnikami wykonali wzorowo robotę. Partia zakupiła czarną kapę na podest ze swego okazałego już funduszu. Zamiast świec płonęły pochodnie; czterech ludzi z SA trzymało je w silnych rękach.

Przed południem na placu panował spokojny ruch, tak samo podczas godzin południowych. Warta honorowa patrzyła poważnie w pustkę.

Niemal dokładnie o godzinie trzeciej fanfarzyści i dobosze z Hitlerjugend rozpoczęli ceremonię. Zadudniły głucho bębny, zagrzmiały trąby: *Marsz Wielkiego Kurfursta*. W tym samym czasie Bubi Kusche stanął na obmurowaniu pomnika bohaterów. Widział stąd, jak nadchodzą uczestnicy ceremonii. — Nikt nie odważył się wyłączyć — stwierdził.

Ernst Schlaguweit wszedł do niego na górę. Próbowali się nawzajem zepchnąć, ale przytrzymał ich dębowy wieniec z cementu otaczający kolumnę. A widok, który im się ukazał, odwrócił ich uwagę w radosny sposób. Działwa szkolna, ubrana odświętnie na czarno-szaro i szaro-biało, zaczęła się gromadzić. Tu chór mieszany w barwach niebiesko-czerwonych, tam — chór męski w kolorze myśliwskozielonym; Bractwo Strzeleckie wyszło z gospody w szarych ubraniach naśladujących mundury polowe; dzwoniący orderami, dumni weterani, przeważnie z brodami, podążali za nimi. Potem ukazał się Eugen Eis, lśniący jak złocisty paw; **obok** niego wdową po Eichlerze.

Młodzież wciąż jeszcze ryczała. Bez trudu zagłuszała wszelkie szemrania. Nikt się nie smucił z powodu Fischera — żegnano go z radością. Wszyscy chcieli już skończyć z tym ceremoniałem.

Wreszcie zjawił się nawet Alfons Materna. Wymachiwał na powitanie cylindrem, niczym prezydent Rzeszy. Obok niego kroczył Jakub Jabłoński.

— Wszystkiego dobrego, mój zięciu! — zawołał Alfons prowokująco głośno do Eugena Eisa.

Ten podziękował niedbale, powiewając przy tym rękawiczką. Jego twarz pozostała przy tym kamienna. Nie dał się sprowokować, ale zapamięta to sobie.

Teraz rozpoczęła się uroczystość przy pomniku. SA, wydatnie wzmocniona przez zamiejscowych kolegów, otaczała trumnę niczym mur z mocno scementowanej wspólnoty. Po zwyczajnym wstępie — fanfarach, chórze, recytacjach — nastąpiły przemówienia.

Ortsgruppenleiter Eugen Eis krzyczał: — ... udał się teraz w swoją ostatnią drogę... na zawsze pozostanie wzorem... wzywam młodzież: Bierzcie z niego przykład!

Burmistrz Uschkurat powiedział: — Był on gotowy na wszystko; jego umiejętności były ogromne! Niełatwo było mu dorównać. Życzymy mu z całego serca zasłużonego spokoju...

Następnie głos zabrał Bubi Kusche, zastępca przywódcy SA. Powiedział: — Nigdy cię nie zapomnimy, Fritz! Przyrzekamy ci to. Felix, powiedziałeś do mnie na krótko przed śmiercią, Felix — ty rozumiałeś, na czym mi zależy...

Prawie dla każdego było jasne, o co Bubiemu chodziło. Niektórzy, jak na przykład Eis czy Materna, z trudem ukrywali wesołość. Następnie Amadeus Neuber wysunął się przed Schlaguweita.

Nie był on wprawdzie przewidziany jako mówca, ale pałał żądzą popisania się, chociażby po to, aby zaćmić Bubiego. — To był wielki człowiek, ten nasz Fritz! Trzymam w ręku jego testament. Jest to kartka z bloczku meldunkowego — jego ostatnia pisemna wypowiedź. Skierowana jest do mnie, a brzmi: Iść śmiało naprzód!

Właśnie tak: iść śmiało naprzód! Jeśli nie chcecie, abym wam powyrywał nogi z dupy. — Dotyczyło to także akcji Fischera przeciwko Kościołowi. Ale była to w tej chwili sprawa drugorzędna.

Neuber zawołał: — Ach, cóż to był za człowiek, ten nasz Fritz Fischer! Człowiek na miarę naszych czasów. Obowiązujący symbol!

— Zgadza się — powiedział Materna, który się świetnie bawił.

— On najwyraźniej idiociej — rzekł Jakub. — A to dopiero

początek. Jeśli tak będą postępować przez tysiąc lat, jak się zapowiada, to nasz kraj będzie zamieszkały wyłącznie przez idiotów.

Ale teraz, na znak Eugena, impreza przeniosła się z placu na cmentarz. Pastor Bachus szedł na przedzie, ludzie z SA nieśli trumnę, za nimi mieszkańcy wsi. Następnym punktem szczytowym zdawał się być nieunikniony.

Pastor Bachus rozpoczął mowę pogrzebową. O tym, co przeżył z Fischerem przed kilkoma dniami, zdawał się nie pamiętać. Pamięć, ludzi była jednak w tym względzie niezłomna. Niewiele sobie robili z wybaczącej miłości bliźniego, a także z tego, że śmierć, która sięga poza grób, nakazuje pojednanie.

A Bubi Kusche oświadczył, niezbyt głośno wprawdzie, ale wyraźnie; — Jak temu klesze nie wstyd dobierać się do naszego nieodżałowanego przywódcy!

A potem poślizgnął się. Twierdził później, że został złośliwie popchnięty. Nie mógł tego jednak udowodnić. Mógł wskazać tylko na jeden fakt: tuż za nim stał Ernst Schläguweit.

W każdym razie poślizgnął się, potknął i zsunął wprost do otwartego grobu. I zniknął. Ludzie cisnęli się z ciekawości. Zaczęło się przepychanie: w stronę grobu pchała się ciżba mieszkańców, w stronę przeciwną — ludzie z SA. Ale mieszkańcy mieli wyraźną przewagę. Kilku chłopców z SA wpadło do grobu, do swego przywódcy. Schläguweit na czele.

Leżeli tam skłębieni, zakrywając całkowicie swego wodza: zaciśnięte ręce, kuksańce, kulące się ciała. Bachus zamilkł bezradny. Trwało jakiś czas, zanim wszyscy wygramolili się z dołu.

Na cmentarzu ukazał się teraz baron von der Brocken — na koniu. Na Adolfie II. Przykłusował do tłumu. — Do diabła! — zawołał. — Tego konia nie da się okiełznać! Przepraszam za mojego konia. Czy przybywamy za późno? Nie chciałbym przegapić momentu składania do grobu.

Mógł więc to teraz przeżyć, zsiadłszy z Adolfa II.

- Kończcie jak najszybciej — szepnął Eugen Eis ostro do Kuschego i Schläguweita, którzy pokryci kurzem, z czerwonymi twarzami stali obok niego.

Polecenie wykonano pospiesznie: trumnę spuszczone do dołu, na zakończenie pospieszna modlitwa, potem piasek. Następnie łopaty — uformowano mogiłę, położono na niej wieńce z błyszczącymi szarfami czarno-biało-czerwonymi, ozdobionymi hakenkreuzem. Na nich napisy w rodzaju: Roledze -koledzy, Niezapomnianemu, wiernemu

Za naród i ojczyznę , Za naród i Rzeszę , Wszystko dla Niemiec — dla narodu i Führera , Führer i Fischer!

Wieniec, który położył Alfons Materna, miał na niebiesko-białoczerwonej szarfię piękne słowa: Zawsze będziemy cię pamiętać!

Wszystko to odbywało się w coraz większym pośpiechu, albowiem obaj przywódcy SA prześcigali się w chęci przypodobania się Eisowi. Przeciskali się przez tłum żałobników, zbierając wszystkie kwiaty, po czym rzucili je na grób, ułożyli wieńce w stos i rozpostarli szarfy.

— No, to załatwione! — powiedział ortsguppenleiter. — Był już najwyższy czas — niewiele brakowało, a cały tłum zacząłby się zachowywać jak w cyrku. — A teraz do gospody!

Eugen Eis był w najwyższym stopniu niezadowolony. Podczas gdy mieszkańcy wsi na koszt państwa napychali sobie brzuchy, a oprócz tego pozwalali sobie na złośliwe uwagi, on tymczasem odbywał poufną konferencję. — Nie podoba mi się to, absolutnie nie!

Ponieważ Amadeus należał do ludzi, którzy wszystko umieli wytłumaczyć, wiedział i tym razem, co w trawie piszczy. Jego teoria była taka: Fritz Fischer nie miał żadnych bliższych krewnych, brakowało więc punktu najważniejszego, nic bowiem nie działa, jak wiadomo, bardziej przygnębiająco niż pogrążona w smutku wdowa. Wreszcie niebagatelne znaczenie miał fakt, że Fischer nie był popularny; miał swoje dziwactwa, a to przyniosło określone skutki.

- Nędzna potwarz! — zawołał Bubi Kusche.

- Gorzka prawda! — zapewnił Ernst Schlaguweit.

— Ach, co tam! — oświadczył Eugen Eis. — To wszystko nieważne. W każdym razie ten cały pogrzeb to wielki blamaż. Niemal sabotaż.

Musiał przeżyć i to, że Margarete wymknęła się jego opiece. I do tego ze słowami: — Za Johannesesa coś takiego byłoby nie do pomyślenia! — Tkwiło to w nim jak drzazga.

Do tego dochodził szyderczy śmiech jego własnej żony, a poza tym mieszkańcy Maulen szczerzący zęby na cmentarzu, niepohamowane rozbawienie barona i chyba najgorsze ze wszystkiego — to niemal współczujące, pobłażliwe spojrzemia Materny!

Amadeus Neuber przytaczał dalsze powody. A więc pogodę: za gorąco jak na tę porę roku. Następnie porę dnia: o godzinę za wcześniej, ludzie zbyt wcześniej musieli porzucić swoje zajęcia. — Poza tym uważam wkład SA w tę uroczystość za niezbyt fortunny,

— To dlatego; że brak jest jednolitego kierownictwa! — zawołał Kusche.

Neuber wyskoczył ze słowami: — Czy chcesz przez to powiedzieć, że za brak zdecydowania odpowiedzialne jest kierownictwo Ortsgruppe? — Ale chyba trochę przeholował z tą uwagą, poznał to po reakcji Eisa. Ten spojrział na niego niechętnie.

— SA naprawi ten błąd — zapewnił Schlaguweit z zapalem. — Ręczę za to.

— Ja w każdym razie zaręczam, że SA będzie wierna naszernti ortsruppenleiterowi! — zawołał Kusche. — Jego rozkazy i życzenia są dla mnie miarodajne! Ważna jest wierność i posłuszeństwo w zespole, a nie interesy klikki.

Tak więc kości zostały rzucone. Dla Eisa idealnym przywódcą SA nie był ani jeden, ani drugi. Ale lepszy był ten, który pragnął stać bliżej niego, a więc także nie Neuber.

Długo po północy mógł porozmawiać z Kuschem w cztery oczy, mianowicie w toalecie. — Bubi — powiedział — potrzebuję ludzi, którzy zdecydowanie stoją za mną.

— A więc mnie!

— Bez względu na wszystko?

— Na śmierć i życie!

Bubi Kusche był zatem pewien funkcji przywódcy SA. Uścisnęli sobie dłonie. Felix promieniał.

Spijał zwycięstwo pełnymi haustami: wlewał w siebie alkohol jak do kanału.

Schlaguweit był pierwszy, który dowiedział się o tej nowinie. Bubi powiedział mianowicie: — Zgłoś się jutro u mnie o dziesiątej w celu złożenia sprawozdania.

— U ciebie?

— Tak! U Führera SA. A teraz wypij za moją pomyślność — albo urządzę ci nocne ćwiczenie.

Wkrótce potem runął na ziemię. Leżał pod stołem, mrużąc coś w rodzaju pieśni patriotycznej. Zanim ostatecznie stracił świadomość, krzyknął: — Aż do ostatniego tchu, dranie! — Fritz Fischer miał godnego następcę.

Podczas najbliższych godzin nocnych i wczesnym rankiem w gos podzie wrzało jak w ulu. Scharfke notował rekordowy utarg. Pijalii mieszkańcy w swej najwartościowszej rasowo części ryczei, wrzeszczeB i smrodzili.

— Otransportować! - wrzasnął Kusche, rozkoszując się rozkazywaniem.

— Tak jest, sturmFührerze! — powiedział Ernst Schlaguweit, stając na baczność, i wywłócił swego szefa na dwór. Oparł go o ciepłą miękką masę — była to kupa gnoju.

— Dziękuję, kolego! — mruknął Bubi.

— Bardzo mi miło — zapewnił Schlaguweit, czekając wściekły, aż Kusche zaśnie. Gdy tylko zaczął chrapać, zaturlał go do gnojówki.

Kiedy Konrad Klinger i Peter Bachus zjawili się u Materny w dzień po pogrzebie, ten zaproponował im swoje napoje odświeżające. Młodzieńcy woleli jednak wódkę, i to z niebieskiego dzbanka: szlachetny destylat domu Materny. — Jesteśmy na to wystarczająco dorośli.

— Wiem, że to ludowy zwyczaj mierzyć męskość spożyciem alkoholu — powiedział Alfons uśmiechając się i zgodził się na kieliszek dla każdego.

— Niech pan nie będzie dla nas zbyt surowy — powiedział Konrad. — Ostatnio mieliśmy pewne kłopoty, jak pantf wiadomo.

— A kto jest za to odpowiedzialny, waszym zdaniem?

•----Mój ojciec — powiedział Peter. Dalej za przyjaciela mówił

Konrad: — Pastor jest dobrym człowiekiem, ale tego, na co sobie pozwolił podczas pogrzebu Fischera, nie można po prostu puścić płazem.

— Jakże to! — zawołał Materna z przyganą w głosie. — Oczekujecie od duchownego, że tu, w Maulen, okaże się wielkim bojownikiem, a nawet męczennikiem? A poza tym fakt, że ten Fischer zachował się wobec niego jak świnia, nie może mieć znaczenia na cmentarzu.

— Dawniej mój ojciec był inny — powiedział Peter Bachus gorzko. — Całkiem inny.

Wszyscy byliśmy kiedyś inni. Ja na przykład próbowałem być sowizdrzałem. Teraz wydaje mi się, że jestem kretem. Twój ojciec, Konrad, zawsze wierzył w prawo i sprawiedliwość — nawet wtedy, kiedy już byli naziści. Teraz wykorzystuje swoje możliwości jako funkcjonariusz policji, aby prawo nie było przestrzegane. Niejedno życie dzięki temu ocalało. A twój ojciec, Peter, kiedyś szczerze wierzył we wszystko, czego nauczał. Potem przez jakiś czas nie reprezentował swego Boga we właściwy sposób. Teraz cierpi przez to.

Obaj chłopcy opuścili głowy. — Zgoda — powiedział Peter - ale szkoda każdego, kto mógłby coś uczynić, a nie czyni tego.

— Wy za to jesteście beztroscy — odparł Materna ostrzegawczym tonem. — Pytanie tylko: jak długo jeszcze?

— W Maulen chyba można ryzykować, panie Materna.

— Nie bądźcie tacy pewni — odpowiedział Materna. — Wystarczy jedna błędna decyzja i mamy na karku całą tę sforę. Liczę się z tym o każdej porze dnia i stosownie do tego próbowałem się zabezpieczyć. Ale co wy zrobicie, jeśli SA zechce się wami bliżej zainteresować?

— My również się zabezpieczyliśmy.

Wyznali, że obaj należą do Związku Studentów NS. Peter jest nawet zastępcą skarbnika, a Konrad — dziwnym trafem — szefem szkolenia. Poza tym jeden z ich przyjaciół jest nieślubnym synem pewnego gauleitera, inny ma ojca SS-standartenführera, trzeci zaś był niemal zaręczony z córką pewnego wysokiego dostojnika partyjnego w Głównym Urzędzie Rzeszy.

— Należymy więc w pewnym skromnym zakresie do elity narodu — zauważył Konrad szczerząc zęby. — I gdzie tylko spojrzeć, wszędzie stoi za nami ktoś, kto ma dobre kontakty. My również od czasu do czasu wyjemy wraz z wilkami, aby tym pewniej móc się do nich dobrać. Pańska szkoła, panie Materna.

— Czy mam się czuć pochlebiony, czy też żalować? - W każdym razie Materna dał chłopcom po drugim kieliszku wódki.

Felix Bubi Kusche, ledwie wylażł z gnojówki, rozwinął nieoczekiwaną sprawność. Między innymi zaczął tropić wrogów narodu .

Zanim jeszcze kogokolwiek znalazł, zgromadził oddział szturmowy: najlepsi, wypróbowani, godni zaufania ludzie! Ich przywódcą został Schlaguweit. — Żebyś się mógł wykazać.

Schlaguweit zazgrzytał zębami, ale był posłuszny.

Teraz Kusche zaczął myśleć. Najpierw o sobie: no, udało się! Eis mu zaufał, a społeczność wiejska traktowała go z respektem. Zadowolony kroczył przez plac ku gospodzie. Scharfke powitał go z szacunkiem.

Kusche zasiadł przy stole, popijał piwo i dalej rozmyślał. Sporządzał listę miejscowych wrogów ludu .

Na pierwszym miejscu było oczywiście nazwisko Materny, ale tego pozostawił gorliwemu Eugenowi Eisowi. Następne nazwisko: Amadeus Neuber — wprawdzie nie wróg w sensie realnym, ale zdeklarowany wróg drogiego Fischera. Neuber zresztą stanowił twardy orzech do zgryzienia. Co się odwlecze, to nie uciecze. Następnie: pastor Bachus.

Nieporadny, a więc doskonały obiekt. Najwyższy czas zrobić z nim porządek.

— Kolega z oddziału szturmowego — do mnie! — Kusche wykrzyknął te słowa przez otwarte okno gospody. Natychmiast zgłosił się Ernst Schlaguweit.

Jego rozmowa ze sturmführerem Kuschem nie trwała długo. W godzinę później mury kościoła ozdobione były hakenkreuzami, a obok bramy kościelnej rzucał się w oczy namalowany ręcznie plakat, który głosił:

Żydzi ukrzyżowali Boga,
Führer prześladowa Żydów,
Więc Führer opowiada się za Bogiem.
A po czyjej stronie opowiada się Kościół?

— Wielka akcja upiększania miasta — wyjaśnił Schlaguweit, szczerząc zęby, ludziom, którzy tamtędy przechodzili.

Kiedy nadeszła grupa dzieci, zatrzymał je i zapytał, czy idą do pastora Bachusa.

— Na katechizm — odpowiedziały dzieci.

— Nie będzie katechizmu — oznajmił Schlaguweit — Z powodu remontu.

Wreszcie ukazał się sam pastor Bachus i zamarł. Upłynęło sporo czasu, zanim odzyskał mowę. — Co to ma znaczyć?

— Zabieg sanitarny — powiedział Schlaguweit. — Najpierw na zewnątrz, potem w środku. W kościele śmierdzi.

— Co to znaczy? — zapytał Bachus zdumiony.

— W kościele są zarazki. Dopóki się nie przeprowadzi dezynfekcji, nie wolno wchodzić do środka. SA reprezentuje tu najwyższe Władze sanitarne, oddział: zdrowe ciało — zdrowy duch.

— To absurd! — zawołał Bachus wzburzony.

— Panie pastorze — powiedział Schlaguweit ostrzegawczo. — Ma pan przed sobą jednostkę SA wyposażoną w jednoznaczne rozkazy. A dla nas jest pewne, że w kościele znajdują się pluskwy, jeśli nie wszy. Są na to świadkowie. Najlepiej byłoby zamknąć to miejsce zgromadzeń do odwołania.

— Protestuję!

— Ma pan prawo, w końcu jest pan z zawodu protestantem. To tylko skromny początek naszych starań o oczyszczenie Kościoła.

Duchownemu oszczędzony został dalszy ciąg, ponieważ został wezwany do umiającego. Bachus odszedł w milczeniu.

Eugen Eis wpadł na Alfonsa Maternę. Stało się to przed wejściem do baraku, w którym mieszkali polscy robotnicy.

— Czy czekasz tu, aby mnie powitać? — zapytał Eis.

— Chyba czytasz w moich myślach. Dokładnie taki miałem zamiar. Witam cię serdecznie.

— Tylko nie tym tonem! To na mnie nie robi wrażenia. Jestem tu służbowo.

— Jako ortsruppenleiter czy jako naczelnik urzędu? Chciałbym to wiedzieć, zanim zacznę z tobą rozmowę.

— Czy moja obecność jest ci niemiła?

— Spodziewałem się ciebie. Przychodzisz dość późno. Czyżbyś nie miał odwagi?

Eis sapał pogardliwie. Na krótko ogarnęło go pragnienie, aby tego bezczelnego karła po prostu odepchnąć. Ale nie zaryzykował tego, Materna bowiem odznaczał się, jak wiadomo, zdumiewającą siłą. Poza tym szesnastu Polaków, Jabłoński i cztery psy tylko czekali na jego rozkaz. Należało to brać pod uwagę.

Materna śmiał się jak z beztroskiego drobnego żartu. — A więc dobrze. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chodź ze mną, oprowadzę cię.

Otworzył drzwi do baraku, zapraszając gestem. Eis podszedł bliżej. To, co ujrzał, można było nazwać pruskim porządkiem. Starannie wykonane meble z drewna sosnowego, na łóżkach świeże narzuty w kolorową kratkę, stoły i szafy ustawione jak kompanie na baczność. Do tego na ścianach mocne hasła w rodzaju: Praca uszlachetnia! albo: Wszystko dla Niemiec! A nawet: Führer ma zawsze rację!

— Potrafisz chyba właściwie ocenić coś takiego — oświadczył Materna, szczerząc zęby. A ponieważ jesteśmy sami, mogę ci powiedzieć, że polscy robotnicy na szczęście nie rozumieją naszego języka.

— Mogę sobie nawet wyobrazić — powiedział Eugen Eis zakłopotany, że tyś im to całkowicie fałszywie przetłumaczył, prawda?

— Być może. Ale teraz chciałbym wiedzieć, jakie ty masz życzenia. Czy mam zawiadomić barona? A może chcesz, abym zwołał wszystkich Polaków, żebyś mógł ich sobie obejrzeć? Stracilibyśmy przez to czas, ale za to ty mógłbyś to wliczyć do rachunku państwowej kasy. Więc jak?

— Chcę zobaczyć papiery twoich robotników.

Alfons Materna nie dał po sobie poznać, że akurat to żądanie jest mu niemiłe. Zdradzało ono bowiem — że Eis miał jakiś konkretny cel przychodząc tutaj.

I chyba tak właśnie było. Eis czytał przedstawioną mu listę. Szczególnie dokładnie przeglądał tak zwane paszporty pracy; przeznaczył na to dużo czasu. Wreszcie jeden z paszportów położył na wierzchu — był to paszport Ericha Wollnowskiego.

— Czy to ten człowiek, który mówi po niemiecku? — zapytał Eis.
— To mnie interesuje. Następnym razem chciałbym go poznać. — Uśmiechnął się i mówił dalej jakby od niechcienia. — Ponieważ znów tu przyjdę, oczywiście z obstawą.

Ledwie zniknął, Materna podszedł do telefonu i zadzwonił do barona. — Robi się niebezpiecznie — powiedział. — Niech pan spróbuje na jakiś czas odwrócić jego uwagę, o ile to możliwe.

Wszystko to — akcja SA przed kościołem i spotkanie Eisa z Materną — działo się w piątek. A już w sobotę Eugen Eis został zaproszony przez Alaricha von der Brockena na miłą ucztę oficerską w gronie przyjaciół .

Było to zaszczytne zaproszenie. Żaden towarzysz partyjny pochodzenia nieszlacheckiego nie miał dotychczas okazji uczestniczyć w tego rodzaju imprezie. Eugen Eis zapomniał chwilowo o Wollnowskim, o swojej żonie i SA. Zjawił się punktualnie w Gross-Siegwalde i doznał satysfakcji, że został osobiście przyjęty przez barona, i to już na tarasie. — Witam w mojej chatce! — zawołał Alarich.

— Dziękuję za zaproszenie — powiedział Eugen, początkowo jeszcze spięty.

— Pomyślałem sobie, iż najwyższy już czas, abyśmy się nawzajem bliżej poznali. Chodzimy wciąż tymi samymi ścieżkami, a prawie nic o sobie nie wiemy. Czy pan też tak uważa?

— Oczywiście! — zapewnił Eugen pochlebiony.

Baron klepnął gościa z całej siły w ramię. — W końcu my nie jesteśmy zwapniałymi junkrami, a wy nie jesteście ograniczonymi fanatykami, czyż nie? Jeśli idzie o Niemcy — nie ma to znaczenia, prawda?

Baron objął Eugena ramieniem i popychał go lekko do środka, - -r
Moi drodzy przyjaciele aż się palą, żeby pana poznać. — Wskazał na kilka osób, które siedziały gawędząc. —Drodzy panowie: oto mój dostojny gość!

Mężczyźni przerwali rozmowę, ale ich postawa nie zmieniła się. Siedzieli po obfitym obiedzie w wygodnych fotelach, nogi mieli

wyciągnięte - bezmyślnie, leniwie, i tak patrzyli na nadchodzącego Eugena.

On znał ich wszystkich; każde dziecko w okolicy ich znało. Ale wszystkich naraz nikt dotychczas nie widział. Był to widok, na który serce Eugena zaczęło żywiej bić. Pojął on szczególną wielkość tej godziny: partia pośród starej pruskiej szlachty! A było to wyłącznie jego zasługą. Pierwsze dłonie wyciągnęły się naprzeciw niemu.

— Na pierwszy rzut oka sprawia pan całkiem normalne wrażenie. Gdzie pan służył? — Słowa te wypowiedział pan von Knobelsdorf-Vierkirchen, były adiutant jego królewskiej mości, obecnie blisko od osiemnastu lat pracujący nad pomnikami: *Byłem świadkiem, jak panował.*

Obok niego siedział von Waldenburg-Danuschow człowiek, który odważył się z leutnantem i dziesięcioma ludźmi unieszkodliwić całą tę gadającą budę, czyli niemiecki Reichstag. Potem uczynił to pewien gefreiter, choć też z ponad dziesięcioma ludźmi.

Z tyłu siedział von Kleist — jeden z wielu; ten słynął niegdyś jako jeździec.

— Również jeździeckie ambicje? — zapytał niemal surowo.

Po części — Eugen potrząsnął słynną, dłoń, którą, jak głosiła legenda, niejedna wysoko postawiona dama wspominała z największą przyjemnością.

Następnym, któremu Eugen Eis został przedstawiony, był hrabia Kalkreith-Schlaven-Schlarbach — bohater spod Lutlich, Le Croix i Lilienbergu; generał, choć nie generał feldmarszałek. Intrygi pozbawiły go zasłużonego uznania — jedna z tych przyczyn, dla których wojna światowa, wówczas jeszcze nie nazywana pierwszą, została ostatecznie przegrana.

Obok niego siedział baron Schlachtwitz; nie bardzo faworyzowany potomek wielkiej rodziny; wyrósł nieco garbaty i dlatego doszedł tylko do stopnia oberleutnanta. Ale w jego lasach aż tłoczno było od najlepszych jeleni Mazur.

Nieco z tyłu stał mężczyzna, który miał skromne nazwisko Schulz; zbałamucił on niegdyś w mocno podeszłym wieku hrabinę, odziedziczył po niej majątek i stał się sławny jako hodowca koni.

— Mam nadzieję, że będzie się pan wśród nas dobrze czuł? powiedział Alarich.

— Ależ z całą pewnością — Eugen Eis siedział dumny pośród tego doborowego towarzystwa. Natychmiast również wyciągnął nogi i starał się przyjąć niedbałą pozę.

Podano koktajl z białego rumu, złocistego winiaku i rubinowego burgunda, zwany witrażem kościelnym . Temperatura: dokładnie 57°. Specjalność barona: udoskonalenie smaku przez dolanie odrobiny wódki polskiego pochodzenia.

— Brakowało pana w naszym kręgu, panie Eis — stwierdził Alarich podnosząc kieliszek. — Nic tak nie uszlachetnia jak zasługi. My również mamy już od jakiegoś czasu naszego Schulza.

Schulz od dawna przywykł do tego rodzaju uwag. Z uśmiechem przepił do Eisa. Ten wlał w siebie zawartość całego kieliszka. Szybko nalano mu następny — służba zobowiązana była do szczególnej troski o niego.

Panowie obszarnicy wciągnęli do rozmowy rozglądającego się dokoła uszczęśliwionego Eisa; niedoszły generał feldmarszałek specjalnie dla Eugena wyjaśnił jeszcze raz swoje strategiczne decyzje w bitwie pod Lilienbergiem. Niektórzy ziewali przy tym bezceremonialnie; słyszeli to już niejedną raz.

Następnie jeździec opowiedział o życiu intymnym z księżniczką Cilly-Agathe. — Rozszarp mnie, ty łobuzie — mówiła zawsze. — Śmiech zadowolenia, choć i ten szczegół był wielokrotnie powtarzany.

Schulz rozbudził w Eugenie chęć utworzenia konnicy SA. — Mogę dostarczyć każdą liczbę koni na ten cel. Musi pan wiedzieć, że dopiero najszlachetniejsze zwierzę daje człowiekowi poczucie doskonałości.

Eugen słuchał radośnie i chętnie udzielał odpowiedzi na patriotyczne pytania. Miał wspaniałe uczucie: został uznany!

Alarich wziął go na bok: — Czy podoba się panu u nas?— Bardzo!

To mnie cieszy. Już dawno chciałem z panem porozmawiać, w cztery oczy. Albowiem, jak pan wie, z powodu bagien wdałem się w układ z tym Alfonsem Materną. On mnie namówił. I nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ten człowiek to szczwany lis.

— Zgadza się! — zapewnił Eugen Eis. Pił teraz piwo z szampanem, smakowało wspaniale. — Porównanie tego człowieka do stada hien jest jeszcze zbyt delikatne i niewinne.

— Mam takie samo uczucie! Głos wewnętrzny mówi mi, że temu Maternie zależy tylko na tym, aby zedrzeć z człowieka skórę. I między innymi dlatego, drogi panie Eis, przywiązuję dużą wagę do naszych kontaktów. Ufam pańskiemu doświadczeniu.

— Mam takowe. Szczególnie co się tyczy Materny.

— Czy mogę liczyć na to, że mnie pan w porę poinformuje, jeśli coś będzie nie w porządku? Czy mnie pan w porę ostrzeże, kiedy ten człowiek pozwoli sobie na podejrzone manipulacje?

— Może pan, panie baronie, być spokojny. Daję na to słowo!

Ich ręce się zetknęły, oczy spojrzwały na siebie, następnie kieliszek stuknął o kieliszek. Alarich promieniał, a Eugen Eis poczuł się wyróżniony.

Podany mu napój składał się tym razem z koniaku, kawy i śmietanki. Do tego kanapki. Eis patrzył szczęśliwy na swoich nowych szlacheckich przyjaciół.

— Prawdziwa wspólnota narodowa, bez żadnych ograniczeń. Jakież to niemieckie!

Pastor Bachus siedział przy umierającym. Był to stary emeryt, mieszkający na skraju Maulen. Należał kiedyś do Gminy Poszukujących Boga. Była to jedna z wielu sekt na Mazurach. Teraz jednak człowiek ten prosił o błogosławieństwo prawdziwego Kościoła na swoją ostatnią drogę.

— Panie pastarze — szepnął konający — jestem grzesznikiem ?

— Wszyscy jesteście grzesznikami — odrzekł pastor.

Ale ostatnia godzina wyraźnie się odwlekała. Bachus trwał na posterunku i modlił się. Zasnął wreszcie z wyczerpania i cicho chrapał. Ale kiedy tylko umierający zaczął mówić, pastor natychmiast pochylił się nad nim.

Przyczyną jego wytrwałości mógł też być fakt, że w gruncie rzeczy nie chciał wracać do domu. Ale to nie umniejszało jego wysiłku; pół dnia i całą noc spędził przy łożu śmierci człowieka, który nie miał nikogo bliskiego.

Zanim jednak starzec zamknął oczy, zawołał: — Kościół nie żyje, umarł przede mną. Mój Bóg jest jedynym Bogiem. Idę do niego!

Pastor pochylił głowę i modlił się. Dopiero późnym popołudniem ruszył w stronę swojego kościoła — zmęczony, pochylony, ospałym krokiem. Jego płonące oczy nikogo nie widziały. Mimo to z daleka dostrzegł: drzwi Domu Bożego były szeroko otwarte. Z wahaniem wszedł do środka.

Otoczyła go uroczysta dobroczynna cisza. Uderzył mu do nosa' zapach zgaszonych świec, zmurszałych belek i zimnej podłogi. Pastor poczuł nagle przemożną potrzebę klęknienia przed ołtarzem. Najpierw to, pomyślał półprzytomnie, potem butelka wina. Bóg mi przebaczy. Wreszcie sen. Sen bez widziadeł,;a przy zaśnięciu uczucie, że nie trzeba lądzie więcej się obudzić.

— Boże mój — powiedział pastor przed siebie - mie opuszczaj mnie!

Przez wysokie szklane okna wpadało ostatnie światło dnia, z trudem przebijało się przez czerwone, srebrnoniebieskie, bursztynowożółte barwy; rysowało na posadzce połyskujące smugi jak palec potężnej ręki, która rozpostarła się nad pomieszczeniem.

Za nim stanęło dziecko. Nie zauważył go. Była to Sabine.

- Dostrzegł natomiast ciemnobrązową kupę na dywanie, który prowadził do ołtarza. Bachus poznał — było to ludzkie gówno.

— To SA — powiedziała Sabine za nim. — Bubi Kusche zostawił swoją wizytówkę.

— Tak nie może być — powiedział pastor bezdźwięcznym głosem.

— Tego już za wiele. — I cicho, jakby ostatkiem sił dodał: — Nadeszła i moja godzina.

Nie poszedł do piwnicy z winem — usiadł za biurkiem. Mimo wyczerpania napisał kazanie, które miał zamiar wygłosić nazajutrz. Wobec całego zgromadzonego ludu.

Zaczął drzeć, kiedy stwierdził, jak bezsilne były jego słowa. Mimo to pisał dalej.

Owej niedzieli Bachus odczytał kazanie słowo w słowo, co się -
• zdarzało nadzwyczaj rzadko. Przedłożone zostało zatem, jak mówiono, w rękopisie .

Bachus zaczął gładko i spokojnie. — Wszyscy ludzie — powiedział są stworzeniami bożymi, wszyscy bez wyjątku. I wszystkich trzyma Pan w swoich rękach. Ale Jego wyroki są niezbadane, i niezbadane jest to, na co On zezwala, aby się działo na tym świecie. , Ale to wszystko nie jest bezsensowne. Kiedyś, na tym albo na tamtym ; świecie, ujawni się jego sens.

Bubi Kusche, który przybył po cywilnemu, ale służbowo, nie wiedział, jak zareagować na słowa pastora, patrzył więc bezradnie na ambonę. Czy stwierdzenie, że wszyscy ludzie są stworzeniami bożymi, jest już antypaństwowe — z Żydami w podtekście — czy też jest to normalne standardowe sformułowanie? Niektórzy spośród słuchaczy zaczęli w każdym razie szeptać między sobą.

Pastor Bachus kontynuował: — Istotą Pana jest dobroć. Od Jego dzieci wymaga się miłości bliźniego. Rozumieć i wybaczać — to chrześcijańskie przykazanie.

Teraz Kusche spojrzął, pogardliwie uśmiechnięty, na swoich kolegów z SA, którym kazał przyjść dla towarzystwa. Mieszkańcy

Maulen mieli smętne oczy; niejedna broda oparła się sennie na piersi.

Ale oto z ambony rozległo się niby fanfara: - Jednakże nadszedł dzień, kiedy nasz Pan przepędził ze świątyni wszystkich kupców, lichwiarzy, obłudników, oszustów i szarlatanów — oskarżając ich i karząc chłostą. A Jego gniew był wielki!

To poruszyło nawet śpiących i nawet najbardziej tępi uczestnicy nabożeństwa stwierdzili przynajmniej tyle, że Bachus jest na pełnych obrotach, jak za dawnych czasów. Wreszcie znów jego kazanie było prawdziwym rarytasem.

Pastor Bachus powiedział między innymi również to: — Wybaczać — to nie znaczy przemilczać! A przebaczenie nie może być ślepe, ono wymaga w pewnych wypadkach skruchy grzeszników. Ten, kto myli Kościół ze śmietnikiem — ten postępuje jak zwierzę, a nawet jeszcze gorzej!

Następnie pastor stwierdził: — Boga nie można nigdy obrazić - nawet wówczas, gdy zwierzę w ludzkiej postaci skala Jego dom. Na tym jednak, kto się na to odważy, Pan zemści się za jego zbrodniczy czyn. Ukarze go —jego i takich jak on!

I dalej: — Kto nie wie, kto tego nie czuje, czym jest człowiek — albo czym może być — skąd ma wiedzieć, czym jest ojc/y/na, czym jest Rzesza. Mianowicie: wspólnotą wszystkich ludzi! Jedyną prawdziwą wspólnotą, albowiem wobec Boga wszyscy jesteśmy równi. Żaden mundur nie zapewni nikomu w oczach Boga najmniejszych przywilejów.

I wreszcie: — Napisane jest, że należy oddać cesarzowi, co cesarskie. Ale też jest napisane: oddajcie Bogu, co jest boskie. T tu drogi się rozdzielają. Od zuchwale rozhukanych dzikich hord Bóg się odwraca, odwraca się także Kościół!

— Dość tego, panie Bachus! — zawołał donośny wściekły głos. Był to Felix Kusche. Stał w środkowym przejściu kościoła. A obok niego i za nim jego ludzie — razem szesnastu.

— Jak pan śmie przerywać moje kazanie? — zawołał pastor błędąc, ale nie dał się zbić z tropu.

— Nie pozwolę, aby pan dalej uprawiał zdradę stanu! Jest pan aresztowany, w imieniu Führera! Proszę za mną. Natychmiast!

Ludzie w kościele wstali poruszeni. Rozległ się ostry pomruk protestu, który narastał, ale tylko na kilka sekund przekroczył mur rozsądku. Kilka osób stanęło wprawdzie przy schodkach na ambonę, jednakże odsunęli się na bok, kiedy SA natarła śmiało.

Chłopcy utworzyli klin, na którego czele Kusche dotarł do schodków. Zanim zdołał się wdrzeć, pastor zszedł; bez słowa, blady, poddany swemu losowi. Natychmiast otoczyła go SA.

— Odmaszerować! — rozkazał Kusche. Trząsał się z zadowolenia — nareszcie Maulen poznało, kim on naprawdę jest: po prostu siłą! Czując się znakomicie, górując nad innymi, zawołał do zgromadzonych: — Nabożeństwo skończone! Kram zamknięty do odwołania!

VIII

Wciąż nadchodzi dzień za dniem,
ale przedtem zawsze zapada noc.
I nie wszyscy śpią po zachodzie słońca.

Aresztowanie pastora Bachusa podczas jego kazania stało się sensacją wielkiej wagi, narobiło nie lada szumu. Ale kiedy usnęło pierwsze wzburzenie, ludzie w Maulen mówili, niejeden nawet ulgą: — Ten Kusche miał więcej szczęścia niż rozumu.

— Szczęście — po pierwsze: pastor nie wzbraniał się i poszedł z Kuschem; nawet nie protestował. Zamknięto go w remizie, pilnowało go czterech ludzi.

— Szczęście — po drugie: Eugen Eis był chwilowo nieosiągalny. Przebywał u barona, pił tam turecką krew, mieszaninę burgunda z szampanem, opowiadał o przygodach miłosnych we wsi i nie chciał przyjmować telefonów.

— Pan Eis nie życzy sobie, by mu przeszkadzano — mówiono na zlecenie Alaricha von der Brockena. Ale sam baron podszedł do telefonu, kiedy mu szepnięto: — Pan Materna pragnie z panem mówić.

Baron wysłuchał sprawozdania o tym, co zaszło w Domu Bożym. Milczał dłuższą chwilę, potem zapytał:

— Jak pan sądzi, co powinniśmy zrobić?

— Natychmiast zmusić Eisa, żeby kazał zwolnić Bachusa. I to zaraz!

— Ależ, drogi panie — zawołał Alarich von der Brocken, kiedy się opanował, ciesząc się na dalszy bieg wydarzeń — co się może stać pocziwemu kaznodziei? Posiedzi kilka dni w remizie, nic więcej. Tym bardziej będzie wściekły na Kushego. To woda na nasz młyn. Wcale nieźle: sojusz z Kościołem! Poza tym nie wiem, czy tym nakazem nie posłuszę Eisa przedwcześnie.

Wydawało się, że zaszło to, czego Materna się obawiał: baron wprawdzie zaczął brać udział w grze toczącej się w Maulen, ale nie znał dokładnie tutejszych reguł gry. Nie uwzględnił, że jeśli już raz Bachusa posadzono, to na pewno nie da się go tak łatwo wyciągnąć z aresztu.

Tymczasem panienska na poczcie miała pełne ręce roboty; ledwie

nadażała z podsłuchiwaniami. To rozmawiał żandarm ze swoim przełożonym, to Kusche ze sturmbannführerem SA, to znów Neuber z kierownikiem organizacyjnym okręgu.

Kreisorganisationsleiter udał się do kreisleitera, ale przekonał się, że ten jest już poinformowany: mianowicie przez kierownictwo SA. Kreisleiter powiedział zadowolony:

— W Maulen zaczyna się coś dziać!

Właściwie — jak sądził Neuber — kreisleiter powinien mieć pewne wątpliwości, tymczasem przyjął wiadomość z uznaniem.

I to szczęście — po trzecie, szczęście decydujące, spotkało Kuschego: nadeszła depesza przeznaczona dla ortsruppenleitara. Ale część mieszkańców znała już jej treść, zanim jeszcze nie otwarta znalazła się na biurku Eugena Eisa. Paniątka z poczty bowiem, radośnie podniecona, powiadomiła swych towarzyszy partyjnych o jej treści, a brzmiała ona następująco:

Gratuluje energicznej samodzielnej inicjatywy. Zamelduj o tym z pochwałą władzom okręgu. Działajcie dalej ostro i energicznie, kiedy wrogie elementy usiłują podejmować akcje, i zawiadamiajcie mnie na bieżąco. Niech żyje Führer! Podpisano: Leberecht, kreisleiter NSDAP .

— Wspaniały sukces! — Kusche zameldował się u Eugena Eisa wczesnym popołudniem, kiedy ten właśnie wrócił od barona. — Zadowolony?

Członki Eisa były jakby z ołowiu, czaszka jak orkiestra taneczna, pot spływał mu po czole. Urznął się u barona; z wielkim trudem usiłował zebrać myśli.

— Gówno zasrane! — rzekł zamroczony. — Gratuluje. Rób tak dalej! Zobaczysz, do czego dojdiesz. Ja w każdym razie idę teraz kimać.

W następnej depeszy żądano przekazania pastora Bachusa do Olsztyna.

— Czy mogę z tobą porozmawiać? — zapytała Sabine z miłym uśmiechem Felixa Kuschego, który siedział wśród licznie zebranych kolegów z SA i równie licznych flaszek wódki i piwa. Lokal przepelniał głośny i zwycięski hałas.

— Stulcie pyski — rozkazał Kusche. — Bo nie słyszę dokładnie, co ten wróbel ćwierka. No więc, Sabine, czego chcesz?

- Pomówić z tobą, ale w cztery oczy.

— Słuchajcie, słuchajcie — zawołał SA-man Mielke, prawdziwy żartowniś. — Przecież ona jest za mała na takie rzeczy!

Rozległ się iście męski rechot. Ale Kusche przekrzyczył go, rozbawiony: — Możesz tu mówić otwarcie. My, koledzy, nie mamy przed sobą tajemnic.

— No dobrze, na twoją odpowiedzialność — powiedziała Sabine. -
— Masz wyjść. Ktoś na ciebie czeka, na ławce przy żywopłocie szkolnym.

Koledzy chichotali; wszyscy znali ławkę, z której często korzystania:

— Kto? — pytali. — Gadaj, Sabine, zdradź imię!

— Nie mogę. To dotyczy tylko Bubięgo!

Bubiemu to pochlebiało. Mógł sobie wyobrazić, że teraz, kiedy zajmował takie odpowiedzialne stanowisko, kobiety zaczynają iść o niego ubiegać.

— No, dobrze — rzekł. — Ostatecznie można sobie obejrzeć...

Opuścił gospodę, przeciął bezludny o tej porze plac i skierował się do owej ławki. Stała między dwoma kasztanami, za nią był gęsty żywopłot.

Ale ławka była pusta.

— Jest tam kto? — zawołał Kusche stłumionym głosem.

— Nie musisz szeptać — rozległ się dobronudny głos - Nikt cię i tak nie usłyszy. Jesteśmy tu tylko we dwóch.

Z cienia kasztana wyłoniła się średniego wzrostu, lecz rosła postać; posuwała się do przodu w świetle księżyca. Kusche ujrzał tego, kogo poznał już z pierwszych słów. Stał przed nim Jakub Jabłoński.

— Czego pan ode mnie chce? — Kusche usiłował wykrztusić to możliwie stanowczym głosem.

— Chcę — na razie — z tobą porozmawiać, Bubi.

— Nie nazywam się Bubi — zawołał Kusche gniewnie. — W każdym razie nie dla pana. Nawet nie z każdym jestem na ty.

— Ja w każdym razie nigdy jeszcze nie zwracałem się do świni: proszę pana .

— Mam ochotę wezwać tu SA!

— Tego nie zrobisz, Bubi! Ostatnio, musisz wiedzieć, jestem bardzo uczulony na hałasy. Gdybyś więc zaczął hałasować, zatkam ci gębę. Pięścią!

— Nigdy się pan nie odważy zaatakować führera SA!

— Gdzieżbym się ważył. Jeśli zaatakuję ciebie, wówczas będziesz dla mnie Bubi Kuschem.

Kusche gorączkowo kombinował. Ucieczka nie była wskazana,

zwłaszcza że Jabłoński na pewno zabrał ze sobą swoje psy, które chyba czyhały w krzakach. Ryzykować walkę na pięści — byłoby istną lekkomyślnością. Wiadomo, że ten drab jest silny jak byk. Tak więc największą szansą Kushego było zachowanie jego godności przywódcy SA.

— O czym masz zamiar ze mną rozmawiać? — Głos Kushego stał się bardziej umiarkowany, trochę spuścił z tonu i był jako tako opanowany.

— O pastorze Bachusie. I o tobie.

— Możesz mi spokojnie powiedzieć swoje zdanie. Przyjmę je do wiadomości.

— I to jeszcze jak! Jest to zresztą naprawdę moje zdanie, nie Alfonsa Materny. Zależy mi na tym, abyś to wiedział. Poza tym uważam, że najwyższy czas przetrzepać ci skórę. Bo twoja próba zamiany Domu Bożego w sraz i twoje wspaniałe zwycięstwo nad biednym, odważnym Bachusem — to nawet jak na Maulen za wiele!

— Jeśli koniecznie chcesz — rzekł Kusche z trudem — to możemy o tym jutro spokojnie porozmawiać.

— Tego, co masz załatwić dziś, nie odkładaj do jutra. — Jabłoński zbliżył się o krok. — Wydaje się, że koniecznie potrzebna ci jest forsowna kuracja według twoich własnych metod. I będziesz ją miał.

To powiedziawszy, Jabłoński chwycił Bubi Kushego i zaczął go bić. Dwa głośnie policzki stanowiły początek.

Wprawdzie Bubi mocno się bronił, ale Jabłoński szarpnął go i przycisnął, niemal dusząc, do swojej szerokiej jak skrzynia piersi, trzepnął kilka razy po karku, tak że pod Kuschem ugięły się kolana. Następnie Jakub kopnął go w wypięty zad jak w piłkę futbolową. Żadna inna szlachetna część ciała nie została uszkodzona.

— Tak — powiedział Jabłoński, nie tracąc tchu, i jedną ręką podniósł Kushego za kołnierz — teraz spływaj stąd, ty gówniarzu! Opowiedz o wszystkim twoim kompanom z SA. Nie pozbierają się z podziwu dla swojego Führera.

Ludzie z Maulen zastanawiali się, dlaczego Eugen Eis w ciągu niewielu dni aż trzykrotnie jeździł do powiatu.

Mówili: — Miasto powiatowe to tak jakby kierownictwo powiatowe, bo niby po co by tam jeździł?

A jeden z kandydatów na burmistrza — było ich już trzech — oznajmił wobec licznych słuchaczy w gospodzie:

- W Maulen zajądą poważne zmiany, i jest już na to najwyższy czas!
— To może się stać naszym sprawdzianem — stwierdził Schlaguweit, pełen nadziei.

Słowa te napawały Kuschego niepokojem. Denerwowały go szepty za jego plecami. A te mętne przypuszczenia krążyły nieustannie. Mówiono: — Eis pertraktuje w sprawie przeorganizowania Ortsgruppe, w sprawie przekształcenia SA, w sprawie całkowitej zmiany na wszystkich stanowiskach. — Sam Eugen Eis uśmiechał się, milczał, i to jeszcze bardziej dawało do myślenia. Czasami rzucał: — Zobaczycie w swoim czasie!

I niejeden odczuwał to jak groźbę.

Jego błogość jednak była niepełna. Bo Brigitte nie okazywała mu najmniejszego zainteresowania. Kiedy na przykład oznajmiał: — Muszę znowu wyjechać, mianowicie do powiatu — mówiła z wyzywającą obojętnością: — Jeśli o mnie chodzi, proszę bardzo, ile razy zechcesz!

— Powiem ci, co mam do załatwienia. Każę sobie tam uszyć pierwszorzędny strój myśliwski. Ekstra klasa! Zostałeflt bowiem zaproszony przez barona na polowanie. I co ty na to?

— No, to przynajmniej zające się uśmieją, zanim kto inny, je trafi.

Eugen Eis wzruszył szerokimi barami — czy to go kto rozróiiie w tej zabitej dechami dziurze! Wzniósł się ponad wszystkich. Taki Alarich von der Brocken szukał jego towarzystwa. Ludzie o starych tradycjach i kulturze szanowali go. Był kimś!

Istotnie ze swojej czwartej podróży przywiózł wspaniałą strój myśliwski. W gospodzie pewien SA-man powiedział:

— Chyba nie ma zamiaru paktować z tymi ludźmi?

A inny odrzekł:

— Ten wie, jak się maskować!

Trzeci zaś:

— Eugen wszystkich przechytry!

Kiedy potem wóz myśliwski zatrzymał się przed domem Elsa wszyscy podziwiali dostojnika wsi. Eugen wsiadł zamasyście; był w zielonym jak choinka ubraniu, na łokciach, kolanach i siedzeniu widniały zamsszowe ozdoby, buty z cholewami błyszcząły jak lakierki, do tego lorneta. Schlaguweit, który tym razem na czas zaproponował swoje usługi, podał mu dwie strzelby: jedną na grubą zwierzynę, drugą śrutówkę o dwu lufach.

— Wspaniale! Wspaniale! — zawołał Alarich na jego widok. - Jakby wycięty z pisma Jagd und Wild! Wprowadza pan po prostu powiew elegancji do **togo** interesuj .

Els uśmiechnął się pochlebiony.

— Panie baronie, pan jest dla mnie wzorem pod tym względem. Już same pańskie stroje jeździeckie...

— Panie Eis, z pana to światowy człowiek! Jestem przekonany, że ustrzeli pan niejednego wspaniałego kozła!

Ta noc spędzona na polowaniu była dla Eisa cudowna. Ukazywała się w lśniących zarysach: domy miały ostre kontury, błyszczały gwiazdy, a drzewa wyglądały tak, jakby były namalowane na niebie cienkim pędzelkiem.

Tej nocy zaniepokojony Kusche zapukał do Neubera. Ostrożnie i szybko wymieniali na razie dźwięczne banały: wspólnota , odpowiedzialność każdego z osobna , troska o Maulen ...

— Bardzo słusznie — powiedział Neuber: — Ale jeśli idzie o stosunek SA do partii, szczególnie do kierownictwa, a więc do mnie...

— To się przecież da zmienić — zapewnił Kusche. — Chociażby dlatego, że tu jestem.

Neuber ukrył zadowolenie. Natychmiast jednak wykorzystał swoją dogodną sytuację.

— Niestety, do współpracy dochodzi przeważnie dopiero wówczas, kiedy się robi gorąco. Prawda?

— No, niby gdzie się robi gorąco? — zapytał Bubi Kusche z dobitną beztróską. — Ja w każdym razie nic o tym nie wiem.

— Nie?! — Neuber również udawał beztróskę. — A czy nie został pan pobity przez Jabłońskiego?

- Kto ośmielił się tak twierdzić? — zawołał Kusche, wybuchając jak gejzer.

— Cała wieś o tym trąbi — odparł Amadeus łagodnie.

— Ci zasrańcy! Jak mogą mówić coś takiego, przecież, do jasnej cholery, nikogo przy tym nie było!

Neuber uśmiechnął się z wyższością; ten Kusche to głupi ujadający kundel, żaden przeciwnik, którego należałoby traktować poważnie. Unieszkodliwienie go chyba nie będzie sprawiało zbyt wielkich trudności.

— Zawsze jestem gotów do owocnej współpracy — zapewnił więc Amadeus. — Ale na razie należałoby chyba usunąć pewne usterki kosmetyczne. Mam tu na myśli przede wszystkim powagę SA. Jest przy tym w gruncie rzeczy mało ważne, czy naprawdę pana pobito, czy nie. Decydujące jest, co o panu mówią. Cóż, zna pan przecież ludzi w Maulen.

Felix Kusche z goryczą skinał głowę.

— Uważa pan więc, że powinno się stać coś, co ludzi przekona?
Coś związanego z Jabłońskim?

Neuber, zadowolony, złożył ręce. Chyba to już zostało załatwione.

— Jeśli uda się panu położyć Jabłońskiego na obie łopatki, SA w Maulen będzie się znowu cieszyła poważaniem.

— Załatwię to — przyrzekł Kusche ponuro. — Wyrwiemy mu nogi z tyłka. Sprowokował nas do tego.

Nastąpiły teraz liczne przygotowania. Doprowadziły one wreszcie do wydarzenia, które do historii wsi wpisane zostało jak bitwa nad bagnami Marten. Pod dowództwem Kuszego SA zdecydowanie zabrała się do dzieła. Ale druga strona też nie pozostawała bezczynna.

Felix Bubi Kusche był jak zawsze zwolennikiem bezpośrednich radykalnych akcji.

— Po prostu wejdziemy tam, zgarniemy Jabłońskiego, przetransportujemy go tutaj, no i pogadamy z nim po przyjacielsku.

Spontaniczna zgoda. To było godne SA! Pójść, zgarnąć - koniec i kropka.

Schlaguweit jednak oświadczył:

— Czy dobrze usłyszałem? Mamy po prostu wygarnąć Jabłońskiego z zagrody Materny?

— Oczywiście! Nó; a skąd? A może już masz pełne portki?

Schlaguweit wiedział teraz dokładnie, czego chciał. Amadeus Neuber poinformował go dokładnie i doradził mu.

— Jestem jedynie za tym, żeby działać rozsądnie i strategicznie. Moim zdaniem należy ominąć teren Materny.

— Co to ma znaczyć? Może myślisz, że pošlemy Jabłońskiemu wezwanie, aby się stawiał?

Ogólny śmiech! Ale Schlaguweit nie ustępował.

— Obejście Materny to jakby Jakub Jabłoński, a on liczy się za trzech. Materna jest nie mniej silny, a w dodatku ma całą masę broni palnej. Nie mówię już o rozwścieczonych psach. Poza tym w pobliżu znajduje się co najmniej piętnasta Polaków. Na to, mimo najlepszych chęci, nie wystarczy naszej SA.

Śmiech się urwał. Dwóch czy trzech kolegów zdawało się usilnie rozmyślać. Kusche zagryzł po chłopięcemu dolną wargę.

— Tylko bez niepotrzebnego przelewu krwi — odezwał się nagle jeden z kolegów, kładąc nacisk na słowo niepotrzebnego.

Ostatecznie Kusche sam przyznał że pewna ostrożność jest

wskazana. Narada wojenna SA trwała aż do późnej nocy. Wypito przy tym prawie tuzin skrzynek piwa.

Rezultat był następujący: należy złapać Jabłońskiego pośrodku wsi. Ale jak?

Ten twardy orzech rozgryzali przez następną godzinę, aż Kusche znalazł rozwiązanie.

— Po prostu zaprosi się go. Albo wezwie; nie przez SA bezpośrednio, tylko przez neutralny urząd, na przykład burmistrza. To brzmi niewinnie.

Znowu odezwał się Schlaguweit:

— Możliwe, że się stawi. Ale na pewno przyprowadzi ze sobą psy, a jeśli o te bestie chodzi, to gwarantuję, że niejeden dozna od nich znacznego uszczerbku.

Koledzy z SA znowu zamilkli. Oczywiście, byli gotowi do walki i poświęceń, ale nie bezsensownych.

— No tak, ale założmy, że akurat panuje wścieklizna albo że istnieje takie podejrzenie — wtedy sprawa byłaby prosta. — Rzekł to SA-man Mielke, jego awans na scharführera był prawie pewny, bo Kusche szybko podchwycił ten pomysł. Pełen uznania zapewnił:

— Świetnie! To propozycja, którą wprowadzimy w czyn.

— Ale do tego potrzebny nam żandarm.

— To żadna przeszkoda. — Kusche rozejrzał się wokoło zwycięskim wzrokiem. — On się zgodzi, ale musimy właściwie do tego podejść.

Ułożony teraz plan przewidywał, co następuje. W odpowiednim czasie musi nadejść meldunek, i to od godnego zaufania obywatela: podejrzenie wścieklizny. Wobec tego trzeba poczynić nieuniknione kroki. Po pierwsze, podejrzany pies zostanie izolowany. Po drugie, wszystkie inne psy mają być wzięte na łańcuch albo trzymane w niewielkim pomieszczeniu. W ten sposób Jabłoński zostanie praktycznie pozbawiony ochrony i łatwo będzie go schwytać.

— Już od razu jutro — oświadczył Kusche — zacząć zapobiegawczo urabiać żandarma, a potem wszystko potoczy się, jak trzeba. Nie uwzględnił przy tym jednego: zaczynając urabianie żandarma, nie wziął pod uwagę jego córki. A wraz z Sabine niemal automatycznie zaalarmowani zostali Jabłoński i Materna.

Akcję Jabłoński trzeba było na razie przesunąć o kilka dni, ponieważ część SA z dowódcą na czele była pilnie potrzebna gdzie indziej — mianowicie w Olsztynie. Na procesie pastora.

Załadowali się do ciężarówki i odjechali z hałasem, rycząc buńczucznie pieśni. Przed budynkiem sądu uformowali się i w zwartym szyku weszli na salę obrad, gdzie zajęli pierwsze rzędy dla publiczności.

Prócz nich zjawił się z Maulen tylko Alfons Materna. Co prawda nie otrzymał wezwania, ale chciał być obecny na procesie. Poza tym opłacał obronę Bachusa, adwokata doktora Rogatzkiego.

— Niech pan sobie wyobrazi — rzekł adwokat — że gramy na loterii. Takie są mniej więcej nasze szanse. Jeśli wygramy, to będziemy mieli niezwykle szczęście.

Rogatzki należał, o czym wiedzieli wtajemniczeni, do ostatnich sprawiedliwych. Ale, jak mówiono, nie mógł już sobie pozwalać na jakieś odważne wyskoki, jeśli nie chciał ryzykować skręcenia karku. Powiedział teraz z gorzkim uśmiechem:

— Przewodniczący sądów specjalnych na ogół bywają nieludcy, ale ten jest jak dobrze naoliwiona maszyna. Wkrótce sam się pan o tym przekona.

Sędzia sądu ziemskiego doktor Krüger sprawiał raczej przyjemne wrażenie: gładka, różowa, dziecięca twarz, życzliwe spojrzenie spać rowicza, głos brzmiały jedwabście.

Na wstępie, otwierając przewód, sędzia rzekł, że jest to jasna, przejrzysta sprawa, można więc ująć ją zwięźle.

Spojrzał uważnie na widownię i po chwili powiedział:

— Jestem co prawda w takich wypadkach za wykluczeniem publiczności, ale przypuszczam, że obecni na sali stanowią delegację reprezentującą siły polityczne państwa. A więc na razie nikogo nie wykluczam. Proszę jednak o zachowanie, jakiego wymaga powaga sądu.

Dopiero wtedy wzrok Krügera spoczął na oskarżonym. Pastor Bachus siedział ze spuszczoną głową pomiędzy dwoma policjantami, którzy otaczali go niby potężne słupy. Wyglądał na cierpiącego.

— Jest oklapły jak pusty worek — rzekł Kusche porozumiewawczo do kolegów. — I na kogoś takiego patrzyło się z szacunkiem.

Po rutynowych pytaniach skierowanych do oskarżonego Krüger niedbale wertował akta.

Był pewny swego — prawdopodobnie ustalił już ze swoimi przełożonymi wymiar kary; adwokat wcale tego nie wykluczał.

— W rękach sądu znajduje się konspekt kazania. Czy to pan sporządził? — zwrócił się Krüger łagodnie do oskarżonego.

Tak

Czy wygłosił pan to kazanie?

- Tak.

Adwokat z trudem usiłował dojść do głosu. Wreszcie otrzymał pozwolenie.— Proszę, aby wysoki sąd zechciał zwrócić uwagę na następujące punkty: Po pierwsze, mój klient nigdy nie zaprzeczał, że chciał wygłosić kazanie zgodne z przedłożonym tu konspektem. — Ale — po drugie — nie zdążył dokończyć tego kazania. A więc wynika z tego...

— Nic z tego nie wynika, panie mecenasie, w każdym razie nic istotnego...

Krüger uśmiechnął się współczująco:

— Jedno jest pewne: konspekt został sporządzony, a kazanie wygłoszone — nieważne czy w całości, czy też częściowo. I nieistotne jest także, czy oskarżony chce, aby mu uwierzono, że nie zdawał sobie sprawy z zasięgu tego rodzaju wypowiedzi.

— Mam świadków, którzy mogą zeznać, że wrażenie i skutki tego kazania były znikome.

Prokurator zerwał się na równe nogi.

— Także strona skarżąca ma świadków, zresztą bardzo licznych! Mogę przyjąć, że było wręcz przeciwnie.

Sędzia Krüger uciszył go życzliwym gestem.

Po co nam świadkowie, kiedy mamy niezbite dowody. Proszę pana prokuratora o przeczytanie owego dokumentu.

Tak też się stało — prokurator czytał ostrym monotonnym głosem, który od czasu do czasu, po nabraniu tchu, przybierał cięty ton — - zawsze wówczas gdy chodziło o szczególnie drażliwe miejsca. Adwokat Rogatzki rzekł z trudem:

— Czy wolno mi zwrócić uwagę wysokiego sądu...

— To zbędne — rzekł Krüger łagodnie, bez śladu agresywności, raczej wyrozumiale. — Mogę sobie wyobrazić, jakie argumenty pan przytoczy. Na przykład, że ton nadaje muzyce właściwe brzmienie. I temu podobne. Ale po co? Kazanie mamy przed sobą, jego autentyczność została potwierdzona; jego większa część została wygłoszona przed co najmniej dwustu ludźmi. W ten sposób stwierdzony został niezbitcie fakt, że była to próba wywarcia wpływu na szerokie rzesze.

— Ależ to kazanie nie zostało zrozumiane przez licznych słuchaczy tak, jak to tutaj — w tym ujęciu — mogłoby wyglądać.

— Zapewne nie przez wszystkich, ale niewątpliwie przez dużą część. Inaczej nigdy by nie doszło do tego spontanicznego aresztowania wewnątrz kościoła.

— Słusznie! — zawołał Kusche z zachwytem. Jego koledzy z SA już

mieli dać wyraz dalszym głośnym okrzykom aprobaty, sędzia jednak podniósł rękę.

— Hola, hola — zganiał ich po ojcowsku. Uśmiechnął się, gdy nagle zapadła cisza.

— No, więc dobrze. Mogę stwierdzić, co następuje: Gdyby nawet tego rodzaju sformułowania znalazły się w liście, który nie dotarł jeszcze do odbiorcy, to też byłby on absolutnie dostatecznym dowodem winy i powodem do wydania wyroku skazującego.

Wyglądało na to, że wszystko zostało powiedziane. Cokolwiek usiłował wtrącić adwokat, było jak wołanie na puszczy. Bachusa w ogóle nie przesłuchiowano — siedział ze złożonymi rękami, był szary, nikogo nie widział.

Kończąc rozprawę sędzia Krüger powiedział tonem dobrotliwie łagodnym, z przechyloną na bok różową twarzą, usypiająco śpiewnym głosem, z rękami nieco uniesionymi, jakby ze skargą:

— Dziesięć lat ciężkiego więzienia.

Ów dzień, który później przez wielu określany był jako dzień bitwy , rozpoczął się stosunkowo niewinnie. SA-man Mielke udał się do żandarma Gäblera, jak to później z naciskiem oświadczył — w charakterze młodego rolnika .

Gäbler stał na dworze rozebrany do połowy — właśnie się mył. Dbał o czystość, a na dworze było ciepło.

— No — rzekł żartobliwie — może znowu mam kogoś dla was aresztować?

Mielke wyszczerzył zęby poufale.

— Tym razem chodzi tylko o psa. O mojego psa. Niestety, musiałem go zastrzelić.

— Ze starości?

— Nie, chciał mnie napaść. Przy tym kulił ogon pod siebie; miał pianę na pysku.

Żandarm szybko się wytarł.

— To mogła być wścieklizna.

— No właśnie — powiedział Mielke. — Dlatego tu jestem .

— Trzeba zaraz coś zrobić.

Żandarm zastanawiał się chwilę, co należy przedsięwziąć; Przede wszystkim włożyć mundur! Potem obejrzeć zastrzelonego psa. Istotnie miał jeszcze widoczną pianę na pysku.

Dalej: telefon do weterynarza powiatowego. Ten na razie milczał,

potem rzekł, najwyraźniej ziewając: — Podejrzenie?. No tak. Prawdopodobnie zajrzę w ciągu dnia, a może dopiero jutro. A do tej pory izolować wszystkie psy! Wywiesić tablice ostrzegawcze. Polegam na panu.

Bo też mógł. Żandarm zawiadomił burmistrza ze wskazówką: ostrzec ludność. Potem kazał powiesić cztery tablice, w każdą stronę, z napisem:

Niebezpieczeństwo wściekliczny!

Należy wziąć psy na łańcuch.

Wąłęsające się psy będą rozstrzelane.

Miejscowy Urząd Policji.

Wiadomość o tym zarządzeniu dotarła wkrótce do obejścia Materna za pośrednictwem Sabine. Spożywała wraz z innymi śniadanie, opowiadając przy tym wszystkie znane jej szczegóły.

— Chodzi o psa Mielkego, który w ciągu ostatnich tygodni prawie nie mógł się ruszać. Chyba najwyższy czas, aby go dobito.

— Wściekliczna to paskudna sprawa — odezwał się Jakub Jabłoński zafrasowany. — Zaraz zamknę nasze psy.

— Bardzo to dziwne — rzekł zdumiony Materna. — Znam psa Mielkego, był istotnie już mocno niedołączny. Ale właściwie takie psy zazwyczaj nie dostają wściekliczny, pomijając fakt, że coś takiego u nas nigdy się jeszcze nie zdarzyło. Raczej giną tu w ten sposób ludzie.

— Mielke to szczególnie żartowniś — powiedziała Sabine, wachając pełną łyżkę miodu. — Bawił się ze swoim zabitym psem w cyrulika — sam jeden.

Alfons Materna pochylił się do fliej,

— Wytlumacz mi to jaśniej.

— No więc właśnie kiedy miałam iść do szkoły, rozległ się strzał. Od razu tam pobiegłam. Wzdłuż żywopłotu oczywiście, I widzę Mielkego z pędzlem do golenia w ręku. Przed martwym psem. Namydłał go.

— To niemożliwe! — zawołał Jakub zaskoczony.

Sabine spojrzała na niego pranie przestraszona. — Czy wątpisz, że mówię prawdę?

— Oczywiście nie — Jakub pospiesznie zaprzeczył.

— Dlaczegoż by miał nie wierzyć — odezwał się Materna. — Tu w Maulen każde głupstwo może być wiarygodne.

W tej chwili ukazał się woźny z gminy, człowiek w granatowym ubraniu z grubego płótna. Inwalida wojenny, rencista, mirno to bezwzględnie służbisty. Zawiadomił:

— Pan burmistrz wzywa pana Jabłońskiego do siebie w celu sprawdzenia meldunków między czwartą a piątą pd południu. — Dostał od Materny jak zazwyczaj wódki i odszedł.

— Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

Jabłoński kazał dziewczynce zanieść psom resztki jedzenia. Te radośnie zaszczekały.

— Zaczynam powoli rozumieć — rzekł potem Jakub. — Bez moich psów jestem tylko półczłowiekiem. Chcą się ze mną rozprawić. No, stłukę tych drani na kwaśne jabłko.

— Ale nie beze mnie, jeśli wolno prosić. Bo to, Jakubie, może być chwila, na którą od dawna czekamy. Trzeba to jednak przeprowadzić jak najdoskonalej.

To, co się teraz zdarzyło, było strategią w kieszonkowym formacie — z obu stron.

Wszelkie przesłanki zdawały się być pomyślne. Eugen Eis przebywali u Alaricha von der Brockena. Znowu odbywało się tam wielkie picie w gronie przyjaciół szlachetnego myślistwa. Nastrój był wielce obiecujący.

W tym czasie Alfonsa Maternę w odświętnym ubraniu widziano podobno z Elisabeth, baronową. Przechadzali się ponoć po tak zwanym parku pałacowym, trzymając się za ręce — w biały dzień!

Amadeus Neuber mógłby w razie potrzeby przedstawić świadków, że pracował właśnie nad swoją nową sztuką *Bohaterowie Hindenburga*. Podtytuł: *Wielka godzina w sercu Mazur*. I właśnie wtedy, kiedy odczuł gorący pocałunek muzy, odwiedziła go Sabine Gäbler,⁵ pytając o obrazy na wazach greckich. Niemal roztargniony podał jej książkę.

Żandarm w tym samym czasie przebywał w najdalszym zakątku swego rejonu, w odległości pięciu kilometrów od Maulen. Schlaguweit znalazł schronienie u akuszerki, która chętnie witała każdego chłopca o każdej porze.

Gospodarze przeważnie jeszcze znajdowali się na polach, a reszta mieszkańców wycofała się do domów, ponieważ we wsi panoszyła się SA.

Pod niezawodnym przewodem Kushego wszyscy zajęli

stanowiska w półkolu przed kancelarią gminy. Jedna grupa rezerwy przebywała w gospodzie, druga — wyznaczona do uderzenia głównego, czekała w remizie. Podzieleni bojówkarze rozmieścili się według planu na placu wiejskim: w wejściach do domów, za drzwiami, pod kościołem, przed pomnikiem poległych i na tyłach szkoły.

Plan bitwy był, by tak rzec, klasycznie prosty: kiedy Jabłoński pójdzie do burmistrza, koło się zaciśnie. Kiedy wyjdzie, nastąpi uprzejme zaproszenie. Potem pospieszne odtransportowanie, wreszcie zdecydowany rozrachunek.

Akcja zdawała się przebiegać planowo, Jakub Jabłoński był bowiem niezwykle punktualny. Kusche zapamiętał jego przybycie do wsi: była dokładnie godzina szesnasta.

— Dostaniemy go — szepnął radośnie.

Widok Jakuba idącego przez wieś bez asysty psów ogromnie uspokoił kolegów z SA. Ich gotowość bojowa wzrosła.

Jabłoński jednak wszedł co prawda do urzędu, ale nie zatrzymał się tam ani sekundy, przeciwnie — przemierzył dom, otworzył okno i wyskoczył na dwór. Ustawiony tam posterunek z lękiem się cofnął, ale podniósł wielki krzyk.

— Ucieka!

Kusche zareagował przytomnie. Wyskoczył zza pomnika, jakby się katapultował.

— Za mną, ludzie! — A swemu łącznikowi rozkazał: — Rezerwa natychmiast za nim! — Dał przykład, pędząc przez -Okolicę. — Naprzód, koledzy!

Jakub Jabłoński bez szczególnego pośpiechu przeskoczył dwa parkany. Potem pobiegł w kierunku południowym przez Psie Łąki. Wydawało się przy tym, że ma trudności z oddechem, bo od czasu do czasu przystawał. Nasłuchiwał tupotu kroków SA-manów.

— Odciąć mu drogę! — krzyczał Kusche. — Oddział szturmowy od lewej, rezerwa na prawo! Ruchem kleszczowym w kierunku brzozowego zagajnika. Bojówka prosto za mną!

Rozkazy te ujawniły zdolności Bubiego jako wodzą. Od strony militarnej były celowe, logiczne, precyzyjne. Kusche jednak nie mógł przewidzieć, że Alfons Materna ze swej strony potrafił sobie dokładnie wyobrazić, co powstanie w głowie Kushego. I odpowiednio, do tego z góry ułożył swój plan. -

Jakub Jabłoński wbiegł więc do brzoźowego zagajnika należącego do majątku Materny. SA-mani zwycięsko wpadli za nim. Podsycani okrzykami Kuschego posuwali się w głąb, gdzie cała sfera zamierzała ująć swoją zwierzynę.

— Teraz go mamy! — wrzasnął Kusche. — Chwytajcie; go i zabierajcie!

Jego wrzaski brzmiały triumfująco. Bo Jabłoński znajdował się w głębi zagajnika, a SA go otoczyła. Drab był w kotle!

Teraz jednak z krzaków i jam dokoła wysypało się co najmniej dwudziestu krzepkich chłopaków, Polaków, no i psy. A na czele Alfons Materna, wymachując dębową pałką.

— Ja wam dam włązić na mój teren! — zawołał, biorąc zamach do pierwszego uderzenia. — Przetrzepcie tym złodziejom skórę, żeby poczuli!

Tak się też stało, podczas gdy w Maulen wszystko jakby toczyło się normalnie. Mieszkańcy pilnie pracowali, opanowani jednym tylko pragnieniem: aby nie być świadkami! I nie tylko burmistrz Uschkurat umywał ręce jako niewinny.

Amadeus Neuber nie mógł się powstrzymać, aby nie przeczytać Sabine ukończonej właśnie trzynastej strony swojej podniosłej sztuki Hindenburg w rozmowie z Ludendorffem; obaj pochyleni nad mapami na stole, przy czym jeden dowódca mówi do drugiego: Komu w sercu tak mocno tkwi ojczyzna, ten może głosić tylko prawdę, a jego czyny będą dla ludzkości kamieniami milowymi .

Sabine słuchała znudzona. Wymknęła się, zanim Amadeus zdążył przeczytać także inne strony.

Tymczasem u barona von der Brockena produkował się Eugen Eis jako odważny jeździec. Pokazywał, jak podczas wojny światowej — na alarm — wskakiwał na siodło. Demonstrował to, posługując się oparciem ciężkiego fotela, zastępującym siodło. Wśród zagrzewających okrzyków jego nowych przyjaciół Eis wziął rozpęd, uniósł się i niezbyt fortunnie wylądował. Złamał sobie nogę.

Alfons Materna natomiast stał otoczony swoimi ludźmi na polu bitwy i robił bilans. SA przegoniono. Przy tym — sądził. kilku zostało rannych, wśród nich także Kusche; Alfons osobiście się nim zajął. Niewątpliwie Bubi niezbyt dobrze na tym wyszedł.

— Prędko się tu nie pokaże rzekł Jakub Jabłoński, głaszcząc z uznaniem, sweje psy — one też wykonały dobrą robotę.

Materna oglądał swoich towarzyszy walki; żaden nie został poważnie ranny, tylko niektórzy mieli zadrapaną skórę i ślady uderzeń. Szczególnie imponująco wyglądał radca stanu Erich Wollnau — jego wysokie czoło krwawiło: był z tego jakby wzruszająco dumny.

— Jako prawnik pozwolę sobie w tej sytuacji udzielić kilku rad.

— Dziękuję, ale to chyba zbyteczne — uśmiechnął się Materna. — Możemy spokojnie liczyć na to, że żaden prawdziwie niemiecki mężczyzna nie przyzna się do poniesionej klęski. Jeśli nie będziemy odgrywali zwycięzców i wszystko zbagatelizujemy, należy przypuszczać, że SA nie zamelduje sprawy dalej i będzie milczała o tym, co zaszło, choć zgrzytając zębami. I, jak sądzę, minie jakiś czas, nim bohaterowie nabiorą ochoty do dalszych przygód.

IX

Należy obchodzić święta wtedy, kiedy wypadają — jeśli nawet niektórzy muszą najpierw upaść_v zanim można będzie świętować.

SA-mani siedzieli lekko zamroczeni; wśród nich byli ranni. Jeden z nich, przeszkolony jako sanitariusz, musiał nałożyć sporo opatrunków. Kusche leżał nawet na noszach, które stały na długim środkowym stole. Doktor Gensfleisch był już zaalarmowany: spodziewano się go w każdej chwili.

— A jednak zwyciężyliśmy! — ryczał Felix ze słabnącymi siłami. — Choć nie całkowicie.

Na wytłumaczenie tego znaleziono liczne argumenty. Po pierwsze, słońce, które raziło w oczy. Następnie ten bagnisty grunt — wciąż się wywracali. Poza tym: za mało narzędzi do bicia. Z samym honorowym mieczem niewiele można zrobić. No i te psy! Szczególna miłość do zwierząt po prostu nie pozwalała im zachowywać się z całkowitą bezwzględnością.

— I ta organizacja! — powiedział Schlaguweit, który twierdził, że nie mógł wziąć udziału w akcji z powodu ciężkiej choroby bliskiego krewnego. — Organizacja prawdopodobnie była mocno nie dopracowana.

— Kto to słyszał stawiać mnie takie zarzuty! — jęknął Bubi Kusche z cierpiącą miną, przyrykując oczy. — Nie zasłużyłem na to.

Na razie zaprzestano dalszego roztrząsania sprawy, bo oto ukazał się doktor Gensfleisch, rażny, ożywiony.

— No, co tam? — zawołał stojąc jeszcze w drzwiach. — Co wyście tutaj obchodzili?

Zbadał pobieżnie SA-manów. Stwierdził: prawdopodobnie jedno złamanie podstawy czaszki, dwa wstrząsy mózgu, trzy złamania żebra, cztery rany spowodowane biciem, pięć skaleczeń, sześć ogromnych siniaków.

W pięciu wypadkach zdecydował: do szpitala. Wśród nich był Kusche.

— Czy to coś poważnego? — zapytał Schlaguweit. Ten wypadek szczególnie go interesował.

— Może to potrwać nftiej więcej dwa—trzy miesiące, a nawet dłużej.

— Niech pan robi, co tylko w pana mocy! — zawołał Schlaguweit z pewną szczyptą zadowolenia.

Gensfleisch odwiózł tych pięciu do szpitala. Potem musiał jeszcze udać się do Gross-Siegwalde.

— Wypadek podczas polowania czy raczej niefortunny upadek z konia — zameldował baron.

Gdy Gensfleisch przybył, Eugen Eis leżał na sofie. Usiłując uśmiechać się mężnie, wskazał na nogę. Sześciu szlachciców i jeden mieszczanin otaczali jego łożo.

— Podaliśmy mu już lekki środek znieczulający. — Alarich von der Brocken wskazał na baterię butelek.

Doktor Gensfleisch przyjrzał się dokładnie tym butelkom. Potem wziął jedną z nich — była to wódka z sokiem malinowym. Baron skinął głową z aprobatą. Gensfleisch wypił powoli, następnie zajął się pacjentem.

— Nic strasznego — rzekł. — Złamanie nogi. Kilka tygodni w gipsie i będzie w porządku.

— Tygodni?! — jęknął Eis podnosząc się.

— Może nawet miesiący, jeśli nie będzie pan zachowywał się rozsądnie.

Niech pan zrobi, *co* w pańskiej mocy! — zawołał tym razem baron, także z pewną szczyptą zadowolenia. Szerokim gestem objął ramieniem doktora i odprowadził na bok. — Niech pan go otoczy szczególną opieką — rzekł. — Nie trzeba przyspieszać leczenia, nie robić nic na łapu-capu. Ostatecznie najważniejsza rzecz to zdrowie!

— Co tu się właściwie stało? — zapytał lekarz poufale. — Sporo ludzi we wsi wydaje się wymagać leczenia szpitalnego.

— Mam nadzieję, że są to właściwi ludzie, doktorze.

— Chyba na to wygląda — odparł lekarz ostrożnie. — A jeśli o mnie chodzi, zrobię, co będę mógł — ratowanie zdrowia warte jest wszelkiej ofiary z mojej strony.

— Nic pan na tym nie straci. Powstałe przy tym ewentualne koszty ja oczywiście pokryję.

— Miło mi to słyszeć — rzekł lekarz. — I mam nadzieję, że nie jest pan jedyny, który w ten sposób dba o zdrowie narodu.

Baron się roześmiał.

— Jest pan chyba na właściwej drodze, doktorze. Proszę pozdrowić pana Maternę i opowiedzieć mu szczegóły upadku z konia mojego drogiego gościa, Eugena Eisa. To go z pewnością zainteresuje.

Doktor Gensfleisch wsiadł do swego małego rozklekotanego wozu i pojechał do Materny. Tutaj złapał go Jakub Jabłoński; Gdy Gensfleisch zaproponował mu oględziny lekarskie, jak gdyby to było teraz zupełnie zrozumiałe, Jakub — zaskoczony i nieufny — odrzekł:

— Niby dlaczego? Nam tu nie potrzeba lekarza.

— I w ogóle nic tu nie potrzeba? A może jednak jakiś przyjaciel...

— Coś takiego — rzekł Jakub powoli — ma dziś wartość niesłychaną. — Przyjrzał się badawczo lekarzowi. — Pójdę powiadomić o pana przybyciu.

Zaraz przyszedł Alfons Materna, poprowadził gościa do mieszkania i zapytał:

— Skąd panu przyszło do głowy, że u nas też może być potrzebny lekarz?

Doktor Gensfleisch opowiedział szczegółowo o swoich pacjentach z SA. Materna słuchał uważnie. Potem lekarz rzekł:

— Nie ma skutków bez przyczyny. Krwawiąca głowa, że tak powiem, nie krwawi sama z siebie, ale i ten, który to sprawił, nie zawsze pozostaje bez szwanku.

— W takim wypadku nie ma jak mocna czaszka. — Alfons Materna uśmiechnął się. — Ale cóż znaczy u nas na Mazurach bijatyka? To pewien rodzaj zabawy ludowej.

— Prawdopodobnie dla pana... W każdym razie pańscy ludzie bili solidnie.

— Czy może mówili o tym ci z SA?

— Nie będą czegoś takiego opowiadali, mowy nie ma.

— Myślę, że powinien pan skosztować mojego wina porzeczkowego, m©gę je panu polecić. — Gdy Gensfleisch skinął głową, Materna podszedł do kredensu, wyjął butelkę i kieliszki. — A więc opatrywał pan rannych. Wśród nich kilku SA-manów, co oczywiście nie znaczy nic szczególnego. Przypadek — nic więcej. Może lekkie obrażenia podczas ćwiczeń sprawnościowych. Coś takiego brzmi wcale nieźle dla pewnych uszu.

— Pańską wersję tych wydarzeń ehętnie będę rozpowszechniał, panie Materna.

Alfons podniósł swój kieliszek.

— A dlaczego chcę pan iść mi na rękę, panie doktorze?
— Bo imponuje mi to, na co pan sobie pozwala.

Materna spojrział na lekarza ostrzegawczo.

— Panie doktorze, nie uczyniłem nic, co by warto było wspominać.

— Pan mi nie ufa? — Doktor Gensfleisch był człowiekiem średniego wzrostu, o gładkiej twarzy, zmęczonych oczach i nerwowych ruchach rąk. Wstał pełen niepokoju. — Oczywiście, ma pan prawo nie mieć do mnie zaufania. Każdy ma do tego prawo w tych czasach. I ostatecznie niejedno świadectwo zgonu podpisałem z zamkniętymi oczami.

— Sądzę, że wiem, jakie ma pan trudności. Po cóż więc panu dodatkowe?

— Chciałbym móc znowu uśmiechnąć się z zadowoleniem, choćby nawet po kryjomu. Chyba pan to rozumie? Zresztą sądzą, że może pan mieć przed sobą cholernie ciężkie dni. Stara się pan zabezpieczyć — bardzo słusznie. Ale czy to wystarczy?

— Zdaje się, że ma pan jakąś propozycję?

— Sądzę, że powinien pan zadbać o pewną przeciwwagę do pobitych SA-manów. To złagodziłoby złość tych drabów. Dlatego proponuję: po prostu wynajdziemy również u pana kilku pacjentów.

— Zgoda — rzekł Materna i usadowił się głębiej w fotelu. — Jeśli koniecznie chce pan wziąć w tym udział, niech to będzie zrobione we właściwy sposób. Co pan powie na pańską specjalność — świadectwo zgonu?

Doktor Gensfleisch spojrział, przez chwilę zaskoczony, nie wierząc własnym uszom. Potem wyjął portfel, otworzył go i wyciągnął kilka kartek.

— Zawsze noszę ze sobą odpowiednie formularze, to konieczne podczas obecnej praktyki. Są też zaopatrzone w pieczętki urzędowe. No wiec?

— Niech pan to schowa, doktorze — rzekł Materna. — Nie chcę, aby pan potem żałował swojej decyzji.

Ale Gensfleisch już wypełnił formularz.

— Jakie mam wpisać nazwisko?

- Wollnowski, Erik Wollnowski.

— A przyczynę zgonu?

- Jaką pan chce.

~ A więc odpowiednio do stanu rzeczy. Napiszemy: wielokrotne złamanie podstawy czaszki, krwiak mózgu. To brzmi wiarygodnie i na pewno zrobi wrażenie. To ocali honor SA. A w razie czego może też, sprawić SA kłopoty. Bo cóż znaczą złamania kości wobec śmierci?

— To może pana kosztować więcej niż tylko stanowisko, doktorze.
— Materna wziął formularz podany mu niedbałym ruchem. Rzykuje pan głowę.

— Rzykuję już od lat, tylko jeszcze, Bogu dzięki, nie wyszło to na jaw. Czy poza tym ma pan jeszcze jakieś życzenie?

— Chce pan wiedzieć, jak zamierzamy wykorzystać to świadectwo zgonu?

— Niekoniecznie, może później, kiedy wszystko zostanie załatwione;

— Jak mam panu dziękować, doktorze?

— Niech mi pan podaruje butelkę tego wspaniałego wina. Mogą być nawet trzy.

— Na razie tylko trzy — rzekł Materna. — Żeby pan szybciej znów przyszedł.

Kiedy Amadeus Neuber dowiedział się, że ortsruppenleiter Eugen Eis wskutek wypadku na polowaniu na razie wypada z gry, skłonił głowę, dziękując szczęśliwemu losowi: teraz Maulen podlegało jego rozkazom.

Pierwszą czynnością Neubera jako zastępcy ortsruppenleitiera, któremu powierzono prowadzenie spraw, było taktowne złożenie wizyty choremu Eugenowi Eisowi. Eis leżał w gipsie w domu; energicznie odmówił przewiezienia go do szpitala.

— Jak to się stało? — zapytał Neuber. — To paskudnie wygląda i może potrwać dość długo, prawda?

— Ach, co tam! — warknął Eis. — Jestem silny jak niedźwiedź. Niech mi się pan nie przygląda z taką ciekawością, Neuber, nie tak prędko wykituję. I będę trzymał rękę na pulsie. Stwierdzam to krótko i zwięźle. Proszę to sobie zapamiętać.

— Jeśli ma pan na myśli kierowanie Ortsgruppe, to może pan być spokojny. Wszystko będzie przebiegało po pańskiej myśli. Ręczę za to.

— No, mam nadzieję! I życzę sobie, aby mnie dokładnie informowano o wszystkim, o każdej drobnostce.

— Ależ oczywiście! Amadeus Neuber pospiesznie życzył szybkiego powrotu do zdrowia i ulotnił się.

Udał się do kancelarii partyjnej. Pierwszą osobą, którą przyjął, był Schlaguweit. Stanął w drzwiach, uniósł prawą rękę w pozdrowieniu i zawołał: — Serdecznie gratuluję! — I dodał poufnie: — No więc stało się, co? Nareszcie powieje tu nowy wiatr.

Pozwolono mu usiąść, a ponieważ zależało mu na tym, aby wyrzucić

wrażenie całkowitej uległości, czekał, aż Neuber go zagadnie; Co też zaraz się stało.

— Jak się miewa SA?

— Jest znów gotowa do działań.

— Ubytki?

— Pięciu ludzi na dłuższy czas niezdolnych do służby. Wśród nich towarzysz Kusche.

— Przykre! Ale niestety stało się tak chyba niezupełnie bez jego winy. Tak czy owak, musimy wykrzesać z tego wszystko, co najlepsze.

Schlaguweit wyobrażał sobie, co teraz nastąpi, i co też nastąpiło. Zostało mu powierzone kierownictwo SA!

— Na razie komisaryczne. Musimy uzyskać zgodę odpowiednich władz.

— Dziękuję za zaufanie! — Pozbawiona wyrazu kozia twarz Schlaguweita poczerwieniała.

— Nigdy panu tego nie zapomnę!

— Mam niezachwianą nadzieję — oświadczył Neuber. — Bo teraz wreszcie zacznie się tu w Maulen nieodzownie potrzebna bezwarunkowa współpraca. Ustalmy od razu: jakie są najpilniejsze plany SA?

— To, co ortsguppenleiter uzna za potrzebne!

Neuber był zadowolony. Taka odpowiedź świadczyła o nowym duchu, do którego dążył. On był tym, który pojedna Maulen!

— Może powinniśmy przede wszystkim dać w kość Maternie? — rzekł Schlaguweit.

Neubera trochę zdziwiła ta propozycja.

— No — rzekł pobłaźliwie — Materna pozostaje oczywiście jako numer jeden na naszej liście spraw do załatwienia. Ale to ma czas, na razie musimy się zająć innymi, ważniejszymi sprawami.

— Jakimi?

— Wielkim festynem ludowym z okazji dwudziestej piątej rocznicy słynnej bitwy pod Tannenbergiem. Teraz nic już nie stoi na przeszkodzie!

Groźna wiadomość nadeszła z obejścia Materny. Podobno leżał tam trup! Ofiara ostatnich rękoczynów.

Początkowo, tak jak to przewidywał Materna, SA była po prostu z tego dumna. Widziała w tym potwierdzenie swych sił bojowych. Wróg za jej przyczyną poniósł ciężkie straty.

Ale Amadeus Neuber szybko wyczuł niebezpieczeństwo. Wezwał do siebie Schlaguweita i powiedział:

— SA natychmiast ma się wycofać.

Schlaguweit nie uważał tego za wskazane.

— Moi ludzie chcą świętować swoje zwycięstwo, a jednocześnie objęcie przeze mnie stanowiska.

— Nonsens! — zawołał Neuber. — Weźcie na wstrzymanie i ani słowa o całym tym starciu. Stulić pyski! Zrozumiano?

— Tak jest — rzekł Schlaguweit z trudem. Zaciskał dłonie, vai trzeszczały w stawach.

Neuber obserwował go z lekka zaniepokojony. Ten człowiek, jak się zdaje, miał skomplikowane życie wewnętrzne. Wobec tego oświadczył łagodnie: — Mają goić swoje rany. Pobyt w domu z powodu choroby kiedyś ma swój koniec. Ale trup! I w dodatku w rękach Materny! Możemy mieć niezły pasztet, jeśli nie będziemy ostrożni.

Największe zaskoczenie jednak przeżył sam trup. Alfons Materna bez słowa przedłożył mu świadectwo zgonu.

Wollnau nie wierzył własnym oczom.

W tym samym czasie Jabłoński z dwoma Polakami zbili w stodole trumnę: zwyczajna sosna, malowana na czarno, blaszane okucia. Uchwyty z lanego żelaza. Została ona wypełniona kamieniami i zaśrubowana.

— Co to ma znaczyć? — zapytał skonsternowany Erich Wollnau. — Dlaczego mam być uznany za zmarłego?

— Bo martwy Wollnowski jest dla nas teraz bardziej przydatny niż żywy.

Wollnau potrząsnął głową.

— Wie pan — rzekł Materna — kiedy Eis wpakował nos w nasze sprawy, od razu. wpadł na pański trop. Na razie zadowolił się groźbą, baron odwrócił jego uwagę. Ale teraz ma dość czasu, aby coś uknuć. I nie wiadomo, co jeszcze wymyśli jego zastępca.

Powoli Wollnau zrozumiał, czego się po nim spodziewano.

— Sądzi pan, że mój pobyt w Niemczech ma się ku końcowi?

— Niestety, panie radco — rzekł Alfons Materna. — Obawiam się, że nie mogę już panu zagwarantować bezpieczeństwa w Maulfen, a także ja sam jestem zagrożony, dopóki pan tu jest.

— Kiedy muszę stąd odejść? Dziś w nocy. Odprowadzę pana do polskiej granicy i uspokoję się dopiero wówczas, gdy będę wiedział, że jest pan u moich przyjaciół.

Grienspan już się cieszy na spotkanie z panem.

Wollnau miał smutną minę.

Odchodą niechętnie, jest nu przykro. Ale rozumiem pana

powody. Kiedy Erich Wollnau zniknie, a Erik Wollnowski umrze — urzędowe akta będą w porządku. Rachunek będzie się zgadzał.

— Tak jest, chociaż jeszcze nie wiem, kiedy będę mógł przedłożyć rachunek. Tak czy inaczej, dysponuję teraz sfabrykowanym przez SA trupem. Kto wie, jaką to ma wartość.

— Bardzo dziwne to wszystko. — Nadradca stanu jak gdyby pogodził się z losem. - - Dziwne też, że może nigdy już się nie zobaczymy.

— Skąd u pana takie myśli? Chyba nie sądzi pan, że pozwolę, aby tak wartościowa siła jak pan tak po prostu odpadła. Jest pan oczywiście już wzięty pod uwagę. Naszemu przedsiębiorstwu transportowemu bardzo przyda się współpracownik o takich zdolnościach.

Oczy Wollnaua zabłyśły, pełne nadziei.

— W ten sposób sprawił mi pan cudowny prezent na pożegnanie.

— Gdzie tam, po prostu wykorzystuję pana! Bo nie tak łatwo byłoby mi znaleźć doradcę prawnego, organizatora i znawcę języków o takich kwalifikacjach.

Alfons Materna wtajemniczył Ericha Wollnaua w szczegóły swego przedsiębiorstwa transportowego : byłoby to pewnego rodzaju przed-

siębiorstwo prywatne z wieloma wspólnikami: tu — Materna, tam — Grienspan. Kapitał zakładowy włożyłyby obie strony.

Granica pomiędzy Prusami Wschodnimi a Polską była podobno szczelnie zamknięta, ale istniało kilka luk, Jabłoński znał je prawie wszystkie. Poza tym nadinspektor celny Bartels był dawnym towarzyszem broni Materny: wrócili z wojny ze świadomością, że ludzie nie są bydlęciem rzeźnym, nie wolno przelewać krwi na rzecz tych, którzy sięgają po władzę lub dla ich światopoglądów. Po stronie polskiej nie było prawie żadnych trudności — dbał o to Siegfried Grienspan.

Jedno muszę panu już teraz powiedzieć, Alfonsie — rzekł Wollnau. — Obrót musi się bezwzględnie zwiększyć!

— Dobra jest, Erich! — zawołał Materna. — Jeśli o mnie chodzi, dostaw nie zabraknie. A pewnego pięknego dnia może przybędę we własnej osobie.

Nazajutrz zjawił się w Maulen Alfons Materna w asyście Jabłońskiego, trzech Polaków i dwóch psów. To ich nadejście różne strony przyjęły z pewnym niepokojem. Celem wyprawy był posterunek żandarmerii.

Żandarmowi Gäblerowi udało się jednak zawczasu czmychnąć.

Znów wspiął się na swój parkan i znikł. Ale to było przewidziane i pożądane. Sabine oświadczyła: — Stary ma okropnego pietra, że zostanie wniesiona skarga, bo nie wie, jak w takim wypadku postąpić.

Również Materna miał powody do niepokoju, znalazł się bowiem w ogromnie trudnej sytuacji. Gdyby nie zawiadomił o śmierci Wollnowskiego, mogłoby to prowadzić do przykrych spekulacji, a jeśli złoży doniesienie, musi okazać trupa.

Toteż ucieczka żandarma przed odpowiedzialnością była wielce pożądana. Materna ukrył radość; zachował ponury, zdecydowany wyraz twarzy i ruszył do kancelarii gminy.

Uschkurat także usiłował zbiec. Jabłoński jednak dopadł go i sprowadził za biurko burmistrza. I oto siedział teraz, próbując dowiedzieć, że tak niewiele znaczy.

— Nie wiem, Materna, czego ode mnie chcesz.

— Jeden z moich ludzi został zabity!

— Nie mam z tym nic wspólnego, nic a nie!

— To ty zwaabiłeś Jabłońskiego do kancelarii gminy, tak czy nie?

— Jak możesz twierdzić coś takiego! — zawołał Uschkurat zdenerwowany. I tak mam dosyć kłopotów. Już nie mogę tego wytrzymać. Zrzeknę się tego urzędu!

Uschkurat, niegdyś mocny chłop, pełen wigoru, twardy, z pięściami jak z kamienia, był teraz miękki jak masło. Jak rozwałkowany. Wykończony.

— Jeszcze ci doładuję tego trupa, Uschkurat. A potem nie mam nic przeciwko temu — możesz się wycofać. Zresztą powinieneś już dawno to zrobić: twojej ziemi wyszłoby to tylko na dobre.

I teraz Alfons Materna zaczął zrzucać wszystko, co miał na wątrobie, choć dobrze wiedział, że kieruje to pod fałszywym adresem, a więc dlatego był to właściwy adresat. Tutaj było najlepsze miejsce na odpadki. W całym Maulen będzie od tego śmierdziało.

— Z twoją pomocą, Uschkurat, próbowano podstępnie zwaabić Jabłońskiego w zasadzkę. W ostatniej chwili udało mu się zbiec. Gonili go aż na mój teren, akurat tam, gdzie przypadkiem znajdowali się moi robotnicy. Zostali zaatakowani, więc bronili się. Jeden z moich ludzi został przy tym zabity. Składam doniesienie na tego, który to zrobił.

— Ale proszę, nie u mnie! -- zawołał Uschkurat błagalnie. —

Musisz je złożyć u żandarma, to w jego gestii.

.. — Owszem, w jego gestii, ale on jest nieobecny. A następny z kolei urząd to burmistrz. Zrób więc coś - Uschkurat.

—Ale co, mój Boże, co?

— To już sam musisz wiedzieć — oświadczył Alfons życzliwie i odszedł w towarzystwie Jakuba Jabłońskiego, trzech Polaków i dwóch psów.

Następnym, który spowodował w Maulen zamęt, był Alarich von der Brocken. Wjechał konno na Adolfie II do wsi, zatrzymał się na placu przed pomnikiem poległych i wezwał żandarma.

— Jest gdzieś w terenie — powiedziała Sabine ochoczo.

— Ładne porządki! — ryknął Alarich tak, że słyhać go było daleko dokoła. — Padają trupy, a żandarma nie ma na miejscu. Coś podobnego!

Zawrócił konia i pojechał prosto do domu Eisa. Tu zsiadł z konia i oświadczył, że chce odwiedzić chorego.

— No, jak się pan miewa, mój drogi? — zawołał.

— Dziękuję — odparł Eis zwięźle, aby wyrzucić wrażenie człowieka niewzruszenia męskiego.

— Potrzeba panu spokoju, to pewne — rzekł Alarich. — I tego też panu życzę. Mimo to nie mogę się powstrzymać, by nie powiedzieć panu, mój drogi, że ta wieś to istny chlew.

— Istne co, proszę pana?

— Chlew — bez pana oczywiście. Ledwie pan zachorował, a tu od razu taki bałagan.

— Czy ma pan na myśli tego trupa od Materny, panie baronie? A cóż to wielkiego! Wszędzie i zawsze zdarzają się trupy.

— No, przepraszam, mój drogi! Ostatecznie chodzi tu o człowieka należącego do wykonawców projektu osuszania bagna. Dlatego mnie to obchodzi. Wszak to również mój człowiek, a więc i mój trup.

— To, oczywiście, zmienia postać rzeczy — zapewnił Eugen Eis zaskoczony. Czuł się ogromnie zobowiązany wobec barona, zawdzięczał mu przecież nowe poczucie własnej wartości. — Zaraz wezmę ich do galopu! Te draby mnie popamiętają — wyczyniać takie draństwo za moimi plecami!

Alarich von der Brocken był zaskoczony: spodziewał się wykrętów, zaprzeczeń. Ta gwałtowna gotowość działania wcale nie była po myśli Alfonsa Materny, który napuścił barona na dostojnika Maulen, by wetknąć w jego wygodny tyłek kilka szpilek. A oto skutek: Eugen grozi, że zatrąbi na alarm.

— Niech się pan nie denerwuje. — powiedział więc baron uspokajająco. — To może panu zaszkodzić, a cała sprawa nie jest tego warta.

- - No jakże, panie baronie, przecież jesteśmy, że tak powiem kolegami-myśliwymi.

— Właśnie dlatego, mój drogi Eis, nie powinniśmy narażać naszej harmonii przez takie coś! Musimy zrezygnować z wszelkiego zbędnego rozgłosu. Załatwimy to między sobą.

— Muszę powiedzieć, panie baronie, że to prawdziwe zrozumienie. Alarich odetchnął z ulgą: niebezpieczeństwo rozpętane jakiegoś nieobliczalnego skandalu zostało zażegnane. Ale przecież Maternie zależało na pewnym rozgłosie, który by jednak nie przekroczył granie Maulen. Baron więc dodał:

— No to się rozumiemy. Nierozważnym podwładnym musi pan przemówić do rozsądku, to prawda. Trzeba mocno trzymać cugle, kiedy istnieje groźba, że konie poniosą!

Eis z miejsca postanowił zabrać się do dzieła. Był to winien baronowi, poza tym miało to tę dobrą stronę, że zarazem da szk swoim ludziom. Wezwał więc do siebie Neubera, Schlaguweiff i Uschkurata. Wkrótce stali wokół jego łoża boleści.

Tymczasem Alarich von der Brocken pozostawał w pokoju obok. Tutaj Brigitte podejmowała go z wielką atencją. Obserwował ją z uznaniem, a potem rzekł z galanterią:

— Ma pani takie piękne, żwawe ruchy, łaskawa pani, po prostu fascynujące!

Brigitte nie dała po sobie poznać, że ten komplement sprawił jej przyjemność — ostatecznie powiedział go fachowiec.

— Wiadomo powszechnie, panie baronie, że jest pan znawcą kobiet. O mnie można jedynie powiedzieć, że jestem mężatką. Poza tym także córką Alfonsa Materny.

— To pierwsze wcale mi nie przeszkadza zachwycić się panią. A jeśli idzie o drugie, to podoba mi się również pani ojciec. Między nami panuje harmonia. Moja siostra także nie jest temu niechętna.

— Ojciec się ucieszy, kiedy się o tym dowie.

— On wie. Moja siostra jest jak porcelana owinięta w jedwab, ale w jego obecności staje się zupełnie inna. Dostosowuje się do niego. Czy i my nie powinniśmy tego spróbować? Jak pani sądzi?

— O tym można by ewentualnie porozmawiać — odparła Brigitte ostrożnie przy najbliższej dogodnej sposobności.

O dogodnej sposobności prawie w tej samej chwili mówiono w pokoju obok.

Jeśli tu leżę chory — powiedział Eis — niech nikt nie upatruje w tym dogodnej sposobności!

— Nigdy bym sobie nie pozwolił na coś podobnego — zapewnił Neuber. — Koncentruję się przede wszystkim na mojej sztuce. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

— Nie, dopóki wszystko tutaj toczy się jak należy! Ale ta sprawa z zabitym Polakiem jest niesłychanym skandalem. Bo należał on nie tylko do ludzi Materny, ale w dodatku do ludzi barona. I z tego powodu sprawa ta ma całkiem inny aspekt. Czy ktokolwiek o tym pomyślał.

Istotnie, nikt.

— W tej sprawie — rzekł Schlaguweit — tylko tyle mogę powiedzieć: pod moim kierownictwem w SA nigdy by do czegoś podobnego nie doszło. Ostrzegałem! Wielokrotnie!

— Wskutek mojej rady — odezwał się Neuber.

Uschkurat oświadczył pośpiesznie: — Mnie także cała ta historia wydała się śmierzcząca. Po prostu tak to odczułem.

— A jednak stało się! — zawołał Eugen Eis. — I teraz trzeba jak najszybciej coś zrobić, aby sprawę zatuszować.

— Żandarm nie da się sprowokować — powiedział Schlaguweit. — Odpowiednio go pouczyłem.

— Ja zaś — rzekł Uschkurat — stawiam mój urząd do dyspozycji. Jestem gotów wziąć całą winę na siebie, jeśli w ten sposób wreszcie będę miał spokój.

— Trzeba uspokoić ludzi w Maulen — powiedział Neuber — i to sprawi moja sztuka! Zorganizuje się zabawę i ludzie będą mieli głowy zajęte czym innym. To wypróbowany sposób!

— Jeśli o mnie chodzi, róbcie, co chcecie — rzekł Eis zadowolony.

— Najważniejsze, żeby wszystko poszło gładko.

Tak więc praktycznie wszystkie niebezpieczne przeszkody zostały usunięte — nie te dotyczące partii, ale Materny. Pogrzeb Erika Wollnowskiego mógł odbyć się bez zakłóceń.

Był to pogrzeb wyjątkowy: nawet w Maulen jeszcze takiego nie widziano. Nie były dzwony. Nie było żadnych delegacji. Nie fatygowano też księdza, przydzielonego ostatnio do gminy — chudego, o cieniawym głosie i wielkich stopach.

Nie panował też we wsi odświętny nastrój, bo nie zapowiedziano stypy w gospodzie. Poza tym SA w odpowiednim oddaleniu osłaniała całą ceremonię. Ludzie trzymali się na dystans. Tylko niektórzy niepoprawni gapię zerkali zza zaston.

Widzieli orszak pogrzebowy — cztery konie z hodowli Materny podrygiwały nerwowo przed wozem, na którym stała trumna. Były to szlachetne zwierzęta, wspaniale umięśnione, o jedwabście lśniącej sierści. Jabłoński kierował nimi pewną ręką.

Za trumną szedł Alfons Materna. Za nim czternastu Polaków o ciężkich ruchach drwali.

Na cmentarzu było pusto. Drzewa stały jak martwe. Nawet ptaki jakby oniemiały.

— Wszystko zgodnie z planem — odezwał się Jakub Jabłoński.

— Jeszcze trumna nie jest w ziemi — ostrzegł Alfons Materna.

Wreszcie wszystko się dokonało. Mocne ręce chwyciły trumnę i wkrótce unosił się nad nią foremny kopiec. Położono trzy wieńce — jeden od Materny i Jabłońskiego, drugi od Polaków, trzeci przysłał baron. Na szarfiu widniał napis: Śmierci — gdzie twój kres?

— A teraz szybko nagrobek — rzekł Materna — abyśmy zaraz mogli stąd odejść.

Nagrobek — zaprojektowany, zamówiony i opłacony przez Maternę — leżał w pobliżu. Usunięto osłonę z desek i zdjęto przetłuszczony papier. Ukazał się polerowany, czarno-biały marmur, a na nini słowa:

Tu spoczywa
Erik Wollnowski,
Nadradca sianu.
Szukał swojej ojczyzny,
Ale nie mógł jej odnaleźć.

Amadeus Neuber pisał swoją sztukę z oddaniem i pełną emocji ufnością.

— Oczekuję i spodziewam się — głosił — że nikt się nie wyłamie. Jest to kamień probierczy naszej duchowej otwartości. Wzywam wszystkie chętne do odnowy i skierowane w przyszłość siły.

Ze wszystkich stron nadchodziły meldunki, że za sprawę honoru uważa się udział w tej sztuce. Żadna organizacja partyjna nie chciała się uchylić. Neuber cieszył się ostatnio powszechnym zaufaniem, Maulen kroczyło pod jego przewodem!

— To będzie święto - obiecywał — o którym mówić będą nasze wnuki. Muszę jeszcze opracować kilka scen, ale będą na czas gotowe.

Już teraz zorganizował pierwsze czytanie dla swoich najbliższych współpracowników, zakończone omówieniem obsady. Zacytował przy tym charakterystyczne przykłady z trzech scen. .

Scena pierwsza

Kwaterna główna pod Tannenbergiem. Hindenburg rozmawia z Ludendorffem.

Prosta, skromnie urządzona, ale godna izba.

Ludendorff: Przewaga Rosjan.

Hindenburg: Liczbowa! Ale zwycięży duch!

Scena druga:

Rosyjska kwaterna główna. Samsonow rozmawia z Rennenkampffem.

Wspaniały zamek. Wszystko wygląda jak perfumowane.

Samsonow: Kto to jest — ten tam? Jakiś Hindenburg? Nigdy o nim nie słyszałem.

Rennenkampff: Zniszczymy go tak, jak zniszczyliśmy wszystkich, którzy nam stali na drodze. Jak walec parowy! Niszczyc, tępić, zrównywać z ziemią!

Scena trzecia:

Skromne pomieszczenie na mazurskiej wsi. Rozmawiają niemieccy żołnierze.

Jędrna prostota.

Pierwszy żołnierz: Wpędziliśmy ich w bagno, a potem wystrzelaliśmy.

Reszta uciekła — jak zajęce!

Drugi żołnierz: To wszystko zawdzięczamy naszemu Hindenburgowi!

Pierwszy żołnierz: Tak, to prawdziwy Niemiec. Jeśli idzie o ojczyznę, nie zna litości.

— Mocna rzecz! — zawołał Schlaguweit klaszcząc w dłonie.

Czuje się po prostu, że tkwimy na uświęconej ziemi.

Także iftni gorliwie klaskali. Neuber uklonił się z dumną skromnością.

A jaki jest koniec tego uroczystego przedstawienia? — zapytał Schlaguweit. — Niech pan tego przed nami nie ukrywa, panie ortgruppenleiterze!

Neuber udał, że nie usłyszał tego tytułu.

— Jeśli już tak nalegacie — oświadczył — to chyba muszę dać wam próbkę z końcowej sceny.

Wzgórze Dowódey. Hindenburg sam. Ludendorff spieszy do niego. Lśniaca zorza poranna.

-Ludendorff: Nasze zwycięstwo jest ostateczne!

Hindenburg: Nigdy w to nie wątpiłem. Zawsze wiedziałem. Na moje dzielne wojsko zawsze mogę liczyć.

Ludendorff: Ocalił pan Niemcy, panie feldmarszałku.

Hindenburg: Spełniłem jedynie swój obowiązek. Spoglądam w jeszcze dalszą, ale sławniejszą przyszłość. Pewnego dnia zjawi się ktoś, kto moje dzieło; doprowadzi do końca. I jeśli Opatrzność będzie dla mnie łaskawa, ja sam złożę losy ojczyzny w wiernie ręce tego, którego nadejścia wszyscy z tęsknotą wyczekujemy.

Obecni byli wprost zdumieni. Co za prorocze słowa! Bo przecież dokładnie tak się stało. O tak, o tak, żyli w wielkich czasachf Wstrząśnięci klaskali, dziękując poecie i dramaturgowi.

- Witam tę manifestację jedności — oświadczył Neuber serdecznie. A potem wszystkich w to wprząął — nikt mu się nie wymknął. Od sprzedaży biletów wstępu aż do rozwinięcia sztandaru do przysięgi — wszystkim obecnym przydzielił zadanie.

— A teraz, drodzy przyjaciele, przejdźmy do tych, którym wolno będzie wziąć bezpośredni udział w przedstawieniu.

— SA stawia się do dyspozycji jak jeden mąż! — przyrzekł Schlaguweit.

— To będzie konieczne — rzekł Neuber z wdzięcznością.

Teraz rozłożył z góry przygotowaną listę. Według niej w postać tytułową Paula von Hindenburga miał się wcielić nie kto inny jak Ernst Schlaguweit; generała Ludendorffa miał zagrać SA-scharführer. Mielke; kobiety niemieckie opiekujące się żołnierzami i pielęgnujące ich — Związek Kobiet NS, wspomagany przez BdM; niemieckich żołnierzy frontowych — któż by inny jak nie koledzy z SA! Hitlerjugend mogła zagrać tylko mniejsze role.

— A co z Rosjanami, kto ich zagra?

— Moich ludzi chyba nie będę mógł do tego zmuszać — rzekł ostrożnie przywódca Hitlerjugend.

Naschinski, kandydat na stanowisko burmistrza, zaproponował dyplomatycznie:

— Rosjan mogą zagrać bezpartyjni, nie zorganizowani. Ostatecznie; są tacy w Maulen.

— Najlepiej niech to będą Polacy Maternity! — Propozycję tę wysunął Mielke, odtwórca roli Ludendorffa. Jako znany kpiarz mógł sobie na taką uwagę pozwolić.

Neuber jednak spieszenie tę propozycję odrzucił. — Znajdą się ludzie

do roli Rosjan. Co prawda jest przy tym pewna trudność: nie-przyjacielscy dowódcy. Ostatecznie nie można im odmówić pewnej inteligencji, i tak też trzeba tę rolę odegrać. — Spojrzał pytająco na Uschkurata.

Ten jednak bronił się, tym razem nawet energicznie. Co więcej, odważył się na dość śmiałą propozycję:

— Może by tak Konrad Klinger i Peter Bachus? Mają teraz wakacje.

Amadeus Neuber zawahał się, ale potem wyraził zgodę.

— Tych młodych nie powinien stanowić przeszkody. Peruki, brody, szminka — i będą odpowiednio ucharakteryzowani. Zapytaj ich, czy zechcą, Uschkurat.

Ten udał się na poszukiwanie chłopców. Znalazł ich bez trudu w ich ulubionym miejscu — siedzieli na murze kościelnym i wymachiwali nogami.

Przekazał im propozycję komitetu, podkreślając przy tym zgodę na to zastępcy ortsruppenleitara. Potem zapytał wprost:

— Chcecie czy nie chcecie?

Obaj chłopcy spojrzeli na siebie, ale tylko przez chwilę. Potem Konrad powiedział:

— Jeśli nasz udział jest pożądanym, to jesteśmy gotowi przyjąć propozycję.

Było to w lecie 1939 roku. Cokolwiek działo się w Rzeszy Niemieckiej — stanowiło okazję do wciąż nowego świętowania, przemówień i manifestacji. Maulen przygotowywało się z całym zapalem do wielkiego festynu ludowego. Bo wszystko inne było daleko. Tutaj natomiast odbywały się już pierwsze próby. Projektowano plakaty. A rozgłosnia w Królewcu wyraziła gotowość nadania fragmentów tej uroczystości.

Felix Kusche wciąż jeszcze leżał w szpitalu, a Eugen Eis był nadal przykuty do łóżka. Od czasu do czasu odwiedzał go baron, a raz także przewodnicząca BdM — na jego żądanie. Ale ona psuła nastrój, unosząc się zachwytem nad patriotyczną poezją, a więc nad Neuberem.

Konrad Klinger i Peter Bachus ubawieni opowiadali Maternie o swoich rolach rosyjskich generałów w sztuce Neubera.

— No i co? — zapytał Alfons z uśmiechem. — Opanowaliście już tekst?

— Teraz, przed właściwym przedstawieniem, idzie dobrze. Potem

co prawda może się zdarzyć, że z wielkiego szacunku zaczniemy się jąkać.

— Wzmocnijcie się — zachęcał ich Materna. — Hannelore przyrządziła kaczkę z czerwoną kapustą.

Były to cudowne letnie dni. Niebo jak lśniący żagiel unosiło się nad ziemią, która promieniowała aromatem i ciepłem.

Maulen na uboczu wielkich dróg, oddalone o całe kilometry od stacji kolejowej, wciśnięte w najodleglejszy zakątek Wielkoniemieckiej Rzeszy, oddychało pełnią radosnych przeżyć.

W oddali śpiewali Polacy na skraju bagna:

Jeśli zdepczesz trawę,
Ona znów się podniesie.
Jeśli złamiesz gałązkę z drzewa,
Ono znów zakwitnie.
Ale zabierz człowiekowi serce,
A skążesz go na śmierć.

Schlaguweit zaniedbywał dom i gospodarstwo: całkowicie poświęcał, się swoim nowym zadaniom. Niekiedy poruszał się jak Hindenburg, starał się też tak samo mówić. Coraz bardziej czuł się wybrańcem,

— Pójdiesz ze mną? — zapytał go Mielke. — Do sąsiedniej wsi przybyła kobieca Służba Pracy, trochę je pomagamy.

— Mam ważniejsze sprawy na głowie — rzekł Schlaguweit poważnie i odszedł uroczystym krokiem.

Baron von der Brocken zabrał żonę swego przyjaciela Eisa na przejażdżkę. Dotarli do bagien, rzekomo, by się przekonać, jak posuwają się prace melioracyjne.

— Ogrzewa pani moje serce — stwierdził baron.

— I nic poza tym?

— Powoli się starzeję — wyznał. — Może to być pomyślna wiadomość dla pani. Bo oznacza, że dążę do jako tako stabilnego trybu życia.

- Z kim?

- Z osobą, która może mi sprawić radość pod każdym względem poczynając od parzenia kawy, a na ogrzaniu łóżka kończąc, jeśli Imginiemy serce.

Brigitte roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Jestem bądź co bądź zameżna.

- Doprawdy? Ale nie musi to być stan trwały — rzekł Alarich zachęcająco.

Tymczasem, Alfons Materna przechadzał się po paśli nt Elisabeth. Żwir skrzypiał pod ich nogami i, zagłuszał bicie serc.

— Chyba powinienem już iść — odezwał się Materna.

— Jest taka cudowna noc, Alfonsie.

Materna przeraził się, ponieważ znowu zdarzyła się jedna z owych rzadkich chwil, kiedy ktoś zwracał się do niego po prostu: Alfons Niewielu tak czyniło: ostatnio był to Wollnau podczas pożegnania.

— Przypuszczam — rzekł Materna niemal szorstko — że pani jak każdy człowiek ulega pewnym nastrojom.

— Oczywiście ulegam, a jeśli o pana chodzi — od tygodni.

— Wobec tego proponuję, abyśmy stanęli obok siebie przed lustrem.

— Niech się pan nie wysila. Jestem krótkowzroczna, nie potrzeba mi dokładnego obrazu rzeczy, które są mi bliskie. Polegam na moim uczuciu, ono widzi lepiej.

— - Pytanie tylko, jak te rzeczy wyglądają podczas takiej nocy jak dziś, a jak nazajutrz.

— Czy do tego czasu nie mamy jeszcze wielu godzin?

Do tego czasu były jeszcze całe godziny, a w ciągu tych godzin stało się coś czego nikt w Maulen się nie spodziewał. Ta noc mazurska zrodziła potwora.

Ernst Schlaguweit był synem małorolnego chłopca z Maulen. Wcześniej stracił ojca ~ zoftał on zabity podczas ścinania drzew, Ernst był przy tym i podobno powiedział tylko tyle: Czemu nie uważałeś?

Tak więc już w młodym wieku odziedziczył gospodarstwo, ale nie dbał o nie: pracowała na nim matka i dwie siostry. On sam zajmował się innymi sprawami, jak wiadomo — z powodzeniem. Swoją karierę w SA uważał za coś, co mu się słusznie i sprawiedliwie należało.

Jego pozbawiona wyrazu twarz nie odbijała żadnych uczuć. Miał burzliwe, z trudem tłumione życie wewnętrzne. Gdy był podniecony, często drżały *mu* ręce. Zdarzało się, że przez całe chwile nie mógł wydusić słowa.

— Masz prawdziwą niemiecką naturę — zauważył kiedyś słusznie Neuber. — Toczy się w tobie walka wielkich uczuć, ale twoja twarz niczego nie zdradza. Potrafisz się opanować. Tak powinno być.

Schlaguweit stwierdził, że jest człowiekiem szczególnego pokroju. Potajemnie, gardził Neuberem poetą. I prawie otwarcie brzydził się chlejącymi, awanturującymi się, rozkładaczonymi kamratami- I tu,

i tam ani krzty męskiej siły, wzniosłej wielkości. Nienawidził kobiet — czasem także i siebie, kiedy mimo to odczuwał gorący do nich pociąg.

— Trzy pszczołki ze Służby Pracy są jeszcze do wzięcia — zawołał do niego Mielke. — W tym jedna sztuka pierwsza klasa. Z germańskim tyłkiem — zaśmiał się zartowniś. — Możesz je mieć.

— Nie potrzebuję — rzekł Schlaguweit. I aby zachować twarz, dodał: — Już się zaopatrzyłem gdzie indziej.

Udręczony, niespokojny szedł w nocnym mroku, zdecydowany minął gospodę i zatrzymał się na placu, zastanawiając się przez kilka minut. Potem ruszył w kierunku, który wyznaczył mu Eugen Eis, kiedy kazał mu stać na posterunku i uważać. Tak więc parokrotnie widział, jak ważni przywódcy znikali w domu wdowy Eichler. Eis również za każdym razem przebywał u niej dłuży czas. Dlaczego?

— No, jak ci się zdaje, dlaczego? — odpowiedział Schlaguweit sam sobie na absorbujące go pytanie. — Jeśli już chłop od czasu do czasu musi coś takiego robić, to przecież nie bez wyboru. Elita zawsze czuje pociąg do elity.

Był pewny, że przejrzał, jak się rzeczy mają. Margarete Eichler była co prawda tylko kobietą, ale nie byle kim. Jeśli pójdzie z nią do łóżka — połączą się posiadanie i władza.

Pełen nadziei zapukał i drzwi się otworzyły. Cel jego pragnień stał przed nim: Margarete Eichler w powłóczystej nocnej koszuli, ze świecą w rękę. Wydawało mu się, że uśmiecha się zachęcająco.

Łaskawa pani — powiedział Schlaguweit porywczco — pragnęlbym złożyć pani pierwszą wizytę.

— Tak późno w nocy! — zawołała zdziwiona, ale nie bez przyjemności. Odkąd Eugen Eis był unieruchomiony, brakło jej tak miłych dowodów jego przyjaźni, brakło jego mocnej męskiej natury, nakierowanego na jeden cel usposobienia, słowem: jego męskości. Schlaguweit, jak się wydawało, usiłował się jej spodobać. Nie, to byłoby niemądre odprawić go.

— Jest późno, owszem, ale chyba nie za późno, aby u pani stóp złożyć wyrazy szacunku.

Zdanie to wyczytał kiedyś w jakiejś typowo niemieckiej powieści. Tam jakiś pan wysokiego rodu wyraził się tak wobec kobiety równie wysokiego rodu, osiągając bynajmniej niedwuznaczny sukces.

Margarete poprosiła go do domu. Pochlebiała jej, że gość traktuje ją tak po rycersku. Poczciwiec — pomyślała — jest co prawda trochę nieokrzesany, ale stara się, jak może. Zdecydowała się przeskolić go,

oszlifować, zwłaszcza że była sama w domu, tak więc nikt nie mógł powątpiewać w jej życzliwość. Pełna oczekiwania opadła na sofę.

Rzucił się na nią z nagle rozpetaną siłą. Jak szalejące wody, które przerywając tamę spadają na dolinę. Nie zdążyła nawet krzyknąć.

Dopiero nazajutrz znaleziono jej ciało.

Podczas gdy żandarm bezradnie rozglądał się po pokoju, zastanawiając się, co tu się wydarzyło i co należy przedsięwziąć, wiadomość o zagadkowej śmierci Margarete Eichler w mgnieniu oka obiegła wieś.

Kiedy Eis to usłyszał, zbladł, starał się uporządkować zagmatwane myśli, po czym zawołał:

— Niech żandarm przyjdzie do mnie niezwłocznie.

Gäbler usłuchał go z całą gotowością, niemal z ulgą. Starannie zamknął dom, w którym znajdował się trup, zostawił na posterunku woźnego z gminy i ruszył do Eisa.

— Czy zatroszczył się pan o to, aby nikt tam nie wszedł? — zapytał Eis przede wszystkim. — Czy pieniądze, dokumenty i inne papiery zostały zabezpieczone?

— Niczego nie ruszałem — zapewnił Gäbler, lekko zaskoczony t niespodziewaną reakcją.

— Niech pan dopilnuje, aby nic nie zginęło. Jest pan za to odpowiedzialny.

— Pan wybaczy — rzekł żandarm, teraz mocno zdziwiony nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Eis zaś zrozumiał, że popełnił błąd. Toteż powiedział spokojnie:

— Widzi pan, jestem przykuty do łóżka. Dlatego proszę pana o energiczną pomoc. Ta biedna nieboszczka nie miała bowiem nikogo poza jedyną córką. Ta zaś jest moją żoną. W związku z tym ja muszę wziąć na siebie całą odpowiedzialność.

— Oczywiście, rozumiem, ale przede wszystkim należałoby zbadać co spowodowało śmierć tej kobiety.

— Jak to? A co tu jest do badania?

Gäbler zreferował: leży trup, skąpo odziany, pośrodku izby. Na potylicy znajduje się głęboka rana: chyba zmarła padając uderzyła się o kant sofy. Jej nocna koszula jest poszarpana. W pokoju panuje nieład.

Eis potrzebował kilku minut, aby się opanować. Sięgnął przy tym po butelkę stojącą na nocnym stoliku.

— Może zrobiło jej się słabo — wyraził przypuszczenie. - Atak

duszności lub coś w tym rodzaju. Zatoczyła się, próbowała się za coś chwycić, pośliznęła się, upadła, uderzając głową o kant sofy.

— Mówi pan tak, jakby pan przy tym był — powiedział żandarm z uznaniem. — Tak, to mogło tak być.

Eis przytaknął gorliwie.

— Tylko bez zbędnych komplikacji. Maulen to spokojna wieś i wtrącanie się zamiejscowych urzędów mogłoby się okazać w najlepszym razie niepożądane. Niech pan także pomyśli o tym: pani Eichler była otoczona powszechnym szacunkiem. Patrzone na nią jako na symbol godnej a skromnej niemieckości, i to nie tylko jako przywódczyni Kobiet Niemieckich. Niemożliwe, żeby chodziło tu o zabójstwo.

— Niezbędne jest jednak orzeczenie lekarskie.

— Oczywiście. Doktor Gensfleisch jest człowiekiem przystępnym, co się niejednokrotnie potwierdziło. Pogadam z nim, ostatecznie jest także moim lekarzem.

Ale doktor Gensfleisch zajął się zwłokami dopiero po rozmowie z Alfonsem Materną. W milczeniu przeprowadzał dokładnie badania, cierpliwie i wytrwale. Żandarm, również w milczeniu, przyglądał się i stawał się coraz bardziej niespokojny.

Wreszcie lekarz zażądał wody i mydła. Spokojnie mył ręce. Potem zapytał:

— Co by pan powiedział o zbrodni na tle seksualnym? Powiedzmy: gwałt z zabójstwem w afekcie?

— Na litość boską — rzekł Gäbler. - Tylko nie to!

— Wolałby pan więc nieszczęśliwy wypadek? — Doktor wytarł ręce. Materna prosił o dwudziestoczwierogodzinną zwłokę i będzie ją miał. — Istotnie, to możliwe. Jednakże to dziwny nieszczęśliwy wypadek. Dalsze szczegółowe oględziny są niezbędne. Do tego czasu dom musi być zamknięty i pilnowany.

Gäbler stwierdził, że może odetchnąć z ulgą. Zadowolony meldował Eisowi:

— Doktor nie chce jeszcze powiedzieć nic pewnego. Chce pokazać, jak jest sumienny. Ale okaże się, że to wypadek. Jasne jak słońce.

Następnej nocy Materna przeszedł przez granicę do Polski. Przyjęli go Grienspan i Wollnau. Naradzali się w chacie w pobliżu granicy.

Jeszcze przed świtem Materna był znów na Mazurach. Miał ze sobą dokument z kopią. A ten dokument, pełnomocnictwo, mógł wysadzić Maulen z siodła.

Przed południem Materna wezwał do siebie córkę.

— Brigitte — rzekł z naciskiem — musisz się teraz zdecydować, to

ważne. Musisz otwarcie wyjawić, do kogo masz większe zaufanie: do Eugena czy do mnie.

— Jak możesz o to pytać — rzekła Brigitte, uśmiechając się zrezygnowana.

Tak więc powstała następująca konstelacja:

Johannes Eichler, który w swoim czasie zginął tragicznie, zostawił cały swój majątek żonie. Teraz i ona zginęła, również w sposób tragiczny. Nie sporządziła testamentu. Uprawnione do dziedziczenia jest teraz — po śmierci siostry w Giżycku — jej dziecko z pierwszego małżeństwa, Brigitte Eis z domu Materna.

Ta natomiast — wskutek podpisanego i poświadczonego pełnomocnictwa — wszystkie należne sobie prawa przekazuje Alfonsowi Maternie. W praktyce oznaczało to, że Materna dysponował osiemdziesięcioma procentami areалу wiejskiego. W dodatku młynem, czterema umowami dzierżawnymi i jedenastoma skryptami dłużnymi.

— Zobaczmy — rzekł Materna ochoczo — co się da z tym zrobić.

Na wydarzenia w Maulen pierwszy zareagował Amadeus Neuber.

Wyraził życzenie, że chce się rozmówić z Alfonsiem Materną — poufnie i szczerze. Wiadomość tę przekazał przez Schlaguweita, zachowującego się grzecznie i uprzejmie, choć jakby nieco krnąbrnie.

— Czy mam tego bydlaka kopnąć w tyłek? — zapytał Jabłoński pełen gotowości.

— Wszystko w swoim czasie — odrzekł Materna. — Jeśli Neuber chce ze mną pomówić, niech się tu pofatyguje. W ciągu najbliższych dwóch godzin będę w chlewie u świń.

— Bardzo dobrze — powiedział Jakub.

Amadeus Neuber zjawił się wkrótce: uśmiechnął się serdecznie. Wyciągnął nawet rękę, i to wcale nie do niemieckiego pozdrowienia.

— Niestety, nie mogę panu podać ręki — rzekł Materna — bo właśnie macałem ciężarną maciorę. Sądzę, że będzie miała z tuzin prosiąt.

— Zawsze podziwiałem pana talenty hodowlane — zapewnił Neuber bez żenady.

Dzieliła ich wysoka po piersi przegroda — sklecona z desek, oblepiona łańnem, mocno i trwale śmierząca słodkavo, ale ostro. Amadeus powstrzymywał oddech, mimo to jego serdeczność na tym nie ucierpiała.

— Przyszędłem, że tak powiem, w szczególnej, bardzo osobistej misji.

— Niech pan podejdzie bliżej. Muszę jeszcze zbadać dwie maciory. Amadeus ruszył odważnie w towarzystwie Materny do ciężarnych macior. Jedna radośnie chrząknęła w jego kierunku, ośliniła jego buty i próbowała nadgryźć jego spodnie.

— Panie Materna — rzekł Neuber, odsuwając od siebie natrętą maciorę — możliwe, że w pewnym sensie zostaniemy przeciwnikami, ale też chyba w sposób rycerski. Wiem, że w Maulen nie można pana pominąć.

— Więc chce pan zawrzeć ze mną rodzaj paktu?

— Paktu polegającego na wzajemności — tak, ponieważ, jeśli przyjrzeć się dokładnie, mamy całą masę punktów stycznych.

— Czy to znaczy, że chce pan wykołować Eisa z moją pomocą?

Neuber rozejrzał się zatroskany. Ale nie zobaczył nic oprócz lśniących tłuszczem prosiaków, czystego koryta, grubej przegrody z desek. Byli więc sami. Nikt nie podsłuchiwał.

— Nie chciałym tego wyrazić tak drastycznie — oświadczył Neuber. — Chodzi mi o to, co można by nazwać nowym, lepszym duchem.

Alfons Materna oparł się o pomalowaną wapnem ścianę obory.

— Czy przez pojęcie, które pan nazywa nowym duchem, mam rozumieć oglądanie greckich waz wspólnie z niepełnoletnimi?

Bładość Neubera konkurowała teraz z bielą ściany. Niemal jękając się zapytał:

— Co chce pan powiedzieć przez tę aluzję?

— To żadna aluzja — rzekł Materna łagodnie.

— Śmierdzące kłamstwo! — zawołał Amadeus gwałtownie. — Nędzne oszczerstwo!

— No cóż, na przykład Sabine Gäbler byłaby gotowa coś niecoś bardziej osobliwego — nazwijmy to tak na razie — opowiedzieć. Albo zeznać. Pan wie, już samo usiłowanie... — nie dokończył zdania.

Amadeus przestał odpędzać naprzykrzającą mu się maciorę — skubała teraz bez przeszkód rąbek jego spodni i chrząkała uszczęśliwiona. Oddychał z trudem. Uważał, że lepiej będzie nie odpowiadać na zarzuty Materny, jeśli się tylko da.

— Tak czy inaczej — zapewnił z wysiłkiem — nie byłem nigdy pana osobistym wrogiem.

— Wiem, zawsze przepuszczał pan innych przodem. — Materna uśmiechnął się pobłaźliwie. — Nie jest pan brutalnym głupcem. Dlatego też liczę na funkcjonowanie pańskiego rozsądku.

, — Co chce pan przez to powiedzieć?

— Przede wszystkim jedno: w żadnym wypadku nie jesteśmy partnerami. Zresztą nie jest pan nawet w stanie stawiać mi jakichkolwiek warunków. Chyba że zaryzykuje pan, narażając się na całą masę przykrości.

Amadeus, oszołomiony smrodem w oborze, uczeplił się pokrytej łajnem przegrody i zapytał:

— Więc czego pan chce tak naprawdę? Proszę powiedzieć.

— Niech pan postara się o to, by w przyszłości pozostawiono mnie w spokoju. Wówczas może pan, jeśli o mnie chodzi, urządzać w Maulen, co się panu żywnie podoba, oczywiście także swój festyn ludowy.

Amadeus odetchnął z ulgą. Świński gnój zapachniał mu nagle prawie jak marcepan.

— To jest propozycja do przyjęcia! — zawołał żywo. — Przyjmuję ją. I zapraszam pana na naszą szeroko zaplanowaną uroczystość jako honorowego gościa.

— Proszę bardzo — oświadczył Materna. — Zawsze chętnie bywam na zabawach ludowych.

Krwistoczerwone plakaty wielkości ręcznika kąpielowego ozdabiały bliższe i dalsze okolice Maulen. Były umieszczone na parkanach, poprzyklejane do murów domów, wisały w szkole i na bramie kościoła. Głosiły za pomocą wypukłych, malowanych czarnym lakierem, liter:

Wielkie niemieckie dni w Maulen
z okazji 25. rocznicy bitwy pod Tannenbergiem.
Poświęcone pamięci feldmarszałka wielkiej wojny światowej
Paula von Hindenburga.
Pod patronatem gauleitera Ericha Kocha.
W obecności kreisleitera Ludwiga Leberechta.
Zorganizowane przez Ortsgruppe
Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Pracy w Maulen

Program Amadeusa Neubera, zaaprobowany bez zastrzeżeń przez komitet organizacyjny i lekkomyślnie zatwierdzony przez Eisa, przewidywał wielostopniowe kilkudniowe uroczystości:

P i ą t e k — dzień SA

Marsz gwiazdzisty biorących udział w uroczystości oddziałów szturmowych do Maulen. Ćwiczenia na wolnym powietrzu, ze strzelaniem do balonów,

i rzucaniem granatów ręcznych. Wspólna kolacja z kuchni polowej. Potem ognisko. Uroczyste przemówienie wygłosi untersturmführer Ernst Schlaguweit. Na zakończenie wieczór koleżeński.

S o b o t a — dzień ruchu

Niemiecki festyn z konkursem skakania w workach, z nagrodami i loterią. Pokaz ćwiczeń zwyciężskich grup SA z poprzedniego dnia, konkurs werbli i zbiorowe recytacje Jungvolku. Tańce ludowe w wykonaniu BdM. Pokazy gimnastyczne, zapasy Hitlerjugend.

Wieczorem: uroczyste przedstawienie. Potem tańce.

N i e d z i e l a — dzień ludu

Poranny koncert na placu. Konkurs strzelania w trzech grupach: mały kaliber, karabin, pistolet — finansowany przez wszystkie organizacje, związki i stowarzyszenia.

W południe: złożenie wieńców u stóp pomnika ku czci poległych, poświęcenie sztandaru i wspólna modlitwa dziękczynna.

Po południu: konkurs zespołów śpiewających o nowo ufundowany puchar im. Waltera von der Vogelweidego. Żywe obrazy antyczne i germańskie w wykonaniu młodzieży szkolnej.

Pod wieczór: końcowa manifestacja z wielkim capstrzykiem.

Zakończenie: tańce na wolnym powietrzu.

Komitet organizacyjny urządził swoje biuro w budynku szkoły. Podzielony został na następujące podgrupy: przygotowanie zakwaterowania, kierownictwo artystyczne, zaopatrzenie, opieka, odznaki festynowe, druki festynowe, karty uczestnictwa. Te ostatnie można było rozdzielać na przedstawienie jedynie w ograniczonej liczbie, ponieważ dzieło patriotyczne Neubera uważane było za absolutny szczyt programu.

Przybył nie tylko kreisleiter Leberecht z małym sztabem, lecz także Ottheinrich Schnirch z rozgłośni w Królewcu. Ten Schnirch znany był w całych Prusach Wschodnich ze swych reportaży. Kiedy opisywał, jak Führer dokądś przybywał, gdzieś przejeżdżał albo gdzieś wkraczaj, wówczas słuchacze radia jakby się kąpali w promieniach słońca: kobiety były przejęte do głębi, a nawet zahartowani mężczyźni niejednokrotnie ocierali łzy.

Schnirchowi zależało na tym, by zajęła się nim pani Eis. Takie samo życzenie wyraził kreisleiter Leberecht. Tak więc Brigitte miała pełne ręce roboty. Eugen, który z trudem kuśtykał w świeżo założonym

gipsie, uśmiechał się mimo to. Jego Ortsgruppe wydawała mu się — przynajmniej na przeciąg godzin — po prostu ośrodkiem wielkoniemieckiego świata.

Już w piątek po południu Maulen przeobraziło się w obóz wojskowy. Wszystkie pomieszczenia w szkole, w remizie, dwie stodoły, wszystkie boczne sale gospody, część proboszczówki zostały zajęte na zastępcze połowe kwatery. Na Psich Łąkach SA wspólnie z Hitlerjugend urządziła obozowisko namiotowe. I prawie każde łóżko w Maulen zajmowały dwie osoby, co również niejednemu sprawiło przyjemność.

— Mówię dzisiaj do państwa ze wsi Maulen — zaczął Schnirch swój pierwszy reportaż. — Jest to mała wieś zamieszkała przez skromnych, pracowitych, poczciwych ludzi, położona wśród łagodnych wzgórz, otoczona polami, świadczącymi o wzorowej pilności jej mieszkańców. Idylla mądrej twórczej radości, przepełniona spokojną, skromną, iście niemiecką głębią — takie życie toczy się tutaj zapewne rok po roku. Dziś jednak, tego promiennego dnia, kiedy to słońce uwolnione z chmur rozsyła szczerze swe promienie...

W tym momencie Alfons Materna wyłączył radio. Udał się do Elisabeth, by — jak się umówili — zabrać ją na spacer. Przechadzali się po Maulen i cieszyli powszechną życzliwą uwagą.

— Pan jest tu lubiany — stwierdziła kobieta. — Od razu to widać.

— Dziwię się — odparł Alfons. — To chyba skutek pani obecności.

Pozdrawiano ich z szacunkiem. Mieszkańcy Maulen uchylali kapełuszki, towarzysze partyjni unosili ręce w pozdrowieniu. Dzieciom szeptało coś miłego, bo spoglądały na Maternę i jego towarzyszkę wielkimi, pełnymi podziwu oczami. Nawet Schläguweit zasalutował.

Ale Materna jakby tego nie zauważył, zajęty rozmową z Elisabeth. Jak daleko sięga ta nagła sympatia? — zastanawiał się. — Mam wielką ochotę to wypróbować.

Amadeus Neuber zwinnie jak łasica przeskakiwał od jednej palącej sprawy do drugiej. Musiał wskutek tego zaniedbać nawet próby swego poetycko-patetycznego dzieła. Na szczęście obaj wyznaczeni przez niego asystenci, Konrad Klinger i Peter Bachus, skutecznie go zastępowali.

W obecnej chwili musiał on poświęcić się trudnemu zadaniu ustalenia miejsc dla honorowych gości. Pierwszy rząd: oczywiście prominenci partyjni. Ale gdzie na przykład ulokować Maternę? Nie wolno go w żadnym wypadku zrazić, ale też nazbyt otwarcie faworyzować...

Kiedy właśnie zastanawiał się nad tym problemem, zatelefonował Eis i oświadczył wściekły:

— Powiedziano mi, że Materna także ma przyjść. Człowieku, czy to możliwe, że pan go zaprosił?

— Pan pozwoli, że wytłumaczę — powiedział Neuber zduszonym głosem. — Zgodnie z pana poleceniem zaproszono barona von der Brockena wraz z baronową. Tak więc chcąc nie chcąc trzeba było także Maternę...

— Rób pan tak dalej! — wrzasnął Eis i cisnął słuchawkę na widełki.

Troska Neubera o miejsca okazała się jednak zbędna. Ich wskazaniem zajął się bowiem kreisleiter Leberecht. Oczywiście, sam usiadł pośrodku. Na miejsce po swej prawej stronie zaprosił baronową. Natomiast Alarich von der Brocken usadowił się przy Brigitte, a Elisabeth przywołała do siebie Maternę. Eis z nogą w gipsie stał oburzony. Baron dojrzał niebezpieczeństwo i zawołał:

— Musi pan koniecznie usiąść przy mnie, przyjacielu. Niech pan tylko nie odmawia, drogi panie Eis!

Tak więc główne miejsca były obsadzone; reszta gości sama się jakoś usadowiła całkiem swobodnie, starannie jednak przestrzegając hierarchii.

- Można zacząć przedstawienie! — zawołał Neuber z ulgą.

Kurtyna, uszyta specjalnie na tę okazję, lśniła barwami czarno-biało-czerwonymi, nad nią tronował złoty orzeł. Po prawej i lewej drzewka laurowe. Po jednej stronie siedziała orkiestra dęta, po drugiej stał chór. Zaczął recytować:

Potęga i sława — sprawy w historii to znane,
Lecz nic nie dorówna mężom niemieckim,
Co ze śmiertelną odwagą czoło stawia losowi
I działa się otóż na ziemi tej tak dla nas świętej...

W tym miejscu kreisleiter z aprobatą skinął głową po raz pierwszy, co Neuber spostrzegł z radością. Schnirch oddychał z otwartymi ustami. Nawet Materna zdawał się bardzo poruszony.

Teraz następował tak zwany prolog. Miał on głosić, że historia zawsze ma swój cel i sens, tak więc żadna ofiara nie jest daremna. A śmierć jest jak pieczęć na pakcie z wiecznością...

Prolog ten wygłaszała Sabine. Stała odziana w śnieżną biel, w tunice wyglądającej z germańska, z gładko uczesanymi długimi złotymi włosami.

Na jej widok kreisleiter skinął głową po raz drugi. Alfons Materna uśmiechnął się. Schnirch oblizał wargi. Z tyłu zaś jakiś donośny głos zawołał: Brawo , zanim Sabine wypowiedziała pierwsze słowo. Głos ten należał do Jakuba Jabłońskiego.

Co prawda Sabine kilkakrotnie się myliła, co nie zdarzyło się na żadnej próbie, lecz obecni przyjęli z pobłażaniem, kiedy dziewczynka zamiast bestialski wróg i wierny towarzysz zawołała wierny wróg i bestialski towarzysz ...

— Uroczą ta mała — rzekł Leberecht życzliwie.

— Wyjątkowo rozwinięta dziewczynka — powiedział Schnirch.

— Co się z nią dzieje? — mruknął Amadeus. — Właśnie ona nigdy dotąd się nie pomyliła. Ale to skutek tremy.

Teraz rozpoczęło się właściwe przedstawienie. Rozległy się głuchoe odgłosy bębnow. Rozsunęła się kurtyna i nad tłem zamigotały czerwone światła. Ten efekt wywołał pierwsze brawa.

Potem ukazały się dwie bez wątpienia niemieckie kobiety — dzieci czepiały się trwożnie ich szat. Jedna z nich zawołała: — Nadchodzą! Nadchodzą! — Jej dziecko zaczęło krzyczeć. Druga kobieta jednak powiedziała spokojnie, ufnie, z przekonaniem: — Ale Pan Bóg nigdy jeszcze nie opuścił naszej ojczyzny! W największej potrzebie ześle nam wybawcę!

Wówczas padło jasne światło na orla nad sceną. Nawet Amadeus Neuber był zaskoczony. Był to chyba pomysł jego asystentów. Wywołało to wielki entuzjazm. Kreisleiter wielokrotnie zaklaskał.

Kiedy ukazał się Hindenburg, nastąpiła burzliwa owacja — cała sala biła brawo. Ernst Schläguweit przytomnie zasalutował ze sceny. Orkiestra spontanicznie zaintonowała hymn narodowy. Wszyscy śpiewali stojąc. Amadeusa Neubera ogarnęło rozrzewnienie i duma. Przedstawienie jednak toczyło się dalej. Hindenburg wypowiedział swoje pierwsze jędrne zdanie: — Nędznym, podłym psem jest ten, kto nie stanie w obronie ukochanej ojczyzny. — Oklaski. I dalsze oklaski po słowach: — Prawdziwie niemiecki mąż skromnie spełnia swój obowiązek — i nic go od tego nie powstrzyma.

— Fryderyk Wielki plus Schiller — jakie to wzniosłe! — zawołał baron wesoło.

Podczas gdy rozbrzmiewało wezwanie do pełnienia obowiązku wobec ojczyzny, skądś z zewnątrz, z daleka, rozległo się głuchoe dudnienie ciężarówek. Jednak nikt na sali jakby nie zwracał na to uwagi, oprócz Alfonsa Materna, który nasłuchując podniósł głowę.

Podczas następnych równie jędrnych zdań Hindenburg—Schlägu-

weit odwrócił się do mieszkańców Maulen plecami. Nie było to bynajmniej przewidziane w inscenizacji, zwłaszcza że spodnie feldmarszałka straszliwie nisko mu opadły. Rzecz w tym, że Schlaguweit miał kłopoty z wąsami — odkleiły się.

Wśród widzów zapanowała wesołość. Początek temu dała wyrozumiałość kreisleitera Leberechta. Ludzi z Maulen zaczęło to bawić. Amadeusa Neuberę ogarnął ogromny niepokój, zwłaszcza że ujrzał uśmiech na twarzy Alfonsa Materny. Ale najcięższe chwile miał jeszcze przed sobą.

Zapowiedziało je nadejście rosyjskich dowódców. Konrad Klinger i Peter Bachus, którzy wcieli się w te postacie, obficie ozdobili swoje mundury orderami wszelkiego rodzaju: były wśród nich również kotyliony. Kto wie, skąd je wzięli. Tak więc pobrzękiwały, dzwoniły i szeleściły na nich jak na wędrującej choince bożonarodzeniowej. Chłopcy mówili koszarowym językiem. Wywołali zamierzoną wesołość.

Ale nie dość na tym — obaj nie opanowali nawet tekstu. Chrapliwym głosem rzucali najdziwniejsze zdania do zachwyconej publiczności. Tak więc Samsonow nie powiedział, jak przewidziano w dziele:

Co nam zagraża? Obawiam się najgorszego, lecz szepnął: Co nam przeszkadza, przecież to okropne!

Podczas gdy Neuber miał straszliwe uczucie nadciągającej katastrofy, teraz także myśliwskie ucho barona von der Brockena odebrało głucho dudnienie w oddali. Wyprostował się nadsluchując, następnie spojrzął na Alfonsa.

A na scenie Hindenburg Schlaguweit wygłaszał nieporuszony dalsze jędrne słowa. Jak widać, nie przeszkadzało mu, że trzęsły się kulisy. Nawet wówczas, kiedy w dziwny sposób sfera Rosjan w najbardziej niewłaściwym momencie ruszyła do marszu i przegalopowała przez jego punkt dowodzenia, zachował wzorową postawę.

Ale od czasu do czasu on także się mylił. Tak więc mówił: zaopatrzenie zamiast Opatrzność, ale ludzie w Maulen takich drobiazgów nie spostrzegali.

Potem ukazali się na scenie dwaj ranni żołnierze, którzy malowniczo umierając, dłuższy czas rozwodzili się o obowiązku, wierności i bohaterskiej śmierci. Spoglądając w ojczyste niebiosy, leżeli nieruchomo. A potem nagle poderwali się i popędzili za kulisy — spowodował to puszczony prąd elektryczny.

Teraz kreisleiter już nie kiwał głową z aprobatą. Jego otoczenie jakby zamarło. Baron von der Brocken i Alfons Materna nasłuchiwali. Odgłos silników nasilał się. Natomiast Eugen Eis uśmiechał się

zadowolony. Był pewien, że teraz będzie miał dowód: w Maulen bez niego nic nie grało!

Pod koniec na scenie zapanował chaos: śmiech na przemian z przygnębiającym milczeniem wśród widzów. Hindenburg—Schlaguweit gubił nie tylko wąsy — opadały mu także wybrzuszone spodnie. Ludendorff—Mielke natomiast daremnie usiłował zdjąć czapkę: siedziała na głowie jak przygwożdżona. Kiedy bohaterowie mieli zamiar święcić zwycięstwo, zapadły się kulisy. Ale najgorsze, że sztandar, który pod koniec rozwinięto, nie miał czarnego hakenkreuzu na białym tle. Był czerwony — tylko czerwony. Czerwony!

Cisza grobowa. Przez chwilę. Potem: dudnienie ciężarówek — zbliżały się do Maulen.

— *Horst-Wessel-Lied!* — zawołał Eugen Eis przytomnie.

Kreisleiter skinął głową z uznaniem. Zaraz też zagrzmiała orkiestra. Amadeus Neuber wybiegł z sali. Na otwartej scenie Hindenburg i Samsonow, Ludendorff i Rennenkampf jakby sposobili się do bicia: aktorzy-żołnierze otoczyli ich wesoło. Ale wreszcie i oni zniknęli.

Eugen Eis czynił wszystko, by w tym historycznym momencie znowu objąć kierownictwo nad Maulen — mimo że był niesprawny. Na nim bowiem spoczywało spojrzenie kreisleitera.

Tak więc zagrożony ortgruppenleiter wyprostował się, podtrzymywany przez dwóch SA-manów, i oświadczył:

— Teraz przechodzimy niezwłocznie do swojskiej części tego wieczoru. Czy mogę prosić, aby pan kreisleiter otworzył bal?

Ten był gotów. Sprawdził szybko, czy dobrze na nim leży mundur o skromnym Führerowskim kroju. Ze szczególną galanterią uklonił się przed Brigitte. Tymczasem Eis kazał orkiestrze grać. Rozległy się dźwięki walca.

Dzięki zachęcającym okrzykom Eugena szybko udało się utworzyć mały krąg taneczny. Kreisleiter walcował ze swoją damą. Za jego przykładem chętnie poszły dalsze pary.

Muzyka grzmiała, kolumna porządkowa zaś z wielką energią zabrała się do powiększania powierzchni do tańca. Ludzie pomagali im z całą gotowością. W tej piekielnej wrzawie, w rytmie walca wielka zabawa dopiero się rozpoczynała.

Alfons Materna starał się wyjść na dwór. Liczni życzliwi mu ludzie cisnęli się ku niemu, zagradzali drogę, porozumiewawczo mrugając, wymownie ściskając dłonie, szepcząc przyjazne słowa.

- Uschkurat rzekł z serdeczną poufalością:

- — Wreszcie znów się pokazujesz. Nie wiesz nawet, jak mnie to cieszy. Teraz znowu ujawni się prawdziwe oblicze Maulen — mam nadzieję.

— Nadzieję mamy zawsze, dopóki żyjemy — rzekł Alfons Materna wymijająco. — I może dlatego tylko żyjemy.

Następnym człowiekiem, który go zatrzymał, był Naschinski, najpewniejszy kandydat na stanowisko burmistrza.

— Moje najserdeczniejsze gratulacje! My tu wszyscy, ludzie o szerszych horyzontach, witamy z radością fakt, że znowu bierze pan udział w życiu naszej społeczności.

Zartowniś Mielke, tym razem irytująco poważny, wysunął się do przodu.

— Zawsze czułem do pana sympatię.

Materna wywinął się im i głęboko oddychając wyszedł na dwór. Przed gospodą znalazł, jak się spodziewał, barona von der Brockena: palił cygaro i spoglądał na drogę. Stał lekko pochylony do przodu.

Ciężkie głucho dudnienie zbliżało się. Wąskie pasma światła drząc przecinały noc. Pojazdy były coraz bliżej, wypełniały ich uszy metalicznym hałasem. Rozdzierały leniwie ciepłą, granatowo lśniąca mazurską letnią noc i zagłuszały dźwięki walca.

Na przodzie niby ślimak posuwał się wóz osobowy. Za nim motocykle, terkocząc jak salwy z karabinów; na nich przygarbione ciemne postacie. Z tyłu ciężarówki kanciaste skrzynie o ostrych konturach obrywały liście z drzew. Wreszcie: czołgi.

Ziemia dudniła. Brzęczały szyby, Mazurzy zadrżeli. Alfons Materna pochylił głowę.

— Tak, to nie ulega wątpliwości — rzekł Alarich von der Brocken twardo. — Oddziały niemieckie ruszyły. Maszerują w kierunku polskiej granicy.

— To przecież oznacza wojnę.

— Niekoniecznie, ale bardzo prawdopodobne. — Baron jakby tylko wygłaszał prognozę pogody. — Od moich przyjaciół w Berlinie wiem, że od jakiegoś czasu w oczach pewnych ludzi walka o tak zwaną wielkoniemiecką przestrzeń życiową stała się nieunikniona.

Materna oddalił się w milczeniu. Baron poszedł za nim. Przeszli plac i zatrzymali się przed pomnikiem ku czci bohaterów: odlany w spżu bohater wciąż unosił swój sztandar ku ciemnemu, lśnjącemu niebu.

— Wyobrażam sobie, o czym pan teraz myśli, Alfonsie — rzekł

baron. — Już, już miał pan całe Maulen jakby we własnej kieszeni, tymczasem możliwość wojny przekreśla cały plan.

— Prawdopodobnie jest pan przekonany, że dopiero taka wojna dopomaga w ujawnianiu pewnych prawd. Na przykład tej, że Hitler jest kompletnym idiotą. O czym zresztą wiedzieliśmy od samego początku.

— Zgadza się — odparł baron prawie pogodnie.

— Ale co też się będzie musiało zdarzyć, aby ta prosta prawda dotarła do wszystkich! Może będzie to kosztowało rzeki krwi, góry trupów, miliony zniszczonych istnień.

— Cóż to, Alfonsie, boi się pan?

Tak.

Materna milczał przez dłuższą chwilę. Potem oświadczył: — Prawdopodobnie będziemy musieli zaczynać wszystko od nowa — stale i wciąż jesteśmy do tego zmuszani. Taka wojna doda nowego bodźca naszym stadom baranów. Rozsądek zanika całkowicie. Ujawnia się jedynie żarliwy patriotyzm.

— I nie cieszą pana nadchodzące czasy? Czy nie należy pan do tych ludzi, którzy dopiero wówczas się ożywiają, kiedy czują niebezpieczeństwo? Teraz prawie wszystko jest możliwe.

— Od nikogo dotąd nie spodziewałem się zrozumienia — rzeki Materna odwracając się. — Któż jest bardziej samotny niż pies, który znalazł się wśród wilków? Nie pragnie niczego innego, tylko przeżyć. Wydaje mi się, że to przede wszystkim jest nakazem chwili.

, — I dostosuje się pan do tego!

— Nie będę się narażał — to wszystko.

Część trzecia

UCIECZKA WILKÓW

1944—1945



Komu szczęście sprzyja,
temu i byk cielaka urodzi. Kto ma pecha,
temu padnie ostatnia krowa.

— Podpisz — powiedział Eugen Eis i niedbale postukał szpicrutą w arkusz papieru.

Ignaz Uschkurat pochylił się. Ręce mu drżały. Zapytał po cichu:

— Czy nie mógłbym zatrzymać przynajmniej mojego lasku?

— Sprzedasz i łąkę, i lasek. Jedno i drugie — odparł Eugen Eis ze znudzonym wzrokiem. — Albo twój syn stanie przed sądem specjalnym z gwarancją, że zostanie skazany. Wybieraj.

— Ależ z ciebie parszywa świnia — rzekł Uschkurat, splunął i podpisał. Potem opuścił pokój na zapleczu gospody, z głową wciągniętą w ramiona, jak zбитy pies.

Eugen Eis szpicrutą podsunął Scharfkemu podpisany dokument. Ten chwycił go zwinnym ruchem palców, złożył i schował do portfela.

— Eugen, robisz to tak, że proszę siadać! — Scharfke otworzył butelkę koniaku i nalał do dwóch kieliszków. — Potrafię to docenić. Ale nie obawiasz się, że możesz mieć kłopoty?

Eugen Eis roześmiał się pogardliwie i wychylił kieliszek. Spoglądał na Scharfkego oczami pozbawionymi wyrazu. — Nikt mnie już nie wykiwa — powiedział. — To, co robię, jest absolutnie legalne. Bo troszczę się tylko o ład i bezpieczeństwo, i o interes państwa! Niech no ktoś mi tu powie, że wykorzystuję wojnę, by zrobić majątek. Kto się odważy, zatkam mu gębę. Ale nikt się nie odważy, nawet Materna!

— To prawda — zapewnił Scharfke gorliwie. — Nikt bezkarnie nie odważy się ci dopiec, już się o to postarałeś. Bo to zawsze ja kupowałem grunty, zagrody i inne dobra — jestem w końcu człowiekiem interesu. I tylko przypadkowo twoim teściem.

Już od 1941 roku Christian Scharfke, oberzysta, był teściem Eugena Eisa, który w roku 1940 rozwiódł się ze swoją pierwszą żoną Brigitte z domu Materna. Towarzyszyły temu dość niebezpieczne okoliczności. Klice Materny udało się udowodnić Eisowi zdradę małżeńską; wystawili czterech świadków.. Nie pozostało mu więc nic innego jak

zgodzić się na rozwód, jeśli chciał uniknąć wyrafinowanego skandalu, którym mu zagrożono. W rok później ożenił się z Christine Scharfke, a sprawę tę dobrze przemyślał.

— Od tego dnia — rzekł Eugen Eis niedbale — działam wyłącznie na rzecz Niemiec. I to żelazną pięścią! Jestem to winien naszemu Führerowi. Nikt mnie od tego nie odwiedzie.

Tego rodzaju enuncjacje wygłaszał ostatnio Eugen Eis obojętnym tonem, jak gdyby odczytywał najnowszy cennik na tuczniki. Już dawno bowiem minęły czasy jego nie kontrolowanych namiętności, był o tym przekonany. Minęła tak głęboko przedtem zakorzeniona w nim nieufność wobec otoczenia — okazała się zbędna, przekształciła się w zimną pogardę. Uważał, że większość ludzi to bydło; tylko potęga mocniejszego trzyma ich w ryzach. A tę potęgę w Maulen on reprezentował.

— Co porabia moja kochana żona? — zapytał. — Miewa czasami takie dziwne pomysły, po prostu drobnomieszczańskie.

— Christine certuje się, ale bez zbytej skromności; teraz urabia burmistrza. — Scharfke znacząco mrugnął do zięcia.

Ten skinął głową. Burmistrz Naschinski był następny na ich liście. Jego hodowla kur w sam raz odpowiadała stale powiększającemu się wielkiemu gospodarstwu Scharfkego; przedsiębiorstwo pierwszorzędnej wagi na potrzeby wojny było rozbudowywane w planowy sposób. — Jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce uzyskamy efektywną, niezbędną dla potrzeb państwa, przeciwwagę nie kontrolowanej własności prywatnej pewnych osób.

Chodziło o Alfonsa Maternę. Eugen Eis tylko wówczas wymieniał jego imię, kiedy nie dało się tego w żaden sposób uniknąć. Ten! człowiek stanowił dla niego wyzwanie już przez samo swoje istnienie. A jeśli nawet w ciągu ostatnich lat jak gdyby zamknął się w swojej skorupie, nigdy nie należało zapominać, jak paskudną rolę odegrał w życiu Eugena Eisa. Ten rachunek trzeba było wyrównać, a czasy po temu były dogodne.

— Wczoraj wieczorem — rzekł Eugen Eis na pozór obojętnie — piłem z feldfeblem Facklerem. Na twój koszt, Scharfke, możesz to zaksięgować jako koszty handlowe. Fackler ma kłopoty. Jeńcy francuscy, których nadzoruje, są jacyś niespokojni. Dwóch co najmniej podejrzewa o chęć ucieczki.

— Mógłby przydzielić ich Maternie.

~ Zaproponuj to Facklerowi. Ja w każdym razie oficjalnie się chcę mieć z tym nic wspólnego, ale tak sobie, myślę: jeśli Materną pozwoli

jeńcom uciec, może to pociągnąć za sobą określiło-skutki, a wtedy można by coś niecoś wskórać.

— Ale z ciebie szczwany lis — rzekł Scharfke.

Eugen Eis zdawał się spoglądać na swoje buty. Potem rzekł po cichu:

— Kto ze mną zaczyna, ten kiedyś tego pożałuje. To dotyczy każdego. Ciebie także, gdyby kiedykolwiek przyszło ci do głowy zapomnieć, co dla ciebie zrobiłem. Ale powiadają, że bogaty czjowiek nie ma ochoty umierać. W tym cała nadzieja.

— Dzikie gęsi zaczynają się niepokoić — powiedział Alfons Materna, wdychając wilgotne, ciepłe powietrze późnej jesieni. — Nigdy nie szykują się do odlotu przed końcem października — kiedy nadchodzą pierwsze mgły.

Jakub Jabłoński spojrział na śnieżnobiałe obłoki. — Temperatura nie jest niezwykła. Pogoda wydaje się normalna. Może stworzenia wyczuwają, że zanosi się u nas na jakiś smród.

Alfons Materna zerknął na Końskie Wzgórze. Poruszało się tam czterech ludzi — równym krokiem zmierzali ku obejściu. Także Jakub ujrzał ich i stwierdził: feldfelbel Fackler, wartownik i dwóch jeńców francuskich.

— Czegó oni tutaj chcą, narobić nam bigosu?

Fackler był to człowiek około trzydziestki, na swoje szczęście ranny, postrzelony w póldupek, który dziwnym trafem nie chciał się zagoić, z wciąż zaczerwienioną, jakby rozdętą twarzą. Głos jego brzmiał łagodnie; naoliwiał go gęstym likierem, i to dwukrotnie w ciągu dnia.

— Zgłaszał pan zapotrzebowanie na jeńców — rzekł.

— Już w zeszłym roku.

— Może pan mieć teraz dwóch. — Feldfelbel wskazał za siebie,

Stało tam dwóch żołnierzy w zniszczonych mundurach, bez odznak: jeden młodzik o ciemnych kręconych włosach i drugi mężczyzna o zniszczonej twarzy starca. Spoglądali na Maternę z uwagą. Ten, zmrzywszy oczy, popatrzył nieufnie na Jakuba Jabłońskiego.

Jeden — oznajmił Fackler — był kelnerem w Paryżu. Umie bdić się z bydłem jak doświadczony Szwajcar. Drugi jest profesorem, zna się na roślinach. Może być przydatny w ogrodnictwie. Obaj potrafią porozumieć się po niemiecku.

Alfons Materna taksująco spojrział na Facklera.

— Siły pomocnicze — rzekł przeciągle — zawsze mi się przydadzą. Ale skąd nagle taka uprzejmość? Dotąd zawsze odmawiano mi

przydziału jeńców, przysyłano mi tylko robotników-cudzoziemców. I jak to jest, bo o ile wiem, jeńców przydziela się tylko za zezwoleniem kierownictwa Ortsgruppe?

— Jeśli idzie o moich ludzi, to ja osobiście decyduję — oświadczył Fackler. — Otrzymuję zapotrzebowanie i podejmuję decyzję. Przy tym co prawda uwzględniam dobro moich wartowników — przydział wódki jest mile widziany: mniej więcej jedna butelka na głowę i na miesiąc. To taki rodzaj opłaty za wynajem.

— To brzmi całkiem przyzwoicie — rzekł Materna ze śmiechem. Pierwsze dwie butelki możecie od razu ze sobą zabrać.

Fackler zadowolony wyszczerzył zęby. Zrobił krótki gest kciukiem. Wtedy jeńcy podeszli do Materny, zdjęli czapki i ukłonili się. Fackler skinął głową — był to jeden z jego licznych pomysłów. Jego jeńcy musieli zachowywać się wobec niemieckich cywilów szczególnie grzecznie.

— Będzie pan miał dużo przyjemności z tych salonowych lwów — zapewnił. — Jeśli by coś było nie tak, wystarczy zgłosić zażalenie. Wtedy przekręcę tych francuskich zasańców przez maszynkę. — Fackler pocierał sobie ręce; był w dobrym humorze. — No, teraz przyjmuje pan za tych dwóch drabów całkowitą odpowiedzialność. — Co to w praktyce oznacza?

— Każdego ranka należy przyjść po tych śmierdzieli i każdego wieczora ich odprowadzić — oświadczył feldfelbel. Dokładnie godzina po wschodzie słońca i na pół godziny przed zachodem słońca. W tym czasie odpowiada pan za te świnię. To wszystko.

-Materna spojrział na Jakuba, potem na jeńców. Następnie wystawił pokwitowanie odbioru i podpisał podsunięty mu arkusz z zarządzeniem dotyczącym bezpieczeństwa. Feldfelbel otrzymał trzy butelki wódki i półmetrową wędzoną kielbasę; zanim się oddalił; zasalutował pełen uznania.

Materna zaprowadził nowych współpracowników do swojej jaskini. Tutaj kazał Hannelore podać im szynkę, chleb i masło, do tego mleko prosto od krowy. Jedli w milczeniu i pośpiesznie. Kiedy już byli syci, jeden z nich chłopak o ciemnych lokach, zapytał, czy może mówić szczerze. Spoglądał przy tym na Jabłońskiego, jakby prosząc go o wybaczenie.

— Jakub to mój brat — rzekł Materna.

Młodziuk ukłonił się przed obydwojma. — Nazywam się Ambal — powiedział. — Pierre Ambal. Mój towarzysz to profesor Bonnard Meldujemy się.

— Proszę to bliżej wyjaśnić, — Jesteśmy właśnie tu, gdzie chcieliśmy być — rzekł Pierre Arribal

Z uśmiechem. — Na pierwszym postoju naszej ucieczki ~ tj, pana.

Alfons bez szczególnego trudu ukrył swoje zaskoczenie — niewiele było rzeczy, które mogłyby wprawić go w zdziwienie.

— Chyba pomylił się pan w adresie — powiedział spokojniej

Pierre Ambal uśmiechnął się wyraźniej.

— Jeden z byłych uczniów profesora Bonnarda jest Polakiem. Spotkał nas przed kilkoma dniami. Było to wzruszające spotkanie. Przyjął do wiadomości nasz plan ucieczki i wymienił pana nazwisko. Powiedział: U niego będziecie bezpieczni, stamtąd ruszycie dalej . No i teraz tu jesteśmy.

— — To chyba pomyłka — rzekł Materna — albo zabawa towarzyska. Czy to Fackler wam powiedział?

— Ten Polak — rzekł Pierre Ambal — nazywa się Jan Machłowicz, ma dwadzieścia siedem lat, urodził się w Krakowie. Hasło, jakie nam wymienił, brzmi: Siegfried G

— Człowieku — powiedział Jakub Jabłoński serdecznie — no to dobrze pan trafił.

— Nie - oświadczył Materna stanowczo.-Spojrzał przy tym na profesora Bonnarda. — Jesteście tutaj w charakterze siły roboczej. Nie możecie więc się ulotnić, póki ponoszę za was odpowiedzialność. Chyba to rozumiecie?

— Musimy rozumieć - powiedział Bonnard w zadumie. — Ma pan rację. Jeśli stąd uciekniemy, pójdzie to na pana konto. Tak nie wolno, oczywiście.— Skinął na Ambala, który powoli zdawał się pojmować sytuację. — I proszę zrozumieć, że przecenialiśmy pana możliwości. Ale co teraz?

— Na razie ~ zdecydował Alfons - możecie się nam przydać; nie będzie wam tu źle. Później się zobaczy, jakieś wyjście na pewno się znajdzie. Zastanawiają się tylko, dlaczego was tak szybko do mnie przydzielono. Mógłby to być przypadek, ale nie akurat w Maulen.

- Burmistrz Naschinski .— powiedziała Christine Eis z domu Scharfke gderliwie —. znowu mnie obmacywał, i to kilkakrotnie. - No to już przyszedł czas na tę świnię — rzekł Eugen. -

— Chcesz znać szczegóły?

-- To zbędne, wiem jak to jest.

Christine nabrała trochę tuszy, a więc było ją za co chwycić— rzeez w tej okolicy bardzo ceniona. Pachniała też mocno i ponętnie.

Małżonek Eis stwierdził to ze znanstwem. Wsunął się głębiej w swój dygnitarski fotel, bardzo już zniszczony.

Następcę Naschinskiego — a było na stanowisko burmistrza trzech kandydatów — należało wybrać bardzo starannie. Ten, który oferował najwięcej, miał największe szanse.

— Wciąż to samo prymitywne świntuszenie — powiedziała Christine. — Już nie chcę dłużej tego ciągnąć. Potrzeba mi miłości.

— W ten sposób masz jej aż nadto — Eis był oburzony. — Sentymentalne uczucia to nie na dzisiejsze trudne czasy. Musisz się wziąć w garść, Christine! Tu chodzi o wielki wspólny cel, nie o jakieś tam babskie zachcianki. O tych będziemy mogli mówić po ostatecznym zwycięstwie. A' tymczasem: działanie na wszelkie sposoby.

Tego rodzaju upomnienia wydawały mu się wciąż jeszcze od czasu do czasu konieczne. Ostatecznie podniósł ją do swego poziomu — nie z czulej miłości, lecz na podstawie dalekowzrocznego planowania. Jeśli o to chodzi, to Christine przeszła o wiele pożyteczniejszą szkołę niż Brigitte, jego pierwsza żona, mianowicie gospodę: nauczyła się wstawiać swoją osobę jako pozycję do rachunku.

Kiedy odeszła, Eis nacisnął guzik dzwonka szpicrutą, którą od miesięcy nosił. Wszedł Schlaguweit, zwolniony ze służby w wojsku jako nieodzowny na tyłach. Był Eisowi bezgranicznie oddany — Eugen za dużo o nim wiedział.

— Zawołaj do mnie Naschinskiego — rozkazał Eis. :— Następnie po kolei Pillicha, Schwiewelbeina i Frontzeka.

- Rozkaz! — Schlaguweit zaszalutował. Zawołał swoich dwóch pomocników, którzy zawsze gotowi, musieli czekać na jego rozkazy. Wydał im instrukcję, po czym wezwani towarzysze partyjni zostali szybko dostawieni. Organizacja w Maulen funkcjonowała doskonale. Na widok Schlaguweita i jego ludzi każdy wiedział, o co chodzi.

Sprawa Naschinskiego została załatwiona w niespełna piętnaście minut. Eis już nie zadawał sobie trudu zbędnych wstępów. Trzasnął szpicrutą o stół, ryknął dwa — trzy soczyste zdania i postawił swoje żądanie:

— Tak rozpustna świnia jak ty nie może być burmistrem. Miałbym ochotę podać cię do sądu za rozpustę. Ale wystarczy mi, jeśli twoją hodowla kur przejdzie w niezawodne ręce i zostanie zachowana dla wspólnoty narodowej.

Te niezawodne ręce - były to ręce Scharfkego. Trzęsący się ze strachu Naschinski podpisał, co mu podsunięto, i odszedł bład jak ściana. Był zadowolony, że mVzagraża fitu natychmiastowe skierowanie' na front.

— Drogi przyjacielu — rzekł Eis potem po kolei do każdego z trzech kandydatów na burmistrza - dzisiejsze czasy wymagają koncentracji wszystkich sił. Wielu jest takich, którzy chcą działać

z nami we wspólnej sprawie; jest to nie tylko kwestia zaszczytu, jest to . także opłacalne. Przedtem jednak należy dać przekonujące dowody dobrej woli.

Wszyscy byli do tego gotowi: Pillich, Schwiewelbein oraz Froritzek. Jeden zaproponował swój staw rybny z karpiami. Drugi zadeklarował nagrodzoną maciorę z dziesięciorgiem prosiąt, do tego tuzin gęsi. Trzeci gotów był dać dwadzieścia cetnarów świeżego ziarna, cztery fury siana oraz swoją żonę — to ostatnie tylko lekko zaznaczył.

— Wybrany przeze mnie towarzysz partyjny — oświadczył Eis — nie będzie tylko burmistrzem z nazwy. Będzie poza tym uprawniony do umieszczenia na swoim domu aż trzech szyldów: Naczelnik Urzędu, Urząd Sędziego Rozjemczego, Okręgowy Przywódca Chłopów.

Wszyscy trzej podnieśli swoje oferty. Zaproponowali dodatkowo pięcioletniego konia, fabrycznie nową sieczkarnię, dwa cetnary masła. Do tego doszły trzy owce, cztery ręcznie tkane wełniane koce, tuzin kur niosek. Scharfke wszystko skrzętnie zanotował.

— Nie chcę nic dla siebie --zapewnił Eugen Eis, podnosząc ręce. Chodzi mi tylko o naszą wspólnotę narodową.

Pod koniec tygodnia przyjechał do Maulen pełnomocnik okręgowy do spraw gospodarki wojennej. Pełnomocnictwa dotyczyły rolnictwa, rybołówstwa i leśnictwa.--Był to Hermann Materna, syn Alfonsa Materny. Zajechał do ojca zarekwirowanym na cele wojenne oplem olimpia. Wysiadł i uniósł rękę do niemieckiegą pozdrowienia tak aby wszyscy widzieli.

— Heil Hitler! — zawołał do Jakuba Jabłońskiego.

— Tylko nie narób w portki — odparł Jakub i wskazał kciukiem na stodołę. — Stary znowu coś tam majsterkuje.

Hermann skinął głową, zabrał z wozu butelkę wódki i poszedł do stodoły. Jabłoński ruszył za nim, wlokąc się przygarbiony. Zastali Alfonsa Maternę w tylnej części stodoły, z boku po prawej stronie. Część ta była oddzielona przegrodą z desek. Materna starannie napełniał butelki brązowożółtym płynem. Czuć było benzyną. Heil Hitler! --zawołał Hermann znów.

Materna podniósł wzrok znad swojej roboty z twarzą nieruchomą jak maska, jego oczy jednak patrzyły na syna z wielką radością. Potem rzekł: — Gdybyś miał zamiar zaintonować też *Horst-Wessel-Lied*, to nie przeszkadzaj sobie.

— Może później — odparł Hermann. Wciąż robił wrażenie poważnego; obojętnie, gdzie się znajdował i co mówił. Serdecznie uściśnął dłoń ojca. Potem podał mu przywiezioną butelkę.

Materna ze znanstwem przyjrzał się etykietce. — Kto by się po tobie kiedykolwiek tego spodziewał — powiedział i mrugnął do Jakuba. — Robisz coraz większe postępy. Powoli stajesz się znawcą. Do czego to doprowadzi?

Hermann Materna z lekka się uśmiechnął i usiadł na skrzyni. — Udało mi się zwęździć dwa kanistry benzyny; leżą w bagażniku mojego wozu. Pakunek obok zawiera materiał wybuchowy, tym razem niestety tylko pięć kilogramów. Ale dodatkowo mogłem przywieźć tuzin granatów ręcznych.

Jabłoński gwizdnął. Potem rzekł z namysłem: — Wiesz, Hermann, jakiś czas byłeś w moich oczach jakby kupą kurzego łajna: postawny, ale nic innego niż wielkoniemieckie zwierzę stadne. Ach, chłopcze, jakże ogromnie się zmieniłeś na korzyść!

-Jestem bądź co bądź synem swego ojca — rzekł Hermann tonem nie pozbawionym dumy.

— Dość długo co prawda trwało, nim do tego doszedłeś — rzekł Jakub — ale rezultat jest wspaniały.

Herman miał w sobie teraz jakąś skromność, która budziła zaufanie. Ta szczególna cecha nie uszła w ostatnich latach uwagi nawet gauleiterów na wyższym szczeblu. Stary towarzysz partyjny Hermann Materna, doświadczony handlowiec, zaufany pełnomocnik do spraw specjalnych, należał do elity. Wzbudzał zaufanie i w pełni na nie zasługiwał. Miał poza tym wpływowego protektora — barona von der Brockena, podobno bliskiego kolegę Göringa. Zrozumiałe więc, powierzano mu ważne misje państwowe, a wreszcie i wojenne.

— Tym razem — rzekł Hermann, gdy upił z butelki — mogę zaproponować naszej wsi cały magazyn. A więc tobie, ojczu, jeśli ci na tym iależy.

Broń i amunicję? — zapytał Jakub.

— Żywność, rośliny strączkowe, bezpiecznie zapakowane. Do tego całe .skrzynie konserw, mięsa, wędlin, serów, także trunki — również całe skrzynie. Razem około dwustu cetnarów.

- Dawaj tu — rzekł szybko Jakub . — Kilkaset cetnarów, z tym

da się już coś zrobić. Dobrze wypchany żołądek może dobrze wpływać nie tylko na miłość — także na uczucia patriotyczne, nawet rias partię. Prawda Alfonsie?

Materna milczał przez chwilę — ostatnio często mu się to zdarzało — wreszcie rzekł:

— Prawdopodobnie magazyn urzędowy?

Hermann skinął głową. — Przy tym mam całkowicie wolną rękę: mogę ten magazyn zdeponować, gdzie i u kogo tylko zechcę. Także u ciebie, ojczu.

— Nie — zdecydował Alfons Materna - nie u mnie. Taki urzędowy magazyn podlega ścisłej rejestracji. To znaczy, że w każdej chwili mogą przeprowadzić kontrolę. Poza tym będzie strzeżony. Są to wszystko sprawy, które na moim podwórku byłyby niepożądane.

— Dobrze — rzekł Hermann — to zrozumiałe. Może byłoby więc najlepiej podsunąć go pod tyłek miejscowemu kierownictwu partyjnemu, jak sądzisz?

Alfons Materna spojrział na klepisko stodoły.

— Coś w tym rodzaju — rzekł. — Ale nie proponuj tego Eisowi bezpośrednio, lecz Scharfkemu.

— Co, właśnie tej parszywej świni?! — zawołał oburzony Jakub. — On i tak pożera wszystko, co tylko w Maulen nie jest mocno zabezpieczone.

Przerwano im. Pierre Ambal, francuski jeniec, ukazał się z pustą skrzynią. Zatrzymał się przed trzema mężczyznami i z ciekawością przyglądał się Hermannowi.

— Heil Hitler! - powiedział Hermann.

Pierre Ambal spojrział na niego z niedowierzaniem. Potem, jakby szukając pomocy, zwrócił wzrok ku Alfonsowi. Ten podał mu butelkę.

— Czyżbym się przesłyszał? — zapytał Ambal, gdy się napił.

— Będzie pan musiał przyzwyczać się jeszcze do całkiem innych rzeczy — rzekł Materna. — Znajduje się pan nie tylko w Niemczech, ale także w moim gospodarstwie. Ja za mam syna, który jest partyjną figurą, a mimo to moim synem.

— No to Heil Hitler! — rzekł Ambal. Zaczął starannie układać w skrzyni napelnione benzyną butelki. — Wypróbowałem je tymczasem. Są murowane pewne. To pana wynalazek?

— Niezawodny środek domowy — rzekł Jakub skromnie. — Tak zwany koktajl Mołotowa, ale przez nas ulepszony.

Główna zasada: benzyną w butelkach. Szyjkę butelki korkowano

szmatkami, które maczano w benzynie, podpalano, po czym butelkę rzucono. Gdy się tłukła, następował wybuch ładunku.

Ulepszenie: specjalne zamknięcie uniemożliwiające niebezpieczne wcześniejsze zapalenie. Do tego lont z lnu. Palił się nawet podczas deszczu i burzy. Poza tym: specjalnie wybrane butelki z cienkiego szkła; pękały nawet na miękkim gruncie, jeśli ciskano je z większą siłą.

Pierre Ambal starannie układał butelki. Wprawnymi ruchami przekładał je wełną drzewną. Trzej mężczyźni w stodole przyglądali mu się w milczeniu. Jeniec wziął skrzynkę na ramię i odszedł.

— Pewny? — zapytał Hermann.

Nie otrzymał odpowiedzi. I zrozumiał, że odpowiedź wcale nie była konieczna. Zaczął znów mówić o magazynie i o Scharfke.

— A dlaczego ten Scharfke? Taki skład żywności i spirytualiów wiąże się z pewnymi niedogodnościami, ale także przynosi korzyści.

— I właśnie te, synu, powinieneś wytargować u Scharfkego. On może ci w zamian zaoferować całą masę świadectw, powiem ci jakich. Jeśli tylko raz złapie się na lep, wtedy będziesz mógł śmiało stawiać dalsze żądania. Musisz przy tym pamiętać o jednym: podczas tych pertraktacji Eugen Eis nie może być obecny ani osiągalny.

— Rozumiem. Powiniennem wydebić od Scharfkego, aby mnie, jako pełnomocnikowi okręgu, pozwolił dysponować majątkiem i urządzeniami, które w istocie należą do Eugena Eisa, chociaż nieoficjalnie. I ty sądzisz, że Scharfke na to pójdzie?

— Czemu nie? Oczywiście, założywszy, że rzucona mu przynęta będzie dostatecznie duża i tak zachęcająca, że szybko ją połknie.

— Człowieku — rzekł Jakub — jeśli Eugen to wykryje, powyrywa Scharfke mu nogi z tyłka. Zanim się połapie, że to z jego własnego tyłka.

Eugen Eis przebywał tej soboty — oczywiście służbowo — wśród grupy dorodnych młodych kobiet ubranych w ziemistobrązowe spodniczki i białe bluzki. Były to dziewczęta ze Służby Pracy. Należały do jednostki z okupowanych na Wschodzie terenów; obecnie przeniesiono je do Maulen.

— Na cześć naszego szanownego gościa zaśpiewamy teraz piosenkę — oświadczyła przywódczyni grupy. — Czy ma pan jakie-specjalne życzenie?

Dziewczęta przyglądały mu się — takie miał wrażenie - pocąc się z podniecenia. Ostatecznie był jedynym mężczyzną w ich baraku.

— Tak wiele pan dla nas zrobił ciągnęła przywódczyni. — Proszę tylko powiedzieć czym mogłybyśmy sprawić panu przyjemność?

Eugen Eis z trudem powstrzymał chichot — nie wolno mu było zapomnieć, że przebywał tu w charakterze dygnitarza. A te dziewczyny należało traktować oficjalnie. Ostrożnie jak surowe jaja. Dyrektywy kierownictwa Rzeszy nakazywały bezwzględną powściągliwość w tym Względzie. Oficjalnie.

. Zresztą Eugen nie odczuwał chęci zajmowania się koniecznym w ich wypadku gruntownym wychowaniem; były w jego pojęciu całkiem zielone . Toteż sprawiał wrażenie człowieka niemal poważnego.

— *Kiedy wieczorne złote sionce...* — zaproponował niedbale. ;

Dziewczęta natychmiast zaintonowały pieśń, o którą poprosił. Śpiewały jasno, głośno, wyraźnie, Eugen spoglądał na śmiały profil siedzącej obok niego przywódczyni, odnotował śmiałe linie prowadzące od czoła w dół — nos, broda, szyja, piersi. Tu zatrzymał się dłużej - z pewnym uznaniem, ale bez specjalnego zainteresowania. Czego to jego wierne Führerowi oczy już nie widziały!

Słuchał z nieruchomą twarzą ich śpiewu, czasem kiwał głową. To była rutyna. Jako ortsguppenleiter nauczył się już przysłuchiwać, nie okazując zmęczenia, wszelkiego rodzaju bzdurom, tysiącom przemówień i haseł; przelewały się mimo jego uszu z szumem niby fale.

-- *Moje drogie niemieckie dziewczęta* — rzekł potem, wstając. Od lat wytrenbwał się także w wygłaszaniu krzepiących przemówień. — Przejściowe skracanie frontów, głębokie rozważania strategiczne naszego Führera, których nieocenioną wartość jeszcze zdołamy poznać, słowem: przymusowe okoHcznosekdoprowadziły was do naszej pięknej wsi, I chociaż jesteście tutaj dopiero od-niedawna, mogę jednak, powiedzieć, ze wszystkie zdobyłyście nasze bijące dla Niemiec serca.

Poproszono go na kawę i ciasto , jak również na zwiedzanie, a zaraz potem na nieskrępowaną pogawędkę w kręgu przyjaciół . Tęgo rodzaju kontakty, przynosiły potem, korzyści obu stronom,—on dostarczał dodatkowe przydziały żywności, one wychwalały go w swoich sprawozdaniach.

— Ta piękna kraina, moje drogie dziewczęta — wywodził donośnie -była zawsze zagrożoną strefą graniczną. Podstępny Słowianin już wielokrotnie usiłował na nas napaść. Ale nas nie tak łatwo zastraszyć. Pozostajemy niewzruszeni, kiedy znowu niby smok czołga się od Wschodu zagrożenie. Jeśli wróg zechce koniecznie wścibiać do nas swój nos, to my mu go rozkwasimy, zakładając, że jeszcze w ogóle będzie miał nos.

Eugen wybuchnął śmiechem — jak zawsze, kiedy używał tego sformułowania. To zawsze robiło niezawodne wrażenie. I jak tego oczekiwał — dziewczęta wybuchnęły śmiechem. Przywódczyni spojrziała na niego promiennie swymi bladoniebieskimi oczami.

— Nikogo z nas — zawołał, tym razem mrugając szelmowsko — nie będzie z tego powodu bolała głowa. Rozpoczynamy teraz szósty, decydujący rok wojny — nie załamani, niezłomni, z niesłabnącą odwagą. Jeszcze nie dajemy za wygraną. Mamy jeszcze rezerwy. Tak na przykład — by wymienić tylko jedno z przedsięwzięć — poszerzyłem i skomasowałem hodowlę kur i przekazałem na rzecz partii. Co to oznacza, wkrótce same się przekonacie, bo już od jutra będzie dla was więcej jajek, prawie dwa razy tyle co dotychczas. Poza tym zamierzam wydawać dodatkowe przydziały mleka, masła i sera.

nie musicie mi za to dziękować, moje drogie niemieckie dziewczęta — jedyne, czego chcę, to żebyście się tutaj dobrze czuły. Już ja się o to postaram.

Dostał wielkie brawa. Był to człowiek doświadczony, a w ogóle, co tu dużo mówić — mężczyzna jak się patrzy! Wydaje się, że niewielu było jeszcze podobnych w Maulen i okolicy.

Przywódczyni podziękowała mu pięknymi i również dobitnymi słowami. Po zakończeniu części oficjalnej poprosiła go do swej prywatnej kwatery, która była zarazem jej biurem. Pragnęła jeszcze chwilę porozmawiać z nim prywatnie.

— Pana życzliwość — rzekła, nalewając wino do kieliszków — odczuwam jako coś ogromnie krzepiącego. Póki istnieją tacy ludzie jak pan, możemy spokojnie spoglądać w przyszłość.

— Ona należy do nas — powiedział Eis i przepił do niej.

— Powinna napisać o tym do mojego wuja — powiedziana dziewczyna z namysłem. -- Na pewno by się ucieszył, gdyby usłyszał jak wzorową opieką otoczone są kobiety w służbie wojennej.

— Pani wuj? Czyżby to doprawdy był...?

- Tak, to on — odparł z łagodnym uśmiechem. - Nieprzypadkowo nazywam się Henriette Himmler. Jestem z nim spokrewniona.

Eugen był zdumiony. Policzki mu się zaróżowiły z podniecenia. — Kto by to pomyślał!

— Ależ, proszę pana. — Henriette zbyła to przesadną skromnością; — To naprawdę mało ważne, w każdym razie nie dla mnie. Nigdy bym nie chciała korzystać z jakichkolwiek przywilejów, powiedziałabym — wprost przeciwnie. Odczuwam to jako podwójne zobowiązanie. Chyba rozumie pan, cd mam na myśli?

— Oczywiście — zapewnił Eugen podniecony. — Jest pani prawdziwą niemiecką kobietą, która już tylko z tego powodu zasługuje na szacunek i podziw, zapewniani panią. I dowiodę pani tego w praktyce.

Amadeus Neuber, wciąż jeszcze nauczyciel i zastępca Ortsgruppenleiters, poza tym pełnomocnik partii do spraw szkoleniowych i socjalnych, a także przewodniczący Związku Kombatantów — otóż Neuber czuł ostatnio jakby pokusę, by znowu uwierzyć w Boga. Zamyślony-siedząc na ławce przed szkołą, niemal tęsknie spoglądał na kościół; W ostatnich miesiącach przybywało tam wiernych. To dawało mu do myślenia — to i niejedno poza tym. Pastor, od roku upoważniony do czuwania nad interesami , nazywał się Kampmann; przekroczył już siedemdziesiątkę. Teraz zbliżał się życzliwie do budynku szkoły, uniósł rękę z niemieckim pozdrowieniem i rzekł: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Dzień dobry — rzekł Neuber, również starając się o życzliwy ton. — Właściwie powinienem powiedzieć Heil Hitler , prawda?

— Jak pan woli, zupełnie jak pan woli — pospieszył zapewnić go pastor. — Swoim pozdrowieniem chciałem tylko oznajmić, że Chrystus umarł za Wszystkich ludzi.

— Führer zaś żyje dla wszystkich.

— Pewnie, jeśli pan tak sądzi. A co poza tym?

Pastor Kampmann posiadał piękny i na Mazurach ogromnie rzadki dar niesprzecznania się z nikim. Chyba nie istniało też nic, co by go mogło urazić.

— Ma pan ruch w interesie — rzekł Neuber z pewną poufałością. - Ostatniej niedzieli było o dwanaście osób więcej niż poprzedniego tygodnia.

— Może to zależy od pogody — odparł pastor przepaszająco — a może sprawił to przyływ uciekinierów.

Pastora Kampmanna trudno było zahaczyć. Neuber, który kazał go obserwować, szybko się o tym przekonał. Kampmann trzymał się ściśle Pisma Świętego, a w jego ramach prawie wyłącznie Nowego Testamentu. Przy tym unikał wszelkich aluzji do współczesności. Nigdy jednak nie zapominał włączyć do modlitwy Führera i Rzeszy, ale bez jakiegokolwiek podejrzanego nacisku.

— Wspaniały wieczór — rzekł duchowny i z lekka zatroskany spojrzął na lśniący błękit późnoletniego nieba. - Jutro będzie piękna pogoda, prawdopodobnie jeden z ostatnich pięknych dni.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — szybko zapytał Neiiber.
— Stuletni kalendarz zapowiada krótką mokrą jesień, a potem długą mroźną zimę.

Neuber nic na to nie odpowiedział. Pastor oddalił się w milczeniu.

Najmniejsze światło nie przedostawało się z przepisowo zaciemnionych okien. We wsi jednak było niespokojnie. Rozlegały się głosy na ulicach, w krzakach, dochodziły na plac; przez Maulen sunęły postacie, szare, bez zarysów, jakby otulone w długie, grube płaszcze.

Amadeusa przeszły ciarki. Pocierał ręce, jak gdyby chciał przeskodzić, aby jego cienkie palce złożyły się do modlitwy. Bał się. Był to strach, który powstawał jak mgła: kłębił się, rozpływał, potem ginął. Przeważnie ze światem.

Ta wieś wymykała się spod kontroli, nie dało się jej opanować. W szczegółach, pęczniała jak gotowany ryż. Nie było już żadnych przejrzystych frontów — Materna stał się pewnego rodzaju błędnym ognikiem na bagnach, pastor zawsze mówił rzeczy nie obowiązujące, chłopi i rzemieślnicy korzyli się, przytakiwali, maskowali się, baron Von der Brocken przekazał swój majątek rządcy i wraz ze swoją siostrą oraz córką Materny odjechał do południowych Niemiec. Do tego doszły podejrzane obce elementy: jeńcy wojenni ulokowani w rozbudowanej remizie strażackiej, pilnujący ich żołnierze w gospodzie; prawie pół setki uciekinierów — kobiet, starców i dzieci — w oczach Neubera wałęsające się próżniaki, które ich obżerały; no i bez mała setka dziewcząt ze Służby Pracy w barakach na północnych bagnach.

Neuber westchnął głęboko, niemal łkając, jak w ciężkim śnie. Wciąż jeszcze w miarę możliwości wykonywał najważniejszą pracę dla tej wsi. On — nie Eis. Eis reprezentował, panował, bogacił się gdziekolwiek i jakkolwiek się dało. On natomiast, Neuber, pozbawiony był wszelkiego zewnętrznego uznania czy osobistych korzyści — Bóg mu świadkiem.

Poza tym kilka osób w Maulen mogło poświadczyć, że jest uczciwy, przyzwoity, wielkoduszny. Gromadził już systematycznie tego rodzaju świadectwa.

' Gdy o tym myślał, doznawał pewnej satysfakcji, która jednak nie trwała długo. A już wcale w takim czasie jak obecnie, kiedy siedząc na ławce obserwował nocną krzątanicę na placu, notując sobie w myśli kobiety, które włoczyły się dokoła remizy, gdzie przebywali jeńcy wojenni. Te pozbawione czci, lubieżne baby! Wstyd i hańba! Najchętniej rzuciłby się na nie wyciągnął na światło dzienne, postawił przed

sądem. Próbował to kilkakrotnie zrobić, ale bez powodzenia — te suki były zwinniejsze niż on. A jeśli już którą schwytał — gryzły, kopały i drapały. Jak zwierzęta!

— To ty, Amadeus? — zapytał kobiecy głos z krzaków. - Tak ciężko dyszysz. Czy ktoś jest z tobą, czy też źle się czujesz?

— Nie zbliżaj się do mnie! — zawołał Neuber. Natychmiast poznaj ten głos — była to Christine Eis, córka Scharfkego. — Gdyby na zobaczyli o tej porze razem, mogłoby to wzbudzić fałszywe domysły.

— Nie bądź taki ważny — rzekła Christine pogardliwie i podeszła do niego. — Nie jestem małoletnia.

Neuber drgnął, słysząc tę mocną aluzję do jego niegdysiejszych przeważnie jednak estetycznych, słabostek. Było to jego najczulsze miejsce, przeszkoda w jego karierze, więcej — to były pęta, których nie mógł się pozbyć, dopóki taki Eugen Eis miał oświadczenie w tej sprawie złożone pod przysięgą. I prawdopodobnie rozmawiał o tym w łóżku ze swoją żoną Christine. Kto wie, z kim jeszcze. Nawet Schlaguweit, chichocząc, czynił ostatnio aluzje na ten temat. Był w rękach tych ludzi —: on, człowiek wykształcony, o artystycznych predyspozycjach, głęboko myślący...

— Czy to może twój mąż cię przysyła?

Christine zaśmiała się krótko i nieszczerze; Usiadła na ławce, oparła się i bez żenady wyciągnęła przed siebie nogi;

— Możesz być spokojny — powiedziała, — Nie mam zamiaru cię uwodzić, wiem przecież, że ciebie nie warto. I Eugen też o tym wie. Przypadkowo tędy przechodziłam.

Przypadkowo? Może pomyliłaś szkołę z remizą?

— Podaruj sobie te parszywe aluzje do jeńców, bo może ci to bokiem wyjść.

— Ależ proszę cię — zawołał Neuber błagalnie. — Przecież to był tylko żart.

— Ale kiepski żart Nie waż się tego powtarzać, bo mnie; po-pamiętasz.

Dobrze cię pamiętam — dociałby jej teraz Neuber. Ale nie chciał ryzykować, bał się o siebie. Zaszczebiotał więc słodko: — W, takich czasach jak dzisiejsze ludzie tacy jak my powinni się trzymać razem, i to mocno. Nie wolno nam dopuszczać do jakichś nieporozumień, Nie sądzisz?

— Nie sil się Wobec mnie na swoje pouczające gadki — rzekła jednak pojednawczo. Naprawdę przysłałam tu, żeby z tobą trochę porozmawiać.

Nie uwierzył jej, nigdy dotąd nie wykazywała takich chęci. Jeśli więc tu przyszła, chodziło przypuszczalnie o pozory, o celowe odwrócenie uwagi, może nawet o jakieś alibi. Kto wie, do czego zmierzało to cholerne babsko.

— Bardzo mnie to cieszy — zapewnił. — Czy Eugen znowu jest gdzieś w drodze? Ta służba bardzo go wyczerpuje.

Tak więc sobie gwarzyli i spoglądali w mrok. Głosy we wsi cichły, szeptały, gulgotały, skrzeczały, sapały, jęczały — wreszcie całkiem zamarły. Ale tylko na kilka chwil. W dali toczył się i stękał jakiś pociąg.

To stękanie szybko się wzmagало, aż przeszło w metaliczne skrzeczenie. Potem rozległ się przeraźliwy gwizd lokomotywy, a niebo rozplomieniło się ognistą czerwienią, która szybko opadła. Dziko narastający huk detonacji stłumił wszelkie odgłosy w Maulen. We wsi jakby zapadła martwa cisza.

— Co to było? — zapytała Christine bezbarwnym głosem. — Niestety — rzekł Amadeus Neuber prawie szeptem. — Może to sabotaż — partyzanci czy inne dranie? Do czego to doprowadzi?

- Jestem zmęczony — powiedział Alfons Materna.

— Nic dziwnego — odparł Jakub.

Poszli na nabożeństwo, żeby pokazać się we wsi.

Na pozór nikt nie zwrócił na nich szczególnej uwagi podczas kazania jednak niektórzy wierni częściej spoglądali na Maternę niż na pastora. Materna bowiem siedział w swojej ławce jak zagłębiany w myślach pokutnik, ale tylko dlatego, aby móc spokojnie drzemać. Ludzie z Maulen, szeptali sobie na ucho: — Podobno noc w noc okropnie pije!

Teraz Alfons i Jakub siedzieli w sadzie na ławce i patrzyli zadumani na Końskie Wzgórze. Złożyli ręce na brzuchu i czekali na obiad — czuli już aromat pieczonego prosiaka.

Niecałe trzy metry od nich leżał na łące Hermann, na boku, z rękami zaciśniętymi w pięści i przyłożonymi do głowy — jak bokser w postawie obronnej: prawa ręka przy podbródku, lewa na wysokości oka. Hermann chrapał cicho i nieregularnie.

Z kuchni dobiegały wesołe głosy — to zartowały uciekinierki zamieszkałe u Materny. Było ich dwie, oficjalnie, a więc zarejestrowane przyjął je do swego domu. Teraz przekomarzały się z jeńcami. Pierre Ambal widocznie czuł się w swoim żywiole — jego głos przypominał krzyk pawia, który właśnie rozpościera ogon.

Nikogo to nie dziwiło, bo wesołymi uciekinierkami były Hannelore Welser i Sabine Gäbler. Hannelore, która przez kilka lat mieszkała, w Berlinie, przy pierwszej nadarzającej się sposobności chętnie wróciła do Materny. Sabine, kiedy jej ojca, żandarma, oddelegowano do służby na okupowanych terenach, została wysłana do Nadrenii. Tam

przeżyła bombardowanie, po czym pozwolono jej wrócić do Maulen. Z tego powodu był szczególnie uszczęśliwiony Jabłoński. Tak uszczęśliwiony, że nawet to okazywał.

— Z czego one tak się cieszą? — rzekł teraz z lekką przyganą.

— Nie żałuj im.

— Ale przecież nasze dziewczyny są właściwie zaręczone.

— Z tego powodu nie muszą się ciągle smucić. Pomijając już, że nasze wojenne narzeczone nawet nie wiedzą dokładnie, z kim są zaręczone.

Był to znamieny dla Materny pomysł — stworzył stan nadziei i uspokojenia. Hannelore i Sabine przyrzekły wierność Peterowi Bachusowi i Konradowi Klingerowi, nie określając jednak, kto z kim utworzy parę.

Po prawej stronie Końskiego Wzgórza, na drodze z Gross-Grieben do Maulen, ukazała się ciężarówka — kołysząc się zdążyła do obejścia Materny; pomalowana w szaro-zielone plamy, ciężka, niezgrabna, groźna.

— Prawdopodobnie Wehrmacht — Jabłoński struchlał.

— Możliwe nawet, że to samochód SS.

— Trzeba się kryć! — zawołał Jakub.

— Zaczekajmy - rzekł Materna. — Ale należy poczynić odpowiednie przygotowania, na wszelki wypadek.

Jabłoński obudził Hermanna i kazał mu iść do domu. Przez okno zawołał: — Spokój, dziewczyny! Panowie do stodoły. Jak najszybciej ukryć wszelkie poniewierające się materiały. I być w pogotowiu!

Ciężarówka zbliżała się. Alfons miał rację: na tablicy rejestracyjnej były znaki SS. Za zakurzoną szybą ochronną widać było oficera i kierowcę, obaj w szarych mundurach.

— Otworzyć bramę — zarządził Materna.

Jabłoński zawahał się chwilę. Potem podszedł do ciężarówki, która zatrzymała się przed bramą, i otworzył ją szeroko. Ciężki samochód potoczył się do czekającego przy drzwiach Materny. Jakub zamknął oba skrzydła bramy — były z grubych, obitych blachą belek.

Oficer wyskoczył — ruchy miał zwinne jak tygrys, jego młoda, surowa, kanciasta twarz jakby płonęła. Podniósł niedbale rękę, markując niemieckie pozdrowienie; potem dał znak kierowcy,, który

zawrócił wóz, cofnął się tak, że jego tył znalazł się tuż przed wejściem do domu.

Teraz odrzucono plandekę. Opadła klapa i wysiadło dwóch ciężko uzbrojonych esesmanów. Ruchy mieli sztywne, zmęczone, ustawili się po lewej i prawej stronie. Potem pomogli wysiąść małemu, wycieńczonemu człowiekowi w pasiaku. Człowiek ten szedł szybko, z lekka się zataczając. Przygarbiony zbliżył się do Alfonsa. Wyciągnął ramiona i objął Maternę.

— Siegfried! — zawołał Materna ochryple. — Siegfried Grienspan!

Jakub Jabłoński podszedł bliżej nieufnie — zobaczył, że oficer się i śmieje. Esesmani odłożyli broń. Z wnętrza wozu wyszło dalszych pięć postaci, w takich samych pasiakach jak Grienspan.— Moje Sonderkommando — rzekł Siegfried Grienspan, wykonując szeroki gest. — Najnowsze osiągnięcie jednostki specjalnej Wollnau-Grienspan.

— Czy jesteśmy tutaj bezpieczni? — zapytał oficer, rozglądając się.

— Jesteśmy u mojego przyjaciela Alfonsa — oświadczył Grienspan.

— Gdzie mam ustawić ciężarówkę? — zapytał oficer. — W jakim kierunku się zabezpieczyć?

— Jakub o to zadba — zarządził Materna. Już od lat nie był tak uszczęśliwiony jak teraz, wprowadzając Grienspana do domu.

— Że też mogę cię znów zobaczyć! — rzekł już wewnątrz. — Jak się masz?

— Żyję — odparł Grienspan tak, jakby mówił o cudzie. — Maria także żyje. Stosownie do okoliczności ma się nie najgorzej, właściwie całkiem dobrze. Mam wrażenie, że z miesiąca na miesiąc czuje się coraz szczęśliwsza. Zaczyna sobie zdawać sprawę, że czas rozłąki zbliża się do końca.

— Mój Boże — powiedział Alfons z wdzięcznością, wyrażając w ten sposób to najważniejsze.

W domu Materny wydobyto na stół wszystko, co było w kuchni i w piwnicy, a było tego — nawet w tych czasach — niemało. Hannelore i Sabine otwierały wieki, puszki z konserwami i butelki. Upieczone na złocisty kolor prosię na razie pozostało w kuchni. Na stole piętrzyły się szynki i wędliny.

Jabłoński wspólnie z Ambalem i Bonnardem zajęli posterunki na zewnątrz. Obserwowali ulicę i teren; było prawie pewne, że nikt im nie przeszkodzi, bo w niedzielne południa w Maulen panowały zawsze spokój i cisza. Tutaj wciąż jeszcze każdy miał swoją kurę w garnku, przynajmniej ludzie ze wsi..Ale także jeńcy, strażnicy, dziewczyny ze

Przyjaciele Grienspana, serdecznie goszczeni przez Hermanna, otoczyli Hannelore i Sabine. Umundurowani esesmani siedzieli obok więźniów w pasiakach — widok, z którym dziewczętom i Hermannowi trudno się było oswoić. Podczas kiedy oni w kuchni się pożywiali, Siegfried objaśniał przyjacielowi swój najnowszy system.

W głowie Wollnaua zrodził się pomysł uformowania małej jednostki, która mogłaby się poruszać na tyłach możliwie bez przeszkód i z jak najdalej idącym poparciem. — Kommando SS z całą masą pełnomocnictw do wykonania ważnych zadań, do których, jak wiadomo z doświadczenia, nikt tak łatwo się nie wtrąca. Transport zbiegłych i złapanych podczas ucieczki więźniów z obozów — to właśnie jesteśmy my.

Jabłoński, zdumiony, pytał, skąd biorą uzbrojenie, materiały, pisemne pełnomocnictwa.

— Wszystko, co niezbędne — oświadczył Grienspan — wypożyczyliśmy w Polsce, w jednostce SS, tak więc jest gwarantowanie prawdziwe : papiery, mundury, ciężarówka, pistolety maszynowe, nawet pasiaki.— A ludzie?

- Oni także, pomijając pewne wynikające z obecnych warunków drobnostki. Tak więc nasz oficer jest naprawdę oficerem, porucznikiem, który zwiął z wojska dwudziestego lipca. Trzej żołnierze są albo byli wyćwiczonymi żołnierzami Wehrmachtu, z tym że jeden z nich jest tak zwanym dezerterskim, a inni politycznie prześladowani; należą do naszego związku już od miesięcy. A sześciu pozostałych jest prawie dokładnie tym, co sobą przedstawiają — długoletnimi bojownikami ruchu oporu, wśród nich ja — Żyd.

Co też musiałeś przeżyć! — rzekł Materna. Jestem twardy. I mam przyjaciół. Wtedy ty nie dałeś mi zginąć, Alfons. A dobrowolnie umrzeć chce się tylko jeden raz — albo zawsze. Ale ja nie należę do tych ostatnich. Tak więc żyję, jak się da. Ażeby móc żyć, muszę zabijać tych, którzy chcą mnie zabić — to proste.

Jakub postawił przed nimi butelkę francuskiego koniaku ze ściśle strzeżonych zapasów. Spoglądali na siebie uważnie, a zarazem z braterską czułością.

Stwierdzili, że się zestarzelili — sieć zmarszczek na ich twarzach pogłębiła się i rozgałęziła. Alfons patrzył ze wzruszeniem na

przerzedzone, siwe, szpeceniaste włosy przyjaciela. Siegfried widział zmęczenie w bladoniebieskich oczach Alfonsa.

— Wkrótce tego dokonamy — rzeki Grienspan.

— Tak, już niewiele brakuje — i będzie koniec.

Siegfried uniósł swój napełniony kieliszek pod światło —4- wino lśniło jak deszcz, który pada na młode listki brzozy. — Cieszę się na dzień, kiedy to my dwaj, ramię przy ramieniu, będziemy mogli iść przez wieś z tym cudownym uczuciem: to jest nasza ojczyzna.

— Jesteś marzycielem — rzekł Materna spokojnie i postawił swój kieliszek. — Bardzo możliwe, że dlatego przetrwałeś.

— Czyżbyś stracił wiarę, Alfons. Właśnie ty?

— Nie mam już żadnych iluzji — to wszystko. Nie potrafię już sobie wyobrazić, abym mógł kiedykolwiek w Maulen śpiewać czy tańczyć. Nie starcza mi wyobraźni, by wymalować sobie radość wielkiego święta czy nawet mazurską stypę.

Siegfried Grienspan potrząsnął siwą głową. Prawa ręka ujmowała pusty kielich niczym granat ręczny. — Chcesz powiedzieć: co się stało, to się nie odstanie. Słusznie. Ale istnieją przecież ci, co wyrównują rachunki — to my.

— Ale kim w gruncie rzeczy jesteśmy, Siegfried? Ludźmi którzy z zaciśniętymi pięściami rzucają się na czołgi. Dziećmi, którzy usiłują przejść przez bagno. Mrówkami pod podkutymi butami!

— Daj spokój, Alfons, ty już dosyć zrobiłeś. Więcej niż dosyć. Teraz możesz tylko odwlekać.

— Mógłbym takiego Eisa położyć na obie łopatki —• zaśmiał się Materna krótko. — Ale jego następca już się czai, a on jest jak skorpion. Ja zaś nie mam siły, by czuć się sędzią. Nie mam władczego i zarazem okrutnego charakteru.

— Pytanie tylko, czy tego rodzaju stanowisko nie przedłuży wojny?

— rzekł Grienspan.

Alfons potrząsnął głową i ponownie napełnił kieliszki.

— Ty widocznie wciąż jeszcze wierzysz, że istnieje na ziemi coś takiego jak wyrównująca sprawiedliwość. Wierzysz, że wina pociąga za sobą karę, prawda? Może w niebie.

— Wilki nie ujdą cało.

, — Wcale nie jestem tego pewien, Siegfried. Raczej się obawiam, że prędzej ocaleją niż owce. To już leży w naturze wilków.

— Dajmy temu spokój — powiedział Siegfried. — Nie przyjechałem, żeby się z tobą sprzeczać. Nie wymagam też, żebyś z nami działał —

proszę cię tylko o pomoc. Potrzeba nam żywności, paliwa środków opatrunkowych.

— Dostaniesz wszystko, co mam.

Grienspan skinął głową z wdzięcznością. — A poza tym jeszcze jedno, Alfons — mógłbyś może nam pomóc przez swoje specjalne powiązania. Wczoraj w nocy pod Gietrzwałdem wysadzono pociąg z amunicją. Wiesz, kto to zrobił? Chciałbym nawiązać kontakt z tą grupą. Czy wiesz może, dokąd mam się zwrócić?

Alfons Materna z uśmiechem skinął głową.

— Co to za ludzie?

— My — powiedział Materna.



Człowiek pije, kon żłopie;
na Mazurach jest odwrotnie — tak się tutaj mówi.
I jeszcze jedno:
ten może tutaj żyć, kto potrafi dużo znieść.

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedział Eugen Eis, wskazując szpicrutą na wolne krzesło przy biurku.

— To się dobrze składa — zapewnił Christian Scharfke, jego teść. Z ostentacyjnym spokojem usadowił się na krześle. — Ja także zamierzałem pewne rzeczy z tobą omówić, ale w ostatnich dniach byłeś stale w drodze.

— Miałem zajęcia — powiedział Eis z przyganą. Nie spodobał mu się lekki zarzut w głosie Scharfkego. Czyżby ten facet jeszcze nie zauważył, z kim ma do czynienia? Wobec tego trzeba mu to szybko uprzytomnić. — Może wątpisz, że stale jestem ogromnie zajęty?

Scharfke przełknął ślinę. — Ależ skąd — powiedział. — Mimo to byłoby mi miło, gdybyś mógł trochę ściślej ze mną współpracować.

— Coś ci się pomyliło — stwierdził Eugen. — To ty masz ze mną współpracować.

Spędził sobotni wieczór z dziewczętami ze Służby Pracy. W niedzielę był w sąsiedniej Ortsgruppe; tam wierni towarzysze partyjni otrzymali z jego rąk wojenne Krzyże Zasługi. Późniejsze godziny musiał poświęcić feldfeblowi Facklerowi i strażnikom. Tego dnia wypadł też wieczór koleżeński, który, jak zwykle, zakończył się wielkim pijaństwem.

— Tobie to dobrze, Scharfke, musisz dbać tylko o swoją gospodę i stale powiększający się majątek — o który zresztą ja się troszczę. Ja natomiast mam na karku kłopoty setek ludzi.

— Dajesz sobie z tym radę — zauważył Scharfke.

Eugen przesunął się nieco na swoim dygnitarskim fotelu. Był zmęczony. I zastanawiał się, czemu właściwie gada tak ogródkami. Czy musi? Nie z Scharfkiem. Ten dostarczył mu Christine, a to mu się stokrotnie opłaciło. Korzyści z Scharfkego były minimalne w porównaniu z tym, czego dokonała jego córka — Scharfke musi to sobie wreszcie uprzytomnić.

— No więc — rzekł Eis teraz rozkazująco — potrzebne mi będą w najbliższym czasie większe dostawy żywności. Dodatkowe racje dla naszych dziewcząt ze Służby Pracy. Zwłaszcza potrzebne będą jaja. Zatrószysz się o to.

— Ja? Dlaczego właśnie ja? Nic nie dam za darmo.

— To nie jest za darmo. To jest inwestycja, i to inwestycja bardzo opłacalna. Takie jest moje zdanie, a ono jest miarodajne.

— No tak, tak — przytaknął Scharfke. — Normalnie tak. Ale niestety już inaczej zadysponowałem.

— Coś ty zrobił? Czy to ma znaczyć, że robisz interesy, nie pytając mnie o zdanie? Rozporządzasz naszym mieniem?

— Byłeś nieosiągalny, Eugen — jak mówiłem. A to trzeba było szybko załatwić.

— Co?

— Otrzymujemy do Maulen depozyt żywnościowy, około dwóch, czterech ton. Ten depozyt będzie bezpośrednio pod moim, a więc naszym, nadzorem. Żywność składowana będzie w sali gospody. Najlepsze towary. Poza tym, jak mnie zapewniono, możliwy jest ubytek do około dziesięciu procent; No, to przecież nie byle co.

— Kto ci to wkręciła

— Hermann Matern| jako pełnomocnik okręgowy.

— Na jakich warunkach?

— No, potrzebne były pewne zabezpieczenia. Ale to zrozumiałe. Ręka rękę myje. Aby ten magazyn dostać,; musiałem iść na pewne ustępstwa.

Jakie?

— Nic szczególnego — - tylko dodatkowe dostawy żywności dla urzędu pełnomocnika okręgowego. W tym także jaja. Ale, jak sobie wyliczyłem, jest to całkiem opłacalne, bo dysponujemy teraz hodowlą drobiu Naschinskiego. Do tego dojdzie kilka ton mąki, ziemniaków i zboża siewnego. A w zamian za to dostaniemy setki skrzyń z żywnością w koncentratkach. No i powiedz sam: dobry interes, czy nie? Eugen Eis patrzył przed siebie z pozbawioną wyrazu twarzą. Jak gdyby przejrzał Scharfkego na wylot. I także ścianę, na której wisiał olejny obraz usiłujący odmalować piękno Jezior Mazurskich w kolorach jasnoniebieskim, jadowicie zielonym i brązowym. -

— No dobrze — powiedział tylko. — Możesz odejść.

Scharfke wstał, kolana się pod nim ugięły. Skrzekliwym głosem powiedział:

— Mam nadzieję, że nie zrozumiałeś mnie źle.

— Możesz mieć nadzieję — odparł Eis prawie obojętnie . f
Potem wezwał do siebie Schlaguweita.

Ernst Schlaguweit, zawsze gotowy służbista, zjawił się natychmiast. Zatrzymał się przy drzwiach, zasalutował, z lekka sapiąc, bo biegł na wezwanie.

— Melduję się na rozkaz!

Eugen Eis przyglądał mu się zamglonym wzrokiem denerwująco długo. Schlaguweit czuł, że wilgotnieją mu dłonie. Zastanawiał się, czy powinien mieć nieczyste sumienie — nie był tego tak zupełnie pewny.

— Chodź no tu — rzekł Eis. — Siadaj.

Schlaguweit odetchnął. Eis powiedział do niego ty , a u Eisa znaczyło to wyróżnienie. Usiadł pełen oczekiwania.

— Schlaguweit — odezwał się Eis, stawiając na stół butelkę wódki - poczęstuj się. Jesteś facet, na którym można polegać. Czy tak?
— Jeszcze jak, panie ortsruppenleiter!

— Partia to doceni. Taka wierność zostanie nagrodzona.

Schlaguweit nalał — usiłował dodać sobie wódką odwagi. Kiedy Eis mówił o wierności, to przeważnie planował jakąś podłość.

— Jestem wielkoduszny — rzekł ortsruppenleiter, sięgając również do butelki. — Dbam wzorowo o naszą wspólnotę. Kto do nas należy, jest uprawniony do pewnych przywilejów. Mimo to są tacy, którzy to wykorzystują — bezwstydnie, podstępnie, zbrodniczo!
No tak — powiedział Schlaguweit — są takie świnię.

Ale nie powinny być. Nie w naszych szeregach, Ernst.

— A kto jest tą świnią? Człowiek, któremu ufałem bez zastrzeżeń.

I który miał z tego korzyści, na jakie zasługiwałby ktoś godniejszy, na przykład człowiek twojego formatu. Zdradził mnie, sprzedał takiemu Maternie!

No nie! — zawołał Schlaguweit z największym oburzeniem i wznocnił się wódką.

Ale tak jest, Schlaguweit. Człowiek, któremu zaufaliśmy, w swej bezdennej podłości wydał temu Maternie wszystko, co z trudem zgromadziłem dla nas wszystkich, a więc i dla ciebie. Czy coś takiego może ujść bezkarnie?

— Kto to jest ten podły drań?

— Scharfke! — Eis badawczo przyglądał się swemu poplecznikowi.
— Mogę więc na tobie polegać?

— Całkowicie — rzekł Schlaguweit bezbarwnym głosem; niemal się trząsł.

SS-sturmbannführer Rattenhauet, pełnomocnik Kwatery Głównej Führera, wyznaczył zebranie w ratuszu w Olsztynie, pierwsze piętro na lewo, w małej sali posiedzeń.

Wezwał kreisleitera, landrata, majora żandarmerii i dwóch funkcjonariuszy policji kryminalnej — doświadczonych specjalistów aparatu śledczego. Poza tym zjawił się radca stanu Engel, odpowiedzialny za Urząd Spraw Wewnętrznych, a więc i za policję drogową.

— Jest to niesłychany skandal — stwierdził sturmbannführer na wstępie. — W ciągu ostatnich dwóch tygodni w naszym okręgu zaszły wypadki wręcz alarmujące.

Skinął na swego adiutanta, który zaczął monotonnym głosem czytać listę. Tak więc podpalono wóz gestapo; dokonano włamania do urzędu policji w Ostródzie; uwolniono dwóch zbrodniarzy politycznych z więzienia w Olsztynku; w dodatku zamordowano funkcjonariusza policji kryminalnej w Olsztynie.

— Ale nie dość na tym — rzekł sturmbannFührer. — To wysadzenie pociągu z amunicją pod Gietrzwałdem. Akcja niesłychana! W najbliższej odległości od Kwatery Głównej Führera! Co panowie mają do powiedzenia w tych sprawach?

Landrat oświadczył, że natychmiast wydał rozkaz wzmocnienia pogotowia alarmowego. Zapewnił, że major żandarmerii z miejsca to sprawdził, musi jednak zwrócić przy tym uwagę, że jego niestety nieliczni funkcjonariusze są już przeciążeni pracą. Także radca stanu Engel mógł dowieść na podstawie przedłożonych akt, że wydał rozkazy wzmożonej czujności i bezwzględного radykalnego działania. — Może to wszystko jest niewystarczające, nie dość sprawne, zbyt mało energiczne — rzekł z przyganą w głosie sturmbannFührer.

Kreisleiter pospiesznie mu przytaknął. Także landrat skinął głową i ostro spojrzął na radcę Engela.

Engel, różowy, o jowialnym wyglądzie biuralisty, w wieku około czterdziestki, rozumiał, że chcą na niego zwalić tę aferę, i dlatego opowiedział ostrożnie, wymijająco: — Moim zdaniem powinniśmy koordynować nasze zarządzenia.

— To nie wystarczy — zawołał sturmbannführer Rattenhauer energicznie. — Nie tylko koordynować, także zintensyfikować. Wszystko, co tylko możliwe, wprowadzić do akcji. Wszystkie rezerwy, jakie tylko da się zmobilizować. — I potem, jakby głosił coś ostatecznego, dodał: — To bezpośredni rozkaz Reichsführera!

W ten sposób pełnomocnik Führera powiedział właściwie wszystko, co miał do powiedzenia; Reszcie mieli załatwić obecni, Naradzali się;

przez trzy godziny. Wreszcie doszli do następującego wniosku: kierownictwo akcji obejmie Rattenhauer osobiście; przydzielonym mu, znającym teren referentem został radca stanu Engel; jego szefem; sztabu — major żandarmerii. Temu z kolei przydzielono dwóch doświadczonych funkcjonariuszy: jeden to były gestapowiec, drugi SA-Führer — ten ostatni w celu wyszkolenia jednostki policji pomocniczej, którą miano czasowo zmobilizować, uzbroić i wprowadzić do akcji.

— W związku z tym pozwolę sobie zauważyć, że na naszym terenie moglibyśmy w razie potrzeby dysponować niektórymi byłymi funkcjonariuszami policji. — Radca Engel sformułował swoją sugestię z pewną rezerwą. — Są wprawdzie na emeryturze, ale chyba jeszcze zdolni do służby.

— Dobrze — oświadczył Rattenhauer. — Powołamy tych ludzi. Nie możemy rezygnować z nikogo, kto ewentualnie byłby nam przydatny.

— Poza tym należy może wziąć pod uwagę także owych funkcjonariuszy kryminalnych, którzy obecnie, że tak powiem, zatrudnieni są nie w swojej specjalności, przeważnie w administracji. — Mówiąc to radca Engel nie patrzył na nikogo, raczej zaaferowany przeglądał swoje papiery.

— Co to za ludzie?

— Powiedzmy, że nie wykazali właściwego uznania dla rozwoju kierunku politycznego.

— Ach, co tam! — rzekł Rattenhauer. — Tu chodzi o obronę ojczyzny, a zatem i o służbę wojskową. A kto nie chce współpracować z nami w stu procentach, ryzykuje głowę. Jeśli więc o mnie chodzi — dajmy tym facetom ostatnią szansę wykazania się.

— Również takiemu Tantauowi? — zapytał radca łagodnie.

— Kto to jest ten Tantau? — zapytał SS-Führer. Przypomniał sobie to nazwisko. Kiedyś na pewno je słyszał, chyba w nieprzyjemnych okolicznościach.

— Był jednym z najlepszych pracowników w dziejach niemieckiej kryminalistyki — tak w każdym razie się twierdzi. — Engel bardzo ogólnie wypowiedział to zdanie. Wiedział, jak ostrożnie musi się teraz zachowywać. — Ten Tantau kierował przez długie lata w Berlinie Komisją Śledczą do Spraw Specjalnych. Z prawie fantastycznym powodzeniem, jak mówiono. A potem zupełnie nieoczekiwanie został przeniesiony; nie wiem, z jakiego powodu. Ale gdybyśmy mieli Tantaua, z pewnością można by liczyć na sukces. Powiadają, że on słyszy, jak trawa rośnie.

SturmbannFührer Rattenhauer połknął haczyk. Zapytał, gdzie ten Tantau obecnie się znajduje. W Królewcu — tam dawny komisarz kryminalny opracowuje zwykle administracyjne druki.

— Niech się natychmiast tu stawi! — Zapewniono go, że w ciągu trzech godzin Tantau może już być w Olsztynie.

Aby się zabezpieczyć, sturmbannführer Rattenhauer zadzwonił do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie i poprosił o połączenie z obergruppenführerem Mullerem.

Dowiedział się, że Muller nie miałby obiekcji co do zatrudnienia Tantaua, gdyby nie wchodziły w grę aspekty polityczne. Oczywiście, Rattenhauer powinien dokładnie przyjrzeć się Tantauowi — konieczna jest największa czujność. — Jedno jest pewne: kiedy ten już raz wpadnie na trop, nie wymknie mu się nikt, kto kiedykolwiek cokolwiek przeszkrobał. Niech się pan nad tym zastanowi, drogi Rattenhauer.

Sturmbannführer nie miał się co zastanawiać. Uważał, że chodzi tu bezwzględnie o przestępczy, a więc kryminalny element najgorszego gatunku — o sabotażystów, prawdopodobnie zorganizowanych. Cd' tam aspekty polityczne! Aspekt polityczny miało dziś wszystko. Puste słowa. Najważniejsze, że Tantau zapewni mu powodzenie w wykonaniu polecenia specjalnego.

Jestem człowiekiem ofensywy — oświadczył później landratowi podczas przedłużonego obiadu w ścisłym gronie. — Gęsta sieć i duża liczba naganiaczy, a do tego paru strzelców wyborowych — i pierze poleca.

Wspaniały apetyt Rattenhauera jeszcze się wzmógł, gdy zapewniono mu przydzielenie trzydziestu sześciu żandarmów pomocniczych. Dowiedział się podczas deseru, że przybędą prosto z obozu szkoleniowego w Giżycku.

A potem radca Engel zameldował mu przybycie Tantaua.

— Od razu go wyznaczę na przewodnika — oświadczył sturmbannführer i w dobrym humorze wszedł do małej sali posiedzeń.

Tutaj zastał istotę prawie karłowatą, w ubraniu, które na ramionach i plecach wybrzuszało się jak pęcherz — spodnie przypominały wymiętoszone worki lniane. Z tego tobołu ubrań wystawało coś jakby głowa żółwia z irytująco łagodnymi oczami.

— Czy to pan jest Tantau? — zapytał sturmbannFührer zdziwiony.

— Do usług — rzekł ten dziecięcym głosem, uśmiechając się. — Na imię mi Heinrich.

— Komisarz policji kryminalnej?

— Tak, według dowodu, - - Człowiek wysuwał siloje dokumenty

i chciał je podać Rattenhauerowi. — Obecnie zatrudniony w administracji w Głównym Urzędzie Statystyki.

— Został pan do mnie przydzielony.

— Jako statystyk?

— Jako funkcjonariusz kryminalny.

— Czy jest pan pewien, panie Rattenhauer, że nie zaszła tu pomyłka?

— Jestem sturmbannführerem, panie Tantau — skorygował go oficer SS ostrzegawczo.

— Stopnie służbowe — rzekł Tantau żałośnie — niepotrzebnie tylko obciążają moją pamięć; zmieniają się zbyt często. Nieraz aż irytują. Bo mnie na przykład wcale nie zależy na tym, by zwracano się do mnie: panie komisarzy .

Sturmbannführer odetchnął głęboko. Przez kilka sekund składał i rozkładał arkusz papieru. Tantau przyglądał mu się łagodnie.

Wreszcie Rattenhauer odezwał się: — Mam dla pana zadanie specjalne; będzie pan mógł wykazać przy tym swoje zdolności kryminalne. Niech pan dowiedzie, że naprawdę jest pan tym cudownym dzieckiem, za jakie pan uchodzi.

Wobec tego muszę pana ostrzec — w pana własnym interesie.

— Co, nie chce pan?

— Chcę zawsze — zapewnił Tantau uprzejmie. — Ale wydaje się, że nie ma pan o mnie dostatecznych informacji. — Gdyby tak było, to może wcale by pan sobie tego nie życzył.

— Człowieku — rzekł sturmbannführer groźnie — czy ma pan może zamiar robić mi trudności?

— Ależ, proszę pana! Kiedy właśnie chcę tego uniknąć. Czy wie pan, dlaczego zostałem jako komisarz policji kryminalnej zwolniony i, że tak powiem, unieszkodliwiony? Nie? No więc było dużo powodów. A oto jeden z nich: omal nie aresztowałem szefa sztabu SA za oszustwo, sprzeniewierzenie i sfalszowanie dokumentów. Wyszło to na jaw prawie przypadkowo. Jako produkt uboczny, że tak powiem, w procesie o morderstwo. Człowiek nie tak łatwo pozbywa się własnej skóry. Sądzę, że powinien pan o tym wiedzieć.

Sturmbannführer wcisnął głęboko ręce do kieszeni spodni i wysunął podbródek do przodu. Przyglądał się Tantauowi.. przy czym udawał ubawionego.

— Tym razem — rzekł z wyższością — w sprawie, z którą pod moim kierownictwem będzie pan miał do czynienia, nie mam żadnej porcelany, którą by pan mógł rozbić.

— Jest pan tego pewien? ? zapytał Tantau z melancholią..

— Ach, co tam! — zawołał Rattenhauer. — Musimy wykryć bandę zbrodniarzy. Są to kreatury, które już mają na sumieniu wiele istnień ludzkich, a więc mordercy!

— Zna pan — zapytał Tantau uprzejmie — teorię Globotnika dotyczącą dwudziestu czterech przesłanek, które prowadzą do owych czynów ogólnie zwanych morderstwami, chociaż nie w każdym wypadku nimi są?

— Tylko bez wykrętów, Tantau! Możemy sobie oszczędzić teoretycznej gadaniny, nie mamy ani chwili do stracenia. Niech więc się pan bierze do roboty.

— Jak pan uważa — rzekł Tantau, zacierając małe, delikatne ręce.

— Trzeba go usunąć z domu — zrzędził Jabłoński rozdrażniony.

Stał w stodole Alfonsa Materny. Ten badał właśnie jeden ze zmagazynowanych tu przez Grienspana pistoletów maszynowych. — Wydają się bardziej skomplikowane, niż są w istocie — stwierdził.

— Czy ty ogłuchłeś? — zapytał Jakub.

— Krzyczysz wystarczająco głośno — powiedział Alfons nieporuszony. W ogóle jesteś w ostatnim czasie zbyt hałaśliwy, powinieneś się pohamować. W przyszłości musimy zachowywać się ciszej niż dotąd. Chodzić na palcach.

— Powiedziałem, że on musi stąd zniknąć.

— Siadaj, Jakub, i posłuchaj: zamek jest niezwykle prosto zbudowany — ewentualny opór przy ładowaniu łatwo można usunąć. Precyzyjna brytyjska robota. Co prawda zużycie amunicji jest ogromne — jedna, dwie akcje i koniec naszego zapasu. A obawiam się, że na następny transport nie bardzo możemy liczyć. Tak więc będziemy musieli pozostać przy naszej starej metodzie — solidnej pracy ręcznej.

— Czy ty zechcesz mnie wreszcie posłuchać, czy nie?

— Nie, jeśli ci znowu chodzi o Pierre'a Ambala - - rzekł Materna..

— Czy tak?

Jakub skinął głową siadając na skrzyni. — Ten chłopak staje się coraz bardziej bezczelny — oświadczył.

— Wobec ciebie?

— Przede mną ma respekt, ale wobec dziewcząt w kuchni. Jak on się tam zachowuje, Alfons, to po prostu skandal!

Tego rodzaju podejrzania nie były dla Materny niczym nowym; bawiły go już od kilku dni. Zachowanie Jakuba jako obrońcy cnoty niewieściej było nie tylko zabawne, mogło być także nie całkiem

bezpieczne. Tego rodzaju kompleksy ojcowskie mogły doprowadzić do komplikacji. Tak więc Alfons powiedział poważnie:

— Posłuchaj, stary. Obie nasze dziewczyny są już pełnoletnie.

— Sabine nie! — zawołał Jakub. — To jeszcze prawie dziecko i jest pod moją opieką. Czuję się za nią odpowiedzialny. Czy masz coś przeciw temu?

— Absolutnie nie. Tylko że Sabine ukończyła tymczasem dziewiętnaście lat i jak dotąd nie dała do zrozumienia, że potrzeba jej twojej opieki. A już na pewno nie pod tym względem.

— Tak? Ten chłystek odważył się ją objąć i przytulić — przed chwilą w kuchni. Widziałem to wyraźnie przez okno.

— No i co? Czy się broniła? Czy wołała o pomoc?

— Ona zupełnie nie zdaje sobie sprawy, w co się wplątuje. Poza tym jest tak jakby zareczona. Wprawdzie ani Konrad, ani Peter nie są, moim zdaniem, wymarzonymi partnerami dla niej, choć tymczasem coś przyzwoitego z nich wyrosło — tylko że, niestety, nie znam nikogo lepszego. Ale ten Ambal w ogóle nie wchodzi w rachubę.

— Chłopie, kto cię o to pyta? Dziewczyny wiedzą, czego chcą. A takie objęcie może być po prostu niewinnym spontanicznym odruchem nastroju.

— Miejmy nadzieję — warknął Jakub. — W każdym razie w przyszłości nie będę tego tolerował!

Mój drogi — rzekł Alfons potrząsając głową — chciałbym mieć tylko takie kłopoty! Lepiej byś się zatroszczył o nasze materiały. Potrzeba nam zapasowych opon do rowerów, poza tym stelaży do plecaków. W przyszłości nasze bagaże podczas nocnych wypadów będą większe niż dotąd.

Rozległ się odgłos silnika; szybko się zbliżał. Jakub wstał. — To gruchot Hermanna.

Hermann Materna miał tylko parę minut. Przyjechał, by dostarczyć trzy kanistry benzyny, dwa karabiny i jedną raketę świetlną. Poza tym chciał powiadomić, że właśnie zdeponował w gospodzie pięć ciężarówek z żywnością.

— Żebyście widzieli twarz Scharfkego — powiedział. — Ale miał głupią minę! Chodzi o to, że wkręciłem mu od razu trzysta cetnarów. Skrzynie piętczą się w gospodzie pod sufit.

Alfons nastawił uszu. — Scharfke się nie ucieszył?

— Przeciwnie, aż się trząśł. Próbował nawet wszystko anulować. Ale było oczywiście za późno.

— Więc to Eis się sprzeciwia — stwierdził Materna, — To znaczy,

że czuje pismo nosem, i rozumie, że cały ten magazyn bynajmniej nie jest przyjacielskim darem. To zaskakujące, jaki on ma instynkt drapieźnika.

— Wystarczyło, że przeczytał rozkaz zarządu okręgowego, który mu przywozłem — Hermann podał ojcu kopię pisma. — Zgodnie z tym jest on osobiście, jako dygnitarz, odpowiedzialny za zabezpieczenie i strzeżenie magazynu. W ten sposób wpakowaliśmy mu jeża pod tyłek.

Materna był zadowolony. Nie szczędził synowi słów uznania. Potem rzekł: — Jak znam Eisa, on na tym nie poprzestanie. Na pewno zacznie działać. Ale co może zrobić?

— Może rozprawi się z Scharfkem — rzekł Hermann. — Bo Eis nigdy nie przebaczy samowoli, a już na pewno nie, jeśli to kula u nogi. Wtedy ktoś musi stać się kozłem ofiarnym. — Wyszczrzył zęby, co mu się rzadko zdarzało, i rzekł: — Eugen nie ma szczęścia do teściów.

Jabłoński skinął głową. — To zupełnie możliwe. Czy nie należałoby spróbować i wpakować kochanemu Eugenowi jeszcze kilku szpilek w tyłek? Może by tak napuścić naszego Pierre'a Ambala? On jest wielkim kobieciarzem. Prawie wszystkie baby we wsi na niego lecą, także ta zalotna Christine, żona Eisa.

— Skąd wiesz? — zapytał Alfons.

— Wszyscy o tym mówią — oświadczył Jakub. — Pierre sam mi opowiadał, że zwrócił uwagę na Christine. Kiedy szedł przez wieś, gapiała się na niego. Wybałuszyła oczy, powiada. On się na tym zna.

Czy nie dałoby się tego wykorzystać?

— To niebezpieczne — rzekł Alfons Materna zamyślony. — Poza tym cholernie trudno byłoby to przeprowadzić. Zanim coś takiego by się udało, musiałyby się niejedno zdarzyć. A może ktoś liczy na cud?

— Czemu nie? — powiedział Jakub. — Czy nie powiedziałeś kiedyś, że Maulen jest wciąż wsią o nieograniczonych możliwościach? Powoli sam zaczynam w to wierzyć.

Zbliżała się owa niedziela, kiedy to za dawnych lat obchodzono na Mazurach święto plonów. Zaczynało się wczesnyimi wstawaniem i kuflem piwa przed południem. Potem było nabożeństwo ku czci poległych, święto ludowe na łące, a wieczorem tańce w gospodzie. Tego dnia spożycie alkoholu było większe niż w każdym innym dniu w roku.

Co prawda spożycie alkoholu było zawsze ogromne. Bo chociaż

ilości wina i spirytualiów były bardzo ograniczone, choć niskoprocentowe piwo wyglądało jak pomyje i taki sam miało smak, to jednak prawie każdy mieszkaniec Maulen miał w kredensie flaszkę samogonu pędzonego z żyta czy ziemniaków.

Wprawdzie było to surowo zakazane i karane, lecz w Maulen nikt się tym nie przejmował. Nawet Eugen Eis respektował te, by tak rzec, uświęcone prawa. Zwłaszcza że sam szczerze korzystał z tej możliwości samozaopatrzenia.

Wódkę z ziemniaków pędzili przeważnie ludzie nie mający ziemi, a więc robotnicy, siły pomocnicze, niżsi urzędnicy, jak na przykład listonosz, oraz uciekinierzy.

Chłopi natomiast pędzili tradycyjnie wódkę ze zboża, przeważnie na własny użytek, czasami tylko odstępowali jedną albo dwie flaszki niższemu urzędnikowi, takim jak żandarm, niższego stopnia przywódcą partyjnym, jak Neuber, a ostatnio feldfeblowi Facklerowi, aby ten dostarczał taniej siły roboczej: jeńców wojennych.

Elita wsi, składająca się z Eugena Eisa i jego najbliższych współpracowników, dysponowała poza tym pewnymi zapasami pochodzącymi z łupów. Był tam koniak z Francji, wódka z Bałkanów, nawet szampan z Krymu.

Materna zaś produkował swoje słynne szlachetne wódki jeszcze. w czasach, kiedy nikomu się nawet nie śnił początek tysiącletniej Rzeszy.

Tak więc Maulen nie pozostawało bez duchowej pociechy nawet 'W czasach biedy 1944 roku, w dwunastym roku rządów Führera. O niejednym dało się w ten sposób zapomnieć, przynajmniej na kiótko. Ostatnio jednak okazało się, że spożycie alkoholu wzrosło — spodki pocieszające były coraz mniej skuteczne. Oszolomienie pijackie tafwało o wiele krócej niż następujący po nim kac.

— Będziemy obchodzić dożynki najprzyjemniej, jak tylko się da - oświadczył Alfons Materna. Przysunął do siebie mapę leżącą na stole, — I zakończymy ten dzień możliwie najsensowniej.

. — Czy to konieczne? — zapytał Jakub. — Czy nie chciałbyś przynajmniej dziś o wszystkim zapomnieć i poleniuchować?

— Właśnie dziś jest szczególnie dogodny dzień — rzekł Materna, patrząc na mapę. — Bo plonom, które zbierzemy, bardzo może się przydać specjalny klimat — w tym wypadku gęste opary wódki dokoła.

Jego palec wskazujący zatrzymał się na miejscowości Kurki, położonej na południe od jeziora Lasker. — Grienspan pozostawił mi dokładny szkic tej miejscowości. — Alfons wyciągnął arkusz papieru.

— A Hermann wrysował tu na skraju wsi, pomiędzy szosą, a lasem, mały czworokąt.

— Co to znaczy?

— Skład benzyny. Prawdopodobnie należy to już do obszaru Kwatery Głównej Führera. Pilnuje go kilku esesmanów. Oni też zapewne będą na swój sposób obchodzić święto płonów.

— Może byśmy nadrobili to innym razem? Ostatecznie mamy dziś gości, a w piecu pieką się dwie gęsi, które osobiście wybrałem. Mogą się zmarnować, a skład benzyny nam nie ucieknie.

— Wszystko w swoim czasie — zdecydował Materna.

Hannelore Welser i Sabine Gäbler czyniły wielkie przygotowania do świątecznej biesiady. Goście, o których wspomniał Jakub, siedzieli już w kuchni i wesoło rozmawiali. Byli to Peter Bachus i Konrad Klinger.

Obaj ukończyli już studia. Po krótkiej służbie wojskowej zostali powołani na front ojczyzniany. Jeden został przydzielony do poważnie już podobno chorego doktora Gensfleischa, drugi do kancelarii zaprzyjaźnionego z Materną adwokata Rogatzkiego w Olsztynie. To stosunkowo pomyślne powołanie do wojska było skutkiem licznych — zarówno zręcznych, jak i bynajmniej nietanich — układów, zabiegów i manewrów. Przyczynili się do tego: baron von der Brocken, Hermann i jego kreisleiter, poza tym tajni sympatycy radcy stanu Wollnaua, którzy wciąż jeszcze niby krety ze swych nor mogli coś zdziałać w miarę swoich możliwości.

— Jest to ostatnie święto płonów podczas tej wojny — rzekł Peter, z lubością wciągając aromat pieczonej gęsi.

— Kto wie, czy nie ostatnie, które obchodzimy na mazurskiej ziemi — powiedział Konrad. Napełnił przygotowane kieliszki — najpiękniejsze, jakie były w domu Materny: wyrzuszone, szerokie, ze szlifowanego kryształu, iskrzące się niebieskobiało, używane jedynie podczas świąt.

— Jeszcze tu nie skończyliśmy — powiedział Materna. Przepił do dziewcząt, które siedziały w milczeniu, potem do swych młodych przyjaciół. Z Jakubem trącili się kieliszkami. Potem Alfons rzekł, siłąc się na wesołość: — Marcin Luter, zdaje się, powiedział kiedyś: I gdybym nawet wiedział, że jutro będzie koniec świata, zasadziłbym dziś swoje drzewko.

Wszyscy mu przyklasnęli. Otoczyli go i zapomnieli na jakiś czas o tym, co się działo poza zagrodą, a co się wyraźnie do nich zbliżało, cp gnało kjh myśli niby szpicrutami wciąż w jednymi tym samym

kierunku: w stronę gęstego muru mgły. Co było poza nim? Zimne,, głębokie jezioro?

Alfons rozpałił ich wspomnienia, rozgrzewali się nimi. Obrazy jakby z innego świata — a przecież te czasy wcale nie były takie odległe — stawały przed nimi coraz wyraźniejsze, bardziej kuszące, niż zapewne były w rzeczywistości. Śmiali się.

Na znak Materny Hannelore nastawiła gramofon. Sabine wybrała płytę — wiedeńskiego walczyka. Podeszła do Jakuba, uśmiechnęła się, zgrabnie dygnęła: — Czy mogę pana prosić?

Jakub dziwnie czułym gestem objął niezgrabnym ramieniem swoją ulubienicę; majestatycznie, z dumą walcował z dziewczyną.

Tak śmiali się, tańczyli i rozmawiali cały dzień, aż zapadła noc. Wreszcie Alfons Materna wyciągnął z kieszeni zegarek i rzekł:

— Jakub i ja mamy zamiar zrobić jeszcze mały wypad, musicie nam wybaczyć.

Konrad i Peter wstali po krótkiej chwili wahania i zaproponowali, że pójda z nimi. Lecz Materna oświadczył stanowczo:

— Zostaniecie z naszymi pannami. Zależy nam z Jakubem, aby zabawić się na swój sposób. Ale sami — jeśli łaska.

— Jest już po dziesiątej — powiedział Eugen Eis ze smutkiem. — A tak mi trudno rozstać się z panią. Bo pani, droga Henriette, .roztacza tak niesłychanie czystą, można by powiedzieć: niesłychanie niemiecką, atmosferę!

Nie przyszedł z pustymi rękami, lecz z koszem drobiu. — To taki zwyczaj na Mazurach w dzień święta plonów — zapewnił. Powitano go z ogromną wdzięcznością.

— Może pan spokojnie jeszcze zostać — oświadczyła przywódczyni dziewcząt ze Służby Pracy. — Jeśli to panu tylko sprawia przyjemność. Eis zapewnił, że oczywiście sprawia mu przyjemność. Przy czym omijał spojrzeniem zarówno stojącą przed nim kawę, jak i siedzącą obok niego Henriette — i kawa, i dziewczyna wydawały mu się dziś szczególnie mdłe. Przyzwyczajony był do mocniejszych rzeczy!

— My tutaj — powiedziała Henriette, może ze względu na cienką kawę, w każdym razie z pełną dumy skromnością — prowadzimy życie na pozór puste, ale jakże pełne poczucia odpowiedzialności wobec wielkich zadań, które czekają nasze dziewczęta.

— Podziwiam panią! — zawołał Eis równie spontanicznie, Położył przy tym rękę na ramieniu Henriette, która nazywała się

Himmler, jak gdyby z gorącym, a jednak szlachetnie tłumionym uczuciem — poczuł grube płótno, żyły, kości, a wszystko było wilgo tno-ciepłe.

Szybko cofnął rękę, mrużąc jakieś usprawiedliwienie; Zaraz potem zapewnił jednak pełen zapału:

— Tak, podziwiam panią. I nie tylko jako kierowniczkę, ale także jako kobietę. Proszę, niech pani pozwoli się szczerze wypowiedzieć. Pani wuj, tak ogromnie poważany przeze mnie Reichsführer, może być z pani dumny.

Byli sami w biurze Henriette. Ale kilka dziewcząt wyższych rangą siedziało w pokoju obok, gawędząc i pijąc kawę, którą bardziej lub (mniej ukradkiem wzmacniały wódką. Tak zabezpieczony, mógł Eis bez ryzyka, jak sądził, uprawiać swoje poletko.

— Mam szczerą nadzieję — rzekła Henriette z dumą, mrugając bladoniebieskimi oczami — że mój poczciwy wuj Heinrich — pan wie, zawsze nazywam go Heini — będzie miał powody, żeby choć w jakimś stopniu być ze mnie zadowolony.

— Czy jest pani z nim w stałym kontakcie?

— Wuj Heini, rzecz jasna, jest zawsze ogromnie zajęty. Ale właśnie wczoraj kazał do mnie napisać — przez jednego ze swoich adiutantów, bo taki jest zapracowany. Zapowiada, że ma zamiar mnie odwiedzić. Jak tylko czas mu na to pozwoli i jeśli będzie gdzieś w pobliżu.

Eugen Eis sądził, że nic już tak łatwo nie zdoła nim wstrząsnąć, ale wyobrażenie, że mógłby tu, w Maulen, powitać Reichsführera SS, najpotężniejszego z potężnych — było po prostu oszałamiające. Zapało mu dech. Henriette sądziła, że jest to skutek jej osobistego uroku, i pochyliła się ku niemu. On cofnął się, unosząc ramię, nawet dość zrećnie, jeszcze raz zerknął na zegarek i zawołał: — Ach, jakże ten czas szybko mija w pani towarzystwie. Po prostu niewybaczalne, że tak długo panią...

— Ależ, proszę pana — rzekła szybko. — Dziś chętnie poświęcę panu mój czas.

— Bardzo serdecznie o to proszę — powiedział Eugen. — Sądzę, że pozwoli pani, abym spędził z nią czas do północy, i nie wydani się zbyt natarczywy. Ostatecznie mamy dziś święto plonów.

— Koledzy — powiedział Ernst Schlaguweit, przywódcą pozostałych w Maulen SA-manów, do swoich ludzi — jak wiecie; musimy teraz pilnować magazyn z żywnością. To wymaga od nas co prawda dużo

więcej pracy, ale nie powinno nas zniechęcać. Ażebyście wiedzieli, jakiego macie przywódcę, będę osobiście brał udział w pilnowaniu. Może nie tak regularnie, ale od czasu do czasu. Zaniemówiliście, co? Od razu dziś obejmuję służbę od dziesiątej do drugiej.

I oto stał na skraju placu w pobliżu drzwi do sali gospody i nasłuchiwał w mroku. Był uzbrojony — miał karabin, dwa granaty ręczne i sztylet oraz swoją specjalną broń, pocieszycielkę. Był to długi na łokieć szlauch ogrodowy nadziany na ołowianą rurę.

W gospodzie panowała cisza — na polecenie ortsruppenleitiera wyszynk tego dnia był zabroniony. Uzasadnienie: to nie jest odpowiedni czas, by obchodzić hałaśliwie święta.

Tego rodzaju nakazy były Scharfkemu bardzo na rękę. Na wyszynku alkoholu nie dało się już wiele zarobić. Jeśli tak dalej pójdzie, to chłanie w gospodzie będzie wkrótce przynosić tylko straty. Dlatego też Scharfke chętnie powitał patriotyczną decyzję partii i dla siebie osobiście przygotował trzy flaszki szampana z zapasów magazynu.

Ale tej nocy w wielu domach w Maulen tego chłano; na swoim samotnym posterunku Ernst Schlaguweit nie tylko o tym wiedział, ale i słyszał. Z niektórych domów dobiegały ryki, hałaśliwe śpiewy mężczyzn i jazgotliwe okrzyki kobiet. Strażnik słuchał tego pełen pogardy. A niech się bawią. On sposobi się do czynu!

Podszedł do okna, wiedział, że wewnątrz znajdował się Scharfke. Choć zapukał leciutko w szybę, uderzenia te rozniosły się w nocy głośnym dźwiękiem. Ale nikt go nie usłyszał oprócz Scharfkego.

Gospodarz otworzył okno, wychylił się i zapytał ochrypłym głosem:

— Kto tam? — Potem rozpoznał Schlaguweita i rzekł: — Chodź, Ernst, wejdz stary. U mnie szampan syczy aż miło. Gatunek prima sort. Z mojego magazynu. Jedna skrzynka została uszkodzona podczas transportu. No, co na to powiesz? Z kilku flaszek cieknie. Możesz także wziąć udział w tej uczcie.

— Jesteś urzęnięty jak świnia — stwierdził Schlaguweit zadowolony. — Wyjdz, na pewno chcesz się odlać.

— Mogę to zrobić przez okno — oświadczył Scharfke.

— Żebyś się nie ważył, ty bezwstydniku. Ja tu stoję, a jestem na służbie. Zrozumiano?

Scharfke zabczał śmiechem. — Nie krępuj się, nie musisz owijać w bawełnę, jeśli czegoś ode mnie chcesz. No, o co chodzi?

— Klucze do magazynu.

— Po moim trupie — oświadczył Scharfke, nie tracąc nic ze swojej pijackiej wesołości. — Chciałbyś, co?

— Idioto! — rzekł Schlaguweit. -To tylko ze względu na bezpieczeństwo. Słyszałem jakieś szmery w magazynie. Tam się chyba ktoś zakradł.

— Co? W moim magazynie? — Scharfke cofnął się od okna szybkim ruchem, podbiegł do kredensu, otworzył go i wyjął pęk kluczy — Schlaguweit mógł go przez okno dokładnie obserwować. Był to widok, który go ucieszył.

— Ja zabezpieczam tyły, Christian — oświadczył, kiedy Scharfke wyszedł na dwór.

— Masz karabin załadowany, odbezpieczony, Ernst?

— Mam w pogotowiu moją pocieszycielkę — to wystarczy na wszystkich możliwych wrogów narodu!

— Jeśli jakiś łajdak zechce zakraść się do mojego magazynii, zatłuczemy go. Zdaję się na ciebie.

— Możesz na mnie liczyć.

Dotarli do zamkniętych drzwi. Scharfke pochylił się, przyłożył ucho do desek i nasłuchiwał.

— Nic nie słyszę — szepnął.

— Włóż, włóż — zachęcał go Schlaguweit. — Jestem pewien, że oko ci zbieleje.

Scharfke szybko manipulował kluczami, otworzył drzwi i zajrzał do środka w ciemności. Schlaguweit zapalił latarkę kieszonkową — jaskrawe okrągłe światło zadrgało na wysoko spiętrzonych skrzynkach, na workach i kartonach.

— Musiałeś się pomylić. . .

;— Nigdy się nie mylę — rzeki Schlaguweit. -

Podniósł swój szlauch z ołowianą rurką, z całej siły uderzył w potylicę stojącego przed nim, pochylonego Scharfkego, który z krótkim jękiem runął na podłogę. Padło na niego światło. Drgnęły mu nogi jak śpiącemu psu, potem znieruchomiał.

— Jest już gotów — stwierdził Schlaguweit.

Zawłókł Scharfkego do stojącego z przodu stosu skrzyń. Tu położył go na brzuchu, wetknął mu butelkę szampana do ręki i cofnął się, badając ten widok.

Potem splunął w dłonie i zaczął wyciągać trzecią z sześciu skrzyń ustawionych jedna na drugiej. Udało mu się to po dłuższym wysiłku; ciężko dyszał.

Teraz górne skrzynie zaczęły się poruszać, zakotyły się i runęły! Początkowo był to odgłos przytłumiony, potem skrzynie spadały z ogromnym hałasem na leżące na podłodze Christiana Scharfkego,

Pokryły go. Strumienie czerwonego wina wyciekały przez popękane deski.

— Wypadek — rzekł Ernst Schlaguweit odsapnąwszy. — Jak na zamówienie.

— Gówniarze, ciamajdy! — zawołała Christine pogardliwie. — Wszyscy jesteście tacy sami. Udajecie chojraków, a jak przyjdzie co do czego, to kłapa!

Urażała tak feldfeblowi Facklerowi i jego obu podoficerom, Schlamkemu i Lufterowi. Oni także obchodzili dożynki — ortgruppenleiter zaprosił ich, ale sam był nieobecny; zastępowała go Christine. To było wielce obiecujące.

Fackler znał Christine bardzo dokładnie; miał ku temu kilka okazji. Często kręcił się po Maulen, a było powszechnie wiadomo, że nie gardzi smakołykami.

— Jeśli nie jesteśmy dla ciebie dość dobrzy — rzekł, udając ziewanie — to wystarczy nam tylko powiedzieć.

Christine już dawno straciła ostatnie hamulce. Przesypiała się gdzie, jak i z kim chciała. Eugen aprobował erotykę jako środek prowadzący do sukcesu. Nie przeszkadzał żonie, popierał jej wyczyny tego rodzaju.

. — Wszyscy jesteście tacy sami — powiedziała Christine, odchylając się. — Bydlaki!

' — Wypraszam sobie, jesteśmy podoficerami.

Poświadczył to jeden z dwóch mężczyzn siedzących przy niej. Przyciskali się do niej, błędząc rękami po jej ciele; Lufter czy Schlamke — obojętnie który. Zawsze można ich było traktować na przemian; mechanicznie i monotonicznie odrabiali swoje pensum.

. Jesteście obrzydliwi! — zawołała Christine gwałtownie. — Wszystko tu mnie mierzi.

--Takie humory — rzekł Fackler — mijają, kiedy się człowiek położy. Dlaczego się nie kładziesz?

Wziął swoją cytę. Miał bowiem ambicje artystyczne. Co prawda potrafił grać jedynie dwa — trzy kawałki na swoim instrumencie. Szczególnie lubił bawarskiego landlera; poza tym pewną ludową melodię, wreszcie szlagier, którego fragment właśnie zaprezentował, przebijając brzęczącymi strunami: *Gdy wątrobianki spadnie deszcz — i śnieżek kielbaskowy — zagości radość w sercu mym, do czynów jam gotowy.*

Przy tym, mrużąc z lekka oczy, obserwował to, co już często oglądał, choć zawsze wyglądało to tak samo: gęsto zastawiony meblami

pokój, gruby zielonkawy wełniany dywan, kanapa lśniąca jakby zakrzepłymi plamami krwi, z wysokim oparciem, zbyt głęboka, aby na niej siedzieć, zbyt wąska, aby na niej spać, a więc jakby zjeżdżalnia prowadząca prosto na dywan.

— Przytłumcie światło! — zarządził Fackler.

Zaczął przy tym ponownie intonować piosenkę ludową, drząc i jęcząc. Miał czas, bo noc była jeszcze długa, Eis zaś, jak zapowiedział, nie wróci przed północą.

— Nie wstyd wam? — zapytała Christine podoficerów.

— Niby czego? — odparł jeden z nich. — Dlaczego mamy się wstydzić, skoro mamy na sobie czyste koszule? Chcesz zobaczyć?

— Twoje draby nie mają manier — powiedziała Christine do Facklera. — Nie wiedzą, jak należy zabierać się do kobiet. Nikt tego tu nie wie. Ugniatają kobietę jak ciasto na chleb. Powinni brać przykład ze swoich jeńców wojennych. To nie żadne tam draby — to prawdziwi mężczyźni!

— Czy masz na myśli pewnego określonego jeńca? — zapytał Fackler, przy czym jego cytra zabrzęczała. — Może tego Ambala który wszystkim tutejszym babom zawrócił głowy albo grube tyłki, co na jedno wychodzi. Jego masz na myśli?

Ale Christine nie mogła już odpowiedzieć. Podoficerowie, którzy poczuli się urażeni w swym męskim honorze, zabrali się intensywniej do roboty. Christine, leżąc z zamkniętymi oczami, nie sprzeciwiała się. Fackler obserwując ich, brzęczał na cytrze, jakby skubał odpustową gęś.

Christine ześliznęła się, jak było do przewidzenia i jak już często wybróbowano, z kanapy na dywan. Oni zaś zerwali z niej odzież.

— Najpierw ja — oświadczył Fackler kłękając. Ostatecznie on był tutaj feldfeblem. To on otrzymał zaproszenie od pana domu, który dyskretnie się ulotnił; jemu zawdzięczano nastrojową muzykę. A więc porządek musi być.

Ale oto zjawił się Ernst Schlaguweit — wpadł nie pukając i zawołał:

— Nie chcę wam psuć zabawy, ale wszystko we właściwym czasie, koledzy. Ojciec Christine, nasz drogi Scharfke, uległ nieszczęśliwemu wypadkowi.

Ignaz Uschkurat, kiedyś ogromnie szanowany burmistrz Maulen, płakał. Bezgłośnie. Łzy spływały mu na wychudzoną skórę.

Oczywiście, Uschkurat był pijany — jak prawie każdy w Maulen tej nocy. Ale jemu groziło, że zostanie nałogowym pijakiem.

Z pięciu synów Uschkurata trzech poległo, jeden zdezerterował. Ostatni jeszcze pracował — gderliwy, leniwy, krnąbrny, zaczajony na swoim gospodarstwie. Umarła także jego żona — otruła się truczką na szczury. Wymieszaną z grogiem wypłała podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia.

— Teraz zostałem sam jak palec — rzekł Ignaz przed siebie. .

— Głowa do góry — powiedział Amadeus Neuber. — Nie powinieneś tak rozpaczać. Jestem jeszcze ja.

— Ty? — Pełen nadziei i pogardy Uschkurat spojrział na niego zamglonymi oczami wzrokiem. — Jesteś taki sam jak wszyscy.

— Nie mów tak — powiedział Amadeus łagodnie. — Chociaż przyzwyczaiłem się do tego, że mnie nie doceniają, wcale mi to łatwo nie przychodzi.

— A czy coś zrobiłeś, kiedy pozbawiano mnie wszystkich urzędów?

— Byłem temu przeciwny, Ignaz.

— Ale nie odezwałeś się ani słowem, nie zrobiłeś nic, aby się temu przeciwstawić. Nawet wtedy, kiedy kawałek po kawałku zabierano mi moją własność, bydło, zboże, lasek. Moją żonę także mają na sumieniu. Moich synów też. A ty, Neuber, co — może się wstawiłeś za mną?

— Nikt bardziej niż ja nie żałuje tego, co się stało, Uschkurat. Ale jak ja mogę ci pomóc, skoro ty sam siedzisz z założonymi rękami?

— A co mam robić? Zabić Eisa, a w dodatku Schlaguweita? I jeszcze z tuzin innych? Ciebie także. Inaczej wszystko na nic.

— No, mógłbyś złożyć doniesienie. Zupełnie oficjalnie. Ja bylina nawet w tym pomógł — mam na myśli redagowanie tego donosu. Oczywiście, nikt nie powinien się na razie o tym dowiedzieć, że jestem po twojej stronie. Rozumiesz? Nie jestem tu żadną władzą, jeszcze nie.

— I sądzisz, że to ma jakiś sens — takie doniesienie?

- - Zapytaj Materny! Ale nie mów mu, że to ja ci powiedziałem.

— Już go pytałem — przyznał się Uschkurat.

— No i co on na to?

Za swoją głupotę, za swoją słabość, za swoje błędy każdy człowiek musi kiedyś zapłacić — to między innymi powiedział Materna. A także i to: Kto przegrywa swoje z trudem zdobyte dobro, kto wypiera się swych poglądów, sprzedaje swoją duszę — ten tak czy siak jest nędznym kundlem na uwięzi .

Uschkurat jednak nie przyznał się do tego, mruknął tylko:

— Nic nie powiedział, ma własne zmartwienia. - I nagle, wybałuszając oczy, jak gdyby nagle go olśniło, dodał: ~ Co ze mnie za nędzne, biedne bydlę, udręczona kreatura na uwięzi! — I znowu zapłakał.

Amadeus nie próbował go uspokajać, przyglądał się swoim dłoniom; uważał, że mają szlachetny kształt: lubił na nie patrzeć. Były prawie, tak drobne jak rączki tej małej dziewczynki - uciekinierki, którą, oczywiście z matką, przygarnął do swojego mieszkania. Myśl o przylepnym dziecku nastroiła go życzliwie.

Po dłuższej przerwie powiedział:

— Ignaz, co właściwie masz jeszcze do strafcenia? Na pewno nie więcej, niż dotąd straciłeś.

— To prawda — zawołał Uschkurat prostując się. — Ale mogę dostać się do więzienia, jeśli doniosę na Eugena Eisa. Sam mi to powiedziałeś.

— Coś takiego można wytłumaczyć jako przymus, szantaż albo groźbę — oświadczył Neuber. — Jeszcze jedno przestępstwo, i to nic byle jakie — jeśli tylko właściwie to ujmiesz. Z moją pomocą.

— Mój Boże — powiedział Uschkurat z wahaniem — to jest niebezpieczne, muszę się dobrze zastanowić... — Wstał i zataczając się poszedł do drzwi. — Ale jedno ci powiem, Neuber: wewnątrz mnie, głęboko, pali się. Płonie żądza sprawiedliwości.

Pięknie! — zawołał Neuber pełen otuchy. — Znam całą masę ludzi w Maulen, którzy cię pobłogosławią, jeśli wreszcie zachowasz się jak mężczyzna. Pomyśl tylko o dawnych czasach, Ignaz. Wtedy ludzie spoglądali na ciebie z szacunkiem. Mówili: do tego człowieka można mieć zaufanie!

Uschkurat skinął głową i opuścił budynek szkolny. Na drżących kolanach powłókł się na ukos przez plac w stronę buków rosnących przy murze cmentarnym. Przy jednym z tych drzew zostawił butelkę wódki. Nie pamiętał już dokładnie, przy którym.

Toteż ukląkł i na czworakach zaczął okrążyć buki; Przy trzecim znalazł butelkę. Potoczył się do pnia, oparł, wyciągnął nogi i zaczął pić.

Tępo gapił się w przytłaczającą, parną noc. Magicznie lśniące niebo jakby wisiało nisko nad wsią. Zdawało mu się, że w gałęziach drzew słyszy jedwabisty szelest. Szarpnięciem odpiął koszulę na piersi i jęknął. Kiedy znowu podniósł butelkę, a więc i głowę, nagle błysnęło

i oświetliło Maulen, plac, buki, mur cmentarny — i wtedy ujrzał Ignaz człowieka opartego o mur, który spoglądał w jego stronę. Był chudy miał bladą twarz, którą wyraźnie i jaskrawo rozświetlała błyskawica.

— Grienspan! — zawołał Ignaz Uschkurat.

Zawołał w zapadający teraz nocny mrok. Potem przekręcił się, uniósł i zataczając się ruszył w stronę cmentarnego muru. Obmacał go płaskimi dłońmi. — Gdzie jesteś? — gulgotał. — Gdzie jesteś, Grienspan?

Ale nie było odpowiedzi. Nikt się nie pokazał.

Uschkurat zatrzymał się przy murze, z uniesionymi wciąż jeszcze rękami. Drżał na całym ciele jak w gorączce. Potem popędził, ile sił w nogach, zadyszany, w stronę szkoły. Gwałtownie otworzył drzwi do pokoju Neubera i zawołał:

— Widziałem go, zupełnie wyraźnie! Staj przede mną. To był Grienspan!

Amadeus spojrział na niego niechętnie — chciał właśnie zajrzeć do śpiącej maiej uciekinierki Dziewczynka przeważnie spała niespokojnie i zrzucała z siebie kołdrę. Wówczas przykrywał ją delikatnie, układając w wygodniejszej pozycji. Zawsze z góry cieszył się na ten miły widok.

— Kogo niby to widziałeś?

Uschkurat zaczął gorączkowo mówić:

— Grienspan! A może to było jeszcze nie za twoich czasów? Siegfried Grienspan z Olsztyna. Handlarz bydła, Żyd. Znikł mniej więcej przed dziesięciu laty. A przed chwilą stał przy murze cmentarnym i patrzył na mnie — aż mnie ciarki przeszły! Skąd się tutaj wziął? To przecież musi coś znaczyć?

— To znaczy — rzekł Amadeus Neuber zimno — że jesteś w sztok urżnięty. Widzisz duchy.

— Ale przysięgam na Boga, jeśli ci mówię...

- Jesteś dobrze trącony — ofuknął go Neuber rozczarowany i z pogardą. Z tym zapijaczonym wariatem nic się nie da zrobić, pomyślał. Mylił się sądząc, że uda mu się napuścić go na Eisa. Ogarnęła go wściekłość.

— Wynoś się i stul pysk, jeśli nie chcesz wylądować w Kortowee.

W Kortowie koło Olsztyna był zakład dla umysłowo chorych.

Każdy we wsi znał to powiedzonko: Kto podskakuje — wyląduje w Olsztynie, kto zanadto podskakuje, wyląduje w Kortowie. Kiedy Ignaz Uschkurat to usłyszał, zwiesił głowę i wyszedł.

Alfons Materna leżał w wysokiej trawie i patrzył na gwiazdy. Słyszał rytmiczne, melodyjne kumkanie żab, a w przerwach pijackie ryki męskie.

Jakub Jabłoński leżał obok niego na brzuchu, oparty na łokciach, i obserwował okolicę. Spoglądał w stronę baraków, położonych niewiele dalej niż o sto metrów, na łąkę pomiędzy laskiem a szosą. Tam wciąż jeszcze paliło się światło w wielu domach, a muzyka radiowa płynęła w noc zmieszana z ryczącymi głosami. Rozlegały się śmiechy.

Potem na przeciąg sekund, ułamków sekund, trwała ciężka, czarna, czająca się cisza. Czasami słychać było kroki wartownika, terkot motoru gdzieś w oddali. Ale hałasy z baraku szybko to zagłuszyły.

Ładunki wybuchowe zostały założone. Było ich dwa; jeden — wsunięty za pomocą długiej deski przez drut kolczasty, znalazł się przy spiętrzonych beczkach z benzyną; drugi przymocowano do poprzecznej belki małego mostku, który prowadził przez rzekę — jedynej drogi do magazynu, a więc i powrotnej. Zapalniki były założone, kończyły się kablem w aparacie wielkości kuchennego budzika, który leżał obok Alfonsa. Otrzymał go od Grienspana, ten od polskich partyzantów, a ci z kolei — od brytyjskich oddziałów sabotażowych, którym zrzucili to spadochroniarze — Madę in USA.

— Czekamy i czekamy. Przecież to zupełnie zbędne.

Jest dopiero po północy oświadczył Alfons. — Przed niespełna dziesięcioma minutami była zmiana warty, on nie jest jeszcze dość zmęczony. A te inne draby w baraku niech się jeszcze bardziej uchylają. To sprzyja naszej akcji.

Ich rowery stały gotowe. Odwrót przez pola. Trasa — bocznymi ścieżkami na przełaj przez las - była dokładnie ustalona. Zachowując wszelkie środki ostrożności, powinni przebyć drogę do Maulen w ciągu około trzech godzin.

— Przecież to wszystko nie takie ważne. Podpał wreszcie ładunki

— nalegał Jakub.

— Nie chcę — rzekł Alfons patrząc w niebo.

— Co to ma znaczyć?

Ciężko mi to przychodzi — rzekł Alfons, a jego głos ledwo było słychać. — Cholernie ciężko. Ale co mam robić?

Jakub Jabłoński był zdumiony. — Co się z tobą dzieje? Robisz w portki, właśnie ty?

— Chciałem tylko żyć — powiedział Alfons. — Żyć możliwie

najprzyjemniej najweselej. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze pragnęłam radości, pogody. I co z tego wyszło? Teraz leżę tutaj! Dlaczego muszę tu leżeć, Jakubie?

— Ja także się o to pytam! Wystarczy, żebyś przekręcił drążek i możemy wreszcie stąd zwiewać.

Alfons Materna przekręcił drążek. Dwa ogniste grzyby wystrzeliły w niebo — jeden koło mostku, opadł z drżącym trzaskiem; drugi przy barakach z benzyną — rozplomienił się, pękł, rozprzestrzenił się wszczęd i w górę, wydawało się, że zaryczał, nabrał barwy, płomienia, jaskrawej żółci, pianistej bieli.

— No to już — powiedział Alfons Materna.



Człowiek może stracić wszystko opowiadają Mazurzy
ojca, matkę, nawet portki,
ale nie powinien tracić spokoju.

— Zbyt powoli pan działa — skonstatował radca stanu Engel z wyrzutem. — Tymczasem znowu jeden magazyn z benzyną wyleciał w powietrze.

— Wiem — odparł Tantau łagodnie, nie podnosząc wzroku znad papierów.

— No i co dalej? Jak pan zamierza temu zaradzić?

— Czego pan właściwie ode mnie oczekuje? — Komisarz policji kryminalnej zachichotał. — Czy sądzi pan może, że potrafię anulować ten wybuch? Panie Engel, niezbyt wiele wiem o tych Prusach Wschodnich, zostałem tu tylko przeniesiony karnie. Ale coś w tym dziwnym kraju szybko zwróciło moją uwagę — rzadko myśli się tu konsekwentnie i logicznie, przeważa tu dziwna zakłamaną wyobraźnia, zwłaszcza na Mazurach. To wcale nie ułatwia mi pracy.

— Czy to znaczy, że pan z góry kapituluje?

Radca stanu Engel miał kłopoty. Bo sturmbannführer Rattenhauer go ponaglał, chciał wreszcie ujrzeć jakieś namacalne rezultaty działania, i zrzucał odpowiedzialność na Engela.

— Jeśli o mnie chodzi — rzekł Tantau, bawiąc się cyrklem — chciałbym, żeby doszło jeszcze do kilku tego rodzaju wybuchów i akcji.

— Co pan ma na myśli?

Komisarz uniósł swoją pogodną twarz: — Oczywiście, nie jestem tu po to, by przyspieszać awansowanie innych osób czy też umacniać ich pozycję. Chciałbym, jeśli pan pozwoli, postawić jasno tę sprawę. Nie pracuję ani na rzecz pana, panie Engel, ani na rzecz pana Rattenhauera. Czy się rozumiemy?

— Coś podobnego! — powiedział radca siadając. — Przecież nikt tego od pana nie wymaga.

— Może nie wymaga, ale się spodziewa, i właśnie przed tym pragnę ostrzec. — Engel przyglądał się tej karłowatej, gładko wygolonej postaci z rosnącym niepokojem. Ten Tantau tkwił jui od wielu dni

przy swoim biurku, czytał raporty, meldunki, zeznania, robił notatki, wykonywał szkice, manipulował linijką i cyrkle. Nie mówił nic. Nie dawał żadnych poleceń. Tylko kiwał głową przy każdym ustnym zeznaniu, a kiedy pytano go o zdanie — w dość głupi sposób szczyrzył zęby.

— Zapewniono mnie — rzekł Engel rozczarowany — że na ogół wykonuje pan pracę szybko i gruntownie.

— Ale to bynajmniej nie daje żadnych gwarancji. Poza tym pragnę zwrócić uwagę, że moje sukcesy zawdzięczam stosowaniu własnych metod.

— Ależ ma pan całkowicie wolną rękę! — zawołał radca błagalnie. — Jest pan u nas jeszcze bardziej nieskrępowany niż kiedykolwiek w Berlinie. Nie musi pan z nikim się liczyć.

— Wcale też nie mam zamiaru.

— Panie Tantau — powiedział radca — jeśli pan pozwoli, przypomnę panu sprawę Gerschkego, mordercy, który napadał na parki miłosne, obrabowywał je i w pięciu przypadkach zamordował.

— W siedmiu — sprostował Tantau.

— Policja kryminalna przez długie miesiące prowadziła śledztwo bez skutku, aż panu przekazano tę sprawę. Pan wykrył mordercę w ciągu niewielu tygodni.

— W ciągu osiemnastu dni.

— Podobnie było z napadami rabunkowymi na kasy kin w Berlinie, z morderstwami na tle seksualnym w Dusseldorfie i zbrodnią podczas alarmu lotniczego w Hamburgu — wówczas mąż pozbył się żony i trojga dzieci, aby ożenić się z inną kobietą. Ile czasu zajmowało panu wykrycie tych zbrodniarzy? Zawsze tylko parę tygodni!

— W Hamburgu przebywałem tylko trzy dni, z tego dwa, by odwiedzić mego przyjaciela, mistrza w wędzeniu węgorki!

Tantau uśmiechnął się z błogością. — A wie pan, na czym polegała jego tajemnica? Chodziło o preparowanie węgorki — smarował je kilkakrotnie pastą własnej roboty, składającą się z masła, oliwy i ziół. Miały wspaniały smak.

— Pewnie, pewnie — rzekł Engel zastanawiając się, jak pohamować entuzjazm Tantaua.

Ale ten kontynuował swoje kulinarne wywody: — Dokładny przepis chciał mi zapisać w testamencie, ale zginął przed kilkoma miesiącami w czasie nalotu lotniczego — był zupełnie zwęglony, a przepis miał przy sobie. Obawiam się, że nigdy już nie będę jadł tak wspaniałego wędzonego węgorka.

— Niech pan posłucha - — rzekł radca Engel bez ogródek. —

Tracimy cenny czas na puste pogaduszki. Czy możemy sobie na to pozwolić?

— Jak najbardziej — odparł Tantau. — Muszę przeczekać co najmniej dwie albo jeszcze lepiej trzy akcje naszych przyjaciół.

— Ale to może potrwać całe tygodnie!

— Może nawet miesiące; któż może dokładnie wiedzieć, jak długo to potrwa. A może tylko kilka dni — jeśli dostanę do rąk dowody, z którymi będę mógł coś począć, na przykład nie tylko resztki ładunków wybuchowych obcej produkcji, lecz — powiedzmy — także osobiste przedmioty, takie jak sztuki odzieży czy rower. Najlepiej oczywiście zgubiony dowód osobisty.

Tantau zaśmiał się pod nosem. Engel nerwowo wiercił się w fotelu.

— Ta sprawa daje mi się mocno we znaki — przyznał.

— Niech się pan pocieszy — rzekł Tantau. — Niech pan pomyśli, że pan Rattenhauer także nie czuje się zbyt dobrze w swojej skórze. To uspokaja, prawda? I niech pan spokojnie liczy na jakiś cud. Bo one zdarzają się na naszym podwórku, proszę mi wierzyć!

— Ale co mam dalej meldować? — zapytał Engel.

— Może pan podawać taki argument: na ogół istnieją jakieś powiązania między przestępcą a jego ofiarą, chociaż wydają się czasami zupełnie przypadkowe. Tak więc w wypadku morderstwa, napadów i tym podobnych przestępstw czyn pozwala wnioskować, kim jest sprawca, bo sprawca niczym w lustrze odbija się w swoim czynie. Przypadek albo los, cokolwiek wchodzi w grę, a uwzględniając okazję do czynu — decydujące są predyspozycje sprawcy.

— Rozumiem. Ale właśnie to, według pana, tu nie wchodzi w rachubę, w każdym razie nie w stu procentach.

— Widzę, że pan naprawdę zrozumiał. Akcje, z którymi tu mamy do czynienia, przeważnie sabotaże, niekoniecznie muszą wskazywać na skłonności kryminalne albo nawet na predyspozycje sprawcy. Może tu chodzić o partyzantów, o jednostki sabotażowe albo o grupy tutejszych ludzi — doskonała znajomość terenu wyraźnie na to wskazuje. Jeśli tak, to być może mamy tu do czynienia ze sprawcami, których działaniem kierują motywy natury moralnej, etycznej.

— Niech pan nigdy nie zdradzi się przed Rattenhauerem z takimi teoriami.

— Będzie musiał się nimi zająć. — Tantau przysunął mapę, która pokryta była gęsto liniami i kołami; spoglądał na nią niemal czule. — Ten całkowicie nieobliczalny czynnik - człowiek z Kantowskim prawem moralnym w głowie i pistoletem w dłoni — może utrudnić

pracę nawet doświadczonemu detektywowi. Mimo to akcje, jeśli się powtarzają, są uchwytne, dają się analizować, pozostawiają na dłuższą metę ślady, choćby najmniejsze.

— Czy może jest już pan na tropie? — zawołał Engel z zachwytem.

— Może. Niech pan spojrzy. Te czerwone koła oznaczają miejsca akcji, otaczające je niebieskie — prawdopodobny zakres dróg dojścia i ucieczek, obliczony czas trwania drogi rowerem, na przełaj, nocą, mniej więcej do dziesięciu kilometrów na godzinę. A teraz niech pan uważa Moja teoria numer jeden: sprawcy, prawdopodobnie inteligentni, zdecydowani ludzie, na pewno nie przeprowadzają akcji w bezpośrednim pobliżu miejsca zamieszkania, raczej możliwie najdalej, ale też niezbyt daleko stamtąd.

— Wspaniale! Pana linie i koła oznaczają więc teren, na którym należy szukać sprawców?

— To według mojej teorii numer jeden. Mam jednak co najmniej trzy teorie. Z tych pierwsza jest, jak wynika z doświadczenia, najbardziej przydatna. Ażeby pana uspokoić jeszcze bardziej, jeśli odczuje to pan jako uspokojenie — musimy tu szukać ludzi z charakterem i o pewnych przekonaniach. A w tych czasach chyba nie jest to takie trudne, co?

Radca Engel puścił to mimo uszu. Patrzył na mapę, tam, gdzie linia i koła się przecinały. Jak promienie łączyły się i koncentrowały w jednym punkcie.

Był to teren, na którym znajdowały się Siegwalde, Gross-Grieben i Maulen.,

— Ostrzegam cię — rzekł Eis do Christine. — Wybij sobie z głowy te głupie myśli. Bardzo źle byś na tym wyszła.

Christine nic nie odpowiedziała, jak gdyby nie słyszała męża, jakby nie widziała go — od chwili, kiedy zawiadomiono ją o śmierci ojca.

— Czy z nikim nie rozmawiasz? — zapytał Eugen. Patrzył na żonę badawczo, naciągając szelki. — Powinnaś sobie kupić nową suknię z czarnego jedwabiu. Winnaś to swemu drogiemu ojcu. Zapłaciłbym za to naturalnie, nawet żywnością. Tyle warta jest dla mnie ostatecznie pamięć Christiana.

Teraz spojrzała na niego — wielkimi, ciemnymi, groźnymi oczami. Przez sekundę. W milczeniu.

— No? — rzekł wyzywająco, zaniepokojony. — Powiedz wreszcie, co myślisz; w cztery oczy, możesz sobie na to pozwolić;

Gwałtownie się odwróciła i poprawiła włosy. W lustrze widziała tylko siebie i ten widok napawał ją wstrętem.

— Milczysz — w porządku! Może to najlepsze, co mogłabyś zrobić. Jesteś w żalobie, zamykasz się w milczeniu. Na cmentarzu to zrobi nieźle wrażenie. Wystarczy, że będziesz stała, trzymając mnie pod rękę — ja sam będę mówił.

Groźne spojrzenie Christine badało jego twarz: stał tuż za nią.

— Posłuchaj mnie uważnie — rzekł. — Możesz mnie podejrzewać, o co chcesz, możesz nawet powiedzieć mi to prosto w oczy, ale gdybyś się ważyła powiedzieć to komuś trzeciemu, to szybko zrozumiesz, żg potrafię zrobić nawet coś więcej.

I nie czekając na odpowiedź, dodał wkładając swoją złotobrazolpą odświętną kurtkę mundurową: — Mój smutek jest szczery, głęboki, i nie radzę nikomu w to wątpić. Nikt nie ponosi winy za śmierć Christiana Scharfkego, a już ja najmniej. Byłem zajęty gdzie indziej, są na to świadkowie. Był to nieszczęśliwy wypadek podczas wykonywania ważnych obowiązków na rzecz wojny. Taki jest stan rzeczy — zrozumiałaś?

Spojrzał na zegarek i rękawem przetarł do blasku swój Krzyż Zasługi pierwszej klasy. Potem chwycił Christine za ramię i energicznie nią potrząsnął. — Jeśli się nie weźmiesz w garść, może w szybkim tempie odbyć się następny pogrzeb. Byłem przewidujący i zakupiłem już na cmentarzu dostatecznie dużo miejsca dla całej naszej rodziny.

Pogrzeb Christiana Scharfkego odbył się z odpowiednią dla czasu wojny prostotą — tak zarządził Eugen Eis, a Schlaguweit to zorganizował. Unikano wielkiego zgromadzenia ludzi — dzień i godzinę pogrzebu znali tylko zaproszeni goście. Zabroniono bicia w dzwony kościelne.

— Wszystko przebiega według planu — zameldował Schlaguweit; stał już przy bramie cmentarnej w ciemnym cywilnym ubraniu, - - Znalazło się tylko paru gapowiczów — jak zwykle stare baby i kilku uciekinierów, którzy się nudzą. Mam ich przegnać do wszystkich diabłów?

Eis zaprzeczył.

— Musimy to jakoś znieść - rzekł. Potem mocno przycisnął 46 siebie ramię Christine i podszedł do otwartego grobu.

Było tam więcej wieńców niż ludzi. Eugen Eis sam kazał zrobić trzy wieńce — jeden jako ortsruppenleiter, drugi jako sołtys, trzeci jako zięć zmarłego. Wszystkie wstęgi były ozdobione hakenkreuzem. Dwa dalsze wieńce pochodziły od Schlaguweita — jako od przywódcy SA,

a zarazem przyjaciela i kolegi. Resztę — około tuzina — opłaciły inne organizacje, związki i stowarzyszenia.

Na pogrzeb oddelegowani zostali ponadto: przywódca organizacji, a więc Neuber, ówczesny burmistrz, przywódca chłopów, po dwóch kupców i rzemieślników, pięciu SA-manów, z tego czterech w mundurach jako straż honorowa. Poza tym po dwie osoby ze Związku Kobiet, z Hitlerjugend i BdM.

Pastor stał z boku — uzgodniono z nim, że odmówi jedynie krótką modlitwę. Za nim stali gapie, w liczbie dziesięciu, z tego osiem kobiet. Kilka z nich już płakało, aby resztę wprowadzić w odpowiedni nastrój.

— Drodzy żałobnicy — zaczął Eugen Eis. — Towarzysze i towarzyski. Niemieccy mężczyźni i niemieckie kobiety. Chowamy dzisiaj jednego z naszych najlepszych. Musiał odejść od nas w ciężkich wielkich czasach, nie dane mu było doczekać celu ostatecznego. Ale jego śmierć oznacza dla nas zobowiązanie...

Taki był początek — wygłaszanie takich mów pogrzebowych stało się dla Eugena rutyną. Teraz jednak nastąpiła część osobista jego wywodów:

— Nasz drogi zmarły musiał oddać życie podczas pełnienia obowiązków. Pilnował powierzonych mu dóbr, poświęcał na to nawet godziny nocne, porządkował i sprawdzał wartościowe rzeczy, sam nad tym czuwał, nie cofnął się przed ciężkim fizycznym wysiłkiem. No i w ten sposób stało się...

Eugen Eis, którego słowa jakby zaczęły galopować, głęboko zaczerpnął tchu. Badawczo obserwował obecnych, sprawdzał, czy nikt nie ma podejrzliwej miny. Ale nic takiego nie zauważył. Mimo to zawołał, aby nikt go źle nie rozumiał, zaklinającym tonem: — Taki to miało przebieg. Taki, a nie inny. Był to tragiczny w skutkach wypadek!

Usłyszał łkanie Christine. To wywarło bardzo korzystne wrażenie na obecnych. Wszyscy byli wzruszeni — oprócz jednej osoby, która stała wśród gapiów i której Eis dotąd nie zauważył: zastępca lekarza, doktora Gensfleischa, młody doktor Bachus. Ten zdawał się szczyrzyć zęby.

Eugen Eis był zaskoczony — szybko skończył swoją mowę. Teraz miała nastąpić ta jej część, która, jak wiadomo z doświadczenia, najskuteczniej porusza ludzkie serca. Eis powiedział krótko, ale żarliwie:

— Czasy są ciężkie. Wielkie, ale trudne. Wymagają silnych serc i wzniosłej duszy. Nieodzowne są ofiary. Ja także zostałem osobiście ciężko dotknięty. Nieodżałowany zmarły był nie tylko moim wielkim

towarzyszem walki i kolegą — był też moim wiernym przyjacielem. ;
Moja żona zaś straciła swego dobrego ojca, który i dla mnie stał się
ukochanym ojcem.

Zatrzymał się, jak gdyby nie mógł dalej mówić, przycisnął ostrzegawczo ramię Christine i niby głęboko przejęty, patrzył w dół. Potem nagle oświadczył: — Nigdy cię nie zapomnimy i będziemy czcić twoją pamięć, Christianie Scharfke. Przysięgam ci.

Skinął w stronę Schlaguweita, ten dał znak SA-manom, którzy spuścili trumnę do grobu. Podczas kiedy pastor jeszcze odmawiał modlitwę, Eis podał żonie łopatę z piaskiem. Trzykrotnie prowadził jej rękę, potem wysypał resztę piasku na trumnę.

Inni poszli za jego przykładem. Podczas gdy Eis stał tak w milczeniu,, podszedł do niego młody doktor Bachus i powiedział:

— Czy zna pan już moje orzeczenie lekarskie? Powinien je pan przeczytać. Podaję tam w wątpliwość, że obrażenia, których doznała ofiara rzekomo nieszczęśliwego wypadku, spowodowane były obsunieniem się skrzyń.

Eis zgarbił się i skulił, jak gdyby otrzymał nagle podstępny cios w żołądek. Potem spojrział na doktora Bachusa, jak gdyby widział go pierwszy raz.

— Chłopcze — rzekł cicho niech mnie pan łaskawie **nie** napastuje, jestem tu na uroczystości żałobnej.

Odwrócił się w stronę żony. Jakby ochronnym gestem otoczył ją ramieniem. Peter Bachus oddalił się, najwidoczniej całkiem zadowolony.

Schlaguweit natychmiast otrzymał rozkaz stawienia się później do swego ortsguppenleitara.

— Ernst rzekł Eis — mam zamiar mianować cię opiekunem gospody, przyłączonych dóbr i wartości. Czy czujesz się na siłach?

Ernst Schlaguweit rozpromienił się.

— Zawsze będę działał całkowicie po pańskiej myśli - przyrzekł

— Bardzo dobrze — powiedział Eis. — Jako pierwsze zadanie masz bliżej zająć się tym młodym doktorem Bachusem. Ten smarkacz gada jakieś bzdury — wybij mu to z głowy.

— Przychodzisz jak na zawołanie — rzekł Materna do Petera Bachusa. — Muszę omówić z tobą coś ważnego.

— To się dobrze składa. Ja także chciałem z panem porozmawiać.

- Chodzi o dziewczyny?

--O Eugena Eisa.

Materna potrzęsnał głową. To-mi nie odpowiada. Czy nie mówiłem ci, że omijam go wielkim rakiem, jak największym łukiem?

— Bardzo mi przykro, panie Materna, ale mocno nadepnąłem mu na odcisk. Nie mogłem inaczej.

Stosunki między Materną a obu chłopcami nie uległy zmianie. Materna pozostał przy swoim ty , oni zaś traktowali go z szacunkiem.

Jego propozycja, że po studiach będzie się do nich zwracał przez pan , spotkała się z ich strony ze stanowczą odmową — chcieli, żeby dalej traktował ich jak synów.

— Co się stało? — zapytał Alfons. Siedzieli naprzeciw siebie; zielony kamienny dzban z wódką—żytniówką stał na stole.

— Christian Scharfke — mówił Peter — został pochowany przed wystawieniem przeze mnie świadectwa zgonu.

— To już się działo w Maulen wielokrotnie. Zapytaj doktora Gensfleischa.

— Dokładnie zbadałem Scharfkego. Jestem pewien, że śmierć nastąpiła wskutek uszkodzenia mózgu spowodowanego uderzeniem w tył głowy, prawdopodobnie przedmiotem w kształcie rury. Spadające na Scharfkego skrzynie spowodowały jedynie liczne złamania kości — prawdopodobnie nie były przyczyną zgonu.

— I to powiedziałeś Eisowi?

— Na cmentarzu. Zatkąło go, w każdym razie na chwilę. Potem napuścił na mnie Schläguweita, ale nie miałem ochoty wdawać się z nim w rozmowę.

— Czy zdajesz sobie sprawę, synu, na co się narażasz?

— Robię trudności Eisowi — będzie miał twarde orzech do zgryzienia, może sobie na tym zęby połamać.

— Czy dobrze się nad tym zastanowiłeś?

— Nad czym się tu zastanawiać? Teraz mam go w garści. Jakże długo na to czekałem! A to przecież po pana myśli, prawda?

— **Nie!**

— Dlaczego nie?

— Co prawda nie mam nic przeciwko temu, by tutejsze szczury nawzajem się wymordowały, ale nie powiedziałeś, że masz konkretne dowody. To jedynie przypuszczenie.

— Ale to wystarczy! Już tylko tym samym mogę Eisowi przysporzyć dość kłopotów — przecież pan wie, jak to się robi.

— Ba, czyja wiem! Ale właśnie dlatego zauważyłem, że Euglen Eis zareagował absolutnie, jak należy. Napuścił na ciebie Schläguweita. Schläguweit natomiast....

... jest mordercą Christiana Scharfkego, takie jest moje zdanie.

— I prawdopodobnie nie jest to jego pierwsze morderstwo, ma praktykę w tym zawodzie.

— No to co? Ja się nie boję, a już tym bardziej nie jeśli pan mi pomoże. A przecież mogę na to liczyć?

— W tym wypadku nie — rzekł Materna stanowczo.

— No więc załatwię to sam. Muszę to zrobić. Muszę wreszcie przedsięwziąć coś decydującego przeciwko tym bydlakom.

— Chłopcze — powiedział Materna z wahaniem. — Wiesz, że próbowałem oszczędzić wam różnych przykrości. Chciałem, żebyście mieli możliwie bez troskie życie.

— Ale kogo dziś na to stać! I wcale tego nie chcę. Jestem gotów do wszelkich akcji!

Alfons Materna wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Przypuszczam — rzekł — że obaj zastanawialiście się nad moją osobą. I prawdopodobnie coś was niepokoiło. Należy więc wyciągnąć z tego ostateczne wnioski, tak?

— Owszem.

— I to dobrowolnie, Peter? Bez żadnego przymusu? Bez żadnych Osobistych zobowiązań czy też uczuć?

— Z przekonania — oświadczył Peter bardziej uroczyście, niż to było w jego zwyczaju.

— Powiedzmy, że to przekonanie — rzekł Materna. — W gruncie rzeczy to obojętne, czemu jesteście przeciwko tej rakowej narośli. Może to być nienawiść, zemsta, poczucie sprawiedliwości, chęć przeżycia przygody, powody etyczne; może to być sprawa charakteru, koniunktury, czy ja wiem, czego jeszcze. Ważne jest jedno — że jest się przeciw!

— I to chyba od dość dawna, prawda?

— Ale tu, chłopcze, na moim terenie, musicie pozostać na wyznaczonym torze. Możecie się do mnie przyłączyć, ale jedno musicie wiedzieć: decyzje podejmuje ja. Zgoda?

— Zgoda. Konrad myśli tak samo jak ja.

— No to zgadzamy się. Polecenie numer jeden: unikać bezpośredniego starcia z Eisem. Dowody, które można by przeciwko niemu użyć, należy przechowywać. Tak więc powinniśmy uspokoić Schlageweita możliwie skutecznie.

— Dobrze. Ale właściwie byłem zdania, że teraz naprawdę coś się zacznie.

— Pozostań przy swoim zdaniu — rzekł Materna i zawołał

Jabłońskiego. Powiedział do niego: — Poszukaj feldfebla Facklera. Oświadczyć mu, że już nam nie potrzeba francuskich jeńców. Niech sobie myśli, że uganiają się za naszymi dziewczętami. Pod tym względem jest on bardzo wyrozumiały.

— Czy to prawda? — zapytał Peter niespokojnie.

— Musisz się jeszcze niejednego nauczyć, chłopcze. A teraz chodź!

Materna poszedł przodem, do swej sypialni. Tam na łóżku połowym leżał błydy jak ściana masywny mężczyzna. Jego czoło wydawało się martwe, ale ręce poruszały się na kołdrze, jakby czegoś szukały.

— Pokaż teraz, co potrafisz — powiedział Materna. — Został ranny wczorajszej nocy. Obejrzyj go. Spróbuj go połatać. Ale pamiętaj: jak raz z tym zaczniesz, znajdziesz się w samym środku naszej gry i nieprędko będziesz się mógł z tego wyrwać. Jeszcze możesz się rozmyślić.

Peter Bachus nawet nie odpowiedział, pochylił się nad rannym.

— To był fałszywy alarm — powiedział Ernst Schlaguweit. — Kiedy teraz wziąłem tego młodego doktora w obroty, był łagodny jak baranek.

— Ten Bachus nie jest barankiem — rzekł Eis nieufnie. — Czy dałeś mu do zrozumienia, że skręci kark, jeśli nie będzie trzymał gęby na kłódkę?

— Owszem. Najpierw nie chciał ze mną w ogóle gadać. Ale potem złapałem go na Psich Łakach przy stogu siana. Chwyciłem gówniarza za kołnierz i zapytałem: Co do nas masz? Powiedział: Nic. A kiedy zacząłem mówić o świadectwie zgonu i jego orzeczeniu lekarskim, wymachując moją przyjaciółką — to rura mu zmiękła i powiedział: To był tylko żart.

— Ładne żarty trzymają się tego łobuza — warknął Eis nie bez satysfakcji. — Więc wystawi świadectwo zgonu?

— Chłopak poczuł pismo nosem, zrozumiał, że to nie przelewki!

— Czy ten Materna nie maczał w tym palców? Bo jeśli to on tego doktora przyhamował, pytam się: dlaczego? Na cmentarzu ten kundel pokazał mi zęby, a teraz nagle staje na dwóch łapkach?

— Przecież to proste — tak naprawdę nie miał żadnego dowodu, mnie tak łatwo nikt nie potrafi na niczym przyłapać. Prawdopodobnie chciał tylko udawać ważniaka. No to Materna mu poradził: Ni# wtrącaj się do tego, mały. Bo Materna nie jest głupi.

— I staje się coraz ostrożniejszy. Ta podstępna dzika świnia jak'

gdyby ryla tylko na własnym gruncie. Jeśli on temperuje jednego, to na pewno dokoła innego jest smród. To wielki cwaniak!

— Jak tylko poczuje, że coś może się zawalić — powiedział Schlaguweit — od razu się wycofuje i zabezpiecza. Teraz poprosił feldfebla, aby zabrał przydzielonych mu francuskich jeńców i zatrudnił u kogoś innego.

— A to dlaczego? Ci wybrani przez nas dla Materny jeńcy ani myśleli o ucieczce, choć na to liczyliśmy. Czemu wyrzeka się taniej siły roboczej?

Schlaguweit zadowolony wyszczerzył zęby. — Chyba dobierają się do jego dziewczyn. Jeden, ten Ambal, to cwany gość. Sporo bab ze wsi na niego leci.

— Tak? — Eis nastawił uszu.

— Nie wiem doprawdy, co te rozpustne baby w nim widzą. Przecież mamy tu u nas całkiem niezłe okazy, czyż nie? A poza tym z nami jest bezpieczniej. Bo za stosunki z jeńcami idzie się do więzienia na pięć czy sześć lat, zdaje się.

I Eugen Eis znowu powiedział zamyślony: — Tak! — Potem, jak gdyby się zastanawiając, złożył ręce i zmrużył oczy. Wreszcie się odezwał: — Tak, stosunek płciowy, mój drogi, to nie byle co. Tu chodzi nie tylko o politykę ludnościową, lecz także o ważne problemy wojenne, które dotąd chyba trochę w Maulen zaniedbaliśmy. Nie sądzisz? — Schlaguweit spojrział na niego niepewnie, ale na wszelki wypadek przytaknął.

— Dawniej, w czasach pokoju - wywodził Eis - coś takiego regulowało się prawie automatycznie podczas zabaw. Ale czasy wojenne to czasy wyjątkowe — trzeba się dostosować także pod tym względem. A więc należy i tu pójść ludziom na rękę.

Teraz w oczach Schlaguweita malował się zachwyty. Czego też ten Eis nie wymyśli! To zawsze napępniało go radosnym oczekiwaniem.,

— Jeśli mogę się do tego przyczynić — zapewnił z chichotem — to jestem chętny.

— Nie trzeba mi żadnego koguta — powiedział Eugen Eis — lecz wyrozumiałego organizatora. Powinniśmy raczej myśleć o ludziach. Na przykład tacy wartownicy Facklera — brak im pod pewnym względem skutecznej indywidualnej opieki. A z drugiej strony w podobnej sytuacji są dziewczęta ze Służby Pracy. Zaczynasz kapować? Poza tym myślę o młodych urlopowiczach frontowych, którzy mają tu swoje narzeczone — dokąd mają z nimi pójść?

Do lasu, jak to jest w zwyczaju.

— Pewnie, latem. Ale co dalej? Trzeba pomyśleć o zimie, która niebawem nadejdzie.

— No tak, na śniegu to nie takie proste, ale da się zrobić — to już wypróbowane. Co prawda przyjemność wtedy jest cholernie krótka, trzeba przyznać.

— Schlaguweit — powiedział Eis z naciskiem. — My tu w Maulen jesteśmy wzorami pod wieloma względami, a więc dlaczego nie mamy nimi być także pod tym względem? Takie miasto jak Olsztyn przygotowało już trzy domy na takie cele, z tego jeden dla oficerów i towarzyszy z władz partyjnych. Ale tak daleko nie będziemy tutaj sięgać. Mimo to powinniśmy się starać, aby ludziom, którzy służą Niemcom, możliwie uprzyjemnić życie. To po prostu nasz obowiązek.

— Tak jest — powiedział Schlaguweit. — Zrozumiałem! Ale jak to ma wyglądać w praktyce?

Eis z wielkim rozmachem zaczął roztaczać swoją wizję: gospoda Scharfkego, zarządzana przez Schlaguweita, powinna bez ceregieli, a więc bez meldunków i niepotrzebnych kontroli, udostępniać swoje pokoje. Należy urządzać zabawy towarzyskie, w tym regularne spotkania urlopowe.

— Genialne! — zawołał Schlaguweit.

Eugen Eis przez dłuższy czas rozwodził się nad tą sprawą. Był pewien, że sprawi ludziom wiele przyjemności, a zarazem przyczyni się w jeszcze większym stopniu — jeśli to w ogóle możliwe — do podniesienia swego prestiżu. Potem, jak gdyby mimochodem, kartkując swój terminarz, powiedział:

— Niech więc Fackler zabierze od Materny obu jeńców.

— Zrobi się!

— Jednego możesz wziąć do twojego burdelu. Drugiego, tego Ambala, niech Fackler przydzieli do mnie prywatnie. Jako pomoc dla mojej żony. Ona ostatnio szwankuje na zdrowiu, coś z nerwami nietęgo, zresztą nic dziwnego. Musi mieć kogoś, kto jej pomoże.

— Chciałem się trochę rozejrzeć po okolicy — oznajmił Tantau.

— Czy już pan coś stwierdził? — zapytał radca Engel uradowany.
- Wie pan, w jakim kierunku poprowadzić śledztwo?

— Wiem tyle co nic. Znam tylko parę drobiazgów, które może okażą się ważne, a w pewnych okolicznościach nawet decydujące. Ale to da się stwierdzić dopiero pod sam koniec.

— Jak pan uważa - rzekł Engel. Zrezygnował już z nadziei

uzyskania od Tantaua dokładnych danych. •—Zawiadomię Stuttnbannführera Rattenhauera, że przystępuje pan do akcji.

— Pan to niewłaściwie ujmuje — skorygował go Tantau. — Aby, jak pan mówi, przystąpić do akcji, potrzebne mi są pewne techniczne przesłanki.

— Wóz służbowy, panie Tantau, jest do pańskiej; dyspozycji. Wystarczy tylko zapotrzebować.

— Tego rodzaju zapotrzebowania są dla mnie zbyt niedogodne. Stale zmieniające się wozy i przypadkowo przydzielane rowery utrudniają mi pracę. To nie odpowiada moim metodom,

— No dobrze, zawiadomię sturmbannführera Rattenhauera o pańskich specjalnych życzeniach. Nie będzie tym zbyt zachwycony!

— To już jego sprawa — oświadczył Tantau łagodnie. — A przy okazji, panie Engel, proszę przekazać panu Rattenhauerowi moje dalsze życzenia.

— Nie wystarczy panu wóz do własnej dyspozycji? Czego pan jeszcze żąda?

— No, po pierwsze, kierowcy, którego sam sobie dobiore — tak samo jak wóz. Poza tym potrzebny mi sprzęt telefoniczny — na razie wystarczą trzy aparaty. Dużą wagę przykładam ponadto do osoby, która musi mi towarzyszyć — również według mego wyboru. I życzę sobie jeszcze, by przydzielono mi funkcjonariusza kryminalnego z Pasyimia, który badał ostatnie wypadki — nazywa się Budzuhn.

— Jak pan na niego wpadł? To czwartorzędny urzędnik, nawet nie umie dobrze pisać po niemiecku. Czemu wybiera pan sobie tego upośledzonego umysłowo inspektora?

— Bo ja umiem czytać. Nawet gdyby tak było, że ten Budzuhn ma krótki rozum — to na pewno ma niezawodny nos, a węch jak pies gończy. Wynika to z jego raportu. Poza tym zna dość dobrze okolicę, a na tych Mazurach potrzebny jest mi przewodnik.

Engel odszedł, zanim Tantau zdążył wyrazić dalsze życzenia. Po niespełna dziesięciu minutach wrócił w cieniu sturmbannführera, Rattenhauera. Ten stanął przed Tantauem i przez kilka sekund przyglądał mu się przenikliwie i w milczeniu. Na komisarzu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Patrzył na Rattenhauera, uśmiechając się wyczekująco.

— Co pan sobie właściwie myśli?! - - zagrzemiał wreszcie główny kierownik akcji. — Gdzie się pan znajduje, co? Nie może. pan ot tak po prostu stawiać całej fury żądań!

— Tu chodzi o pracę — odparł Tantau spokojnie. — A do tej pracy potrzeba mi odpowiednich ludzi i sprzętu.

— Nic poza tym? — szyderczo zapytał Rattenhauer.

— Owszem, jeszcze jeden drobiazg. — Tantau wyglądał jak chłopiec, który prosi o spełnienie swoich marzeń. — Chciałbym mieć jeszcze małe pełnomocnictwa. Takie, które upoważniałyby mnie do wydawania rozkazów czy dawały prawo do udzielania poleceń wszystkim jednostkom policji i urzędów w okręgu ; łącznie z członkami partii i związanymi z nimi organizacjami — jeśli wolno prosić.

— Pan zwariował! — wybuchnął sturmbannführer. Radca cofnął się w głąb pokoju, skąd ostrzegawczo machał ręką. — Mam największą ochotę odesłać pana z powrotem tam, skąd pan przybył.

— Jak pan woli, proszę bardzo — zapewnił Tantau uprzejmie. .. Sturmbannführer odszedł, radca popędził za nim jak ogon komety w Tantau pochylił się nad swoją pracą, jak gdyby nic się nie stało. Po upływie kwadransa wychynął radca Engel — czerwony jak burak, spocony, a jednak jak gdyby orzeźwiony.

— Udało się panu! — oświadczył. — Urobiłem sturmbannführera. Zgodził się na wszystkie pańskie żądania.

— Także na pełnomocnictwo?

— Nawet i na to. Ale nie przyszło mu to łatwo. Oczekuje sprawozdania za każdym razem, ilekroć skorzysta pan z tego pełnomocnictwa. Najlepiej byłoby, żeby pan wcześniej uzyskiwał jego zezwolenie na to. Ale w praktyce to chyba będzie nie zawsze możliwe, prawda?

— Chyba nigdy.

— No dobrze, dobrze. Tak więc, jeśli pan będzie czegoś potrzebował, może się pan spokojnie zwrócić do mnie.

— Świetnie. Przede wszystkim więc proszę o dostarczenie mi wszelkich możliwych rzeczowych informacji dotyczących obszaru pomiędzy jeziorami Lasker, Śniardwy i Maulen, a więc danych o obecnych i poprzednich — ale wciąż jeszcze tam zamieszkujących — lekarzach, a także weterynarzach. Następnie danych o pielęgniarkach, akuszerkach, dawnych sanitariuszkach, szpitalach i lazaretach.

— Jak pan to sobie wyobraża?!

— To już pana kłopot.

— I co pan sobie po tym obiecuje?

— Znaleźliśmy ślad krwi — wytłumaczył Tantau tonem, jak gdyby udzielił wyczerpującej informacji. Pochylił się nad swoim biurkiem i rzekł: — Poza tym proszę zlecić, by urzędnik z Pasymia, ten inspektor Budzuhn, możliwie jak najszybciej się do mnie zgłosił.

Inspektor Budzuhn zgłosił się w niespełna dwie godziny później — wielki, ociężały, krępy człowiek, różowy jak prosie i gładki jak kość słoniowa, o poczciwych psich oczach i uszach wielkich jak spodki. Głos miał cienki jak u kastrata, a zarazem mocny i łagodny. Jak się potem okazało — dobrze śpiewał arie.

— Niech się pan do mnie przysiadzie, Budzuhn — zaprosił go Tantau. Ten nieporadnie wyglądający człowiek, jak słoniowaty bobas, na pewno był śmieszną postacią, obiektem dowcipów podczas wieczornych zebrań piwoszy i wedle ówczesnie obowiązujących poglądów — człowiekiem nie nadającym się do awansu. Budzuhn przypadł Tantauowi do gustu.

Budzuhn wyczuł, że jest mile widziany. Ten drobny komisarz kryminalny, którego imię każdy początkujący w tym zawodzie znał i wypowiadał z szacunkiem, robił wrażenie dobrego towarzysza wędrówki na samotnej drodze. U Tantaua Budzuhn poczuł się cudownie bezpieczny.

— Przedwczoraj — streścił Taritau — na terenie na zachód Od Giżycka doszło do nocnej strzelaniny pomiędzy patrolem Wehrmachtu składającym się z dwóch żołnierzy a trzema albo czterema ludźmi, prawdopodobnie cywilami. Jeden z żołnierzy patrolu został zabity, drugi raniony. Prawdopodobnie cywile uciekli, i to na rowerach.

Budzuhn skinął głową i zakreślił na mapie miejsce nocnej strzelaniny. Sporządził też odpowiedni szkic.

— Ciekawi ludzie — oświadczył. — Najpierw usiłowali uciec, gdy patrol wezwał ich do zatrzymania się. Dopiero kiedy ich ostrzelano, odpowiedzieli ogniem — ale tylko nielicznymi strzałami, czterema czy pięcioma. Trzy trafiły, były dobrze wycelowane. A więc chodzi tu o niezawodnych, doświadczonych strzelców. Znalazłem cztery puste łuski, karabin 98 K. Amunicja prawdopodobnie długo magazynowana,

— A ślady krwi?

— Znalazłem je, kiedy się rozwidniło. — Budzuhn wskazał na swój szkic, na razie na jedną ścieżkę polną. — Jeden z cywilów został zraniony, prawdopodobnie nawet ciężko, sądząc z upływu krwi. A co do śladów rowerów . . . - dwa ślady były zwykłe, jeden rower najwyraźniej bez obciążenia, jeden zaś mocno obciążony, a więc transportowano nim rannego.

Tantau uśmiechnął się zadowolony.

— Dalej — zażądał z błogością.

-- Powiedziałem sobie: kto tak mocno krwawi i jest transportowany tcwerem, z pewnością straci więcej krwi, bo na miejscu strzelaniny nie można mu było od razu założyć opatrunku, a później odbyło się to

w szybkim tempie i prowizorycznie. Znalazłem więc dalsze, cztery plamy krwi, na dwóch drogach, łącznie na przestrzeni czternastu kilometrów. Potem zgubiłem ślad.

Tantau widział przed sobą Budzunha, jak ten głośno człapie szosą, z pochyloną głową; widział go, jak kłęka, czołga się, maca, węszy. Doprawdy pies gończy wielkiego formatu!

— Proszę, niech pan dokładnie wrysuje na moją mapę miejsce ze śladami krwi — czerwonym ołówkiem, żeby ładnie wyglądało.

Rozważnie, z lekko otwartymi ustami i wysuniętym czubkiem języka, rysował Budzuhn swoje krzyżyki: jeden na każdy ślad krwi, w coraz większych odstępach.

Kiedy się z tym uporał, Tantau przysunął mapę do siebie. Długi czas przyglądał jej się, a potem rzekł: — Zgadza się.

— Co się zgadza?

— Moje prymitywne obliczenia. Tantau wskazał na centrum swoich kół, kwadratów, linii. — Tu jest obszar, który pragnę bliżej poznać. A pan, mój drogi, dostarczył mi niezbitych dowodów słuszności mojej teorii.

— Jakiej, proszę pana?

Tantau był pobłażliwy — nie można było chcieć wszystkiego na raz: Wspaniałego psa gończego, który by zarazem potrafił logicznie rozumować. — Przypuśćmy, Budzuhn, że brałby pan udział w takiej akcji i jeden z waszych ludzi zostałby ciężko ranny. Co by pan zrobił? Zabrałby pan rannego do domu w bezpieczne miejsce, prawda?

— Może do lekarza, gdybym miał do niego zaufanie.

— Słusznie. To też należy wziąć pod uwagę, i tak zrobimy. Na razie jednak nasuwa się przypuszczenie, że ranny został jak najszybciej przetransportowany w bezpieczne miejsce, a więc najprostszą drogą! A teraz, niech pan przyłoży linijkę na wrysowane przez siebie krzyżyki i niech pan przedłuży tę linię. Niech pan przy tym uwzględni czas drogi — dwie, trzy godziny. Dokąd ta linia przypuszczalnie prowadzi? Nad jezioro Maulen.

— I tam, mój drogi, musimy w najbliższych dniach się rozejrzeć.

— Wiedziałem, że rozumie pani moje intencje — oświadczył Eugen Eis i ujął dłoń Henriette. — Jest pani osobą, która doskonale pojęła co jest najistotniejszym nakazem w takich czasach jak obecne.

— To rozumie się samo przez się — rzekła Henriette skromnie a jednak trafnie. . .

Na to Eugen odparł elegancko:— Wciąż od nowa stwierdzam, że pochodzi pani ze szczególnej rodziny.

Henriette Himmler znów z podkreśloną skromnością broniła się przed tym komplementem. Co prawda chętnie chroniła się w korzystnym cieniu tak znakomitego nazwiska, ale czyniła to z nakazaną w tym wypadku ostrożnością; sądziła jednak, że w Maulen było to raczej zbędne.

— To dobry, ważny znak, że właśnie panią będę mógł powitać w naszym nowo urządzonym domu wypoczynkowym jako pierwszego honorowego gościa.

Poprowadził ją przez pokoje, które kazał przygotować w gospodzie. Schlaguweit, opiekun gospody, osobiście powitał ją przy ozdobionym girlandami wejściu. Obok Eisa paradował burmistrz Pillich, jak również nieodzowny Neuber — obaj, aby podkreślić wagę przedsięwzięcia od strony partyjnej.

Obejrzeni wielką salę zebrani towarzyskich, pokój gier, salę konferencyjną. Były to nowe piękne nazwy starych pomieszczeń gospody. Z tym że teraz nie były to już pomieszczenia publiczne, a więc dostępne dla każdego ubogiego pijaka, jak to określił Eis, lecz do wynajęcia — pojedynczo, także po kilka naraz, a nawet w całości.

— W tym domu — tłumaczył Eis Henriette — urlopowani frontowcy oraz pełniący służbę żołnierze, a także nasze drogie dziewczęta, będą uważani za naszych gości, a więc będą płacić tylko za to, co zjedzą, i to po cenie własnej. Resztę pokrywa wielkodusznie kasa partyjna.

Neuber otworzył usta i zaraz je zamknął. Ten Eis bez skrupułówi każe pokrywać koszty gospody z kasy partyjnej! Tak więc pieniądze te popłyną — choć nie bezpośrednio do jego własnej kieszeni jak do prawdziwego właściciela gospody. Burmistrz spuścił wzrok, Henriette natomiast zakrzyknęła z entuzjazmem:— To przejaw prawdziwie społecznej troski!

Eis mógł tylko przytaknąć.

— Czasy są ciężkie, ludzie walczą i umierają, wymagane są ofiary chętnie je więc ponosimy. Wszelkie możliwe niedostatki są, ze taki powiem, żelaznymi wymogami codzienności...

— Tylko Niemcy są do tego zdolne — odezwał się Schlaguweit z dumą.

— Potem jednak — mówił dalej Eis, pokazując dość skromny, ale solidny pokój gościnny z podwójnym łóżkiem — nadchodzą rzadkie godziny wolności, urlopu, odprężenia. Nie powinno się to odbywać

w niegodnych ludzi warunkach — ha przykład w stodołach czy w lesie, albo nawet, jak to się zdarzyło niedawno, w zakrystii kościoła. A już na pewno nie powinno tak być w nadchodzących zimowych miesiącach. Nie, nie możemy narażać na to naszych dzielnych obrońców ojczyzny. U nas w Maulen do tego nie dopuścimy!

— Przy tym naprawdę pomyśleliśmy o wszystkim — zapewnił Ernst Schlaguweit gorliwie, po czym schylił się, wyciągnął spod łóżka nocnik i pomachał nim.

— Dobrze, już dobrze — zawołał Eis, zerknąwszy na Henriette, która szeroko otworzyła oczy na widok tego dużego, płaskiego, glinianego naczynia. Aby zatrzeć tę przykrą chwilę, Eis zaprosił od razu na przygotowany powitalny trunek — podany w sali gier na stole bilardowym, gdzie były już też gotowe kanapki. Eis szybko przepił do grupy zwiedzających i poprosił, aby czuli się nieskrępowani, po czym zwrócił się do Henriette, aby zechciała udać się z nim na małą wewnętrzną służbową naradę.

Odbyła się ona w pokoju na pierwszym piętrze. Eis określił ten pokój jako salonik — zamiast łóżka stała tam obszerna otomana pokryta płótnem. W wiaderku, ukryte za zasłoną, znajdowały się dwie butelki szampana i butelka burgunda.

— Bardzo panią przepraszam za Schlaguweita — rzekł Eugen Eis z godnością. — Przed chwilą podczas zwiedzania popełnił gafę...

— Ależ, proszę pana! — odparła Henriette jeszcze pod wrażeniem tego olbrzymiego naczynia. — Przecież to ludzkie.

— To właściwe słowo we właściwym czasie! — Eugen wyciągnął wiadro z butelkami i zaczął nalewać. — Tak zwana turecka krew — objaśnił. — Według recepty jednego z moich przyjaciół, który zna marszałka Rzeszy, a nawet samego Führera. To swój chłop. Pił zawsze szampana z czerwonym winem, pół na pół.

Przemilczał przy tym, że on także kazał zmieszać czerwone wino, i to z koniakiem, również pół na pół. Niewielu było w Maulen ludzi, którzy by się po takiej mieszance utrzymali na nogach. On sam, no może jeszcze Materna, ten drań.

— Proszę, niech pani spróbuje, szanowna panno Henriette.

— Ależ z pana smakosz — rzekła gruchając. Piła, patrząc na niego przymrużonymi oczyma; szybko się zarumieniła, sądziła, że uroczo.

— Jestem tylko człowiekiem — rzekł Eugen Eis, napełnił na nowo kieliszki, rozsiadł się na otomanie; gestem poprosił Henriette, aby usiadła obok — ze wszystkimi jego wadami i słabościami, ale zawsze

staram się opanować. W pani towarzystwie nie  wychodzi mi to  atwo. Proszę mi wybaczy .

Henriette po o y a mu r ekę na ramieniu — znak wyrazaj cy zrozumienie; jej ptasie oczy b yszcz ały. — S adz  — rzek a po cichu —  e dobrze pana rozumiem.

Eugen przysun ł si  troch  bli ej i zn w doda : — Widzi pani, Henriette, moje zadanie tutaj to nie przelewki. Mia em tu wrog w, przeciwnik w, i to niema o — usun łem ich albo wyko czy em. By o to niekiedy trudne, ale nieuniknione.

— Przypomina mi pan mojego wuja, mam na my li: pod wzgl dem duchowym?

— Tacy ludzie jak pani wielki wuj stanowi  wz r do na ladowania, dla takich jak ja. Niech pani to napisze wujowi, mo e sprawi mu to przyjemno  .

— Na pewno — powiedzia a i wyci gn ła kieliszek. P on ła ju  jak I  elazny piecyk podczas mazurskiej zimy.

Przysun ł si  bli ej, przy czym zsun ł si  troch  w d o , aby mu by o wygodniej, i otoczy  j  ramieniem. Potem woln  r ek  znouwu nape ni  kieliszki — wyczyn niemal akrobatyczny, kt ry jednak do  c nie le opanowa .

— Nie, nie jest nam  atwo. Ale pani obecno  , Henriette, pozwala mi tak wiele zapomnie ...

— Jak cudownie — powiedzia a opieraj c si  o niego.

Eugen Eis rozwodzi  si  dalej nad swoimi trudno ciami. W ka dym razie on nigdy nie skapituluje, o nie! Ale ten nar d — no owszem, ch tny, sk onny do entuzjazmu, got w do po wi ce  — okaza  si  jednak zbyt mi kki, nie do  c zdecydowany, nie rozumiej cy, o co w a ciwie chodzi.

Otworzy  drug  butelk  szampana. Zaci gn ł przy tym zas ony — razi o s once. Nape ni  kieliszki i m wi  dalej:

— Odnos  sukcesy — zapewni , ju  obiema r ekami manipuluj c przy niej — je li idzie o s u b  dla partii itd. Ale prywatnie, Henriette, prywatnie musz  za to s ono p aci ...

— Jeste  nieszcz liwy, Eugenie? — zapyta a wilgotnymi ustami tu  przy jego uchu.

— Z tob  nie! — powiedzia  rozpinaj c jej mundurow  bluz .

I kiedy robi  to, a tak e wykonywa  dalsze kolejne, og lnie przyje te czynno ci, nie napotyka c przy tym wi kszego oporu, m wi  o swojej  onie: nie rozumie go, nie przyczynia si  do wzlotu narodu, nawet odmawia mu siebie z czystej  o liwo ci, zdradza go z innymi. On ni  pogardza, brzydzi si  ni , czuje do niej wstr t!

Kiedy było już po wszystkim i ciężko dysząc leżeli obok siebie Henriette nagle krzyknęła. Chwyliła swoją koszulę i zerwała się.

— O Boże, cośmy zrobili!

— Nie tak głośno — ostrzegł Eugen i poglądził jej chude udo. — My się kochamy.

— Ale nie wolno nam było tego zrobić!

— Henriette — powiedział — możesz być spokojna, nawet gdybyś zaszła w ciążę. Bo masz przed sobą człowieka honoru. Oczywiście, gotów jestem ponieść wszelkie możliwe konsekwencje tego, co się stało. Wiem dobrze, co jestem winien twemu nazwisku. Zostaw mi trochę czasu, wszystko załatwię. Daję ci na to moje słowo!

Podczas najbliższych odwiedzin w obejściu Materny Bachusowi towarzyszył jego przyjaciel Konrad Klinger. Obaj przybyli rozklekotanym małym wozem. Oczywiście, najpierw zaszli do kuchni — do Hannelore i Sabine.

Alfons Materna siedział w izbie przy biurku; mógł stąd obserwować bramę i drogę dojazdową.

— Chyba już czas — rzekł do Jakuba Jabłońskiego, który stał przy oknie — żeby każdy z nich zdecydował się na którąś z naszych dziewcząt, aby jakoś uporządkować te stosunki. Ostatecznie stali się już prawdziwymi mężczyznami.

— Ach, co tam — odparł Jakub. — W moich oczach wciąż jeszcze noszą krótkie spodenki.

•— Już z nich wyrosli. Odtąd będziemy ich traktowali jak mężczyzn. Obu. Pójdź do lasu do Grienspana i powiedz mu, jakich mamy gości. Jeśli uzna to za słuszne, niech przyjmie naszych następców. Byłbyfi za tym. Wtedy stań tam na straży.

— No dobrze. Będziemy tu za pół godziny. — I wyszedł.

Wkrótce potem obaj chłopcy weszli do izby. Materna serdecznie ich powitał.

— Peter wszystko mi opowiedział — rzekł Konrad Klinger — prawnik, porucznik rezerwy, zastępujący adwokata Rogatzkiego w Olsztynie. — Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko mojej współpracy? Tak jak Peter uważam, że jest konieczna.

— Niczego innego się nie spodziewałem. Ale muszę zwrócić twoją uwagę na wcale niebłahy drobiazg, Konradzie. Peter zapewne opowiedział ci to, co wie. Ale jak dotąd, nie wie zbyt wiele.

— Właśnie tak przypuszczałem. Od razu powiedziałem: za tym kryje

się coś więcej. Nasz stary nie robi nic połowicznie. Niech więc pan opowiada, panie Materna.

— Czy mogę przedtem zajrzeć do mojego pacjenta? — zapytał Peter Bachus. — Trochę się o niego niepokoję. Nie tylko z powodu stanu jego zdrowia, ale także dlatego, że doszło do mnie zapytanie z policji.

— Twój pacjent śpi, po raz pierwszy od wielu dni. Później go zbadasz. Potem omówimy sprawy. — Alfons Materna usadowił się wygodniej, jak gdyby potrzebował mocnego oparcia.

— Przypuszczam, Konrad, że zastanawiałeś się nad tym, co teraz może nastąpić?

— Tak, zastanawiałem się i coś niecoś wykryłem.

Alfons spojrzał na niego pytająco.

— No więc — oświadczył Konrad — poszperałem trochę w papierach naszej kancelarii i natknąłem się przy tym na nazwisko Eisa w związku z Psimi Łąkami, które kiedyś podarował pan gminie Maulen. W kilka miesięcy później — upoważniony jako małżonek pani Brigitte, czyli pańskiej córki, do dziedziczenia — złożył on wniosek o anulowanie tej darowizny, podając powód, że oni są legalnymi właścicielami i taka dyspozycja z pańskiej strony była bezprawna.

— Tak, przypominam sobie. Wówczas Eis nie był jeszcze takim cwaniakiem. To stara sprawa. Niewarta funta kłaków.

— Ale coś takiego byłoby dla Maulen nie do pogardzenia. W dzisiejszych czasach proces Eis kontra gmina, a więc dygnitarz przeciwko społeczności — to dopiero byłby szlagier, co?!

— Mój chłopcze, ale się wyrabiasz! Mimo to sądzę, że nie zbadałeś wszystkich wynikających z tego konsekwencji prawnych.

— Owszem, zbadałem. Wprawdzie niewiele możemy zrobić ale bądź co bądź możemy sprawić Eisowi trochę przykrości. Przynajmniej będzie z tego kupa śmiechu.

Materna zażądał szczegółów. I dowiedział się, że sprawa jest prawie zapomniana, ale bynajmniej nie przedawniona. Kancelaria adwokacka wysyłała rutynowe monity do właściwych sądów okręgowych, ale nigdy nie ponaglała. Obie strony widocznie uzgodniły, że należy sprawę powoli wygasić.

— Ale mamy teraz starego sędziego okręgowego. A ten pod pewnym względem jest bardzo przedsiębiorczy. Omówiłem z nim wszystkie znajdujące się u nas dowody. Jest gotów wyciągnąć tego starego kota z worka. Powiada, że on ma jeszcze pazury.

— Może to by się przydało w odpowiednim czasie — rzekł Materna po zastanowieniu. — Byłaby to mała akcja uboczna. Ale teraz chodzi u nas o całkiem inne rzeczy, nie o takie kocie gowienko, lecz o wielką stertę gnoju.

— Oni zatruwają już od lat całą okolicę — powiedział Peter. — Wiedzieliśmy o tym, kiedy jeszcze biegaliśmy w krótkich spodenkach.

— Tymczasem jednak — odparł Alfons — ten gnój stał się siedliskiem zarazy, skąd rozprzestrzenia się zaraźliwa, groźna dla życia choroba. Dawniej chodziło przeważnie o tumanienie umysłowe, co zresztą w Niemczech jest chorobą narodową, ale teraz umierają ludzie — i to miliony!

— Więc nie gadajmy na próżno — zdecydował Konrad. — Niech pan powie, co mamy robić.

Alfons spojrział w okno, jakby chciał uniknąć wzroku młodych ludzi. Potem rzekł prawie niedbale:

— Oczekuję gości, a kiedy go zobaczycie, będziecie mogli podjąć ostateczną decyzję.

— Kto to taki?

Alfons Materna spojrział ku drzwiom. Słychać było kroki. Konrad i Peter wstali; nie zdawali sobie sprawy, dlaczego.

~ Drzwi się otworzyły.

Przed nimi stał Siegfried Grienspan.

Materna pozostawił obu chłopcom dość czasu, by mogli nadziwić się i nacieszyć faktem, że Grienspan żyje. Siegfrieda radował entuzjazm młodych ludzi.

Wreszcie wtrącił się Alfons:

— Zapraszam was na kolację. Będziecie mieli dość czasu, aby wypytać naszego przyjaciela o jego przygody. Na razie chodzi o coś innego: jak to było z tym zapytaniem policji, Peter?

— Zatelefonowano do mnie z komendy policji i zapytano, czy w ciągu ostatnich siedmiu dni nie przyjmowałem pacjenta z obrażeniami pochodzącymi od strzału lub kilku strzałów.

— Ciekawe — rzekł Materna i spojrział na Siegfrieda.

— Oczywiście, dowiadywałem się u kolegów — ciągnął dalej Peter. — Do wszystkich zwrócono się o taką informację. A więc chodzi o sprawę czysto rutynową.

— W każdym razie — rzekł Grienspan — zainteresowanie policji rannym nie może być dla nas obojętne. Nawet jeśli nie chodzi tu

o celową kontrakcję. Trzeba **się** zastanowić, czy nie popełniliśmy jakiegoś błędu.

— Tak też sobie pomyślałem, że to .wasza robota! — zawołał Konrad triumfująco do Alfonsa. — W jakiś sposób te przedsięwzięcia, o których głośno na całych Mazuralach, noszą wasze piętno. Idziecie na całość, prawda?

— Usiłujemy jedynie dopomóc, aby to szaleństwo skończyło się wreszcie — odparł Alfons spokojnie. — I robimy to możliwie konsekwentnie — środkami i metodami, jakie nam pozostały. Nie są piękne i nie przychodzi nam to łatwo, ale sądzę, że tak właśnie trzeba.

— Działamy w dwóch grupach — wyjaśnił Siegfried. — Jedna utrzymuje kontakt z polskimi partyzantami i obejmuje jednostki specjalne, złożone z resztek naszych dawnych organizacji transportowych. Druga grupa składa się z dwóch osób — to Alfons i Jakub, od czasu do czasu przez nas wzmacniani. Tak było niedawno, kiedy to jeden z moich ludzi został raniony.

— Wykuruję go — obiecał Peter. — Ale obawiam się, że to trochę potrwa. Chory będzie musiał pozostać tu na miejscu.

— No to zostanie — rzekł Alfons.

— Leków mamy dosyć — wywodził Peter — nie **tylko** na ten wypadek. Doktor Gensfleisch zgromadził ich całą masę, jeśli więc zażądają ode mnie sprawozdania o zużyciu leków, nie będzie to niebezpieczne.

— Coś takiego się sprawdza? — zapytał Materna.

— Od czasu do czasu — i przypadkowo w tych- dniach również. My, to znaczy koledzy i ja, musimy sporządzać i dostarczać zestawienie zużycia leków za okres trzech ostatnich miesięcy.

— I to ma być przypadek?! — zapytał Materna.

— Pewnie że nie! — zawołał teraz Konrad Klinger. ~- Czy myślicie, że nasze fajerwerki działają jak środek nasenny? W Olsztynie powołano komisję do zbadania sprawy; kieruje nią przywódca SS. Dowiedziałem się o tym od radcy stanu Engela, z którym czasem pijemy wieczorami.

— Co to za człowiek?

— Ma żelazne poczucie obowiązku. Pozbawiony wyobraźni, co jak wiadomo z doświadczenia — często bywa niebezpieczne. Przy tym. bardzo się o siebie boi — to dałoby się wykorzystać.

— Miej go na oku — polecił Materna. A do Grienspana rzekł— Na tego rodzaju zarządzenie byliśmy przecież od początku przygotowani, prawda?

Siefried orzytaknął. Chłopcy podziwiali jego spokój— nie pozostało

ani śladu z jego dawnego nerwowego, ostrożnego zachowania, czy nawet żalostnego brzmienia głosu. Stał się czujnym, nasłuchującym, opanowanym myśliwym. Powiedział:

— Postępowaliśmy mniej więcej planowo. Wykonywaliśmy akcje możliwie najdalej od naszego punktu wyjścia, dokładnie obliczając drogę tam i z powrotem. Pracowaliśmy także wedle pewnego systemu rozsyпки na wszystkie cztery strony świata.

— Wspaniale! — zawołał Peter.

- Ale Konrad pokręcił głową. — Chwileczkę — powiedział i wstał zaniepokojony. — To znaczy, że startowaliście do wszystkich akcji z Maulen — na północ, na południe, na zachód i na wschód. Czy tak było?

— Co ci się tu nie podoba?

— Mniej więcej dwadzieścia — trzydzieści kilometrów za każdym razem w każdym kierunku! Tak? Jeśli to się zgadza, to w tej odległości zatoczyliście dokoła Maulen wielkie koło.

— No i co z tego?

— To podejrzanie geometryczna figura — można ją zrekonstruować i obliczyć.

— Mądry z ciebie chłopak — powiedział Materna po krótkiej pauzie. Chrząknął. Potem skinął do Grienspana. — Co ty na to, Siegfried?

— Mam' tylko nadzieję, że nikt inny nie wpadł już na ten pomysł. W każdym razie moje uznanie. Muszę przyznać, iż rad jestem, że będziecie z nami współpracować.

Przerwali rozmowę — podano kolację. Najpierw był mocny rosół. Główne danie zaś stanowiła szynka w śmietanie — krojona w grube plastry, wędzona w domu, dwie — trzy godziny przed podaniem moczona w mleku; potem dodawano do sosu śmietaną. Potrawę tę uważano na Mazurach za lekko strawną. . Ogromna misa, pełna aż po brzegi, szybko została opróżniona.

Mówili przy tym tylko to, co niezbędne; oni także dostosowali się do mazurskiego zwyczaju: nie rozmyślać jedzenia gadaniem.

Na deser było ciasto marcepanowe prosto z pieca, pachnące migdałami, cukrem pudrem, olejkiem rodzynekowym — ulubione danie Petera i Konrada już od niepamiętnych czasów; dziewczęta, rzecz jasna, wiedziały o tym.

— Niebo w gębie — jęknął Konrad żując. — Cudowne! Gdyby coś zostało, chętnie się zaopiekujemy.

Została miła sercu reszta — apetyt co prawda dopisywał jak zawsze,

ale zabrakło żarłocznej wytrwałości. Już przy kawie znów skupili się wokół stołu, Jakub ponownie stanął na czatach, a dziewczęta kuchni śpiewały.

— Musimy więc zmienić naszą figurę geometryczną — rozpoczął, Alfons — jak to trafnie określił nasz mądrała. Okolice Maulen muszą zniknąć z mapy komisji śledczej, pozostając białą plamą, i to możliwie jak najprędzej.

— Wobec tego — rzekł Peter — najlepiej byłoby, żeby tu w Maulen, coś wyleciało w powietrze.

— To cholernie bezczelny pomysł — powiedział Alfons Materna. — Ale właśnie dlatego mógłby być skuteczny. W każdym razie nie zaszkodzi się nad tym zastanowić. Moja babka zawsze mówiła; musisz diabła przegnać jego własnym smrodem — wystarczy tylko doprowadzić go do tego, żeby wetknął nos we własny zad.

IV

Ludzie na Mazurach mówili:
Świńskie koryto nigdy nie będzie skrzypcami.

A. także:

Nie możesz wypluć swego życia, musisz je zeżreć.

Eugen Eis był pewien, że wygrywa najważniejszą partię w swoim życiu.

— No, Schlaguweit — zapytał jowialnie — jak tam interesy?

— Idą nieźle. Nasz burdel, mam na myśli nasz dom wypoczynkowy, ma duże powodzenie. Dni są coraz krótsze, a noce chłodniejsze, toteż automatycznie podnoszą się obroty.- Poza tym coraz głośniej mówi się o jakości lokalu, coraz więcej mamy gości, wkrótce będziemy musieli dobudować...

Schlaguweit też się wyrobił. Drobni pijaczkowie zostali odprawieni, zaczęły się panoszyć odpowiednio wypchane portfele. Ostatnio przybyli goście nawet z Giżycka i Olsztyna — czołowi towarzysze partyjni, oficerowie, panowie ze sfer gospodarczych, z Wehrmachtu i równie slitarne osobistości. Przyjeżdżali, by w pięknie położonym Maulen spędzić kilka spokojnych dni urlopu. Oczywiście, w towarzystwie.

— Tylko tak dalej, Ernst! — zawołał Eugen Eis z uznaniem. Po czym udał się do burmistrza jedynie po to, by go uprzedzić: — Pillich, doszło do mnie kilka skarg. Ale wiesz przecież, jak zazwyczaj na to reaguję: po prostu sram na to. Bo mam do ciebie zaufanie. Ale go nie nadużywaj! Znam co najmniej trzech lub czterech ludzi, którzy chętnie zastąpiliby cię na tym stanowisku.

Znał zawsze co najmniej trzech, którzy czyhali na jakieś stanowisko. Obiecującymi aluzjami zachęcał ich do szczególnych wyczynów. Na rzecz ostatecznego zwycięstwa nie wolno zaniedbywać żadnej okazji. Chceć widzieć czyny!

I widział je. Wpływały do niego liczne datki, do niego jako do ortsguppenleitera naturalnie — kury, kaczki, gęsi, owce, bydło. Nawet wspinały okaz buhaja — nazywał się Baldur — został przekazany gminie przez rzeźnika Pracesiusa, który miał ochotę zostać burmistrzem.

W Maulen kwitła ofiarność, gdziekolwiek padło spojrzenie Eugena Eisa. Z takim oddaniem jak w ciągu ostatnich miesięcy nie był witany jeszcze nigdy. Pewna babulka padła nawet przed nim na kolana; była to stara Beilke — nakazał, by przydzielono jej specjalny dodatek:; dziesięć jajek. Pastor na jego widok tak jakby unosił dłoń — nie wiadomo, czy był to rodzaj błogosławieństwa, czy też niedbałe pozdrowienie niemieckie.

— Rosjanie — mówił pastor Kampmann ostrożnie — posuwają się coraz dalej, a może się myłę? Ale trudno mi sobie wyobrazić, by mogli ewentualnie zagrozić naszym granicom. Co pan na to?

— Niech się pan nie troszczy o jaja, których jeszcze kura nie zniosła — zgañił go Eis. — Niech pan lepiej się modli! Całą resztę niech pan spokojnie pozostawi naszemu Führerowi.

Eugen zatrzymał się na placu przy pomniku poległych. Wypełniała go pewność siebie i mocna nadzieja. Bo wszystko układało się dobrze — wieś należała do niego! Życzliwie odpowiadał na pełne szacunku pozdrowienia przechodzącej dziatwy szkolnej.

To Maulen było jeszcze przeważnie skupiskiem chat na bagnach i pagórkach torfowych, pastwiskiem dla bydła, drzewami, na które sikały kundle. Ale wkrótce, zaraz po ostatecznym zwycięstwie, wszystko się cudownie przeobrazi pod jego kierownictwem: szkołę się; rozbuduje, dobuduje piętro, urządzi się dom młodzieżowy, w remizie będzie hala sportowa i pomieszczenie służące zgromadzeniom i obchodom narodowym; jego gospoda przekształci się w gmach użyteczności publicznej z salą teatralną i kinową, kręgielnią, zadaszonym tarasem w ogrodzie, trawnikiem dla dzieci; będzie też pomieszczenie dla zjazdów, sala jadalna, sale z wyszynkiem, podwójna toaleta. No i rozbuduje się także pomnik poległych, wzbogaci go o popiersie Führera, marmurowe tablice pamięci i wieczne ognie. Tam zaś, za Końskim Wzgórzem, zagroda Materny mogłaby być wzorowym domem wypoczynkowym dla weteranów, matek-bohaterek i wdów wojennych; do tego plaże nad jeziorem, ławki na ścieżkach leśnych, place sportowe i przystanie dla statków. A wszędzie będą powiewać flagi z hakenkreuzem. I on!

— Czy mogę z tobą pomówić? — zapytał Amadeus Neuber.

— Innym razem — odparł Eis. Nie mógł już słuchać gadaniny tego lizusa z ambicjami — na tego też przyszła kolej! Przy najbliższej nadarżającej się okazji. — Mam teraz dużo roboty.

Zostawił Neubera, który spoglądał za nim mocno zaniepokojony. Potem zrobił wielki łuk, okrążył budynek partyjny i ruszył w pobliże

swego domu wzdłuż krzewów bzu, pod brzoźami i bukami. Zatrzymał się przy parkanie.

To, co tam ujrzał, ogromnie go ucieszyło: Christine, jego żona, siedziała na leżaku przed domem. Wyglądała dekoracyjnie — jakby spoglądała w dal z cierpiącą miną. Ale tylko tak udawała. Bo Eis, dobry obserwator, ujrzał to, co chciał zobaczyć: wzrok Christine miał określony cel — a był nim człowiek, który przekopywał ogród, jeniec Pierre Ambal.

— No, jak się czujesz? — zapytał Eis, ale, jak się spodziewał, nie otrzymał odpowiedzi. Udał, że jest zatroskany. — To mi się wcale, ale to wcale nie podoba — stwierdził. — Żałoba to rzecz godna szacunku, sprawia też na wsi dobre wrażenie, ale nie możesz tego przeciągać w nieskończoność. Chociażby ze względu na mnie — przecież jestem taki taktowny i subtelny.

Już od pewnego czasu nie spędzał nocy w domu, lecz w prywatnym pokoju przylegającym do kancelarii partyjnej. Po pierwsze dlatego, że chciał mieć spokój, po drugie — aby zademonstrować, jak taktownie zachowuje się wobec ukochanej żony, aby mogła przyjść do siebie. Wreszcie — i to było nie mniej ważne — chodziło o Henriette — chciał jej dać do zrozumienia, że to okres przejściowy, niezbędny, aby mógł spełnić swoje uroczyste przyrzeczenie.

— Nie chcesz mnie słuchać? — zapytał żonę, która miała zamiar wejść do domu. — Mam ci to i owo do powiedzenia.

Patrzył w ślad za nią szczerząc zęby — jej złośliwa oziębłość , jak

mówił, wydawała się sprawiać mu przyjemność. Podobne uczucie budził w nim widok pilnie pracującego jeńca. Życzliwie przywołał go do siebie.

— Mówisz po niemiecku?

Ten skinął. — Ale źle słyszę — powiedział ostrożnie. — Nauczyłem się nie słuchać, gdy inni rozmawiają, jeśli o to panu chodzi.

— Widać, że jesteś dowcipny — rzekł Eis. — Ale mam słabość do takich zwierzaków. W ogóle my tu w Maulen jesteśmy wesołym ludkiem. Zauważyłeś to?

— Jak dotąd — nie.

Mierzyli się wzrokiem. Jeden uznał drugiego za faceta nieprzyjemnego, a nawet wstrętnego, ale zarazem komicznego; odpychającego — ale też interesującego w swej całkowitej odrębności, zaskakującego niczym monstrualni mieszkańcy zoo. A więc uśmiechnęli się do siebie.

— Rozmawiałeś już z moją żoną?

— Nie nazwałbym tego rozmową. Pańska żona dawała mi polecenia; a ja je wykonywałem. Wydaje się bardzo małomówna.

- Nie zawsze taka była. — Przez chwilę Eis patrzył w milczeniu w stronę krzewów bzu, które zbrązowiały i straciły liście. — Tak,, szkoda kobiety. Była taka żwawa i dziarska, pełna życia. Ale może znowu przyjdzie do siebie, mam nadzieję. Sporo przeszła — trzeba być dla niej wyrozumiałym, jeśli się nie jest całkowicie pozbawionym serca oschłym człowiekiem.

Pierre Ambal obserwował tego okazałego wiejskiego byka z nie pozbawionym podziwu ubawieniem. Ta kobieta godna była współczucia.

— Szkoda tej kobiety — rzekł Eugen. — I właśnie dlatego, Ambal, czy jak tam się nazywasz, kazałem cię tu sprowadzić.

Zaskoczony i zaniepokojony Pierre cofnął się o krok, jak gdyby chciał lepiej widzieć.

— Żebyśmy się dobrze rozumieli, przyjacielu: jesteś tu tylko po to, by pomóc mojej ukochanej chorej żonie. Masz ułatwiać jej życie! codzienne, pracować, pomagać, jak tylko się da. Chyba jasno się wyraziłem? — Sądzę, że tak — Pierre Ambal cofnął się jeszcze bardziej.

Ale Eugen podszedł bliżej. Stał tuż przed Ambalem, który doznał przykrego uczucia, że Eis ma zamiar dotknąć go poufale, ale się mylił. Eis tylko chuchnął mu w twarz, a był to oddech z mieszaniny piwa, tytoniu i baraniny — mocny oddech mazurskiego woźnicy.

— Staraj się być użyteczny — rzekł Eugen. — Ja niestety nie mogę sam troszczyć się o każde gówno, jestem bowiem ogromnie zajęty. Wiesz przecież. Teraz na przykład muszę iść do moich dziewcząt ze Służby Pracy — zawsze czegoś ode mnie chcą. Takie już są te baby! Ale tego nie muszę ej mówić, ostatecznie pochodzisz z Francji. zobowiązuje, nie?

Na polach Materny paliły się ogniska; dzieci skakały dookoła krzycząc radośnie. W wilgotnym zimnym wietrze ciemny dym snuł się po ziemi.

— Te małe bestie zeżrą więcej, niż potrafiłoby to stado tuczonych świń. — Jakub Jabłoński orzekł to z największym uznaniem. Nie wystarczy im reszta kartofli na polu.

— No to dobierzemy kartofli z naszego zapasu sadzeniaków — powiedział Alfons Materna. — Tym razem jeszcze mogę się cieszyć radością dzieci, ale nie umiem sobie wyobrazić przyszłych zbiorów.

Stali na kupie kamieni na skraju przekopanych kartoflisk. Kręciła

isię tam wiejska dzieciarnia; dzieci w każdym wieku i obojga płci: bezczelne smarkacze i starannie uczesane dziewczynki o długich warkoczach, wyrostki-zabijaki i tak zwane szczyłe — malutkie dziewczynki bez majtek, ze względów praktycznych.

Wszystkie krzątały się z rozpalonymi twarzami i błyszczącymi oczami. Zgarniały kartofle i wrzucały je do płonących stosów. Rozgrzebywały ziemię, szukając w niej pozostałych ziemniaków, po czym podawały je kilku starszym chłopcom, którzy za pomocą gałęzi wsuwali je do ogniska.

Te późnojesienne dziecięce święta pieczenia ziemniaków odbywały się corocznie na kartofliskach Materny. Zapraszani byli wszyscy, i prawie wszyscy przychodzili. Bo nikt we wsi nie chciał pozbawiać chłopców i dziewczynek z Maulen tych radosnych, długo oczekiwanych i szeroko omawianych świąt. Rodziców nic to nie kosztowało, a zarazem zatrzymywało małych dręczycieli całe godziny poza domem. W dodatku zaś pilnował ich osobiście Materna.

— Będzie im się chciało pić — rzekł Alfons. — Trzeba było przygotować wiadro wody z sokiem.

Wesołe okrzyki dzieci nagle stały się jakby przytłumione, dwie grupy w pobliżu drogi przeniosły się dalej na pole. Jakub spostrzegł ten znak podobny do ucieczki i wkrótce wykrył powód: w stronę kartofliska Materny zbliżała się powoli istota wyglądająca jak wrona.

Był to Amadeus Neuber.

— Czy mam mu oświadczyć, że dla robactwa wstęp na nasze grunty jest wzbroniony? — zapytał Jabłoński skwapliwie.

Alfons zaprzeczył, jak gdyby w ogóle nie dostrzegł Neubera. Podszedł do małego, syczącego, kotłującego się ogniska, z którego unosił się granatowoczarny dym. Przynął do niego wielki jak dynia kamień i usiadł na nim. Jakub usiadł obok na ziemi.

— Dzień dobry! — zawołał do nich Neuber.

— Heil Hitler! — odpowiedział Materna, podczas gdy Jabłoński wydał dźwięk, który co prawda uważano na Mazurach za rodzaj powitania, ale niezbyt uprzejmego. Amadeusa to nie zniechęciło. Stanął przy obu i z uśmiechem patrzył na wesołą dziatwę. Ta niezawodnym instynktem wyczuła, że nauczyciel nie przyszedł po to, by przeszkodzić, udawała więc, że go nie widzi.

— Pan zawsze ma serce dla naszej młodzieży — rzekł Amadeus. Doceniam to.

Jakub wyzywająco wyszczerzył zęby i rzekł: — No cóż, każdy ma jakąś słabostkę. Tylko że dla nas dzieci są tylko dziećmi;

Ta beczelna aluzja mocno dotknęła Neubera; z trudem udał, że nie dosłyszał. Ale Materna rozładował sytuację, mówiąc. — Proszę, niech się pan do nas przysiadzie. — Wskazał przy tym miejsce w pobliżu, spojrzawszy przedtem ukradkiem i badawczo w niebo: wkrótce wiatr zmieni kierunek i dmuchnie gryzący dym w ich stronę.

Neuber usiadł na stercie gnijącej kartoflanej naci, którą podsunął mu Jakub. Z lekka pojękując podkulił nogi i powiedział, siląc się na wyrozumiałość: — My, ludzie, wszyscy jesteśmy grzesznymi istotami, stale i wciąż wystawionymi na pokuszenie. Ulegamy popędom i marzeniom, póki nie osiągniemy stanu dojrzałości, świadomości, mądrości. To rzecz ludzka.

Jakub miał zamiar skomentować te wywody na swój sposób, ale Alfons spojrzął na niego ostrzegawczo i rzekł, ostrożnie podsycając ogień: — Piękna świadomość, panie Neuber, tylko tyje, że trochę spóźniona.

— Otóż to! — zawołał Neuber, zrywając się z naci. — Jest późno, ale nie musi być za późno! I dlatego jestem tutaj, u pana.

— Co pan sobie po tym obiecuje? Jestem tylko prostyrrt chłopem.

— Jakże bardzo panu tego zazdroszczę --• rzekł na to 'Neuber, mocno kaszłąc, bo właśnie wiatr zmienił kierunek. — Pan wybrał tę lepszą część.

— Myśli pan? Zabito mi syna, straciłem żonę, gmina się mnie wyrzekła, na przyjaciół oficjalnie nie mogę sobie pozwolić. A pan, Neuber, podobno wbija dzieciom do głów, że tacy jak ja są zakałą społeczeństwa.

Amadeus patrzył na niego zaskoczony.

W tej formie na pewno tego nie mówiłem. A jeśli nawet coś w tym rodzaju napomknąłem, czego żałuję, było to chyba dawno temu. Tymczasem wiele, choć nie wszystko się zmieniło — nie uważa pan?

Materna celowo nie patrzył na Jakuba; wiedział, że ten bez żenady szczerzy zęby. Tak więc spojrzął na ognisko, które zamieniło się w krwistoczerwony żar i przetykało niebo lśniącymi kolorowymi plamami.

Amadeus odczuł jego milczenie jako zachętę.

— Nasza wieś — powiedział; — jest jakby w gorączce. Wszystko dymi i śmierdzi jak to kartoflane ognisko, tylko nikt tego nie spostrzega. Ale pewne znaki są wyraźne dla tych, którzy mają oczy i potrafią patrzeć! Właśnie teraz stara Beilke rzuciła się do jeziora, bo była wykończona, całkowicie osamotniona, głodowała,

prawdopodobnie postradała zmysły. Topich ją zabrał, powiadają ludzie. A wieczorami zakrystian, pijany jak bela, zerwał krucyfiks z ołtarza, aby go zanieść do Eisa; ale do niego nie dotarł — zmarł na atak serca w drodze na plac. Uschkuratowi także się pomieszało w głowie, a przecież dotąd był zupełnie normalnym człowiekiem — widzi teraz upiory. Wie pan, kogo on ostatnio widział w nocy przy murze cmentarnym? Siegfrieda Grienspana! Niech pan sam powie, czy nie dojrzał już do czubków?

Alfons wybuchnął śmiechem. Głośnym, długim. Mrużąc oczy. Wreszcie się odezwał: — Czego to wszystko dowodzi? Tylko tego, że u nas jest zaskakująco dużo wódki do chlania. To bardzo pocieszające! Zna pan nasze piękne przysłowie: Przed każdą wódką — wódka, i po każdej wódce — wódka, to dodaje zdrowia! — I znowu się roześmiał.

Jakub Jabłoński także się śmiał, choć przychodziło mu to z trudem. Dzieci przy ogniskach głośno krzyczały, bo rozdzielano właśnie pieczone kartofle i każde dziecko chciało dostać jak najwięcej.

Amadeus Neuber pochylił się jakby zaklinającym gestem. Nie zważał na żar w swoim pobliżu, który zaróżowił mu twarz i potem zrosił czoło.

— Pan ma poczucie humoru. Powiedziałbym, że to błogosławieństwo, bo dowodzi czystego sumienia, które trzeba panu bez zastrzeżeń przyznać. I właściwie dlatego tu jestem — pełen zaufania i nadziei.

— Nadziei na co?

— No cóż, przypuszczam, że nie można mi odmówić posiadania jszczypoty rozsądku. — Znów przesunął tyłek — gnijąca nać przemoczyła mu spodnie. — W ostatnim czasie dużo rozmyślałem — o sytuacji ogólnej, o naszych Niemczech i o obecnej sytuacji na froncie. I muszę powiedzieć — używając tutejszego języka — że budzimy się z ręką w nocniku.

- Słusznie — odezwał się Jakub, który nie mógł się powstrzymać. — Wpadliśmy prosto z deszczu w gówno, omijając rynnę.

Tak to mniej więcej wygląda — rzekł Neuber. — Panowie to wiecie, ja także, ale kto poza tym? Ta wieś pełna jest po brzegi ślepych, głuchych, koniunkturalnie nastawionych, żądnych kariery ignorantów.

— Pełno jest lizusów — uzupełnił Jakub skwapliwie.

— To prawda! Taki człowiek jak Eis może sobie systematycznie hodować podłe kreatury: morderców, zabójców, sutenerów, szantażystów, krzywoprzysięzców i kto wie, jakich jeszcze drani. Ale moim zdaniem nie powinniśmy tego tolerować — teraz już nie!

- Czy ma pan dowody na to, co pan przed chwilą powiedział? — rzekł Alfons łagodnie.

— Na to i na wiele innych sprawek. — Neuber nie zważał na dym, który znowu go zaatakował, ani na żar, który ku nim buchał, wyciskając na jego twarzy krople potu wielkości sztucznych perek; nie ocierał ich. — Zebrałem całą masę materiału. Wystarczający materiał, nie tylko obciążający, ale służący jako dowód. I jestem gotów zdeponować go u pana na przyszłe lepsze czasy.

— Panie Neuber — Alfons wyprostował się, teraz dym zagrażał i jemu. — Pan widocznie zapomniał, że jestem ojcem Hermanna Materny, pełnomocnika do spraw gospodarki wojennej okręgu, syna, z którego mogę być dumny. I jestem przyjacielem barona von der Brockena, który z kolei jest przyjacielem marszałka Rzeszy. Dlatego to, co pan teraz oświadczył, mogę uznać za podłą prowokację.

— Ja panu zaufałem — zapewnił Neuber.

— Pan, w obecności świadka, stał się winny jako siewca defetyzmu. Pan powątpiewa w ostateczne zwycięstwo! Pan podważa zaufanie do naszych przywódców i wodzów! To są oskarżenia, za które płaci się głową.

— Najwyraźniej zostałem źle zrozumiany! — zawołał Neuljer, trzęsąc się i kaszląc. Zerwał się i odszedł pośpiesznie ze zmoczonymi spodniami. — Tego naprawdę nie zamierzałem — wyjąkał.

Dzieci cieszyły się, że sobie poszedł. Napęłniały brzuchy cudownie pachnącymi ziemniakami. Teraz otoczyły Hannelorę i Sabine, by napić się soku malinowego. Rozkoszowały się nim.

A potem skupiły się dokoła Alfonsa i Jakuba. Jaśriymi głosami śpiewały piosenkę dziękczynną; ostre tony jakby rozrywały ciemne chmury horyzontu. Śpiewały żarliwie:

Kto na polach Mazur hasa,
Kiedy wietrzyk wieje,
Ten — choć chory i zgnębiony,
Szybko ozdrowieje.

— Czemu posłałeś Neubera do stu diabłów? — zapytał Jakub. — Mnie też chce się rzygać na jego widok, ale on może być pożyteczny.

— Możliwe — Alfons kiwał dzieciom głową z wdzięcznością. Przyrzekł im piękne tygodnie w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku, z niedzielami adwentowymi pełnymi niespodzianek, kiedy to będą miały wrażenie, że na Mazurach płyną rzeki miodu. Chwycił najbliższe brudne ręczki, głaskał jasne główki, jakby je błogosławił.

Potem rzekł do Jakuba: — Kiedy ten bydlak wspomniał Grienspana,

zrozumiałem, o co mu chodzi — myślał nie tylko o ratowaniu własnej skóry, chciał raczej być naszym współnikiem. A uważani, że to za wiele.

— Czy możemy sobie na to pozwolić, by odprawiać pożyteczne bydelko?

— Na to i na niejedno poza tym. Tak, nasze Mazury zastraszająco się zmieniły — stały się terenem przestępstw. Nie możemy już spaść o wiele niżej. Tak więc nie mamy wyboru — musimy po kryjomu grać rolę bohaterów. Tak daleko, bracie, zaszliśmy.

, Inspektora kryminalnego Budzuhna opanowało powoli przykre uczucie, że spędza dni beczynnie. Ponieważ Tantau wałęsał się z nim po Mazurach jakby bez planu. Z Giżycka jechali do Ełku, stamtąd do Mrągowa, potem dalej aż do Olsztynka.

— Jeśli miałby pan zamiar zapytać mnie, Budzuhn, to naprawdę nie wiem, czego szukam. — Tantau spoglądał przy tym na inspektora, jak gdyby przepraszając. — Nigdy nie wiem nic pewnego. Coś tylko wyczuwam. Tak więc grzebię się we wszystkich dostępnych spisach, zestawieniach i aktach aż do pewnej chwili. Do momentu, kiedy mnie coś zaskakuje. Jak gdybym wykrył miejsce, gdzie krzyżują się drogi, które mimo wszelkich zawiłych rozgałęzień nieuchronnie wydają się prowadzić do celu.

Budzuhn nie mógł wywnioskować z tego nic konkretnego. Był zwolennikiem solidnej roboty — zabezpieczenia śladów, dochodzeń i konfrontacji na miejscu zbrodni. Westchnął.

— Jestem na etapie odnajdywania igły w stogu siana — oświadczył Tantau — co zresztą nie jest zbyt trudne. Trzeba tylko zastosować odpowiednie środki pomocnicze, na przykład magnez. W naszym szczególnym wypadku może to być mapa, dokument, rozmowa.

Tantau był niez mordowany!

— Musimy wykorzystać wszelkie dostępne materiały. Interesują mnie także wykluczenia partyjne, procesy w sądach rozjemczych, wnioski o procesy i temu podobne. Oczywiście, potrzebne są nam też spisy tak zwanych podejrzanych osób, z krótkimi uzasadnieniami.

Inspektor Budzuhn czuł się coraz bardziej nieswojo. A kiedy Tantau wyraził jeszcze życzenie dostarczenia mu spisu najlepszych strzelców w tym kraju — Budzuhn zaprotestował:

— Przepraszam pana, ale jak mam się do tego zabrać?

— To bardzo proste. Jeśli jestem dobrze poinformowany, strzelanie w tej okolicy od dłuższego czasu należy do zwykłych zabaw dziarskich

mężczyzn. Tak więc najlepsi tutejsi strzelcy byli rejestrowani na różnych tego rodzaju imprezach.

Szczególną wagę Tantau zdawał się przykładac do informacji ogólnych. Chętnie rozmawiał z tak zwanymi kierowniczymi osobistościami: z landratem, kreisleiterem, z jego pełnomocnikiem. Budzuhn mógł być przy tym obecny.

Potem Tantau zawsze pytał: — Zauważył pan coś?

Budzuhn prawie zawsze zauważał całą masę; drobiazgi, jak sądził. Tak więc kreisleiter był paskarzem. Wskazywało na to pięć szczegółów. Landrata można było zaliczyć do ostrożnych asekurantów; wielokrotnie usiłował dowieść, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za sprawy, za które był odpowiedzialny. O wielu z tych rozmówców mógł Budzuhn zarówno skromnie, jak przekonywająco powiedzieć: — Mają pełne portki, to się czuje na miłę.

Tantau jak gdyby tylko rejestrował uwagi swego psa **gończego!** Prawie zawsze rozpoczynał rozmowę z tak zwanymi osobami kierowniczymi standardowym pytaniem: — , Jakie ma pan trudności na swoim terenie i z kim?

Wszyscy mieli trudności i niemal z rozkoszą o tym opowiadali; pp pierwsze — aby pokazać, czego musieli dokonać, a poza tym, aby dać do zrozumienia, że tego wszystkiego istotnie dokonali. Byli prawdziwymi chłopami na schwał, z kamieni wyciskali chleb, w«li zamieniali w mleko. Wszyscy tacy byli. Prawie wszyscy. Tantau bowiem znalazł jednego, który wydawał się być wyjątkiem.

Człowiek ten, mniej więcej po trzydziestce, jasnowłosy o błękitnych oczach, sprawiał wrażenie szczerego i budził zaufanie. Udziel0ł rzeczowych informacji. Jego zdaniem na tym terenie w ogóle nie byłfcj żadnych trudności. Przyjmujemy wszystko tak, jak leci — powiedział..

Ten człowiek o skromnym prostolinijnym usposobieniu był pełno? mocnikiem do spraw rolnictwa, rybołówstwa i leśnictwa — najwidoczniej bardzo dzielny; jego nie dotyczyło asekuranctwo landrata. Także kreisleiter o nim nie wspominał — ani dobrze, ani źle.

Nazywał się Hermann Materna.

Gdy po rozmowie z nim Tantau zapytał jak zwykle Budzuhna; No, czy coś zwróciło pana uwagę? — ten z miejsca odpowiedział

— To przyzwoity człowiek.

— To co prawda — rzekł Tantau — byłoby rzeczywiście zaskakujące.

— Ten Hermann Materna — odezwał się inspektor jest na pewno wzorowym narodowym socjalistą.

— Sądzi pan? Ja bym go uważał raczej za dobrego Niemca.

— Czy to nie to samo?

Tantau uśmiechnął się pod wąsem. Kierował się ku grubo ciosanej ławce w małym parku na skraju placu, odgarnął opadłe liście, usiadł i wskazał Budzuhnowi miejsce obok siebie.

— Jest pan w partii, Budzuhn?

- - Nie, nie miałem jeszcze sposobności złożyć wniosku.

— No to sądzę, że nie będzie już na to czasu. Ja w każdym razie byłem człowiekiem partii. Od marca do czerwca tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego, bądź co bądź przez trzy miesiące. Potem mnie wylali. Bo sprowadziłem im dwóch morderców, przy czym udało mi się udowodnić, że dokonali napadu rabunkowego ze śmiertelnym skutkiem. Co prawda zamordowany był Żydem, a mordercy należeli do SA. Tak więc chodziło tu — wedle łagodnej interpretacji sądowej — o rodzaj obrony własnej. Żyd podobno ich sprowokował, prawdopodobnie samym swoim wyglądem. A skradziony przy tym portfel zabrano mu tylko w celu identyfikacji; sądzę, że znajdujące się w nim pieniądze także w tym celu.

— Po co mi pan to opowiada?

— By pana zabawić, by zabić czas, by sobie trochę pogadać — niech pan wybierze to, co pan woli.

— Chyba domyślam się, co pan ma na myśli. Dał mi pan do zrozumienia, że są pewne różnice pomiędzy Niemcami a narodowymi socjalistami.

— Coraz więcej pan się uczy. — Tantau podniósł z ziemi liść klonu i przyglądał mu się. — Czy nie zwrócił pan nigdy uwagi, jak ogromnie różnią się liście jednego i tego samego drzewa? Składają się z nielicznych podstawowych elementów, a mimo to jeden liść nie jest podobny do drugiego. A cóż dopiero ludzie, z których każdy zawiera w sobie wielotysięczne możliwości odmiany! Jak więc można, nie będąc szalonym albo maniakiem, traktować ich wyłącznie jako obiekty rozplodowe?

Inspektor Budzuhn milczał; przyciskał do siebie teczkę, zawierającą zebrane przez niego materiały. Nie wiedział właściwie, czy Tantauowi powiedzieć, co sobie teraz przypominał. Pewne nazwisko. Figurowało w dwóch spisach. Ale to chyba było przypadkowe.

— Czy może pan sobie wyobrazić, Budzuhn, że coś z tym pełnomocnikiem, tym Hermannem Materną, jest nie w porządku?

— On jest wyjątkiem, ale samo to nie budzi jeszcze podejrzeń.

- Ale jest godne uwagi. Nie chcę się tu rozwodzić nad tym,

w jakim stopniu pewne, wedle kodeksu karnego, czynności kryminalne mogą wynikać z bezsprzecznie uczciwych motywów, na przykład/ z powodów religijnych, a nawet z fundamentalnego poczucia sprawiedliwości.

— Sądzę, że nie chodzi tu o tego Hermanna Maternę bezpośrednio, lecz o jego nazwisko, prawda? O nazwisko Materna.

— Moje uznanie — rzeki Tantau — a więc przypomina pan sobie, że na naszym tropie natrafililismy już kilkakrotnie na nazwisko Materna.

— Dwukrotnie. Chodzi tu o ojca tego Hermanna, niejakiego Alfonsa Maternę.

— W jakim spisie jest to nazwisko?

— Raz na liście kreisleitera: Materna wielokrotnie usiłował rozmaitym członkom partii wytoczyć procesy. A poza tym figuruje na liście najlepszych strzelców.

— To nie musi mieć większego znaczenia — rzekł Tantau pospiesznie. — To może być jeden z przypadków, które zdarzają się nam i prowadzą na manowce w naszym zawodzie. Mimo to trzeba będzie przy sposobności powęszyć trochę w tym kierunku.

— Stało się! — zawołała Henriette do Eugena.

— Doprawdy? — Nie wiedział, co się stało, było mu to zresztą obojętne — najważniejsze, że przyczyniło się do dobrego humoru Henriette.

Znalazł ją w obozie podczas ćwiczeń na wolnym powietrzu; była w śnieżnobiałym golfie i szerokich Spodniach z grubego płótna. Stali oboje na skraju placu apelowego. Dziewczęta gorliwie ćwiczyły; ubrane były tak samo jak Henriette; ich sportową odzież suto wypełniały obfite kształty. Eis starał się nie zwracać na to uwagi.

— Wuj Heini przysłał mi list!

Eugen uznał, że to naprawdę ważna sprawa.

- - Chodź — powiedział — wejdźmy do twojego biura.

Eedwie zamknęli za sobą drzwi, przytuliła się do niego; Eis wziął się os o do rzeczy, ale od razu przy tym powiedział: — No to pokaż! .

— Co mam pokazać? — szepnęła tuż przy jego uchu.

— Jak to co? Ten list! — Ale poczuł, że chyba popełnił błąd, dodał więc od razu: — Najpierw proza życia, potem uciechy miłości. I poklepał ją po tyłku, jak gdyby miał przed sobą konia.

Henriette bardzo odpowiadało takie traktowanie. Eugen był w jej

oczach prawdziwym mężczyzną; po prostu mężczyzną. Mocny jak dąb, pierwotny, germańsko władczy.

Wyjęła więc z brązowej skórzanej teczki list na czerpanym papierze. Po lewej u góry gotykiem wypisane było imię i nazwisko. Papier miał wodne znaki. Wyjaśniła mu, że to runy zwycięstwa i aryjskie symbole słoneczne, przy czym miała na myśli jedynie hakenkreuze. — To prywatny papier listowy wuja.

— Bardzo piękny. Ma klasę. Aie co on pisze?

— Zgadnij — zawołała kokieteryjnie.

Eugen Eis uznał jej mizdrzenie się za głupie, ale powiedział, otaczając ją ramieniem i zaglądając do listu: — Twój wuj na pewno ma rację. Jak zawsze, prawda?

Sprawa nie była taka prosta, jak to sobie Eis wymarzył. Najpierw Henriette prawie ostro odmówiła, by prosić wuja o czynną pomoc. A przecież Eis myślał, że wszystko dałoby się szybko i gruntownie załatwić. Na przykład tak: Reichsführer idzie do Führera, a ten zarządza, by dotychczasowe małżeństwo Eisa zostało uznane za rozwiązane i cały ich wspólny majątek przyznano Eisowi. Henriette oświadczyła, że to wchodziłoby w grę tylko w skrajnym wypadku. Bo dewiza wujaszka brzmiała: Mężczyzna radzi sobie sam . Albo też:

Pomóż sobie sam, a wtedy ci i Himmler dopomoże , albo nawet sam

Führer. Ona tak bezgranicznie ufa Eugenowi — on na pewno sam sobie z tym poradzi, całkiem sam, a to by wujowi niewątpliwie zaimponowało. List, który mu Henriette podała, potwierdził to, co ona sama o tym sądziła. Zaczynał się od słów: Moja Droga Mała Henriette . To wskazywało na wielką czułość, nawet na dobroduszny humor — jakże nie doceniano wuja Heinricha!

Pierwszy akapit tego osobistego, poufnego, pisanego na maszynie listu — dyktowanego jego pierwszej prywatnej sekretarce — omawiał szczegóły osobiste, jak kwestia zdrowia; polecał jej więc wuj Heini używać podczas nadchodzących zimnych nocy kociej skórki — jest to starodawny nordycko-niemiecki środek domowy.

Henriette chciała wdać się w szczegóły, ale Eis ją powstrzymał.

Później, kochanie, później. Pozwól mi przeczytać, co wuj pisze o naszej sprawie.

Ten zaś akapit brzmiał następująco: Co się tyczy wyboru małżonka,

o czym mi donosisz i co zapewne dobrze przemyślałaś, a więc przyszłego ojca Twoich dzieci, to mogę Ci, Moja Kochana, tylko pogratulować, mając niezbitą pewność, że ten przez Ciebie wybrany, jak mnie zapewniasz, należy do owych mężczyzn, którzy jeszcze

wiedzą, co to wierność, przyzwoitość, honor, krótko mówiąc — niemieckość, zwłaszcza w tych ciężkich czasach, kiedy to my wszyscy, każdy na swoim posterunku, walcząc i wierząc kroczymy ku ostatecznemu zwycięstwu, które z całą pewnością nam przypadnie .

Na końcu jednak było: Tak więc daję Ci nasze rodowe błogosławieństwo i proszę, abys dała mi znać, kiedy — po ostatecznym wyjaśnieniu sprawy — będę mógł twemu wybranemu złożyć gratulacje, może nawet osobiście .

Potem następowały serdeczne, tym razem odręcznie dopisane, słowa: Twój oddany wuj Heini .

Ten list przeniknął Eisa do głębi, aż zaparło mu dech. Zatoczył się, trzymając Henriette w objęciach, w stronę jej biurka, położył ją na blacie, nie zważając na jej szybko zamierające protesty.

Kilka teczek spadło z głuchym kłaśnięciem na podłogę. Jedna zsunęła się do kosza na papiery, otworzyła się i odsłoniła stos czystych arkuszy papieru listowego z symbolicznymi znakami wodnymi i gotyczkimi literami, które tworzyły nazwisko Heinrich Himmler .

Henriette krzyknęła stłumionym głosem, co Eis oczywiście i na szczęście zrozumiał opacznie. Miał pełne ręce roboty. A jej udało się zarzucić ściągniętą koszulkę gimnastyczną na kosz z papierami; westchnęła z ulgą i poddała się jego woli.

— Skłon, wyprost, skłon, wyprost! — rozlegał się głos dziewczyny, która prowadziła na dworze ćwiczenia.

— Pośpieszcie się dziatki! —» zawołał Konrad Klinger wesoło w stronę kuchni w domu Matery. — Dajcie nam placków z jabłkami i podwójną wódkę, a potem porozmawiamy ze starymi lwami.

Przyszedł z Peterem. Obaj serdecznie przywitali się z Hannelore i Sabine i zasiedli przy stole. Śmiali się do dziewcząt i choć ich zachowanie było trochę przesadne, mieli naprawdę wspaniałe humory. Jak w dawnych czasach, no może nie takie bojowe, ale prawie tak samo głośnie.

— Jesteście dość ożywieni — stwierdziła Hannelore.

— Zawsze są tacy — rzekła Sabine — kiedy wymyślą jakieś głupstwo. Przecież ich znasz.

— Znowu chcecie nas sprowokować — odciął się Peter. — Lepiej zajmijcie się waszymi garnkami. I postarajcie się, aby zjawiły się tu nasze stare drapieżniki. Możemy im zaanonsować zarcie w wielkim stylu.

Alfons i Jakub przebywali u Grienspana w leśnym schronie. — Oczekiwano ich w domu w ciągu najbliższej półgodziny, bo zamówili szczupaka faszzerowanego i mieloną wołowinę — na cześć Siegfrieda, który znowu zamierzał udać się w podróż. Powinni zjawić się punktualnie, bo gotowane szczupaki nie znoszą długiego przetrzymywania.

Do tego czasu Peter i Konrad przekomarzali się z dziewczętami. Potem faktycznie zjawił się Jakub — niczym zwiadowca — rozejrzał się coś mrużąc i zaraz znowu wyszedł. Po kilku minutach był z powrotem — razem z Materną i Grienspanem. Chwycił stojącą przed młodymi ludźmi butelkę wódki, wsunął do kieszeni kurtki i ponownie wyszedł na dwór, aby stanąć na czatach.

— Wszystko idzie jak po maśle — oświadczył potem, w pokoju, Konrad triumfująco.

— Świetnie — rzekł Alfons Materna. — Możemy więc przedtem spokojnie zjeść.

I tak też uczynili, co zajęło im całą długą godzinę. Było to minimum, czasu spędzanego w domu Materny przy stole. Porcje faszzerowanego szczupaka były bardziej niż obfite; mimo to nic nie zostało na półmisku; ości zostały usunięte już podczas przygotowania.

— No to teraz mówcie — rzekł wreszcie Alfons Materna, kiedy mężczyźni b li już sami.

— Radca sądowy Barthels — referował Konrad — jest człowiekiem z poczuciem honoru. Zdaje sobie co prawda sprawę, jak już mówiłem, że niewiele może zdziałać, ale można się przy tym niezłe zabawić. I to zaważyło. Poza tym dałem mu wygrać dwie partie szachów. To ogromnie poprawiło jego i tak dobry nastrój.

— Do rzeczy, chłopcze — rzekł Materna.

— A więc radca Barthels ustalił termin lokalnej rozprawy sądowej na najbliższy piątek, czyli pojutrze. Tu, w Maulen, o ósmej wieczorem u burmistrza. Wezwani zostaną Eis, Materna, prowadzący protokół adwokat, a więc Rogatzki, którego ja zastąpię, poza tym były i obecny burmistrz. Pańskie wezwanie, panie Materna, od razu przywiozłem ze sobą; inni dostaną je jutro rano. Chciałbym zobaczyć minę Eisa, kiedy otrzyma ten świstek.

— Co ty na to, Siegfried? — zapytał Alfons siedzącego w milczeniu przyjaciela.

— Niezłe tempo — rzekł Grienspan. — Jak podczas jazdy wozem, kiedy konie poniosą.

— Tak, bo z kulawymi szkapami się nie zadajemy — Konrad

Klinger był pewny, że sprawa się powiedzie. — Radca Barthels to stary wyga, a poza tym praktykujący katolik, zresztą bardzo pogodny. Ta rozprawa jest może z prawnego punktu widzenia nie w stu procentach zgodna z obowiązującą procedurą, ale absolutnie legalna. I nawet jej termin — ósma wieczór, nie jest w dzisiejszych czasach niczym szczególnym: także prawo musi poza godzinami urzędowania zrobić to i owo dla ostatecznego zwycięstwa. Barthels był na tyle przewidujący, że wyznaczył przedtem rozmaite inne terminy w okolicy. Jak już powiedziałem, to wielki spryciarz! Alfons Materna miał sceptyczną minę.

No dobrze, więc ten twój radca ma poczucie humoru. Pozaftym jest dobrym katolikiem — to także w porządku. I prawdopodobnie nie należy do partii, a podczas awansów był pomijany — jeżeli mnie pamięć nie myli, już przed dwunastu laty był w tej okolicy radcą sądu okręgowego. Ale czy to wystarczy?

— Był żonaty z Żydówką — poinformował Konrad. - 'Została wywieziona. Barthels już od lat jest sam.

W pokoju zapanowało milczenie. Ale trwało krótko.— To byłby ten punkt — rzekł Alfons. I co dalej?

— No więc pan, panie Materna, będzie obecny, a Jakub będzie panu towarzyszył; każdy to uzna za rzecz naturalną. W ten sposób mamy dla panów i dla mnie — co prawda z pomocą ważnych świadków — niepodważalne alibi! A w tym samym czasie nastąpi wybuch. I co pan na to?

Alfons Materna na razie milczał. Wyjął z drewnianego pudełka cygaro, z holenderskiego importu, najlepszej jakości, pamiętające jeszcze przedwojenne czasy. Ostrożnie je zapalił. — Potem odezwał się do Siegfrieda: Czy zdajesz sobie sprawę, czego nasze dzielne chłopaki od ciebie oczekują?

Ten skinął głową. — Oczywiście. To ja mam postarać się o ten wybuch. Czemu nie?

— Posłuchaj, chłopcze — rzekł Materna. — Twój plan, moim zdaniem, przypomina czasy, kiedy to obaj całkiem beztrosko płataliście psie figle i wspaniale się przy tym bawiliście. Ale te czasy minęły.

— Wszystko dokładnie przemyśleliśmy — odezwał się teraz Peter. — Nie może się nie udać, jeśli będziemy działać ściśle według planu.

— Ty już zrobiłeś aż nadto — opieka nad rannym to najzupełniej wystarczające. Nie mam zamiaru urządzić tu lazaretu.

— Wcale nie musi do tego dojść — rzekł Grienspan. — Zwłaszcza po takich przygotowaniach. Jeśli dobrze zrozumiałem Konrada, sprawa

przedstawia się następująco: on zgromadzi w jednym miejscu wszystkich tutejszych prominentów, wskutek czego po drugiej stronie powstanie rodzaj pustki i tam można będzie dość swobodnie przeprowadzić akcję.

— Zrozumiał mnie pan doskonale — zapewnił Konrad zadowolony.

— Siegfried — rzekł Materna ostrzegawczo — odzywają się w tobie twoje dawne wady: lubisz dobrą zabawę.

— Takie małe przedstawienie pożegnalne - oświadczył Grienspan, — bardzo by mnie ubawiło. Od razu po tym fajerwerku zniknę.

— Niech się pan zgodzi, panie Materna — pfošili obaj młodzi ludzie,

— Nie — odparł Alfons, z rozkoszą pociągając cygaro. — Nie, przynajmniej dopóty, dopóki naprawdę wszystko nie zostanie wyjaśmone.

— Ale co nie jest jeszcze wyjaśnione?

— No, na przykład zachowanie komisji specjalnej z Olsztyna. Jeśli ci ludzie choć w przybliżeniu mają tyle rozurriu, ile ty Konradzie im przypisujesz, wtedy nie przykładałbym do tego ręki.

— A więc muszę to sprostować — rzekł Conrad. — Cała ta ich ferajna nie może się pozbierać, wiem o tym od radcy Engela. Powiedział mi to w zaufaniu po trzeciej wspólnie wypitej butelce. Podobno ten esesowski bonza wrzeszczy, urąga wszystkim i rozstawia swoich ludzi po kątach, a oni węższą i węższą, i nic nie mogą wywęszyć. W dodatku zaprzęgli do tego jakiegoś komisarza policji \Y odstawce o nazwisku Tantau, ale ten jeździ chaotycznie po dolinie, nic nie robi, prowadzi tylko tak zwane podchwytliwe rozmowy. Wi jm to także od Engela. Podobno ten esesowski lalusz pieni się ze złości-

— I rzeczywiście tak jest? — zapytał Alfons. — A może to tylko przypuszczenie po trzech butelkach?

— Naprawdę tak jest — zapewnił Konrad. — Daję słowo.

— Miejmy nadzieję, że nie będę ci musiał nigdy tego słowa wypominać. — Materna odłożył cygaro. — A więc jak wygląda dalej wasz plan działania? Co chcecie w Maulen wysadzić w powietrze?

— Budynek partii. Ze wszystkimi aktań , donosami i innym materiałem; dwanaście lat śledzenia przekonań politycznych pochłona płomienie. Niestety, bez osoby Eisa, bo ten będzie w tym czasie na przewodzie sądowym.

— Jestem za tym — rzekł Grienspan.

A ja pozostaję przy swoich wątpliwościach. Wycofam je, jeśli nikt więcej ich ze mną nie dzieli. Oczywiście, musimy mieć zgodę Jakuba.

Peter Bachus, skazany na to, że w zaplanowanej akcji będzie brał udział tylko jako lekarz, zmienił teraz Jakuba na warcie. Jakub przyszedł, usiadł i w milczeniu słuchał — od czasu do czasu pociągał łyk ze swej butelki. Nikt z obecnych nie mógł zgadnąć, co o tym sądzi.

— Tak czy nie? — zapytał Materna.

— Nie — rzekł Jakub. — Nie bez Eisa. On musi tam być; tam, gdzie nastąpi wybuch.

Konrad przekonywał go, tłumaczył jeszcze raz sprawę, mówił o konieczności alibi, błagał, by nie żądał za dużo na raz.

— Nie — rzekł Jakub ponownie. — Eis musi zginąć. Albo przynajmniej Schlaguweit. Przynajmniej ten.

— Może się to da zrobić — powiedział wreszcie Konrad.

— Jeśli da się zrobić, wtedy powiem: tak.

— Rozwalę tę całą cholerną budę— oświadczył Eugen Eis; miał na myśli sąd okręgowy. To pismo, zapowiadające lokalną rozprawę w sprawie: Eis przeciwko gminie, wprawiło go w niepohamowaną, wściekłość. Zażądał natychmiastowego połączenia z Olsztynem. Połączono go, ale radca sądu okręgowego Barthels był nieosiągalny - podobno przebywał w terenie. Eis zażądał więc połączenia z szefem Barthelsa. Ten zgłosił się, wysłuchał go uprzejmie, po czym oświadczył z ubolewaniem, że nie jest w tej sprawie kompetentny.

Potem na dodatek zadzwonił burmistrz Pillich i zaczął lamentować — Przypuszczam, że to pismo z sądu to jakieś nieporozumienie. Nie wiem, jak się mam zachować.

— Przyjdź tu natychmiast!

A kiedy Pillich stanął w kancelarii partyjnej przed ortsruppenleiterem, ten zażądał: — Przede wszystkim masz trzymać język za zębami! Pewnie, że to nieporozumienie, jakaś podła podstępna sztuczka tego Materny. Ale już ja mu pokażę. Najważniejsze - nic **nie** powinno wyjść na zewnątrz, ani słówko!

— Jeśli już nie jest za późno — bąknął burmistrz Pillich

— Może ty już coś wypaplałeś? zapytał Eis.

— Ja nie, ja nie jestem gaduła. Ale inni. Na przykład Uschkurat. Bo on też dostał wezwanie i wobec wszystkich oświadczył, że nie będzie brał udziału w tej świńskiej sprawie, jak się wyraził. Nawet pastor to słyszał. I jeszcze powiedział, że całe Maulen może go pocałować w dupę — także partia.

— Dawać mi tego drania! ryknął Eis oburzony.

Ale nie tak łatwo było wykonać ten rozkaz. Schlaguweit bowiem był nieobecny; pojechał do miasta po zakupy dla gospody. W każdym razie udało się znaleźć jego zastępcę Stampego, zapalonego śpiewaka i zarazem specjalistę od tuczenia świń, a także członka partii, oddanego Führerowi i jego ideom, jak było napisane w jego legitymacji partyjnej. Ale Stampe także nie znalazł Uschkurata.

— On wyjechał — oświadczył Kurt Stampe.

— Co takiego, wyjechał? Kto to słyszał!

Dowiedział się więc Eis, na razie tylko niesłuchanie zaskoczony, że Uschkurat załadował wóz tłumokami z ubraniami, skrzyniami z żywnością, workami mąki, prócz tego sianem, sieczką i paszą dla swojego bydła. Zaprzął dwa konie, z tyłu przywiązał dwie mleczne krowy i przed niespełną trzema godzinami opuścił Maulen — w kierunku na zachód.

— Za nim! — krzyknął Eis jak ciężko ugodzony.

Wówczas to Kurt, żaden geniusz, ale ogarnięty powszechną wówczas żądzą awansu, wyczuł swoją szansę.

W towarzystwie dwóch ludzi puścił się na służbowym rowerze w pogoń za Uschkuratem, dopędził go dwanaście kilometrów dalej w pobliżu wsi Luschken i używając niewielkiej przemocy, zawrócił go do Maulen.

Eugen Eis, pieniać się z wściekłości, przyjął Uschkurata na schodkach budynku partyjnego.

— Ty ścierwo! — zawołał. — Chciałeś zdezerterować!

— Chciałem się stąd wydostać — rzekł Uschkurat ze spuszczoną głową. — Tu już się nie da żyć.

— Jesteś podłym, nędznym, plugawym defetystą!

— A co to znaczy? — zapytał Uschkurat. I dodał: — Wszystko jedno. Czego ode mnie chcesz? Chciałem odwiedzić kolegę z wojska, w Nadrenii pod Siegburgiem. Pisał do mnie, żebym przyjechał. Czemu nie? Ktoś wreszcie musi zrobić początek, mam już tego po uszy.

Eisowi po raz pierwszy od wielu lat zabrakło odpowiednich słów. Otworzył usta, nie mógł jednak wydobyć ani dźwięku. Jego ludzie patrzyli na niego ze zdumieniem, i to przywróciło mu energię. Wydawało się, że budzi się z koszmarnego snu.

— Nigdy nie spodziewałem się czegoś takiego — rzekł prostując się; zwrócony był tylko do swoich ludzi, Uschkurata nie zaszczycił nawet spojrzeniem — zwłaszcza tu u nas, w Maulen! Nie może tak być, żeby istniał u nas taki człowiek, taki podły, tchórzliwy typ, który chce się

ulożnić, który nie ma ani krzty przyzwoitości i godności, który nie wierzy w ostateczne zwycięstwo!

— Eis — powiedział Uschkurat trzęsąc się, ponieważ znał jego metody, a więc zdawał sobie sprawę, co mu grozi — nie rób tego. Nie wiesz, co czynisz. — Zaklinającym gestem podniósł ręce, spojrzał ku niebu i zawołał drżącym głosem: ;— Wszyscy jesteśmy zgubieni! Topich znowu krąży. Widziałem na własne oczy ducha Grienspana!

— Jeszcze i to — powiedział Eis z obrzydzeniem. Potem rozkazał: — Wybijcie mu to z głowy!

Kurt Stampe wydał swoim ludziom polecenie i sam też przyłożył do tego ręki; uważał, że musi dać przykład. Chwycili Uschkurata i powlekli go do budynku partyjnego; wisiał zwinięty jak tłumok między ich pięściami. Jeden z jego koni zarżał. Zabrzmiało to jak krzyk. Smutne oczy krów spoglądały pokornie.

Eugen Eis stał przez chwilę na schodach, jakby zatopiony w myślaeta — Zrobić mi coś takiego — wykrztusił.

Potem zszedł po schodach, potrząsając głową, i udał się w stronę krzaków bzu, do domu. Zatrzymał się przy parkanie, dobrze ukryty, w pobliżu jakiegoś drzewa.

Widział stamtąd białinę rozwieszoną na sznurku — dwie sztuki pościelowe, które lekko się wydymały, bo wiał łagodny wiatr. On też przywiewał słowa, które tam padały. Eis usłyszał z zadowoleniem dość żwawo brzmiący głos Christine: — Niech pan mnie chwyci.

— Czy mam panią podnieść? — zapytał mężczyzna. Pierre Ambal.

— Łaskocze mnie pan!

— Pani tego nie lubi?

Ona to lubiła! Eugen Eis potwierdził to skinieniem głowy, wyraźnie zadowolony. Pani przemówiła. Widocznie znowu poczuła się dobrze w swojej gładkiej skórze.

— A więc tak — rzekł Eugen przed siebie.

— Dziękuję panom za przybycie - rzekł radca sądu okręgowego Barthels.

— Protestuję! — zawołał Eugen Eis stanowczym głosem.

— Przeciwno czemu, proszę pana?

— Przeciwno temu wszystkiemu — powiedział Eis, który na wszelki wypadek przywdział swoje dygnitarskie szaty, — Proszę przyjąć to do wiadomości!

.Ależ chętnie — zapewnił Barthels niemal serdecznie. Był to

człowiek wysoki, postawny, o szczupłej twarzy i elastycznych ruchach. Głos jego nigdy nie tracił melodyjnej dźwięczności, nigdy też się nie podnosił — cokolwiek by zaszło.

— Coś w tej sprawie jest nie w porządku — irytował się Eis. — Coś tu śmierdzi!

— Sądzi pan? — zapytał radca uprzejmie. Spoglądał na Ortsgruppenleitara, jak gdyby miał przed sobą jakiś dokument, a przecież nauczył się czytać dokumenty. To, co teraz widział przed sobą, łatwo było odczytać.

Powitał obecnych: po Eisie burmistrza Pillicha, który był jak mocno wypchany wór owsa; potem przysła kolej na byłego burmistrza Uschkurata — opatrunek na głowie, przygarbione plecy, ręka składająca się jak gdyby tylko z obcisłej skóry.

— Czy pan padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku? — zapytał Barthels współczująco.

— Sam był temu winien — odpowiedział Eis za Uschkurata.

Konrad Klinger przedstawił obu pozostałych — Maternę i Jabłońskiego; zaprzęg starych, ale jeszcze jarych koni pociągowych, tak to odczuł Barthels, który podczas pierwszej wojny światowej służył w kawalerii.

Był on uosobieniem grzeczności. Jak najbardziej ceremonialny. Stara szkoła. W Maulen było to obce, niemal niepokojące.

— Czy mógłbym prosić panów o zajęcie miejsc?

Podczas kiedy siadali, Eugen Eis oświadczył: — To, co się tu urządza, to tylko strata czasu!

Konrad odpowiedział: — Przy tym urzędowym przewodzie, panie Eis, chodzi o śledztwo, które przeprowadza się na pański wniosek.

— Z panem w ogóle nie rozmawiam — odciął się ostro Eis. — Wie pan, kim pan dla mnie jest?

— To nie należy do rzeczy — odezwał się Barthels. Otworzył akta i zaczął je kartkować. Nie spieszył się bynajmniej. Oczy mu błyszczały — nic poza tym nie zdradzało, co czuje.

Eis zasapał i powiedział: — Aby skończyć z tym cyrkiem, który tu jest zamierzony, oświadczam, co następuje: jeśli tu rzeczywiście chodzi o przewód, który podobno prowadzi się na mój wniosek sprzed Bóg wie ilu laty, to ja po prostu ten wniosek wycofuję.

Alfons Materna spojrział w kierunku Eisa — facet niejednego się nauczył, operował teraz słowami jak kiedyś granatami ręcznymi, stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Burmistrz Pillich usiłował spoglądać na Eisa z pokorną dumą. Jabłoński warował jak pies

łańcuchowy. Uschkurat siedział bez ruchu, skulony. Klinger daremnie szukał kontrargumentów. Tylko Barthels wyglądał pogodnie, z niewzruszoną twarzą.

— Panie Eis — rzekł markując ukłon — czy też panie ortsgruppenleiterze, proszę mi powiedzieć, jak pan woli, abym się do pana zwracał — pan pozwoli, że zwrócę jego uwagę, iż chodzi tu o wyznaczone i już rozpoczęte postępowanie przygotowawcze. Trzeba więc przede wszystkim je przeprowadzić, zanim zostanie uznane za zamknięte.

Konrad odetchnął z ulgą. Barthels poruszał się ze znanstwem w artykułach, przepisach i ich interpretacjach. Rozejrzał się: Eis podobny był do rozjuszzonego byka, Materna do czyhającego lisa.

— A więc chodzi tu o ówczesną darowiznę Psich Łąk gminie Maulen.

— Czyżbym popełnił w ten sposób jakiś błąd, coś niezgodnego z prawem? — Alfons zadał to pytanie ulegle. — Bardzo mi przykro. Jestem oczywiście gotów do odpowiedniej rewizji sprawy.

Na to Konrad z miejsca: — To by było po myśli pana Eisa.

— Do jasnej cholery zawołał ortsgruppenleiter i huknął pięścią w stół — przecież to sprawa prawie sprzed dziesięciu laty!

— Ale nie jest przedawniona — stwierdził Konrad.

— Przecież to wszystko nonsens. Ostatecznie jestem tutaj ortsgruppenleiterem.

Jeśli teraz odbywa się ten przewód — rzekł Barthels uprzejmie — to również dlatego, aby dać panu odczuć, że jest pan traktowany z należnym mu szacunkiem.

--- Protestuję — zawołał Klinger teatralnym tonem. — Wnoszę protest, gdyż wywołałoby to wrażenie uprzywilejowania jakiegoś dygnitarza. Bo nawet w wypadku ewentualnych zasług tych osobistości — przypuśćmy, że mają je w istocie — należy trzymać się zasady: przed prawem wszyscy są równi!

— Pan chyba zwariował — zagrzemiał Eis i już się zrywał, by się rzucić na Klingera. — Kim jesteś człowieku? Jeszcze szczałeś w pieluchy, jak ja już walczyłem o Wolne Niemcy.

— Nie widzę w tym tak wielkiej różnicy — • mruknął Konrad.

— Co pan powiedział? — ryknął Eis - - Co chce pan przez to powiedzieć?!

— Na pewno nie to, co pan myśli!

Radca Barthels uniósł wypielęgnowane dłonie, jego głos nabrał prawie wesołego brzmienia. Mimo swojego młodego wieku pan Klinger jest, moim zdaniem dość inteligentny, by w mojej obecności

unikać uwag, które można by uznać za obelżywe. — Po czym zwrócił się do Eisa: — W dalszym ciągu uważam pana ortsruppenleiterra za człowieka naprawdę prawego i sprawiedliwego.

— Bo nim jestem! Z pewnością! — Eis rozejrzył się groźnie wkoło, ale nikt, nawet Jabłoński, nie szczyrzył zębów. Bo też nikomu by nie radził.

Sędzia natomiast rzekł: Z zadowoleniem stwierdzam, że pan Eis stanowczo odmówił uprzywilejowania go w jakiegokolwiek formie. Określiłbym to jako szczególnie wzorową postawę.

W ten sposób wieczór był całkowicie ocalony — przeciągał się; odbywająca się już akcja w kancelarii partyjnej mogła się bez przeszkód rozwijać. Barthels z przyjemnością popisywał się swoją wirtuozerią w prowadzeniu procesu — zanim Eis uświadomił sobie, co się dzieje, już wpadł z kretesem.

Barthels stwierdził: skoro Eis był kiedyś przeciwny tej darowiznie na rzecz gminy, to niewątpliwie miał ku temu słuszne i na pewno dobrze przemyślane powody. Ówczesny burmistrz nie wierzył własnym uszom; nigdy by nie przypuszczał, że coś takiego jest możliwe. Fotem jednak kontynuował Barthels — Eis zrewidował swoje poglądy; teraz jest za tą darowizną — i ku temu również ma zapewne słuszne i dobrze przemyślane powody. — Czy prawidłowo rozumię?

— Wnoszę zastrzeżenie — wtrącił się znowu Konrad Klinger. — Istnieje bowiem możliwość, a nawet podejrzenie, że motywacje Eisa były natury czysto osobistej i finansowej. Wszak zgłosił sprzeciw wobec tej darowizny, kiedy był jeszcze żonaty z córką pana Materny, a zatem mógł mieć nadzieję na spadek, między innymi także i na Psie Łąki.

— To łądadkie, beczelne kłamstwo! — ryknął Eis. — Nie pozwolę na to. Zwłaszcza ze strony takiego głupiego smarkacza!

Głos radcy brzmiał uprzejmie i neutralnie.

Pozwoli pan, panie Eis, że trochę objaśnię wypowiedź pana Klingera. Pan Klinger co prawda posłużył się tonem, który uznaję za niewłaściwy, ale jeśli idzie o treść, zachował poprawną prawniczą formę. On zakwestionował, ale nie zaprzeczył. Mówił o możliwości, a nie o fakcie. Podejrzenie jest jedynie przypuszczeniem, a nie stwierdzeniem, które wymaga dowodów.

Eugen Eis starał się wydusić z siebie głos. Materna najwyraźniej rozkoszował się powstałą sytuacją, także Jabłoński był rozbawiony. Burmistrz Pillich rozglądał się bezradnie. Uschkurat jak gdyby odzyskiwał siły witalne.

To wszystko jest gównem - rzekł Uschkurat. I zawsze było. Rzygać się chce. Powiadam wam - kiedyś to nas zadusi, i to wkrótce.

— Stul pysk! — zawołał Eis.

Był tak rozjuszony, że Pillich stracił głowę. Widział zaskoczony, jak Eis ścisnął pięści, otwierał dłonie i znowu je zaciskał. Wtedy opanowało Pillicha pragnienie, żeby zademonstrować, jaki jest wierny i uczynny.

— Panie ortgruppenleiter - — wykrztusił szybko — jeśli pan sądzi, że należy unieważnić tę darowiznę, to czemu nie? Proszę bardzo! Na pewno ma pan ku temu ważne powody. Zawsze je pan ma, wiem o tym. I na mnie może pan liczyć, także pod tym względem.

— Do jasnej cholery! — zawołał Eugen Eis. — Czy mam dokoła siebie samych idiotów? Co mi wmawiają? Czy zupełnie zapomniano, kim jestem? Jeszcze ja tu rządzę!

Rozległ się potężny huk. Poleciały szyby. Szkło brzęcząc sypało się na podłogę. Silny podmuch zmiotł papiery ze stołu. Światło zamigotało dziko, jak w śmiertelnych drgawkach, po czym zgasło.

— Co to było? — zapytał Eis.

— Palec boży — jęknął Uschkurat.

W stronę ciemnego pokoju pełząca się czerwienią, zbliżała się coraz szybciej, rozszerzała się, rozjaśniała, zalała ściany, stół, twarzysa Osłupiałych ludzi otoczyła paraliżująca, podstępna cisza; brutalna suche terkotanie pistoletu maszynowego przerwało to milczenie.

Tego — rzekł radca Barthels z niezmienną uprzejmością - chyba nie można było przewidzieć, prawda? Przerwywam posiedzenie aż; do odwołania.

Nazajutrz zjawił się w Maulen komisarz Tantau w asyście inspektora Budzuhna. Przybyli na plac o jedenastej. Nie musieli szukać tego, co chcieli zobaczyć — przed nimi rozpościerały się dymiące jeszcze zgliszcza budynku partyjnego.

Budzuhn stanął zdumiony i powiedział: — Jak na wojnie.

— Mamy wojnę, nie wiedział pan? — Tantau, jakby przyciągnięty magnesem, posunął się do przodu.

Oficer żandarmerii, najstarszy rangą z przybyłych tymczasem? policjantów, pospieszył do komisarza i zameldował:

— Przeprowadzono zablokowanie według przepisów! Zabezpieczono miejsce zbrodni, ludność usunięto.

Ludność — były to przeważnie dzieci szkolne. Mężczyźni z Maulen jakby woleli omijać to miejsce. Nawet ciekawość kobiet miała swoje

granice; stały w pewnej odległości, szeptały między sobą albo zafascynowane wpatrywały się w zgłiszcza. Trzy wozy strażackie otaczały pogorzelsko. W piwnicy odkryto i zabezpieczono sporo skrzyń z butelkami wina, rzekomo uszkodzonych. Było to normalne, można by rzec, honorarium.

— Kto prowadzi śledztwo? — zapytał Budzuhn żandarma.

— Komisarz policji kryminalnej z Mrągowa. Przybył jako pierwszy na miejsce wypadku. Nazywa się Kranzler albo jakoś tak. Jest obecnie w gospodzie.

Budzuhn wiedział, czego oczekuje od niego Tantau — ten Kranzler miał się niezwłocznie stawić u komisarza. I wiedział także, jakiego zdania jest Tantau o Kranzlerze: niezły urzędnik, ale nie dość dobry funkcjonariusz policji kryminalnej. Ale kto dla Tantaua był dostatecznie dobry?

Kranzler, wzmocony — co się czuło nosem — przybiegł z gospody i zdał raport zaprotokołowany skrótowo przez Budzuhna:

Eksplozja pomiędzy 21.30 a 21.35. Natychmiastowy wybuch pożaru. W tym samym czasie strzały z pistoletu maszynowego. Sprawca nieznanym. Szczegóły:

1. Wybuch: spowodowany ładunkiem wybuchowym. Prawdopodobnie dynamitem, około 2 kg. Miejsce: gabinet i pokój przyjęć ortsguppenleitiera, jego biurko, największe uszkodzenie tego biurka, użycie prawdopodobnie normalnego lontu; nic nie wskazuje na użycie zapalnika automatycznego.

2. Ogień: spowodowany przez wylanie benzyny. Przypuszczalnie co najmniej dwudziestu litrów, a więc zawartość używanego w Wehrmachcie kanistra. Benzyna wylana prawdopodobnie na podłogę, regały, szafę z aktami. Ogień powstał podczas wybuchu.

3. Pistolet maszynowy: strzały po eksplozji i wybuchu ognia, w kierunku pogorzelska. Siedem trafień udało się ustalić pomiędzy biurkiem a regałem. Trzy z nich w ciele znalezionych zwłok. Siedem łusek w pobliżu okien zabezpieczono. Pochodzą, co można przyjąć za pewne, z zapasów Wehrmachtu .

— W gruncie rzeczy te same sposoby — stwierdził Budzuhn. — Potwierdza to naszą teorię.

Tantau stał pośrodku ruin. Badał: całkowitemu zniszczeniu uległ pokój główny; dwa dalsze, położone obok, były mocno uszkodzone. Reszta ocalałych ścian, mocno przydymiona, miała rysy w kształcie błyskawicy. Sufit się zawalił. . .

Budzuhn żwawo węszył wszędzie, potem rzekł: — Fachowa robota! Ci ludzie nabierają coraz większej wprawy, nic dziwnego — przy takiej praktyce!

— Zgadza się — powiedział teraz Tantau i potarł podbródek. — Posunąłbym się nawet trochę dalej i powiedziałbym: to najlepsza robota, jakiej dotąd dokonano. Nasi przyjaciele tym razem dołożyli szczególnych starań. Proszę mi przypomnieć, abym skierował ten komplement pod właściwym adresem, gdyby już do tego doszło.

Inspektor Budzuhn skinął głową i zrobił notatkę. Kranzler patrzył na to ze zdziwieniem. Miał uczucie, że dostał się do mocno dziwaczного towarzystwa.

— Gdzie macie szkic miejsca przestępstwa? — zapytał go Tantau. Kranzler jeszcze go nie sporządził. Było mu wstyd. Zapewnił, że zaraz to zrobi. Już miał się do tego zabrać — w gospodzie.

— Kim był ten typ w zgłiszczach? — pytał Tantau dalej.

Tą informacją mógł Kranzler służyć. — Zidentyfikowano zwłoki. Jest to niejaki Ernst Schlaguweit. Tutejszy przywódca SA, a także zarządca gospody i przyłączonych przedsiębiorstw.

Dobrze, szczegóły później — rzekł Tantau. — Na razie interesuje mnie, dlaczego ten człowiek w decydującej chwili przebywał w tym miejscu? Czy zawsze o tej porze był tutaj, czy też nie? Kto czy co go tutaj sprowadziło?

— To jeszcze nie jest wyjaśnione.

— Niech więc pan wyjaśni! Dalej: czy jeszcze ktoś znajdował się w bezpośrednim pobliżu? Czy chodzi tu tylko o pomieszczenie biurowe, czy też mieszkalne? I tak dalej wszystko, wszystko, co należy do prostego rutynowego śledztwa. Ma pan na to godzinę.

Kranzler odszedł w towarzystwie Budzuhna. Tantau usiadł w pobliżu na resztkę muru i przymknął oczy; zacierał ręce — pierwszy śnieg tegorocznej zimy wisiał w powietrzu.

— Czy mógłbym być panu w czymś pomocny? - zapytał obok niego gorliwy, uprzejmy głos. Był to głos Amadeusa Neubera.

Tantau uniósł wzrok, stwierdził szybko i dość trafnie, kogo ma przed sobą, a potem zapytał: Gdzie pan był podczas eksplozji?

— U siebie w domu.

— Czy ma pan na to świadków?

— Świadków? A po co? — Po czym Neuber szybko dodali, — Czytałem bajkę dziecku uciekinierów, których przygarnąłem. Robię to prawie co wieczór o tej porze.

— Dzieci — rzekł Tantau tonem, jakby przykro mu było to

stwierdzić — są na ogół mocno niepewnymi świadkami. Unikam starannie pracy na podstawie zeznań dzieci. Jaka to była bajka?

— Pan pozwoli — rzekł Neuber — że uświadomię panu, z kim ma pan do czynienia. Jestem tu zastępcą ortsruppenleitiera, kierownikiem organizacyjnym i kierownikiem szkoły.

Tantau wyciągnął z kieszeni marynarki wąską kartkę długości ołówka, na ictórej wypisane było pół tuzina nazwisk. Zerknął na nią i rzekł:

— A więc pan nazywa się Neuber. Amadeus Neuber.

Tamten skinął głową — już od bardzo dawna uważał się za znaną w świecie osobistość. Stwierdził z zadowoleniem, że Tantau wstał i również się przedstawił: podał nazwisko, ale bez tytułu, z dodatkową uwagą: — Obecnie prowadzę tu śledztwo.

— Życzę więc panu powodzenia, panie Tantau. I jeślibym mógł w czymkolwiek pomóc, chętnie służę.

— Czy był pan naocznym świadkiem? Nie? Czy mógłby mi pan dać konkretne wskazówki? Także nie? Ma pan jakieś podejrzenie? Nawet tego nie? No dobrze, proszę więc zaprowadzić mnie do ortsruppenleitiera, jeśli pan wie, gdzie przebywa.

Eis przebywał w kancelarii gminy — zarekwirował ją i wyznaczył na zastępczą kwaterę Ortsgruppenleitung.

Do załatwiania bieżących spraw gminy burmistrz Pillich musiał zwolnić dwa pokoje we własnym domu, toteż był z tego powodu w odpowiednim humorze. Zaczął się nawet zastanawiać, czy Eis istotnie jest dobrym duchem Maulen, za którego on zawsze gotów był go uważać.

- Niech pan wykryje tych szubrawców! — zawołał Eis do komisarza. — Chcę zobaczyć, jak te kreatury będą dyndać'. Zniszczyli nasz budynek partyjny, ale nie to jest najgorsze, odbudujemy go — będzie jeszcze piękniejszy i większy. Najgorsze, że zostały zniszczone wszystkie akta i dowody, w tym najważniejsze dokumenty. Wartość nie do odtworzenia! — W tej chwili nie myślał o śmierci Schlaguweita.

— No, ale tak czy inaczej — pan pozostał przy życiu — rzekł Tantau.

. — Co pan ma na myśli? — zapytał Eis nieufnie.

— A no to, że i pan równie dobrze mógł już być na tamtym świecie. Tantau pozostawił Eisowi dość czasu, by ten przełknął tę uwagę. — Pan na miejscu znalezionej tam trupa. Czy ten drobiazg nic nie znaczy?

— O tym nie pomyślałem — rzekł Eis opadając na fotel. — Rozejrzał się wokoło, jak gdyby otoczyli go mordercy. — Ależ tak, to

zupełnie możliwe! To tak jak dwudziestego lipca podczas zamachu »a naszego Führera — obce narodowo, podstępne, zwyrodniałe elementy maczały w tym palce. Ale ja im się wymknąłem, tak samo jak Fihrer.

— A więc Opatrzność — rzekł Tantau. — A potem bez przejścia zapytał: — Gdzie właściwie pan przebywał, kiedy pana budynek wyleciał w powietrze?

— Mogę panu bardzo dokładnie powiédzieć — zapewnił Eis. '— Mam na to alibi.

— Co pan ma? — zapytał Tantau podchwytliwie. — Alibi? Czy uznał pan to za potrzebne?

Eis poprawił się od razu, niechętnie, z ostrzegawczym spojrzeniem, które mówiło jasno: Uwaga, człowieku, ja to jestem ja! — Mam na myśli wielu świadków. Siedem sztuk. Mieliśmy akurat naradę. Tu, w tym pomieszczeniu. Sprawa urzędowa. Trwała dziewięćdziesiąt minut — akurat do chwili, kiedy te świnię...

— Kim są ci świadkowie?

Eugen Eis wymienił ich: radca sądu okręgowego Barthels, jego protokolant, niejaki Klinger, następnie Pillich, wreszcie Materna i Jabłoński.

Tantau spisał sobie te nazwiska, jak gdyby zupełnie obojętnie. Tylko przez ułamek sekundy, niedostrzegalnie dla kogoś, kto go dokładnie nie znał, był zaskoczony, gdy wymienione zostało nazwisko Materny.

To całkiem liczna grupa — rzekł potem i uniósł pomarszczoną twarz. — Od razu siedmiu odciążających świadków na raz! I to samo dotyczy każdego z obecnych na tej naradzie. — A potem dodał: — Pan Neuber na przykład nie jest w tym szczęśliwym położeniu. On w tym czasie zajęty był opowiadaniem bajek.

— I co zamierza pan teraz przedsięwziąć?

— Spacer — odparł Tantau i wstał. — Mieszka pan w pięknej okolicy. Chcę się tutaj trochę rozejrzeć, jeśli pan pozwoli. Moja słabość to tej krainy i jej mieszkańców — z pewnymi wyjątkami oczywiście — coraz bardziej rośnie.

Psy w obejściu Materny zaszczekały i rzuciły się do bramy. Tu przystały i warcząc patrzyły nieruchomym wzrokiem na postać, która oparła się o belkę bramy, trwała tam bez ruchu i cichym głosem nucila.

Rozległ się ostry gwizd. Psy zaczęły merdać ogonami i zawróciły

pędem w kierunku Jakuba Jabłońskiego. Ten pogłaskał jtfpo łbach, które się do niego przyciskały. Potem dwukrotnie klasnął w dłonie. Na ten dźwięk psy błyskawicznie zniknęły w stodole.

— Wspaniale! — powiedział z uznaniem mężczyzna przy bramie.

— Widać, że wie pan, jak obchodzić się z psami.

— Pan także — odparł Jabłoński życzliwie. — Zwierzaki nie ujadały za bardzo, tylko warczały — to coś znaczy.

— Stałem bez ruchu — rzekł nieznajomy, patrząc życzliwie przez parkan. — Przy tym milczałem. To wypróbowana metoda, wprawia psy w zdumienie — zapominają wtedy o szczekaniu, przynajmniej na krótko. Co prawda nie tracą nic na ostrości, jeśli są dobrze wytresowane, jak oba pańskie psy.

Tego rodzaju rozmowa była Jabłońskiemu miła, ale nie rozproszyła jego nieufności: — Nie sądzę jednak, aby przyszedł pan tu z powodu psów?

— No nie. Po prostu wyszedłem na spacer.

Nieufność Jabłońskiego wzrosła: — Spaceruje pan tu, w Maulen?

— Po prostu pozwalam sobie od czasu do czasu na niewielką przyjemność — odparł przybysz oglądając obejście. — A że akurat przechodziłem tędy, pomyślałem sobie, że złożę krótką wizytę panu Maternie. Czy to pan?

— Jestem tu parobkiem — odparł Jakub ostrożnie, bo jako parobek nie musiał podejmować decyzji ani udzielać informacji. Instynktownie wyczuł, że ten człowiek jest w jakiś sposób niebezpieczny. — Pan Materna jest bardzo zajęty. Kogo mam zameldować?

— Nazywam się Tantau — rzekł drobny człowiek i uśmiechnął się łagodnie. — Należę do funkcjonariuszy, którzy badają sprawę wybuchu we wsi.

— Przychodzi pan w tej sprawie?

— Nie bezpośrednio — powiedział Tantau, a brzmiało to prawie jak usprawiedliwienie.

— Zaraz zapytam. — Jakub zagwizdał, przywołując psy. Usiadły, ujadając agresywnie, i patrzyły na człowieka przy bramie. Tantau stał nieruchomo.

Widział, jak Jabłoński odchodzi ciężkim, mocnym krokiem. Potem, nie odwracając głowy, komisarz ponownie obrzucił wzrokiem obejście — stodołę, stajnię, budynek mieszkalny. Wyglądało to tak, jakby robił szkic w pamięci.

Po chwili ze wzrastającym zdziwieniem ujrzał człowieka zdążającego w jego stronę. Był to człowiek prawie takiego wzrostu jak on,

o podobnej postawie i ruchach również podobnych do ruchów komisarza. Nawet oczy o badawczym wyrazie były trochę podobne do jego oczu, a już całkiem zaskoczył go głos tego człowieka — brzmiał jak jego głos, może tylko trochę pełniejszy, głośniejszy, ostrzejszy.

A głos ten zapytał: — Pan Tantau? Jestem Materna. Proszę, niech pan wejdzie, brama nie jest zamknięta.

Tantau ujął wyciągniętą dłoń Materny. Psy pozostały w bezruchu, co więcej — pozwoliły Tantauowi pogłaskać się, nie drgnąwszy nawet. Alfons uśmiechnął się na ten widok; Jakub miał rację: ten człowiek lubi zwierzęta. A to się ceniło w obejściu Materny.

Alfons wskazał na dom: — Proszę, niech pan się uważa za mojego gościa.

— Ma pan wspaniałą posiadłość — rzekł Tantau, kiedy szli przez podwórze. — Musi tu być cudownie żyć.

— Gdyby odwiedził nas pan przed dziesięcioma albo więcej laty, byłoby może panu trudno stąd odejść. Ale teraz? Nawet krajobraz nie wydaje się wieczny. A ludzie w nim tracą kontury, stają się bladzi jak cienie, bez duszy. Czasami mam wrażenie, że to wszystko tutaj nieuchronnie przemienia się w pole bitwy. Może pan to sobie wyobrazić?

Tak rzekł Tantau.

W domu komisarz poznał obie dziewczyny; wesole, życzliwe istoty zapytały, na co miałyby ochotę. Nie ma szczególnych życzeń, zapewnił. Jego przywary niewiele mają wspólnego z kuchnią i piwnicą, ale jakiegoś typowego tutejszego napoju chętnie by się napił. I jeśli jest tu jakieś typowe danie, którego on nie zna, chętnie by spróbował.

Materna skinął dziewczętom, przy czym uniósł rękę i rozpostarł palce; ruch ten oznaczał — najlepsze! Potem zgiął rękę w dół i w bok, co oznaczało: duży wybór w małych porcjach. Następnie zaprosił komisarza do izby.

Tantau rozejrzał się pobieżnie, po czym — na zaproszenie Materny — usiadł, zajmując jego krzesło. Gospodarz uśmiechnął się na to i usiadł na sofie, dokładnie naprzeciw gościa, oddzielony od niego grubo ciosanym stołem.

— Pan chyba przykłada wielką wagę do możliwie nie zakłóconego życia prywatnego?

— Z czego pan to wnioskuje, panie Tantau?

— Otoczył pan swoje obejście wysokim masywnym parkanem, w dodatku zabezpieczył wspaniałymi psami. W pańskim domu przebywają prawdopodobnie tylko ludzie, którzy są panu bardzo

bliscy — resztę służby pan odosobnił; Zamieszkują budynek przy zewnętrznych stajniach, w odległości około trzystu metrów stąd.

— Bardzo słuszne spostrzeżenie — rzekł Materna, powoli się wyprostowując.

Sabine podała zytniówkę o przydymionym smaku, pędzoną na torfie. Tym wybornym trunkiem częstował Materna tylko w czasie wielkich świąt i radosnych dni — ostatni raz na cześć Grienspana. Tantau powąchał i wypił. Twarz mu się rozjaśniła.

— Pan mnie rozpieszcza — powiedział i dodał od razu: — Dlaczego?

— Może chcę pana przekupić — odparł Alfons wesolo.

Tantau roześmiał się znacząco. Napełnił kieliszek, podniósł ostry klarowny trunek pod nos i rzekł:

— Niedawno poznałem pańskiego syna Hermanna.

Materna pochylił się do przodu, pełen napięcia. Ale jego głos brzmiał obojętnie. — I sądzi pan, że dobrze go pan poznał? Jest on synem, a stosunek synów do ojców wymaga przeważnie czasu, aby doszło do pewnego rodzaju harmonii. Zdarza się, że ludzie stojący z boku popełniają przy ocenie tych stosunków okropne błędy. Czy ma pan dzieci?

— Nie — odparł Tantau. — I muszę przyznać, że są chwile, kiedy tego żałuję, ale też czasami jestem z tego zadowolony. Nie tylko mój zawód mi to uświadamia. Chyba nie należę do ludzi, za których chętnie wychodzi się za męż. Odkąd jednak coś niecoś o panu wiem, zastanawiam się, jak bym się zachował, gdyby mi jeden syn zabił drugiego granatem.

Widać wie pan o mnie dość dużo. Mam tylko nadzieję, że nie wyciąga pan z tego jakichś wątpliwych wniosków.

— Dużo jest rzeczy wątpliwych. — Tantau opróżnił kieliszek. — Prawie wszystko — dodał. — To sprawa czasu, czasu, w którym żyjemy. Ale żyjemy w nim. Czy mamy inne możliwości?

Odpowiedź była zbędna — Hannelore i Sabine nakrywały do stołu Szybkimi, pewnymi ruchami, uśmiechając się w milczeniu. Podały śledzie w śmietanie, smażoną kiełbasę w sosie piwnym, plastry wędzonej szynki, czerninę, nóżki wieprzowe i cielęce, węgorza w galarecie, do tego marcepan, ciasto z kruszonką i makaroniki z płatków owsianych.

— To nawet na mnie robi wrażenie — oświadczył Tantau. — Musi mi pan później pokazać swoje zapasy — ciekaw jestem, gdzie i jak pan

to składa. Czy zawiesza pan szynkę pod dachem? Przechowuje pan wódkę w piwnicy? I jak? W kamiennych naczyniach, w wiklinowych koszykach, w beczkach? Musi mi pan to wszystko pokazać.

— Czy ma pan nakaz przeprowadzenia rewizji? — zapytał Alfons.

— Tak pan sądzi? — zapytał Tantau równie łagodnie, prawie zmartwiony. — Pańskie pytanie, szanowny p;inie Materna, wskazuje na istotną lukę w pańskich, wiadomościach o obecnych warunkach. Pan wydaje się sądzić, że żyjemy w jako tako uregulowanym pod względem prawnym państwie. Pomyłka, o którą, daję słowo, pana nie posądzam. Ponieważ takie nakazy są już od lat nieaktualne. Jeśli zechę, mogę pański budynek przeczesać od piwnicy po strych.

To znaczy, że pan nie chce?

— Niech pan mnie nie kusi — rzekł Tantau, pochylając się nad talerzem. — Już sam węgorz w galarecie oddziałuje na mnie magiczną siłą przyciągania. — Spróbował lekko cmokając. — Cudowne — zapewnił. — Czy ma pan na to specjalny tajtnniczy przepis?

Materna zaprzeczył. Węgorz, objaśnił, choć to ryba żyjąca w szlamie, znajduje w wodach mazurskich -- obojętne W rzekach czy jeziorach — zawsze kryształowo czysty, jakby chemicznie oczyszczony żywiol. To jest główna przyczyna jego niezwykłego sfnaku. Poza tym należy go indywidualnie przyrządzać. U Materny węgorza dodatkowo się moczy mniej więcej jeden dzień. Potem co najmniej dwie godziny gotuje się go na wolnym ogniu, a wreszcie zalewa się octem, który jednak należy wzbogacić pięcioma tutejszymi ziołami.

— Skutek jest w każdym razie nadzwyczajny — zapewnił Tantau, zjadając z oddaniem. Prawie kwadrans trwał potem w milczeniu. Z węgorza w galarecie nie pozostało nic.

Alfons Materna obserwował gościa z pewnym zadowoleniem, ale nie pozbawionym bezwzględnie koniecznej czujności. Gdy Tantau, syty, wygodnie rozparł się w fotelu, zapytał go:

— Proszę mi powiedzieć szczerze, po co pan tu przyszedł?

— Aby pana poznać — odparł Tantau. — Radzę panu, niech ; pan sobie zaoszczędzi innych domysłów. Ostatecznie jest pan jednym z tych, którzy mają siedmiokrotne alibi. Można panu tylko pozazdrościć.

— Ale pan nie bardzo w to wierzy, prawda?

— W co też człowiek teraz wierzy! — Tantau złożył ręce na swoim

pełnym brzuchu. — Czy ocenia pan Anglię wedle Jacka the Rippera, Scotland Yardu czy też Szekspira? Czy pomyśli pan o Goethem lub Hitlerze w związku z Niemcami? Czy gangsterzy w Chicago to dla pana Ameryka, czy też Lincoln? A Francja — czy to Voltaire, czy Robespierre? A może coś zupełnie innego? Ach, istnieje na tym świecie tylu wierzących, którzy są przekonani, że sama ich wiara może przenosić góry. Ale wie pan, przyjacielu, o czym teraz, w tej chwili jestem przekonany przede wszystkim? Tylko o jednym: pański węgorz był znakomity! Zastanawiam się, z czym dałby się porównać.

— W ciągu paru godzin przetrwawi pan wszystko — rzekł Materna nie poruszony pochwałą. — I co wtedy?

— Wtedy znowu przestanę być człowiekiem, znów będę funkcjonariuszem kryminalnym — to pan ma na myśli? — Tantau przymknął oczy, ociężyła po obfitym posiłku. — Bardzo możliwe, bardzo możliwe. Każdy z nas przeżywa godziny, kiedy to uważa się za upadłego anioła, i inne, podczas których rozpoznaje w sobie nagą, śmierdzącą, drańską świnię. I co pan sądzi, jak się z tym najlepiej uporać? Nie ma na to recepty, jak na przykład na węgorza w galarecie. I pan o tym wie. Ale co pan wie o mnie?

t- Był jednym z najlepszych! — zawołał Eugen Eis, co najmniej po raz dziesiąty tego wieczoru. — Jednym z najlepszych, poległ podczas pełnienia obowiązków.

Miał na myśli Ernsta Schlaguweita. Tego dnia urządzono mu szybki, ale bardzo uroczysty pogrzeb. Bez udziału ludności — dopuszczono tylko najbliższych kolegów.

Pogrzeb odbył się podczas tegorocznej pierwszej gęstej śnieżycy, która w czasie gdy koledzy nieśli trumnę, zamieniła się w ulewę. Przemoczeni do suchej nitki, szcękając zębami, szybko złożyli do grobu Schlaguweita, wzorowego bojownika, walczącego do ostatniego tchnienia .

Teraz odbywała się ogólna rozgrzewka w sali gospody. Podawano czerwone grzane wino z dodatkiem araku, rumu i cukru. W ten sposób można było zapomnieć o najgorszej pogodzie, a nawet o Rosjanach, którzy coraz bardziej zbliżali się do Prus Wschodnich.

- Tak, on był przykładem! — Portret Schlaguweita przybrany kirem wisiał na ścianie za plecami Eisa, nad flagą z hakenkreuzem. Obok stał świecznik z palącymi się świecami. — Był wzorem dla naszej młodzieży!

Eis badawczo przyglądał się pozostałej jeszcze elicie wsi. Coraz cięższe stawało się brzemię jego urzędu, coraz mniej było współbojowników, z którymi mógłby dzielić trudy władzy.

Neuber — śliniący się zasraniec, burmistrz Pillich — głupie bydlę, niebezpieczne dla otoczenia, jak to wykazało jego zachowanie w obecności radcy sądu okręgowego. Także Pillicha trzeba by zastąpić kimś lepszym.

Ale kim? Silnych średnich roczników prawie już nie było — albo walczyli na froncie, albo polegli. Dorastający chłopcy byli jeszcze za młodzi, chociaż chętni; jeden z nich właśnie rzygał pod stołem. Stara gwardia albo się zużyła, albo się nie sprawdziła — siedzieli teraz skuleni i śpiewem starali się wytworzyć nastrój, ale jakoś to nie wychodziło. Czyżby już minęły te wspaniałe czasy?

Nie, nie i nie! Jeszcze się Niemcy nie skończyły, nie skończyło się więc i Maulen! Jeszcze istnieli towarzysze partyjni z wyrobionym poczuciem wierności, tacy jak Naujoks, Poreski, Sombray, Bembenek, Panzer, Perduhn. I inni. Byli co prawda nieco ograniczeni, ale wyposażeni w odpowiednie poczucie tego, co teraz było konieczne. Z nimi na nowo zorganizuje czołówkę kierownictwa partyjnego i podciągnie dyscyplinę wśród mieszkańców wsi.

Poza tym był jeszcze Stampe, Kurt Stampe, wielce obiecujący narybek! Już samo to, jak reagował na przepijanie do niego ortsguppenleitera — energiczny, wyprężony, dumny — budziło nadzieję.

— Usiądź wśród młodych rzekł Eis do Neubera i w ten sposób odprawił go na dalszy koniec. — Towarzyszu Stampe, proszę do mnie, tu po mojej prawej stronie.

I Stampe siedział przy nim, uszczęśliwiony i wdzięczny, słuchając Eisa i potakując: Tak jest te słowa wypowiadał najczęściej. Eis pouczył go, że to wyróżnienie pociąga za sobą odpowiedzialność, konieczność nieustannego wykazywania się, ciągłą gotowość do akcji.

— Tak jest, panie ortsguppenleiterze! — zawołał Stampe, jak gdyby składał przysięgę. — Dniem i nocą, sercem i dłońmi!

Eis podniósł kielich i upił trochę — Stampe wypił do dna. Koledzy

ryczeli, wrzeszczeli, wyli, klepali się po plecach; kto już nie mógł siedzieć, tego spychali pod stół.

— My - rzekł Eis — mamy duże poczucie humoru. Wiemy co to jest wesołość.

— Tak jest, wesołość! — zawołał podпиты Kurt.

— Chodźmy się odlać — zaproponował mu ortsruppenleiter.

I podczas gdy stali pod niegdyś na biało pomalowaną ścianą, Eis rzekł poufale:

-i? . Masz ochotę przeżyć coś szczególnego?

— Zawsze — zapewnił Stampe, jak należało się spodziewać.

— No to chodź — powiedział Eis, spojrzął na zegarek i wyszedł. Stampe pobiegł za nim jak pies.

Opuścili gospodę, poszli skrajem placu, minęli kancelarię gminy, zgłiszcza budynku partyjnego — zmierzali w kierunku domu przy młynie należącego do Eisa.

. — Trzymaj się za mną — szeptał teraz Eis — ale chodź na palcach i stul pysk.

• Eis skradał się koło domu. Stampe w jego cieniu. Ujrzał słabo oświetlone okna — były to okna jego małżeńskiej sypialni. Zdawało się, że dobrze wycelował.

Było dopiero po dziesiątej. Żonie powiedział, że na pewno nie wróci przed północą, jak to zwykle podczas tego rodzaju uroczystości. A feldfeblowi Facklerowi oznajmił, że przydzielonego mu jeńca zatrzyma może do nocy, bo będzie mu bardzo potrzebny.

Pod drzwiami Eis zdjął buty i wzrokiem nakazał Stampemu, by zrobił to samo. Potem skradali się przez korytarz do izby, a stamtąd do sypialni. Tam Eis przyłożył ucho do drzwi, nasłuchując. Minęło kilka minut.

Nagle Eis szarpnął drzwi, zapalił światło pod sufitem, tak że zapłonęły wszystkie żarówki. Ukazały jednoznacznie to, co miał nadzieję zobaczyć. Zawołał głośno: — Chyba pomyliłem drzwi! — i zamknął je za sobą.

Potem wybuchnął stłumionym, ale mocnym śmiechem i wraz ze Stampem opuścili dom. Na schodach włożyli buty. Potem Eis zapytał: — No, Kurt, czy wszystko dokładnie widziałeś?

— Tak jest!.

—• A co?

Stampe pochylił się nisko nad swoimi butami, z Uczuciem, że Eis oczekuje od niego zastanowienia się. Powiedział więc: — Widziałem wszystko, co pan uzna za słuszne, panie ortsruppenleiterze.

— Bardzo dobrze, rzekł Eis, a było to jak odznaczenie orderem. Jesteś moim człowiekiem!

Udali się z powrotem na salę, gdzie uroczystość niepowstrzymanie zdążyła do punktu kulminacyjnego: uczestnicy akurat bawili się w spuszczenie portek. Na stole postawiono tyle kieliszków, ilu było obecnych — minus jeden kieliszek. Potem wszyscy wzięli się za ręce, okrażali stół rytmicznie, przy czym śpiewali:

Jeśli chłop umie coś,
To prawdziwy człowiek jest,
Gotów pić, gotów bić,
Czapkę ma na głowie fest.

Po ostatnim słowie piosenki każdy rzucał się do kieliszka i opróżniał go. Ten, kto znalazł się na miejscu, gdzie brakowało kieliszka, musiał wśród ogólnego śmiechu spuścić spodnie i skacząc jak kangur, bawić się dalej. Jeśli miał pecha i znów znalazł się w miejscu hańby, musiał wypić potrójną ilość jednym haustem — polem przeważnie przewracał się.

Zabawę tę wytrzymywało tylko niewielu; ci zataczając się i bełkocząc ~ czuli się zwycięzcami. Stawali na stole, otrzymywali honorowy trunek, ci zaś, którzy przegrali, musieli ze spuszczoneymi spodniami tańczyć dokoła nich walca.

Potem następowała pauza na odsapnięcie, która prowadziła do końca świętowania — do głębokich monologów, tępego gapienia się z uszczęśliwionymi minami i do wycia solowych śpiewów, z przewagą narodowych motywów. I to była godzina największej zażyłości.

— Stampe rzekł Eis błagalnie. Był nie za bardzo pijany, ponieważ zawsze miał mocną głowę, a do tego rodzaju wieczorów przygotowywał się, spożywając obfite w tłuszcz jedzenie. — Obdarzyłem cię zaufaniem. Nigdy tego nie nadużywaj.

— Nigdy! — zawołał Stampe, jak pijane echo, i z uszczęśliwionym uśmiechem zsunął się pod stół

— A teraz na ciebie kolej, ty świnio — powiedział do swojej żony, stając przed nią w rozkroku. Ty nędzna wstrętna dziwko

— Jeśli ja jestem dziwką, to ty jesteś stręczycielem.

— Co takiego? — zapytał Eis, chwytając oddech. — W dodatku jesteś bezczelna!

Przygotował się do tej rozmowy. Jeszcze w gospodzie zanurzył głowę w lodowatej wodzie, kazał sobie podać imbryk mocnej kawy, potem wypił kufel świeżego piwa i połknął trzy rodzaje tabletek, które sanitariusz SA przygotował przeciwko zgadze, zawrotom i bólowi głowy.

Teraz stał przed żoną i patrzył na nią z góry; leżała w łóżku, sama, ale spoglądała na niego bezwstydnie. Podciągnęła na siebie kołdrę i schowała pod nią ręce. Jej kocie oczy błyszczały z nie ukrywaną nienawiścią.

— Nie wstyd ci? — zapytał Eis surowo.

— Może przed tobą? — wybuchnęła śmiechem.

— Już ci się odechce tego parszywego śmiechu. — Nie patrząc na nią, przysunął krzesło i usiadł. — Chyba nie wiesz, na co sobie pozwoliłaś?

— Ty i prawienie morałów! — wykrzyknęła Christine pogardliwie.

— Wypraszam sobie ten ton! — ofuknął ją Eis. — Ze mną nie wolno tak rozmawiać.

— To się wynoś!

Eis wstał i podszedł do niej. Uderzył ją mocno w twarz, aż klasnęło. Potem znowu usiadł.

Christine nie poruszyła się. Leżała jak skamieniała. Oczy jej jakby się rozszerzyły. Powiedziała cicho: — Nie waż się robić tego więcej!

— Co takiego? Ośmielasz się mi grozić?! Właśnie ty?

— Jeśli zrobisz to jeszcze raz, zastrzelę cię, jak wściekłego psa.

Eis roześmiał się beztrząsco. Najwyższy czas, pomyślał, aby ta zwariowana łajdaczka zrozumiała, że wybiła jej godzina.

— No więc! — Eis wyprostował się. — Teraz pogadamy ze sobą bez owijania w bawełnę. Na własne oczy widziałem, co wyprawiałaś. Mam na to bezstronnego świadka.

— No i co z tego?

— Ostrzegam cię! Nie bądź bezczelna. Albo stłukę cię na kwaśne jabłko — mogę sobie na to pozwolić, jestem wciąż jeszcze twoim mężem. I to mężem, który przyłapał cię na zdradzie małżeńskiej.

— Możemy się rozwieść, proszę bardzo. Wezmę całą winę na siebie. Kocham tego człowieka.

Jeszcze i to! Eugen znów wybuchnął śmiechem; górował nad sytuacją i rozkoszował się tą świadomością.

— Samo ciupcianie ci nie wystarcza, co? Musisz to robić z miłości! A ja mam dać na to swoje błogosławieństwo, tak? Ale właściwie czemu nie, jeśli się to opłaci. Mam na myśli, jeśli zgodzisz się na moje warunki.

— Jakie warunki?

Eugen Eis wstał. Lekko zataczając się, zaczął chodzić po pokoju. A więc jestem gotów zgodzić się na rozwód, jeśli przepisziesz na mnie wszystko to, co odziedziczyłaś po swoim ojcu.

— Ale z ciebie podła świnia. Kazałeś zamordować mego ojca, aby dostać w swoje brudne łapska mnie i mój majątek.

— Stul pysk! Nic nie rozumiesz. To dzięki mnie się wzbogacił. **Teraz** inkasuję to, co mi się należy!

— A więc dobrze. Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi sprawami. Możesz dostać wszystko, wszystko — oprócz gospody. Należy do nas, do mego ojca i do mnie — od dziesiątków lat. Już jako dziecko tam pomagałam.

— Tylko nie zaczynaj ryczeć ze wzruszenia — powiedział Eis zimno. — Nie masz innego wyboru. Wszystko!

— Nic powiedziała jak w gorączce.

— Jak chcesz — Eis znowu usiadł i założył nogę na nogę, demonstrując w ten sposób, że po prostu świetnie się czuje, - Albo skruszejesz i od razu jutro spisujemy wszystko notarialnie, albo złożę doniesienie.

— Doniesienie?

— Dwa — powiedział Eis. — Jedno na ciebie: oskarżenie o zdradę małżeńską. I to zdradę w szczególnie hańbiących warunkach, w trudnych dla narodu czasach, a popełnioną z jeńcem wojennym. Ostatnio grozi za to sześć lat ciężkiego więzienia z wszelkimi dodatkami, między innymi z utratą praw obywatelskich. A to oznacza dla mnie całkowicie wolną drogę pod każdym względem.

— Jakże ja cię nienawidzę!

— Ale to jeszcze nie wszystko. Teraz nastąpi najlepszy kawałek. Mianowicie doniesienie numer dwa — na człowieka, którego podobno kochasz. A wiesz, co mu grozi? Wedle obecnego prawa — czapa! Twój kochanek pójdzie do piachu. Albo pod ścianę, albo na szubienicę, albo dostanie strzał w potylicę. Coś z tych rzeczy.

— Niewart jesteś, aby żyć -- powiedziała Christine drżąc, z bolesną powolnością, jak gdyby zelżał trzymający ją dotąd skurcz. Wyciągnęła

teraz prawą rękę spod kołdry. Ręka ta ścisnęła rewolwer. Dygocąc skierowała lufę w kierunku Eugena Eisa.

Nacisnęła spust. Broń zaczęła tańczyć i wypluwać ogień. Christine z zamkniętymi oczami przyciskała spust, krzycząc przy tym, tak długo, aż magazynek był pusty.

Eugen Eis zerwał się, jak gdyby pchnięty do tyłu, zatrzymał się, wlepił w nią pełen niedowierzania wzrok. Potem — niczym pod uderzeniem bata — drgnął, zatoczył się do przodu. Jak ścięte zbutwiałe drzewo z głuchym łoskotem upadł na podłogę.

Pięć z ośmiu oddanych strzałów trafiło go śmiertelnie.

V

Lepiej jest żyć, powiadają ludzie na Mazurach,
i to dłużej. Bo kto nie chce dożyć starości,
powinien się za młodu powiesić.

Tej nocy, kiedy to Eugen Eis przestał się już zaliczać do mieszkańców Maulen, spadł na Mazury puszysty gęsty śnieg. Pokrył cały kraj niby całunem, jak trafnie określa to lud.

Armia Radziecka posuwała się dalej na Prusy Wschodnie, otoczyła Warszawę, zajęła kraje nadbałtyckie. W nocy zdawało się Uschkuradowi, że coraz wyraźniej słyszy dudnienie zbliżających się frontów. Ale go wyśmiano. Jak wówczas, gdy twierdził, że widział Grienspana.

— A jednak go widziałem — powtarzał z uporem. Spędzał nocę w swojej oborze, chodził tam i z powrotem pomiędzy zwierzętami, macał je, rozmawiał z nimi. — Co mam z wami zrobić? Paszy nie starczy na całą zimę, osłabniecie, będziecie słabnąć coraz bardziej — nie dojdziecie tam, dokąd trzeba będzie pójść. Co mam z wami zrobić? Zarznąć was?

Wówczas byłyby wybawione — jego kościste bydło i wychudłe świnię, beczące owce i niespokojne, prawie już nie niosące się kury. Wszystkim ponadawał imiona, dużym sztukom bydła — biblijne, bydłu użytkowemu — historyczne, drobnym zwierzętom — dziecinne. Płakał też z ich powodu; dużo płakał w owym czasie.

Partyjna elita wsi chrapiąc odsypiała pijatykę. Tylko Stampe nie mógł spać — pijany, zataczający się, wydawał przed lustrem komendy, jak gdyby stał przed oficerem SA. Głupia blada twarz, którą widział w lustrze, wcale go nie irytowała.

Amadeus Neuber stał, zlany potem, śmierzący jak cap, przed łóżkiem małej uciekinierki i szeptał czułe słówka. Słodkie maleństwo skopało z siebie koldrę. Obmacywał chude nóżki, by się przekonać, czy jego śliczna dziewczynka nie marznie — ale gdziekolwiek dotknął, była gorąca jak termofor.

— Bóg jeden wie — jęknął, sam wierząc w to, co mówi — jak ja się martwię o to dziecko. Nie mogę znieść jej cierpienia! Powinna być szczęśliwa. Nawet gdyby to miało mnie kosztować.

Alfons Materna i Jakub Jabłoński pracowali w stodole. — Czy tak musi być? — zapytał Jakub niechętnie. Jedna skrzynia wielkości ławy do siedzenia była już do pełna wypchana, prócz tego dwa wory — z butelkami, materiałami wybuchowymi, lontami, specjalnymi bateriami do radioaparatów i amunicją. — Te wszystkie cudowności! Strach cię obleciał?

— Musimy się zabezpieczyć — oświadczył Alfons. — Skrzynie zakopie się w lesie, worki zatopimy z jeziorze. I to jeszcze tej nocy.

— Wszystko z powodu tego Tantaua?

Alfons Materna w milczeniu skinął głową. Potem zarzucił na ramię jeden z worków.

Jakub wziął drugi worek, wspólnie dźwignęli skrzynie. — Ten Tantau — rzekł Alfons — jest podobny do mnie. To może być niebezpieczne. Nie sądzisz?

Także Tantau nie mógł, tak jak inni, spać tej nocy. Zatrzymał się w gospodzie, w najlepszym pokoju. Ale wrzaski pijackiej elity wsiowej nie pozwalały mu zasnąć, a cisza, jaka nastąpiła potem, nie przyniosła mu spokoju. Wertował swoje papiery. Potem poszedł do pokoju Budzuhna. Ten leżał na wznak, z rękami złożonymi jak nieboszczyk. Tantau znał ten stan. Był to sen sprawiedliwych, jak wiedział z doświadczenia — zastrzeżony tylko dla młodych funkcjonariuszy policji kryminalnej. Budzuhn gromadził siły, jutro z samego rana zabierze się do roboty. I co też z tego wyniknie?

Tantau opuścił gospodę i udał się na plac; zatrzymał się przed pomnikiem ku czci poległych. Gęsty, bezszelestnie padający śnieg zawężył pole jego widzenia. Ale mimo że Tantau nie mógł dojrzeć, co go otacza, wieś leżała przed nim wyraźnie jak mapa.

Tylko w jednym domu okna były oświetlone; migotały przez coraz gęściej omotującą go śnieżną zasłonę, niby sowie oczy. Tantau wiedział: okna świeciły w domu Eugena Eisa.

Prawdopodobnie, pomyślał Tantau, zapomniał zgasić światło. Pijacy lubią światło, chcą widzieć, aby uświadomić sobie, że jeszcze nie poszli na dno.

Wrócił do gospody i położył się. Potrzebował niewiele godzin snu; kilka będzie mógł swobodnie nadrobić podczas swych tak zwanych godzin urzędowania.

— Dlaczego nie żyjesz? — zapytała Christine, pochylona nad trupem leżącym u jej stóp. — Nie chciałam, żebyś umarł. Co mam

teraz zrobić? — Drżała na całym ciele. Potem powiedziała: Zasłużyłeś na to!

Jęcząc, drżąc, złana potem pociągnęła trupa w stronę łóżka, rękami i nogami wpychała go pod łóżko. Aż wreszcie Eugena Eisa nie było widać. Następnie, klęcząc, nocną koszulą starła krew. Cicho zapłakała, potem rzekła: — Nigdy cię nie było. Nigdy nie istniałeś. Nie było ciebie na świecie!

Potem poszła do kuchni, naląła wody do wiadra, zanurzyła w nim koszulę nocną i całkiem naga na nowo zmywała podłogę w sypialni. Patrzyła na nią później zdziwionym wzrokiem — deski lśniły czystością. Wydawało się, że nigdy nie było tej krwi.

Opadła na łóżko i zasnęła jak oszołomiona.

Inspektor kryminalny Budzuhn był rzeczywiście od samego rana na nogach. Zrobił dwadzieścia pięć przysiadów i właśnie miał się zgłosić do Tantaua. Ten jednak nie ruszył się; spał do późna w dzień. -

Ma prawo, pomyślał Budzuhn, i z rozkoszą zabrał się do podanego mu śniadania. Choć był to szósty rok wojny, było ono na miarę mazurską: sześć rozbełtanych ze śmietaną smażonych jaj, do tego szynka, paszтетówka i kaszanka, żółciutkie masło wielkości pięści, lipcowy miód i chleb prosto z pieca.

Budzuhn wszystko to pochłonął. Ale jedzenie ani przez chwilę nie odwróciło jego uwagi od spoczywających na nim obowiązków: zamówił na ósmą rano wszystkich osiągalnych funkcjonariuszy policji pomocniczej, poza tym wszystkich funkcjonariuszy policji kryminalnej, będących do dyspozycji, dalej ochotników spośród ludności cywilnej, którzy mieli wzmocnić jego kolumnę ścigania.

— Do czego to ma służyć? — zapytał kolega Kranzler kręcąc głową. Kiedy Tantaua nie było w pobliżu, rozwijał pewnego rodzaju własny styl życia — gderał, wszystko wiedział lepiej; cokolwiek się zdarzyło, okazywało się, że on z góry to wszystko przewidział. — Przecież to zupełnie bez sensu przeszukiwać cały teren, zwłaszcza bez dostatecznych sił fachowych. Co spodziewacie się znaleźć? — Tego jeszcze nie wiem — odparł Budzuhn i tą uwagą dowiódł, że z każdym dniem coraz bardziej upodabniał się w zachowaniu do Tantaua. — Może — ciągnął w zadumie — rzeczywiście coś jeszcze znajdziemy.

Przyjął meldunki przywódców trzech kolumn — urzędników, policjantów i ochotników. Powiedział: — Szukamy w formacjach łańcuchowych w odstępach jednego metra. Zaczynamy od Psich Łąk,

od cmentarza do — na razie — Końskiego Wzgórza/f Mam tąd z powrotem na przylegający pas terenu.

Kranzler, który stał obok nasłuchując podejrzliwie, miał ochota złapać się za głowę. Taki całkowity brak planu, jego zdaniem, był obrazą honoru zawodowego. Jeśli już przeszukiwać teren, to pomiędzy młynem a kościołem — tam prowadziły niezliczone stwierdzone ślady stóp. Jeśli w ogóle, to właśnie stamtąd należało zacząć.

— Czego mamy szukać? — zapytał jeden z przywódców kolumn niechętnie; śnieg zaczął topnieć i ziemia była mokra i ciężka. — Na co mamy zwracać uwagę?

— Na wszystko — rzekł Budzuhn. — Na wszystko, co niekoniecznie związane jest z łąkami i polami — na zapalki, niedopałki papierosów, guziki, ślady stóp, nitki odzieży na drucie kolczastym i tak dalej. A więc naprzód, ludzie! I miejcie otwarte oczy, jeśli wolno prosić, bo inaczej może to trwać całe dni.

Kolega Kranzler musiał jeszcze wypełnić polecenie Tantaua. Pospiesznie je wykonał, po czym wszedł do gospody.

Zdał sprawę Tantauowi, który siedział przy oknie, z nielicznych ważnych szczegółów: wyniki natury technicznej, które komisarz w większości już znał. Po pewnym czasie Tantau przerwał Kranzlerowi pytaniem: — Czy zdołał pan wyjaśnić, dlaczego ten Schlaguweit podczas eksplozji znajdował się w budynku?

— Prawdopodobnie wezwano go tam telefonicznie.

— Kto go wezwał?

— Tego nie dało się ustalić. — Kranzler szybko pominął tę kwestię.

— Schlaguweit był w miejscu pracy, a więc w gospodzie, otrzymał telefon, rzekł jedynie: tak jest i poszedł.

— Kiedy to było?

— Mniej więcej na kwadrans przed eksplozją, w każdym razie nie więcej niż dwadzieścia, a nie mniej niż dziesięć minut przedtem.

Tantau nic nie powiedział. Wygrzebał z kieszeni olbrzymią niebieską chustkę, rozłożył ją, popatrzył, po czym długo wydmuchiwał sobie nos. Wciąż jeszcze milczał.

— Oczywiście, pytałem wszystkich możliwych ludzi — o niczym nie wiedzą. Byłem także u pana Eisa, ale na próżno.

— Eis nie wchodzi w rachubę — stwierdził Tantau, a zabrzmiało to jak łagodna nagana. — Eis był na posiedzeniu, żadna zaś z ośmiu obecnych tam osób nie rozmawiała przez telefon. — Kranzler zawstydzony schylił głowę. — Ale co pan ma na myśli mówiąc, że to było na próżno?

- Mam na myśli, że na próżno starałem się zobaczyć z panem Eisem. Była tylko jego żona, która rozmawiała zA mną przez szparę w drzwiach. Pan Eis wyjechał.

— Dokąd?

— Tego nie powiedziała — była bardzo małowówna, prawdopodobnie płakała. Mam wrażenie, że w ich pożyciu małżeńskim coś nie gra. W każdym razie pana Eisa nie ma w Maulen. Bardzo możliwe, że jest w powiecie, że pojechał do władz okręgu — często tam jeździ. Może należałoby wziąć to pod uwagę — pan Eis to wpływowy człowiek, może nam robić trudności.

- No więc dobrze — powiedział Tantau. — Niech pan to weźmie pod uwagę. Niech pan uważa swoją pracę tutaj za zakończoną.

— Bardzo dziękuję — rzekł Kranzler z ulgą. — Tylko szybko skończę jeszcze swoje sprawozdanie i znikam. Wszystko, co można było wyjaśnić, i tak już zostało wyjaśnione. W każdym razie nie należy się spodziewać, że przeszkania na polach, prowadzone przez Budzuha, dadzą jakieś rezultaty. Zwłaszcza że zaczął w zupełnie złym kierunku.

— Tak, w złym kierunku? — zapytał Tantau. — Proszę mi to bliżej wyjaśnić.

Kranzler uczynił to chętnie i szczegółowo. Widział, że Tantau kiwa głową, co wytłumaczył sobie, że on, Kranzler, ma rację. Raz jeden nawet Tantau wybuchnął śmiechem — wcale nie życzliwie i nie szczególnie rozbawiony, raczej zły. Kranzler odszedł przekonany, że wywarł dobre wrażenie.

Tantau siedział przy oknie. Nieruchomo. Przez dwie godziny. Pomocnik kelnera przy ladzie, oberżysta z Kolonii, któremu zbombardowano gospodę, prześliznęła się koło tego dziwnego gościa i stwierdził, że śpi.

Tantau spał, aż go obudził Budzuhn; stanął przed swoim komisarzem jak zwykle z lekka zasapany, z błyszczącymi oczyma pełnymi zadowolenia.

— Opłaciło się — powiedział i położył przed Tantauem kopertę — była w niej łuska pocisku ze strzelby.

Komisarz oglądał ją niby to dokładnie, wsadził do niej ołówek, przesunął, aby lepiej widzieć, pochylił się nad nią, potem rzekł: — Ósmy egzemplarz, pasuje do znalezionych już siedmiu. Szczęśliwy przypadek, Budzuhn.

Ten skinął głową. — Na pewno był to przypadek — łuska, którą ktoś może wsunął do dziurawej kieszeni, albo która wpadła w mankiet

spodni i potem stamtąd wypadła. Ważniejsze wszakże niż to znalezisko jest chyba miejsce, gdzie je odnaleziono: na Psich Łąkach, W pobliżu Końskiego Wzgórza.

— I co pan z tego wnioskuje?

— No, znalezione łuski to przypadek, miejsce — to drugi przypadek, ale dokładnie wskazujący kierunek: zagrodę Materny. A *to*, moim zdaniem, chyba o jeden przypadek za dużo.

— Musi mi pan pomóc — rzekł Pierre Ambal. — Powinienem możliwie jak najszybciej stąd zniknąć.

— Nagle tak pilno? — zapytał Materna, szczelnie zamykając drzwi do izby. — Prawie się wydawało, że zagustował pan w naszym wiejskim życiu.

— Nie do śmiechu mi, panie Materna.

— To widzę. A więc, co pan nabroił?

— Czy od tego uzależnia pan swoją pomoc? — zapytał **Ambal** nerwowo.

— Nie, ale muszę wiedzieć.

— No cóż, obawiam się, że popełniłem głupstwo.

— Co pan ma na myśli?

Pierre, jakby szukając pomocy, spojrział na Jakuba, który jak prawie zawsze milcząc siedział w głębi pokoju. Stamtąd powiedział dobrodusznie: — Prawdopodobnie popełnił głupstwo z panią Eisową.

— Czy to już się rozeszło? — zapytał Ambal zaniepokojony.

— Wszyscy we wsi od dawna to przypuszczali.

— No tak, wieś miała rację, stało się — rzekł Ambal. — Właśnie •wczorajszej nocy Eis nas na tym przyłapał.

Materna opadł na fotel — dla Jakuba był to znak, że jest zaskoczony. Alfons zapytał:

— I co dalej? Nie doszło z jego strony do rękoczynów? Nie wygląda pan na poszkodowanego. Jak więc zareagował? Może przeprosił, że wam przeszkadza?

— Mniej więcej tak było — powiedział Pierre bezradnie. Jego piękna chłopięca twarz była z lekka zarumieniona i straciła ów spokojny wyraz pewności siebie, jaki zazwyczaj miała.

— Ten człowiek powiedział o pomyleniu drzwi domu czy coś w tym rodzaju.

— Popularny tak zwany męski dowcip — wytłumaczył Jabłoński.

— Niezawodny znak, że Eugen coś knuje.

— A co było potem? T zapytał Materna.

— Oczywiście, byliśmy zdenerwowani i dość bezradni, kiedy Eis odszedł. Ja poszedłem z powrotem do siebie na nocleg — spotkał mnie feldfelbel Fackler we własnej osobie i zadał jeszcze kilka złośliwych pytań, ale potem zostawił mnie w spokoju; oczywiście nic mu nie powiedziałem. Dziś chciałem znów przed niespełną godziną zgłosić się do domu Eisa na służbę, jak to Fackler nazywa. Ale Christine, to znaczy pani Eis, nie wpuściła mnie. Uchyliła tylko drzwi i zawołała: — Natychmiast szukaj schronienia! — I dlatego tutaj jestem. Pomoże mi pan?

Materna spojrzął na Jabłońskiego. Ten powiedział: — Człowieku, jak pan to sobie wyobraża? Przychodzi pan tu w biały dzień. I my mamy pana przetransportować dalej, podczas gdy połowa wsi zapewne widziała, jak pan do nas szedł? Czy uważa pan, że nam życie niemiłe?

Ambal wstał zmieszany, w jego oczach na przemian malowało się oburzenie i obawa.

— Oczywiście, nie chcę panów narażać.

— I właśnie dlatego — rzekł Alfons Materna stanowczo — skoryguje pan, mój drogi Ambal, pański nie pozbawiony ryzyka kierunek drogi. Pójdzie pan dalej, do jeziora, a stamtąd do rybaka. Poprosi pan o ryby, tłuste karpie — Eis najchętniej je jada. Powie pan, że przychodzi z polecenia jego żony. Rybak od razu da panu ryby, pan zaś zanieś je, możliwie jak najbardziej widocznie, przez pół wsi do domu Eisa.

— A co mam powiedzieć pani Eis?

— Powie jej pan: do widzenia .

— Sądzi pan — zapytał Ambal zdenerwowany — że potem uda mi się zniknąć?

Alfons wyprostował się w fotelu. Wtedy weźmie pan nogi za pas, Ambal, i przez pola pobiegnie do Siegwalde. Gdyby po drodze udało się panu zwęździć coś z ubrania, niech pan to zrobi. Jeśli się da — odzież możliwie rzucającą się w oczy. Ale niech pan tego nie wkłada, lecz gdzieś ją zakopie albo zatopi w bagnie.

Tego nie rozumiem.

— Nie szkodzi — odezwał się Jabłoński — w tego rodzaju podziemnych przedsięwzięciach mamy już wieloletnią wprawę.

— Za Siegwalde, drogi Ambal — ciągnął Materna — musi pan zniknąć. Pójdzie pan stamtąd wzdłuż bagien na wschód i zaczeka w lesie, aż do zmroku. Ma pan ciepłą bieliznę? Jeśli nie, to Jakub panu da. Po zapadnięciu zmroku będzie się pan ćwiczył w bieganiu po lesie - zatoczy pan półkole na przełaj przez las Gross-Griegen, prosto na miejscowość Karwina. Wtedy się to panu uda.

— Niech się pan nie obawia — rzekł Jakub. — Pokażę panu dokładnie drogę na mapie. Istnieje kilka świetnych punktów obserwacyjnych w lesie. Droga zajmie panu najwyżej cztery godziny, powiedzmy — pięć, byleby pan czegoś nie przeoczył.

— No dobrze, a co potem?

— Resztę — rzekł Jakub — niech pan mnie pozostawi. O północy będę na początku drogi wiodącej do miejscowości Karwina od północnej strony; znajduje się tam stodoła, trochę na uboczu, zbudowana jak duża skrzynia do cygar — nie sposób jej przeoczyć. Tam dam panu cywilne ubranie i honorową asystę przez granicę na teren Polski.

— Naprawdę zrobi pan to dla mnie? — zawołał Ambal uszczęśliwiony.

— Z wdzięczności za pana wyczyny w domu Eisa — rzekł Jakub, krzywiąc usta w uśmiechu. — A także dlatego, że takie spacerki sprawiają mi przyjemność — nie chcę wyjść z wprawy.

Henriette Himmler zjawiała się we wsi. Służbowo, jak zapewniała, chciała się zobaczyć z ortsruppenleiterem.

Udała się najpierw do domu burmistrza, gdzie ostatnio mieściła się kancelaria partii. Tutaj zastała sekretarkę.

— Pan ortsruppenleiter jeszcze się dziś nie pokazał.

— Czy nie wie pani, gdzie przebywa?

; Sekretarka, uczynna gąska ze średnim wykształceniem, wiedziała, kim jest ta przewodnicząca Służby Pracy, że pochodzi z rodziny Himmlerów. Poinformowała więc pełną szacunku:

— O ile wiem, nikt jeszcze dzisiaj nie widział pana ortsruppenleitiera. Może wyjechał?

— Według mnie to wykluczone.

— Czasami wyjeżdża, nie zawiadamiając o tym.

— No tak, pani nie, ale mnie by poinformował. — Henriette opuściła kancelarię dumnym krokiem z przyzwyczajenia, ale także, by nie okazać, że coś ją niepokoi.

Jeszcze nie była poważnie zaniepokojona, ale jednak zatroskana o Eugena.

W ostatnim czasie znajdował dla niej niewiele czasu — musiał się zająć pogrzebem kolegi Schlaguweita. Najpóźniej w dniu dzisiejszym spodziewała się Eugena, a już przynajmniej telefonu od niego. Miała zamiar sprawić mu radość — nie tylko swoją narastającą w niej gotowością oddania się, ale także następnym listem od Reichsführera

Pisał w nim między innymi:

Przekaż mężczyźnie, którego sobie wybrałaś, że rozważam, aby w tym najszczęśliwszym dla Ciebie, podniosłym dniu być u Ciebie, jeśli nie staną temu na przeszkodzie służbowe obowiązki, które coraz bardziej się mnożą. Mam jednak nadzieję i pragnę tego, ponieważ z całego serca dzielę Twoją radość, którą — wierzę — Opatrzność pozwoli Ci zachować i którą odczuwam jak swoją własną (...)

Henriette udała się do burmistrza i zapytała o Eisa. Ten oświadczył, że nic nie wie: pan ortsguppenleiter może czynić wszystko wedle własnego uznania. Henriette przytaknęła i poszła do Stampego, nowo mianowanego przywódcy SA.

— Towarzyszko, powiedział poufale — ja muszę organizować. Rozkaz ortsguppenleitiera. A ten ma na pewno pełne ręce roboty. — Tu nastąpiło mrugnięcie. -- Chyba musi się rozwieść ze swoją żoną. Należy jej się.

Wobec tego Henriette postanowiła zrobić coś, co uznała teraz za nieodzowne: ruszyła do domu Eisa. Zapukała, czekała, znowu zapukała.

Jakaś kobieta otworzyła drzwi — jego żona; na razie jeszcze jego żona. Na jej widok Henriette odczuła lekki triumf: ta kobieta otulona była w szlafrok, który wydawał się niezbyt porządny i niezbyt czysty. Jej twarz była blada, włosy zwisały w nieładzie, nie uczesane.

Flejtuch — stwierdziła Henriette z satysfakcją i wyprężyła się. Była pewna, że ona sama ma wygląd starannie wymytej, schludnej, prężnej w swym mundurze, poważnej i konsekwentnie optymistycznej. Powiedziała: — Chciałabym się widzieć z panem Eisem.

— Nie ma go — oświadczyła niechlujna kobieta.

— Przychodzę w ważnej sprawie — nastawała Henriette.

— Co teraz może być dla niego ważne — mruknęła Christine. Potem dodała, mówiąc szybko, jak nakręcona: — Nie ma go. Nie można się z nim porozumieć. Nikt nie może. — Zatrzasnęła drzwi.

Henriette Himmler stała przez chwilę przed zamkniętymi drzwiami, opanowana wzrastającym niepokojem, choć nie umiałaby powiedzieć, dlaczego. Czuła, że drżą jej nogi. Wciągnęła głęboko powietrze i ruszyła w kierunku gospody.

Tu wypięła szklankę wody i kieliszek wódki. Przy jednym z bocznych stolików zobaczyła dwóch mężczyzn. Znała ich z widzenia, z opowiadania Eisa, z tego, co zasłyszały jej dziewczęta. Byli to funkcjonariusze policji kryminalnej — jeden komisarz, drugi inspektor. Obaj jedli

grochówkę przyrządzoną według tutejszego obyczaju z wędzonką, słoniną, metką i majerankiem.

Pili potem mocną wódkę. Henriette przepiła do nich po przyjacielsku. Zawiązała się rozmowa. Składała się z pytań zadawanych przez Budzuhna. Henriette chętnie odpowiadała. Potem, po uprzejmym zaproszeniu, przysiadła się do ich stolika.

— Bo przecież mają panowie do wypełnienia ważne zadania w ogólnospołecznym interesie.

— Można to tak określić — przyznał Tantau.

Po dalszej rozmowie o Maulen — Bogu Maulen i świątku Maulen — Henriette rzekła znacząco: — My wszyscy mamy swoje kłopoty. Muszę przyznać, że i mnie się tutaj to i owo nie podoba.

— Całkowicie podzielam pani zdanie — zapewnił Tantau.

Budzuhn natomiast zapytał wprost: — Co szczególnego ma pani na myśli?

— Jestem trochę zaniepokojona. Może bezpodstawnie, może jednak nie. Brak mi obecności pana Eisa.

— W jakim charakterze? — zapytał Tantau łagodnie.

— Wiąże nas pewne osobiste stosunki, musi pan wiedzieć.

— Muszę wiedzieć? Ależ chętnie, jeśli tak pani sądzi. A więc dokładnie — o co chodzi?

Henriette tylko krótko się wahała. Potem oświadczyła: — Jestem jego narzeczoną.

— Bardzo ładnie — rzekł Tantau, kuląc się jak jeż. — A zatem pan Eis jest żonaty i zarazem zaręczony. Winszuję pani!

— Od kiedy to? — zapytał Budzuhn.

— To nie ma nic do rzeczy — odparła Henriette. — Uważam tylko, że to dziwne, iż pan Eis nagle zniknął.

— Coś takiego podobno się zdarza — rzekł Budzuhn.

— Nie u mnie i nie u pana Eisa — rzekła Henriette z przyganą. — Proszę to przyjąć do wiadomości. — Stało się tak natychmiast, wystarczyło spojrzenie Tantaua skierowane na Budzuhna. Obaj słuchali teraz po prostu z nabożeństwem. Zadowolona Henriette ciągnęła: — Pan Eis zawiadomiłby mnie, gdyby miał zamiar udać się w podróż. Co do tego jestem całkowicie pewna. Szczególnie jednak zaniepokojona jestem po wizycie w domu Eisa. Nie ufam tej kobiecie. Całkiem instynktownie.

— Instynkt — rzekł Tantau — jest najwłaściwszym terenem mojego kolegi Budzuhna. On chętnie się sprawą zajmie.

Inspektor Budzuhn wpatrywał się w komisarza oczyma okrągłymi

jak u sowy. Zapytał zmartwiony: — Nie chce pan zabrać mnie ze sobą do Materny?

— Ma pan tu robotę — zdecydował Tantau i zadowolony zacierał rękę. — Zostawiam pana do dyspozycji naszej przywódczyni Służby Pracy. Niech pan zrobi, co tylko się da.

Heinrich Tantau poszedł do zagrody Materny. Tutaj już zawczasu go dostrzeżono. Alfons osobiście otworzył mu szeroko bramę.

— Witam pana — rzekł.

Tantau jak gdyby z wahaniem wszedł na podwórze.

— Niech pan nie będzie taki wielkoduszny. Może pan mnie jeszcze wyprosić, nawet jeśli mam dość formularzy in blanco, by zabrać się do przeszukania domu. Wystarczy, bym wstawił pańskie nazwisko.

— Dlaczego pan jeszcze tego nie uczynił, panie Tantau?

— Powiedzmy, że jestem nieskory do pisania.

— Może się pan tutaj śmiało rozejrzeć. Wszystkie pomieszczenia są do pańskiej dyspozycji. Chętnie panu w tym pomogę.

— Czuje się pan bardzo pewny siebie, prawda? Ale muszę pana ostrzec. Jeśli pan nawet myśli, że zatarł i zniszczył wszelkie ślady, to przecież istnieją mikroskopy, analizy spektralne, systemy zabezpieczające odciski palców, chemiczne reakcje i liczne testy na kwasy.

— Ale mimo wszystko istnieją też ludzie, prawda?

— I pan uważa, że oni są nieomylni. Mają swoje słabostki, mają własne osobiste odczucia. Tak, zapewne. Ale czy tacy ludzie nie stali się teraz, w tym świecie, towarem deficytowym?

— Pan coś o tym wie, panie Tantau. To powinno mi na razie wystarczyć.

Alfons Materna poprowadził gościa do domu — nieprzypadkowo przez kuchnię. Hannelore i Sabine powitały Tantaua z wyraźną życzliwością. Dziewczęta wyczuły, że ten człowiek w dziwny sposób jest podobny do ich Materny, a to wystarczyło, by uznać go za sympatycznego.

— Zielony dzban — zarządził Alfons. Potem udał się z Tantauem do pokoju i czekał, aż gość usiądzie wydawał mu się bowiem zmęczony. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

— Przepuścimy — powiedział wreszcie Tantau z wahaniem — że naprawdę przeprowadzę tu zapowiadzaną rewizję. Jak pan sądzi co bym znalazł?

— Prawdopodobnie benzynę potrzebną do moich zniwiarek; jestem, jak to się mówi, człowiekiem postępowym. Poza tym mam tu także

broń, amunicję i proch — czasami zabawiam się w myśliwego; eliminuję drapieżniki albo pomagam śmiertelnie chorym zwierzętom — skracam ich cierpienia.

— Wiem, uchodzi pan za najlepszego strzelca na całych Mazurach.

— Niewiele do tego trzeba — spokojnej ręki, pewnego oka. Jedno i drugie to wynik zdrowej konstytucji. Każdy może ją osiągnąć, musi tylko prowadzić odpowiedni tryb życia.

— Mimo to niewiele widzę powodów, by panu zazdrościć — powiedział Tantau ze smutkiem. — Obawiam się, że mógłbym znaleźć o wiele więcej. Może nawet rannego. A może się mylę? Proszę mi wierzyć, w tym punkcie chętnie bym się mylił.

— Nie ma tu rannego, jest tylko drażnięty — sprostował Materna. Był na to pytanie przygotowany. — Jeden z moich ludzi, robotnik cudzoziemski. Przykry wypadek. Mam panu podać szczegóły?

— Jeszcze nie — odparł Tantau, patrząc przed siebie zmrużonymi oczami. — Może w ogóle nie. Zwłaszcza że to, co najistotniejsze, chyba już wiem. Leczy go doktor Bachus, a papiery dla tego robotnika otrzymał pan od okręgowego pełnomocnika do spraw rolnictwa, rybołówstwa i gospodarki leśnej. Prawda?

— Od mojego syna. Tak.

— Papiery bez zarzutu.

— Całkowicie. Chce pan je zobaczyć? A doktor Bachus jest gotów udzielić każdej potrzebnej informacji. Szybko się pan zorientuje, że nie się tu nie da zakwestionować — wszystko w jak najlepszym porządku.

To mnie bardzo cieszy. Ze względu na pana. I z tego powodu moglibyśmy na razie wypić po kieliszku. Będzie panu potrzebne wzmocnienie, panie Materna. Z powodu tego, co nastąpi.

Alfons napełnił kieliszki — ręka mu nie drgnęła, nawet wtedy, kiedy zauważył, że Tantau obserwuje jego ruchy. Podnieśli kieliszki, ale nie przepili do siebie. Mimo to odczuli pewnego rodzaju przyjemność.

»— Długo się nad panem zastanawiałem — przyznał się Tantau.

— Iz jakim rezultatem?

— Jeszcze nie wiem, panie Materna. To się dopiero okaże. I to właśnie teraz. Ponieważ nie mam już czasu, by się zabawiać w chowanego — muszę wreszcie dostarczyć wyniki. I sądzę, że musi mi pan w tym dopomóc.

— Chętnie. Niech mi pan tylko powie, jak pan to sobie wyobraża. Czemu nie moglibyśmy dojść do porozumienia? A więc, jakie możliwości mi pan proponuje?

— Są dwie. Jedna wygląda następująco: aresztuję pana i Jabłoń-

skiego, prócz tego doktora Bachusa i Klingera. Na podstawie dobrze umotywowanych podejrzeń. Dowody się znajdują. Przewrócę panu posesję do góry nogami, przeczese ją, zamienię w kretowisko. Niech pan nie patrzy na mnie z takim niedowierzaniem.

— No dobrze, a jak wygląda druga ewentualność?

— Pozostaniemy jeszcze chwilę przy pierwszej. Sprawa z kancelarią partyjną była po prostu majstersztykiem. Pańskie alibi jest wprost klasyczne - - zbyt dobre, aby było prawdziwe, ale nie do obalenia. Znalezienie siedmiu łusek niczego nie dowodzi, także znalezienie tej ósmej na pana gruncie to niewiele więcej niż drobna usterka. Ale potem, panie Materna, popełnił pan poważny błąd - niezręczność, o którą nigdy bym pana nie posądził.

Co pan ma na myśli, panie Tantau?

Prawdopodobnie podkusiło pana — całkiem to zrozumiała pokusa, zawsze się zdarza, ale w pańskim wypadku muszę powiedzieć: niestety. Bo poza tym, mój drogi Materna, odwalił pan kawał wspaniałej roboty, którą trudno byłoby wykryć, gdyby nie ja. Ale z tego powodu wcale nie jestem dumny. Stwierdzam tylko fakt.

— Jaki, pańskim zdaniem, popełniłem błąd, który mógłby mi pan udowodnić?

— Otóż pana decydującym błędem był Schläguweit! Chciał pan zapewne na jednym ogniu upiec dwie pieczenie; za mało było panu samej tylko kancelarii. I dopiero ten trup stał się niebezpieczny dla pana i tych, którzy z panem działali. Bo Schläguweita wezwano telefonicznie. A tego nie mogła zrobić jakaś obca grupa partyzancka czy sabotażowa, lecz jedynie ktoś, kto bardzo dokładnie był obeznany z tutejszymi warunkami. Zgadza się pan ze mną?

Materna wstał powoli. Nie spojrzawszy na Tantaua podszedł do kredensu, wyjął pudełko z cygarami i podał komisarzowi. Ten pochylił się i długo wybierał. Ze znuwaniem wciągnął dym i wypuścił go jakby z ulgą.

Alfons Materna znowu usiadł. - A jak wygląda druga ewentualność, o której pan wspomniał?

— Jest bardzo prosta - - rzekł Tantau. - Odtąd pracujemy razem.

— Musisz mi pomóc — rzekła Christine do feldfebla Facklera, który jak zwykle usiłował się do niej dobrać.

— No pewnie, że ci pomogę — zapewnił, popychając ją do sypialni,

- Potem. — Usiłował przy tym posunąć ją w stronę łóżka. — Ależ tu śmierdzi — stwierdził.

— To chyba karpie w kuchni — odparła.

— Nic nie szkodzi — wzruszył ramionami. Już dawno pozbył się delikatnego powonienia. — Słuchaj, dziewczyno, czego robisz takie ceregiele?

— Coś się stało!

— Zaraz stanie się jeszcze coś — rzekł Fackler, cisnął ją na łóżko i już miał rzucić się na nią. Ona jednak przesunęła się na bok; rozchylił się przy tym jej szlafrok, co Fackler mógł uznać tylko za zachętę. — No, chodź już! — zawołał.

— Później, później — błagała. — Pomożesz mi, prawda?

Przyrzekł jej pospiesznie, dał nawet słowo honoru, ponieważ wciąż jeszcze się wahała. Coś szczególnie pociągającego promieniowało z niej tym razem — nie mógł sobie jednak uświadomić, co to takiego. Ale potem był mocno rozczarowany. A przecież naprawdę starał się jak mógł, ona zaś była sztywna jak deska; zacisnęła zęby, a ręce leżały na łóżku jak nieżywe.

— Co się z tobą dzieje? Dlaczego jesteś taka?

— Teraz mi pomożesz, prawda? — Pochyliła się nadnim.

— Masz błędny wzrok — stwierdził Fackler ze zdziwieniem. — Może jesteś chora?

— Wiem, że mi możesz pomóc — rzekła pospiesznie jasnym zachłystującym się głosem. — Musisz.

— Niczego nie muszę — odparł Fackler, porządkując ubranie szybkimi, sprawnymi ruchami. — Czego właściwie ode mnie chcesz?

— Stało się to za pomocą twojego pistoletu.

— Mojego pistoletu? Mam ich kilka.

— Ale jeden mi dałeś przed kilkoma dniami.

— Sama sobie wzięłaś, aby zastrzelić wściekłego psa.

— Tak, i to właśnie zrobiłam.

— No i dobrze! — Fackler się niecierpliwił, chciał stąd odejść. Ten smród, karpi smród wydał mu się teraz bardzo przykry. — Spiesz się. — Musisz mi pomóc go sprzątnąć. Proszę cię!

— Wściekłego psa? — Fackler był oburzony. — Czy ja jestem rakarzem? Poszukaj sobie do tej roboty kogoś innego.

Christine jęknęła. Wyciągnęła do niego ramiona: — On leży pod łóżkiem.

— Gdzie leży? — Fackler był zmieszany.

— Pod łóżkiem, na którym się kochaliśmy, na którym obiecałeś, że

mi pomożesz, więc teraz zrób to. Mój Boże, pomóż mi! — Krzyczała przeraźliwie. Ale zaraz potem głos jej stał się ledwo dosłyszalny: — To był twój pistolet. Ty mi go dałeś — na niego.

Fackler stał nieruchomo i patrzył na nią z otwartymi ustami. Potem opadł na kolana, pochylił się i poczołgał do łóżka. Tam znowu na chwilę znieruchomiał, wreszcie poderwał się do góry niby korek wyskakujący z głębi wody na powierzchnię.

— Nie mam z tym nic wspólnego — wykrztusił. Obrócił się na pięcie, popędził przed siebie, szarpnął drzwi, nie zamykając ich za sobą, i znikł, zapominając o czapce i pasie.

Christine pozostała tam, gdzie siedziała — na łóżku, pod którym leżał Eis. Siedziała pochylona, włosy opadły jej na twarz. Jakiś czas tkwiła tak skulona, jak skamieniała, lecz ciężko dysząc.

Rytmiczne pukanie wyrwało ją z tego bezruchu. W otwartych drzwiach ujrzała człowieka, którego nie знаła — człowieka zwalistego jak góra. Cierpliwymi cielecymi oczyma spoglądał na nią z góry.

-- Nazywam się Budzuhn — rzekł grubas i jakby złożył ukłon-. . . Przepraszam, że tak po prostu wchodzę i od razu do pani sypialna, [tle drzwi były szeroko otwarte. To niedobrze podczas takiego chłodu.-

— Niech pan stąd idzie — zawołała Christine z wysiłkiem.

— Pani pozwoli, ja dopiero co przyszedłem. ---- Budzuhn obrzucił ją badawczym spojrzeniem i uświadomił sobie od razu, że coś z nią jest nie w porządku, a właściwie bardzo, bardzo nie w porządku. Ściągnął koldrę i okrył jej ramiona; drgnęła pod jego dotykiem i zaczęła się trząść.

— Tu naprawdę jest bardzo zimno. Dlaczego otworzyła pani drzwi? Chciała pani przewietrzyć?

Inspektor Budzuhn powiedział to ot tak sobie, nici mając nic szczególnego na myśli. Ale teraz uniósł głowę i zaczął węszyć jak pies. Rzeczywiście — powiedział po chwili — coś czuć w tym pokoju; Ale czemu nie otworzyła pani okna?

— Niech pan wreszcie sobie pójdzie — rzekła Christine z rozpaczą w głosie.

Budzuhn nie słuchał — nagle zdał sobie sprawę, jakiego rodzaju fetor panował w tym pokoju. Poznał już słodkavo-trujące wyziewy rozkładu. Jego nos, którego niezbite reakcje zachwycały Tantauaj i tym razem nie zawiódł, niczym dokładny aparat pomiarowy.

Pani pozwoli — rzekł niezwykle grzecznie — że zaproponuje pani zmianę miejsca. Może spocznie pani na tym krześle. Czy mam przyjemność z panią Eis? — Nie otrzymał odpowiedzi. Nie napotkał

też oporu, kiedy ostrożnie ujął ją za ramiona, podniósł i poprowadził do krzesła. Była niczym manekin.

— Zastrane życie, co? — rzekł Budzuhn ze współczuciem.

Potem ujął łóżko, uniósł je, przekręcił na bok i znów postawił.

Ujrzał to, co spodziewał się ujrzeć. Widok, który mimo wieloletniego doświadczenia zawodowego wciąż na nowo go bulwersował.

Powodem było częściowo to, że każdy trup był inny — pomijając fakt, że wszystkie wydawały się niesamowicie małe. Ale nie było dwóch ludzi, którzy by umierali w ten sam sposób, nawet wówczas, gdy umierali na tę samą chorobę. A już żadna gwałtowna śmierć nie była podobna do innej, jeśli nawet mord popełnił ten sam zbrodniarz tą samą bronią.

To, co ujrzał tym razem, były to zwłoki człowieka wysokiego, masywnego, mniej więcej czterdziestopięcioletniego, o jędrnej twarzy i ciemnoblonde włosach. Zakrzepła już krew z wodnistożółtobiałymi otokami pokrywała pierś i brzuch — śmierć nastąpiła niewątpliwie wskutek strzału z broni palnej.

Nietrudno było tego człowieka zidentyfikować: miał na sobie bażantowozłoty mundur z pierwszorzędnego materiału. Budzuhn rozpoznał w nim ortsruppenleiterra Maulena, Eugena Eisa.

— Proszę się ubrać — rzekł inspektor do Christine. — Radzę pani włożyć coś ciepłego. Niech pani zabierze też płaszcz. Nie może pani tu pozostać. Zamkniemy ten dom. Co dalej będzie, to się okaże. Na razie proszę iść ze mną.

Więść o wykryciu trupa Eugena Eisa pod jego własnym łóżkiem rozniosła się po wsi niczym pożar, obiegała wszystkie domy, stała się tematem babskich plotek, prowadzonych szeptem męskich rozmów, siejących grozę wybijałych opowieści wśród dzieci.

Nie było wiadomo, z jakiego źródła pochodził ten strumień przypuszczeń, twierdzeń, podejrzeń. Budzuhn poinformował pokrótce tylko kolegę i ruszył do Tantaua, ale ten kolega w drodze się zatrzymał. W dodatku feldfelbel, spragniony, wpadł do gospody i tam nie całkiem wyraźnie, ale dość przejrzyście zaczął perorować, wielokrotnie zapewniając: Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Ale o tym, że coś istotnie zaszło, świadczył fakt, że Christine Eis musiała przebywać w zamkniętym pokoju kancelarii partii, pilnowana przez żandarma.

Bądź co bądź ten inspektor kryminalny Budzuhn powiedział:

Przestrzegam każdego przed wyrażeniem przedwczesnych podejrzeń, to jest konieczne. — Niemal z tęsknotą wypatrywał nadejścia Tantaua, ale ten najwidoczniej się nie spieszył. A Budzuhn przypuszczał, całkiem słusznie, że komisarz ma po temu ważne powody.

Amadeus Neuber, kiedy dotarła do niego wiadomość o śmierci Eisa, pochylał głowę. W dużym stopniu dlatego, by ukryć swoją radość. Ale w głosie jego brzmiał szlachetny ból, gdy zawołał: — Cóż to za koniec! — A potem, kiedy pozostał sam, rzekł do siebie: — No, nareszcie! — Ponieważ teraz on był ortsruppenleiterem w Maulen.

Pastor zarządził dodatkowe nabożeństwo, by wnieść modły za zbawienie duszy zmarłego. Czyż mogło być coś bardziej potrzebnego? Po długich latach duchowej posuchy pastor mógł się wreszcie spodziewać tłumów w kościele.

— Pogrzeb na koszt państwa! — zawołał Kurt Stampe. — Musi to zorganizować nasza SA!

— Jestem wstrząśnięty! — zapewnił burmistrz dobitnie. Śmierć Eisa uchroniła go przed utratą urzędu, był więc pełen wdzięczności.

— Palec boży — rzekł Ignaz Uschkurat i pogłaskał krowę, która stała przed nim z pełnym wymieniem. — Umrzeć musimy wszyscy. Ale że on wyprzedził nas na tej drodze, kto by to pomyślał? No, ale wszelkie znaki na to wskazywały. Nie powinien był się śmiać, kiedy mówiłem że widziałem Grienspana. Kto nie chce słuchać, musi poczuć — taki jest porządek świata.

Kobiety wiejskie zbijały się w grupki niczym stada wron. Trzepotały, krakały, pokrzykiwały, przyciskając głowę do głowy, rzucały podejrzania niby grudy błota: sam się zabił; żona mu w tym pomogła, wspólnie z tym Facklerem albo z tym jeńcem, a może właśnie z Materną — jazgotowały. I dalej: zasłużył sobie na to; nie zasłużył, to był przypadek albo zamysł, albo namiętność, polityka, zazdrość albo po prostu zrzącenie losu. Podniecone rozpierzchły się po chwili.

Nikt nie oplakiwał Eugena Eisa. Nawet Henriette Himmler. Tak nakazywała niemiecka dyscyplina i ład, które sobie narzuciła. Wyprostowana przyjęła potworną wiadomość, wyprostowana stała spoglądając w dal. Potem rzekła:

— Nie umarł nadaremnie. — Dopiero potem rzuciła się na łóżko.

Wreszcie czekający cierpliwie Budzuhn otrzymał wiadomość od Tantaua. Komisarz kazał mu powiedzieć za pośrednictwem przysłanego kolegi: — Niech pan załatwi tę sprawę, i to tak, jak powinna być załatwiona. — Co on ma na myśli? - - zastanawiał się Budzuhn.

- Spokojnie, spokojnie, wszystko po kolei — rzekł Tantau, spożywając w obejściu Materny węgorza w galarecie.
- Alfons Materna ze zdziwieniem przyglądał się komisarzowi, który pakował w siebie olbrzymie porcje.
- Nie dlatego, bym panu żałował, ale czy nie sądzi pan, że istnieją ważniejsze sprawy?
- Nie, nie sądzę — odparł Tantau żując.
- Eis nie żyje.
- No to co? Czy ma pan coś przeciwko temu? Pan chyba na pewno nie. A więc niech pan będzie zadowolony! Czy mógłbym poprosić o jeszcze jedną kromkę tego świeżego chleba?
- Musimy się zabezpieczyć.
- Na razie musimy się najęść. Mam przy tym na myśli pańskie świetne przysłowie: Gdy pełen żołądek, masz ład i porządek .
- Tantau zawołał dziewczęta, Hannelore i Sabine. Stawiły się ochoczo. Zamówił jabłka w twarogu posypane czekoladą, na ciepło. Zaśmiały się i zapewniły, że mogą spełnić jego życzenie.
- Gdy wyszły, Tantau rzekł niedbale: — Nie powinien pan teraz nic robić zbyt pośpiesznie, przyjacielu. Niech pan spróbuje przez chwilę nie myśleć o Eisie, lecz o mnie. Bo widzi pan, ja muszę wydać jeśli nie pana i pańskiego Jakuba, to kogo?
- Chyba nie oczekuje pan, że wydam panu kogokolwiek?
- Ależ skąd. Pańscy towarzysze walki są już bezpieczni, tak przypuszczam. Właśnie dlatego będzie panu łatwiej dać mi pewne wskazówki — liczbę, broń, metody i tak dalej. To nie zaszkodzi nikomu, a mnie pomoże.
- W ciągu najbliższej półgodziny zestawiali dokładnie bardzo przekonujący, ale w ostatecznym rezultacie całkowicie bezużyteczny materiał dowodowy. Tantau rzekł z uznaniem: — Bardzo imponujące, choć to tylko pusta skorupa.
- To wystarczy — rzekł Alfons. — Zwłaszcza że możemy liczyć na to, iż wiara w ostateczne zwycięstwo nie jest już zbyt powszechna. Kto ma choć trochę oleju w głowie, musi wyczuwać, że nadchodzi nowy świat.
- Czy ma pan również i mnie na myśli? — uśmiechnął się Tantau.
- Nie.
- Więc za kogo mnie pan uważa?
- Za mojego przyjaciela.
- Dziękuję — rzekł komisarz. — Jeśli tak jest, to chyba mogę poprosić o jeszcze jedną porcję węgorza w galarecie.

Materna przyglądał mu się z podziwem. W mieszkaniu powoli się zaludniało. Najpierw pojawił się Jakub — był zaskoczony, ale tylko przez chwilę, potem w milczeniu zabrał się do podanych mu potraw. Tymczasem nadeszli Bachus i Klinger. Oni także usiedli, ale wyjątkowo tym razem nie wykazywali szczególnego apetytu — przyglądali się Tantauowi pełni zdziwienia i szacunku.

Komisarz wyciągnął chustkę, otarł usta i oznajmił: — Alfons Materna i ja zostaliśmy przyjaciółmi. Gdyby ktoś jeszcze nie mógł się połapać, to dodam także: jesteście partnerami.

Alfons potwierdził.

— A więc jesteście tu sami swoi.

— Bez żadnych ograniczeń? — zapytał Jakub.

Materna skinął głową i oświadczył: — Uzasadnienia zostawimy na później, gdyby były potrzebne. Na razie omówimy to, co najpilniejsze. Jak się miewa nasz ranny, Peter?

— Można go przewieźć do Giżycka, do szpitala. Potrzebne papiery są już przygotowane. Stan jego zdrowia nie jest groźny i w ciągu trzech — czterech tygodni będzie na nogach.

— W orzeczeniu lekarskim nie powinny w żadnym wypadku figurować daty pomiędzy dziesiątym a dwudziestym listopada rzekł Tantau.

— O to już zadbaliśmy — zapewnił Peter Bachus. — W obecnym stanie zdrowia pacjenta nie da się już bezpośrednio stwierdzić rany od postrzału. Jest całkowicie wiarygodne, że chodzi tu o ranę kłutą zadaną ostrym, niezbyt mocnym krótkim narzędziem. Tak więc mógł to być wypadek przy pracy na roli, na co mamy wielu świadków.

— W porządku — rzekł Tantau. — I co jeszcze?

— Ja jako adwokat zajmę się sprawą pani Eis — odezwał się Konrad Klinger. — Takie było polecenie pana Materny i chętnie się tego podejmę.

— Niech pan nie lekceważy Budzuhna — ostrzegł Tantau. — Ten inspektor dobrze opanował swoje rzemiosło. Im jednak gorliwiej zajmie się sprawą Eisa, tym łatwiej będzie przeszkodzić mu we wtykaniu nosa w sprawy, które nie powinny go obchodzić.

— Postaram się o to — obiecał Konrad. — Sądzę, że już się o to postarałem. Budzuhn uważa, że sprawa jest zupełnie jasna — sprawczynią zbrodni jest, jego zdaniem, tylko Christine Eis. Tymczasem doradziłem jej, aby na razie nie składała zeznań, nie odpowiadała na żadne pytania, a więc milczała. Tak też zrobi.. Zresztą jest teraz

w takim stanie, że nie mogłaby inaczej. Jest zupełnie rozstrojona. Kto by posądzał o to tak mocną osobę.

— To jest piętno obecnych czasów — rzekł Alfons. — Wielu jest ludzi rozstrojonych albo takich, którzy wręcz zwariowali. Jak Uschkurat, który dawniej mógł wyrwać drzewa z korzeniami. Albo burmistrz Pillich, który kiedyś mógł okiełznać każdego konia, a teraz trzęsie się ze strachu. Nawet Neuber nie może się czuć całkowicie szczęśliwy, że jest teraz w Maulen ortsruppenleiterem.

— W każdym razie — rzekł Konrad — pański Budzuhn niewiele będzie mógł dowieść, jeśli Christine będzie milczała jak ryba.

— To nie wystarczy — powiedział Tantau stanowczo. — Mój Budzuhn jest człowiekiem, którego nie wolno nie doceniać. Muszę niestety przyznać, że niejedno przejął ode mnie. Dlatego będzie konieczne odwrócić skutecznie jego uwagę. Jako pierwszy wchodzi w grę feldfelbel Fackler, bo jego pistoletem został zastrzelony Eis.

- Dziękuję za tę wskazówkę — rzekł Konrad.

- - poza tym niech pan pamięta, że jeniec Ambal, który zwał, może także być podejrzany. To, że jest już nieuchwytny, rozszerza zasięg możliwości pana obrony. A może są jakieś wątpliwości z tym związane?

Jakub zaprzeczył. — On jest bezpieczny. Ja się o to postarałem.

— Bardzo dobrze — rzekł Konrad pełen otuchy. — W ten sposób można będzie przewlekać proces sądowy.

- Proszę nie zapominać — ostrzegł Tantau — że wielu sędziów wydaje teraz wyroki śmierci w takim tempie, w jakim krowy wypuszczają swoje placki. Zwłaszcza że zabójstwa Eisa nie uznaje się za zabójstwo małżonka, lecz za zbrodnię popełnioną na osobie ortsruppenleitiera. A w takich wypadkach nie uznaje się zwłoki. Z jednym jedynym wyjątkiem: istnieje wciąż jeszcze obowiązujące prawo, zgodnie z którym wykonanie wyroku śmierci odwleka się w wypadku kobiety w ciąży — do czterech tygodni po urodzeniu dziecka.

— Wobec tego rzekł Peter — Christine jest w ciąży. Stwierdzą to jako lekarz. W ten sposób wygra kilka rund. Bo ostatecznie u nas w Prusach Wschodnich chodzi już tylko o tygodnie do ostatecznego zwycięstwa.

— Może tylko o dni - rzekł Alfons Materna.

— I właśnie dlatego muszę się jak najprędzej związać. - Tantau rozejrzał się ze smutkiem. — Nawet jeśli istnieje niebezpieczeństwo, że w przyszłości nie będę już spożywał tak dobrego jedzenia. Muszę zniknąć z Maulen, by zatrzeć pewne ślady. Odtąd pozostaniemy w kontakcie, — jak długo to będzie możliwe.

Dobrze było poznać pana — rzekł Alfons Materna. - Pomógł nam pan przedłużyć niejedno życie ludzkie.
— Ale na jak długo, przyjacielu?

Do Materny przyszedł Uschkurat; Nie płakał. Zapytał tylko: - Czy także sądzisz, że widzę duchy?

— To nie byłoby zbyt dziwne, zwłaszcza w tych czasach - rzekł Materna.

— Czy wierzysz, że widziałem Siegfrieda Grienspana? Bo ja go widziałem! — zapewnił Uschkurat. Uroczyście, jak gdyby składał niesłychanie ważne dla niego wyznanie. — Stał przede mną w świetle księżycy, bardzo wyraźnie, niemal dotykalny. Wierzysz mi?

— Tak.

— No to dobrze — odetchnął Uschkurat, jakby uwolniony od ogromnego ciężaru. — Jeśli tak, to jestem twoim człowiekiem. Powiedz mi, co mam robić? Jestem gotów na wszystko, co uważasz za słuszne.

— Dobrze — odparł Materna.

Potem nadszedł Pillich. Włókł się jak zbity pies. Złożył głęboki ukłon. Powiedział pokornie: — Jak pan sądzi, panie Materna, co mam teraz robić?

— To, co pan zawsze robił, Pillich: podkulić ogon i nastawić uszy i śmierdzieć, kiedy przełożony nasmrodzi.

— Jestem zapoznany. A przecież zawsze chodziło mi tylko o dobro naszej ojczyzny i o jej ludzi.

— Wobec tego każdy z nas miał co innego na myśli w tym względzie.

— Może tak i było, panie Materna. Ale teraz bardzo tego żałuję. Szczerze. I nie jestem we wsi jedyny. Inni też uważają, że teraz musimy się trzymać razem. Chcielibyśmy się z panem naradzić.

— Nie widzę żadnego sensu — rzekł Alfons — by ze skulonymi ze strachu grzbietami odbywać naradę.

Pillich przełknął tę zniewagę i poprosił: — To niech nam pan powie, co mamy teraz robić — posłuchamy wszystkich pana rad.

Wkrótce potem zjawił się także Amadeus Neuber. Dotarł jednak tylko do bramy. Tutaj pozwolił mu Materna w śnieżycy przedłożyć swoje życzenia.

— Liczne, pożałowania godne nieporozumienia między nami... — zaczął drzeć nie tylko z zimna.

— Niech się pan streszcza — rzekł Alfons. — Nie dlatego, że może się pan zaziębić — to byłoby mi obojętne, ale mam mało czasu.

— Komu pan to mówi? Kto z nas ma teraz czas? Jest za pięć dwunasta.

— Jak wiadomo, Neuber, pański Führer stwierdził to już dawno.

— Ten człowiek nie jest już moim Führerem! — zawołał Neuber.

— Czy on o tym wie? I dlaczego jest pan teraz, jeśli mnie dobrze poinformowano, ortsruppenleiterem w Maulen?

— By zapobiec najgorszemu w naszej społeczności, by przeszkodzić temu, aby jeden z tych zwariowanych fanatyków, co to chcą przetrzymać, przejął u nas dowodzenie. Może mi pan zarzucić cokolwiek pan chce, panie Materna, ale jedno musi mi pan przyznać: nie jestem idiotą. Wiem, co w trawie piszczy.

— I co to ma być, pańskim zdaniem?

— Czytam gazety i słucham radia, i mogę sobie wyobrazić, co się przemilcza. Poza tym mam wgląd w nasze wewnętrzne dokumenty partyjne. A z nich wynika, że Rosjanie są już u bram Prus Wschodnich. Palą, mordują i gwałcą.

— I coś podobnego przypisuje się nam, wielkoniemieckim szlachetnym mężom. Którzy przecież zawsze walczyli po rycersku — nigdy inaczej. Nawet jeśli przy tym spalono miliony ludzi, jak brykiety.

— Nie chcę się z panem sprzeczać. Chodzi o naszych ludzi, o nasze dzieci przede wszystkim. Musimy je zabezpieczyć.

— Byłoby to — stwierdził Materna — wbrew wszelkim wskazaniom wyższych władz. Za to grozi kara śmierci. Chce pan ryzykować? Teraz jeszcze, na pięć minut przed dwunastą?

— Dlatego przyszedłem, ze względu na dzieci! Musimy się odważyć. Ale to może się udać tylko wówczas, jeśli będziemy wszyscy trzymać się razem. A więc i pan musi być z nami, pan przede wszystkim. Pan ze swymi wpływami, ze swoimi możliwościami, swoimi kontaktami. Wiem, że pan nie odmówi swego udziału, zwłaszcza gdy chodzi o kobiety i dzieci. Bo jest pan prawdziwym Mazurem. Jest pan uosobieniem Mazura.

— No dobrze. Jeśli pan tak sądzi, będę się więc stosownie do tego zachowywał.

Materna pochylił się i błyskawicznie, mocno trzepnął Neubera w twarz — najpierw prawą, potem lewą ręką.

— Tak — powiedział — teraz mi trochę ulżyło, teraz możemy jako tako rozsądnie ze sobą porozmawiać.

Przemówienie pożegnalne Alfonsa Materny, wygłoszone wobec przyjaciół w ostatnich dniach Maulen:

— Cóż to jest, przyjaciele, to', co nazywamy ojczyzną? Dużo nad tym rozmyślałem, ale nie potrafię tego wyczerpująco wyjaśnić. Chcę jednak spróbować. Prowokuje mnie do tego przypowieść, która jest podobno stara jak ludzkość i wedle której nikt nie jest wart, aby żyć w raj.

W ciągu pierwszych czterech lub sześciu lat naszego istnienia świat jest jakby przysłonięty mgłą. Zostajemy spłodzeni, urodzeni i na razie musimy jedynie żyć. Gdzie i jak żyjemy — tego w naszych bezradnych początkach nie wiemy. Z trudem zaczynamy rozpoznawać szczegóły, wchłaniać w siebie wczesne wspomnienia: zatroskany uśmiech kobiety,, która jest naszą matką; wymagającą dobroć ojca; radosny, gorący oddech psa, który do nas lgnie; nieruchome, mocne zarysy drzewa, o które się opieramy; i niebo nad nami — raz ciężkie niby ołów, to znów błękitne jak pióro gołębia.

Ze wszystkich tych mglistych początków tworzy się w nas chyba to coś, co nazwać możemy miłością ojczyzny. Samej ojczyzny jednak, której częścią się staliśmy — bez własnej woli, bez wiedzy, bez wyboru wskutek tego nie mamy; może nigdy nie będziemy mieć. Ale zaczynamy ją przeczuwać. A może do niej tęsknić.

Moim pierwszym wspomnieniem z tej wsi Maulen, w której się urodziłem, jest strach. Jeszcze dziś widzę niemal męcząco wyraźnie kupę piasku, w której chciałem budować fortecę. Ale piasek nie dal się kształtować — rozsypywał się pod palcami. I w dziecięcym gniewie, oskarżająco i wyzywająco zarazem, rzucałem łopatką w górę ku niebu. A niebo nade mną zdawało się rozpękać, zapalało się i pluło czerwonym, płonącym ogniem.

Tak więc rozpoczyna się łańcuch moich wspomnień błyskawicą Świat, w którym człowiek jakby w oszołomieniu żyje, zaczyna się pewnego dnia kształtować, przybiera formę, kolor, zapach; daje się dotknąć, smakować, słyszeć. To także jest częścią tego, co możemy nazwać przeczuciem ojczyzny.

Dziś jeszcze słyszę śmiech mojego ojca, tak jak słyszałem go w dzieciństwie. Początkowo myślałem: śmieje się, jest szczęśliwy, to dobrze. Potem nadszedł czas, kiedy zadawałem sobie pytanie: dlaczego on się śmieje? Czy ma ku temu powód? Dziś natomiast powiem, pełen zazdrości i podziwu: Mój Boże, jak on się potrafił śmiać! ; Nikt nie zdoła stawić oporu bezwzględny, władczy potęgom natury. Nigdy nie potrafiłem oprzeć się czarowi mojego kraju, mojej

ojczyzny. Każde żniwa przyjmowałem jak dar. A stworzenia, które z nami żyły, były nie tylko siłą pociągową do pluga, wozu czy brony, nie tylko dostarczycielami mleka, mięsa i odzieży. Kto kiedykolwiek poczuł na karku miękkie chrapy konia, kto ujrzał kiedykolwiek nieskończoną cierpliwość w oczach krowy, kto miał szczęście doznać dogłębnej wierności psa — ten wie, co to znaczy. A także hannonia między ludźmi, krajobrazem i zwierzętami należy bezwzględnie do tego, co nazywamy ojczyzną.

My tutaj w Prusach Wschodnich, na Mazurach, w Maulen żyjemy na ziemi, o której się mówi: jest przesiąknięta krwią! Ale wszelka ziemia na tym świecie, jak tego dowodzi historia, potrafi połknąć niesłychane ilości krwi — nie stając się przy tym bezpłodną. Bo krew nie jest niezbędnym nawozem. A krew — jako legenda, jako mit, jako symbol bohaterskiej walki — może stać się śmiertelną trucizną dla serc i mózgow. Bo zawsze istnieją tacy, którzy dążą do tego, by propagować jako słusznie uświęcony przynajmniej jeden rodzaj mordowania, jeden sposób niszczenia. Może nawet jako godny szacunku. Dla nich śmierć jest jedynie kupą gnoju, na której ma rozkwitnąć ich sława.

Dlatego wzbraniam się widzieć w mojej ojczyźnie tylko przesiąkniętą krwią ziemię, arenę historycznych gwałtownych czynów. Nieprzypadkowo traktujemy w naszym kraju jako święto śmierć, która nadeszła bez strachu i ludzkiego okrucieństwa. Ma to za sobą — mówili do siebie wówczas ludzie we wsi. Albo mówili: Miał dobre, spokojne, piękne życie .

Czasem zastanawiam się, jak to przyjmie ta wprawdzie nie kochana, ale szanowana śmierć, kiedy ludzie zaczną jej wchodzić w drogę — na przykład owe coraz liczniejsze grupy kryminalistów i wojowników. Jedno przynajmniej było dla mnie pewne: nie potrafiłem nigdy w ofiarach tych morderców widzieć bohaterów. Budziły one współczucie, nie dumę.

Także stosunek do śmierci zmienił się u nas jak wiele innych rzeczy. Przez wiele wieków najlepsze odłamy społeczeństwa tego kraju starały się o jedną z najpiękniejszych cnót: o zrozumienie pomiędzy wszystkimi, którzy zamieszkiwali tej kraj. Chcieli żyć i pozwalali żyć innym!

W naszej wsi jeszcze przed niewielu. dziesięcioleciaми niemieccy chłopcy żyli obok polskich, protestanci — obok katolików, urzędnicy, którzy mieli słowiańskich przodków, obok tych, którzy byli po prostu Prusakami. Nikt nie miał zastrzeżeń co do języka i wiary sąsiada. Ksiądz odprawiał regularnie polskie i niemieckie nabożeństwa; i aż trzech sekciarzy i kaznodziejów świeckich w naszej małej gminie gromadziło kółka modlitewne, i nikt im w tym nie przeszkadzał.

Chyba żaden człowiek u nas w Maulen nie wiedział, co właściwie znaczy słowo tolerancja . Ale większość czuła to instynktownie i postępowała zgodnie z jego treścią. Kiedyś kraj ten był polski, potem został zasiedlony przez niemieckich rycerzy zakonnych, potem przyszli francuscy hugenoci skazani na banicję, wierni z okręgu Salzburga; jeszcze później osiedlili się tutaj więźniowie z Brandenbura, którzy podobno mieli niebezpieczne przekonania polityczne; wreszcie przysyłano tu do nas niewygodnych urzędników z Rzeszy. Słowem — zupełna mieszanina.

Tak więc mieliśmy w naszym Maulen swoich bezbożników i zarazem pobożną gminę. I nikomu z nich nigdy nie przyszło do głowy, by się wzajemnie pozabijać. Związek Weteranów i Związek Żołnierzy miały licznych zwolenników, ale nie brakło też takich, którzy się z nich wyśmiewali -- i już z tego powodu naszej gminie nie groziło niebezpieczeństwo, że stanie się polem bitwy rozmaitych poglądów. Pijacy, dziwkarze, pobożni wieśniacy i spokojni bartnicy, głupkiu wsiowie i ludzie obeznani z Kantem — dla wszystkich znalazło się u nas miejsce, dostatecznie dużo miejsca.

Trudno teraz stwierdzić, kiedy zaczął się u nas rozkład tego skromnego, bliskiego naturze stylu życia. Pewne jest, że był to długi proces — jego korzenie sięgają chyba odległych stuleci. Ale prologiem chaosu, który w pewnym momencie zwałił się na nas w Maulen, niszcząc wszystko, wydaje się owa wojna, później zwana wojną światową, a jeszcze później pierwszą wojną światową, ponieważ potem nastąpiła druga — ta ponura, niezrozumiała dla mnie katastrofa, ten zarodek naszego barbarzyńskiego wieku.

Początkowo była to tylko posępna, ale uparcie rosnąca buta, która szybko zaczęła się panoszyć. Niemcy, tak twierdzono, niezwyciężone na polu walki, ugodzone sztyletem w plecy, padły ofiarą ukrytych i podstępnych międzynarodowych potęg — oczywiście tylko przejściowo, jeśli istnieje na świecie sprawiedliwość! Miał więc Niemiec — szczerzy, wierny, odważny — nieprzejednanych, bezwzględnych wrogów? Gdzież należało ich szukać?

Że socjaliści, komuniści; wolnomularze albo Żydzi są wszystkiemu winni — w to wierzyło we wzburzonych Niemczech bardzo wielu także w Maulen; tym bardziej że u nas z całą pewnością nie było ani wolnomularzy, ani komunistów. We wsi był zaledwie tuzin socjaldemokratów, a jak kraj długi i szeroki żył tu tylko jeden Żyd - nasz Siegfried Grienspan. A przeciwko niemu nikt nic nie miał.

Także u nas było dość zacietrzewionych narodowych tępaków, ale

nawet ja sam uważałem ich za nieszkodliwych wariatów, którzy dopiero na rozkaz stają się agresywni. Ale tak właśnie się stało. Ja także nie uświadomiłem sobie w porę, że nawet u nas w Maulen wyimaginowany wróg może składać się z naszych rodaków — z ludzi po bratersku nam bliskich, mieszkających obok nas. Pozwoliliśmy sobie na razie uważać nazistów za śmiesznych dziwaków. A hasła trąbione przez nich, jak na przykład: Kto nie jest z nami, jest przeciw nam, pobudzały nas do śmiechu.

W dodatku nadszedł czas, kiedy myślałem: tu działa szajka obłąkanych kryminalistów, psychopatów, wyrzutków społeczeństwa, których pewien procent zdarza się w każdej miejscowości, w każdym kraju świata. Nie rozpoznałem, że szybko szerząca się zaraza dotarła i do nas i miała wkrótce spowodować zastraszająco wysoką śmiertelność. Jeszcze nie dostrzegalem, że zmierzano już do tego, by najgorsze kryminalne czyny — mordowanie ludzi — uznać za cnotę służącą dobru państwa.

Potem jednak stało się tak, że ci ludzie zabili jednego z moich synów. Wtedy z przerażeniem zrozumiałem: kto nie chce lub nie może współżyć z tymi kreaturami, temu odmawiają prawa do życia.

Wtedy stanęło przede mną pytanie: dlaczego to zrobili? Bali się? To możliwe. Trudności życiowe stawały się wtedy dla nas coraz cięższym brzemieniem. Bydło nie było zabezpieczone przed sekwestrem; komornicy nie wychodzili z naszych domów. Czy oni także czuli się zagrożeni? To też możliwe. Wszak nasze Prusy Wschodnie zawsze były spornym krajem granicznym, a prymitywni, zatwardziali patrioci nie pozwalali się zasklepić ranom pierwszej wojny światowej. Czy jednak z tego powodu brat ma zabijać brata?

Dziś wiem, że wobec tak pieniającej się gotowości do mordów skuteczny byłby jeden jedyny środek, odpowiadający prastarym prawom naszej ziemi: Jeśli do twego stada wpada wilk, zabij go. Zabijcie wilki! — tak się mówi w naszym kraju. Aby bydło i ludzie mogli żyć i spokojnie zakończyć swoje życie, dokonać swego żywota jak głosi ostatnia modlitwa za zmarłych. Niech człowiek nie toleruje gwałtownej śmierci — o kogokolwiek chodzi. Bóg, jak powiadają, jednakowo kocha wszystkie swoje stworzenia. Żadne inne słowa Pisma Świętego nie poruszyły mnie tak głęboko jak te.

Co jednak ja, co myśmy zrobili, by dać posłuch temu boskiemu przykazaniu?

Tutaj, przyjaciele, zaczyna się historia mojej winy — nierozzerwalny splot wahań, błędów, tchórzostwa niekiedy, a także samooszukiwania.

Nikogo z tego nie wyłączam, także siebie. Nikogo, kto w ciągu tych dwunastu lat żył w Niemczech i nie był prześladowany, bity, więziony, męczony, zgłodzony.

Nie uznaję żadnej próby usprawiedliwienia, siebie, nas. Proszę przyjaciele, oszczędźcie mi tego. Jesteśmy napiętnowani — nikt nie zmaże tej winy.

Zaczęła się u nas w Niemczech szerzyć ślepa odwaga, rozpoczęto grę w kości o panowanie nad światem. Lekkomyślnie, szaleńczo, pod brutalnym przymusem uczestnictwa — i wreszcie wciągając w to niezliczone miliony ludzi i setki tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi ojczystej. Grano — i przegrano. Przegnino!

Zawczasu usuwać morderców znaczyłoby więcej — zachować życie. Ale właśnie tego ludzie dobrej woli przeważnie nie potrafią, a już nigdy radykalnie.

Tak więc i ja prawie nigdy nie miałem dość siły, by zabijać albo kazać zabijać tych, którzy dokonali mordu na mózgach ludzkich. Z jednym jedynym. Schlaguweita! Ten mordował z zimną krwią, własnoręcznie, z premedytacją. Usunięcie go nie obciążało naszego sumienia. Ale właśnie to okazało się moim jedynym poważnym błędem. Tantau, mój przyjaciel, wie o tym. Gdyby nie jego dalekowzroczne przewidywanie niemieckich możliwości, już byłoby po mnie.

Jakkolwiek jest, mogę chyba sądzić, że nie jestem szczególnie dobrym człowiekiem, ale jednak pełnym dobrej woli? I dlatego pozwalam sobie na pewne marzenia na jej wie.-Tak więc usiłuję wyobrazić sobie, że Pismo Święte w swej odwiecznej mądrości może mimo wszystko ma rację, kiedy głosi, że wystarczą nieliczni sprawiedliwi, nieliczni ludzie dobrej woli, aby zapobiec zagładzie jakiegoś miasta, jakiegoś kraju, a przynajmniej jakiejś wsi.

Nie chcę narzekać. Na naszych Mazurach przeżyłem chwile, kiedy byłem naprawdę szczęśliwy. Znalazłem tu ludzi, którzy mnie kochali, przyjaciół, z których się cieszyłem, młodych ludzi, którzy pozwalali mi wierzyć, że jestem dla nich jakby ojcem. Za to jestem wdzięczny — życie moje było pełne. Ale uświadamiam sobie z udręką, że nie dość zrobiłem, nie dość dla tych ludzi, którzy do nas należą, którzy są znaczącą częścią naszej zagrożonej ojczyzny.

Nikt nie może przewidzieć, co nas teraz czeka. Bardzo możliwe, że zostaniemy wygnani i odtąd będą nas omijali jak trędotowych — tylko dlatego, że jesteśmy Niemcami. I niejeden z nas na to zasłużył. Ponieważ my, Niemcy, mamy na sumieniu niesłychane, potworne

zniszczenie; w każdym razie dopuściliśmy do tego. To będzie na nas ciążyło, dopóki istnieją istoty myślące.

Możliwe też jednak, że ta ludzkość wreszcie będzie zdolna wyciągnąć wnioski z dwóch globalnych katastrof wojennych. Nikt już na tym świecie w ciągu swego życia nie będzie zagrażał życiu innych, nie zagrażając własnemu życiu! Tak więc nam, którzy chcemy być ludźmi, pozostanie tylko do wyboru żyć ze sobą możliwie uczciwie, możliwie bez zadrażnień.

Czy to tylko marzenie, kiedy wyobrażam sobie, że właśnie ten kraj, nasze Niemcy, stanie się zarodkiem nowej szczerości i przyzwoitości? Bo ktokolwiek z nas przeżyje i zbudzi się z tego koszmarne go snu, ten — sędzę — będzie odczuwał nie tylko ciężar współwiny, ale także wyzwajające pragnienie pokuty. Ten musi odczuwać nie tylko pokorę i wdzięczność za niespodziewany dar własnego życia, ale także gorące pragnienie wykorzystania go we właściwy sposób.

My, Niemcy — tak wierzę i taką mam nadzieję — wiemy teraz, co może spowodować głupota i łatwowierność, i jak łatwo ślepy idealizm prowadzi do zbrodni. Jak dziecko, co niebezpiecznie się oparzyło, nie będziemy już ufać żadnym wielkim słowom. Będziemy zawsze szanować bliźnich — bez względu na kolor skóry, bez względu na wyznanie i narodowość.

Także tutaj, na Mazurach, chcemy jedynie mówić naszym językiem, jadać i pić z naszymi przyjaciółmi, zamieniać ziemię w ogród, hodować zdrowe bydło, bawić się z dziećmi i psami, żyć szczęśliwie z żonami i swobodnie oddychać naszym cudownym powietrzem. To by wystarczyło — a to jest ojczyzna.

Przyjaciele, wilki nie zagrażają już naszej ojczyźnie — nie żyją albo uciekły, albo szukają kryjówek w panicznym strachu przed płomieniami, które same roznieciły. A może myślą, że znowu wychyną, kiedy wreszcie minie chaos, który nam pozostawiły? Czy wtedy znowu zaczną krążyć dokoła naszych stad i domostw, zaczną wyć i od nowa głosić, że świat należy do wilków zgodnie z rzekomym prawem natury, okrutnym prawem, które uzurpuje sobie ten, kto jest w danej chwili silniejszy, najsilniejszy? Kto odważy się — po tym wszystkim, co się stało — jeszcze w to wierzyć?

Hasła narodowych gangsterów, prowokatorów ludu i fanatyków-rasistów zostały po wsze czasy zdemaskowane jako zbrodnicze polowanie na ludzi. Opatrzność dała nam lekcję tak druzgocącą, że gorszej nie można sobie wyobrazić.

Czy też może wielomilionowe krwawe ofiary zbrodniczo zgładzo-

nych, bezbronnych ludzi wciąż nie są jeszcze wystarczające? Czy ten zalew głodu, nędzy, męki, bólu, gwafy, zniszczenia, śmierci nie wystarcza, by wytepić głupotę?

Nadeszła godzina zero. Po niej wszystko wydaje się możliwe, osiągalne — wszystko, do czego ludzkość tak tęskniła, czego tałe gorąco pragnęła. Ale też można sobie wyobrazić, że nasz świat coraz bardziej będzie się rozpadać, aż pewnego dnia potężny niepowstrzymany wybuch rozszarpie kulę ziemską i ciśnie ją w otchłanie wszechświata. Ten inny ewentualny świat, który mógłby nadejść i zawładnąć nami bezpowrotnie, byłby ostatnią fazą ludzkiej możliwości i ostatnim przejściem prowadzącym do ostatecznej atomizacji wszystkiego, co ludzkie — bez skrupułów przez nas, Niemców, przyspieszonym, może nawet spowodowanym.

Jako dziecko uległe wierzyłem w Boga — i wciąż jeszcze wierzę, choć w inny sposób; bo tylko przez Niego i w Nim można wytłumaczyć coś, czego samym rozumem pojąć się nie da.

Jako chłopiec wielbiłem ojczyznę i jej bohaterów — piękne zauroczenie, którego chciałbym użyć wszystkim chłopcom na świecie, jeśli tylko pozostanie ono chłopięcym uwielbieniem. Jak0 młodzieńca pociągały mnie na przemian wielkie religie ludzkości! kochałem Chrystusa, podziwiałem Lutra, z wypiekami na twarzy czytałem Tomasza z Akwinu, słyszałem głosy Konfucjusza, Buddy, Mahometa i starych proroków, pielgrzymowałem w myślach do Mekki, Jerozolimy, Rzymu. Na dłuższy czas zatrzymałem się także w Moskwie.

Ale nic z tego wszystkiego nie było w stanie zadowolić mnie całkowicie. I nagle uświadomiłem sobie, że istnieją tysiące, tysiące możliwości, by prowadzić życie w całej jego pełni. Wiele może być właściwych dróg. Ale ze wszystkich mądrości świata przemawia wciąż od nowa jedna myśl, prosta, wszechogarniająca, beczasowa — to odpowiedzialność za człowieka, który żyje jobok ciebie! Za tego biednego, słabego, cudownego człowieka — o niego chodzi, tylko i wyłącznie o niego.

My tu w Maulen sądziliśmy, że żyjemy w raj — w jednym z ostatnich rajów tej ludzkości. Został zniszczony — my sami to uczyniliśmy. W ciągu zastraszająco krótkiego czasu sami siebie własnoręcznie skreśliśmy.

Ale myśl o tym głęboko nas unieszczęśliwia. Pozostaje tylko nadzieja, że inni nie powtórzą naszego niosącego zagładę, głupiego, a ostatecznie śmiertelnego błędu! Ze rozumieją, iż nienawiść nie tylko rodzi

nienawiść, że za zniszczenie nie tylko odpowiada się zniszczeniem, że śladem morderców nie tylko idą mordercy.

Ta godzina zero jest godziną człowieka, który chce tylko być człowiekiem — niczym innym.

Gdybym teraz mógł się modlić, prosiłbym, moi drodzy przyjaciele, aby tak się stało.

Po tych słowach Alfons Materna podniósł kielich, przepijając do przyjaciół. Wypił, cisnął kielich na ziemię. Jeszcze raz się uśmiechnął.

Wieś Maulen przeżywała swoje ostatnie dni, jakby zalewały ją gorączkowe fale; wszystko trzęsło się i drżało jak w febrze. I wciąż jeszcze Maulen nie chciało umrzeć.

Skrwawiona, płonąca, zburzona, pokryta skorupą brudu, jakby skręcona z zimna — tak wyglądała wieś przed swym końcem. W pełnych zamętu głowach ludzi panowała jedna jedyna myśl: jak przeżyć?

Ciężka troska o prymitywną egzystencję opadła ludzi. Naradzali się podczas niespokojnych nocy, kiedy to dudnienie zbliżającego się frontu przerywało nagle ich pełne udręki rozmowy. Maternę błagano, by wziął na siebie przewodnictwo wsi.

Ostateczne rozstrzygnięcie zawdzięczano jednak Stampemu. Zaczął on odgrywać swoją rolę jako SA~man i przywódca ludu, alkoholem dodając sobie odwagi. Zebrał ostatnich, wciąż jeszcze wiernych koleżków partyjnych, a było ich co najmniej dwunastu. Przede wszystkim uzbroił ich.

Potem ogłosił w Maulen stan wojenny. Wyzначył siebie, nie napotykając u Neubera jawnego sprzeciwu, na komisarycznego dygnitarza i powierzył sobie urząd burmistrza. Pod swoją władzę przejął — powołując się na prawo wojenne — miejscowych żandarmów pomocniczych i powołał HJ oraz BdM do pełnienia służby doraźnej

Za pomocą rozklejonych obwieszczeń, ustnych zawiadomień i prowizorycznych nakazów wezwał całą ludność do stawienia się nazajutrz rano, punktualnie o godzinie siódmej, na placu wiejskim przy pomniku poległych.

Przybycie jest narodowym obowiązkiem wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci, które ukończyły dziesiąty rok życia. Niestawienie się

będzie uważane za sabotaż i podlega sądowi doraźnemu. Każdy musi wziąć ze sobą łopatę, szufłę albo motykę w celu zbudowania linii obronnej

Zaraz potem delegacja chłopów z ogólnie szanowanym, ale bardzo małomównym Romeikiem na czele, w towarzystwie Neubera, udała się do Materny. — Teraz — rzekł Romeike. A Neuber uzupełnił:

— Jeżeli teraz zaraz nie podejmiemy środków obrony, jesteśmy zgubieni.

Materna zapytał, czy wielu ludzi stawilo się na wezwanie partii. Romeike rzekł: — Tak. — Neuber zaś dodał: Ten Stampe to bardzo gwałtowny człowiek. Poza tym miał nawet jeden dość dobry pomysł: oznajmił, że znajdującą się w magazynie gospody żywność rozdzielili pomiędzy zasługującą na to część biedującej ludności. Ten pomysł może okazać się bardzo atrakcyjny.

— Weźmiemy to pod uwagę — rzekł Materna zdecydowanie. Potem naszkicował plan. Neuber spróbował co prawda jeszcze raz wykręcić się od zbyt radykalnych wymagań, lecz Romeike spojrzal na niego ponuro i powiedział tylko: — Zamknij się.

Nazajutrz rano zgromadziła się wedle rozkazu większa część ludności Maulen przed pomnikiem poległych. Stał już tam Stampe pewny siebie, zwycięski, z zegarkiem w ręku.

Tuż przed siódmą ukazał się Amadeus Neuber — po raz pierwszy i ostatni w swym życiu w mundurze ortsguppenleitara. Towarzyszyli mu Romeike i Jabłoński. Neuber podszedł sztywnym krokiem do Stampego, na oczach wpatzonego weń tłumu.

--- Ja jestem tutaj zwierzchnikiem — rzekł.

Na to Stampe, pewien swojej przewagi: — Jesteś nędznym gównem.

Ale nie zauważył Jabłońskiego. Ten zbliżył się do niego, zdzielił go w kark krótko i mocno, tak że Stampe upadł płasko na brzuch i pozostał jak ogluszony. Wówczas Jakub pochylił się, wziął przywódcę SA za spodnie na tyłku i niby tłumok szmat poniósł przez, zdumiony tłum. Rzucił go na stojący w pogotowiu wóz służący do przewozu bydła.

— Mężczyźni i kobiety w Maulen! — zawołał naraz Neuber. — W tak ciężkich jak obecnie czasach musimy zachować trzeźwe głowy! — To sformułowanie omówili z Materną. — Nie potrzeba nam bufonów i waźniaków. Kierownictwo wsi spoczywa w moich rękach.

Mężczyźni, którzy cieszą się ogólnym zaufaniem będą mnie popierać. Nasze pierwsze postanowienie - to podział żywności z magazynu, a co dalej, to się okaże.

Były to słowa, które wzbudziły ogólne uznanie. Koleżkowie Stampego wycofali się ostrożnie — ich prowodyr najwidoczniej został zdeponowany, a w każdym razie stracił swoją funkcję; oni zaś — to im wpojono — byli posłuszni zwierzchnictwu. Poza tym Neuber był przekonujący. Ludzie w Maulen poczuli świeży powiew — od strony Końskiego Wzgórza.

Alfons Materna włączył się teraz jawnie do akcji. Przede wszystkim zadbał o to, by okręgowy pełnomocnik do spraw rolnictwa, a więc jego syn, został mianowany miejscowym pełnomocnikiem. Kiedy tak się stało, zorganizował sieć ukrytych obór w okolicznych lasach; do tego doszły założone w ziemiankach spichrze zbożowe.

Amadeus Neuber rozwiązał tymczasem na zlecenie Materny kobiecy obóz pracy. Potem wezwał — tym razem zgodnie z rozkazem kierownictwa obwodowego — ludność Maulen do Volkssturmu. Przywódcą Volkssturmu mianowano porucznika rezerwy Klingera, który nie odmówił stawienia się na wezwanie swej rodzinnej wsi.

Konradowi Klingerowi udało się ocalić rzekomo ciężarną Christine od śmierci na szubienicy — siedziała w więzieniu w Olsztynie. Pierwszym zaś, co uczynił nowy volkssturniführer w Maulen, było odwołanie wartowników pilnujących jeńców — feldfebel i jego ludzie musieli pomaszerować na front. Jeńców przekazano pod dowództwo Jakuba Jabłońskiego, również członka Volksslurmu, który odszedł z nimi do lasu, gdzie wszyscy się ukryli.

Zagrodę Materny zamieniono w schronisko dla chorych i dzieci. Zajmował się nimi Neuber, a wszystkimi opiekował się doktor Bachus z pomocą Hannelore. Alfons urządził dla dzieci w Maulen przedwczesne Boże Narodzenie.

Przy tej okazji znów popłynęły strumienie miodu, pochłonięto góry marcepanów. Skrzynie pełne pierników i wiadra pełne kakao wypełniły wytrzymałe mazurskie żołądki dziecięce. Dzieciarnia uszczęśliwiona przespała całą noc i pół dnia. Potem załadowano dzieci na dwa wymoszczone słomą drabiniaste wozy, by je zawieźć na wycieczkę jak im powiedziano. Wycieczka miała trwać przeszło dziesięć dni Amadeus Neuber potajemnie wyruszył za nimi.

Po Neuberze zniknęli z Maulen, wraz z wysoko wyładowanymi wozami, także burmistrz Pillich i wielu innych znaczących obywateli. Wkrótce na wsi nie pozostał prawie żaden ze stronników partii. Także Kurt Stampe umknął na Zachód, zabierając trzy skrzynie wódki, dwie kobiety i sztandar. Nikt za nim nie tęsknił.

Doktor Bachus starał się wysyłać transportami sanitarnymi jadącymi do centrum Rzeszy ludzi ze wsi, którzy nie chcieli już pozostać w Maulen. Przeszło dwa tuziny zabrał ze sobą Tantau pociągiem konwojującym więźniów odsiadujących karę, wśród nich także Hannelore Welser i Sabine Gäbler. Nalegał na to Materna. — Kto wie, co będzie — powiedział. — Jeśli wszystko się dobrze skończy, możecie wracać, kiedy tylko zechcecie.

W owych dniach Alfons nigdy nie mówił o tym, co, jego zdaniem, może się zdarzyć. Jedno było dla niego pewne: chciał zostać w Maulen i inni byli tego samego zdania. — Ale każdy może teraz, zrobić, co uważa za słuszne.

Porucznik Klinger zorganizował Volkssturm zapewne tylko po to, aby go rozwiązać we włściwej chwili i jak najskuteczniej. -- Wojna się skończyła — rzekł dokwoich ludzi. Rzućcie broń na jedną kupę, zatopimy ją w jeziorze. JSsteście zwolnieni, sami zdecydujecie',"dokąd chcecie iść.

Potem obaj z Peterem Bachusem udali się do Materny. — Co jest jeszcze do zrobienia? — zapytali.

Nic więcej odparł Alfons. — Przypuszczam, że nas opuścicie, by podążyć za Hannelore i Sabine. Zatrószcie się o nie. I wynoście się wreszcie, chłopaki! Czy też chcecie ujrzeć, jak się rozbeczę? Chyba synowie nie powinni doprowadzać do tego swych ojców. A więc zmykajcie!

Wilki opuściły Maulen, po nich popłynął przez wieś strumień rozbitego niemieckiego wojska; porywał ze sobą w pośpiechu wszystko, co tylko było w zasięgu ręki: alkohol, mięso i kobiety.

Po piętach deptała im Armia Czerwona. Jej nadejście zapowiadało się jak burza — lecz błyskawice i grzmoty nie następowały po sobie, zlewały się w jedno. Także nad Maulen szalała burza przemijania. Wielkie umieranie zatruwało powietrze.

Alfons Materna raz jeszcze przemierzył wieś. Opuścił swoje obejście, przeciął Końskie Wzgórze i Psie Łąki, szedł przez wieś w swym najlepszym garniturze, uroczystym krokiem, jak gdyby udawał się na swoje ostatnie święto.

Szkoła paliła się jasnym płomieniem. Goppoda była dymiącą kupą gruzów. Pomnik ku czci bohaterów, przed którym Materna się zatrzymał, wskutek trafienia pociskiem wyglądał jak ścięty brzytwą. Na kamiennym odłamku postumentu widniało nazwisko. Było to jego nazwisko.

Materna — przeczytał Alfons; chodziło tu o jego syna Alfreda, który kiedyś został zabity granatem. Wtedy wszystko się zaczęło, pomyślał Alfons. Potem zastanowił się: czy dopiero wtedy?

Odrzucił daleko precz odłamek ze swoim nazwiskiem. Stojąc nieruchomo, patrzył, jak wali się w gruzy kościół — biidynek zadrżał, zatrzęsł się jak w febrze, po czym rozpadł się niby grzyb dgnisty, rozsadzający świat.

Alfons Materna poszedł dalej, na cmentarz zryty pociskami jakby przez stado dzików.

Potem nikt go już więcej nie ujrział.